

Guy Gavriel Kay

Ysabel

*Istnieje tylko jedna jedyna opowieść,
Która się okaże warta twych słów,
Czyś uczonym bardem, czy zdolnym dzieckiem;
Jej są wszystkie wersy czy pomniejsze ozdobniki,
Co zaskakują swym blaskiem
Zwykłe opowieści, do których się zabłąkają.*

Robert Graves

PROLOG

Lasy sięgały granicy posiadłości: żwirowego podjazdu, elektronicznie sterowanej bramy i zielonego płotu z siatki, który stanowił ochronę przed dzikami. Ciemne drzewa otaczały jeszcze jeden dom ukryty dalej na stoku, a potem ciągnęły się na północ od willi, pokrywając strome wzgórze i przechodząc w prawdziwy las.

Dziki – zwane *sanglier* – żerowały wszędzie wokół, zwłaszcza w zimie. Od czasu do czasu rozlegały się odgłosy wystrzałów, chociaż w dąbrowach i na polanach otaczających takie drogie domy polowania były nielegalne. Zamożni właściciele posiadłości rozłożonych wzdłuż Chemin de l'Olivette robili wszystko co w ich mocy, by strzec spokoju dni i wieczorów spędzanych na wsi poza miastem.

Dzięki owym wysokim drzewom rosnącym na wschodzie świt oznajmiał swoje nadejście – o każdej porze roku – powolnym bladym brzaskiem, a nie kręgiem słońca unoszącym się nad horyzontem. Jeśli ktoś patrzył z okien lub tarasu willi, widział, jak rosnące na trawniku czarne cyprysy powoli zmieniają barwę na zieloną, od czubków w dół, i przybierają naturalne kształty, wyłaniając się z sylwetek strażników, którymi były nocą. Zimą niekiedy pojawiała się mgła, a światło rozpraszało ją niczym sen.

Bez względu na to, w jaki sposób świt oznajmiał swoje nadejście, początek dnia w Prowansji był darem, opiewanym w literaturze i sztuce przez ponad dwa tysiące lat. Powiadano, że zmiana zaczyna się gdzieś poniżej Lyonu, na północ od Awinionu.

Żadne inne niebo nie było podobne do tego. O każdej porze roku: czy to o zimnym poranku późną jesienią, czy w południe sennego lata przy akompaniamencie cykad. Albo kiedy wzdłuż doliny Rodanu (po tym samym szlaku, którym tak często przybywały wojska) hulał przenikliwy wiatr – *mistral* – sprawiając, że każde drzewko oliwne czy cyprys, sroka, winnica, krzaczek lawendy i akwedukt widoczny w dali odbijały się na tle omiatanego wiatrem nieba tak, jakby były pierwszymi na świecie, doskonałymi, okazami.

Aix-en-Provence rozłożyło się w niecce doliny, leżącej na zachód od willi. Od tej strony nie rosły żadne drzewa, które zasłaniałyby widok. W takie wiosenne poranki jak ten, miasto, mające ponad dwa tysiące lat, założone przez zwycięskich Rzymian – którzy mierzyli grunty i sporządzali mapy, wyrównywali teren i go osuszali, budowali rurociągi odprowadzające wodę z termalnych źródeł i wytyczali proste jak strzała drogi – było wyraźnie, niemal

nadnaturalnie widoczne. Średniowieczne i współczesne domy. Dzielnica nowych apartamentowców na północnym stoku i wciśnięta w starą dzielnicę dzwonnica katedry.

Tego ranka wszyscy tam się mieli wybrać. Ale trochę później (w domu zadzwoniły już dwa budziki, a kobieta brała prysznic), gdyż, mając tu do wykonania pewne zadanie, nie chcieli marnować ranka.

Fotografowie znali to światło.

Będą się starali je wykorzystać, zaczerpnąć go, jak spragniony wędrowiec mógłby zaczerpnąć wody ze starożytnej studni – a potem zobaczyć o zmierzchu na drzwiach i oknach inną grę światła, kiedy będzie padało z zachodu, albo kiedy zachodzące słońce podświetli chmury.

Tutejsze poranki i wieczory (dla obiektywu aparatu fotograficznego południe okazywało się zbyt jasne, pozbawione cieni) były darami o odmiennych niuansach. Darami, na które nie zawsze zasługiwali ludzie tu mieszkający czy też przybywający do tej zbyt pięknej części świata, gdzie w toku pełnych przemocy stuleci zostało przelane tyle krwi, a niezliczone ciała spalono, pochowano lub pozostawiono bez pogrzebu.

A jeśli o to chodzi, to czy, szczerze mówiąc, istnieje aż tak wiele miejsc, których mieszkańcy zawsze, przez długie tysiąclecia, byli godni dobrodziejstw dnia? Ten dziś spokojny, a niegdyś pełen brutalności zakątek Francji nie różnił się pod tym względem od pozostałych miejsc na świecie.

Istniały jednak inne różnice, z których większość została zapomniana na długo przedtem, nim nad lasem ukazał się pierwszy brzask tego poranka i odnalazł kwitnące judaszowce i zawilce – i jedno, i drugie na fioletowo, co znajdowało wyjaśnienie w legendach.

Wzdłuż doliny poniosło się bicie katedralnych dzwonów. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Pokaże się później, w jasnym blasku dnia, dążący do pełni, z odciętą jedną krawędzią.

Świt był przepiękny, pamiętny, czuło się niemal jego smak na krawędzi dnia, w którym opowieść tocząca się dłużej, niż odnotowano to w jakichkolwiek archiwach, zaczęła się wznosić elipsą, przypominającą krzywiznę myśliwskiego łuku albo linię lotu i upadku strzały, ku temu, co mogłoby się okazać zakończeniem.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Ned nie był pod wielkim wrażeniem. W stopniu, w jakim potrafił ocenić w przytłumionym świetle, które wpadało przez nieduże, umieszczone wysoko okna, ładnie stanowił głównej cechy katedry Saint-Sauveur w Aix-en-Provence – i na zewnątrz, gdzie ekipa jego ojca przygotowywała się do próbnych zdjęć, i w środku, gdzie Ned był w mroku całkowicie sam.

Miał się czuć odlatowo. Melanie, drobniutka, niemal absurdalnie zorganizowana asystentka jego ojca, dała Nedowi broszurkę o katedrze i mrugnawszy, powiedziała, żeby wszedł do środka, nim zaczną robić pierwsze cyfrowe zdjęcia, poprzedzające prawdziwe zdjęcia do książki.

Była dla niego miła. Zawsze była dla niego miła, ale Neda doprowadzało do szału, że przy wszystkich swoich obowiązkach pamiętała jeszcze o wynajdowaniu zajęć dla piętnastoletniego syna szefa, doczepionego do ekipy.

Żeby się nie plątał pod nogami i nie sprawiał kłopotów. Zapewne już wiedziała, gdzie w Aix są sklepy muzyczne, trasy dla biegaczy i place dla deskorolkarzy. Prawdopodobnie wyszukała je w Internecie i zrobiła notatki jeszcze przed wylotem z domu. Na pewno kupiła już cały sprzęt na Amazonie czy gdzie indziej i złożyła go w willi, żeby czekał na właściwy moment. Wręczy go Nedowi, gdy zacznie sprawiać wrażenie całkowicie znużonego. Była przemiła i nawet śliczna, ale Ned wolałby, żeby nie traktowała go jak część swojej pracy.

Początkowo myślał o tym, żeby się przejść po starym mieście, jednak wziął od niej informator i wszedł do katedry. To był pierwszy dzień roboczy, organizowanie wszystkiego do sesji zdjęciowej, później będzie miał mnóstwo okazji, by się powłóczyć po mieście. Przyjechali na południe Francji na sześć tygodni i jego ojciec zamierzał niemal przez cały ten czas intensywnie pracować. Ned postanowił, że tego ranka jeszcze będzie się trzymał ekipy; wciąż czuł się nieco dezorientowany, rzucony z dala od domu. Tego jednak nie musiał nikomu mówić.

Jak można się było spodziewać, w merostwie, mieszczącym się w pobliskim ratuszu, wszyscy byli podekscytowani ich przybyciem. Edwardowi Marrinerowi obiecano dwie godziny spokoju tego ranka i jeszcze dwie nazajutrz, jeśli ich potrzebował, żeby mógł

zrobić zdjęcie katedralnej fasady. To oczywiście oznaczało, że gdyby ktoś chciał wejść do środka, by się pomodlić za swoją (lub czyjąkolwiek inną) nieśmiertelną duszę, będzie musiał zaczekać, aż słynny fotograf unieśmiertelni budowlę.

Kiedy Greg i Steve rozładowywali furgonetkę, wywiązała się nawet dyskusja, rozpoczęta przez przydzielonego im urzędnika miejskiego, czy monterzy powinni wejść na drabiny i zdjąć przewód, biegnący ukośnie przez ulicę przed frontonem katedry do budynku uniwersytetu po drugiej stronie. Ojciec Neda uznał, że w razie potrzeby będą mogli wykasować przewód cyfrowo, zatem studenci nie zostali pozbawieni światła w salach wykładowych.

To ładnie z naszej strony, pomyślał wtedy Ned.

Chodząc tam i z powrotem, jego ojciec zaczął podejmować szybkie decyzje, jak miał to w zwyczaju, kiedy w końcu po długich przygotowaniach znalazł się na planie. Ned już go takim widywał.

Dwa miesiące wcześniej Prowansję odwiedził Barrett Reinhardt – redaktor odpowiedzialny za graficzną stronę książki – który przygotował listę proponowanych ujęć i przesłał ją Edwardowi Marrinerowi mejlem do Montrealu. Jednakże ojciec Neda zawsze wolał podejmować decyzję po przybyciu na miejsce, które miał fotografować.

Zauważył balkon na drugim piętrze budynku uniwersytetu, znajdujący się tuż nad placem, naprzeciwko fasady, i postanowił robić cyfrowe zdjęcia z dołu, by je potem poddać obróbce w komputerze i połączyć w jedno zdjęcie panoramiczne; chciał jednak wejść na ten balkon i posłużyć się filmem dużego formatu.

Melanie, chodząca za nim krok w krok ze swoim notatnikiem, zapisywała wszystko różnymi kolorami.

Ned wiedział, że ojciec dokona wyboru obiektów do sfotografowania później, kiedy zobaczy, czym dysponuje. Trudnym wyzwaniem będzie zapewne uchwycenie na jednym zdjęciu wysokiej dzwonnicy po lewej i całej szerokości budynku. Steve poszedł z urzędnikiem z merostwa do uniwersytetu dowiedzieć się o możliwość wejścia na balkon.

Zebrał się tłumek gapiów. Posługując się znośną francuszczyzną i uśmiechem, Greg pilnował, żeby ludzie nie wchodzili na plac, bo mogliby się pojawić w kadrze. Z pomocą przyszedł mu żandarm. Ned obserwował to z kwaśną miną. Mówił po francusku lepiej od pozostałych, ale nie kwapił się do pomocy. Właśnie wtedy wszedł do katedry.

Naprawdę nie wiedział, dlaczego jest w takim złym nastroju. Wydawałoby się, że powinien być zadowolony: zaczął wakacje dwa miesiące wcześniej, opuszczając egzaminy

(miał co prawda napisać tutaj trzy wypracowania i oddać je w lipcu po powrocie do domu), mieszkał w willi z basenem, podczas gdy ojciec i pozostali zajmowali się pracą...

Znalazł się pod wysokim sklepieniem ciemnej katedry, gwałtownym ruchem wyjął z uszu słuchawki od iPod'a i wcisnął przycisk stopu. Słuchanie w tym miejscu „Houses of the Holy” nie było tak odjazdowe, jak sądził. We wnętrzu tak ogromnym i pełnym cieni poczuł się głupio, a nawet trochę niepewnie, nie słysząc niczego oprócz muzyki. Już sobie wyobrażał nagłówek: „Uczeń z Kanady zaszytowany przez księdza nieznoszącego Led Zeppelin”.

Ta myśl nieco go rozbawiła. Umieści ją później w mejlu do kumpli w domu. Usiadł w ławce w połowie głównego przejścia, wyciągnął nogi i zerknął na broszurkę Melanie. Zdjęcie widniejące na okładce zrobiono z krążganków. Łuk na pierwszym planie, oświetlone słońcem drzewo, z tyłu dzwonnica na tle naprawdę błękitnego nieba. Ładne jak pocztówka. I zapewne to miejsce było na jakiejś pocztówce.

Ojciec Neda nigdy w życiu nie zrobiłby takiego zdjęcia. Nie tej katedry. Edward Marriner mówił o tym wczoraj, kiedy oglądali z tarasu pierwszy zachód słońca.

Ned otworzył broszurę. Na początku wydrukowano plan. Światło było słabe, ale Ned miał dobry wzrok. Z legendy na przeciwległej stronie dowiedział się, że katedrę wznosiło w kilkunastu etapach przez zbyt wiele stuleci zbyt wielu budowniczych, którzy nie zwracali uwagi na to, co zostało zrobione przed ich przybyciem. Chaos.

I o to chodzi, jak wyjaśnił ojciec. Fasada, do sfotografowania której się przygotowywali, była ściśnięta między ulicami i placami Aix. Stanowiła ich część, wpleciona w strukturę miasta, a nie odsunięta od niego, by można ją było podziwiać, jak większość katedr. Fronton był zbudowany w trzech stylach, z kamieni o tyluż kolorach, które nawet w przybliżeniu do siebie nie pasowały.

Ojciec Neda powiedział, że to mu się właśnie w tej katedrze podoba.

„Pamiętajcie, dlaczego robimy to zdjęcie”, przypomniał wszystkim, kiedy wysiedli z furgonetki i zaczęli wyładowywać sprzęt.

Idealne fasady katedr jak Notre Dame w Paryżu czy w Chartres, trzaskali wszyscy turyści, którzy je oglądali. Ta była inna i stanowiła wyzwanie – już choćby dlatego, że fotograf, chcąc zrobić zdjęcie, nie mógł się zbyt mocno cofać, by nie wpaść przez okno do sali wykładowej i nie zakłócić wykładu o wielowiekowej potędze Francji.

Greg parsknął na te słowa śmiechem. Pieprz się, pomyślał Ned i sięgnął po słuchawki.

To wtedy Melanie wyciągnęła broszurę ze swojej czarnej przepaścistej torby na ramię. Torba była niemal tak duża, jak Melanie. Stale żartowali, że można tam znaleźć połowę

wszystkich rzeczy, jakie zaginęły na świecie, a ona sama się domyśla, gdzie jest druga połowa.

Siedząc w katedrze, Ned znowu przyjrzał się planowi i uniósł głowę. Miejsce, w którym siedział, nazywało się nawą, a nie przejściem. Wiedziałem o tym, pomyślał, naśladowając w myślach sztuczny głos Kena Loweryego na lekcji fizyki.

Zorientował się, że nawa została ukończona w 1513 roku, lecz jej część tuż za nim była o czterysta lat starsza, a ołtarz „gotycki”, cokolwiek to znaczyło. Nieduża kaplica za ołtarzem została zbudowana mniej więcej w tym samym czasie, co nawa, w której siedział. Jeśli się spojrzało w lewo albo w prawo, daty plątały się jeszcze bardziej.

Wstał i przeszedł się kawałek. Właściwie znajdować się tu samemu było trochę nieprzyjemnie. Ned stąpał bezgłośnie w swoich nike'ach. Podszedł do bocznych drzwi z dwoma ciężkimi starymi zamkami z żelaza i jednym nowym z mosiądzu. Napis głosił, że prowadzą do krużganków, i podawał godziny zwiedzania. Czarne żelazne zamki niczemu już nie służyły, a nowy był zaryglowany. Jasne. Nie można się wydostać. To mógłby być odlotowy pomysł, posiedzieć w krużgankach i posłuchać muzyki. Dzięki Bogu, Ned nie miał w swoim iPodzie żadnej muzyki religijnej, ale U2 by się nadali.

Plan Melanie informował, że krużganki są naprawdę stare, z XII wieku. Podobnie jak boczna nawa, w której teraz stał. Natomiast zamykająca ją kaplica, najnowszy tutejszy obiekt, pochodziła z XVIII wieku. Wyglądało na to, że ktoś mógłby tu gdzieś umieścić restaurację Starbucks, a ona pasowałaby do reszty. Kaplica Św. Javy.

Podszedł do tej późnej kaplicy, znajdującej się obok schodów, prowadzących do ołtarza. Niewiele do oglądania. Kilka wypalonych do końca grubych białych świec. Tego ranka nikogo nie wpuszczano do środka – przed katedrą pracował Edward Marriner.

Ned przeszedł przed ołtarzem i wrócił drugą nawą. Plan głosił, że pochodzi z 1695 roku. Ned przystanął, by się zorientować, gdzie jest: to pewnie strona północna, krużganki są na południu, ojciec robi zdjęcia fasadzie zachodniej. Ustaliwszy to, Ned nie wiadomo dlaczego poczuł się lepiej.

To była krótsza nawa, w połowie kończyła się murem. Ned znów znalazł się w głównej części katedry. Patrzył na wysoko położony witraż. Usiadł w ławce przy ostatniej kaplicy od strony dzwonnicy. Broszura informowała, że kaplica została poświęcona św. Katarzynie i jest kaplicą uniwersytecką.

Wyobraził sobie studentów śpieszących tu do spowiedzi przed pięciuset laty, a potem biegnących z powrotem na drugą stronę ulicy na wykłady. W co się wtedy ubierali na zajęcia? Wetknął słuchawki do uszu i znalazł na wyświetlaczu Pearl Jam.

Znajdował się na południu Francji. Cóż, nie będzie fikał koziołków. Jego ojciec będzie robił zdjęcia jak szalony (sam tak powiedział) od dziś do połowy czerwca. Fotografie miały się ukazać w książce szumnie zapowiadanej na Boże Narodzenie. *Edward Marriner: krajobrazy Prowansji*, z tekstem Olivera Lee. Oliver Lee pochodził z Londynu, ale mieszkał tu od trzydziestu lat i napisał (wszystko to powiedziała Nedowi Melanie) sześć powieści, w tym kilka nagrodzonych. Gwiazda literatury angielskiej, gwiazda kanadyjskiej fotografii, gwiazda francuskiego krajobrazu. Duża książka.

Matka Neda przebywała w Sudanie.

Raporty znów mówiły o ciężkich walkach na północ od Darfuru. Ned pomyślał, że matka prawie na pewno tam jest; z zamkniętymi oczyma odchylił się na oparcie ławki, starając się zatopić w muzyce. W gniewnej muzyce. Grunge.

Skończył się Pearl Jam, następna w trybie przypadkowego wyboru była Alanis Morissette.

Umówili się, że matka będzie tu do nich dzwonić co drugi wieczór. Wed pomyślał z goryczą, że to na pewno jej zagwarantuje bezpieczeństwo.

Lekarze Bez Granic mieli być szanowani i uznawani wszędzie na świecie, ale od jakiegoś czasu nie zawsze się tak działo. Świat się zmienił, świadczyły o tym miejsca takie jak Irak, a w tej chwili w Sudanie naprawdę nie było najbezpieczniej na Ziemi.

Znów wyjął słuchawki z uszu. Jak na dziewczynę z Doliny Ottawy, której zdecydowanie się powiodło, Alanis okropnie narzekała.

– Chorał gregoriański? – zapytał go ktoś.

Ned szarpnął się w bok, szybko odwracając głowę.

– Co, u...?

– Przepraszam! Przestraszyłeś się?

– Tak, do diabła! – warknął. – A jak myślisz? Wstał. Zobaczył, że to dziewczyna.

Przez chwilę miała przepraszającą minę, a potem się uśmiechnęła i złożyła przed sobą rękę.

– Czegóż możesz się bać w tym świętym miejscu, moje dziecko? Jakież grzechy ciążą ci na sercu?

– Coś wymyślę – odparł.

Roześmiała się.

Wyglądała mniej więcej na jego równolatkę; miała na sobie czarną bawełnianą bluzkę z krótkim rękawem, niebieskie džinsy, martensy, a na ramieniu niewielki zielony plecak. Była

wysoka, szczupła, piegowata i mówiła z amerykańskim akcentem. Jasnokasztanowe włosy spadały jej na ramiona.

– Morderstwo? Napisał o tym sztukę T.S. Eliot – oznajmiła.

Ned się skrzywił. Błę. Jedna z tych.

– Wiem, *Morderstwo w katedrze*. Mamy to przerabiać w przyszłym roku.

Znów się uśmiechnęła.

– Mam świra na tym punkcie. Co mogę jeszcze powiedzieć? Czyż to nie jest zdumiewające?

– Myślisz? Moim zdaniem panuje tu bałagan.

– Ale to jest właśnie super! Można przejść dwadzieścia kroków i przemierzyć pięćset lat.

Widziałeś baptysterium? Ta katedra ocieka historią.

Ned wyciągnął przed siebie otwartą dłoń i spojrzał w górę, jakby szukał spadających kropli.

– Masz świra, tak?

– Nie możesz się ze mnie nabijać, skoro sama się do tego przyznałam. Tania zagrywka.

W zasadzie była ładna. Przywodziła Nedowi na myśl chudą tancerkę. Wzruszył ramionami.

– Co to jest baptysterium?

– To okrągłe, przy wejściu.

– Chwileczkę. – Coś mu przyszło do głowy. – Jak tu weszłaś? Katedra została zamknięta na dwie godziny.

– Widziałam. Ktoś robi zdjęcia na zewnątrz. Pewnie do jakiegoś folderu.

– Nie. – Zawahał się. – Zdjęcia robi mój tata. Do książki.

– Naprawdę? Jak się nazywa?

– Nie znasz go. Edward Marriner.

Naprawdę opadła jej szczęka. Neda ogarnęła znajoma mieszanina zadowolenia i skrepowania.

– Żartujesz sobie ze mnie? – zapytała bez tchu. – *Góry i bogowie?*. Znam tę książkę. Mamy ją w domu.

– No tak, fajnie. I co ja z tego będę miał?

Spojrzała na niego z nagłą nieśmiałością. Ned nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Zwykle się tak nie zachowywał. W taki sposób mówili do dziewczyn Ken i Barry, ale on raczej nie. Odchrząknął.

– Wykład o baptysterium – odparła. – Jeśli go zniesiesz. Mam na imię Kate. Nie Katie, nie Kathy.

Skinął głową.

– Ned. Nie Seymour, nie Abdul.

Po krótkim wahaniu znów się roześmiała.

– Dobra, w porządku, należało mi się. Ale nie znoszę zdrobnień.

– Kate to zdrobnienie.

– Tak, ale ja je wybrałam. To różnica.

– Chyba tak. Nie odpowiedziałaś... jak się dostałaś do środka?

– Bocznymi drzwiami. – Machnęła ręką w ich stronę. – Nikt nie pilnuje placu z tamtej strony. Przez krużganki. Widziałeś je już?

Ned zamrugął.

Później nigdy nie mógł jednak powiedzieć, że ogarnęło go jakieś przecucie. Był tylko nieco zdezorientowany i tyle.

– Drzwi prowadzące do krużganków są zaryglowane. Byłem tam piętnaście minut temu.

– Nie. Są otwarte. Te dalsze, prowadzące na ulicę, i te prowadzące tutaj. Właśnie przez nie przeszłam. Chodź, zobacz. Krużganki są naprawdę ładne.

I wtedy się zaczęło, bo nie dotarli do krużganków. Na razie. Przecinając nawę, usłyszeli jakiś dźwięk – zgrzyt metalu o metal. Uderzenie, ostre szurnięcie, jeszcze jedno uderzenie.

– Co, u diabła? – mruknął Ned, przystając.

Nie był pewien dlaczego, ale ściszył głos. Kate zrobiła to samo.

– To w baptysterium – szepnęła. – Tam. – Pokazała ręką. – Pewnie jeden z księży. A może sprzątaczką?

Kolejne szurnięcie.

– Nie sądzę – rzekł Ned Marriner.

Pod każdym względem rozsądniej by było nie zwracać uwagi na ten hałas, obejrzeć ładne krużganki, a potem wyjść na poranne ulice Aix. Kupić gdzieś z tą dziewczyną imieniem Kate croissanta i colę.

Ale przecież jego matka była w Sudanie, po raz kolejny poleciała w odległe, szaleńczo niebezpieczne miejsce. Neda cechowała wrodzona odwaga – oraz coś jeszcze, choć na razie o tym nie wiedział.

Podszedł cicho do baptysterium i spojrzął w dół, ześlizgując się wzrokiem po trzech stopniach, które prowadziły do okrągłego, jasnego pomieszczenia. Uświadomił sobie, że

minął je, kiedy wchodził do katedry. Ujrzał osiem wysokich kolumn, tworzących mniejszy krąg, i wysoko położoną kopułę, przez którą wpadało mnóstwo światła.

– To najstarsza część katedry – szepnęła Kate. – Dużo starsza od innych fragmentów, mniej więcej z pięćsetnego roku.

Właśnie miał zapytać, skąd ona zna tyle idiotycznych faktów, kiedy spostrzegł, że krata zamykająca otwór w kamiennej posadzce jest odsunięta.

A potem zobaczył wyłaniającą się z otworu głowę i ramiona mężczyzny. Ned uświadomił sobie, że nie jest to, nie może być, ksiądz ani sprzątac, ani nikt związany z katedrą.

Mężczyzna był odwrócony do nich plecami. Ned uniósł rękę i pokazał go Kate. Dziewczyna westchnęła. A potem tkwiący nieruchomo w zagłębieniu mężczyzna się poruszył.

Z poczuciem nierzeczywistości, jakby to była gra wideo, do której niechcący wszedł, a nie prawdziwe życie, Ned zobaczył, jak mężczyzna sięga pod skórzaną kurtkę i wyciąga nóż. Księża nie noszą skór ani też nie noszą przy sobie noży.

Mężczyzna położył go obok siebie na kamiennej posadzce – skierowany czubkiem w ich stronę.

Nadal się nie odwracał. Nie widzieli jego twarzy. Ned dojrzał długie – bardzo długie – palce. Mężczyzna był łysy albo ogolił sobie głowę. Nie dało się określić jego wieku.

Panowało milczenie; nikt się nie poruszył. To byłoby dobre miejsce do zapisania stanu gry, pomyślał Ned. A potem do rozpoczęcia jej od nowa, gdyby moja postać zginęła.

– Nie ma go tu – odezwał się cicho mężczyzna. – Byłem pewien... ale on znów się ze mną bawi. Lubi to.

Ned Marriner nigdy nie słyszał w niczym głosie takiego tonu. Przepchnął go chłodem, choć chłopak stał w cieniu. Patrzył na miękkie światło zalewające baptysterium.

Mężczyzna mówił po francusku. Po dziewięciu latach lekcji integracyjnych w Montrealu Ned mówił po francusku bardzo dobrze. Pomyślał o Kate, a potem uświadomił sobie, że też zrozumiała, ponieważ ze swobodą zadała pytanie w tym samym języku. To było absurdalne, zważywszy na leżący na kamiennej posadzce nóż.

– Kogo nie ma? Niżej jest tylko rzymska ulica, prawda? Tak jest napisane na ścianie.

Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi, jakby powiedziała coś absolutnie nieistotnego. Ned miał wrażenie, że mężczyzna jest drobnej budowy ciała, chociaż trudno było cokolwiek stwierdzić, nie znając głębokości otworu w posadzce. Nadal się nie odwracał, by na nich

spojrzeć. Wyraźnie nadeszła pora ucieczki. To nie była gra komputerowa. Mimo to Ned się nie poruszył.

– Odejdźcie – rzekł mężczyzna, jakby wyczuwając jego myśli. – Już zabijałem dzieci. Nie chcę tego robić teraz. Odejdźcie i usiądźcie sobie gdzie indziej. Zaraz się stąd wyniosę.

Dzieci? Oni nie są dziećmi.

– Widzieliśmy pana – stwierdził głupio Ned. – Moglibyśmy powiedzieć innym...

– Co takiego powiecie? – W jego oschłym tonie zabrzmiała nuta rozbawienia. – Że ktoś uniósł kratę i patrzył na rzymskie płyty? *Hélas!* Zajmą się tą sprawą żandarmi z całej Francji.

Być może Ned wychował się w rodzinie pod pewnymi względami zbyt błyskotliwej.

– Nie – odparł. – Moglibyśmy powiedzieć, że ktoś nam groził nożem.

Mężczyzna się odwrócił.

Miał szczupłą, gładko ogoloną twarz, ciemne, mocno zarysowane brwi, długi, prosty nos i wąskie usta. Brak włosów na głowie uwydatniał kości policzkowe. Ned dojrzał na jednym policzku bliznę, niknącą za uchem.

Mężczyzna patrzył przez chwilę na nich, stojących u szczytu trzech schodków. Oczy miał tak głęboko osadzone, że nie dało się określić ich barwy.

– Owszem, kilku żandarmów mogłoby się tym zainteresować – rzekł i pokręcił głową. – Ale ja się stąd wynoszę. Nie widzę powodów, by was zabijać. Położę kratę na miejsce. Nic nie zostało uszkodzone. Odejdźcie.

I kiedy wciąż tam stali, bardziej wstrząśnięci niż ogarnięci jakimkolwiek innym uczuciem, wziął nóż do ręki i go schował. Ned przełknął ślinę.

– Chodź! – szepnęła dziewczyna i pociągnęła go za rękę. Odwrócił się, by pójść za nią, a potem się obejrzał.

– Chciał pan coś tam na dole ukraść? – zapytał.

W gruncie rzeczy jego matka odwróciłaby się i zapytała o to samo, powodowana czystym uporem, niechęcią do zostania odprawioną, chociaż tego akurat Ned nie wiedział.

Mężczyzna w baptysterium znów podniósł na niego wzrok i po chwili powiedział cicho:

– Nie. Nie o to chodziło. Sądziłem, że przybyłem... wystarczająco wcześnie. Myliłem się. Myślę, że świat się skończy, zanim zdążę odnaleźć tego człowieka. Albo spadnie niebo, jakby to określił.

Ned pokręcił głową, jak pies, kiedy się otrząsa po deszczu. Te słowa były tak bezsensowne, że nawet nie wydawały się zabawne. Kate znów go pociągnęła za rękę, tym razem mocniej.

Odwrócił się i odszedł za nią z powrotem w pobliże kaplicy św. Katarzyny.

Usiedli na tej samej ławce. Oboje milczeli. W budzącej echa, pustej przestrzeni mrocznej katedry usłyszeli uderzenie i szuranie, i znów uderzenie. A potem zapadła cisza. Pewnie mężczyzna wychodził.

Ned zerknął na iPoda, którego miał przy pasku spodni. W tej chwili wydawał mu się najdziwniejszym przedmiotem, jaki można było sobie wyobrazić. Niewielki prostokąt dający muzykę. Każdy rodzaj muzyki, jakiego się zapragnęło. Setki godzin muzyki. Dzięki małym białym kuleczkom można umieścić ją sobie w uszach i odciąć się od dźwięków świata.

„Świat się skończy, zanim zdążę odnaleźć tego człowieka”.

Spojrzał na dziewczynę. Przygryzała dolną wargę, patrząc przed siebie. Ned odchrząknął. Ten dźwięk wydał mu się bardzo głośny.

– Cóż, jeśli Kate to zdrobnienie od Katarzyny – rzekł z ożywieniem – jesteśmy we właściwym miejscu. Możesz się pomodlić.

– Co, u...?

Spojrzała na niego.

Pokazał jej kaplicę na planie. Kiepski żart.

– Nie jestem katoliczką – rzekła. Wzruszył ramionami.

– Wątpię, by to miało znaczenie.

– Co... co twoim zdaniem on robił?

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, sprawiała wrażenie dość pewnej siebie i stanowczej. Teraz to wrażenie przysło. Wyglądała na przerażoną, co miało sens.

Ned zaklął. Nie przeklinał tak często, jak niektórzy jego kumple, ale wydawało się, że ta szczególna chwila rządzi się swoimi prawami.

– Nie mam bladego pojęcia. Co tam jest?

– Chyba tylko kraty, przez które można zajrzeć na dół i zobaczyć starą rzymską ulicę. W tej informacji na ścianie piszą też coś o grobie z szóstego wieku. Ale tego... – Przerwała.

Ned patrzył na nią.

– Co?

Kate westchnęła.

– To znów zabrzmiał świrowato, ale ja po prostu lubię te rzeczy, dobra? Nie śmieję się ze mnie.

– Wcale mi nie do śmiechu.

– Dawno temu nie chowano ludzi w obrębie miejskich murów – kontynuowała. – To było zakazane. Dlatego w Rzymie, Paryżu, Arles i w innych miastach katakumby i cmentarze znajdują się na zewnątrz murów. Zmarłych chowano za miastem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Cóż, tamta informacja mówi o znajdującym się tu grobie z szóstego wieku. Trochę w bok od tego miejsca, gdzie... był ten człowiek. No więc jak tu mógł zostać ktoś pochowany? W tamtych czasach?

– Przy użyciu łopat? – podsunął odruchowo Ned. Nie uśmiechnęła się.

– Myślisz, że ten gość to rabuś grobów? – zapytał.

– Nic nie myślę. Naprawdę. Powiedział, że nim nie jest. Ale powiedział też... – Pokręciła głową. – Możemy iść?

– Nie frontowym wejściem – odparł Ned – bo moglibyśmy wejść w kadr i tata zabiłby najpierw siebie, a potem mnie. Kiedy pracuje, reaguje bardzo emocjonalnie.

– Możemy wyjść tędy, którą przyszedłam, przez krużganki.

– Dobrze – Neda olśniło. – Mogę się założyć, że on też wszedł tamtędy! Po tym, jak zobaczyłem, że drzwi są zaryglowane, a przedtem, jak ty zastałaś oboje otwartych.

– Myślisz, że też przez nie wyszedł?

– Jasne. – Zawahał się. – Pokaż mi to baptysterium.

– Oszalałeś?

– On już sobie poszedł, Kate.

– Ale po co...? Ned spojrzał na nią.

– Lekcja historii? Obiecałaś.

– Dlaczego chcesz się bawisz w młodocianego detektywa? Nie miał na to naprawdę dobrej odpowiedzi.

– Bo to jest trochę... niesamowite. Próbuję zrozumieć.

– On powiedział, że już zabijał dzieci, Ned. Pokręcił głową.

– Nie sądzę... że to znaczy to, co myślimy, że znaczy.

– To brzmi jak zdanie z kiepskiego filmu.

– Może. Ale chodź.

– Teraz rozlegnie się upiorna muzyka?

– Chodź, Kate.

Wstał. Dziewczyna poszła za nim.

Mogła wyjść sama, pomyślał później Ned, siedząc wieczorem na tarasie willi. Tego pierwszego ranka wcale się nie znali. Mogła wyjść tą drogą, którą przyszła, żegnając się z nim albo i nie, wedle uznania.

Zeszli po trzech stopniach do baptysterium i stanęli nad kratą, obok wewnętrznego kręgu kolumn. Po mroku panującym w katedrze światło wydawało im się piękne; wpadało do środka przez okna w kopule wznoszącej się nad płytką studnią pośrodku.

Ned ukląkł i zajrzał przez kratę. Jeśli to miał być punkt widokowy, to niezbyt dobrze pełnił swoją rolę. Na dole było za ciemno, by dało się dojrzeć, dokąd może prowadzić otwór.

– Tu trochę piszą na temat tego grobu – powiedziała Kate.

Stała przy zachodniej ścianie przed informacją turystyczną – oprawioną w drewniane ramki, zalaminowaną, zapisaną na maszynie kartką. Ned podszedł do dziewczyny. Zasadniczo była to kolejna legenda do tej części wnętrza katedry. Kate pokazała literę na planie, a potem przypisany do niej tekst. Tak, jak powiedziała, najwyraźniej został tu ktoś pochowany, „mieszkaniec Aix”, w szóstym wieku.

– Spójrz na to – rzekła.

Pokazywała na niszę po lewej stronie. Ned zobaczył naprawdę stare malowidło ściennie przedstawiające byka albo krowę, a pod nim niemal zatarty fragment mozaiki. Udało mu się dostrzec niedużego ptaszka, część jakiegoś o wiele większego dzieła. Reszta się nie zachowała.

– To jest jeszcze starsze – oznajmiła Kate.

– Co tutaj wcześniej było? Tu, w tym miejscu?

– Forum. Centrum miasta. Rzymskie miasto zostało założone ponad sto lat przed naszą erą przez gościa imieniem Sextius, kiedy Rzymianie zaczęli odbierać Prowansję Celtom. Nazwał je od swego imienia Aquae Sextiae. „Aquae” z powodu wód. Do niedawna znajdowały się tu gorące źródła. Dlatego jest tutaj tak dużo fontann. Widziałeś je?

– Dopiero co przyjechaliśmy. Katedra została zbudowana na forum?

– Aha. Na ścianie masz szkic. Tam, gdzie teraz pracuje twój tata, znajdowało się coś w rodzaju głównego skrzyżowania rzymskiego miasta. Dlatego... dlatego wciąż nie rozumiem, jakim cudem kogoś tu wtedy pochowano.

– Cóż, to się odbyło po kilkuset latach, nie? Piszą tu, że w szóstym wieku?

Kate popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Jestem niemal pewna, że to wciąż było tabu.

– Wyguglaj to później. Albo ja to zrobię.

– Młodociany detektyw?

Te słowa zabrzmiały tak, jakby Kate się z nim droczyła, ale tak naprawdę nie miała na to ochoty. Ned ją rozumiał.

Znów pokręcił głową. Nadal nie był pewien, co robi ani dlaczego. Spojrzał na wyblakłego byka na ścianie. Z całą pewnością nie wyglądał jak jakiegokolwiek dzieło sztuki sakralnej, które znał. To miejsce było naprawdę stare. Ned zadrżał. I może właśnie dlatego, że się bał, szybko się cofnął, ukląkł przy kracie, chwycił ją oburącz i pociągnął.

Była cięższa, niż sądził. Udało mu się ją nieco przesunąć, przy akompaniamencie zgrzytu, który słyszeli już wcześniej. Ned spostrzegł, że mężczyzna wyłamał coś w rodzaju zapadki czy skobla. Wystarczyłoby unieść kratę i ją przesunąć, ale...

– Pomóż mi, to cholerstwo jest ciężkie!

– Zwariowałeś?

– Nie... i jeśli tego nie zrobisz, zmiżdży mi palce...

Podeszła do uniesionej kraty i ukląkłszy obok Neda, pomogła mu ją przesunąć. Ukazał się otwór wystarczająco duży, by mógł się w nim zmieścić drobny mężczyzna albo nastolatek.

– Nie zejdziesz tam – rzekła Kate. – A ja nie zostanę tu, by patrzeć...

– Zostawiam ci w spadku mojego iPod'a – odparł Ned, podając jej urządzenie.

A potem, zanim zdążył się nad tym zastanowić i naprawdę się przestraszyć, zwiesił nogi nad krawędzią otworu, odwrócił się twarzą do ściany i opuścił na dół. W tej chwili zaczął myśleć o węzach, skorpionach czy szczurach pomykających w ciemnej, starożytnej przestrzeni poniżej. Uznał, że „zwariowałeś” to nie takie niewłaściwe słowo.

Dotknął stopami podłoża i puścił się krawędzi. Kiedy spojrzał w dół, nie widział nawet swoich butów.

– Pewnie nie masz przypadkiem...?

– Proszę – powiedziała w tej samej chwili Kate i podała mu małą czerwoną latarkę z metalu. – Noszę ją w plecaku. Na nocne spaceru.

– Jesteś nieoceniona. Przypomnij mi – powiedział Ned – żebyś mnie przedstawił komuś imieniem Melanie.

Włączył latarkę.

– Zadasz sobie trud wyjaśnienia mi, po co to robisz? – zapytała Kate.

– Wyjaśniłbym, gdybym sam wiedział – odparł zgodnie z prawdą.

Powiódł promieniem światła po ciemnoszarych kamieniach, którymi wyłożono przestrzeń wokół niego. Ukląkł. Płyty były wilgotne, zimne, naprawdę duże, jakby wyznaczały drogę – Kate mówiła, że biegnie tędy ulica.

Z prawej strony, pod kratą, znajdowała się ściana stanowiąca fundament. Na wprost latarka oświetlała studnię, która teraz oczywiście była wyschnięta. Ned ujrzał wygładzone stopnie. Promień światła natrafił na wystającą zardzewiałą rurę oplataną pajęczynami.

Żadnych węży, żadnych szczurów. Na razie.

Po lewej stronie dostrzegł korytarz.

Właściwie się tego spodziewał. Tam znajdowała się główna część katedry, miejsce, gdzie według informacji umieszczonej na ścianie miał być grób. Ned odetchnął głęboko.

– Pamiętaj, iPod należy do ciebie – powiedział. – Nie kasuj Led Zeppelinów ani Coldplay.

Musiał się nisko pochylić. Nie zaszedł daleko, może dwadzieścia kroków. Korytarz kończył się ścianą. Ned pomyślał, że pewnie dotarł pod pierwszą nawę. Sufit był naprawdę nisko sklepiony.

Promień latarki zatańczył na szorstkiej, wilgotnej powierzchni przed nim. Chłopak nie dostrzegł tu nic, co choćby w przybliżeniu przypominało grób. Wyglądało na to, że znajdowały się tutaj tylko te dwa korytarze: prowadzący od kraty do studni i ten.

– Gdzie jesteś?! – zawołała Kate.

– Wszystko w porządku. Korytarz się urywa. Nic tu nie ma. Tak jak mówił. Może ten cały otwór zrobiono po to, żeby można było zejść i naprawić rury. Kanalizację. Ale tutaj jest więcej rur, a po drugiej stronie studni następne kraty.

– Zejdę popatrzeć! – zawołała. – Czy to znaczy, że nie dostanę iPoda?

Ned się roześmiał.

Kiedy się odwrócił, by wrócić na górę, jasny wąski promień światła latarki Kate tańczący wzdłuż korytarza padł na niszę wyciętą w kamiennej ścianie i Ned zobaczył, co w niej spoczywa.

ROZDZIAŁ 2

Nie dotknął tego. Nie był ani tak odważny, ani głupi. Zjeżyły mu się włoski na karku.

– Jeszcze jedna krata! – zawołała wesoło z góry Kate. – Chyba miałeś rację. Może kiedy zakryli rzymską ulicę, potrzebowali...

– Znalazłem coś! – oznajmił.

Głos miał zduszony, nienaturalny. Promień latarki zadrżał. Ned usiłował trzymać ją spokojnie, lecz światło padło na coś jeszcze i teraz patrzył na to. Jeszcze jedna nisza. Najpierw pomyślał, że znajduje się w niej taki sam przedmiot, ale potem uświadomił sobie, że się myli. Nie całkiem taki sam.

– Znalazłeś? Jak to?! – zawołała Kate.

Nedowi wydawało się, że jej głos, dobiegający z miejsca położonego nieco wyżej i odległego tylko o parę kroków, dochodzi z bardzo daleka, ze świata, który opuścił, kiedy tu zszedł. Nie mógł odpowiedzieć. Właściwie oniemiał. Patrzył, wodząc chwiejnie latarką od jednego przedmiotu do drugiego.

Pierwszy, starannie umieszczony na glinianej podstawie w zagłębieniu w kształcie jajka, był ludzką czaszką.

Ned był pewien, że nie pochodzi ona z żadnego tutejszego grobowca; była zbyt wyeksponowana, w sposób zbyt oczywisty umieszczona tak, by ją oglądać. To nie był żaden pochówek. Podstawa bardzo przypominała te, na których jego matka ustawiała na kominku czy też na półkach po obu jego stronach przedmioty przywożone z podróży, jakieś wyroby ze Sri Lanki albo Ruandy.

Ta czaszka została tu umieszczona po to, by ją znaleźć, a nie odłożona na mroczny, wieczny spoczynek.

Drugi przedmiot jeszcze to podkreślał. W bardzo podobnej niszy, obok tej pierwszej, osadzona na identycznej glinianej podstawie, znajdowała się rzeźba ludzkiej głowy.

Była wygładzona, jakby jej rysy zatarły się ze starości. Jedyna ostra linia znajdowała się u podstawy, jakby głowa została brutalnie odcięta od szyi. Była przerażająca, przemawiać do Neda czy też sygnalizując mu coś poprzez wieki. Tak naprawdę nie chciał zrozumieć tego przesłania. Pod pewnymi względami rzeźba przerażała go nawet bardziej niż kości. Widywał

już czaszki, a nawet żartował z nich, na przykład w pracowni przyrodniczej: „Biedny Yorick! Ależ okropne imię!”.

Ale nigdy w życiu nie widział takiej rzeźby. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by tu zejść, wydrążyć niszę, ustawić rzeźbę na podstawie obok prawdziwej czaszki w prowadzącym donikąd podziemnym korytarzu. A to oznaczało... właśnie, co?

– Co znalazłeś?! – zawołała Kate. – Nie strasz mnie, Ned.

Wciąż nie potrafił jej odpowiedzieć. Miał zbyt sucho w ustach, nie wydobywały się z nich słowa. Zmusił się do przyjrzenia się rzeźbie w świetle latarki i zobaczył, że głowa na czubku jest gładka, jakby wygolona. Na kamiennej twarzy widniała rysa – jakby blizna – biegnąca wzdłuż policzka za ucho.

Ned wy dostał się stamtąd najszybciej, jak się dało.

W porannym świetle siedzieli na drewnianej ławce w krużgankach. Ned czuł, że musi odpocząć.

Przed nimi rośło niewielkie drzewko, to z okładki broszury. Mały, cichy ogród mienił się kolorami wiosennych kwiatów. Usiedli tuż obok drzwi prowadzących do katedry. Nie było wiatru. Ogród okazał się spokojnym miejscem.

Dłonie, w których Ned trzymał czerwoną latarkę Kate, wciąż mu drżały.

Uświadomił sobie, że chyba zostawił w baptysterium broszurę Melanie. Zostali tam tylko tyle czasu, ile go potrzebowali, by zamknąć kratę. Ned nie chciał zrobić nawet tego, lecz coś mu mówiło, że trzeba zakryć to, co leży poniżej.

– Opowiedz – poprosiła Kate.

Znów zagryzała wargę. Najwyraźniej miała taki zwyczaj. Ned nabrał tchu i spojrzawszy na swoje dłonie, a potem na oświetlone słońcem drzewko, opowiedział o czaszce i rzeźbionej głowie. Oraz o bliźnie.

– O Boże – powiedziała Kate. Ned oparł się o szorstki mur.

– Co zrobimy? – zapytała Kate. – Powiemy... archeologom? Pokręcił głową.

– To nie jest starożytne znalezisko. Zastanów się. – Jak to? Powiedziałeś...

– Powiedziałem, że wygląda na starą, ale te przedmioty nie znajdują się tam długo. To niemożliwe. Ludzie musieli schodzić na dół dziesiątki razy, Kate. Więcej. To właśnie robią archeolodzy. Schodzili, żeby oglądać te... rzymskie płyty uliczne, szukać grobu, badać studnię.

– Chrzcielnicę – odparła. – To jest chrzcielnica. Nie studnia.

– Niech ci będzie. Rzecz w tym, że ten gość i ja nie byliśmy pierwszymi ludźmi tam na dole. Gdyby te przedmioty znajdowały się tam od dawna, inni by je widzieli, pisali o nich i... coś z nimi zrobili. Stałyby już w muzeum. Opisano by je. Znalazłyby się w tej notatce dla turystów na ścianie, Kate.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jestem niemal pewien, że ktoś je tam umieścił zupełnie niedawno. – Zawahał się. – I wydrążył dla nich te nisze.

– O Boże – powtórzyła.

Spojrzała na niego. W świetle dostrzegł, że ma piwne oczy. Jej nos i policzki były obsypane piegami.

– Myślisz, że po to, żeby... zobaczyć je nasz gość?

Nasz gość. Ned nie uśmiechnął się, chociaż kiedyś w innych okolicznościach by to zrobił. Z zadowoleniem stwierdził, że ręce przestały mu się trząść.

– Ta głowa to na pewno była jego podobizna – odparł. – Łysa i z blizną. Tak, znalazła się tam dla niego.

– Dobra. A kto ją tam umiejscowił? To znaczy: umieścił? Tym razem jednak lekko się uśmiechnął.

– Jesteś beznadziejna.

– Myślę na głos, młodociany detektywie. Masz swoją odznakę z pudełka z płatkami?

– Zostawiłem w domu.

– Tak, to też zostawiłeś.

Wyjęła z plecaka jego broszurę. Wziął ją od niej.

– Naprawdę musisz poznać Melanie – powtórzył.

Spojrzał na przewodnik. Zdjęcie na okładce zostało zrobione o tej samej porze roku; kwiaty na drzewku były identyczne. Pokazał je Kate.

– Ładne – orzekła. – To judaszowiec. Kto to jest Melanie?

Oczywiście, że wiedziała, co to za drzewo.

– Asystentka mojego taty. Jest z nią troje ludzi, ja i przyjedzie jeszcze ktoś z wydawnictwa.

– A co ty robisz? Wzruszył ramionami.

– Pałętam się. Wpełzam do tuneli. – Rozejrzał się. – Coś tu jest?

– Świeże powietrze. Niedobrze mi się robiło w środku.

– Mnie tam na dole też. Nie powinienem był tam wchodzić.

– Pewnie nie.

Przez chwilę milczeli, a potem odezwała się Kate, energicznym, udawanym tonem przewodniczki:

– Na kolumnach są przedstawione w większości sceny biblijne. Tam jest Dawid i Goliat.

Pokazała na prawo. Ned wstał i poszedł w tamtą stronę. Serce wciąż biło mu dość szybko, jakby przed chwilą skończył jogging.

Zobaczył połączoną parę kolumn, na których stała jeszcze jedna, ciężka, kwadratowa, która z kolei podpierała dach pasażu. Na tej kwadratowej zostały wyrzeźbione splecione ze sobą dwie postacie: gładkolicy mężczyzna nad o wiele większą głową i skręconym ciałem drugiego. Dawid i Goliat?

Ned obejrzał się na siedzącą na ławce Kate.

– Jezu, jak się tego domyśliłaś?

Wyszczrzyła w uśmiechu zęby.

– Nie domyśliłam się. Dalej, na ścianie wisi kolejna informacja. Przeczytałam ją, kiedy tu przyszedłam. Po drugiej stronie jest królowa Saby.

Machnęła ręką, w stronę przeciwległego pasażu.

Ned spojrzał na miejsce, które pokazywała, i ujrzał różę opartą o dwie okrągłe kolumny wspierające słup po drugiej stronie.

I właśnie wtedy zaczął się czuć naprawdę dziwnie.

Nie bał się (strach towarzyszył mu już od pewnego czasu) ani nie był podekscytowany; miał wrażenie, jakby coś się odblokowywało czy otwierało, zmieniało... tak naprawdę pod każdym względem.

Obszedł powoli ogród, zmierzając w cieniu krużganków do drugiej Kolumny i mijając po drodze drzwi prowadzące na ulicę, przez które dostała się tutaj Kate. Jeszcze przed chwilą wyszedłby przez nie razem z nią. Jeszcze przed chwilą ta historia by się dla nich skończyła.

Skręcił w przejście po drugiej stronie. Kate wciąż siedziała na drewnianej ławce, a zielony plecak leżał obok niej na kamiennych płytach. Ned spojrzał na kamienną kolumnę przed sobą i pojedynczą różę opartą między dwiema niższymi kolumnami. Spojrzał na rzeźbę.

To nie była królowa Saby.

Był tego tak pewien jak niczego innego w życiu. Cokolwiek głosiła wydrukowana kartka na ścianie, to nie była ta postać. Autorzy broszur i przewodników nie zawsze wszystko wiedzieli. Mogli udawać, ale nie wiedzieli wszystkiego.

Zdawał sobie sprawę, że Kate wstała i zbliżyła się do niego, ale nie mógł oderwać wzroku od kobiety przedstawionej na kolumnie. To była jedyna ze wszystkich smukłych, podwójnych kolumn, na których widniała cała stojąca postać. Serce znów biło mu mocno.

Ned zauważył, że rzeźba jest niemal całkowicie zatarta, że uległa erozji bardziej niż którakolwiek z innych, mniejszych rzeźb, które minął. Początkowo nie wiedział, dlaczego tak się stało. A potem, dzięki temu, co się w nim otwierało, wydało mu się, że wie.

Została w ten sposób wyrzeźbiona, ledwie zaznaczona w kamieniu; jej rysy były słabiej uwypuklone, miały zaniknąć, szczeznąć, jak coś utraconego od samego początku.

Ned zobaczył, że jest szczupła i w rzeczywistości była zapewne wysoka. Wciąż można było dostrzec eleganckie, starannie oddane szczegóły jej tuniki i sięgającego kostek płaszcza. Widział splecione włosy, spadające poniżej ramion, lecz jej nos i usta niemal zniknęły, a oczy były ledwie widoczne. Mimo to Ned miał poczucie – złudzenie? – uniesionej brwi, czegoś ironicznego w tym smukłym wdzięku.

Pokręcił głową. To była zerodowana rzeźba w mało znanych krużgankach. Powinna być całkowicie nijaka, jak coś, obok czego przechodzi się obojętnie.

Ned zaznał nagle poczucia czasu, jego brzemienia. Stał w ogrodzie w XXI wieku i w pełni zdawał sobie sprawę, jak daleko poza nawet średniowieczną rzeźbę rozciągała się historia tej ziemi. Mężczyźni i kobiety żyli tu i umierali przez tysiące lat. Kontynuowali własne życie.

I może potem nie zawsze całkowicie znikali.

Nigdy przedtem nie przyszła mu do głowy taka myśl.

– Była piękna – powiedział. Właściwie wyszeptał.

– Cóż, Salomon tak uważał – odparła łagodnie Kate, podchodząc do Neda.

Chłopak pokręcił głową. Nie zrozumiała.

– Widziałaś różę? – zapytał.

– Jaką różę?

– Za nią.

Kate upuściła plecak i przechyliła się przez barierkę. – Tu nie ma... nie ma żadnych różanych krzewów – powiedziała po chwili.

– Nie. Myślę, że to on ją przyniósł. Postawił ją tu, zanim wszedł do środka.

– On? Nasz gość? Chcesz powiedzieć...?

Ned kiwnął głową.

– I wciąż tu jest.

– Co?

Z owego faktu zdał sobie sprawę dopiero teraz, ta myśl pojawiała się w miarę, jak wypowiadał ostatnie zdanie. Myślał, sięgał w głąb siebie, usiłował się skupić. I wtedy coś zrozumiał.

Teraz sam budził w sobie lęk, lecz w umyśle coś widział – obecność światła czy też koloru, jakąś aurę. Ned odchrząknął. Można uciec od takiej chwili, zamknąć oczy, powiedzieć sobie, że nie jest rzeczywista.

Albo można powiedzieć na głos, tak wyraźnie, jak tylko się da, podnosząc głos:

– Powiedziałeś, że odchodzisz. Dlaczego wciąż jesteś tam na górze?

Nie widział nikogo, lecz to nie miało znaczenia. Sytuacja się zmieniła. Później oceni, że wszystko się zaczęło wtedy, gdy przeszedł przez krużganki i spojrzał na niemal zatarte rysy twarzy kobiety wyrzeźbionej w kamieniu przed setkami lat.

Kate krzyknęła cicho i szybko schowała się za Neda.

Zapanowała cisza, którą po chwili przerwał dźwięk klaksonu z pobliskiej ulicy. Gdyby Ned nie był tak pewien swego, mógłby pomyśleć, że doświadczenie z podziemi całkowicie go rozstroiło, sprawiając, że mówi i robi dziwaczne rzeczy.

Wtedy usłyszeli czyjś głos:

– Teraz wyznam, że jestem zaskoczony.

Słowa rozległy się na spadzistym dachu nad nimi i nieco z prawej, tam gdzie widniały górne okna katedry. Nie widzieli mężczyzny, ale to nie miało znaczenia. Słyszeli ten sam głos.

Kate jęknęła, ale nie uciekała.

– Uwierz mi – rzekł Ned, usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie – ja jestem zaskoczony bardziej.

– Gwarantuję, że biję was obu na głowę – odezwała się Kate. – Proszę, nie zabijaj nas.

Ned poczuł się dziwnie, gdy zdał sobie sprawę, że stoi obok kogoś, kto naprawdę i na poważnie mówi „nie zabijaj nas”. Życie nie przygotowało go na coś takiego. Głos dobiegający z dachu był poważny.

– Powiedziałem, że tego nie zrobię.

– Powiedziałeś też, że robiłeś to już przedtem – odparła Kate.

– Robiłem. – Po chwili mężczyzna dodał: – Popełnilibyście błąd, sądząc, że jestem dobrym człowiekiem.

Ned będzie to pamiętał. Właściwie będzie pamiętał prawie wszystko.

– Wiesz, że twoja twarz jest w tamtym korytarzu?

– Zszedłeś tam? Odważny jesteś. – Chwila milczenia. – Tak, oczywiście, że tam jest.

„Oczywiście”? Głos był cichy, wyraźny, odmierzony. Ned uświadomił sobie – jego umysł nie przetworzył tego przedtem właściwie – że odezwał się po angielsku i że mężczyzna odpowiedział w tym samym języku.

– Domyślam się, że ta czaszka obok nie jest twoja. To naprawdę zły żart.

– Ktoś mógłby pragnąć, by tak było.

Ned poradził sobie z tym, a przynajmniej próbował. A potem przyszło mu coś do głowy, w ten sam niewyjaśniony sposób co przedtem.

– A kim był pierwowzór? – zapytał.

Patrzył na kobietę przedstawioną na kolumnie. Trudno mu było na nią nie patrzeć.

Nad nimi panowała cisza.

Ned wyczuł gniew, rosnący, a potem stłumiony. Potrafił teraz w myślach umiejscowić postać mężczyzny znajdującego się na dachu dokładnie w tym miejscu, gdzie był: widział go we własnej głowie, zabarwionego na srebrzysto.

– Chyba powinniście już iść – rzekł w końcu mężczyzna. – Wdepnęliście na skraj bardzo starej historii. To nie jest miejsce dla dzieci. Uwierzcie mi – powtórzył.

– Ja ci wierzę – rzekła Kate żarliwie. – Uwierz mi!

Ned Marriner poczuł gwałtowny przypływ gniewu. Był zaskoczony, jak wiele ma go ostatnio w sobie.

– Jasne – powiedział. – „Zmykajcie, dzieciaki”. A co mam zrobić z tym... uczuciem, które teraz mnie nawiedziło? Wiem, że to nie jest żadna cholerna królowa Saby, wiem, gdzie dokładnie na dachu jesteś.

Wszystko się strasznie poplątało. Co mam z tym zrobić?

Po kolejnej chwili milczenia na gorze znów rozległ się głos, tym razem łagodniejszy.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która ma świadomość takich spraw. Chyba musisz o tym wiedzieć? A co do tego, co masz robić... – Znów znajoma nuta rozbawienia. – Czyżbym został doradcą? Jakież to dziwne. Cóż jest do zrobienia w życiu? Dorośnij; większość ludzi nigdy nie dorasta.

Znajdź tyle radości, ile się da. Staraj się unikać ludzi z nożami. Nie jesteśmy... ta opowieść nie jest dla ciebie ważna.

Gniew Neda zniknął tak szybko, jak się rozpałił. To też było dziwne. W powietrzu wisiało jeszcze echo słów mężczyzny, kiedy usłyszał własny głos:

– Czy my moglibyśmy być ważni dla niej? Skoro najwyraźniej mam...

– Nie – spłynęła z góry zdecydowanie lekceważąca odpowiedź. – Jak przed chwilą sam powiedziałeś: zmykajcie. Tak będzie najlepiej, bez względu na to, co się stanie z twoją próżnością. Nie jestem już taki cierpliwy jak niegdyś.

– Doprawdy? Jak wtedy, gdy ją wyrzeźbiłeś? – zapytał Ned.

– Co?! – zawołała Kate.

W tej samej chwili w mózgu Neda nastąpiła eksplozja koloru, a nad nimi i z prawej strony – ruchu: w dół runął szybki, zamazany kłęb. Mężczyzna zrobił salto nad pochyłym dachem i wylądował w ogrodzie przed nimi. Twarz miał pobladłą z wściekłości. Ned pomyślał, że wygląda dokładnie tak jak ta wyrzeźbiona głowa pod ziemią.

– Skąd to wiesz? – warknął mężczyzna. – Co ci powiedział?

Tak jak się domyślał Ned, był średniego wzrostu. Nie był tak stary, jak sugerowała łysa głowa; mógłby nawet uchodzić za przystojnego, lecz był za szczupły, jakby rozciągnięty, co podkreślał brak włosów oraz ostre kości policzkowe i kreska ust. Szarobłękitne oczy też miały ostry wyraz. Ned zauważył, że mężczyzna zgina i rozprostowuje długie palce, jakby chciał chwycić kogoś za gardło. Kogoś. Ned wiedział kogo.

Ale, co było naprawdę, naprawdę dziwne, teraz się nie bał.

Mniej niż godzinę temu wszedł do pustego kościoła, by zabić czas, znudzony i podenerwowany, pełen obaw – ponad wszelką w pełni sprecyzowaną myśl – o matkę. Tylko to ostatnie było wciąż prawdziwe. Przed godziną świat był zupełnie inny.

– Powiedział mi? Nikt mi nic nie powiedział! – oznajmił Ned. – Nie wiem, skąd to wszystko wiem. Zapytałem cię o to, pamiętasz? Właśnie powiedziałeś, że nie jestem pierwszy.

– Ned – odezwała się Kate. Chrypiała, jakby jej głos wymagał naoliwienia. – Ta rzeźba powstała osiemset lat temu.

– Wiem – odparł.

Mężczyzna stojący przed nimi powiedział:

– Trochę dawniej.

Zobaczyli, że zamyka i otwiera oczy, patrząc zimno na Neda. Miał na sobie szarą skórzaną kurtkę i czarną koszulę.

– Znowu mnie zaskoczyłeś. To nie zdarza się często.

– Wierzę – odparł Ned.

– To nadal nie jest dla was. Nie macie pojęcia, co... nie macie do odegrania żadnej roli. Popełniłem tam błąd. Jeśli nie odejdziecie, będę musiał was opuścić. Jest we mnie zbyt wiele gniewu. Nie czuję się w pełni odpowiedzialny.

Ned trochę wiedział o tym rodzaju gniewu.

– Nie pozwolisz nam... niczego zrobić?

Drgnienie szerokich ust.

– Propozycja jest hojna, lecz gdybyście wiedzieli nawet odrobinę, zdalibyście sobie sprawę, jak jest to pozbawione znaczenia.

Odwrócił się, smukły, niepokojąco zwinny.

– Ostatnie pytanie? – Ned uniósł rękę, jakby siedział w klasie.

Postać się zatrzymała, lecz nie odwróciła do nich. Widzieli mężczyznę tak, jak za pierwszym razem, od tyłu, teraz jednak oświetlało go kwietniowe słońce w ogrodzie.

– Dlaczego teraz? – zapytał Ned. – Dlaczego tutaj?

Znów słyszeli dochodzący z zewnątrz uliczny gwar. Aix było ruchliwym, nowoczesnym miastem, a oni znajdowali się w centrum.

Mężczyzna milczał. Ned miał wrażenie, że mu zaraz odpowie, lecz on po chwili pokręcił głową. Przeciął krużganki, wszedł między dwie kolumny i przestąpiwszy niską barierkę, wrócił do pasażu przy drzwiach prowadzących na ulicę i na świat.

– Zaczekaj! – Tym razem odezwała się Kate.

Mężczyzna znów się zatrzymał, wciąż odwrócony do nich plecami. Nedowi wydawało się, że sprawił to głos dziewczyny. Miał wrażenie, że mężczyzna nie zatrzymałby się drugi raz na jego żądanie.

– Masz jakieś imię?! – zawołała z nutą smutku w głosie Kate.

Na te słowa jednak się odwrócił.

Spojrzał na Kate nad dzielącą ich jasną przestrzenią. Był za daleko od nich, by widzieli wyraz jego twarzy.

– Jeszcze nie – odparł.

Odwrócił się i wyszedł, otwierając ciężkie drzwi, a potem zamykając za sobą.

Stali w tej zamkniętej przestrzeni, na tak wiele sposobów oddzielonej od świata, i przez krótką chwilę patrzyli na siebie.

Ned, ogarnięty emocjami, których ani trochę nie rozumiał, postąpił kilka kroków. Czuł się tak, jakby chciał biec przez wiele mil, pod górę i z góry, aż cały ociekałby potem.

Z tego miejsca znów widział różę spoczywającą między dwiema kolumnami, za rzeźbą. Ludzie mówili, że to królowa Saby. Informacja o tym wisiała tam, na ścianie. Skąd on wiedział, że ludzie się mylą? To idiotyczne.

Narożna kolumna tuż przed nim była o wiele większa od tych obok niej – wszystkie cztery narożne kolumny takie były. Bez większego zaskoczenia zdał sobie sprawę, że na jej

szczyt widnieje wyrzeźbiony byk. Różnił się on stylem od Dawida i Goliata, nie mówiąc już o kobiecie.

A zatem dwa byki, jeden w baptysterium, sprzed tysiąca pięciuset lat, i ten, wyrzeźbiony – jeśli Ned dobrze zrozumiał – kilkaset lat później. Wpatrywał się w niego niemal z gniewem.

– Co te cholerne byki mają wspólnego z czymkolwiek? – zapytał. Kate odchrząknęła.

– Nowy Testament. Symbol Świętego Łukasza.

Ned wpatrywał się w stworzenie na szczycie kolumny przed sobą.

– Wątpię – odrzekł w końcu. – Nie ten. Ani ten stary w środku.

– Nie rozumiem.

Obejrzał się, dostrzegł napięcie na jej twarzy i domyślił się, że zapewne on wygląda bardzo podobnie. Może jednak są dzieciakami? Ktoś wymierzył w nich nóż. A i tak było to najmniej ważne z tego wszystkiego.

Popatrzył na wyrzeźbioną kobietę obok Kate i znów poczuł mocne szarpnięcie w sercu. Błady kamień w porannym świetle, niemal całkowicie wygładzony. Ledwie co widać, jakby ta kobieta była rzeźbą samej pamięci. Albo tego, co czas robi z mężczyznami i kobietami, bez względu na to, jak bardzo są kochani.

Skąd wzięła się ta myśl? Pomyślał o matce. Pokręcił głową.

– Nie wiem co mówię. Wyjdźmy stąd.

– Chcesz się czegoś napić, detektywie?

Udało mu się uśmiechnąć.

– Cola będzie w sam raz.

Kate poprowadziła go obok wieży zegarowej i ratusza, do kawiarni odległej od katedry o kilka minut drogi.

Ned usiadł ze swoją colą i patrzył, jak dziewczyna sączy kawę z ekspresu, bez cukru (musiał przyznać, że mu tym zaimponowała). Dowiedział się, że Kate jest tu od początku marca na wymianie między jej szkołą w Nowym Jorku i jedną ze szkół w Aix. W zeszłym semestrze jej rodzina przyjęła do siebie francuską uczennicę, a teraz Kate mieszka u jej rodziny – do wakacji.

Nosiła nazwisko Wenger. Zamierzała studiować na uniwersytecie języki albo historię, albo i jedno, i drugie. Chciała uczyć albo może studiować prawo. Albo i jedno, i drugie. Chodziła na lekcje tańca jazzowego (domyślał się czegoś takiego), na Manhattanie co drugi

albo trzeci dzień biegała trzy mile (Ned tego nie robił) i była w tym niezła. Bardzo jej się podobało Aix, ale nie lubiła Marie-Chantal, dziewczyny, z którą mieszkała. Marie-Chantal potajemnie paliła w ich wspólnej sypialni, lubiła chodzić na imprezy i prosiła Kate, by ją kryła, kiedy zostawała do późna u swego chłopaka albo uciekała z lekcji, żeby się z nim spotkać.

– Kłamanie w jej sprawach jest do kitu – oznajmiła. – Ona tak na prawdę nawet nie jest moją przyjaciółką.

– Ale chyba niezła z niej laska. Masz jej numer?

Kate się skrzywiła.

– Nie mówisz ani trochę poważnie.

– A dlaczego nie?

– Bo się zakochałeś w rzeźbie w krużgankach. Dlatego.

To nieco zbyt gwałtownie przybliżyło ich do tematu, którego usiłowali unikać.

Ned nic nie powiedział. Sącył colę i się rozglądał. Z długiej, wąskiej kawiarni wystawiono na ulicę dwa stoliki, ale oba były zajęte, usiedli więc w środku, blisko drzwi. Poranny ruch był spory – samochody, motorowery, ludzie depczący średniowieczne kocie łby.

– Przepraszam – powiedziała po chwili Kate Wenger. – To zabrzmiało dziwacznie.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co sądzić o tej rzeźbie. Ani o tym, co się wydarzyło.

Znów przygryzała wargę.

– Dlaczego on... ten facet... dlaczego on tam zaglądał? Po co? Mogło mu chodzić o chrzcielnicę, o wodę?

Ned pokręcił głową.

– Nie sądzę. Czaszka i rzeźbiona głowa są umieszczone po przeciwnej stronie, w korytarzu. – Przyszło mu coś do głowy. – Kate... gdyby ktoś został tam pochowany, toby go zamurowali, tak? Nie zostawiliby trumny stojącej luzem.

– Jasne. – Kiwnęła głową.

– Więc może myślał, że ktoś właśnie rozbił mur? Kate odchyliła się na oparcie krzesła.

– Boże, Ned, czy to, no... tego... historia o wampirach?

– Nie wiem co to za historia. Chyba nie.

– Ale powiedziałaś, że to on wyrzeźbił tę kolumnę w krużgankach. Przecież wiesz, jaka ona jest stara?

– Posłuchaj, zapomnij, co tam mówiłem. Byłem trochę wytrącony z równowagi.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie byłeś. Kiedy zeskoczył z dachu, myślałam, że chce cię zabić. A potem powiedział, kiedy powstała rzeźba.

– Zaraz zapytasz, skąd wiedziałem. – Westchnął.

– Owszem, przeszło mi to przez myśl – powiedziała bez uśmiechu.

– Mogę się założyć, że Marie-Chantal nie zavracałaby mi tym głowy.

– W ogóle nie wiedziałyby, co jest grane, i tylko sprawdzała kredkę do oczu i czy nie przyszedł jakiś SMS. Czy ja ci zavracam głowę?

– Nie. Czy ona naprawdę dostaje SMS-y na kredkę do oczu? Kate się nie uśmiechnęła.

– Coś się jednak tam z tobą stało.

– Tak. Teraz już jest w porządku. Od kiedy on wyszedł, czuję się normalnie. – Spróbował się roześmiać. – Chcesz się trochę zabawić?

Zignorowała jego pytanie, bo na to zasługiwało. – Myślisz, że to już koniec? Że to tylko miało coś wspólnego z... nie wiem.

Skinał głową.

– Właśnie. To miało coś wspólnego z „nie wiem”.

Pozwalał sobie na żarty, ponieważ, chociaż naprawdę dobrze się czuł, siedząc tak z dziewczyną z Nowego Jorku i pijąc colę, która smakowała dokładnie tak jak powinna, nie miał pewności, że to, co się wydarzyło, znalazło swój koniec.

W gruncie rzeczy, będąc uczciwym wobec siebie, miał w zasadzie pewność, że nie znalazło. Nie zamierzał jednak tego mówić.

Spojrzał na zegarek.

– Chyba powinienem się zameldować przed lunchem. – Zawahał się.

To była delikatna sprawa, ale znajdował się daleko od domu i kumpli, którzy mogliby mu dokuczać. – Masz telefon? Możemy być w kontakcie?

Uśmiechnęła się.

– Jeśli obiecujesz zero uwag na temat mojej współlokatorki.

– Marie-Chantal? Mojej nemezis? To wyklucza umowę.

Skrzywiła się, ale wydarła kartkę z notesu na spirali, który wyjęła z plecaka, i zapisała na niej numer telefonu rodziców Marie-Chantal i swojej komórki.

Ned wyjął z portfela kartkę, na której Melanie starannie zapisała drukowanymi literami (na zielono) adres Willi, szyfr do bramy, telefon domowy, swojej komórki, komórkę ojca Neda, numery do kanadyjskiego konsulatu i dwóch korporacji taksówkowych. U dołu narysowała uśmiechniętą buźkę.

Kiedy zeszłego wieczoru dawała mu tę kartkę, Ned zauważył, że nie podała szerokości i długości geograficznej.

Odczytał na głos numer do willi. Kate go zapisała.

– Masz jutro szkołę?

Kiwnęła głową.

– Zerwałam się dzisiaj, jutro już nie mogę. Mam zajęcia do piątej.

Spotkamy się potem tutaj? Znajdziesz tę kawiarnię?

Kiwnął głową.

– Z łatwością. Kawałek ulicą od czaszki w podziemnym korytarzu.

Tym razem się roześmiała, po sekundzie.

Zapłacili za napoje i pożegnali się na zewnątrz. Ned patrzył za nią, jak szła ulicą, a potem się odwrócił i ruszył w drugą stronę, drogą wytyczoną przed dwoma tysiącami lat.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Ned wrócił przed katedrę, ekipa kończyła poranne zdjęcia. Pomógł Steve'owi i Gregowi załadować furgonetkę. Zostawili ją na placu katedralnym, zaparkowaną pod zakazem, ale z widocznym za przednią szybą pozwoleniem od policji, i poszli na lunch do odległej o dziesięć minut spacerem pizzerii z otwartym piecem.

Pizza była dobra, a ojciec Neda rozdrażniony. To się zdarzało podczas zdjęć, szczególnie na początku, ale Ned widział, że tata tak naprawdę nie jest niezadowolony z przebiegu tego poranka. Nigdy nie przyznałby się do tego, ale to było widać.

Edward Marriner upił łyk piwa i spojrzął na Neda siedzącego po drugiej stronie stolika.

– W środku jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Nawet kiedy Ned był mały, ilekroć towarzyszył robieniu zdjęć, ojciec pytał go o zdanie. Wtedy sprawiało mu przyjemność, że ktoś się go radzi. Czuł się ważny, uważał się za członka zespołu. Ostatnio stało się to denerwujące, jakby go rozpieszczano. W gruncie rzeczy uświadomił sobie, że „ostatnio” ciągnęło się aż do tego ranka.

Coś się zmieniło.

– Nie, chyba niewiele – powiedział. – Dość ciemno, trudno znaleźć odpowiedni kąt. Jak mówiłeś, to mieszanina stylów. Powinieneś jednak obejrzeć baptysterium, po prawej stronie od wejścia. Jest tam światło i to miejsce jest naprawdę stare. O wiele starsze od reszty. – Zawahał się. – Krużganki były otwarte, tam też zająłem.

– Ważne krużganki są w Arles – odezwała się Melanie, osuszając ostrożnie serwetką usta.

Ned pomyślał, że jak na kogoś z zielonym pasemkiem w czarnych włosach jest cholernie schludna.

– Niech ci będzie. Ale te też wyglądały nieźle – powiedział. – Mógłbyś zrobić ładne zdjęcie ogrodu, albo obejrzeć niektóre kolumny. – Znów się zawahał. – Jest Dawid i Goliat, inne sceny z Biblii. Święci w czterech narożnikach. Jedna rzeźba przedstawia królową Saby. Ma dość zatarte rysy, ale rzuć na nią okiem.

Ojciec Neda pogładził wąsy. Edward Marriner był znany z tych staromodnych, podkreślonych do góry wąsów. Stanowiły jego znak rozpoznawczy; miał go na wizytówkach,

a swoje prace podpisywał dwoma skierowanymi do góry łukami. Czasami ludzie dokuczali mu z powodu tych wąsów, ale on wtedy po prostu mówił, że jego żonie się podobają i koniec.

– Jutro obejrzę i jedno, i drugie – powiedział teraz, patrząc na syna. – Mamy jeszcze zezwolenie na dwie godziny, więc wykorzystam je na wnętrza, o ile Greg orzeknie, że po montażu dzisiejsze zdjęcia cyfrowe są w porządku i nie musimy ich powtarzać. Będzie mi potrzebne oświetlenie?

– W środku? Na pewno – odparł Ned. – Może generator, nie mam pojęcia, jak jest doprowadzony prąd. Zależnie od tego, co zechcesz robić w krużgankach, tam też może będziesz potrzebował oświetlenia i ekranów.

– Melanie mówiła, że w katedrze odbywają się koncerty – wtrącił Greg. – Na pewno jest podłączony prąd.

– Baptysterium znajduje się z boku.

– Przynieś generator, Greg, nie leń się – powiedział z uśmiechem Edward Marriner.

Brodaty Greg wykrzywił się do Neda. Steve tylko się uśmiechnął. Melanie wydawała się zadowolona, zapewne z tego, że Ned sprawia wrażenie zaangażowanego, a ona traktowała zapewnienie mu zajęcia jako część swojej pracy.

Ned nie wiedział, dlaczego posyła ekipę do katedry. Może jutrzejsza sesja zdjęciowa, sama ustalona procedura – wykrzykiwane polecenia, bałagan, torby na filmy i przewody, światła, obiektywy i ekrany – odebrałaby dzisiejszym wydarzeniom nieco dziwności. Może mogłaby sprowadzić katedrę do teraźniejszości... z miejsca, w którym się znalazła tego ranka.

Przyszło mu także na myśl, że chciałby mieć zdjęcie tej kobiety z kolumny. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego, ale wiedział, że chce je mieć.

Po lunchu ojciec zamierzał się przejść po mieście z dwoma aparatami i czarno-białym filmem, żeby obejrzeć niektóre fontanny i drzwi, które wynotował sobie Barrett, redaktor odpowiedzialny za graficzną stronę książki, kiedy był w miasteczku na rekonesansie. Najwyraźniej Oliver Lee napisał coś o fontannach Aix i gorących źródłach odkrytych przez Rzymian. Dopiero co mówiła Nedowi o nich Kate Wenger. Ta dziewczyna niemal zmuszała człowieka do nazywania jej świrem.

Robiąc zdjęcia do książki, ojciec Neda musiał utrzymać równowagę między obiektami, które chciał sfotografować, a zdjęciami pasującymi do tekstu Lee. To zadanie należało częściowo do Barretta Reinhardta. Skompilowanie pracy dwóch ważnych ludzi w jedno duże dzieło. Chyba wpadł na pomysł, żeby mniejsze czarno-białe zdjęcia umieścić w tekście napisanym przez Lee, a na kolorowe zdjęcia Marrinera przeznaczyć po całej stronie lub rozkładówki.

Ned nie miał ochoty oglądać fontann. Wiedział, co powinien zrobić. Greg wracał do willi, żeby zrzucić na dysk poranne zdjęcia cyfrowe i obejrzeć je na monitorze. Miał też potwierdzić telefonicznie ustalenia co do sesji zdjęciowej pojutrze w odległym o godzinę drogi Arles.

Melanie podała Gregowi szczegółowe instrukcje, wypisane jak zwykle zielonym kolorem. Ned dojrzał na dole kartki uśmiechniętą buźkę. Ucieszył się, że Melanie robi to nie tylko jemu.

Wrócił z Gregiem furgonetką, przebrał się w spraną szarą bawełnianą koszulkę i szorty; do parcianego paska przypiął butelkę z wodą, krokomierz oraz iPoda. Miał tutaj napisać kilka wypracowań i wypełnić dziennik biegania dla trenera. Tak naprawdę i jedno, i drugie było pracą domową Neda.

Wolał bieganie.

Zeszłego wieczoru Melanie powiedziała mu, że jeśli pobiegnie wąską drogą prowadzącą do ich willi, na skrzyżowaniu skręci w prawo zamiast w lewo do miasta i będzie biegł dalej pod górę, trafi w końcu na wiejskie tereny, gdzie ludzie jeżdżą na rowerach i biegają. Powiedziała, że jest tam podobno jakaś stara wieża, którą można obejrzeć.

Zirykowało go, jak zwykle, że Melanie jest taka zorganizowana, że planuje dla niego trasy treningowe, ale nie miał lepszego pomysłu, dokąd pójść, a nie istniał żaden rozsądny powód, by nie wypróbować tej drogi.

Początkowo wąska szosa prowadziła stromo w dół obok innych willi, a potem wznosiła się stopniowo, wijąc się wzdłuż grzbietów okolicznych wzgórz. Spadki i wzniesienia były oczywiście korzystne. Ned biegał w drużynie przełajowej i potrzebował takich utrudnień.

Zanim dotarł do szlabanu zamykającego drogę, już zaczął myśleć, że źle skręcił. Po drugiej stronie znalazł szlak. Strzałki umieszczone na drewnianym słupie wskazywały w jedną stronę drogę do wsi Vauvenargues, a w drugą do wieży, o której wspomniała Melanie. Ktoś przejechał na rowerze górskim w stronę Vauvenargues; Ned ruszył w przeciwnym kierunku.

Wieża nie była daleko. Wyglądało na to, że szlak prowadzi dalej w dół i wokół niej do północnych obrzeży Aix. Ned nie chciał przerywać biegu, nikt tego nie robił, lecz widok rozciągający się z tego miejsca był wręcz odłotowy, podobnie jak okrągła, zrujnowana wieża obserwacyjna. Ned zastanawiał się, kiedy ją wybudowano.

Pomyślał, że ta cała okolica jest... zanurzona w przeszłości, w kolejnych jej warstwach. Dopadało to człowieka w taki czy inny sposób. Ned wyjął słuchawki z uszu i napił się wody.

Wieżę otaczał niski, wałący się płotek. Napis na tabliczce głosił, że przechodzenie przez płotek grozi niebezpieczeństwem i że niedługo zostanie postawione wyższe ogrodzenie; ale że w zasięgu wzroku nie było nikogo, Ned przeszedł przez płotek, a potem się schylił i wszedł do wieży przez nierówny otwór w kamieniach barwy miodu.

W środku panował mrok. Nigdzie nie było żadnych drzwi, tylko ten jeden wybity w ścianie otwór. Ned uniósł głowę. Wysoko nad sobą dostrzegł niebo, niewielki krąg błękitu obramowanego czernią. Zupełnie jakby się znajdował na dnie studni. Pomyślał, że są tam zapewne nietoperze. Kiedyś musiały tu być spiralne schody, lecz się nie zachowały. Zastanawiał się, przed czym strzegła ta wieża, czego wypatrywano z jej szczytu.

Poczuł, że jego ciało za bardzo się ochładza w cieniu, co nie było dobre – groziło naciągnięciem mięśni. Wyszedł z powrotem na słońce i spojrzał zmrużonymi oczyma w dół na miasto. W oddali, po drugiej stronie Aix, ciągnął się wyraźnie widoczny akwedukt. Po chwili Ned wyłowił wzrokiem katedralną dzwonnice, co przypomniało mu o wydarzeniach poranka. Wcale nie chciał o nich pamiętać.

Odwrócił się i ruszył biegiem z powrotem, ale przez ten postój, ochłonięcie i zmęczenie po podróży przez ocean stracił rytm. Minał szlaban i puścił się drogą w dół. Niestety, biegło mu się trudniej niż powinno. Musiał jednak przyznać Melanie, że to dobra trasa biegowa. Następnym razem będzie mógł skrócić przy drogowskazie w drugą stronę i biec dalej, pokonując swój właściwy dystans.

Kiedy znajdował się w połowie stromej drogi, prowadzącej do leżącej na szczycie willi Sans Souci, coś sobie uświadomił.

Zatrzymał się, wstrząśnięty.

„Dlaczego teraz?” – zapytał wtedy w katedrze, a mężczyzna w szarej skórzanej kurtce nie odpowiedział.

A może Ned znał odpowiedź? Możliwe, że istotny mógł się okazać fakt, że jego babka opowiadała mu pewne stare historie.

Ned przeszedł w zamyśleniu ostatni odcinek prowadzącej pod górę drogi i wystukał na panelu przy bramie kod. Przez jakiś czas chodził po tarasie, żeby się rozciągnąć. Pomyślał, czyby nie wskoczyć do basenu, ale nie było aż tak ciepło; poszedł więc na górę, wziął prysznic, a ubranie wrzucił do kosza na brudną bieliznę. Willa została wynajęta wraz z dwiema kobietami do pomocy. Obie miały na imię Vera, co stanowiło dla ekipy pewne wyzwanie. Greg ochrzcił je imionami Verakuchnia i Verapralnia.

Ned włożył dzinsy, zszedł do kuchni i wyjął z lodówki colę. Przy kuchence stała Verakuchnia, odziana na czarno, z siwymi włosami ściągniętymi w ciasny kok. Upiekła wcześniej twarde ciasteczka. Kiedy Ned poczęstował się jednym, uśmiechnęła się.

Greg siedział przy komputerze w jadalni i rozmawiał przez komórkę, więc telefon stacjonarny był wolny. Ned wrócił na górę i w sypialni ojca wybrał numer komórki, który dostał od Kate Wenger.

– Bonjour?

– O, cześć, szukam Marie-Chantal.

– Pieprz się, Ned. – Mimo to roześmiała się. – Już za mną tęsknisz? Jakie to słodkie.

Kiedy się zaczerwienił, poczuł ulgę, że Kate tego nie widzi.

– Właśnie wróciłem z przebieżki. I po drodze chyba coś sobie uświadomiłem.

– Że naprawdę za mną tęsknisz? Pochlebia mi to.

Pomyślał, że przez telefon jest zadziorna. Zastanawiał się, jaka jest na czacie. W sieci wszyscy się rozluźniają.

– Nie, posłuchaj. W czwartek wypada trzydziesty kwiecień. A potem pierwszy maja, święto wiosny.

Kate milczała. Zastanawiał się, czy będzie musiał to wyjaśnić, ale po chwili usłyszał jej głos.

– Rany, Ned. Beltaine? To poważna sprawa. Duchy i dusze, jak w Halloween. Skąd to wiesz? Jesteś jakimś utajonym świrem?

– Rodzina mojej matki pochodzi z Walii. Babcia mi trochę o tym opowiadała. Czasami pierwszego maja robiliśmy sobie piknik.

– Chcesz się wybrać na piknik?

– Jeśli przyprowadzisz Marie-Chantal. – Zawahał się. – Kate, w którym wieku Celtowie byli w tych okolicach? Czy w ogóle tu byli?

– Owszem. Mogę się dowiedzieć kiedy.

– Ja chyba też.

– Nie, podnoszenie ciężarów zostaw mnie, Koniku Polny. Biegaj i podskakuj. Widzimy się jutro po szkole?

– Widzimy.

Rozłączył się, uśmiechając się mimo woli. Pomyślał, że miło jest poznać dziewczynę w sytuacji, w której nie musi wyjaśniać kumplom jej istnienia ani tego, co łączy ich dwoje. Prywatność, ot, co. Tam w domu nie ma jej zbyt wiele.

Kolację zjedli w willi, o preferowanej przez Francuzów porze, czyli o ósmej. Melanie wyjaśniła z powagą, że dano im jasno do zrozumienia, że muszą tu jeść od czasu do czasu, bo inaczej Verakuchnia obrazi się i wpadnie w depresję („Veradepresja!” – powiedział Greg) i zacznie przypalać jedzenie i tak dalej.

Przed posiłkiem ojciec Neda wypił na tarasie drinka – wódkę z tonikiem – a reszta wskoczyła do basenu. Ned uznał, że drobniutka Melanie wygląda w kostiumie kąpielowym zupełnie dobrze. Robiła wielki problem z tego, że woda jest lodowato zimna (była), ale do niej weszła. Steve nieźle pływał i miał ku temu nieźle warunki – długie ręce i nogi. Metodycznie robił kolejne nawroty, ale tak naprawdę basen nie był wystarczająco duży, by się dobrze rozpędzić.

Kiedy Ned i ojciec obserwowali pływaków, przez drzwi prowadzące na taras wypadł nagle Greg, zbiegł po szerokich kamiennych stopniach, przemknął po trawie i rzucił się do wody w najbardziej workowatych i znoszonych kąpielówkach, jakie Ned widział w życiu.

Edward Marriner zaproponował Gregowi natychmiastową premię, jeśli ten obieca przeznaczyć następną przerwę na kawę na kupienie sobie w mieście nowych kąpielówek, co zaoszczędzi im wszystkim ponownego widoku tych. Melanie zawołała, że gdyby Greg chciał oszczędzić pieniądze, może się kąpać na golasa. Ten, pokrzykując w rozbryzgach lodowatej wody, zagroził, że weźmie ją za słowo.

– Nie ośmieliłbyś się – stwierdziła.

– A dlaczegóż by nie?

Melanie wybuchnęła śmiechem.

– W zimnej wodzie wszystko się kurczy. Męska duma. Koniec pieśni.

– Coś w tym jest – rzekł po chwili Greg.

Steve, który przestał robić nawroty, roześmiał się głośno. Ned spojrzał na ojca; wymienili się uśmiechami.

– Na razie w porządku? – zapytał go tata.

– W porządku. Chwila wahania.

– Jutro ma dzwonić mama.

– Wiem.

Popatrzyli na kąpiących się.

– Verakuchnia uzna, że postradali zmysły – stwierdził Edward Marriner.

– I tak w końcu by do tego doszła – rzekł Ned.

Nie kontynuowali tematu. Ostatnio niewiele rozmawiali. Ned podsłuchał kiedyś kilka razy, jak rodzice rozmawiali w nocy o „piętnastolatkach” i „huśtawce nastrojów”. Zaczął się wtedy zastanawiać, czyby na kilka tygodni nie stać się bezgranicznie kochającym dzieckiem, żeby im namieszać w głowach, ale uznał, że to wymagałoby od niego zbyt wiele wysiłku.

Co prawda Ned nie miał nic przeciwko swemu ojcu. Patrzenie, jak ludziom opadają szczęki, kiedy się dowiadawali, że jest synem Edwarda Marrinera, po pewnym czasie stało się nudne, ale tak naprawdę to nie była niczyja wina. *Góry i bogowie* był jednym z najlepiej sprzedających się albumów ostatniego dziesięciolecia, a *Przejścia*, chociaż mniej efektowne (ojciec Neda zwykł mawiać, że nie było tam Himalajów), zdobywały nagrody na całym świecie. Edward Marriner jako jeden z nielicznych robił zdjęcia i dla „Vanity Fair”, i dla „National Geographic”. Trzeba było przyznać, choćby tylko przed samym sobą, że to niezły odjazd.

– Zaczekajcie chwilę. Zapomniałam o czymś – powiedziała Melanie, kiedy dygocący pływacy wyszli z basenu.

– Co?! Ty? Zapomniałaś? – zdziwił się Steve. Jego jasne włosy sterczały we wszystkie strony. – To absolutnie niemożliwe!

Pokazała mu język i zniknęła w willi. Na swój pokój wybrała jedyną sypialnię na parterze. Wróciła owinięta ręcznikiem – drugi zamotała sobie teraz na głowie – niosąc torbę z napisem „France Telecom”; postawiła ją na stole przed Nedom.

– Na wszelki wypadek, gdyby kontrola naziemna musiała się skontaktować z majorem Tomem – rzekła.

Przyniosła mu komórkę. Ned uznał, że łatwo się złościć na drobniutką Melanie i jej nadludzką sprawność, ale też trudno jej nie doceniać.

– Dzięki. Naprawdę.

Melanie podała mu kolejną ze swoich karteczek z wypisanym na niej na zielono numerem nowego telefonu Neda, zakończonym uśmiechniętą buźką.

– Robi też zdjęcia. Otworzyłam pudełko – dodała, wyjmując z torby pudełko i telefon z klapką. – Zaprogramowałam ci wszystkie nasze numery.

Ned westchnął. Dodał w duchu, że zarazem łatwo jest się na nią zezłościć.

– Sam mógłbym to zrobić – powiedział łagodnym tonem. – W zeszłym roku udało mi się w szkole zdać programowanie komórek.

– Zrobiłam to w taksówce po drodze tutaj – powiedziała Melanie. – Mam szybkie palce. – Mrugnęła.

– Oho! – zawołał Greg, rechocząc.

– Zamilczcie, workowate kąpielówki – poradziła mu Melanie. – Chyba że chcesz mi powiedzieć, że w Arles wszystko już jest nagrane.

– Zagraj swoimi szybkimi palcami na moich kąpielówkach, to ci powiem.

Ojciec Neda pokręcił głową i upił łyk wódki z tonikiem.

– Przez was czuję się staro – oznajmił. – Przestańcie.

– Numer domowy masz pod jedyką, tatę pod dwójką, ja jestem pod trójką, Steven to czwórka, a Greg gwiazdka-funt-gwiazdka-865-gwiazdka-funt-7 – powiedziała słodkim tonem Melanie.

Ned musiał się roześmiać. Nawet Greg wybuchnął śmiechem. Melanie uśmiechnęła się tryumfalnie i wróciła do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Greg i Steve zostali na dworze z piwem, schnąc w łagodnych promieniach wieczornego słońca. Greg stwierdził, że na tarasie jest cieplej niż w basenie.

Ojciec Neda przypomniał im, że dopiero jest kwiecień. Francuzi zwykle zaczynają pływać w czerwcu. Do basenu przy willi napuszczono wodę tylko w geście uprzejmości wobec głupoty przyjezdnych.

Słońce powoli chowało się za domami miasta. Powietrze niemal lśniło; drzewa odcinały się ostro na tle nieba. Chwilę później spokój tego prowansalskiego zachodu słońca zniweczył zaskakujący dźwięk. Rozległ się powtórnie. Po krótkim odrętwieniu mózgu Ned go rozpoznał: była to dziecinna melodyjka z Disneylandu, „It’s A Small World”.

Cała czwórka rozejrzała się, a potem spojrzenia wszystkich skupiły się na nowym telefonie Neda, leżącym na stole. Chłopak ostrożnie podniósł komórkę, otworzył klapkę i przyłożył aparat do ucha.

– Zapomniałam o czymś – odezwała się Melanie, usiłując stłumić śmiech. – Zaprogramowałam ci też dzwonek. Staralam się znaleźć coś odpowiedniego.

– To oznacza wojnę – odpowiedział ponuro Ned. – Wiesz o tym, prawda?

– Och, Ned! – Zachichotała. – Myślałam, że ci się spodoba!

I rozłączyła się.

Ned odłożył telefon na szklany blat. Przez chwilę patrzył na krzaczki lawendy posadzone za cyprysami i basenem, a potem przeniósł wzrok na trzech mężczyzn wokół stołu. Wszyscy usiłowali zachować powagę. Kiedy na nich spojrzął, poddali się i wybuchnęli śmiechem.

NIE MÓGŁ SPACĆ.

To było do przewidzenia, pomyślał Ned, po raz dwudziesty ubijając poduszkę i po raz kolejny przewracając ją na drugą stronę. Na pewno częściowo przyczyną było zmęczenie przelotem nad oceanem – to była dopiero jego druga noc w Europie. Czas w stosunku do Montrealu był tu przesunięty do przodu o sześć godzin. Podobno przystosowanie się trwa tyle dni, ile godzin trzeba nadrobić. Chyba że się jest na przykład pilotem.

Ale tak naprawdę nie chodziło o różnicę w czasie i Ned o tym wiedział. Jeszcze raz sprawdził zegar przy łóżku: prawie trzecia rano. Środek nocy. Pomyślał, że trzydziestego kwietnia mogło to mieć jeszcze inne baczenie.

„Gdzie musiał pamiętać, żeby powiedzieć o tym Kate Wenger. Dziewczyna zrozumie żart. Oczywiście, jeśli Ned nie zaśnie na stojąco.

Wstał i podszedł do otwartego okna. Zajmował środkową sypialnię z trzech znajdujących się na piętrze. Ojciec zajmował główną, a Greg i Steve dzielili ostatnią.

Rozsunął zasłony. Jego okno znajdowało się nad tarasem i wychodziło na basen, krzaczki lawendy i kępę drzew rosnących na zboczu obok drogi. Gdyby się wychylił i spojrział w prawo, ujrzałby lśniąca w oddali światła Aix. Nad miastem wisiał bliski pełni pomarańczowoczerwony księżyc. Nad nim Ned dostrzegł trójkąt letni. Nawet w świetle księżycy gwiazdy były o wiele jaśniejsze niż w Westmount, w centrum Montrealu.

Zastanawiał się, jak w tej chwili wyglądają nad Darfurem. Tego wieczoru – albo jutro wieczorem, cokolwiek się mówi o trzeciej nad ranem – miała dzwonić mama.

„Świat się skończy, zanim zdążę odnaleźć tego człowieka”.

Nie chciał o tym myśleć, ale jak można panować nad myślami? Zwłaszcza o takiej porze, i kiedy jest się na wpół obudzonym. Umysł po prostu... błądzi. Nie myśleć o różowych słonkach ani o dziewczęcych piersiach, ani o tym, co się dzieje, kiedy ubrane w krótkie spódniczki zdejmują nogę z kolana. Czasami na lekcji matematyki wybiegał myślami na trasę przełajową albo myślał o muzyce czy jakimś filmie, albo o tym, co zeszłego wieczoru napisała do niego na czacie dziewczyna, której nie widział na oczy. Jeśli w ogóle była dziewczyną – w sieci to było stałe zmartwienie. Jego przyjaciel Doug wpadł w paranoję na tym punkcie.

W ciągu dnia myśli się o mnóstwie różnych spraw, minuta po minucie. Czasami późną nocą myśli się o czaszce i wyrzeźbionej głowie w podziemnym korytarzu.

Rzeczywiście, takie myśli mają mocno nasenne działanie. Podobnie jak rozpamiętywanie tego, co zaszło w nim rano.

Po kolejnej minucie, niezdecydowany, spróbował jeszcze raz wejść do tego miejsca w swoim wnętrzu, zlokalizować je – nie wiedział, jakie słowo jest odpowiednie. Do miejsca,

w którym w jakiś sposób wyczuł obecność tego szczupłego, bezimiennego mężczyzny na dachu. I w którym pojął coś jeszcze, o czym żadną miarą nie mógł wiedzieć: że ten mężczyzna, widziany tu i teraz, stworzył osiemsetletnią rzeźbę, na którą patrzyli z Kate.

Kate oczywiście miała rację: reakcja mężczyzny, który zeskoczył z dachu, błady z wściekłości, powiedziała im to, co chcieli wiedzieć.

Teraz jednak Ned nie czuł w sobie niczego, nie umiał odnaleźć tego czegoś. Nie wiedział, czy dzieje się tak dlatego, że było już po wszystkim – niesamowity przebłysk czegoś osobliwego w krążgankach – czy dlatego, że w tej chwili, kiedy patrzył nocą na ciemną trawę, wodę i cyprysy, nie pozostało nic do odnalezienia.

Nie bardzo miało sens stanie w szortach od piżamy i rozmyślanie nad tym. Ned postanowił zejść na dół po szklankę soku. Po drodze przyszedł mu do głowy pomysł. I to całkiem dobry pomysł. Kiedy nie można nic poradzić na dziwne, trudne sprawy, robi się to, co się da.

Przecież ostrzegł Melanie.

Niezmordowana asystentka jego ojca skleciła na kredensie w jadalni wielostanowiskowy punkt ładowania wszystkich telefonów komórkowych. Była nawet na tyle uczynna, by podpisać każde gniazdko. Zielonym atramentem.

To było niemal zbyt łatwe.

Przerzucając szybko opcje w każdym telefonie, Ned z uśmiechem zmienił dzwonek Grega na temat ze „SpongeBoba Kanciastoportego”; nie okazał litości Steve’owi, mimo że był on tylko niewinnym obserwatorem, ustawiając jego komórkę na odgrywanie piosenki Teletubisiów. Ojcu dał spokój.

Nie śpiesząc się, przejrzał kilka razy dzwonki w telefonie Melanie.

A potem, zadowolony z siebie i swego wkładu do sprawiedliwości na świecie, poszedł do kuchni po sok. Wyszedł z nim na taras, w noc, bez góry od piżamy. Zrobiło się zimno. Matka kazałaby mu włożyć koszulę albo szlafrok. Gdyby tu była.

Jeszcze raz spróbował znaleźć coś w swoim wnętrzu, poczuć się do czegoś dostrojonym. Nic. Rozejrzał się po okolicy i zobaczył tylko noc: basen, lasy i trawa na południu pod gwiazdami. Na zachodzie nisko stojący księżyc. Ned usłyszał gdzieś za sobą sowę. Wilę otaczały drzewa, między którymi było mnóstwo miejsca na gniazda i na łowy.

Tak się składa, że jest obserwowany.

W niewielkiej kępie drzew obok krzaczków lawendy stoi ktoś, kto już dawno się nauczył, jak pozostać niewykrytym w żaden sposób, jaki mógłby znać lub poznać przez sięganie w głąb siebie Ned Marriner.

Część dziedzictwa tego kogoś stanowią pewne umiejętności i wiedza.

Nabywanie innych umiejętności wymagało czasu i znacznego wysiłku. Miał czas, a trudności nigdy go nie peszyły.

Widział, jak chłopak pojawia się w otwartym oknie na górze, a potem, nieco później, patrzył, jak wychodzi na dwór, półnagi, bezbronny i samotny. Obserwatora to bawi, jak niemal wszystko, co się wydarzyło tego dnia, lecz nie myśli o zabiciu chłopaka.

Powstrzymuje się z powodu nadchodzącego dnia. Jeśli człowiek jest w trakcie kształtowania czegoś, na co z niecierpliwością czeka, nie poddaje się takim impulsom, chociaż mogłoby to być bardzo przyjemne. Obserwator jest impulsywny z natury, nie jest jednak głupcem. Żyje na to zbyt długo.

Uznał, że chłopak jest przypadkiem, błahostką, wypadkiem, nikim ważnym. A wywołanie teraz zamieszania, czy to wśród żywych, czy wśród duchów, tym bardziej że niektóre z nich już się zaczynają budzić, nie jest dobrym pomysłem. Obserwator zna się na duchach. Czekają na niego, zabawiając się najlepiej, jak potrafi.

Pozwala chłopcu wrócić do środka, żywemu i pozbawionemu znaczenia.

Jednakże wciąż odczuwa silne pragnienie zadania śmierci. Poznaje je, wie, dlaczego narasta. Kiedy się pojawia, trudno je zlekceważyć, nie zaspokoić. Przekonał się o tym z biegiem czasu i nie chce się przed nim bronić.

Ponownie zmienia postać – długo opanowywał tę umiejętność – i udaje się na łowy. Blask księżyca przez chwilę pada na jego skrzydła w locie, a potem ptak znika w lesie.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Ned z oczyma zaczerwienionymi z niewyspania zszedł rano do kuchni, pozostali już wyjechali do miasta. Druga sesja fotograficzna w katedrze. Z karteczki zostawionej przez Melanie dowiedział się, że wróca na lunch. Nie chciało mu się wkładać koszuli i Verapralnia, szykująca w przyległym pomieszczeniu pranie, najpierw się do niego uśmiechnęła, a potem ostentacyjnie odwróciła wzrok. Ned zapomniał, że w willi nie są sami. Napił się szybko soku pomarańczowego i wrócił na górę, żeby się ubrać.

A potem zadzwonił do Melanie.

Trzy sygnały.

– Tak?

Pomyślał, że jak na jedno słowo, ton jest naprawdę lodowaty. Robi wrażenie.

– Cześć! – powitał ją radośnie.

– Nedzie Marrinerze, masz poważne kłopoty – powiedziała cicho, lecz z naciskiem. – Nie masz pojęcia, jak poważne. Wąchasz kwiatki od spodu, spotykasz się ze Stwórcą, jesteś na łonie Abrahama.

Usłyszał, że Melanie walczy ze śmiechem.

– Kurczę! – powiedział. – Jestem jednak utalentowany.

– Utalentowany i martwy. Spisz z rybkami.

– Ależ, Melanie! – zaprotestował. – Myślałem, że ci się spodoba!

– „Marsz weselny”? „Marsz weselny” jako dzwonek? Jesteśmy w cholernej katedrze! Greg płacze ze śmiechu. Trzyma się kolumny, żeby nie upaść. On na nią sika! Och, będziesz cierpieć!

Ned odniósł sympatyczne wrażenie, że ona sama płacze ze śmiechu. To wszystko było bardzo zadowalające.

– Nie wątpię. Tymczasem może w wolnej chwili zechcesz zadzwonić do Steve’a i Grega?

– Naprawdę? – zapytała po chwili ściszym głosem. – Też ich dorwałeś?

– Też ich dorwałem. Do zobaczenia na lunchu.

Rozłączył się z szerokim uśmiechem.

Po namyśle postanowił przez jakiś czas chować przed nią swój nowy telefon. Niewiele mógł zrobić, gdyby postanowiła zwinąć mu prześcieradło, ale nie sądził, by spodobały jej się ślimaki w łóżku, a wspomnienie mimochodem o takiej możliwości mogłoby zapobiec odwetowi. Uznał, że z Gregiem i Stevem sobie poradzi. Prawdziwe wyzwanie stanowiła Melanie.

Przez cały ranek obijał się po domu, energicznie unikając myślenia o wypracowaniach, które powinien pisać. Przecież wciąż był zmęczony po podróży, prawda? Jak można pisać esej z angielskiego czy historii, jeśli się przebywa w innym wymiarze czasowym?

Mimo tego, co powiedziała Kate Wenger, spędził trochę czasu w sieci, gulgając *Celtowie + Prowansja*, i zrobił kilka notatek. Potem wyszedł na taras i słuchał muzyki, aż zobaczył furgonetkę, podjeżdżającą do bramy willi.

Zdjął iPoda i położył go na stole. Miał przecucie, co się szykuje. Wyprostował się w fotelu ogrodowym i radośnie do wszystkich pomachał. Ojciec odmachał mu z podjazdu. Melanie stanęła obok furgonetki, wzięła się pod boki i starała się zmiażdżyć Neda wzrokiem – co, jak pomyślał, jest trudne, kiedy ma się niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu.

Greg i Steve, dobrotliwie uśmiechnięci, razem weszli na taras. Wciąż się uśmiechając, chwycili Neda za ręce i nogi (obaj byli dość silni) i ruszyli w stronę basenu.

– Oszczędź mnie, SpongeBobie! – zawołał Ned.

Usłyszał śmiech Melanie i ojca, co go ucieszyło, lecz wtedy już szybował w powietrzu.

W basenie było zimno, naprawdę zimno. Ned wypłynął na powierzchnię, krztusząc się i chwytając powietrze. Wiedział co powiedzieć. Istnieją uświęcone czasem męskie sposoby reagowania na coś takiego.

– Ach, to bardzo orzeźwiający – stwierdził. – Bardzo wam dziękuję, chłopaki.

Podczas lunchu na tarasie Ned wspomniął o miejscowych ślimakach – że słyszał o ich paskudnym zwyczaju wpełzania do łóżek, szczególnie na wiosnę.

Co ciekawe, to Steve się zamyślił, usłyszawszy te słowa. Melanie udawała, że traktuje je jako wątpliwą dezinformację. Trudno było ocenić, czy mówi szczerze.

Ojciec Neda, który był w zaskakująco łagodnym nastroju, stwierdził, że zrobił w baptysterium kilka zdjęć nadających się do ewentualnego wykorzystania; obiektyw kierował w stronę kopuły i użył ekranów. Sfotografował też kilka kolumn w krużgankach

i zygzakowaty wzór, który zauważył na posadzce. Ned go nie widział, ale nie miał oka ojca, a kiedy tam zawitał poprzedniego dnia, był nieco zdenerwowany.

– Naprawdę podobała mi się twoja królowa Saby – ciągnął ojciec. – Kolor jest wspaniały. Pod pewnymi kątami jak bursztyn. Później sprawdzimy, co wyszło. Ale chyba ją zatrzymam. Jeśli będzie trzeba, wrócę tam przed powrotem do domu, może też spróbuję pod koniec dnia. Dwie dobre decyzje, Ned.

Tego popołudnia był umówiony z Oliverem Lee w kawiarni; miało to być ich pierwsze spotkanie. W następnym tygodniu przylatywał z Nowego Jorku Barrett, redaktor graficzny, i też chciał się z nimi spotkać, ale obaj mężczyźni postanowili najpierw pomówić bez pośrednika.

– Może mi się spodoba, a może nie, ale w zasadzie to nie ma znaczenia. Nie musimy razem pracować.

– A wiesz, że on będzie tobą zachwycony? – rzekł z szerokim uśmiechem Ned.

Zimna woda ocuciła go dość skutecznie. Dawno zaginiony lek na zmęczenie podróży: lodowate baseny.

– Wszyscy są mną zachwyceni – odparł Edward Marriner. – Nawet mój syn.

– Twój syn – odezwała się ponurym tonem Melanie – jest straszną osobą.

– Naprawdę – zgodził się Greg, kręcąc głową.

Steve milczał, być może myśląc o ślimakach w łóżku. Ned uznał, że w pewnym momencie będzie musiał wykorzystać ten pomysł, a potem pogodzić się z konsekwencjami.

Okazało się, że pozostała trójka zamierza wysadzić jego ojca w mieście, a potem pojechać na wschód w stronę Mont Sainte-Victoire, którą Paul Cezanne zdaje się malował dziesiątki razy. Malarz tu się urodził i tu umarł. Był główną znakomitością Aix i rozświetlił tę górę.

Ned pamiętał, jak podczas lotu ojciec narzekał na Cezanne'a, przeglądając notatki Barretta Reinhardta – że niemal niemożliwe jest zrobić zdjęcie Mont Sainte-Victoire, które nie byłoby banalne albo nie stanowiło sentymentalnego hołdu złożonego malarzowi. Nie pałał chęcią sfotografowania tej góry, ale Barrett powiedział, że po prostu nie można przygotowywać w Prowansji albumu ze zdjęciami i nie zrobić zdjęcia tego szczytu. Zwłaszcza jeśli się jest Edwardem Marrinerem, znanym z górskich krajobrazów.

– Po prostu nie można – powtórzył ojciec w samolocie, naśladowując głos redaktora.

Popołudniowa przejażdżka miała być częściowo wycieczką za miasto, a częściowo posłużyć rekonesansowi w niektórych miejscach, zaznaczonych przez Barretta na lokalnych mapach jako godne sfotografowania. Ojciec Neda sam miał dokonać ostatecznego wyboru, ale jego ekipa umiała eliminować obiekty, które mu się nie spodobały.

– Jedziesz? – zapytał Neda Steve.

– Właściwie muszę być w mieście przed piątą. Mam spotkanie.

– Z kim? Jakiego? Jakim cudem? – zapytał Greg. – Dopiero co tu przyjechaliśmy!

Ned westchnął.

– Wczoraj rano poznałem dziewczynę. Umówiliśmy się na colę.

– Kurczę blade! – powiedziała z uśmiechem Melanie. Greg wytrzeszczył oczy.

– Randka? Już? Rany, ten chłopak to superfacet wśród facetów!

– Może nie tak szybko – odezwał się Edward Marriner. – I tak już czuję się staro.

– Odwieziemy cię z powrotem na czas – rzekła Melanie, spojrzawszy na zegarek. – Ale włóż sportowe buty, Ned, być może trzeba będzie trochę chodzić. Sandały ci się nie przydadzą.

– Dobrze, a zawiążesz mi sznurowadła? – zapytał Ned.

Melanie znów się uśmiechnęła. Był zadowolony ze zmiany tematu. Sprawa randki krępowała go.

Wysadzili ojca w Aix, a potem wjechali na obwodnicę i ruszyli krętą trasą za miasto. Melanie powiedziała, że Cezanne szukał miejsc do malowania chodząc po okolicy.

Piechotą do góry był spory kawałek drogi. Ned zastanowił się nad tym: w XIX wieku, w średniowieczu, w czasach rzymskich ludzie przemieszczali się z miejsca na miejsce piechotą albo jeździli na osłach czy coś takiego, a droga na pewno była trudniejsza. Wtedy wszystko leżało dalej, odbywało się wolniej.

A oto oni na początku XXI wieku pokonują te zakręty w klimatyzowanej furgonetce renault, pod górą znajdują się za jakieś dwadzieścia minut, a potem wrócą do centrum miasta tak, by zdążyć się spotkać z Kate Wenger.

Cezanne czy księża, którzy chodzili po wytartych płytach w krużgankach, czy też ci dawni średniowieczni studenci, którzy się modlili w katedrze, a potem szli przez plac na wykłady, wszyscy oni poruszali się przez świąty z inną prędkością niż ta – nawet jeśli spóźnieni studenci biegli na zajęcia. Ned nie wiedział, co to wszystko znaczy, ale coś znaczyło. Może napisze o tym w wypracowaniu? Kiedy już postanowi pomyśleć o swoich wypracowaniach.

Popołudniowe światło było bardzo ostre; wszyscy mieli okulary przeciwsłoneczne. Te, które włożyła Melanie, były ogromne i zasłaniały jej pół twarzy; jasne włosy Steve'a i jego małe okrągłe ciemne okulary sprawiały, że przypominał rosyjskiego rewolucjonistę. Greg wyglądał jak bramkarz w nocnym klubie.

Powodowany impulsem Ned zdjął swoje okulary. Uznał, że chce widzieć ten krajobraz tak, jak widzieli go ludzie dawno temu. Czuł się trochę głupio, ale tylko trochę. Pomyślał o wczorajszej okrągłej wieży górującej nad miastem, o ludziach pełniących tam niegdyś straż, patrzących w tę stronę.

Nie wiedział, czego wypatrywali, patrząc zmrużonymi oczyma we wschodzące słońce, ale najwyraźniej ktoś się obawiał nadejścia niebezpieczeństwa, bo inaczej nie wybudowano by tej wieży, prawda? Ned pomyślał, że był to świat bardziej niebezpieczny od dzisiejszego. Chyba że się przebywało w, powiedzmy, Sudanie.

Wyjrzał przez okno, usiłując zatrzymać myśli na mijanych widokach i nie pozwolić im odpłynąć przez Morze Śródziemne do Afryki. W zasapie to nie było aż tak daleko.

Siedząca obok niego w środkowym rzędzie foteli Melanie przechyliła się i szepnęła:

– Wiesz co, twojemu tacie naprawdę się spodobały te twoje dwa pomysły. Spędził dużo czasu, fotografując baptysterium.

– Nigdy się nie śpieszy – rzekł Ned. – Nie próbuj wymigać się od swego losu pochlebstwami, kobieto. To jest wojna. Pomyśl o ślimakach w łóżku.

Melanie wzruszyła ramionami.

– Lubię jeść ślimaki. I właściwie, jeśli porównać tę wizję z pewnymi mężczyznami, z którymi się umawiałam...

Ned się roześmiał, zaraz jednak znów się poczuł bardzo niedoświadczony. Pomyślał też, nie po raz pierwszy, że kobiety potrafią być strasznie dziwne. Jeśli ci faceci byli takimi idiotami, to dlaczego się z nimi umawiała, dlaczego z nimi spała? Spojrzał z ukosa na Melanie, niemal ją o to zapytał. Gdyby byli sami, mógłby to zrobić; cokolwiek by o niej powiedzieć, Melanie nie dawała wymijających odpowiedzi. Była zabawna i bezpośrednia. I właściwie nie traktowała go jak dziecko, tylko jak członka zespołu. Domyślił się, że odpowiedziałaby mu. Mógłby się czegoś nauczyć. Wchodził w wiek, w którym pewne rzeczy trzeba w taki czy inny sposób rozgryźć.

– Jesteśmy na miejscu! – powiedział Steve, pokazując ręką. – Cel osiągnięty.

Po raz pierwszy wyraźnie zobaczyli szczyt, jego górną część, nad czubkami sosen. Droga znów zakręciła, stracili górę z oczu, a potem znów ją zobaczyli przy następnym

zakręcie. Greg się zatrzymał, włączył światła awaryjne i przez chwilę siedzieli i patrzyli. Nad równiną i drzewami wznosił się majestatycznie trójkąt zachodniej ściany Sainte-Victoire.

– To byłoby zdjęcie typu „Był tu Cezanne” – stwierdziła Melanie z powątpiewaniem w głosie. – Prawdopodobnie moglibyśmy uzyskać pozwolenie od właścicieli jednego z tych domów na rozstawienie sprzętu na terenie ich posesji.

Po drodze minęli kilka willi.

– Dobra, wiemy już, że możemy to zrobić. Sprawdźmy, co tu jeszcze mamy, na wypadek, gdyby szef zechciał pojechać gdzie indziej? – zapytał Greg. W jego głosie też nie było słychać entuzjazmu.

– Po to tu przyjechaliśmy – rzekł Steve.

Greg włączył się do ruchu. Po kolejnych kilku minutach pokonywania zakrętów zbliżyli się do jakiejś wioski i zobaczyli dwuszereg drzew wzdłuż drogi, krzyżującej się z ich szosą z prawej strony. Na drogowskazie widniały słowa „Le Tholonet”. Po lewej stał zamek. Teraz wyglądał jak budynek rządowy z parkingiem przed wejściem.

– Zatrzymaj się na chwilę – powiedział Steve.

Greg skręcił na pobocze. Steve opuścił szybę, zdjął okulary przeciwsłoneczne i przyjrzał się drzewom.

– Platany – stwierdziła Melanie. – Wszędzie tu rosną, dla ochrony pól i winnic przed wiatrem.

– *Mistral! Mistral!* – zawołał Greg z udawanym przerażeniem. – Nigdy nie była tak okłopna jak w tym łoku, *mes amis!* A te wilki...!

– I w raję zdarzają się nieszczęścia – odparła Melanie. – Jednym z nich jest tutaj wiatr. A ty masz straszny akcent, Gregory.

Powiedziała to jednak ze śmiechem. Ned pomyślał, że śmiech Melanie ładnie brzmi. I że ma ładny uśmiech. Mimo to, wciąż znajdowali się w stanie wojny. Litość jest dla mięczaków.

Melanie przechyliła się w stronę Neda, patrząc przez jego okno.

– Jak myślisz, Steve?

– Plan ogólny z końca tej prostej drogi? One są wspaniałe. Barrett nic tu nie zaznaczył, prawda? Podjedź jeszcze kawałek, Greg, dobrze?

Kiedy znów się zatrzymali, Steve wyjął kieszonkowy aparat cyfrowy i zrobił kilka zdjęć. Ned wiedział, że ich jakość nie ma znaczenia; miały tylko pokazać jego ojcu, o czym mówią.

– Mówisz, że są tu wszędzie? – powiedział Steve, odwracając się do Melanie. – Może sprawdzimy je później? Popytamy, gdzie są najlepsze. Czy gdzieś słońce mogłoby zachodzić albo wschodzić wzdłuż nich? To mogłoby być...

– Aha – mruknął Greg. Znów zjechał z drogi do miejsca, gdzie mogli spojrzeć wzdłuż podwójnego korytarza zieleni. – Dobra myśl. Większość roślin ze wschodu na zachód. Silne wiatry przychodzą z północy.

Ned był pod wrażeniem, ale upomniał się, że asystenci ojca zawsze są kompetentni, zawsze będą naprawdę dobrzy w tym, co robią, nawet jeśli noszą idiotyczne kąpielówki albo robią notatki na zielono, z uśmiechniętymi buźkami na dole.

Droga obsadzona podwójnym rzędem platanów rozmieszczonych w równych odległościach biegła w dal, skryta już pod wiosennym baldachimem liści.

Ned patrzył przez chwilę na drzewa przez okno z opuszczoną szybą, a potem pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie zrobicie zdjęcia zachodu ani wschodu słońca – stwierdził. – Teraz jest już za dużo liści. To zimowe zdjęcie.

Greg i Steve powoli odwrócili się do tyłu i wbili wzrok w Neda.

– Przerazające – rzekł Greg. – Po prostu przerażające. Co będzie, jeśli się okaże podobny do swego starego? Wyobraź sobie takich dwóch.

A Ned już poderwał tu sobie laseczkę! Chyba będzie moim nowym bohaterem.

Steve się roześmiał.

– Zastąpić SpongeBoba? To poważne zobowiązanie!

– Zaczekajcie, aż go zobaczycie na łyżworolkach – powiedziała Melanie.

Ned pokręcił głową. I co tu robić z taką Melanie?

– Jasne. Jeżdżę na łyżworolkach, tak samo jak tata.

Greg się roześmiał i włączył silnik, a Melanie zanotowała, gdzie są. Pochyliła się i coś dopisała. Ned zauważył, że spisała odległość z licznika.

Tuż przed sobą mieli skrzyżowanie w kształcie litery T. Z prawej strony znajdowała się spora restauracja, a dalej kawiarnia ze stolikami rozstawionymi po obu stronach drogi. Wyglądało na to, że w Le Tholonet nie ma nic więcej. Przejechali przez skrzyżowanie. Nieco dalej droga się lekko wspiniała, ustąpiły osłaniające ją lasy i po raz pierwszy zobaczyli górę w całej okazałości, bez oddzielających ją od nich drzew.

Zrobiła na Nedzie ogromne wrażenie. Nic dziwnego. Widziana z tak bliska, Mont Sainte-Victoire całkowicie zdominowała krajobraz. Nie była wysoka, w zimie nie dałoby się z niej zjechać na desce czy coś w tym stylu, lecz wokół nie było żadnych innych gór czy wzgórz, a imponujący trójkątny szczyt wyraźnie się odcinał na tle nieba. Na samym wierzchołku Ned dostrzegł biały krzyż.

– Dobrze – odezwała się Melanie, zerkając do notatek – Barrett napisał, że tuż przed nami, gdzieś gdzie da się zjechać z drogi, jest miejsce, z którego można zrobić „zdjęcie przynoszące pieniądze”.

Po chwili Greg zatrzymał się, zgasił silnik i znów włączył światła awaryjne. Wszyscy wysiedli.

Trójkąt górował nad długim zielonym polem. Z lewej strony rosły drzewa, ale tutaj nie zasłaniały widoku; zdjęcie byłoby łatwe do skadrowania. Skaliste zbocza zalewało popołudniowe światło. Góra wyglądała prymitywnie, zdumiewająco. Przez chwilę cała czwórka wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Szefowi to się nie spodoba – odezwał się w końcu Steve. Z powrotem włożył ciemne okulary.

– Wiem – odparła ponuro Melanie i westchnęła. – Wszyscy tu się zatrzymują i pstrykają zdjęcia. Równie dobrze mógłby w tym miejscu stać znak Kodaka i stoły do urządzania pikników.

Ned nie był o tym przekonany. Skalista ponurość nad zieloną łąką nie wywoływała w nim wrażenia czegoś „ładnego”. Była na to zbyt potężna i niepokojąca. Chciał coś powiedzieć, ale po jakiejś minucie od wyjścia z auta zaczął się dziwnie czuć. Milczał. Steve pstryknął kilka zdjęć aparatem cyfrowym.

– Zrobię notatkę, ale jedźmy dalej – powiedziała Melanie. – Jeśli to jest pomysł Barretta Reinhardta na „zdjęcie przynoszące pieniądze”, to chyba zacznę się o niego martwić.

– On chce sprzedać cały nakład tej książki – rzekł Greg. – A to jest jakby zdjęcie obrazu, który wszyscy znają. Przyciąga wzrok.

Wsiadli do furgonetki. Ned przełknął ślinę, poczuł w ustach metaliczny smak. Nie miał pojęcia po czym. Lunch Verakuchni? Mało prawdopodobne. Rozboliła go głowa. Atak był gwałtowny i pojawił się zniemacka. Neda nigdy nie bolała głowa, jeśli nie liczyć dwóch razy, kiedy razem z Barrym Staleyem pił tanie wino na klasowych imprezach i wymiotował po drodze do domu.

Pomyślał, że nie powinien tego rozpamiętywać.

Zrobiło mu się niedobrze. Droga wciąż wiła się na południe od góry. Kołysanie samochodu na pewno nie pomagało. Po lewej stronie były parkingi, na których ludzie mogli zostawić samochody, żeby się wspiąć na górę. Ned zauważył dużą drewnianą tablicę z mapką górskich szlaków.

Teraz czuł w głowie coś w rodzaju dżgania, jakby ktoś wbijał mu raz za razem w lewe oko ostry lancet. Słyszał też wysokie brzęczenie, przywożące na myśl wiertło dentystyczne.

Greg zatrzymywał furgonetkę i znów ruszał, a cała trójka nieustannie rozmawiała, zastanawiając się nad kątami robienia zdjęć z tej strony góry, nad pierwszym planem, dalszym planem. Melanie opowiadała historię okolicy.

Wyglądało na to, że uznali, że wszystkie te przydrożne miejsca zdadzą się na nic. Znajdowali się zbyt blisko góry i nie było sposobu, by ją umieścić w kadrze. Ned prawie nie słuchał. Był zadowolony, że dorośli są zajęci i nie zauważyli, że opiera się o drzwi, a pod ciemnymi okularami skrywa zamknięte oczy.

Jakby z oddali, dobiegał go stłumiony głos Melanie, odczytującej notatki. Historia i geografia. Może ona napisałaby za niego jakieś wypracowanie? To była myśl. Mógłby jej postawić w restauracji ślimaki.

Udało mu się otworzyć oczy. Górę mieli za sobą, a przed nimi rozpościerała się na wschód i południe szeroka, zielonozłocista równina. Melanie wskazywała ją ręką. Ned nie rozumiał, co asystentka ojca mówi. Znow zamknął oczy. Starał się skupić na jej głosie, przewyciężyć klucie w głowie.

– Cały krajobraz się teraz zmieni – mówiła Melanie. – Znajdujemy się prosto na południe od góry. Wszyscy uważają ją za trójkąt, bo Cezanne malował głównie ten jej stok, ale stąd widać bardzo długi grzbiet bez żadnego trójkąta, bez żadnego szczytu. A przed nami, znajduje się Pourrières, gdzie się rozegrała bitwa. Kiedy tylko przejedziemy przez tę miejscowość, znajdziemy się w miejscu, do którego wysłał ludzi, by urządzili zasadzkę.

– Rozejrzemy się tam? – zapytał Greg.

– W miejscu zasadzki? Jasne. Nazywa się Pain de Munition. Wypatrujcie znaku. Może podejdziemy trochę pod górę. Zdjęcie z miejsca, w którym czekali? Wydaje mi się, że Oliver Lee coś pisał o tej bitwie.

– Dobra, jeśli da się zrobić zdjęcie – powiedział Steve.

Nie wyglądał na zadowolonego. Ned wiedział, że cała trójka bardzo się stara, by zadowolić jego ojca. Dużo żartowali, droczyli się, ale było dość oczywiste, że są dumni, mogąc pracować dla Edwarda Marrinera.

Przyłożył kciuk do skroni i spróbował zlikwidować ból przez ucisk. Nie pomogło. Nie miał pojęcia, o czym mówi Melanie. Jaka zasadzka? Jaka bitwa?

– Macie tylenol? – zapytał.

Odwróciła się szybko.

– Co jest, Ned?

– Coś jakby ból głowy.

– Idiota! To nie facet mówi coś takiego na randce!

– Cicho, Gregory. – Melanie grzebała w przepastnej czarnej torbie. – Tylenol, advil, aspiryna, co chcesz? Na ból głowy lepszy jest advil.

Trzy możliwości. Jasne.

– Poproszę advil.

Właśnie przejeżdżali krętą drogą przez jakąś wioskę, a potem znów pomknęli na północ. Melanie podała Nedowi dwie tabletki i butelkę wody. Chłopak upił parę łyków i uśmiechnął się słabo.

Tu też nie było nic wartego sfotografowania; znajdowali się po wschodniej stronie góry i chcieli ją objechać, by wrócić do domu z drugiej strony masywu, lecz widok zasłaniały im drzewa.

– Oto twoje „Amunicje” – oznajmił Greg.

– Czuję się, jakby w głowie grzmiała mi artyleria – mruknął Ned.

Greg pojechał kawałek wyboistą żwirową drogą, minąwszy znak zakazujący wjazdu, i zahamował. Kiedy furgonetka się zatrzymała, Ned poczuł się niezwykle szczęśliwy.

– Dobra, biwakowicze, wysiadać i zbadać teren – zarządził Greg. – Wejźmy trochę wyżej i zobaczymy, co tam znajdziemy.

– Chyba nigdzie nie pójde, jeśli nie macie nic przeciwko – powiedział Ned. Bał się, że zwymiotuje. Do sztyletu i wiertła dołączył młotek. – Wy zróbcie, co macie zrobić, a ja zaczekam tutaj.

Wysiadł razem z nimi. Nie chciał zwymiotować w furgonetce. Znalazł sobie pieniek i usiadł plecami do słońca.

– Ja zostanę – rzekła Melanie. – Wy dwaj idźcie na górę. Zadzwońcie, jeśli będziecie mnie potrzebować.

– Ty zadzwoń, jeśli będziesz potrzebować nas – powiedział Steve, patrząc na Neda.

– Nic mi nie jest. Melanie, idź i...

– Daj spokój. Jesteś prawie zielony. Lubię zieleń, ale nie na twarzach ludzi. Idźcie.

– Zaraz wracamy – obiecał Greg.

Ned był okropnie skrupowany, częściowo dlatego, że właściwie cieszył się, że Melanie została. Nigdy w życiu nie zemdlał, ale przyszło mu na myśl, że może mu się to zdarzyć. Znów zamknął oczy. Nie było bardzo gorąco, ale się pocił. Miał sucho w ustach.

– Napij się jeszcze trochę wody – powiedziała Melanie, podając mu butelkę. Zdjęła szeroki słomiany kapelusz i włożyła go na głowę Nedowi, dy osłonić go przed słońcem. – Miewasz migreny?

– Nigdy. A ty?

– Często. Czujesz ból z boku, za jednym okiem? Czujesz, jakby się zbliżał atak?

– A co się wtedy czuje? Roześmiała się.

– Kto potrafi opisać coś takiego? Usłyszał, że Melanie chodzi.

– Tu chyba też nie da się zrobić zdjęcia – powiedziała. – Z tej strony góra to po prostu zadrzewione zbocze.

Ned usiłował funkcjonować normalnie.

– Może mógłby zrobić zdjęcie o wschodzie słońca z samego szczytu? Patrząc z góry? Coś jakby przeciwieństwo Cezanne’a? Albo posłuchaj, może tata po prostu pstryknie górę z miejsca Barretta, a w książce się napisze, że ten właśnie widok malował Cezanne sto lat temu.

– Twojemu ojcu to się spodoba?

– Może. Pewnie nie. – Ned upił kilka łyków wody, a potem przycisnął butelkę do czoła.

– Co to była za zasadzka?

– Nie potrzebujesz teraz lekcji historii, Ned.

– Potrzebuję czegoś, co odwróci moją uwagę od bólu. Zemdlałaś kiedyś?

– Aż tak źle? Och, Ned! Zadzwońię po chłopaków.

– Nie. Tylko mów. Powiem ci, jeśli będzie gorzej.

Było gorzej; czekał, aż zadziała advil.

Melanie westchnęła.

– Dobra. Ten teren, w miejscu gdzie skręciliśmy na północ, był olbrzymim polem bitwy. Jednej z tych, które zmieniają bieg historii? Rzymianin imieniem Mariusz zwyciężył potężną armię barbarzyńców, którzy maszerowali na Rzym. Uważa się, że gdyby ich tu nie zatrzymał, mogliby zająć miasto.

– Jakich barbarzyńców?

– Kilka połączonych plemion, migrujących z północnego wschodu. Zasadniczo Celtów. Rzymianie nazywali ich barbarzyńcami, ale tak nazywali wszystkich.

– Jak potężną?

Wciąż trzymał butelkę przy czole.

– Bardzo. W książkach jest napisane, że zginęło ich tu dwieście tysięcy może więcej, a mieli ze sobą kobiety i dzieci. Ci, którzy ocalili, zostali niewolnikami. To mnóstwo ludzi. Rzymianie wybrali kilku przywódców i zrzucili ich do jamy zwanej *garagai*, na szczycie góry. Mariusz miał jakąś wiedźmę albo mędrczynię, która go do tego namówiła, bo to było coś w rodzaju miejsca ofiarnego, więc ich duchy nie mogły wrócić i pomóc plemionom. Ta

miejsowość, w której skręciliśmy na północ, została później nazwana Pourrières, co oznacza „gnicie”. Fuj. Pomyśl o dwustu tysiącach gnijących ciał.

– Naprawdę w tej chwili wolałbym nie, dzięki. Czy to zemsta, Melanie?

– Nie! Nie, nie, naprawdę! Och, Ned, przepraszam!

Wiedza, bez względu na to, jak zdobyta, zmienia sytuację, pomyślał Ned Marriner. Nie można się cofnąć do stanu niewiedzy, nawet gdyby się chciało. A kiedy połączyć to, co się właśnie usłyszało, z innymi sprawami, a zwłaszcza z wczorajszymi wydarzeniami, z tym uczuciem doznany w krążgankach...

Znów go nawiedziła, w tej chwili, ta wewnętrzna świadomość. Odblokowanie, otwarcie.

Ned wstał raptownie z pniaka. Serce waliło mu jak młotem.

– Co?

– Ćśśś. Czekał.

Teraz już przestraszony, a nie tylko cierpiący ból, Ned zdjął ciemne okulary. Otworzył oczy w zbyt jaskrawym świetle. W mózgu tańczył mu świdrujący ból. Lecz to, co zobaczył, spojrzawszy w stronę góry, było gorsze.

Zamiast w jasnym, łagodnym świetle wiosny, drzewa i trawa rosące między nimi i górskim grzbietem były skąpane w przyprawiającym o mdłości ciemnoczerwonym oparze; były nim przesiąknięte.

To było przerażające. Jakby patrzył przez jakiś krwawy filtr. Świat był skąpany w kolorze krwi. I nagle Ned poczuł jej zapach. Przerażony, przejęty grozą, miał wrażenie, że czuje smak krwi. Miał ją w ustach, w gardle, lepka, gęsta, dusząca i...

Odwrócił się i gwałtownie zwymiotował obok pniaka. I jeszcze raz, i kolejny, jakby mu się nicował żołądek.

– O mój Boże, Ned! Nie powinnam...

– Chyba to miejsce nie bardzo mi się podoba – powiedział, oddychając ciężko.

Melanie wyjęła telefon.

– Nie dzwoń do nich! – powiedział z trudem. – Ja tylko... to chyba tylko migrena.

Za późno. Mówiła coś szybko do Grega, wzywając ich z powrotem, Ned nie mógł uczciwie powiedzieć, że nie jest z tego zadowolony. Chciał się stąd wydostać, znaleźć się gdzieś, gdzie mógłby spróbować poradzić sobie z niezaprzeczalnym faktem, że najwyraźniej widzi i czuje obecność basowej, gwałtownej śmierci. Rzeź, świat skąpany we krwi.

Wczoraj rzeźba sprzed ośmiuset lat. A teraz to.

– Kiedy...? – Odetchnął, by się uspokoić. – Melanie, kiedy wydarzyła się ta bitwa?

– Och, Ned. Daj spokój tej cholernej bitwie! Proszę, wytrzymaj twarz. – Podała mu zapakowaną wilgotną chusteczkę. Kolejny przedmiot w jej torbie.

Zrobił, co mu kazała, i na powrót włożył ciemne okulary. Łyknął trochę wody.

– Kiedy to było? Proszę cię.

– A co tam. – Usłyszał, że szuka notatek. Znów miał zamknięte oczy. – Mam, w sto dwudziestym trzecim roku przed naszą erą. Dlaczego chcesz rozmawiać właśnie o tym?

– Bo nie chcę rozmawiać o wymiotowaniu, wiesz?

Dwa tysiące sto lat.

Co się dzieje, kiedy człowiek mdleje? Czy wywracają mu się oczy? Czy można umrzeć, gdyby się uderzyło głową o kamień czy coś takiego?

Usłyszał mężczyzn schodzących z góry. Nie zdejmował okularów. Wiedział, że gdyby je zdjął, znów wszędzie zobaczyłby czerwień. Świat określony przez ciemną krew. Wciąż czuł ten zapach, jakby zapach mięsa, gęsty smród gnijącego...

W chwili, gdy przyszli Greg i Steve, bezradnego Neda znów chwyciły torsje – nie miał już czym wymiotować, więc tylko konwulsyjnie zgiął się wpół.

– Rany! – zawołał Greg. – Ale cię wzięło. Jedźmy. Dostarczymy cię do rąk Verakuchni, a potem do łóżka.

Wsiedli do furgonetki, Greg ruszył i pojechali dalej na północ, a potem skręcili na skrzyżowaniu po drugiej stronie góry.

Greg już nie zwalniał, jechał szybko drogą do tego nieprzeznaczoną. Oparty o drzwi Ned wiedział, że Steve i Melanie zerkają na niego co kilka sekund. Chciał być dzielny – bohaterski, choć chory – ale to było trudne, skoro ciągle czuł zapach krwi. Kołysanie furgonetki też mu nie pomagało.

Wtem, w połowie krętego odcinka drogi powrotnej, biegnącej po północnym grzbiecie Mont Sainte-Victoire, poczuł się dobrze.

Wszystkie objawy ustąpiły.

W ustach miał paskudny posmak po torsjach, ale poza tym nic mu nie dolegało. Nic poza pamięcią. Ned wiedział, że nie zawdzięcza tego cudownym właściwościom advilu. Ostrożnie zdjął ciemne okulary. Żadnego krwawego zabarwienia popołudniowego nieba czy drzew. Tylko wspomnienie. I strach. Był też strach.

– Prawie jesteśmy w domu – powiedziała Melanie głosem pełnym troski.

– Nic mi nie jest – odparł Ned. Spojrzał na nią. – Naprawdę. Już mi przeszło. Żadnych objawów, nic.

– Poważnie?

Steve odwrócił się i spojrzał na niego uważnie.

– Naprawdę. Nie kłamie. Nie mam pojęcia, co to było. – To ostatnie było kłamstwem, ale co miał powiedzieć?

– Zatrucie pokarmowe, migrena, zmęczenie lotem – wyliczyła możliwe powody Melanie.

Ned słyszał w jej głosie ulgę. Nawet go to wzruszyło.

– Poczucie winy? Wywołane tym, co zrobiłeś z naszymi telefonami? – odezwał się Steve z przedniego siedzenia.

– To musi być to – zgodził się Ned.

– I tak wiozę cię do domu – stwierdził Greg. – Randkę możesz przełożyć na jutro.

– Nie ma mowy – rzekł Ned. – I to nie jest randka. To cola o piątej.

– Ha! – powiedział Greg.

On też był w wyraźnie lepszym humorze.

– I tak zatrzymamy się w domu – zarządziła Melanie. – Jest po drodze, a ty masz czas. Mógłbyś wziąć prysznic i wyczyścić zęby. Pomyśl o tej dziewczynie, proszę.

– Dobrze. A ty możesz sprawdzić mi paznokcie, uszy i jeszcze raz zawiązać sznurowadła. Na podwójną kokardkę?

Roześmiała się.

– Spadaj, Ned. Jestem na to o wiele za młoda i wyluzowana. – Uśmiechnęła się. – Miałbyś wielkie szczęście, gdybym przed tobą uklękła.

Ned poczuł, że się czerwieni.

Greg prychnął.

– Ty? Wyluzowana? Z przepastną torbą jak Mary Poppins? Nie, nie jesteś, Mel – oznajmił. – Przepraszam, że ci to mówię.

Pochyliła się i pacnęła go w ramię.

– Nie dobierać się do kierowcy – powiedział Greg i zaczął śpiewać „Spoonful of Sugar”. Zawtórował mu Steve.

Ned opuścił szybę. Powietrze było rześkie i czyste. Na poboczach kwitły żółte, białe i fioletowe kwiatki. Przejechali przez mostek. Poniżej rozciągał się wspaniały widok na wąwóz. Ned zobaczył, że Melanie też zwróciła na niego uwagę. Zanotowała coś w notesie.

To, co powiedziała, było naprawdę seksowne.

Mężczyźni z przodu wciąż śpiewali tę piosenkę z „Mary Poppins”. Melanie pochyliła się i każdego z nich trzepnęła na próżno notesem, a potem odchyliła się na oparcie, skrzyżowała ręce na piersiach i usiłowała zrobić pokrzywdzoną minę.

Zobaczyła, że Ned na nią patrzy, więc mrugnęła. Oczywiście. Musiał się roześmiać.

Melanie.

ROZDZIAŁ 5

– Krew? Naprawdę w kolorze krwi?

Przed Kate stała kolejna kawa z ekspresu; Ned zamówił tym razem sok pomarańczowy. Dziewczyna przyszła do kawiarni jakieś pięć minut po nim, lekko zadyszana. Jej szkoła leżała prawie na drugim końcu miasta. Dwie miejscówki na dworze znów zostały zajęte; cała przestrzeń wokół ich stolika była zatłoczona głośno rozmawiającymi, palącymi ludźmi, którzy czytali gazety, mając pod nogami torby na zakupy. Ned wciąż się nie przyzwyczyił do dymu, który był tu wszędzie.

– Czerwone jak krew. – Skinął głową. – A kiedy przeżykałem, czułem jej smak. Robiło mi się od tego niedobrze. Ale tylko w pobliżu tego pola bitwy. Przeszło mi, kiedy odjechaliśmy.

Wpatrywała się w niego piwnymi oczyma, osadzonymi w piegowatej twarzy. Tego dnia włosy związała z tyłu, miała na sobie podarte džinsy, bezrękawnik w niebieskie i białe paski i rozpiętą białą męską koszulę z podwiniętymi rękawami. Ned pomyślał, że Kate wygląda całkiem nieźle.

– Jeśli ty mi nie wierzysz – powiedział – to nikt mi nie uwierzy. Zresztą i tak nie mogę nikomu o tym powiedzieć. Kate pokręciła głową.

– Och, wierzę ci, naprawdę. – Popatrzyła mu w oczy, a potem odwróciła wzrok. – Po wczorajszym dniu uwierzyłabym ci, gdybyś powiedział, że widziałeś statek-matkę Obcych.

– To będzie w następnym tygodniu – powiedział.

Skrzywiła się.

– Wiesz coś o tym Mariuszu? – zapytał po chwili. – O tej bitwie? Przygryzła wargę; już się do tego przyzwyczyił. Spojrzała na blat. Ned się roześmiał.

– Aha! Oczywiście, że wiesz.

– Wiedziałam, że będziesz się śmiał. Dlaczego głupio jest się interesować różnymi rzeczami?

Ned popatrzył na nią.

– Nie jest. Powiedz mi. Nie drocę się z tobą.

– Cóż... właściwie napisałam o tym wypracowanie.

– O Boże, Kate, dobijasz mnie! Muszę się z tobą droczyć. – Przerwał. Myślał gorączkowo. – Zaczekaj, może, no, nie będę. Ehm... masz je? Tutaj? To wypracowanie?

Uniosła brwi i przez chwilę nie odpowiadała.

– Ned, jestem wstrząśnięta... chcesz przepisać moje dzieło?

– Jasne, że chcę przepisać twoje dzieło! Muszę napisać trzy wypracowania w półtora miesiąca albo będę miał zepsute wakacje po powrocie do domu.

– Cóż – powiedziała z uśmiechem, odchylając się na oparcie krzesła – będę się musiała nad tym poważnie zastanowić. Zaliczyłam sporo szpil, a poza tym dopiero się poznaliśmy. Nie można rozdawać swoich szóstkowych wypracowań byle komu.

– Będę ci stawiał kawę. Kupię ci lepszą koszulę.

– To jest koszula mojego brata – odparła Kate Wenger – i tak się składa, że bardzo ją lubię.

– Jest świetna. Naprawdę świetna. Wyglądasz w niej odjazdowo. Jak laseczka. Opowiedz mi o Mariuszu.

– Naprawdę wyglądam odjazdowo?

– Bardziej odjazdowo, niż kiedykolwiek mogłaby sobie zamarzyć Marie-Chantal.

– To żadne osiągnięcie – prychnęła.

– O Mariuszu? Proszę.

Upiła łyk kawy. Wyglądała jednak na zadowoloną. Ned też był z siebie zadowolony. Był zabawny, rozśmieszał dziewczynę. Wokół nich panował zgiełk rozmów, szcęk talerzy i filiżanek. Jedna z kobiet miała pod swoim krzesłem pieska; w Kanadzie coś takiego byłoby niedozwolone. Nedowi nawet się to podobało.

– Mariusz był wujem Juliusza Cezara – powiedziała Kate. – Ożenił się z jego ciotką. Był wtedy generałem w Afryce Północnej. Zdaje się, że to był drobny, twardy, i sprytny facet, a kiedy to się stało, stosunkowo młody – miał jakieś dwadzieścia pięć lat albo coś koło tego? Chodzi o to, że pewne wschodnie plemiona zaczęły się przemieszczać w tę stronę. Tych ludzi było mnóstwo, a migrowali z kobietami i dziećmi, szukając miejsca do osiedlenia. Wszystkich przerażali, byli ogromni, wiesz?

– Jasnowłosi faceci? Podnosili ciężary, brali sterydy? Bili rekordy w baseballu?

– Prawie. Rzymianie byli drobni, wiedziałeś o tym?

– Nie wiedziałem o tym. Dlaczego miałbym wiedzieć?

– No więc byli. Ale mieli świetną organizację. W każdym razie te plemiona, ci Teutoni i Cymbrowie, kręcili się tu trochę po okolicy i pobili rzymską armię, a potem połowa z nich ruszyła na zachód do Hiszpanii. Ale potem wrócili i stwierdzili, że tak naprawdę chcą ziemi wokół Rzymu, więc postanowili, że wyprawią się tam i skopią tyłki Rzymianom.

– Mogliby to zrobić?

– Najwyraźniej wszyscy tak sądzą. O to chodzi w tej historii. Rzym był przerażony. Wtedy nie mieli jeszcze imperium, pamiętasz? Przed Cezarem. Nawet nie podbili jeszcze tych ziem, było tylko parę greckich i rzymskich kolonii handlowych na wybrzeżu... a to miasto, Aix, ich pierwsze tutaj, założył Sextius.

– Więc?

– Więc gdyby te plemiona weszły do Italii, zapewne oznaczałoby to koniec gry.

– Melanie powiedziała, że było ich ponad dwieście tysięcy.

– Kto to jest Melanie?

– Asystentka mojego taty. Mówiłem ci wczoraj. Ma notatki na każdy temat.

– Co za świruska – rzekła z uśmiechem Kate. – O wiele, wiele więcej niż dwieście tysięcy. Niektórzy mówią, że pół miliona, z kobietami i dziećmi. Inni mówią, że więcej.

Ned gwizdnął cicho. Sytuacja chyba tego wymagała. Ktoś się obejrzał i Ned zrobił przeproszającą minę. Spróbował wyobrazić sobie tylu ludzi przemierzających się przez kraj i poddał się. Nie potrafił: oczyma duszy ujrzał tylko komputerowych orków.

– W każdym razie Rzym odwołał z Afryki Mariusza – ciągnęła Kate – który objął tu dowództwo. W tej pierwszej bitwie zostali starci na miazgę przez plemiona, których później wszyscy żołnierze się bali.

– Ale wygrał?

– Zdradzasz zakończenie. Tak, wygrał. Z tego, co rozumiem, skierował ich w pułapkę w pobliżu tej góry. Miał lepszą pozycję, a kiedy zaczęła się walka, część jego ludzi zasadziła się na obóz Celtów, gdzie były ich rodziny. Kiedy zawrócili, by ich bronić, Rzymianie rzucili się na nich z tyłu i urządzili im rzeź. To jest te twoje dwieście tysięcy zabitych.

Mariusz ratuje sytuację. Powystawiali mu tu pomniki, ale wszystkie się rozpadły.

Ned patrzył na nią przez chwilę.

– Dobra jesteś, wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Twoim przyjacielem jest Google.

– Nie. Jesteś dobra. – Dokończył sok. – No więc, gdyby ich nie pokonał, to zajęliby Rzym?

– Może. Żadnego Imperium Rzymskiego. Celtowie zasiedlają Italię. Zupełnie inny świat. Ta bitwa miała wielkie znaczenie.

Ned pokręcił głową.

– Dlaczego nikt o tym nie wie?

– Żartujesz? Ludzie nie wiedzą nawet o drugiej wojnie światowej.

Spojrzał na nią.

– Naprawdę potrzebuję tego twojego wypracowania.

– Nie wątpię. Pomyślę o tym. – Zawahała się. – To znaczy, oczywiście, że ci je dam. Ale czy nie wydaje się to dość trywialne po tym, co...

– Kate, to się wydaje całkowicie trywialne! Wypracowania? Żartujesz?

Ale jeśli będę za dużo myślał o dzisiejszym popołudniu albo wczorajszym dniu, to zwariuję.

– Teraz... nie ma nic? W tobie?

Wzruszył ramionami.

– Jestem zbyt rozproszony przez ten twój odlotowy bezrękawnik.

– Bez żartów. Powiedz.

– Powiedziałem. Dzisiaj nic, od czasu, kiedy opuściliśmy to pole bitwy. Wczoraj nic, od czasu, kiedy ten gość sobie poszedł. N-I-C.

– Próbowaleś...?

– Co próbowałem? – Wiedział, że mówi poirytowanym tonem, i wiedział, że to nie w porządku. – Panować nad tym? Chcesz się teraz bawić w Yodę? „Użyj mocy, Ned”?

– Przestań żartować.

– Muszę żartować, bo inaczej oszaleję. Ciesz się, że tobie się to nie przytrafiło!

– Cieszę się – rzekła po chwili milczenia. – Ale ja też tam byłam. Nie próbuję cię zadręczać. Ned się zawstydził.

– Nie jestem w porzo, nie? Przepraszam.

– Trudno być w porzo, jeśli się czuje smak krwi i w ogóle.

– No.

Nie umiał wymyślić nic innego.

Kate poprosiła kiwnięciem ręki o rachunek. Spojrzała na Neda.

– Dobra, zmywam się. Zadzwoń jutro, jeśli chcesz. Po szkole.

– Nie idź jeszcze – powiedział szybko. Spojrzała na niego. – Nie mam... nie mam z kim porozmawiać. Muszę z kimś pogadać. Chyba, że to ci przeszkadza?

– Powiedziałam, żebyś do mnie zadzwonił. Mówiłam poważnie. – Zarumieniła się lekko.

Westchnął.

– Właściwie w środku nocy próbowałem sprawdzić, czy coś czuję. Kłopot w tym, że nie wiem, co mam robić albo nad czym panować. Może naprawdę potrzebuję jakiegoś mistrza Jedi?

– Nie mnie. Mogę jednak dać ci wypracowanie. Przesłać ci je mejlem?

– Byłoby dobrze.

Kate wyjęła notes i Ned podał jej adres na hotmailu, a potem dodał numer swojej nowej komórki.

– Coś sobie przypomniałam – powiedziała. – Pytałeś o Celtów. Gdzie w tej okolicy byli.

– I oczywiście się dowiedziałas. Twoim przyjacielem jest Google?

– Google jest moim nocnym kochankiem.

– Nie wiem, czy jestem gotów o tym słuchać.

Roześmiała się.

– Byli tu wszędzie. Co by się zgadzało. Jest takie miejsce, do którego moglibyśmy pójść, jeśli chcesz. Powyżej miasta. Podszedł kelner; zapłacili za napoje.

– W zasadzie mogę – rzekł Ned. – Ale nie jutro, bo jedziemy do Arles. Kiwnęła głową.

– Pojutrze? W czwartek? Spotkamy się po szkole, powiedzmy przed atelier Cezanne'a? Potrafisz je znaleźć? I tak musimy tamtędy iść.

– Znajdę je. Dokąd pójdziemy?

– Nazywa się to Entremont. Tam mieli swoją bazę Celtowie, zanim Rzymianie wybudowali to miasto.

– Dobra. Będę przed atelier o piątej. Zadzwoń jutro, po powrocie z Arles.

– W porzo.

Wstała i wepchnęła notes do plecaka. Wyszli razem. Na ulicy Ned odwrócił się do dziewczyny.

– Dzięki, Kate.

Wzruszyła ramionami.

– Waruj. To wypracowanie może ci się nie spodobać.

– I kto teraz żartuje? Zrobiła minę.

– Dobra. Proszę bardzo. Zadzwoń.

Machnęła mu ręką, odwróciła się i odeszła po kocich łbach ulicy. Patrzył za nią.

W kawiarni mężczyzna w szarej skórzanej kurtce, siedzący dwa stoliki dalej od tego, przy którym rozmawiali, odkłada gazetę. Już nie ma potrzeby ukrywać twarzy.

Myśli, że być może czegoś się tutaj dowiedział.

Nitka, wejście do labiryntu. To jest możliwość, tylko tyle, ale jest. Kiedy człowiek znajdzie się w nagłej potrzebie, nie ma czasu, a wróg posiada większość broni, to wykorzystuje się narzędzia, tak jak tych dwoje dzieciaków, i modli się do swoich bogów.

Pod pewnym względem jest to oczywiste; pod innym ta dziewczyna ma całkowitą rację: istnieje tu zbyt wiele możliwości wyboru. A w punkcie, w którym znajduje się mężczyzna nie da się bez kłopotu zmniejszyć liczby tych możliwości.

Jak zawsze, wciąż jest zbyt wiele miejsc, lecz siedząc tutaj, mężczyzna coś postanowił – a tych dwoje znajduje się w samym centrum wydarzeń, mimo tego, co im wczoraj powiedział.

Chłopiec od początku. Jeszcze sprzed baptysterium.

Nie ma pewności co do dziewczyny. Wczoraj czekał i obserwował ich z oddalenia, po wyjściu z krużganków. Zobaczył, jak tu idą. Założył, że wrócą. Gdyby się pomylił, gdyby spotkali się gdzie indziej, nie po szkole albo wcale, nie zaniepokoiłby się nadmiernie. Nie przejmuje się już tak jak dawniej. Kiedy znów wraca do świata, prowadzi bardzo ukierunkowane życie.

Żyje tylko dla jednego. A właściwie dla dwóch rzeczy.

Zarazem nie był zdziwiony, kiedy się tu rzeczywiście pojawili. Ani kiedy zza stronic „Le Monde” usłyszał, co mówi dziewczyna. Nie powinni iść tam, dokąd zamierzają pójść za dwa dni, ale on być może powinien.

Możliwe, że od jego obecności będzie zależało życie wielu ludzi. Choć tym razem może przegrać, zanim jeszcze wszystko się zacznie. Tak już bywało. To niesprawiedliwe, to niezrównoważony aspekt walki, lecz mężczyzna już dawno temu przestał o tym myśleć w taki sposób. Czym jest sprawiedliwość w tym tańcu?

W końcu fakt, że tu siedzi, świadczy tylko o niemrawym szukaniu jakichś znaków – u dwojga dzieci, które nie mają z tą opowieścią nic wspólnego. Jednocześnie już się nauczył (miał na to dużo czasu), że mało co tak naprawdę dzieje się przypadkiem. Zdarzenia układają się we wzory. Można ich nie zauważać albo je niszczyć, ale one istnieją. Wczoraj postąpił zgodnie z tą zasadą i robi to także teraz.

Znajduje kilka monet, upuszcza je na stół, wstaje.

– Dlaczego nie wiedziałem, że tu jesteś?

Unosi głowę. Ma zablokowaną drogę. Właściwie jest zaskoczony – naprawdę dziwne, powracające z zakamarków pamięci uczucie. Nie potrafi określić, dlaczego tak się dzieje, ale nagle wraca do niego wspomnienie jego pierwszej tu bytności – jak idzie przez las z miejsca, w którym przybił do brzegu, zaproszony, lecz niepewny. Czuje strach, znalazłszy się tak daleko od domu. A potem wychodzi z lasu, widzi ogniska.

Siada. Wykonuje gest ręką. Chłopak stoi między nim i drzwiami. Siada ostrożnie naprzeciwko mężczyzny, na brzeżku krzesła, jakby gotów do ucieczki. Właściwie to nie jest zły odruch.

Na stoliku między nimi leży złożona gazeta. Czytał prognozę pogody. Wiatr, bezchmurne niebo. W czwartek będzie pełnia. To oczywiście wiedział.

Chłopiec mówi coś do niego po angielsku. Mężczyzna odpowiada z powagą w tym samym języku.

– Znowu mnie zaskoczyłeś. Postąpiłeś odważnie, wracając. Rozumiem, że odesłałeś dziewczynę?

Ned Marriner wzrusza ramionami. Ma ciemnokasztanowe włosy i jasnoniebieskie oczy, szczupłą budowę ciała, średni wzrost, jest raczej zyłasty niż umięśniony. Chyba jeszcze nie zaczął się golić. Ma bladą twarz; zapewne czuje napięcie i strach. To rozumiałe.

Witaj w moim świecie, myśli mężczyzna, lecz tego nie mówi. Nie ma ochoty nikogo witać.

– Nie, po prostu poszła sobie. Nigdzie jej nie odsyłałem. Nic nie wiedziałem, dopóki nie znalazłem się na dworze. A poza tym to ja czuję... cokolwiek to jest. Jeśli jesteś niebezpieczny, nie ma powodu, by się tu znalazła.

– Niebezpieczny? – Uśmiecha się. – Nawet nie masz pojęcia jak bardzo. Powiedziałem, że was nie zabiję, lecz są inni, którzy mogą mieć o waszej obecności odmienne zdanie.

– Wiem, że nie mam pojęcia. Ale co znaczy „moja obecność”? Moja obecność gdzie? – Przerzywa, by się opanować. – I dlaczego nie wiedziałem, że tu jesteś, dopóki nie wyszedłem na zewnątrz? Wczoraj...

Na to ostatnie pytanie postanawia odpowiedzieć.

– Byłem nieostrożny. Po wczorajszym spotkaniu w krużgankach osłaniałem się przed tobą i, sądząc, że odszedłeś, opuściłem osłonę.

– Odszedłem. Nawet nie wiem, po co tu wróciłem. Byłem w połowie targowiska.

Zastanawia się nad tym.

– A zatem jesteś silniejszy, niż sądziłeś.

– Ja nic nie wiem – powtarza chłopak.

Teraz mówi cicho, z naciskiem. Był ktoś taki dawno temu. Ogarnia go niejasne wrażenie. Minęło jednak zbyt wiele lat. Był tutaj tyle razy...

Ned Marriner odchyła się na oparcie krzesła i obronnym ruchem krzyżuje ręce na piersi.

– Nie mam pojęcia, kim jesteś ani co mi się przytrafiło wczoraj czy dzisiaj, jeśli słyszałeś, o czym rozmawialiśmy.

Kiwa głową. Góra.

– Więc o co tu chodzi? – pyta chłopak. Naprawdę nie powinien mówić tym tonem. – Powiedziałeś, że jesteśmy przypadkiem, że nie mamy do odegrania żadnej roli, ale poszedłeś za nami albo na nas czekałeś.

Wygląda na to, że jest sprytny.

– Poszedłem za wami wczoraj, teraz czekałem. Zaryzykowałem, że wrócić.

– Ale dlaczego?

W pobliżu krąży kelner. Mężczyzna gestem zamawia dla nich obu to samo, co pili poprzednio.

Pojawia się łagodna ciekawość. Wydaje się, że mężczyzna ma jeszcze jakieś jej zasoby.

– Nie masz wrażenia, że przepytując mnie tak, postępujesz lekkomyślnie?

– Umieram ze strachu, jeśli chcesz usłyszeć prawdę.

– Ale to nie jest prawda – mówi mężczyzna. Kogo mu przypomina ten chłopak? – Wróciłeś z własnego wyboru, żądasz ode mnie odpowiedzi. A mimo to wiesz, że przed ośmiuset laty wyrzeźbiłem kolumnę. Nie. Jesteś przestraszony, lecz strach tobą nie włada.

– Zapewne powinien – mówi cicho chłopiec. – I to nie jest kolumna, tylko kobieta.

Szybko się rodzący, znajomy gniew. Poczucie pogwałcenia, wtrącania się, jakby grubiańskie stopy deptały coś prywatnego nad wszelkie słowa.

Zmusza się do obojętności. Wedle obecnych standardów to ktoś młody, można go słusznie nazywać chłopcem. W przeszłości mógłby w tym wieku dowodzić żołnierzami. Można by go wyzwać, zabić. Mężczyzna już zabijał dzieci.

Świat się zmienił. On przeżywał te zmiany, z przerwami. Przychodził i odchodził, wpleciony w długi wzór. Czasami chce, by się to skończyło, a głównie jest przerażony, porażony myślą, że mogłoby się skończyć. Czując to wszystko naraz, można się znużyć ponad wszelką miarę.

Wraca kelner: kawa z ekspresu, sok pomarańczowy. Szybkie, wyćwiczone ruchy. Mężczyzna czeka, aż kelner odejdzie.

– Kiedy raz to sobie uświadomisz – mówi, wciąż po angielsku, dla zachowania prywatności – może się to stać opoką przeciwko strachowi.

Wiesz, co czujesz, wiesz, że masz w sobie coś nowego. Strach bierze się z niezrozumienia dlaczego, ale już nie jesteś tą samą osobą, którą byłeś wczoraj rano. – Sący kawę, odstawia filiżankę, dodaje cicho: – Nigdy już nią nie będziesz.

Być może są to okrutne słowa; potrafi czerpać z tego przyjemność. – To też jest przerażające.

– Chyba tak.

Przypomina sobie, jak po raz pierwszy uświadomił sobie obecność chłopaka, swoje szybko podjęte decyzje. Patrzą na siebie. Chłopak spuszcza wzrok. Niewielu ludzi potrafi długo wytrzymać spojrzenie mężczyzny. Kończy kawę.

– Przestraszony czy nie, wróciłeś. Mogłeś iść dalej. Teraz jesteś wewnątrz.

– A więc musisz mi powiedzieć, wewnątrz czego.

Kolejna wewnętrzna eksplozja.

– Niczego nie muszę robić. Ostrożniej dobieraj słowa.

– Bo co?

Po drugiej stronie także gniew. Interesujące. Naprawdę odwykł już od tak długich rozmów.

– Bo co? – powtarza chłopak. – Zasztyletujesz mnie tutaj? Znowu dobędziesz noża?

Kręci głową.

– Bo wyjdę.

Ned Marriner znów się waha, a potem się pochyla.

– Nie, nie wyjdiesz. Nie chcesz mnie stracić. W jakiś sposób chcesz, żebym w tym uczestniczył. Co takiego powiedzieliśmy z Kate, co musiałeś usłyszeć?

Kiedyś w taki sposób mówił do niego ktoś inny. Wciąż to nękające wspomnienie. Zdarzyło się to kilka wieków temu czy tysiąclecie? Nie jest pewien; po takim czasie ludzie się zacierają, ale wydaje mu się, że tamtego człowieka zabił.

Patrzy ponad stolikiem i uświadamia sobie, że w zasadzie mylił się. Ten bezczelny ton nie jest taki sam jak tamten dawny głos; z niejakim zaskoczeniem (znów) widzi, że chłopak jest na granicy łez i usiłuje to ukryć.

Mężczyzna bezskutecznie usiłuje sobie przypomnieć, kiedy sam się tak czuł. Zbyt dawno temu. Wspomnienie pozostaje spowite mgłą, okryte lasem.

Ten arogancki gniew jest w końcu gniewem chłopca. A może z początku? Gniew wywołany bezradnością, niewiedzą i młodością, tym, że chłopak nie jest jeszcze dorosły, a zatem odporny (chłopcy wierzą, że dorośli są odporni) na ból, który odczuwa.

Gdyby mężczyzna był innym człowiekiem, być może zająłby się niektórymi z tych spraw. Ned Marriner przybliżył się przecież do obrzeży opowieści i mógłby nawet zostać narzędziem.

Lecz nie może być niczym więcej. Narzędziom się nie zwierza ani się ich nie pociesza. Wykorzystuje się to, co jest pod ręką. Mężczyzna wstaje, zostawia na stole drobne. Chłopak unosi głowę, by nań spojrzeć.

– Nie wiem, czy powiedzieliście coś, co może mi się przydać. To zbyt długa historia, by ją opowiedzieć, i nie mam na to ochoty. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli niczego się nie dowiesz, chociaż tobie może się wydawać inaczej. Musisz mi wybaczyć – albo i nie, jak wolisz.

A następnie dodaje (może to błąd – myśli):

– Ale nie szedłbym do Entremont w wigilię Beltaine.

Spojrzenie chłopaka staje się nagle ostre.

– To o to chodziło, tak? – mówi Ned Marriner. Już nie sprawia wrażenia, jakby się miał rozpłakać. – To, co powiedziała Kate? O tym miejscu?

Mężczyzna nie odpowiada. Naprawdę nie jest przyzwyczajony do udzielania odpowiedzi. Szczerze mówiąc, nigdy nie był do tego przyzwyczajony, nawet wtedy, gdy sam wszedł do tej opowieści nieco dalej na zachód od tego miejsca, przytłynawszy zza morza.

Wszyscy tu przybyli z innego miejsca.

Raz to jej powiedział. Pamięta jej odpowiedź. Czasami odnosi wrażenie, że pamięta wszystko, co kiedykolwiek mu powiedziała.

Wychodzi z kawiarni na późnokwietniowe popołudnie.

Psy czekają na pobliskim targowisku. Atakują go w chwili, gdy pojawia się na ulicy.

Ned usłyszał kobiecy krzyk. Rozległy się wrzaski i – nie do wiary! – warczenie zwierząt pośrodku miasta.

Ludzie siedzący przy dwóch stolikach na dworze zrywali się na równe nogi, rozpaczliwie się przed czymś wycofując. Ned skoczył. Tak naprawdę nie myślał. Czasami myślenie trwa zbyt długo. Podbiegł do drzwi, chwytając po drodze jedno z krzesel.

Być może uratowało mu to życie.

Wilczarz skoczył, kiedy tylko Ned wybiegł na dwór. Odruchowo, napędzany falą adrenaliny, Ned uniósł krzesło. Uderzył psa w głowę z całą siłą, jakiej przydał mu strach, ale zatoczył się na jeden ze stolików i spadł z niego, mocno uderzając się w ramię. Pies wywinął w powietrzu koziołka i wylądował na boku na ulicy. Nie ruszał się.

Ned szybko wstał. Szczupłego mężczyznę otoczyły trzy inne psy – duże, ciemnoszare, dzikie. Ned pomyślał, że to nie są czyjeś pieski spuszczone ze smyczy.

Dalej na ulicy i na targowisku ludzie wciąż krzyczeli, ale nikt nie śpieszył z pomocą. Co prawda Ned widział kogoś rozmawiającego przez komórkę. Dzwonił na policję?

Taką miał nadzieję. I znów, tak naprawdę nie myśląc, postąpił krok do przodu. Krzyknął, usiłując ściągnąć na siebie uwagę zwierząt. Jedno natychmiast się odwróciło z obnażonymi zębami. Cudownie, pomyślał Ned. Kiedy się otrzymuje to, czego się chciało, dobrze mieć pewność, że naprawdę tego się chciało.

Lecz wtedy poruszył się mężczyzna w skórzanej kurtce, szybko i z niepokojącym wdziękiem. Ciął zdezorientowanego psa nożem – klinga się zaczerwieniła, zwierzę padło na ziemię. Ned zrobił kolejny krok do przodu, w stronę jednego z psów, dzierżąc nieporęczne krzesło i dźgając nim powietrze jak niewydarzony pogromca lwów.

Naprawdę nie wiedział, co robi. Rozpraszał uwagę psów, nic więcej, ale to wystarczyło. Zobaczył, jak łysy mężczyzna wybija się w powietrze nagłym, zabójczym susem, i poczerwieniały nóż pokonuje kolejne zwierzę. Mężczyzna wylądował, przetoczył się po ulicy i natychmiast wstał.

Ned uświadomił sobie, że to są raczej wilki, a nie psy. Nic w jego dotychczasowym życiu nie przygotowało go choćby do myśli o wilkach – albo wilczarzach – atakujących ludzi na miejskiej ulicy.

Ale został już tylko jeden.

A potem żaden, bo pies zawarczał, szczerząc zęby w spienionym pysku, i uciekł przez targowisko. Ludzie cofali się przed nim w panice. Przeciął w szalonym pędzie plac na ukos i zniknął w odchodzącej od niego ulicy.

Ned ciężko dyszał. Przyłożył dłoń do policzka i sprawdził – nie było krwi. Spojrzał na mężczyznę obok siebie. Zobaczył, jak wyciera nóż w niebieską serwetkę, która leżała na ziemi przy przewróconym stoliku. Ned odstawił swoje krzesło. Bez wyraźnego powodu poprawił stolik. Znowu trzęsły mu się ręce.

Mężczyzna spojrzał na niego i się skrzywił.

– Przekleństwo na jego duszę – powiedział cicho. – Sądzi, że jest zabawny.

Ned zamrugał. Pokręcił głową, jakby miał wodę w uszach po skoku z trampoliny i niedosłyszał.

– Zabawny? – powtórzył niemądrze.

– Lubi gry. Jak krnąbrne dziecko.

Zbliżali się do nich ostrożnie ludzie.

– Gry? – znów powtórzył Ned wysokim głosem, jakby nie przeszedł jeszcze mutacji. Zdawał sobie sprawę, że niezbyt umiejętnie podtrzymuje rozmowę. – To coś rzuciło mi się do gardła.

– Przecież postanowiłeś wyjść – rzekł mężczyzna. – Bywa, że sami sprowadzamy na siebie swój los.

Powiedział to rzeczowym, tonem, jakim można by wypowiedzieć uwagę o pogodzie lub czyjejs nowej koszuli czy butach. Strzepnął ręką kurtkę i spojrzał na otaczający ich tłum.

– Właściwie sugeruję oddalić się, chyba że chcesz spędzić wieczór, odpowiadając na pytania, na które nie możesz odpowiedzieć.

Ned przełknął ślinę. Mężczyzna patrzył na niego jeszcze przez moment. Wahał się. Kiedy przemówił, Ned musiał się wysilać, by go usłyszeć.

– Jest tego warta, zawsze i bezustannie.

A potem, zanim Ned zdołał coś powiedzieć albo choćby zacząć się zastanawiać nad odpowiedzią, mężczyzna okręcił się na pięcie i ruszył biegiem ulicą prowadzącą na północ, do katedry.

Ned patrzył przez pełną niepewności chwilę na otaczające go przestraszone, zatroskane twarze. Wzruszył ramionami, zrobił nieokreślony gest i też puścił się biegiem.

Skierował się w przeciwną stronę, przez targowisko; słyszał za sobą krzyki. Ktoś nawet chciał go złapać. Ned odtrącił cudzą rękę, nie zwalniając kroku.

Biegł, dopóki nie znalazł się za miastem.

Właściwy rytm chwycił dopiero na Route de Vauvenargues, prowadzącej na wschód w stronę skrótu do willi. Choć był ubrany w dżinsy, a nie w strój do joggingu, to na szczęście na nogach miał sportowe buty. W tej chwili bardzo potrzebował ruchu.

Po drodze zaczął cicho, rytmicznie kłąć. Matka nie znosiła, kiedy przeklinał. Mówiła, że to objaw niedostatku wyobraźni.

Ale jego matka przebywała na obszarze Sudanu objętym wojną domową, gdzie codziennie ginęli ludzie. Neda bolało ramię, miał stłuczony policzek, i był w takim samym stopniu przestraszony, jak zły. Właściwie czuł się tak, jakby miał po raz drugi tego dnia wymiotować.

„Zabawny”? Dla kogoś to było śmieszne?

Przyszło mu na myśl, że mężczyzna – naprawdę potrzebował imienia – powiedział wczoraj prawie to samo o czaszce i rzeźbie głowy.

Ned niemal czuł gorący oddech zwierzęcia, które się na niego rzuciło, gdyby po drodze na dwór nie chwycił tego krzesła – nie miał pojęcia, co mu kazało tak zrobić – jego ciało rozdarłyby zęby bestii.

Jakie to zabawne. Po prostu komiczne. Trzeba to umieścić w „Najdawniejszych domowych filmach Ameryki” razem z tymi wszystkimi ślicznymi zwierzątkami i ludźmi

potykającymi się o stoliki. Do tego ten arogancki sukinsyn okazał się nadzwyczaj wdzięczny. Ani słowa podziękowania.

„Sami sprowadzamy na siebie swój los”.

Cokolwiek to, kurczę, znaczy. Masując w biegu ramię, Ned wymruczał jeszcze kilka słów, przez które, gdyby usłyszało go któreś z rodziców, napytałby sobie sporej biedy.

Cóż, nie było ich tu. I nie na wiele mu się zdadzą w tej sprawie. O cokolwiek w niej chodzi.

„Jest tego warta, zawsze i bezustannie”.

Był pewien, że to właśnie usłyszał.

Kiedy skręcił z głównej drogi w węższą, prowadzącą pod górę do ich willi, te słowa mocno go uderzyły, zadając inny rodzaj ciosu. Wieści z tego nadal odległego, naprawdę skomplikowanego dorosłego świata, do którego najwyraźniej się zbliżał. A także z innego miejsca, położonego znacznie dalej, do którego też chyba właśnie wkraczał, czy mu się to podobało, czy nie.

Po kilkudziesięciu krokach Nedowi Marrinerowi przyszło do głowy, że gdyby chciał, albo gdyby myślał wystarczająco jasno, mógłby jednak wziąć te ostatnie słowa za coś w rodzaju podziękowania. Za wyznanie, wyjaśnienie, nawet przeprosiny od kogoś, kto wyraźnie nie miał ochoty niczego wyznawać ani wyjaśniać i za nic przeproszać.

Kiedy przy najwyższym punkcie drogi oczom Neda ukazała się ich willa, stojąca za nachyloną łąką i trawnikiem, obramowana drzewami, które chroniły ją od wiatru, chłopak myślał o róży umieszczonej poprzedniego dnia obok wyrzeźbionej postaci, niebędącej królową Saby.

ROZDZIAŁ 6

Pozostali siedzieli z drinkami na tarasie. Słońce posyłało z zachodu, znad miasta, długie, ukośne światło. Padało na cyprysy, dom, wodę w basenie i na czworo ludzi siedzących na dworze, malując ich na złoto, upodabniając do bogów.

– Powiniście siebie zobaczyć! – zawołał Ned, idąc żwirowym podjazdem. Starał się mówić wesołym tonem. – To światło jest zdumiewające.

Pomyślał, że w takim momencie można zrozumieć, co ludzie tak uwielbiają w Prowansji.

Nie zatrzymywał się; nie chciał się nikomu pokazywać, dopóki nie obejrzy się w lustrze.

– Wezmę prysznic, zaraz przyjdę.

– Facet, miałeś po mnie zadzwonić, żebym cię przywiózł! – zawołał Greg.

– Dzień jest zbyt ładny! – odkrzyknął, obchodząc dom dookoła, by wejść przez drzwi frontowe, a nie przez taras.

– Ned, dobrze się czujesz?! – zapytał ojciec.

Najwyraźniej powiedzieli mu o tym, co się wydarzyło wcześniej. Chyba musieli. Miał przecież okropne torsi.

– Dobrze – powiedział, nie zwalniając kroku. – Zejdę za dwadzieścia minut.

W holu minął Verakuchnię, która nie wydawała się zbyt zaniepokojona jego wyglądem. Przejrzał się w lustrze w łazience na piętrze, olało go ramię; przez kilka dni będzie mu dokuczało i pojawi się siniak, ale to nie było nic gorszego od kontuzji odnoszonych podczas meczu hokejowego. Policzek chyba nie wyglądał źle. Może nawet nic nie zauważą.

– O mój Boże, Ned! Co się stało z twoją twarzą?! – zawołała Melanie w chwili, gdy wyszedł na taras z colą w ręce.

Melanie, pomyślał. Był gotów się założyć, że żaden z trzech mężczyzn niczego by nie zauważył. Wzruszył ramionami.

– Głupi wypadek. Przy targu z owocami i warzywami potrącił mnie pies i upadłem na kawiarniany stolik.

– Pies? – zapytał ojciec.

– I to duży – odparł Ned, siadając na krześle i swobodnie wyciągając nogi.

Upił coli i postawił ją na stole. Dawno temu Larry Cato powiedział mu, że kiedy się kłamie, należy jak najbardziej się zbliżyć do prawdy, albo bardzo daleko od niej odbiec. Albo jedno, albo drugie. Albo obcy z bronią laserową, albo pies i kawiarniany stolik. Larry był człowiekiem, który miał na takie tematy rozmaite teorie.

– Co, u diabła? – zapytał Steve. – Ugryzł cię?

– Nie, nie, nie. Po prostu upadłem. Odbiegł, kiedy ludzie zaczęli na niego krzyczeć.

Melanie, która na widok Neda od razu poszła do kuchni, pojawiła się z powrotem z lodem w plastikowej torebce owiniętej ściereczką. Podała go Nedowi bez słowa.

– To pewnie była moja wina – ciągnął. – Biegłem przez targowisko, a kto wie, za kogo mnie wziął ten pies. Za terrorystę czy kogoś takiego. – Ojciec Neda patrzył na niego z powątpiewaniem. – Nic mi nie jest, naprawdę. Siniak. Będę żył, tato.

Przyłożył lód do twarzy.

– A co z tym, co się wydarzyło wcześniej? – zapytał ojciec. – Podczas wyprawy samochodem?

Naprawdę miał wiele do wyjaśnienia.

– To było bardzo dziwne – powiedział Ned. – A potem zupełnie mi przeszło. Nic nie mów o zatruciu pokarmowym, bo Verakuchnia się zabije.

– I tak jedliśmy to samo – odezwała się Melanie. – Myślę o chorobie lokomocyjnej i zmęczeniu podróży.

Nedowi udało się uśmiechnąć.

– Myśl dalej, Butch, w tym jesteś dobry.

Steve się roześmiał. Żart z filmu. Ned spostrzegł, że ojciec wciąż go obserwuje.

– Nic mi nie jest, tato. Słowo. Jak było na lunchu?

Edward Marriner odchylił się na oparcie krzesła.

– Bardzo przyjemnie. Przesympatyczny człowiek. Lubi wino. Powiedział, że widzi tę książkę jako bardziej moją niż jego, więc ja powiedziałem na odwrót i natychmiast przypadliśmy sobie do serca.

– A w ogóle to skąd się wzięło to powiedzenie? – zapytał Greg.

Nikt mu nie odpowiedział. Ned nieco się rozluźnił. Słyszał śpiew ptaków, dobiegający ze zbocza nad domem. Poniżej w dolinie, w resztkach dziennego światła lśniło Aix.

– Muszę przyznać, że to jest zupełnie odlotowe – stwierdził Steve, patrząc w tę samą stronę.

Ned zgodził się z nim w duchu. Do zachodu słońca pozostało co najmniej dwie godziny, lecz światło powlekało już wszystko odcieniem bursztynu, a cienie cyprysów padały mocnym akcentem na trawę.

– Mówiłem – powiedział – że można wam zrobić zdjęcie do waszych albumów. – Przyszło mu coś do głowy. – Tato, gdybyś spróbował zrobić to „zdjęcie przynoszące pieniądze” Barretta jakoś o tej porze, to góra wyglądałaby cholernie niewiarygodnie.

– Język, Ned – rzucił z roztargnieniem ojciec. – Niedługo zadzwoni twoja matka.

– Jasne. I niech Bóg broni, żebym zaklął w granicach godziny przed lub po rozmowie z nią, bo się dowie!

Steve znowu się roześmiał.

Ojciec Neda uśmiechnął się szeroko.

– Trafiony. Steve powiedział, że to zdjęcie Barretta jest turystyczne.

– Może nie o tej porze – rzekł Steve. – Możliwe, że Ned ma rację.

A te platany, o których ci mówiliśmy – gdybyś celował obiektywem nie wzdłuż alei, a w poprzek, od zachodu, kiedy pada na nią słońce, to cień drzew, może godzinę później...

– Obejrzymy – stwierdził ojciec Neda. – Pojedziemy tam któregoś dnia, kiedy światło będzie odpowiednie. Jeśli mi się spodoba, możemy przyjechać ze sprzętem kiedy indziej. To tylko... Ile? Dwadzieścia minut jazdy stąd?

– Trochę więcej – odparła Melanie. – Ned, przykładaj lód do policzka.

Ned posłuchał. Lód był naprawdę zimny.

– Jak poszła randka? – zapytał Greg. – Zanim ten pies odpędził cię od laski.

– To nie była randka ani laseczka. Ale spotkanie się udało – odparł Ned zaczepnym tonem. Istnieją jakieś granice.

– Kto to taki? – zapytał ojciec, co było do przewidzenia.

Ned spojrzał na niego wymownie.

– Nazywa się Lolita LaFlamme i jest striptizerką w klubie HotBooty. Ma trzydzieści sześć lat i w wolnym czasie studiuje fizykę nuklearną.

Melanie zachichotała. Edward Marriner uniósł brew.

– Czasami rzeczywiście zapominam – powiedział powoli, muskając dłonią wąsy – że do błogosławieństw mego życia, licznych i znacznych, należy też wychowywanie dorastającego syna. Błyszawszy wątpliwym dowcipem, moje dziecko, mogłobyś mnie oświecić bardziej przekonująco?

Ned wiedział, że ojciec tak mówi, chcąc być zabawnym. Tak naprawdę nie był zdenerwowany. Kiedy ojciec naprawdę wpadał w złość, nie miało się co do tego wątpliwości.

Ned westchnął.

– Kate Wenger, w moim wieku, z Nowego Jorku, na wymianie szkolnej na jeden semestr. Poznałem ją wczoraj. Typ pilnej uczennicy. Pomaga mi przy wypracowaniu – wyrecytował.

Uświadomił sobie – zbyt późno – że powiedzenie tego ostatniego było błędem.

Larry Cato pokręciłby ze smutkiem głową i powiedział: „Facet, nigdy nie mów więcej, niż musisz”.

– Ach. Pomaga ci? Chyba wiem, co to znaczy. Zamierzasz przepisać jej pracę?

Ojciec zapytał łagodnym tonem. Mama by się wściekła.

– Oczywiście, że zamierza przepisać jej pracę! – stwierdził Greg. – Kurczę, szefie, popuść mu trochę cugli, jest na południu Francji!

– Naprawdę znam w przybliżeniu jego położenie geograficzne – odparł ojciec Neda, usiłując nadać głosowi surowe brzmienie.

Przez chwilę patrzył na syna.

– Dobrze. Oto nasza umowa, Ned: możesz wziąć od tej dziewczyny notatki do jednego wypracowania, pozostałe dwa napiszesz sam. Uczciwe?

– Uczciwe.

Tak było, szczególnie że nie mieli żadnego sposobu, by go sprawdzić. Larry nazwałby to bezwarunkowym, całkowitym zwycięstwem.

– I nikt nic nie powie twojej matce, bo inaczej obaj będziemy mieli kłopoty.

– Myślisz, że zamierzam jej powiedzieć?

– Ja mogłabym to zrobić – oznajmiła radośnie Melanie – jeśli pewne niewymienione z imienia osoby nie będą dla mnie miłsze.

– Szantaż jest zbrodnią, stanowiącą zagrożenie dla pokoju i bezpieczeństwa na świecie – rzekł ponuro Ned.

Jakby na zawołanie, w domu zadzwonił telefon.

– Mam odebrać? – zapytała słodkim głosem Melanie.

Jeszcze nie skończyła mówić, a Edward Marriner już wstał z krzesła i wchodził do willi.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Opuścił taras bardzo szybko. Ned zastanowił się nad tym. Najwyraźniej nie tylko on martwił się o matkę i nie tylko on czekał na ten telefon.

Po chwili, kiedy pozostała trójka siedziała w milczeniu, wstał i cicho wszedł do kuchni. Ojciec stał przy stole pod ścianą w jadalni; znajdował się na nim główny komputer i telefon.

Schylając się, by wyjąć jabłko z lodówki, Ned słyszał głos ojca. Umył jabłko w zlewie. Verakuchnia znów się do niego uśmiechnęła.

– To prawie ostrzał, Meghan – usłyszał Ned. I po chwili: – Och, świetnie, skoro ktoś powiedział, że padają gdzie indziej.

Zasmucony Ned ugryzł jabłko.

– Przepraszam, Meg. Nie możesz nam zabronić martwić się – mówił ojciec – tak samo jak my nie możemy ci zabronić wyjeżdżać.

Ned pomyślał, czyby z powrotem nie wyjść na taras. Nie był pewien, czy dobrze się czuje, słysząc to wszystko. Znow go ścisnęło w żołądku.

– Ned czuje się dobrze – powiedział ojciec. – Jest trochę zmęczony po podróży. Tak, oczywiście, że się martwi, usiłuje udawać, że nie. – Chwila przerwy. – Wydaje mi się, że dosyć mu się tu podoba. Kto to wie? W takim wieku? Najwyraźniej już się z kimś zaprzyjaźnił. – Kolejna chwila milczenia. – Nie, nie zaczął jeszcze pisać wypracowań. Kochanie, jesteśmy tu trzy dni. – Znow zamilkł. – Tak, ja pracuję. Co nie znaczy...

Ojciec Neda urwał, a potem, o dziwo, roześmiał się.

Ned uświadomił sobie, że kiedy Edward Marriner rozmawia z żoną, śmieje się inaczej.

– Jest na tarasie z pozostałymi – usłyszał i wycofał się przez kuchenne drzwi na taras.

Melanie podniosła na niego wzrok. Nie mrugnęła ani nie zmieniła wyrazu twarzy, po prostu na niego patrzyła.

Chwilę później zawołał go ojciec. Ned wrócił do środka i wziął słuchawkę. Tata odszedł.

– Cześć, mamó.

– Cześć, kochanie! Co u ciebie?

Połączenie było dość dobre. Głos matki brzmiał tak jak zawsze.

– Świetnie. Ładny dom. Basen i w ogóle. Odwiedź nas.

Roześmiała się.

– Chciałabym. Przyślij mi mejlem zdjęcia. W naszej bazie jest łącze satelitarne.

– Dobra. A u ciebie wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku, skarbie. Jestem zajęta. Mam mnóstwo pracy.

– Na pewno.

– Bardzo tu potrzebują lekarzy.

– Na pewno – powtórzył. – No to dobra, fajnie, że zadzwoniłaś. Trzymaj się.

– Ned?

– Tak?

Chwila milczenia.

– U mnie naprawdę wszystko w porządku.

– Wierzę ci.

Roześmiała się cicho; znał ten śmiech.

– Spraw, żeby mi uwierzył twój ojciec.

– Nie będzie łatwo, mamó.

Więcej nie zamierzał mówić. Jego matka była jednak bystra, naprawdę bystra, i po ciszy, która zapadła, Ned poznał, że stara się znaleźć odpowiedź.

– Daj spokój, mamó. Tylko dzwoń.

– Oczywiście. Tata mówi, że się z kimś zaprzyjaźniłeś.

– Tak, szybko mi to idzie.

Znowu milczenie; zrobiło mu się trochę przykro.

– Nie złość się, Ned – powiedziała, tak jak się tego spodziewał. – Ta praca jest dla mnie ważna.

– Jasne – odparł. – I robisz dużo dobrego. Trzymaj się i dzwoń. Nie martw się o nas. Niedługo zacznę pisać te wypracowania.

Słyszał dobiegający z daleka oddech, wyobraził sobie jej twarz.

– Na razie, mamó – powiedział i się rozłączył.

Musiał zakończyć rozmowę. Patrząc na telefon, kilka razy głęboko odetchnął. Usłyszał, że do jadalni wchodzi ojciec. Odwrócił się. Patrzyli na siebie przez długą chwilę.

– Do jasnej cholery! – odezwał się Edward Marriner.

Ned kiwnął głową.

– Tak. Właśnie – powiedział cicho.

– Uważaj, co mówisz – mruknął ojciec i uśmiechnął się do niego krzywo. A kiedy syn oddał mu uśmiech, dodał, kręcąc ze smutkiem głową: – Chodźmy na kolację. Pozwolę ci się napić piwa.

Pojechali do bistra położonego przy drodze prowadzącej na wschód, ale nie na tyle blisko góry, żeby Ned się martwił tym, co zaszło wcześniej.

To miejsce wybrała Melanie. Miała w swoim notesie około dwudziestu namiarów na restaurację: telefony, specjalności, godziny. Ned pomyślał, że zapewne też nazwiska wszystkich szefów kuchni. Na zielono.

Wszyscy zamówili szparagi, a potem rybę, tylko Ned poprosił o stek i frytki, a na deser mus czekoladowy. Ramię go bolało, ale przecież wiedział, że tak będzie. Kiedy ojciec zaproponował mu małe piwo, Ned podziękował. Nie przepadał za piwem.

Kiedy wracali do samochodu, zadzwoniła jego nowa komórka.

– A niech mnie! – powiedział Greg. – Wiedziałem, że to randka z laseczką. Jak on to robi, że babki tak szybko do niego dzwonią?

– Lepsze kąpielówki – podsunęła Melanie.

– Jasne. A niby skąd miałyby to wiedzieć?

– Kobiety wiedzą takie rzeczy – odparła Melanie.

Na parkingu było ciemno, ale Ned był niemal pewien, że do niego mrugnęła.

Wzeszły już gwiazdy i one też mrugały na granatowoczarnym niebie. Kiedy siedzieli przy kolacji, pojawił się księżyc, niemal w pełni. Ned odszedł kawałek, szurając sandałami po żwirze, i odebrał telefon.

Jakaś kobieta. Nie Kate Wenger.

– Halo, czy to Ned? Ned Marriner?

Nigdy nie słyszał tego głosu. Kobieta mówiła po angielsku, z lekkim brytyjskim akcentem.

– Przy telefonie. Z kim mam przyjemność?

– Jak to dobrze. Tak się cieszę. Ned, słuchaj uważnie. Czy ktokolwiek słyszał, że zadałeś to pytanie? Musisz udawać, że rozmawiasz z kimś znajomym.

– Dlaczego?

To dziwne, naprawdę nigdy przedtem nie słyszał tego głosu, lecz coś w nim było... Jakby odmiana, jakieś brzmienie.

– Obiecuję, że później ci odpowiem. Kiedy wrócicie po kolacji do domu, możesz znaleźć jakiś pretekst, żeby na chwilę wyjść? Przebiec się? Chcę się z tobą spotkać.

– Skąd wiesz, że biegam?

– Obiecuję odpowiedzi. Zaufaj mi.

– I skąd znasz ten numer?

– Jakaś kobieta podała mi go przez domofon przy bramie waszego domu. Pojechałam najpierw tam. Proszę cię, Ned. Musimy się spotkać, na osobności.

– To kwestia z kiepskiego filmu.

Roześmiała się; dzięki temu sprawiała wrażenie młodszej.

– Prawda? Spotkamy się sam na sam pod starym dębem?

– Ale dlaczego? Dlaczego ma tam nikogo nie być?

Zawahała się.

Z każdym wymówionym przez nią słowem miał coraz większe poczucie czegoś niemal znajomego.

– Ponieważ potrafię wyczuć, czy ktoś się zbliża – powiedziała.

– Co? Jak...?

– Wiesz, jak to robię, Ned. Od wczoraj.

To go dość szybko uciszyło. Odszedł jeszcze kawałek dalej.

– Ned! – zawołał ojciec. – Czekamy na ciebie. Zadzwoń do niej z willi.

Uniósł uspokajająco rękę.

– Muszę do nich wracać. A ty wciąż nie powiedziałaś, kim jesteś.

– Wiem. – Usłyszał, że kobieta nabiera tchu. – Denerwuję się. Nie chciałam tego robić w ten sposób. – Kolejna chwila milczenia. – Jestem twoją ciotką, Ned. Starszą siostrą Meghan. Tą, która wyjechała.

Nedowi mocno zabiło serce. Ścisnął telefon.

– Moją... jej...? Jesteś moją ciotką Kim?

– Tak, kochanie. Och, Ned, gdzie się spotkamy?

Szedł w nocy, pod niemal okrągłym księżycem. Wysadzili go u stóp wzgórza, po którym ich droga wiła się między drzewami, prowadząc do willi – Powiedział, że chce się przejść, a nie ma nawet dziesiątej. Matka prawdopodobnie by na to nie pozwoliła, z ojcem poszło mu łatwiej. Przypomniał im, że ma telefon komórkowy.

Nie mógł biec, nie miał odpowiednich butów. Dzięki temu zyskał więcej czasu na myślenie. Nasłuchiwał, czy z tyłu nie zbliża się samochód. Postarał się opisać jej drogę najlepiej, jak umiał. Ciotka powiedziała, że go znajdzie. Mogła też być gdzieś przed nim; nie miał pojęcia, skąd do niego zadzwoniła.

Stwierdził, że wciąż jest oszołomiony, cokolwiek to oznacza.

Uwierzył jej. Przez telefon.

Może to lekkomyślność, ale tak naprawdę nie można nie uwierzyć komuś, kto mówi, że jest ciotką, a do tego tą, której się w ogóle nie zna. Pasowało to też do tego, co zawsze wiedział z podsłuchanych przed snem rozmów dorosłych w drugim pokoju. Ponadto, sensu nabierało wrażenie, że ten głos – akcent i w ogóle – nie jest taki obcy, jak powinien być.

Po rozłączeniu się uświadomił sobie, że jest podobny do głosu matki.

Takie rzeczy mogły sprawić, że się komuś wierzy.

Kiedy się nie biegło, droga wznosiła się dość długo. W końcu dotarł do szlabanu. Stał tam zaparkowany czerwony peugeot z tablicą rejestracyjną firmy wynajmującej samochody.

W środku nikogo nie było. Ned obszedł szlaban, podszedł do drewnianej tablicy, tym razem pod gwiazdami, i skręcił w lewo, w stronę wieży.

Po kilku minutach ujrzał mroczną bryłę, wyłaniającą się na końcu ścieżki. Nie potrafił wymyślić żadnego innego miejsca. Przecież nie znał okolicy. Ciotka powiedziała, że chce się spotkać tam, gdzie nikt nie będzie mógł się do nich podkraść.

Tutaj tłumy nie było, to pewne. Ned znajdował się na ścieżce sam. A przynajmniej tak zakładał. Przyszło mu do głowy, że rozsądnie byłoby wziąć ze sobą latarkę – i w tej samej chwili zobaczył obok wieży światło, napalało się i gasło, zapalało się i gasło.

Chłopak szedł ku niemu z mocno bijącym sercem. Czując się nieco głupio, spróbował sięgnąć w głąb siebie, do tego, co pozwoliło mu wczoraj wyczuć tego mężczyznę w krążgankach, a także dzisiaj po południu w kawiarni.

Stanął jak wryty. Z trudem przełknął ślinę.

Świadomość czyjejs obecności przed nim była tak silna, że aż przerażająca. Gdy jej poszukał, tam gdzie znajdowała się kobieta, w jego myślach pojawił się blask: zielonozłoty, jak liście na początku wiosny.

– To ja, kochanie! – zawołała. Ten sam głos, ten sam delikatny brytyjski akcent. – Ciekawe, że mnie znalazłeś. To chyba musi być cecha rodzinna. Teraz się osłonię. Nie chcę, żeby wiedzieli, że już tu jestem.

– Dlaczego? I kto?

Mężczyzna w kawiarni też mówił o jakiejś osłonie. Ned ruszył w stronę latarki i miejsca, w którym wyczuwał blask ciotki. Co prawda, nie rozświetlał on okolicy, lecz lśnił we wnętrzu Neda, umiejscawiając kobietę jak sonar. Wtem zielonozłoty kolor zniknął.

– Witaj, Nedzie Marrinerze. Siostrzeńcze. Czy mogę cię przytulić, czy to by było nie w porządku?

Siedziała na głazie obok barierki okalającej budowlę. Teraz wstała i zbliżyła się do Neda, który w świetle księżycy po raz pierwszy w życiu ujrzał swoją ciotkę.

Właściwie nigdy się nie zastanawiał, co sądzi na temat przytulania, ale ciotka otworzyła ramiona, więc zrobił to samo i poczuł, jak go przyciąga i mocno ściska.

Po chwili się zorientował, że ciotka płacze. Puściła go i cofnęła się o krok, wycierając oczy grzbietem dłoni. Była szczupła, niezbyt wysoka, zupełnie jak matka.

– Ojej – powiedziała. – Obiecałam sobie, że nie będę płakać. To takie nieodlotowe, wiem.

Odchrząknął.

– Cóż, ciotki zwykle nie są odlotowe.

Uśmiechnęła się.

– Pomyślałam, że spróbuję.

Spojrzała na niego. Z jakiegoś powodu Ned wyprostował się na całą wysokość. Właściwie to było głupie.

– Wyglądasz cudownie – powiedziała. – Od śmierci twojej babci przed dwoma laty nie widziałam żadnych zdjęć.

Ned zamrugał.

– Babcia wysyłała ci zdjęcia? Moje?

– Oczywiście, głuptasie. Była z ciebie taka dumna. Ja też jestem.

– To nie ma sensu – stwierdził Ned. – Przecież mnie nie znasz. Żeby być dumną czy coś w tym stylu.

Przez chwilę milczała, a potem odwróciła się i znów usiadła na głazie. Ned poszedł za nią. Żałował, że nie jest jaśniej, żeby mógł ją lepiej widzieć. Miała bardzo jasne włosy, i Ned się domyślał, że są siwe. Była starsza od jego mamy o sześć czy siedem lat.

– Wiele spraw w rodzinach nie mam sensu, kochanie. Wiele spraw w życiu.

– Jasne – zgodził się. – Rozumiem. To mam teraz jakby wypisane na twarzy.

– Wiem. Dlatego przyjechałam. Powiedzieć ci, że wszystko jest w porządku.

– Skąd wiesz?

– Wczoraj wkroczyłeś na obszar, na którym przebywam od pewnego czasu – powiedziała ciotka, starannie dobierając słowa. – Kiedy do tego doszło, stałam się tego świadoma, świadoma ciebie, tam gdzie byłam. To chyba rodzinne.

– A gdzie byłaś?

Teraz się nie wahała.

– W Anglii. Na południowym zachodzie. W miejscowości Glastonbury.

– Tam... mieszkasz?

– Z twoim wujem, tak. Tam mieszkamy.

– Dlaczego wyjechałaś? Westchnęła.

– Och, Ned. To wymaga takiej długiej odpowiedzi. Czy mogę po prostu powiedzieć, na razie, że czuję się tam lepiej niż gdziekolwiek indziej? Mam... złożony związek z tym miejscem. To nie jest dobra odpowiedź, lecz dobra zajęłaby całą noc.

– Świetnie, ale dlaczego odcięłaś się od... od nas?

Stało się to wiele lat przed jego urodzeniem, na długo przedtem, nim byli jacykolwiek „my”, ale wiedziała, o co mu chodzi.

Złożyła luźno dłonie i podniosła na niego wzrok. To było dziwne, ale nawet w blasku księżycy widział, jak bardzo jest podobna do jego matki, i nawet ten gest, kiedy słuchała, zmuszając się do cierpliwości, był gestem jej siostry.

– Tak naprawdę się nie odcięłam. Zawsze śledziliśmy losy was trojga poprzez moją matkę, twoją babcie. Mówiłam ci, rodziny są dziwne. Meghan czuła, zapewne słusznie, że wychodząc tak szybko za kogoś, kogo ona nawet nie знаła, i od razu wyprawdzając się do Anglii, zrobiłam coś całkowicie nieoczekiwanego. Czuła, że ją opuściłam. Była... bardzo zła. Nie chciała, żebym dzwoniła, pisała listy, a później mejle. Odkładała słuchawkę, nie odpisywała. Kiedy wyjechałam, miała dopiero siedemnaście lat, pamiętasz?

– Jak mogę pamiętać? Zobaczył, że ciotka się uśmiecha.

– Zupełnie jakbym słyszała Meghan. Skrzywił się.

– Przepraszam.

– Nie ma za co, ale wiesz, co mam na myśli? Starsza siostra wychodzi za obcego, w ratuszu, bez porządnej uroczystości, wyprawdza się za ocean, zmienia wszystkie plany życiowe. Bez ostrzeżenia. I było... było jeszcze coś.

– Co?

Westchnęła.

– To prowadzi do całonocnych wyjaśnień. Powiedzmy, że brałam udział w czymś związanym z tym, co poczułeś wczoraj. To rodzinne, Ned, ze strony matki, i sięga bardzo głęboko; zanika i znów się pojawia. A we mnie połączyło się to z pewnymi innymi sprawami, które okazały się naprawdę ważne. I naprawdę, naprawdę trudne. To mnie zmieniło. Bardzo. Uniemożliwiło pozostanie tym, kim byłam wcześniej. I pozostanie tam, gdzie mieszkałam.

W jakiś dziwny sposób brzmiało to tak, jakby ciotka prosiła Neda o wybaczenie.

Pomyślał o tym, jak się czuł tego dnia w pobliżu góry, a wcześniej w kruzgankach. Niemożność wyjaśnienia, zrozumienia.

– Być może mógłbym coś z tego zrozumieć – powiedział.

– Dziękuję, kochanie. – Podniosła na niego wzrok. – Pomyślałam, że będziesz przestraszony i dezorientowany, więc przyjechałam ci powiedzieć, że nie jesteś sam. Nie jesteś pierwszy. W tym.

Zamilkła. Wydawało się, że znów płacze. Pokręciła głową.

– Przepraszam. Przyrzekłam sobie, że nie będę płakać. Twój wuj powiedział, że nie ma na to cienia nadziei. Nawet się z nim założyłam.

– Chyba przegrałaś. Gdzie on jest? Mój wuj.

Wytarła oczy jednorazową chusteczką.

– Nie wiem, czy powinnam ci mówić. Ned pokręcił głową.

– Za wiele tajemnic. To się robi bez sensu.

Wbiła w niego spojrzenie.

– Zapewne masz rację. Między nami, Ned?

Skinął głową.

– Dave jest na północ od Darfuru.

Zajął mu to chwilę.

– W Sudanie? Ale tam... moja mama...

– Tak, tam jest twoja matka. Twój wuj jej strzeże.

Opadła mu szczeka, komicznie, jak na kreskówce.

– Czy ona... czy moja mama o tym wie?

Ciotka roześmiała się głośno. Sprawiała wrażenie o wiele młodszej.

– Czy Meghan wie? Oszalałeś? Ned, ona by... ona by się zapłula ze złości!

Szczerze mówiąc, nie potrafił sobie wyobrazić zaplutej matki. Może jako dziesięciolatka... ale nie potrafił też jej sobie wyobrazić jako dziesięcioletniej dziewczynki. Albo siedemnastolatki, która czuje się porzucona przez siostrę.

– Chciałbym to dobrze zrozumieć. Mój wuj jest tam incognito? Żeby mieć oko na mamę? – zapytał naprawdę bardzo ostrożnie.

Ciotka Kim skinęła głową.

– Mówiłam ci, śledzimy losy was wszystkich. Ale martwię się głównie o nią.

– Dlaczego o nią?

Milczała.

– Zbyt wiele tajemnic – powtórzył.

– Chodzi o twoją matkę, kochanie. To nieuczciwe... ta nasza rozmowa...

– Trudno. Powiedz mi, dlaczego?

– Bo myślę – odparła z powagą – że w pewnym stopniu Meghan robi to wszystko – wyjeżdża do stref działań wojennych, wybiera najgorsze miejsca – w odpowiedzi na to, co ja zrobiłam i o czym jej powiedziałam tuż przed wyjazdem. To był z mojej strony błąd.

Ned milczał. Nie miał pojęcia co powiedzieć. Czuł, że zaraz zacznie dygotać.

Spostrzegłszy to, ciągnęła cicho:

– Myślała... że będę ambitną lekarką, że będę się starała czynić dobro na wielką skalę. Mówiłam o tym, kiedy była mała. Starsza siostra dzieliła się swoimi planami na przyszłość z młodszą siostrą. A potem... miałam to doświadczenie i wszystko się zmieniło. Wyjechałam do wioski w Anglii, by spędzić życie jako wiejska lekarka. Przyjmować porody i robić

badania kontrolne. Zajmować się ciekącymi nosami, podawać szczepionki przeciwko grypie. Robić wszystko na dużo mniejszą skalę. Po tej jednej wielkiej rzeczy, której nie rozumiała albo nie przyjęła.

– Tym... tym się zajmujesz?

– Ciekącymi nosami? Tak. Mam też ogród – dodała.

Ned potarł kark.

– I myślisz...?

– Myślę, że Meghan pokazuje mnie i sobie, kim powinnam być. Co odrzuciłam. Odrzucając ją. I udowadnia, że potrafi robić to lepiej.

Ned milczał. Po napieraniu się, by to usłyszeć, nie wiedział, czy miał rację, czy naprawdę chciał się tego dowiedzieć.

– Posłuchaj, Ned. Ludzie robią wspaniałe rzeczy ze złożonych przyczyn. To się zdarza cały czas. Tam, gdzie jeździ twoja matka, jest bohaterką. Ludzie ją podziwiają. Może tego nie wiesz, bo prawdopodobnie o tym nie mówi. Ale twój wuj wie, on tam był i widział.

– Robił to już wcześniej?

– Tylko wtedy, gdy wiedzieliśmy, że Meghan jedzie tam, gdzie jest bardzo źle. – Zawahała się. – Do tej pory trzy razy. Teraz jest czwarty.

– Skąd? Skąd wiedziałaś, dokąd wyjeżdża?

Odniósł wrażenie, że ciotka się krzywi w ciemności.

– Dave ma sporo umiejętności. Między innymi zna się na komputerach. Potrafiłby to wyjaśnić o wiele lepiej ode mnie.

Ned chwilę się zastanawiał, a potem wytrzeszczył oczy.

– Jezu! Mój wuj włamał się do serwera Lekarzy Bez Granic?

Ciotka Kim westchnęła.

– Nigdy mi się nie podobało to słowo. „Włamać się” brzmi tak nielegalnie.

– Cóż, to jest nielegalne!

– Chyba tak – powiedziała z nutą niezadowolenia w głosie. – Mówiłam mu, że tego nie pochwalam. Twierdzi, że musi wiedzieć, co robi Meghan, i to z wystarczającym wyprzedzeniem, by zdążyć tam dotrzeć na czas.

Ned pokręcił głową.

– Świetnie. Więc tak po prostu rzuca własne sprawy i też tam jedzie. A... a co mój wuj Dave zamierza zrobić, gdyby mamę zaatakowali albo porwali rebelianci? W Iraku, Ruandzie czy gdziekolwiek indziej?

Gniew, z którym żył, strach, tępy niczym ból, twardy jak nagniotek w sercu.

– Zapytaj go o to, gdy go poznasz – powiedziała cicho ciotka. – Nigdy nie spotkasz nikogo, kto będzie lepiej umiał sobie poradzić w takich miejscach. Uwierz mi.

Spojrzał na nią. – A robi to, bo...?

– Robi to dla mnie. Bo czuję się odpowiedzialna.

Teraz w jej głosie zagościła inna nuta. Ned spojrzał na siedzącą na głazie ciotkę. Wciąż miała złożone dłonie.

– No, no – powiedział w końcu. – To się dopiero nazywa kontrola.

Myślałem, że moja mama przesadza. Czy to kolejna cecha rodzinna? Kiedy ostatnio sprawdzałem, miała czterdzieści kilka lat. A ty wciąż czujesz się za nią odpowiedzialna?

Znowu się roześmiała, tym razem ze smutkiem.

– Jeśli się przyznam, że lubię się zamartwiać, ukarzesz mnie jedynie naganą? I proszę cię, Ned, nie wolno ci jej powiedzieć!

– Zapluje się?

– Zechce mnie zamordować maczetą.

– Moja matka? Czy ty...

– Cśśś! Zaczekaj!

Ton jej głosu zmienił się; zabrzmiał w nim, o dziwo, rozkaz. Ned znieruchomiał, nasłuchując. Wtem on też coś usłyszał.

– Cholera – szepnęła ciotka. – Nie uważałam.

– Zakląłaś – zauważył odruchowo Ned; tak robił, kiedy coś się wymknęło jego matce.

– Tak, do diabła! – rzekła ciotka; matka tak nie odpowiadała. – Możemy mieć kłopoty. Cholera! Popęłiłam błąd, i to poważny. Ale dlaczego miałyby nas atakować? Co tu się dzieje, Ned?

– Dlaczego ktoś miałby nas atakować?

– Wilki.

– Co? Nie ma mowy. Wilki są w większości wegetarianami. Nauczyłem się tego w zeszłym roku w szkole.

– To powiedz im, żeby sobie znalazły bar sałatkowy – powiedziała ponuro ciotka Kim.

Ned usłyszał trzask gałązek i szelest liści, dobiegający z lasu leżącego na północ od nich, z miejsca gdzie ścieżka zaczynała zbiegać ku miastu.

– Masz cokolwiek? Scyzoryk? – zapytała ciotka. Pokręcił głową. To pytanie go zmroziło.

– Więc szybko znajdź jakąś gałąź i wracaj do wieży.

Włączyła latarkę i powiodła promieniem światła po pasie ziemi dzielącym ich od drzew.

Ned zauważył błysk oczu.

Chociaż to wszystko wydawało się nierealne, bardzo się wtedy wystraszył. Ciotka Kim oświetliła obszar bliżej nich i Ned zauważył złamaną gałąź; popędził po nią.

Wtedy usłyszał twardy, zimny głos ciotki, mówiącej w nieznanym mu języku. Ciemność odpowiedziała jej ciszą.

– Co? – wydyszał, wróciwszy biegiem do ciotki. – Co przed chwilą...?

– Zapytałam, dlaczego przyszły niepokoić żywych.

– Żywych? To znaczy ludzi, tak? Nas?

– To znaczy to, co powiedziałam. To są duchy, Ned, które przybrały postaci zwierząt. Przybyły za wcześnie, nie są tak silne, jak będą za dwie noce.

Dwie noce.

Jasne, pomyślał Ned. O tym wiedział. Beltaine. Oś roku – wtedy pojawiają się dusze.

A przynajmniej tak mu mówiła babcia, kiedy opowiadała o dawnych zwyczajach. Babcia miała na imię Deirdre i wychowała się w Walii; była pół Walijką, pół Irlandką. Stał teraz obok jej starszej córki. Sprawy, z którymi musiał dojść do ładu, pojawiały się naprawdę szybko, a on nie wiedział, co to wszystko znaczy.

Kiedy jednak sięgnął do wnętrza, znów znalazł tam zielonozłotą obecność. To była Kim. Już się nie osłaniała.

– Mówiłaś po walijsku?

– Po galijsku. Ten język jest bardziej podobny do tego, którym by się posługiwały dawno temu. Mam nadzieję.

– Znasz galijski?

Głupie pytanie.

– Uczyłam się go dość długo. Mam okropny akcent, ale jeśli się nie mylę, to one mnie zrozumieją.

Dawno temu. „Kiedy”, chciał zapytać. Czasami, gdy ma się tyle pytań, pomyślał Ned, nie wiadomo, od czego zacząć.

Kolejny dźwięk, tym razem z prawej, od strony ścieżki. Znajdowali się daleko od szlabanu i samochodu, od drogi, świateł, od kogokolwiek.

– Nie odpowiedziałeś mi – odezwała się Kim. – Ned, co robisz, co je do ciebie przyciąga?

– Nic celowego, uwierz mi. Spotkałem kogoś w katedrze. Który... on... to skomplikowane.

– Zapewne – odparła oschle. – Tak zwykle bywa.

Pokazała ręką i oboje przeszli tyłem przez niską barierkę, cofając się ku zakrzywionej ścianie wieży. Wydawało się, że słowa wypowiedziane przez ciotkę w obcym języku zmroziły czające się stwory.

Znów błysnęła latarką, znalazła następnego wilka. Cztery, pięć? Podczas gdy wpatrywali się w miejsce, z którego dobiegł ostatni dźwięk, Ned usłyszał z lewej, za ciotką, skrobanie.

Nie myśląc, całkowicie instynktownie przeszedł za nią i mocno się zamachnął gałęzią jak kijem do baseballa.

Trafił wilka w głowę. Był cięższy od psa z poprzedniego popołudnia. Nie okręcił się ani nie wywinął koziołka, tylko padł na ziemię. Ned krzyknął, poczuwszy siłę uderzenia w uszkodzonym ramieniu.

Ciotka znów zaklęła. Ned usłyszał, jak rzuciła coś krótko, niemal warknęła, w tym samym języku co przedtem, i chociaż nie zrozumiał ani słowa, zmroziła go wściekłość w jej głosie.

Lodowaty ogień, pomyślał. Istniało odpowiednie słowo to określające, jedna z tych głupich rzeczy, o które pytają na testach z angielskiego.

Kim powtórzyła to, co powiedziała przed chwilą, z tą samą intonacją, ale nieco wolniej.

Ned niemal poczuł, jak wszystko wokół wstrzymuje oddech, jakby sama ciemność reagowała na Kim. Klęczał na jednym kolanie, trzymając się za ramię. Wilk leżał na tyle blisko, że Ned go widział. Nie poruszał się.

– Dobra robota – pochwaliła go cicho ciotka. – Coś ci się stało? – W ramię, ale nie teraz. Po południu musiałem walczyć z psem.

– Co? Ned, co tu się dzieje?

– Wplątałem się w coś. Potem powiedział, że to tylko takie ich gry. Z nim, nie ze mną. Przez chwilę się nie poruszała.

– Kto tak powiedział, Ned? – zapytała wreszcie.

– Ten człowiek z katedry. Chyba jest częścią tego wszystkiego. – Ależ oczywiście. Dlatego jesteś śledzony. Potrafisz go osiągnąć?

– Jak SMS-em?

Ciotka parsknęła śmiechem.

Ned uznał, że jednak jest odlotowa, chociaż ciotki podobno takie nie bywają.

– Nie, nie tak. Potrafisz zobaczyć go tak jak mnie, zaglądając do wewnątrz?

Zawahał się.

– Już tak było. Widziałem go. Dwa razy. Powiedział, że umie się osłaniać.

– Na pewno. Nie widzę go. Spróbuj ty.

Ned spróbował. Czuł się tak samo głupio jak poprzednio, chociaż, kiedy się nad tym zastanowił, może niedokładnie tak samo. Była tu jego ciotka, a jej blask naprawdę w sobie wyczuwał.

Ale tylko jej. Nie mężczyzny z blizną, który powiedział im w krążgankach, że nie ma imienia. Ned pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co robię – wyznał.

– No bo skąd? – odparła łagodnie. – Między innymi dlatego przyjechałam. Żeby ci powiedzieć, że w niewiedzy nie ma nic złego.

– Dlatego?

Kiwnęła głową.

– Oraz z paru innych powodów.

Od kiedy wypowiedziała ostre słowa w nieznanym Nedowi języku, a on uderzył wilka gałęzią, żadne ze zwierząt nie wydało dźwięku.

– Odeszły? – zapytał Ned.

Kim odwróciła się i rozejrzała. Odniósł wrażenie, że wcale się nie rozgląda albo że niepotrzebne są jej do tego oczy.

– Czekają – rzekła. – Naprawdę chciałabym wiedzieć, o co tu chodzi. Jak ramię?

– Nigdy już nie będę grał na tubie.

– Bardzo śmieszne – stwierdziła z irytacją. – Jesteś taki sam jak twoja matka.

– Mama tak żartowała?

– W twoim wieku? Bez końca.

To było dla niego odkrycie.

– Na co one czekają? – zapytał.

– Niedługo się dowiemy. Staraj się odnaleźć twojego przyjaciela.

– On nie jest moim przyjacielem, zapewniam cię.

Za nimi rozległ się jakiś dźwięk. W tej samej chwili usłyszeli głos:

– Nie jest. Dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał.

Odwrócili się błyskawicznie.

Ujrzeni coś, czego Ned nigdy nie zapomniał – mimo wszystkich późniejszych wydarzeń. To, co zjawia się w chwili przełomu, często długo z nami pozostaje.

Przed zrujnowanym wejściem do wieży stał ogromny mężczyzna o szerokich barach. Miał długie jasne włosy, ciężki złoty naszyjnik i złote bransolety na ramionach. Był ubrany w tunikę i ciemniejszą kamizelę podbitą futrem, wąskie spodnie i sandały związane rzemieniami wokół łydek.

I miał rogi, jak jeleni.

To nie był hełm z rogami czy coś podobnego, jak w pierwszej chwili pomyślał Ned. Mężczyzna nie miał hełmu. Rogi wyrastały mu prosto z głowy.

To w tym momencie Ned Marriner w końcu pogodził się z tym, że wkroczył do świata, na który dotychczasowe życie zupełnie go nie przygotowało. Nie miał już siły zaprzeczać; czuł, jak strach zwija się i skręca w jego ciele niczym wąż.

– Jak się tam dostałeś? – wyjąkał.

– Przyleciał. Najprawdopodobniej jako sowa – powiedziała ciotka z przerażającym dla niego spokojem. – Może przybierzesz własną postać? – dodała niemal mimochodem, zwracając się do stojącego przed nimi człekozwierza. – Bawienie się postaciami to gra. A ta jest dowodem braku szacunku. A nawet świętokradztwem.

– Niemądra myśl – odparła wysoka, rogata postać. Rozmawiali po francusku, w dziwnie oficjalny sposób. – Pod moją własną postacią jestem dla ciebie zbyt piękny, kobieto. Błagałabyś mnie, bym cię posiadał, tu, na oczach dziecka.

Ned się nasrożył, zacisnął pięści, ale jego ciotka tylko się uśmiechnęła.

– Mało prawdopodobne – mruknęła. – Widywałam pięknych mężczyzn i udawało mi się zachować panowanie nad sobą. – Podniosła wzrok na przybysza i dodała: – Widywałam też boga, którego kształt przybierasz, a także jego syna, który rozkazywał wilkom o wiele groźniejszym od tych słabych duchów. – Znów zmienił jej się głos. – Posiadasz moc zmieniania postaci. Widzę to. Nie spodziewaj się, że napelni mnie to lękiem. Znałam mężczyzn i kobiety mających tak dalece większą moc, że nie istnieją słowa, by to wyrazić. Nigdy nie wątp w me słowa. Mówię niezaprzeczalną prawdę, w blasku księżyca na skraju dąbrowy.

Ned zadrżał. Nic nie mógł na to poradzić.

To moja ciotka, pomyślał.

Płowowłosa postać z jelenimi rogami patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

– Jeśli tak beztrąsko mówisz o panu wilków albo bogu, to jeden z nich lub obaj mogą kazać ci za to zapłacić.

– Prawda. Gdybym o nich mówiła beztrąsko.

Stojąca przed nimi postać się zawahała.

– Jesteś bardzo pewna siebie, kobieto. Kim jesteś? Dlaczego w to wkroczyłaś? To dla ciebie nic nie znaczy, nic w tym dla ciebie nie ma.

Kim pokręciła głową.

– W nic nie wkroczyłam, poza tym, że jestem przewodniczką mojego siostrzeńca. On nie ma żadnej mocy, jedynie początki widzenia, i nie stanowi dla ciebie zagrożenia. Ma być pozostawiony w spokoju.

– Ach! Ona czegoś żąda. A jeśli się nie zgodzę?

Ned usłyszał ciche słowa siostry jego matki:

– Bądź pewien, że wezwę moce, które wyrzucą cię z czasu i sprawią, że spotka cię koniec. Nigdy nie uczynisz tego, po co tu przybyłeś.

Milczenie przed nimi. Cisza za nimi. Ned się zastanawiał, czy pozostali słyszą łomotanie jego serca.

– Mądrym człowiekiem jest ten, kto zna swoich prawdziwych wrogów – dodała cicho Kim.

– Nawet nie wiesz, o co tu chodzi. Po co tu przybyłem. – Mimo to w głosie przybysza pojawiła się teraz nuta zwątpienia. Ned wyraźnie ją słyszał.

– Oczywiście, że nie – rzekła lakonicznie ciotka Kim. – I wcale mnie to nie obchodzi. Rób, co musisz. Powiedziałam ci, co jest moim jedynym celem. Przyjmiesz to, i odejdziemy. Nie przyjmiesz, to, kiedy twoje marzenia się nie ziszczą, będziesz mógł winić tylko siebie.

– Tego popołudnia chłopiec walczył u boku mężczyzny, którego muszę zabić.

– A zatem zabij go, jeśli takie jest twoje przeznaczenie. Lecz chłopiec jest mój i pozostanie nietknięty. Nie pragnie się wtrącać.

– Doprawdy? Może mówić za siebie czy też wszystko za niego robi kobieta, jakby był oseskiem?

Ciotka Kim otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, lecz uprzedził ją rozzłoszczony Ned:

– Umie mówić i nieźle mi to idzie. Nie mam pojęcia, co to było tego popołudnia, ale ktoś, z kim siedziałem w kawiarni, został zaatakowany. Czy ty patrzyłbyś na to z boku?

Chwila milczenia.

– Szczenię pokazuje zębki – powiedział mężczyzna i wybuchnął głębokim, szczerym śmiechem, którego fala przetoczyła się nad Kim i Nedom. – Oczywiście, że nie patrzyłbym na to z boku. Przyniósłbym w ten sposób wstyd mojej rodzinie i plemieniu. To nie oznacza, że nie mogłeś wtedy zginąć.

– Powiedział, że to taka twoja gra.

Kolejny wybuch śmiechu; mężczyzna odrzucił rogatą głowę do tyłu. Było to w takim samym stopniu ekscytujące, jak przerażające.

– Naprawdę? Tak powiedział? – Jasnowłosa postać spojrzała na Neda. – Ach, sprawiasz mi przyjemność! Na wszystkich bogów, ja jestem jego panem. On to wie z każdym płytkim oddechem, który robi. A jeśli chodzi o ciebie: dzieci już umierały w trakcie gier.

– Chyba w trakcie takich gier. – Ned nadal był wściekły. – Powiedz mi więc, spraw mi przyjemność, czy zabiłem dzisiaj twego czworonożnego przyjaciela? Krzestem?

Poczuł, że Kim kładzie mu ostrzegawczo dłoń na ramieniu. Nie miał ochoty na takie gesty.

– Znajdował się pod postacią, którą przybrał na tamtą chwilę – powiedziała rogata postać. – Tylko tyle. Teraz jest za tobą w innym kształcie.

Powiedz mi, niemądre dziecko, o co tu, twoim zdaniem, chodzi?

– Już ci powiedzieliśmy – warknęła Kim. – Nie wiemy. I nie przyjmujemy żadnej roli. Chyba że nas zmusisz. – Zamilkła, a potem dodała zniższym tonem: – A zmusisz mnie? Mam wezwać Liadona od jego ofiary?

Ned zobaczył ze zdumieniem, że wysoki przybysz cofa się szybko o krok, zaskoczony; głowę znów uniósł wysoko i blask księżyca padł na rogi.

– Znasz imię, którego nie powinnaś znać – powiedział cicho po długiej chwili. – Jest strzeżone i święte.

– A ja mam do niego dostęp – rzekła Kim. – A także widziałam tego, którego przedrzeźniasz swymi rogami.

– Nie przedrzeźniam – zaprotestował mężczyzna, lecz teraz sprawiał wrażenie, jakby się bronił.

– Prowadzisz grę, odziany w jego rogi? Nie? Naprawdę? To ty jesteś dzieckiem, któremu mają wybaczać dorośli? Niedojrzałym dzieckiem?

– Dosyć, kobieto! – powiedział stojący przed nimi mężczyzna. – Przebywam wśród tych gajów i stawów, przychodzę i odchodzę, wracam i znikam od ponad dwóch tysięcy lat!

Ned przełknął z trudem ślinę. Usłyszał dalsze słowa:

– Czy tak według ciebie zachowuje się dziecko?

Ned się przestraszył, naprawdę przestraszył, i ze zdumieniem myślał o swojej niedawnej lekkomyślności, lecz ciotka Kim powiedziała tylko:

– Możliwe. Oczywiście, że to możliwe! Zależnie od tego, co robisz, kiedy tu przebywasz. Pokaż mi coś innego: odejdz od nas, i to nie pod tą postacią. Chcę wrócić do swojego domu. To twoje miejsce, nie moje. Przysięgnij, że zostawisz chłopca w spokoju, a zniknę z twoich gier. I bitew.

Wysoka, wspaniała postać patrzyła na nią z góry, jakby się starała przeniknąć przez blask księżycy do jakiejś głębszej prawdy.

– Jak się nazywasz?

Kim pokręciła głową.

– Tego ci dzisiaj nie powiem.

Uśmiechnął się wtedy, znów nieoczekiwanie błyskając zębami, a potem się roześmiał.

– Me serce przepęlnia smutek. Ja podarowałbym ci moje, i to dobrowolnie, o jasna, gdybym je tu miał.

Kim nie odwzajemniła mu uśmiechu.

– Czekasz na nie? – zapytała.

– Ona mi je nada. Zawsze to robi.

– Wam obu?

Ned zastanawiał się nad tym samym.

Znów chwila wahania.

– Nam obu. – Spojrzał na nią z góry. – I wtedy wszystko się zacznie, i może znów go zabiję, i zaznam płynącej z tego radości.

Patrzył jeszcze przez moment na Kim, zupełnie nie zwracając uwagi na Neda; następnie uniósł wielką głowę i wypowiedział chrapliwie kilka słów w jeszcze jednym języku nieznanym chłopcu. Usłyszeli za plecami warknięcie, po czym zwierzęta się oddaliły, depcząc z traskiem leżące na ziemi gałązki.

– Nie wtargniesz do tego? – zapytał ponownie rogowaty mężczyzna.

– Chyba że mnie zmusisz – odparła Kim. – Będziesz się musiał pogodzić z tym jako wystarczającym zapewnieniem.

Znów błysnął zębami.

– Godziłem się z mniej pewnymi.

Odwrócił się i wszedł do okrągłej wysokiej wieży, schylając i przekręcając głowę, by rogi zmieściły się w otworze.

Stali przez chwilę i czekali. Rozległ się ostry dźwięk. Spojrzeli w górę i Ned zobaczył, jak znad pozbawionej dachu wieży wzlataje sowa i oddala się na północ.

Patrzyli za nią.

Kim westchnęła.

– Powiedziałam mu, żeby zmienił postać. Chyba rzeczywiście lubi gry.

Ned spojrział na ciotkę. Odchrząknął.

– Mało brakowało – mruknęła. Wsparła się o zdrowe ramię siostrzeńca. – Od dawna nie próbowałam czegoś takiego.

– Jak to?

Kim cofnęła się o krok i spojrzała na niego.

– Ojej. Ned, myślałeś, że potrafię zrobić coś z tego, o czym mówiłam? Skinął głową.

– Hm, no, tak jakby.

Westchnęła.

– No to cię nabrałam.

Zapatrzył się na nią. Zrobiło mu się zimno.

– Blefowałaś? Czy oni... czy oni mogli się tego domyślić?

Jej usta drgnęły w grymasie, który Ned często widywał u matki.

– Chyba nie. Ale niech to licha, tak bardzo bym chciała, żeby teraz był tutaj twój wuj.

ROZDZIAŁ 7

Potem Ned Marriner miał uznać dwudziesty dziewiąty kwietnia owego roku, spędzony głównie w Arles wśród rzymskich i średniowiecznych ruin, za ostatni dzień swego dzieciństwa.

Było to nadmierne uproszczenie; myśli tego rodzaju zawsze są uproszczone. Ale układamy opowieści o naszym życiu, kiedy je wspominamy, poprzez znajdowanie lub tworzenie wzorów.

Zmieniamy się przyrostowo, stopniowo, nie szokująco ani dramatycznie, lecz nie dzieje się tak z każdym, a przez dwa poprzednie trudne dni Ned już się nauczył, w jaki sposób jest odmienny. Większość ludzi na przykład nie widzi swoich ciotek jako zielonożłotego światła wewnątrz siebie.

W słoneczny, wietrzny poranek wśród pomników Arles Ned raczej o tym nie rozmyślał. Będąc w pewnym wieku, nie zechciałby się do tego przyznać, ale dobrze się bawił, bez względu na to, jak mogłoby się to wydawać głupie.

Rzymska arena była poważnie – bez jaj – imponująca.

Nigdy nie był w Rzymie. Rozumiał, że tamtejsze Koloseum jest o wiele większe, lecz ta arena była dla Neda w porządku. Dwudziestotysięczna widownia dwa tysiące lat temu oglądała ludzi walczących ze sobą albo z dzikimi zwierzętami w tak potężnym miejscu. A ono wciąż istniało.

Nawet Larry Cato być może poczułby się zmuszony przyznać, że to poniekąd odlot.

Przyjechali najpierw tutaj, spędzając godzinę w porannych korkach. Ojciec i pozostali natychmiast wzięli się do pracy, by wykorzystać wczesne światło do zrobienia zdjęcia restaurowanych wysokich kamiennych murów areny: po prawej stronie lśniły niemal bielą, a po lewej nosiły brudne świadectwo wieków.

Zawiadomione znacznie wcześniej przez Melanie i Barretta Reinhardta, władze miejskie usunęły rusztowania, co dało ojcu Neda szerokie pole widzenia. Wiosenne słońce świeciło jaskrawo, powiększając kontrast między lewą i prawą stroną, nietkniętą i oczyszczoną częścią murów.

Zdjęcie zapowiadało się rewelacyjnie, widział to nawet Ned, a i tak zdradzała to postawa i ruchy jego ojca, kiedy ustawiał sprzęt. Edward Marriner obserwował chmury gnane wiatrem

po niebie: zamierzał spróbować ustawić migawkę i jedną chmurę schwytać na drugim planie, na pół w kadrze.

Ned zostawił ich przy pracy.

Wszedł do środka budowli i chodził między kamiennymi siedziskami, patrząc na jasny piasek poniżej. Obecnie odbywały się tu walki byków. Wszystko się zmieniło – nic się nie zmieniło. Tłumy wciąż przychodziły tu oglądać walki.

W średniowieczu, jak podawał przewodnik, w tych zakrzywionych ścianach mieściło się jakby getto, nędzne, rozpadające się rudery wewnątrz budowli sławiącej potęgę Rzymu. Jeśli się lubi ironię, to jest odpowiednie miejsce, pomyślał Ned. Larryemu na pewno by się spodobało.

Spojrzał na szkic tych średniowiecznych slumsów w książce, którą dała mu Melanie. Pomyślał, jak by to było żyć w świecie upadłym tak nisko, walczyć o przeżycie w otoczeniu świadectwa chwały, górującego nad rozpadającymi się ściankami i błotnistymi zaułkami.

Uznał, że na pewno nie miałyby się poczucia, że z czasem świat się rozwija albo polepsza. W książce było napisane, że raz podczas wybuchu epidemii władze Arles otoczyły arenę i zabijały wszystkich, którzy usiłowali się wydostać ze slumsów.

Ned pomyślał, że obecnie świat jest być może troszeczkę lepszy.

Przeciskając się obok siedzisk, obszedł arenę do miejsca, skąd wypuszczano byki. Mógł stamtąd zeskoczyć przez barierkę na piasek.

Na arenie znajdowali się ludzie – włączając w to dużą grupę turystów z Japonii – ale Ned im najwyraźniej nie przeszkadzał. Zobaczył, że robią mu zdjęcia. Czasami zastanawiał się nad tym, jak często ludzie stają się przypadkowymi twarzami w tle w czyimś albumie albo pudełku ze slajdami.

Gdyby był trochę młodszy, mógłby udawać gladiatora albo torreadora, ale nie jako piętnastolatek, i to na oczach ludzi. Przeszedł się tylko po arenie, ciesząc się słońcem i rozmiarami budowli. Po drodze do Arles ojciec powiedział, że Rzymianie byli inżynierami i budowniczymi dróg, świątyń, akweduktów i aren. Cokolwiek się o nich myślało, tę sprawiedliwość należało im oddać.

Ned zastanawiał się, czy była tutaj i widziała to miejsce Kate Wenger. Przyszło mu do głowy, żeby do niej zadzwonić, ale doszedł do wniosku, że na pewno jest w szkole. Poza tym było za wcześnie, zdecydowanie nie w porzo na taki telefon.

Mimo to myśl o niej, siedzącej w klasie, wywołała uśmiech na jego twarzy. W domu, o tej porze on też byłby w szkole.

Wyjął swojego canona i pstryknął parę zdjęć. Wyśle je do Larryego i Vica, zapyta, jak było dziś na biologii i ile im zadano do domu. Może poprosi Steve'a, żeby zrobił mu zdjęcie w basenie willi, które też mógłby wysłać. Przy jego przyjaciółach trzeba chwycić chwilę, dopóki ma się w rękę asa.

Ned zastanawiał się nad tym przez chwilę. Chwywanie chwili z asem w rękę: pan Drucker nazwałby to mieszaną przenośnią i obniżyłby mu ocenę. Ned uśmiechnął się pod nosem. Pan Drucker był za oceanem.

Lunch zjedli w restauracji z tarasem wychodzącym na ruiny rzymskiego teatru, położonej na obrzeżu centrum. Dołączył tam do nich Oliver Lee, autor tekstu do albumu. Mieszkał za miastem, na północy.

Lee był po sześćdziesiątce, wysoki i zgarbiony; miał wymięte ubranie, worki pod jasnymi oczyma, okulary do czytania na łańcuszku i długie, niezbyt zdyscyplinowane srebrzyste włosy sterczące we wszystkie strony, sprawiające, że wyglądał, jakby stale był czymś zaskoczony. Co pewien czas przeciągał po nich ręką, co przynosiło głównie negatywny skutek. Miał na sobie marynarkę, krawat w ukośne paski i palił fajkę. Krawat i marynarkę znaczyły ślady popiołu. Zupełnie jakby został obsadzony w roli brytyjskiego pisarza.

Poza tym był zabawny i doskonale snuł opowieści. Wyglądało na to, że wiele wie o winie i prowansalskiej kuchni. Znał też kucharza, który pośpiesznie przyszedł się z nim przywitać, entuzjastycznie całując go w oba policzki. Francuski akcent i gramatyka Lee nie były dobre, co dziwiło po jego trzydziestoletnim pobycie w Prowansji. Prawie każdego czasownika używał w czasie teraźniejszym. Podchodził do tego ze smutkiem i nazywał frangielskim.

– Uparci Brytyjczycy to moje pokolenie – rzekł. – Wciąż żałujemy, że przed pięciuset laty znów oddaliśmy Francuzom Calais, i jesteśmy zbyt wyniośli, by poświęcić czas na porządną naukę jakiegokolwiek języka. To niemal sprawa honoru, by się wysławiać niegramatycznie.

– To po co się tu przeprowadzać? – zapytał Edward Marriner.

Znów był w dobrym nastroju. Poranna sesja najwyraźniej poszła dobrze. Ku zaskoczeniu Anglika, po jednym kieliszku wina przerzucił się na wodę – czekało go pracowite popołudnie.

Oliver Lee machnął ręką w stronę lśniącego marmuru rzymskiego teatru leżącego po drugiej stronie ulicy, gdzie wśród kamieni i ciemnozielonej trawy rosły tu i ówdzie drzewa.

– Słońce i wino, ruiny i oliwki. Pradawne, wszechwiedzące morze o godzinę drogi. I trufle! Próbowaleś tutejszych trufli?

Ojciec Neda pokręcił ze śmiechem głową.

Lee opróżnił do połowy trzeci kieliszek wina i uśmiechnął się przyjaźnie, bawiąc się fajką.

– Ale głównie chodziło o słońce. Przeżyłeś kiedyś zimę w Oxfordshire?

– Proszę spróbować w Montrealu! – odezwała się Melanie.

Oliver Lee odwrócił się do niej.

– Gdybyś mnie tam powitała, a ja byłbym choćby o dziesięć lat młodszy, moja droga, z chęcią spróbowałbym w Montrealu.

Ned zamrugnął, a potem zrobił to jeszcze raz. Melanie się zarumieniła.

– No, no! – powiedział Greg, patrząc na nią. – Jestem pod wrażeniem!

Nigdy nie widziałem u niej czegoś takiego.

– Cicho – powiedziała Melanie, wbijając wzrok w talerz.

– Interesujące – skwitował ojciec Neda, ukrywając uśmiech za dłonią, którą gładził wąsy. – Czy biorą cię zielone pasma we włosach, Oliverze? Czy ludzie to o tobie wiedzą?

– Zdobienie ciała bardzo się różni na przestrzeni wieków – rzekł nonszalancko Oliver Lee, machnąwszy ręką. – Moi przodkowie dawno temu malowali się na niebiesko urzetem barwierskim. Głupio być ożenionym – czy też może urzenionym – z jednym wyglądem. Zielone włosy to wyłącznie sprawa stylu i wyboru kobiety, a kiedy ma ona oczy takie jak wasza Melanie, to może wybierać, co chce.

– No, no – powtórzył Greg. – Ona jest niezamężna. I przeczytała kilka twoich książek.

– Zamknij się, Gregory! – wysyczała Melanie, nie odrywając wzroku od talerza.

Ned nigdy nie myślał o jej oczach. Uświadomił sobie, że są zielone. Zastanawiał się, czy to pasmo w jej włosach, a może nawet kolor atramentu, zostały dobrane pod kolor. Kobiety potrafią robić coś takiego, prawda?

– Jest pan nadto uprzejmy, panie Lee. Przez pana stracę tego popołudnia ostrość widzenia – powiedziała Melanie, spoglądając w końcu na pisarza i uśmiechając się do niego.

– A to przeszkadza fotografować!

Nadal była zarumieniona.

Lee się roześmiał i potrząsnął kudłatą, srebrną grzywą.

– Muszę w to wątpić, chociaż miło, że pani to mówi. Jestem tylko starcem w słońcu wśród ruin, składającym hołd młodości i urodzie.

Czy ludzie naprawdę mówią coś takiego? – pomyślał Ned. Najwyraźniej tak, przynajmniej w kręgach Olivera Lee. Kelner zabrał talerze i przyjął zamówienie na kawę.

– Pójdę do domu, nie będę wam przeszkadzał – stwierdził Lee. – Lepiej, żebym się nie plątał pod nogami i wchodził w kadr.

Ned uznał, że mężczyzna gra tę rolę, że to jego poza. Spojrzawszy na ojca, dostrzegł tę samą ocenę i rozbawienie.

– Będzie nam miło, jeśli zostaniesz – powiedział Edward Marriner. – Melanie może ci pomóc się nie zaplątać. Jedziemy do Saint-Trophime, do tamtejszych krużganków.

– Ach. Świetnie. Powinieneś sfotografować stronę wschodnią i północną – stwierdził z nagłym ożywieniem Oliver Lee. – Oczywiście jeśli inne żywioły... światło i tym podobne... będą odpowiednie. Tamtejsze rzeźbione kolumny są cudowne. Krążą na ich temat legendy.

– Jakie? – zapytała Melanie, wyraźnie zadowolona ze zmiany tematu.

„Hołd młodości i urodzie”. Ned będzie musiał to zapamiętać. Amunicja na później w wojnie na dzwonki.

– Te rzeźby są tak realistyczne – mówił Lee – że w różnych okresach uważano je za dzieło magii. Że rzeźbiarz zaprzedał duszę za czarnoksiężką moc przemieniania prawdziwych ludzi w kamień.

– Robota diabła w krużgankach kościoła? Bardzo ładne – powiedział z uśmiechem ojciec Neda.

– Tak przez wieki głosiła opowieść. – Lee dopił wino. – Ludzie często się boją wielkiej sztuki.

– A co z pozostałymi dwiema stronami? – zapytał Steve.

– Zwykła robota z późniejszego okresu. Dość przyjemna.

Ocena była krótka, lekceważąca. Uświadamiała, do jakiego stopnia ekscentryczny starzec jest pozerem. Ned pomyślał, że na swój sposób nie różni się tak bardzo od Larry’ego Cato, który udawał, że wszystko go nudzi.

– Zapamiętam to – rzekł ojciec Neda. – Będę jednak potrzebował Melanie, żeby mi powiedziała, która strona jest wschodnia, a która północna.

Oliver Lee uśmiechnął się.

– Kobieta często jest naszą przewodniczką. Strażniczką portali i tak dalej. – Nieśpiesznie zapalił fajkę, po czym strzepnął z rękawa popiół. – Kiedy się wchodzi, wschód jest po lewej.

– Pozbawisz mnie pracy – zaprotestowała Melanie. Wszyscy się roześmieli.

– Co tam jeszcze będziesz robić? – zapytał Lee.

– To wszystko na dzisiaj – odparł Marriner. – Zwykle udaje nam się ustawić dwa plany. Możemy wrócić później. Co jeszcze powinniśmy obejrzeć? – Pokazał ręką. – Ten teatr?

– Możecie. Ale na pewno cmentarz. Za murami. Oczywiście zawsze chowano ludzi poza murami miasta. Przez bardzo długi czas Les Alyscamps był najśłynniejszym terenem grzebalnym w Europie. Teraz oczywiście jest straszliwie rozgrabiony. Zniknęła większość marmurów, ale jeśli jest cicho, a zwykle tak jest, okazuje się jednym z najbardziej działających na wyobraźnię miejsc, jakie znam. Ten cmentarz malował Van Gogh. Były tam celtyckie, rzymskie, średniowieczne... nie zdziwiłbym się, gdyby znajdowały się tam greckie groby.

– Skąd Grecy? – zapytał Ned.

Odezwał się po raz pierwszy w czasie tego lunchu. Nie miał pojęcia, dlaczego zapytał.

Oliver Lee uśmiechnął się do niego zza swojej zasłony dymnej.

– Marsylię założyli Grecy około sześćsetnego roku przed naszą erą. Nazwali ją Marsilią. Handlowali z tutejszymi plemionami. Wtedy linia brzegowa znajdowała się bliżej, teraz to się zmieniło.

– Handlowali? A czy... walczyli? – zapytał Ned.

– Och, oczywiście. Tu zawsze toczyły się jakieś walki. Prowansja nie jest rajem w kolorze lawendy, jaki robią z niej biura turystyczne i romanse.

– Wiem.

Ojciec zerknął na niego.

– Ale głównie handlowali – powiedział Lee, kiedy przyniesiono kawę. Znów przytknął zapalniczkę do fajki. – W gruncie rzeczy mit o założeniu Marsylii głosi, że dowódca tej pierwszej greckiej wyprawy został wybrany na męża przez córkę wodza plemienia, co wstrząsnęło wszystkimi jego członkami.

– Ona mogła wybierać? – zapytała cierpko Melanie.

– Kobiety Celtów były trochę inne, tak. Między innymi mieli boginie wojny, a nie bogów. Ale moim zdaniem, kiedy Gyptis wybrała Protisa, z całą pewnością nikt się tego nie spodziewał. Jeśli oczywiście naprawdę tak było, jeśli to nie jest tylko opowieść. Nie wyobrażam sobie, by wojownicy z jej plemienia byli zadowoleni. Ktoś po prostu pojawia się na uczcie i zostaje wybrany przez księżniczkę.

– Ciężkie życie! – powiedział ze śmiechem Greg.

Bez żadnego wyraźnego powodu Ned poczuł chłód, jakby słyszał więcej, niż się mówiło. Ale niemal już przestał próbować rozumieć wydarzenia ostatnich kilku dni.

Z minionej nocy pamiętał samotną wieżę, wilki i mężczyznę z rogami jelenia. Wesoły nastrój Neda chyba się gdzieś ulotnił. Jak po takim spotkaniu można wysyłać kolegom z klasy

głupie mejle? Miał ochotę znów się oddalić i zostać sam, ale musiał poczekać, aż pozostali skończą.

– Zatem, kiedy tu dotarli Rzymianie? – zapytał Steve.

Oliver Lee lubił wykładać.

– Zostali zaproszeni przez tych Greków z Marsilii kilkaset lat później, kiedy wzmożyły się walki. Niektóre celtyckie plemiona handlowały z nimi, ale innym nie podobały się obce osady rozsiane wzdłuż całego wybrzeża i zaczęli je rabować. Zbierali czaszki i ozdabiali nimi framugi.

– Czaszki – powtórzył Ned najobojętniej, jak umiał.

– Ach! Wiedziałem, że chłopcu się to spodoba – stwierdził ze śmiechem Lee. – Tak, zaiste, obawiam się, że tak robili. Czaszki wrogów, czaszki przodków, tak naprawdę to złożona religia. Celtowie umieszczali je w sanktuariach, wieszali na drzwiach – to była forma czci. Całą ich stertę znaleziono niedaleko stąd i na jeszcze jednym stanowisku, tuż obok waszej willi w Aix.

Ned zachowywał obojętną minę.

– Entremont? – zapytał.

– Właśnie tam! – powiedział z szerokim uśmiechem Lee.

– Słyszałem o tym – powiedział Ned na widok uniesionej brwi ojca. – Dziewczyna, którą tu poznałem, powiedziała, że to warto zobaczyć.

– Cóż, można się tam przejść, widoki są dość ładne, ale wszystko zostało już dokładnie przebrane. Znaleźiska są umieszczone w Musee Granet w Aix, ale przez cały rok jest ono zamknięte z powodu remontu.

Wszystko znajduje się w skrzyniach. Poza tym kilka dni temu pisali coś w prasie... kradzież w magazynach. Ktoś podwędził kilka znalezisk, czaszkę, rzeźbę... te rzeczy. Podniósł się rwetes, cenne przedmioty.

– Nie słyszeliśmy o tym – rzekł ojciec Neda.

Ned starał się równo oddychać.

– Nie słuchamy lokalnych wiadomości – zauważył Greg.

– No cóż, archeologiczne znaleziska zawsze są rozkradane – stwierdził Lee, wymachując fajką. – Najpierw złoto i klejnoty, potem dzieła sztuki.

Pomyślcie o marmurach Elgina w Londynie, skradzionych w Grecji. Nie zdziwiłbym się, gdyby te przedmioty z Aix wypłynęły niedługo na nowojorskim czy berlińskim czarnym rynku.

Ja bym się zdziwił, pomyślał Ned Marriner.

Po zapłaceniu rachunku Lee się pożegnał – musiał iść do banku, a potem wracać do domu. Kiedy pocałował Melanie w rękę, nikt się nie roześmiał.

Ned umówił się z pozostałymi w krużgankach, a potem przeszedł przez ulicę, by obejrzeć ruiny teatru. Właśnie je otwierano po południowej przerwie.

– Ned?

Odwrócił się.

– Mogę ci potowarzyszyć? – zapytała Melanie. – Przez pierwsze pół godziny będą rozstawiać ekrany i oświetlenie, więc nie będę im potrzebna.

Wiatr się wzmógł, i przytrzymała ręką słomkowy kapelusz.

– Jak mógłbym odmówić młodości i urodzie? – powiedział.

Akurat chciał być sam, ale co miał powiedzieć?

– Cicho bądź – warknęła i szturchnęła go w ramię. – Czy kiedykolwiek w życiu słyszałeś coś podobnego?

– Nie. Ale domyślam się, że to raczej dobrze. Wiem, że ty ciągle...

Przerwał, bo znów go szturchnęła. I tak nie był w nastroju do żartów.

Myślał o Grekach przybywających dawno temu do plemion i o przedmiotach skradzionych w tym tygodniu z muzeum w Aix.

Będzie musiał się zastanowić, co zrobić w związku z tą kradzieżą. Przecież wiedział, gdzie się znajdują te przedmioty.

Z drugiej strony, osobie, która niemal na pewno je ukradła, może się nie spodobać wtrącanie w jej sprawy. Istniała nawet kwestia, czy można ją nazywać „osobą”, wzięwszy pod uwagę, że z jej głowy wyrastały rogi, a w świetle księżyca zamieniała się w sowę. W gruncie rzeczy można było posunąć się dalej i powiedzieć, że ta osoba dała wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnego wtrącania się do tego, co ma się wydarzyć.

Jeśli żart w tym podziemnym korytarzu – a za żart najwyraźniej uważali go obaj mężczyźni – już spełnił swoją funkcję, to czy doniesienie, że przedmioty skradzione z muzeum można znaleźć pod baptysterium w katedrze, byłoby wtrącaniem się? Ned tego nie wiedział. Skąd miał wiedzieć? Musiał porozmawiać z Kate. Albo z ciotką.

Jego ciotka stanowiła sama w sobie osobny temat – przedmiot, osobę – który należało przemyśleć, i to gruntownie.

W tej chwili dobrą wiadomością było to, że Melanie też wydawała się zamyślona, a nie tryskała energią gadatliwej przewodniczki, czego Ned się obawiał. Usiadła na trawiastym pagórku i wyjęła podłużny zielony przewodnik, ale go nie otworzyła. Nie sprawiała też wrażenia niezadowolonej, kiedy Ned odszedł między porzucane kolumny i inne pozostałości pierwotnego teatru. Obiekt nie był tak dobrze zachowany, jak arena; wśród ruin rosła trawa, a cisza wywoływała atmosferę przeszłości.

Obejrzał się na Melanie. Zadał sobie pytanie, czy komplementy Olivera Lee ją zdenerwowały. Może uznała, że się z nią drażni; była przecież jedyną kobietą wśród pięciu mężczyzn – czterech mężczyzn i dzieciaka.

Ned nie sądził, by Oliver Lee się drażnił. Uważał, że mężczyzna prawil komplementy szczerze, te sprawy jednak stanowiły dla niego jeszcze zagadkę.

Podobnie jak próby zrozumienia minionej nocy.

Po zniknięciu wilków i sowy wrócił z ciotką Kim do jej samochodu. Nie wyrzucił swojej gałęzi, ale na szczęście nie napotkali niczego na ciemnej ścieżce. Kiedy zbliżali się do miejsca, w którym się rozdwajała, usłyszał wołanie sowy i aż podskoczył, ale ciotka dotknęła jego ramienia.

– To nie nasza – powiedziała. – Ta jest prawdziwa.

– Skąd wiesz?

– Inny głos. Mieszkam na wsi, pamiętasz?

Spojrzał na nią. W nocy trudno było cokolwiek zobaczyć wyraźnie, ale jej włosy były naprawdę jasne w blasku księżyca. Wskazał je ręką.

– Moja mama farbuje włosy.

– Wiem. Widziałam mnóstwo zdjęć. Jest śliczna, Ned. Zawsze była.

– Byłyby takie jak twoje, gdyby ich nie farbowała?

Zawahala się.

– Wątpię.

Przeszli kawałek. Ned dostrzegł szlaban i samochód.

Ciotka Kim się zatrzymała.

– Odwiozę cię, ale najpierw... Posłuchaj mnie, Ned, byłoby nieuczciwe wobec ciebie i twojej matki, gdybyśmy się jeszcze raz spotkali w taki sposób. Nie chcę cię stawiać w sytuacji, w której musiałbyś mieć jakieś tajemnice.

– Hmm... sądzisz, że nie mam tajemnic przed rodzicami?

Uśmiechnęła się.

– Martwiłabym się, gdybyś ich nie miał. Ale na pewno nie bywają aż tak... wielkie, kochanie.

Ned milczał. Właściwie myślał to samo.

– Chcesz wyjechać? Do domu?

Stali przy szlabanie. Samochód stał z drugiej strony, lecz wydawało się, że tę rozmowę lepiej odbyć w nocy.

– Nie od razu – odparła ciotka Kim. – Jeśli mi się uda, chcę spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się tu dzieje. Zostanę kilka dni. Czy masz już w komórce mój numer? Zapisalesz go? Gdybyś mnie potrzebował?

Kiwnął głową.

– A będę cię potrzebował?

Teraz ona zamilkła. Ned miał wrażenie, że ciotka zmaga się z prawdziwym uczuciem. Sam go doznał: to była siostra jego matki, a on jej dotąd nie widział i może już więcej nie zobaczyć. Wydawało się też, że coś ich łączy. Coś złożonego i trudnego.

– Nie wiem – odpowiedziała w końcu. – Mam nadzieję, że nie będziesz mnie potrzebował w sensie, jaki miałeś na myśli. Jestem raczej pewna, że dotrzyma obietnicy i zostawi cię w spokoju.

– Raczej pewna? Podniosła na niego wzrok.

– Co chcesz, żebym ci powiedziała?

– Hmm... wystarczy „całkowicie pewna”.

Roześmiała się.

– Twoi rodzice dobrze się sprawili, Ned.

Nagle poczuł się skrepowany.

– Tak, ale im nie mów.

Zobaczył, że się uśmiecha. Nagle coś mu przyszło do głowy.

– Powinienem był zapytać wcześniej. Czy ty i wuj Dave macie dzieci?

Czy mam w Anglii jakichś kuzynów, o których nie wiem?

Pokręciła głową.

– Nie mogłam mieć dzieci.

Ned patrzył na nią przez chwilę. Może i był młody, ale wiedział dość, by zmienić temat.

– Naprawdę myślisz, że mama byłaby niezadowolona, gdybyś... do niej zadzwoniła albo napisała?

Nie była to najlepsza zmiana tematu.

– Zawsze była, Ned. Nie raz próbowałam. Dlatego byłaby zła, gdyby wiedziała, że zadzwoniłam do ciebie.

To miało sens.

– Zapłułaby się? – domyślił się.

Właściwie miał obsesję na punkcie tego obrazu.

– Może nie – powiedziała ciotka Kim i udało jej się uśmiechnąć. – Chodźmy. Powinieneś wrócić do domu, zanim twój tata zacznie się martwić.

– On się nie martwi, chyba że o mamę.

– Chyba o tym wiem.

Obeszli szlaban i wsiedli do samochodu. Ciotka Kim włączyła silnik, zapaliła światła. Ned spojrzał na nią w nikłym blasku zegarów na desce rozdzielczej. Naprawdę była bardzo podobna do jego matki, ale teraz zobaczył, że jej włosy nie są srebrzyste ani siwe, tylko całkiem białe.

– Farbujesz je na taki kolor? – zapytał.

– Są takie od czasu, kiedy byłam bardzo młoda.

– Naprawdę? Wtedy to musiało być dość odłotowe.

– Chyba tak. Twojemu wujowi się podobały.

– Na pewno.

Zawróciła i pojechali krętą, wąską drogą z powrotem do miejsca, w którym odchodziła od niej Chemin de l'Olivette. Ned wskazał ręką pobocze i ciotka zatrzymała samochód.

– Powiniennem wrócić piechotą – powiedział. – Zobaczą z domu reflektory.

– Wiem. Trudne pytania. Dzisiejszej nocy nic ci się nie stanie, ale od tej chwili, siostrzeńcze – słuchaj uważnie: po zapadnięciu ciemności masz się trzymać z innymi. Nigdzie nie chodź sam. Nie mogę powiedzieć „całkowicie pewna”, więc nie rób głupstw, dobrze? Chciał zażartować w odpowiedzi, ale zmilczał.

– Obiecuję. Posłuchaj... jeśli się czegoś dowiesz, dasz mi znać?

Ciotka się uśmiechnęła.

– Wiesz, że tak. Zadzwonię przed wyjazdem do domu. Zapisz w komórce mój numer, Ned.

Odchrząknął.

– Wiesz, że to zrobię – powiedział.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Kim uniosła dłoń i dotknęła jego twarzy. Potem wysiadł z samochodu. Stał w ciemności i patrzył, jak odjeżdża. Ruszył drogą w górę i stwierdził, że bardzo stara się nie płakać.

To naprawdę był ciężki dzień.

Z drzew rosnących obok wznoszącej się drogi dobiegło go chrząkanie. To pewnie dziki, *sangliers*, które po zachodzie słońca wychodziły na żer. Nie bał się ich. Mógłby się przestraszyć czegoś innego.

Kiedy wszedł do domu, nikt go o nic nie pytał. Nie było aż tak późno, a on miał przecież piętnaście lat, nie był już dzieckiem.

W teatrze w Arles nie było zbyt wiele do oglądania. Był cichy i spokojny w blasku słońca i w cieniu. Można było sobie wyobrazić przeszłość.

Ned zadał sobie pytanie, czy to jest taki europejski kompromis: duże atrakcje turystyczne robią wrażenie i są zatłoczone. Mniejsze można mieć wyłącznie dla siebie.

Razem z Melanie byli tu sami, jeśli nie liczyć trzech rowerzystów, którzy przypięli rowery do barierki na zewnątrz i teraz pochylali się nad mapą po drugiej stronie trzech jeszcze stojących kolumn.

Ned wrócił do Melanie. Odłożyła przewodnik, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękoma. Sprawiała wrażenie odprężonej, ale Ned nie miał pewności, czy tak jest.

– Czy rzeczywiście dopasowałaś to pasemko włosów do koloru oczu? – spytał, siadając obok niej na trawie.

Wyrwał kilka źdźbeł i podrzucił, by porwał je wiatr. Spojrzała na niego zza ciemnych okularów.

– Nie drocz się ze mną, Ned.

– Nie droczę się. Pytam poważnie.

Pokręciła głową.

– A zatem głupio pytasz. Oczywiście, że nie dopasowałam. Myślisz, że jestem za stara, żeby po prostu lubić wygląd punkowy?

– O wiele za stara – odparł.

– Powiedziałam, żebyś się nie droczył. Mam dwadzieścia pięć lat, na litość boską!

– Jak mówiłem, o wiele za...

Znów szturchnęła go w ramię, tym razem w zdrowe. Uniósł dłonie w geście kapitulacji. Westchnęła przesadnie głośno i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Na jednym z drzew śpiewał ptak. Minęli ich rowerzyści, rozmawiając po niemiecku, i wyszli przez bramę. Ned patrzył, jak odpinają rowery i odjeżdżają.

– Mam niewiele ponad sto pięćdziesiąt cholernych centymetrów wzrostu – powiedziała Melanie, patrząc przed siebie. – Jakkolwiek by na to nie patrzeć, jestem niska. Nie żartuj z tego, Ned.

– Nie? Mam w zapasie co najmniej trzy dowcipy.

– Wiem.

Zerknął na nią.

– To cię naprawdę trapi?

– Nie zawsze – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od kolumn. – Nawet niezbyt często. Są gorsze problemy w życiu. Ale to kłopot. Czasami trudno być traktowanym poważnie. Jakbym była hobbitem z notesem. Po prostu... śliczna.

Zastanowił się nad tym.

– Mój tata traktuje cię bardzo poważnie. Greg i Steve chyba też. A ja nie uważam, że jesteś śliczna, uważam, że doprowadzasz ludzi do rozstroju żołądka.

Tym razem się roześmiała.

– Ach! Postęp.

– Chcę powiedzieć, że sprawdziłaś tutejsze trasy do biegania, Melanie.

Spojrzała na niego.

– Podoba mi się moja praca, Ned. Bardzo. Po prostu staram się ją dobrze wykonywać.

Westchnął.

– Wiem. Ale przez to czuję się jak małe dziecko.

Wzruszyła ramionami.

– Nie musisz. Nie jesteś dzieckiem. Sprawdziłam też sklepy muzyczne i bary jazzowe dla Grega i znalazłam kryty basen dla Steve'a.

– Nie wiedziałem.

– Myślisz, że jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu, marynarzu? Teraz roześmiał się Ned.

Zapamięta tę rozmowę. Kolejny moment z czasów młodości. Melanie spojrzała na zegarek, syknęła i wstała, zbierając swoje rzeczy. Ned odprowadził ją na główny plac. Znajdował się tam słynny kościół; właśnie wchodziła do niego jakaś wycieczka. Melanie

poszła dalej, do bocznego wejścia, które prowadziło do krużganków. Jeszcze jedno krużganki, pomyślał Ned.

Kiedy weszli do środka pod łukowatym sklepieniem, zobaczyli żandarma, który zatrzymywał ludzi, żeby ojciec Neda mógł pracować. Melanie wyjaśniła, kim są, i policjant ich przepuścił. Ned ruszył za Melanie po schodach.

Nagle poczuł się dziwnie. Jakby do jego rzeczywistości znowu wtargnął ten inny świat, do którego najwyraźniej miał dostęp. Coś się zbliżało, powodując niemal wibrowanie powietrza. Obecności. Ned prawie je czuł. Nie tego mężczyznę w szarej skórzanej kurtce czy złocistego z wieży. Cokolwiek jednak to było, nie znajdowało się daleko. Albo nie znajdowali się.

Rozejrzał się. Nie wiedział, dlaczego to miejsce kształtuje w nim świadomość... Lecz na jakimś innym poziomie wiedział: znajdowało się tu wiele warstw przeszłości. Przeszłości, która najwyraźniej się nie skończyła.

Czy kiedykolwiek się kończy? – zadał sobie w duchu pytanie.

Dotarli na szczyt schodów i zobaczyli kolejne łukowate sklepienie, a za nim zieloną przestrzeń w cieniu i słońcu.

Żałował, że nie ma tu jego ciotki. Zarazem miał niewygodną świadomość, że nie powiedział jej wszystkiego, zanim się rozstali na wąskiej drodze. I że to mógł być błąd.

– Nadal jesteśmy w stanie wojny – rzuciła Melanie przez ramię tuż przed wejściem w krużganki. – Nie oszukuj się. Ten dzwonek stał się twoją zgubą, Ned.

Nie zdążył wymyślić zabawnej odpowiedzi.

Patrzył, jak podchodzi do jego ojca i pozostałych członków ekipy, stojących w jaskrawym świetle. Ned obserwował ich z ciemnego, sklepionego chłodu łukowato sklepionego wejścia. Widział, jak ojciec szybko się porusza, szybko mówi, zatrzymuje się, by ograniczyć dłońmi widok, robi kilka kroków i patrzy z innego miejsca. Zobaczył, że jego kasztanowe włosy coraz bardziej siwieją, chociaż słynne, charakterystyczne wąsy jeszcze nie.

Ned zrozumiał, że pewnego dnia te włosy będą siwe albo przerzedzone, albo i jedno, i drugie, i tata nie będzie już nosił ciasnych niebieskich dżinsów i nie będzie się poruszał takim energicznym, długim krokiem. Czas zrobi z nim to, co robi ze wszystkimi ludźmi. Ned nie ruszał się z miejsca, patrząc na swego ojca jak gdyby z długiego tunelu.

Edward Marriner miał na sobie zieloną roboczą koszulę i swoją ulubioną beżową kamizelkę z dziesiątkami kieszeni. Okulary przeciwsłoneczne przesunął na czubek głowy. Mówił coś i gestykulował, ale Ned go nie słyszał. Wydawał się taki daleki. To efekt

spowodowany akustyką, światłem i cieniem. To nagłe doznanie odległości, znalezienia się po drugiej stronie jakiejś przepaści przestraszyło Neda.

W myślach widział księżyc w pełni, stojący wysoko między gwiazdami w środku popołudnia.

Koniec dzieciństwa.

ROZDZIAŁ 8

W nocy pojawiły się chmury i przez większą jej część zakrywały księżyc, lecz ostatni dzień kwietnia wstał wietrzny i pogodny.

„Wieje mistral”, poinformowała Verakuchnia przy porannych croissantach. Byli tu osłonięci, wtuleni w zbocze, ale na Mont Ventous, w Awinionie czy w położonych wśród wzgórz wioskach – Les Baux, Gordes albo Menerbes – będzie dzisiaj mocno wiało. „Kiedy z północy nadchodził mistral, zdarzało się, że dzieci zwiewało z urwisk”, powiedziała, kręcąc ze smutkiem głową.

Jednakże ten sam wiatr niósł ze sobą wymarzone warunki dla fotografa. Czyścił niebo z czegokolwiek, co przypominało opary czy mgiełkę, czyniąc światło jasnym, lśniącem, wyostrzonym. Takie tło nadawało polnym kwiatom, zabytkom, średniowiecznym ruinom i gnącym się cyprysom elektryzującą intensywność.

Edward Marriner był tu już kiedyś podczas mistralu. Nie zamierzał próbować wspinać się ze sprzętem na urwiska, ale przy drugiej kawie zmienił plany na dzisiejszy ranek.

Melanie szybko zanotowała jego wskazówki i przeniosła się do telefonu. Pełniący rolę kierowcy Greg wziął swój kubek do jadalni, gdzie na stole były rozłożone mapy, i pochylił się nad nimi, ustalając trasy. Steve zaczął ładować furgonetkę.

Za mniej więcej godzinę wybierali się na wschód do klasztoru Thotonet.

„W tym świetle kamienie opactwa niemal ożyją”, powiedział do Neda ojciec. Siedzieli sami przy kuchennym stole.

– To zakrawa na ironię i mnie cieszy – powiedział Edward Marriner. – Jest wiele rzeczy, które można lubić u średniowiecznych cystersów, i kilka, których można nie lubić. Zaczęli od przeciwstawienia się bogactwu i pretensjonalności Kościoła, ale gardzili też nauką, studiowaniem, samymi księgami. A nawet ziemskim pięknem. Bernardowi z Clairvaux, który nadał kształt zakonowi, nie podobałoby się, że ludzie uznają teraz opactwa cystersów za piękne. Nie miały takie być. To by odciągało zakonników.

– Od czego? – zapytał Ned.

– Od Boga. Modlitwy. Ciszy i pracy w najbardziej odludnych miejscach, jakie mogli znaleźć. Przybyli tu w poszukiwaniu samotności.

– Skąd?

– Chyba z miejsca położonego na wschód od Paryża. Ale nie powołuj się na mnie.

Ned się skrzywił.

– Jakbym miał okazję. To nie wypracowanie, tato.

Edward Marriner upił łyk kawy.

– Rzecz w tym, że Prowansja zawsze była postrzegana jako coś w rodzaju raj, a to przyciąga ludzi.

– Greków? Jak mówił wczoraj przy lunchu?

– Oliver? Tak. W pewien sposób wszyscy tu przybywający byli obcymi, którzy usiłowali zagarnąć Prowansję dla siebie. Wszędzie są odciski ich stóp i kości. Niektóre miejsca takie są.

– Nie wszystkie?

Ojciec spojrzał na niego.

– Może. Walki toczyły się nawet o Grenlandię i Hebrydy, ale w niektórych miejscach zdarzało się to częściej niż w innych. Prowansja jest jednym z nich. Bycie pożądanym może mieć swoje minusy. – Uśmiechnął się nagle, rozbawiony. – Tego ranka, mój synu, w tym świetle, zamierzam sprawić, by stare, zimne opactwo wyglądało tak wspaniale, żeby kości Bernarda z Clairvaux zawirowały w jego grobie, gdziekolwiek on się znajduje.

– To ładnie z twojej strony – stwierdził Ned.

– Jasne. Chcesz popatrzeć?

Ned nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że ojciec kocha swoją pracę. Z przyczyn, których postanowił nie wyjaśniać, zrezygnował z zaproszenia. Powiedział, że poczyta sobie na tarasie, posłucha muzyki, pobiega... nie będzie się im plątał pod nogami i nie wpakuje się w żadne kłopoty. Może nawet zacznie pisać wypracowanie.

Melanie, która przyszła z wiadomością, że furgonetka jest załadowana, przypomniała mu, że numery wszystkich komórek ma zapisane w swojej. Ned stanął na baczność i zasalutował. Roześmiała się.

Patrzył, jak odjeżdżają. Obie Very były zajęte, na górze i w kuchni. Rzeczywiście poczytał trochę na dworze: powieść, która według Larryego była naprawdę przerażająca. Po zeszłej nocy czytanie horroru nie miało już takiego efektu. Ned zadał sobie pytanie, czy Stephen King kiedykolwiek spotkał postać z rogami jelenia pod wieżą obserwacyjną. Może spotkał. Może stąd czerpał pomysły.

Ned jednak w to wątpił. I był zbyt rozproszony, żeby czytać dalej. Wciąż podnosił wzrok i patrzył na gnące się na wietrze drzewa po drugiej stronie basenu.

Wrócił do środka i sprawdził pocztę. Nic z domu, ale Kate przysłała mu swoje wypracowanie.

Przeczytał je i uznał, że jest doskonałe. Zbyt doskonałe – pisała o wiele za dobrze. Ned dobrze sobie radził w szkole, ale nigdy się nie wysiłał, żeby być aż tak dobrym.

Otworzył załącznik i spędził trochę czasu na obniżaniu jego poziomu, żeby w łysej głowie pana Drucker nie zadźwięczał alarm.

Dobrze było zastanawiać się nad czymś zwykłym. Tkwił nad klawiaturą, aż skrócił i uprościł pracę na tyle, by sprawiała wrażenie wypracowania, jakie mógłby napisać Ned Marriner podczas wakacji we Francji. Dodał parę literówek i napisał z błędami kilka nazw własnych.

Pomyślał, że kosztowało go to niemal tyle samo pracy, co samodzielne napisanie tekstu. Dwa pozostałe będzie musiał napisać porządnie. Obiecał, a poza tym wątpił, by Kate Wenger dała mu jeszcze jeden, nie spodziewając się czegoś w zamian.

Zastanawiał się, co by to mogło być. Była ładna, w stylu szczupłej sportsmenki czy uczennicy szkoły baletowej. To, że jest taka pilna, tak bardzo go tutaj nie denerwowało, bo nie miał kumpli, którzy by mu z tego powodu dokuczali.

Kumple byli tam, gdzie pan Drucker. Niech cierpią.

Ściągnął zdjęcia Arles i wysłał kilka w mejlach do Larryego i Kena, dodając ironiczny dopisek, że jest mu ich żal.

Było zbyt wietrznie na kąpiel w basenie. Widział, jak poniżej domu, z dala od osłaniającego go zbocza, *mistral* burzy wodę i kołysze cyprysami.

Zerknął na zegarek. Nie było jeszcze południa. Miał mnóstwo czasu do zabicia; z Kate miał się spotkać dopiero po piątej.

Jednakże nie tylko jego ojciec zmienił plany. Ned się z nią spotka, ale nie pójda do tych ruin. Nie tego dnia.

Podjął tę decyzję w Arles. Bycie odważnym to jedno, a idiotą to drugie. Wymyśli coś, co się spodoba Kate: mogą obejrzeć to atelier, pod którym mieli się spotkać, a potem zjeść na mieście pizzę albo jakąś chińszczyznę. Mogłaby mu opowiedzieć wszystko o Cezannie. Zapewne wiedziała wszystko o Cezannie.

On opowiedziałby jej o wydarzeniach z zeszłej nocy. Być może.

Trochę się co do tego wahał. Kate była w to wtajemniczona, od samego początku, ale nie było jej, kiedy zaatakowały psy, a to, co widział później z ciotką Kim obok wieży, tak bardzo wykraczało poza normalność, że Ned nie bardzo wiedział, jak ma o tym rozmawiać.

Nie chodziło o to, że jej nie ufał. Kate Wenger była dziewczyną z gatunku tych godnych zaufania. Już to rozstrzygnął. Ale to Ned dźwigał brzemień tego, co się działo w jego wnętrzu,

tej osobliwości spod Sainte-Victoire, wyczuwania ludzi jako aury w swojej głowie, świadomości spraw, o których nigdy nie powinien się dowiedzieć...

W pewnym stopniu miał wrażenie, jakby coś w rodzaju honoru wymagało od niego zachowania milczenia na temat tego, co odkrył. Ciotka Kim mówiła w ten sposób o swoich własnych doświadczeniach, jakiegokolwiek one były. To nie było słowo (honor), którego ludzie często ostatnio używali.

Istniało też spore prawdopodobieństwo, że gdyby usiłował porozmawiać o tym z kimś innym, zostałby uznany za kompletnego świra. To oczywiście był materiał na film klasy B. Gość widzi lądujących obcych albo zmutowane ogromne mordercze pająki, a wszyscy myślą, że jest pijany albo nawalony.

Kate Wenger tak by nie pomyślała. Tyle Ned wiedział.

Nie wiedział tylko, co albo ile może jej powiedzieć.

Postanowił improwizować. Czasami zbyt staranne planowanie wszystko psuło. Jego ojciec miał plany na ten dzień i zmienił je wraz z podmuchem wiatru. Ned pomyślał, że trzeba to umieć robić. Reagować, być czujnym.

Postanowił się przebiec. I tak trener nakazał mu kontynuować treningi i wszystko zapisywać. Poszedł na górę się przebrać, ale nie rozstawał się z telefonem. Tak mu radziła ciotka Kim. Jeszcze jej nie rozgryzł.

Powiedziała, że włosy jej pobielały, kiedy była młoda. W przekonaniu, że nie kłamie, że naprawdę przeszła przez to, o czym wspominała, upewniły Neda te włosy, ich nieskazitelna biel. Pomyślał, że jest jeszcze jedną osobą godną zaufania.

Nie powiedziała mu, co takiego zrobiła dawno temu. Domyślał się, że miało to coś wspólnego z honorem. Częściowo z uczciwością wobec jego matki. Domyślił się jeszcze czegoś: wyglądało na to, że przed wyjazdem do Anglii powiedziała o wszystkim mamie Neda, swojej siostrze. I wtedy ich stosunki wzięli diabli.

Może po czymś takim człowiek staje się ostrożny? Może się czegoś uczy?

Przypiął sobie do paska butelkę wody, włożył do kieszeni kilka euro, chwycił parę batoników energetycznych i pomachał na pożegnanie Verakuchni. Na końcu podjazdu wystukał przy bramie kod i wyszedł na drogę. Tam zrobił ćwiczenia rozciągające, a potem ruszył truchtem w dół, rozluźniając mięśnie.

W połowie drogi, tam gdzie drzewa po lewej otwierały się na długą płaską łąkę obok drogi, Ned się zatrzymał.

Pośrodku tego pola stał naprawdę duży dzik.

Ned wstrzymał oddech i chciał się gdzieś ukryć. Nie dlatego, że się bał – zwierzę nie znajdowało się aż tak blisko – ale dlatego, żeby móc je swobodnie obserwować. Verakuchnia powiedziała, że dziki żerują rano i wieczorem. W ciągu dnia śpią. Wyglądało na to, że ten nie stosuje się do zasad.

Powodowany impulsem, Ned sięgnął do dzika umysłem. Ostatnio spotkał kilka zwierząt, które były czymś innym, niż się wydawały. Teraz jednakże niczego nie wyczuł. Nie wiedział, czego się spodziewał, ale wyglądało na to, że patrzy po prostu na potężnego, szarobiałego dzika, ryjącego w biały dzień pole w poszukiwaniu pożywienia.

Z drugiej strony, chłopiec zrobił się podejrzliwy wobec przypadków. Kiedy o tym rozmyślał, stojąc spokojnie na drodze, dzik uniósł łeb i spojrzał na niego.

Dziki są podobno krótkowidzami, polegającymi na węchu i słuchu, lecz ten najwyraźniej wpatrywał się w Neda. Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie poruszył.

Potem dzik się nieśpiesznie odwrócił, niemalże z ostentacją, i zniknął w lesie po drugiej stronie łąki.

Czyżby przyniósł wiadomość? Czekał tu na Neda? A może taka myśl jest zbyt paranoiczna? Czy tego dnia wszystko, co się dzieje w lasach i na polach, ma znaczenie, czy może jeśli pozwoli się sobie na takie myślenie, to trochę – albo bardzo – się oszaleje?

Pokręcił głową. Jak można ocenić, co ma znaczenie, kiedy nic się nie rozumie? Odpowiedź brzmi: nie można. I dlatego, powiedział sobie Ned, należy się trzymać od tego z dala.

Dlatego zamierzał powiedzieć Kate Wenger, że tego dnia nie pójdą do ruin Entremont. Nie w wigilię Beltaine, kiedy według Celtów po zachodzie słońca otwierają się bramy dzielące żywych od umarłych.

Atelier malarza, spacer i zupa wonton na mieście wydawały się Nedowi wystarczająco atrakcyjne.

Obserwował miejsce na skraju lasu, gdzie zniknął dzik, ale niczego nie zauważył. Wzruszył ramionami i podjął przerwany bieg. Na dole drogi, nawet o tym nie myśląc, skręcił w lewo, a potem w prawo, w stronę Aix. Drogą jechały samochody, więc nie był to zbyt przyjemny bieg, ale Ned nie poradziłby sobie z leżącą na wschodzie Mont Sainte-Victoire, a na pewno nie zamierzał jeszcze raz biec do wieży.

Melanie powiedziała mu o stadionie i bieżni na skraju miasta. Zanim dotarł do obwodnicy, znak drogowy skierował go w lewo do „Stade”. Znajdowało się niedaleko, a bieżnia będzie zwykła, znajoma, nieskomplikowana. Pobiega w kółko, bez niespodzianek.

Biegało tam kilku starszych od niego młodzieńców w niebieskich koszulkach i szortach. Ned dołączył do nich, robiąc kolejne okrążenia; ramię wciąż go bolało. Okazało się, że chłopcy uczą się w oddalonej nieco od miasta szkole wojskowej. Ned pomyślał o kiepskim dowcipie o francuskich armiach i nauce biegania, ale uznał, że opowiedzenie go nie jest mądrym pomysłem.

Paru chłopaków poruszało się dość sprawnie i Ned zrównał się z nimi. Nie miał pewności, czy podoba im się, że młodszy dzieciak dotrzymuje im kroku. Poza tym na pewno pomyśleli, że jest Amerykaninem. Ned pomyślał, że lepiej się z tym nie wychylać, więc burknął coś po francusku o pogodzie i trenowaniu podczas pobytu w Prowansji. To nieco złagodziło napięcie. Nie usiłowali od niego odbiec – ani też rzucić się na niego i go pobić.

Kiedy rozległ się gwizdek nauczyciela, większość biegaczy przeszła na drugą stronę stadionu, ale jeden zrobił z Nedom dwa dodatkowe okrążenia i kiedy potem pobiegł za kolegami, pomachał mu na pożegnanie.

Dobrze było zobaczyć nawet taki zwyczajny gest braterstwa.

To, o czym musiał myśleć jako o normalnym życiu, wciąż toczyło się dalej. Ned musiał napisać wypracowania, miał mile do przebiegnięcia i zapisania, zdjęcia do wysłania mejlem do domu. Może znów zostanie tu kiedyś tych biegaczy, albo innych. Może pojeździ na deskorolce – na południe od bieżni widział teren dla skejterów. Później może ściągnie jakieś nowe piosenki z iTunes. Właściwie powinien to zrobić dzisiaj: miał na to miesięczne kieszonkowe od matki i jeszcze go nie wykorzystał, a był ostatni dzień kwietnia.

Można było uznać tę datę za mroczną i mistyczną – pełnia księżyca, duchy i te rzeczy – albo po prostu przypomnieć sobie, że w rzeczywistym życiu człowiekowi należą się jeszcze cztery piosenki.

Kiedy się rozciągał, chodził, by ochłonać, i pił wodę z butelki, zadzwoniła komórka.

Sprawdził numer na ekranie i otworzył klapkę telefonu.

– Cześć, skarbie – powiedziała Kate Wenger. – Co robisz?

Ned zamrugnął. „Skarbie”?

– A z kim mam przyjemność? – zapytał. – Z Nicole? Mary Sue? Marie-Chantal?

Roześmiała się.

– Pieprzyć Marie-Chantal – powiedziała. – Co prawda nie dosłownie. I tak wyskoczyły jej dziś na brodzie dwa syfy. Obrzydliwość. Co u ciebie?

Jej głos brzmiał jakoś inaczej. Bardziej hardo, doroślej.

– W porzo. Właśnie skończyłem biegać na bieżni na wschód od miasta. Z jakimiś wojskowymi. Trochę to niesamowite.

– Znam tę bieżnię. Przy basenie miejskim? Te chłopaki są z *ecole militaire*. Też ich widziałam. Mniam!

– Co ci jest?

– Nic. Jestem w dobrym nastroju, i tyle.

– Tak, bo twoja zła współlokatorka ma pryszczę.

– Może. A może dlatego że umówiliśmy się na wycieczkę. Jeśli nie masz nic ważniejszego do roboty, *mec*, kup nam trochę sera, jabłka i bagietkę, zrobimy sobie późny piknik.

– Posłuchaj, Kate. Myślałem o...

– Muszę pędzić, skarbie. Spóźnię się na lekcję. Ciao!

Rozłączyła się.

„Skarbie”, po raz drugi? Ned był zdezorientowany. Jeśli osiągnęli ten etap w trakcie dwóch kaw, to z całą pewnością coś przegapił. Larry nazwałby go idiotą i kazał się zaangażować: dziewczyna, której najwyraźniej się podoba, daleko od domu i wścibskich oczu... *vive la France!* Czyż to nie jest to prawdziwe życie, o którym właśnie myślał? Ściągnąć piosenki, wysłać zdjęcie, zobaczyć, na jak wiele Kate Wenger pozwoliłaby mu po szkole?

Znów pokręcił głową. Kłopot w tym, że wciąż wyobrażał sobie rzeźbę w krużgankach, tę z opartą o nią różą, a potem sowę wylatującą nocą przez dziurę w zrujnowanym dachu wieży. Może trzeba się trzymać normalnego życia, lecz niektóre obrazy skutecznie to utrudniały.

Pocił się, przydałby mu się prysznic. Wrócił do skrzyżowania, potem skręcił w prawo. Zatrzymał się przy piekarni i kupił *pain au chocolat*, który zjadł po drodze. Był o wiele lepszy niż energetyczne batoniki. Pokonał szeroki zakręt w lewo i znalazł się na drodze prowadzącej do willi. Kiedy dotarł do szerokiego pola, rozejrzał się, ale nie dostrzegł dzika.

Umieszczone wzdłuż wznoszącej się drogi nieduże, ręcznie robione tabliczki wskazywały kolejne domy. Ich tabliczkę Ned zobaczył na szczycie. Ktoś – na pewno Melanie – umieścił na niebieskich drogowskazach kierujących do willi Sans Souci śliczne maleńkie kanadyjskie flagi.

Po raz pierwszy, poniekąd poniewczasie, Ned pomyślał, co oznacza ta nazwa. „Bez trosk”. Tak, jasne. A tobie *hakuna matata*.

Wyszedł z willi po południu, zanim wrócili pozostali. Na stole zostawił kartkę dla taty, informującą, że spotyka się z Kate. Mają przecież numer jego komórki. Wiatr wciąż wiał, ale już nie tak mocno jak rano. Był jednak równy i silny, niepokojący.

Verapralnia powiedziała, że mistral zawsze wieje trzy, sześć albo dziewięć dni, ale Verakuchnia stwierdziła, że to bajka; posprzeczały się o to, obrzucając wyzwiskami. Właściwie było to nawet śmieszne.

Ned zastanawiał się, jak poszło robienie zdjęć w opactwie. I czy Bernard Skądkolwiek już wiruje w grobie.

Czekała go poważna wyprawa: pół godziny do obwodnicy, a potem wzdłuż niej na północ do atelier Cezanne'a. Najpierw pomyślał, czyby nie pojechać autobusem, ale stwierdziwszy, że czuje się podekscytowany, uznał, że spacer dobrze mu zrobi. Znow minął sklep spożywczy i piekarnię, ale nie kupił ani bagietki, ani jabłek czy sera. Nie zamierzał urządzać pikniku.

Atelier znalazł dość łatwo. Było oznakowane i mieściło się na ruchliwej ulicy. Ned domyślił się, że w czasach Cezanne'a otoczenie wyglądało zupełnie inaczej. Samo atelier zapewne znajdowało się poza Aix, na wsi.

Oparł się o kamienną smaganą wiatrem ścianę, przyglądał się pędzącym samochodom i usiłował sobie wyobrazić ten dom w otoczeniu pól, drzewek oliwnych, może winnic. Po drodze widział jeszcze jeden drogowskaz – Entremont leżało przy tej samej drodze, dalej na północ. Tak powiedziała Kate.

Poświęcił kilka minut na wyguglanie tej nazwy. Było prawie tak, jak mówił Oliver Lee. Wybudowało tu swoją twierdzę plemię Celtów i Ligurów (kimkolwiek byli). W 124 roku przed naszą erą Rzymianie przyprowadzili katapulty, rozbili warownię w pył, wycięli mnóstwo Salluwiów, a pozostałych przy życiu wzięli w niewolę.

Następnie zbudowali Aquae Sextiae, które w końcu stało się Aix en Provence. A teraz ich forum zaśłania chaotyczna katedra. Zatem miasto Rzymian też zniknęło, pomyślał Ned. Są tu ruiny celtyckie, rzymskie, a może nawet greckie. Oraz zrujnowane średniowieczne opactwa, jak to, które fotografował rano ojciec: wszystkie były zasłonięte, zostały zmienione w atrakcje turystyczne lub po prostu zapomniane. Większości ludzi w ogóle to nie obchodziło. Prawdopodobnie nie potrafiliby nawet powiedzieć, czym się różnią jedne od drugich. Cóż znaczy drobne tysiąc lat?

Stojąc na poboczu, ostrzegany klaksonami samochodów, mijany przez śmigające motorowery, Ned usiłował rozstrzygnąć, czy powinno to mieć jakieś znaczenie.

Jeśli w życiu człowieka wielką rolę grają Coldplay, Eminem, Red Sox albo rozgrywane w sieci Guild Wars, a ów człowiek w ogóle się nie zastanawia nad starożytnymi Celtami czy Wirującym Bernardem, to czy jest to aż takie złe? Każdy żyje w swoim własnym czasie, prawda?

No tak. Jeśli nie liczyć gości takich jak ten bezimienny facet w szarej skórzanej kurtce, który najwyraźniej jest autorem rzeźby sprzed ośmiuset lat, a teraz się tu zjawiał, by położyć przy niej różę.

Czy należy mu wierzyć?

Tak, pomyślał ponuro Ned: przy odpowiednich dodatkach do jego opowieści należy, nawet jeśli wolałoby się tego nie robić. To samo dotyczy tego, co widział na spotkaniu z ciotką.

Zastanawiał się, gdzie jest w tej chwili ciotka Kim. Pomyślał o telefonie do niej, ale to przypomniało mu o matce i o historii sióstr – inny rodzaj przeszłości – więc nie wyjął telefonu. Mama miała dzwonić wieczorem. Wiedział, o czym na pewno nie będzie z nią rozmawiał.

– No i co? Tęskniłeś?

Odwrócił się, a Kate, która się zatrzymała przed nim, wspięła się na place i pocałowała go w oba policzki.

Cóż, takie zwyczaje panują we Francji. Mimo to...

– O, cześć – powiedział, patrząc na nią. – Masz, hmmm... szminkę.

– Ty teraz też. Wytarła mu policzki.

– Przedtem jej nie było – stwierdził.

– No, no. Spozrzegawczy samiec. Muszę to zapisać w moim blogu.

– Piszesz bloga?

– Nie.

Roześmiał się, ale nadal był zaniepokojony. Wyglądała nieźle. Tego dnia włosy miała rozczesane, a nie związane w koński ogon. Założyła ciężkie srebrne kolczyki i – co uświadomił sobie poniewczasie – skropiła się jakimiś perfumami. Postanowił tego nie komentować.

– Mężczyźni z Montrealu – powiedział. – Jesteśmy spozrzegawczy. To najlepszy gatunek.

– Ty tak twierdzisz. Gdzie jedzenie? Prosiłam cię...

Ned zaczerpnął tchu.

– Pomyślałem, że trochę zmienimy plany. Prawie wcale nie bywam w Aix. Pomyślałem, że może obejrzymy to atelier, skoro już tu jesteśmy, a potem pójdziemy w miasto? Załatwię ci dawkę kofeiny, a potem możemy zjeść chińszczyznę, pizzę albo coś w tym stylu?

Kate Wenger cofnęła się o krok. Zatrąbił jakiś samochód, ale nie na nich.

– Ned, ja naprawdę chciałam ci pokazać to miejsce. Jest zdecydowanie odjazdowe. I może się wiązać z tym, na co się natknęliśmy.

Odchrząknął.

– Właśnie o to chodzi. Masz rację, może się wiązać. A jeśli się wiąże, to dzisiejszy wieczór nie jest odpowiedni na to zwiedzanie.

– Beltaine? – Uśmiechnęła się lekko. Ned zauważył, że umalowała też lekko oczy. – Aha. Mężczyźni z Montrealu, uważni, ostrożni faceci... troszkę strachliwi?

– Kate, jest kilka spraw, o których muszę ci powiedzieć. I owszem, być może jestem odrobinę ostrożny. Przecież powiedziałem ci, co się wydarzyło pod tą górą, pamiętasz?

– Cóż, jeśli tylko zaczniesz ci się robić niedobrze czy coś takiego, zawrócimy. Masz mnie za idiotkę czy co?

– Nie, ale uważam, że niepotrzebnie się upierasz, by zrobić to dzisiaj.

No. Powiedział to.

Skrzyżowała ręce na piersi i podniosła na niego wzrok.

– Naprawdę się boisz.

– Kate, to ja wszedłem do tamtego tunelu – powiedział urażony. – Nie boję się robić różnych rzeczy.

Wyraz jej twarzy się zmienił.

– Wiem. – Pokręciła głową. – Ale spójrz, jest piętnaście po piątej. Ściemnia się dopiero po ósmej. To piętnaście, dwadzieścia minut piechotą i pójdziemy tam teraz, zapomnij o atelier. Chciałabym ci pokazać Entremont, a nawet zobaczyć, czy coś wyda ci się dziwne. Potem wrócimy. Wolę chińszczyznę od pizzy i wiem, gdzie można dostać dobrą ostro-kwaśną zupę. Idziemy?

Wzięła go za rękę i pociągnęła.

Zrównał z nią krok. Miała chłodne place. Wygodne ułożenie dłoni zajęło im kilka sekund – Ned nieczęsto prowadził się z dziewczynami za rękę. Przez chwilę miał wrażenie, jakby wyrosło mu za dużo palców, ale potem splotły się z palcami Kate i... odczucie było właściwie bardzo przyjemne.

A więc jednak szedł z nią na północ. Złowił kolejny powiew jej perfum. Zastanawiał się, czy będą tam sami.

– Tak się składa – odezwała się wesoło – że jestem lepszą kobietą, niż zasługujesz. Mam jeszcze w plecaku dwa jabłka i pół bagietki.

– O – powiedział Ned. – Od jak dawna tam leżą?

– Być może takie rzeczy zdarzają się mężczyznom z Montrealu, ale kobietom z Nowego Jorku nie. Spakowałam się dziś rano.

Szli poboczem pod wiatr. Była godzina szczytu, mijały ich samochody, uczniowie wsiadali do autobusów i z nich wysiadali, skończyły się lekcje. Ned zauważył kolejny drogowskaz do Entremont. Tuż za nim droga opuszczała granice miasta i stawała się zwykłą szosą.

– Więc co się jeszcze stało? – zapytała Kate. – Co mi musisz powiedzieć?

Palce dziewczyny wciąż spoczywały w jego dłoni. Gdyby jego kumple o tym wiedzieli, mówiliby, że sobie to wszystko ułożył, mając w planach obściskiwanie, komentowaliby jak sobie szedł z laseczką, która sama go wzięła za rękę i nawet go przywitała pocałunkiem. Nie zyskałby wiele, wyjaśniając, że we Francji nawet faceci czasami witają się pocałunkami w policzek.

Tego dnia Kate była zmieniona. A może – nowa myśl – może ona jest taka zawsze, a dotychczasowe wymądrzanie się było pozą?

Nie bardzo w to wierzył. Nie opieraj się, powiedział sobie. W jednym miała słusność: Beltaine zacznie się dopiero po zapadnięciu zmroku, czyli za kilka godzin. Będą już wtedy z powrotem w Aix.

– Nie rozmawiasz ze mną – zauważyła.

Westchnął. Postanowił zatrzymać się w pół drogi i ciotkę zachować dla siebie – wiązało się z tym zbyt wiele spraw rodzinnych.

– Kiedy przedwczoraj wyszłaś z kawiarni, pojawił się ten gość z krużganków – powiedział.

Poczuł jej reakcję. To efekt trzymania się za rękę: można wszystko od razu wyczuć.

– Zobaczyłeś go na zewnątrz?

– Nie. Był tam cały czas, dwa stoliki od nas. Za gazetą.

– O Jezu Chryste – jęknęła.

– Wiesz, zaczynam myśleć, że to wszystko zaczęło się na długo przed nim.

– Nie bądź taki bystry, Ned. Co się stało? Jak go znalazłeś?

Trudna część – wyjaśnienie.

– Kiedy wyszliśmy, opuścił... swoją osłonę, cokolwiek to jest, ekran. Wtedy uderzyło mnie wrażenie jego obecności, które miałem w krążgankach, kiedy był na dachu. Wiedziałem, że jest w środku.

– I wróciłeś?

– Tak.

Przeszła kilka kroków w milczeniu.

– Wiesz, przedtem żartowałam... kiedy powiedziałam, że się boisz.

To mu się spodobało, ale okazanie tego uważał za dziecinne.

– Cóż, najwyraźniej nie jestem ostrożny – powiedział. – Daję się prowadzić za miasto jakiejś napalonej kobiecie z Nowego Jorku, którą ledwie znam.

– Napalonej? Ned! Czyżbyś mnie podrywał, skarbie?

Znowu! Żadną miarą nie powiedziałaby czegoś takiego wcześniej. Spojrzał na nią.

Uśmiechnęła się szeroko, a potem mrugnęła do niego.

– Faj! – zawołał Ned ze zgrozą. – Żadnego mrugania! Melanie mruga cały czas, nie znoszę tego.

– Nie pozwolę, by na moje zachowanie miały wpływ zwyczaje kogoś o imieniu Melanie – oświadczyła Kate Wenger. – Jeśli zechcę mrugnąć, to mrugnę. Radź sobie z tym.

Cały czas się uśmiechała.

A potem pokazała ręką przed siebie. Ned zobaczył brązową tablicę z symbolem zabytku i napisem „Oppidum d’Entremont”. Dotarli na miejsce.

Szosa się tutaj rozwidlała. Mimo to wciąż panował spory ruch. Zaczekali na lukę w sznurze samochodów i przebiegli na drugą stronę. Nie było tu żadnego chodnika, tylko trawa na poboczu. Poszli jeszcze kawałek na północ.

– To tutaj. Na wzgórzu – rzekła Kate. – Jest dość strome. Dasz sobie radę?

Ned nie miał ochoty na żarty.

Ruszyli w górę po zakurzonym żwirowym stoku. Najpierw nic nie widział, a potem znaleźli się odpowiednio wysoko nad szosą – Ned wiedział, że dawniej zawsze budowano na wzniesieniach – i ich oczom ukazał się niewielki parking oraz metalowa brama. Brama była otwarta, a parking pusty.

– Nigdy tu nikogo nie widziałam – powiedziała Kate. – A byłam dwa razy. Chyba nawet strażnik się tu nie kręci, pewnie tylko przychodzi zamknąć bramę.

Bramę zamykano, jak przeczytał Ned na umieszczonej na niej tabliczce, o osiemnastej trzydzieści. A więc na pewno ich tu nie będzie na długo przed zapadnięciem ciemności.

Wciąż trzymając się za ręce, weszli na ogrodzony teren; Kate prowadziła go szeroką ścieżką między drzewkami oliwnymi i migdałowymi.

– Tyle zostało z zewnętrznego muru – powiedziała, pokazując ręką. – Tu było miasto, nie tylko fort.

Mur z szorstkich kamieni biegł po ich prawej stronie, miejscami wysoki na trzy metry. Nieco dalej był uszkodzony znacznie bardziej; kamienie leżały tam, gdzie się potoczyły lub zostały odrzucone. Ned pamiętał, że Rzymianie wprowadzili katapulty aż na górę. Na pewno nie było to łatwe.

Teraz, dwa tysiące lat później, panowała tu cisza; było słycać jedynie śpiew ptaków. Wciąż wiał wiatr. Powietrze było naprawdę przejrzyste;

O tym mówił ojciec Neda.

Z niejakim zażenowaniem zatrzymał się, wyplątał palce z uścisku Kate i zamknął oczy. Nic jednak nie znalazł, żadnego wrażenia czyjejs obecności, ani nie czuł mdłości, bólu głowy czy czegoś takiego.

Kiedy otworzył oczy, Kate wpatrywała się w niego.

Pokręcił głową.

– Mówiłam ci – powiedziała. – To jedynie stanowisko archeologiczne, atrakcja turystyczna.

– Tak samo jak katedra – odparł Ned.

Zagryzła wargę. Po raz pierwszy tego dnia przypomniała mu dziewczynę, którą poznał przed trzema dniami. Poszli dalej. Na ziemi leżały rozsypane płatki kwiatów migdałowców, przez co okolica wyglądała tak, jakby spadł śnieg. Żwirowa ścieżka dotarła do końca wysokiego muru i zawracała na południe do otworu w nim; kiedy Ned przezeń wyjrzał, zobaczył leżące na rozległym płaskim terenie ruiny Entremont.

I mimo że nic nie poczuł i nic nie znalazł, kiedy zajrzał w głąb siebie, zadrzał, patrząc w popołudniowym świetle na niskie, szare kamienie. Jego babcia mawiała, że takie drżenie oznacza, że w pobliżu przechodzi duch. Nie powiedział tego Kate.

Teren był rozleglejszy, niż Ned się spodziewał, chociaż nie umiałby powiedzieć, czego właściwie się spodziewał. Ścieżka, na której stali, biegła wzdłuż wschodniego skraju ruin. Daleko przed nimi płaskowyż kończył się urwiskiem. Po lewej stronie teren opadał, przechodząc za drzewami w łąkę.

Po prawej stronie i prosto przed nimi leżało to, co zostało z Entremont.

Ned naprawdę nie chciał tu zostawać. Przemawiało za tym wiele argumentów. Szedł jednak dalej z Kate, spoglądając na kamienie. Już nie trzymali się za ręce; Kate uspokoiła się, była mniej rozemocjonowana.

Ned uznał, że to jest odpowiednie słowo. Do tej pory była rozemocjonowana.

Zerknął na nią z ukosa. Była blada, jak otaczające ich kamienie i sprawiała wrażenie zaskoczonej tym, co zrobiła, a także miejscem, w którym się znajdują. Zatrzymała się, więc Ned również stanął.

Byli tu zupełnie sami. Na wietrze, wśród ruin.

Spojrzał w lewo. Miasto kończyło się nieopodal krótkim stokiem, schodzącym do drzewek oliwnych i łąki. Rosła na niej wysoka trawa i polne kwiaty. Z drugiej strony mieli odkopane ruiny. Obok miejsca, w którym się zatrzymali, z ziemi wyrastał niski murek, sięgający im ledwie do kolan. Uświadomili sobie, że to ściana domu; wszędzie dokoła znajdowały się podobne murki, zamykające nieduże prostokątne przestrzenie.

– To było dolne miasto – powiedziała cicho Kate. Nie musieli się zachowywać cicho, ale czuli, że tak wypada. – Tam, pod drzewem, jest prasa do wyłaczania oliwy.

Ned kiwnął głową. Wysunął się przed Kate. Poszli dalej na południe wzdłuż pozostałości jednoizbowych domów. Ned pojął, że to kiedyś była ulica. Stopniowo się wznosiła. Przed sobą widział miejsce, gdzie zaczynało się górne miasto. Biegła tam ze wschodu na zachód szersza droga, a za nią stały duże sterty kamieni.

Zanim do niej dotarli, Ned wszedł na jeden z sięgających kolan murków, by rozejrzeć się po terenie, a potem zszedł na dół, na miejsce, które przed dwoma tysiącami lat było czymś domem, miało dach i ściany. I kiedy to zrobił, kiedy wkroczył do tej przestrzeni, znów wyczuł przemianę.

Ned znieruchomiał. Wiatr wiał, lecz oni byli nieco przed nim osłonięci przez drzewa rosnące od północy i pozostałości miejskich murów.

Kate spojrzała na niego ze ścieżki.

– Co się stało? – zapytała.

Nie odpowiedział. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie czuł.

– Ned, co się stało? – powtórzyła.

Zaczerpnął tchu.

– Tu jest po prostu... wielka moc – powiedział.

– Co to znaczy?

Usłyszał w jej głosie strach.

– Powiedziałbym ci, gdybym wiedział.

To była prawda: nie rozumiał tego, ale z kamieni przechodziło w niego pulsowanie. Nie było to wrażenie czyjejś obecności, raczej...

– To czeka – powiedział raptownie.

A potem, patrząc przed siebie, na wyższe ruiny po drugiej stronie szerokiej ulicy biegnącej ze wschodu na zachód, dodał:

– Co to było?

Kate się odwróciła. Odchrząknęła.

– Wieża strażnicza przy wejściu do górnego miasta. Widziałam plan na stronie internetowej. Obok niej znajdowało się sanktuarium religijne. Tam. Widzisz te większe kamienie? To była wieża.

Ned widział kamienie. Duże, szare, ciężkie. Ocalała tylko podstawa, Wszystko inne dawno temu legło w gruzach. Lecz kiedyś w przeszłości, między częścią miasta, w której się znajdowali, i fragmentem przed nimi, zaszła zmiana w architekturze.

Lud się zmienia stopniowo, uczy się różnych rzeczy. A potem ktoś przyprowadza pod mury maszyny wojenne i nie ma już znaczenia, czego się nauczył.

Ruszył przed siebie, żeby się lepiej przyjrzeć, niemal mimowolnie.

Na niski murek, z powrotem na ziemię, na kolejny, a potem znalazł się na zakurzonej ulicy dzielącej górną część Entremont od dolnej. Zobaczył, że kończy się po lewej stronie, wschodniej, gdzie zbocze zmieniało się w łąkę.

Ta droga była szersza niż którakolwiek inna za nimi lub przed nimi. Główna ulica, pomyślał. Tuż za nią znajdowała się podstawa wieży strażniczej. Popatrzył na wielkie kamienie, wyobraził sobie wieżę. Katapulty i czas, pomyślał. Wciąż czuł w głowie pulsowanie, jakby kamienie usiłowały wibrować.

Powinniśmy już iść, pomyślał Ned. Wiedział, że powinni iść.

Obok podstawy wieży, z jej prawej strony, znajdowała się duża prostokątna przestrzeń.

– Jakie sanktuarium? – zapytał.

– Celtyckie, oczywiście. Znalezione tu czaszki – powiedziała cicho Kate. – Wiesz, że oddawali cześć czaszkom przodków?

– Słyszałem. I głowom nieprzyjaciół. Przechowywali je w oleju. Albo robili z nich czarki – powiedział. – Sympatyczny lud.

Może to dobrze, że te ściany się rozpadły, jeśli mieszkali w nich tacy ludzie. A może nie? I może wcale nie miało znaczenia, co dwa tysiące lat później czuje albo myśli o tym Ned Marriner.

I wtedy, w końcu – ponieważ teraz znajdowali się całkiem blisko niej – Ned zobaczył przed sobą w półmroku kolumnę stojącą przy krańcu sanktuarium, gdzie według Kate znaleziono czaszki.

Zupełnie jakby coś go tam ciągnęło.

Przekroczył kolejny murek i znalazł się w niegdysiejszym świętym miejscu. Podszedł do kolumny, stanął przed nią i przyjrzał się uważnie.

Miała około dwóch i pół metra. Była tutaj najwyższym obiektem. Od podstawy do szczytu pokrywało ją kilkanaście prymitywnych, wyraźnych rzeźb ludzkich głów.

Ned przełknął z trudem ślinę i znów zadrżał.

– Spójrz na to – powiedział.

Usłyszał za sobą Kate. Wciąż stała na ulicy, nie weszła do środka.

– Ned.

– Dasz temu wiarę? – Przyglądał się kolumnie w półmroku.

– Ned – powtórzyła.

Odwrócił się. Kate naprawdę była teraz blada, jak duch. Ręce miała ciasno skrzyżowane na piersi, jakby było jej zimno.

– Ned, jej tu nie powinno być.

– Co? Jak to?

– Widziałam zdjęcia... na stronie. Wykopalisk. Ona została tu znaleziona, ale leżała, a nie stała i... Ned, ona została przeniesiona do muzeum, jakieś pięćdziesiąt lat temu. I tam się powinna znajdować.

Odwrócił się powoli. Kamienna kolumna nie leżała i nie znajdowała się w muzeum. Stała przed nim, w cieniach tej cichej, wzbierającej ciemności.

Ned zamarł. Wstrzymał oddech. Poczuł, że serce zaczyna mu walić jak młotem. Nagle zaschło mu w ustach.

Wiele wysiłku kosztowało go uniesienie lewej ręki i poruszenie nadgarstkiem, żeby mógł zobaczyć to, co już wiedział, że zobaczy. Spojrzał na zegarek.

Było tuż po osiemnastej.

Odwrócił się i spojrzał na Kate.

– Dlaczego jest ciemno? – zapytał.

ROZDZIAŁ 9

Po pełnej konsternacji chwili, podczas której Ned widział, jak Kate przyswaja jego słowa, dziewczyna uniosła do ust dłoń. Rozejrzała się w wielkiej, mroczniejącej ciemności – która zapadła o kilka godzin za wcześniej.

– Co się dzieje, Ned?

Jakby wiedział. Jakby miał jakąkolwiek nadzieję, że się dowie.

Patrząc na nią, wciąż usiłując zaakceptować rzeczywistość, Ned dostrzegł pochodnie. Spróbował przełknąć ślinę; miał wrażenie, że gardło ma wyłożone papierem ściernym. Serce biło mu tak mocno, że aż poczuł ból.

Na łące, na wschód od wejścia, przez które właśnie przeszli, było widać ognie. Pochodnie w długim rzędzie – procesja posuwająca się w stronę ruin.

Nie mogąc dobyć głosu, Ned tylko pokazał ręką. Kate odwróciła się, by spojrzeć.

– O Boże. Co ja zrobiłam? – wyszeptwała.

Nie istniała na to dobra odpowiedź. Nie było na nią czasu. Ned rozejrzał się rozpaczliwie za jakąś kryjówką, ale prócz tej jednej kolumny obok niego wszystko w Entremont było płaskie, zrównane z ziemią.

Katapulty i czas.

Wyszedł szybko z sanktuarium, chwycił Kate za rękę i schyliwszy się nisko, ruszył biegiem ku wschodowi wzdłuż szerokiej głównej ulicy między górnym i dolnym miastem. Wydostali się z terenu wykopalisk i znaleźli na lekko pochylonym zboczu. Ned pociągnął Kate na ziemię za jakieś drzewo.

Leżeli, ciężko oddychając.

Myślał, że dziewczyna się rozpłacze, ale tak się nie stało.

Po chwili uniósł ostrożnie głowę i spojrzął w prawo, gdzie było widać pochodnie. Oszacował, że jest ich dwadzieścia albo trzydzieści. Niektóre znajdowały się już w obrębie dolnego miasta, inne podążały za nimi. Posuwały się drogą, którą przed chwilą przybył razem z Kate w słońcu wiosennego popołudnia.

Teraz było ciemno. Nastawa – niezaprzeczalnie, choć to było niemożliwe – noc.

Nie widział wyraźnie postaci niosących pochodnie. Beltaine, pomyślał. Tej nocy Celtowie zapalali święte ognie. Patrzył na ognie.

Kate leżała obok niego na trawie, dotykając go biodrem i udem. Doceniał fakt, że się nie trzęsała, nie pojękiwała i nie robiła niczego w tym stylu. Pośrodku tego wszystkiego, dzięki bliskości ich ciał znów poczuł zapach jej perfum.

– Zrobiło się nawet przytulnie – szepnęła nagle, przysuwając usta do jego ucha.

Nedowi znów opadła szczęka. To tyle, jeśli chodzi o pojękiwanie czy łyzy.

– Zwariowałaś? – syknął.

– Mam nadzieję, że nie. Ale naprawdę... nie przypuszczałam, że zobaczę coś takiego. Nigdy nie śniła ci się magia?

A cóż to ma z czymkolwiek wspólnego?

– Kate, weź się w garść! Dwie noce temu chyba spotkałem kilku z tych gości. Moglibyśmy tu zginać.

– To trzymaj się blisko mnie – mruknęła – i bądźmy naprawdę cicho. Przysunęła się nieco, tak że dotykała go również ramieniem.

– Cisza nic nie pomoże – szepnął. – Oni potrafią wyczuwać różne rzeczy. Jeśli ja to potrafię robić, to oni potrafią to na bank. Musimy się stąd wydostać.

Poszukał w kieszeni telefonu.

– Wyłącz swój – wychrypiał. – Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to dzwonek.

Sięgnęła po plecak. Ned otworzył klapkę swojego telefonu. Dzięki Bogu, pomyślał: działa. Chciał wystukać numer Grega, ale zaklął pod nosem. Głupi, głupi żart Melanie. Greg miał idiotyczny, wielocyfrowy kod, a Ned nie znał właściwego numeru jego komórki. Wcisnął ze złością „3” i usłyszał dwa sygnały.

– O co chodzi, Ned?

– Posłuchaj, Melanie – powiedział bardzo cicho. – Mam drobne kłopoty. Później ci powiem, ale proszę cię, niech Greg przyjedzie furgonetką na drogę poniżej miejsca zwanego Entremont. Jak najszybciej. Tam się z nim spotkam. Wiesz, gdzie to jest? Możesz mu powiedzieć, jak tu dojechać?

Odpowiedziała zdecydowanym, spokojnym tonem. Musiał jej to przyznać.

– Wiem. Na północ od miasta? Ned, nic ci nie jest?

– Będzie mi lepiej, kiedy tu dojedzie. To coś w rodzaju tego, co się stało pod tą górą.

– Biedactwo. W porządku. Każę mu zabrać advil. Trzymaj się. Zaraz wyjedzie.

Ned zamknął klapkę, wyłączył dzwonek i schował telefon do kieszeni. Kontakt z rzeczywistym światem.

Zerknął na Kate, leżącą wciąż bardzo blisko niego.

– Jest tutaj inna droga powrotna do szosy?

– Były schody prowadzące na urwisko – szepnęła – na drugim końcu, ale są niemal całkowicie zniszczone. Chyba prowadzą w dolinę na południe.

– Może będziemy musieli spróbować po nich zejść. Tu nie jesteśmy bezpieczni.

Uniósł głowę. Kolejne pochodnie, przynajmniej dwadzieścia. Niektóre zostały teraz umieszczone wzdłuż ścieżki, od wejścia do wykopalisk, wskazując drogę do – oczywiście, pomyślał ponuro – pozostałości po sanktuarium, gdzie stała jedyna kolumna.

Znajdowała się na wprost nich, po lewej stronie głównej ulicy. Z tego miejsca nie widział kolumny, ale wyraźnie rozróżniał płomienie. Poniewczasie uświadomił sobie, że nad nimi wisi księżyc. Noc pełni.

– Cóż, nadal podtrzymuję, że podoba mi się to przytulanie – rzekła Kate Wenger.

Ned usłyszał, że ma – o dziwo – chropawy głos.

Mimo przerażenia jeszcze większym zdumieniem napełnił go fakt, że ten aspekt sytuacji – zapach dziewczyny, jej bliskość w ciemnej trawie – zaczyna go niepokojąco rozpraszać.

– Pocałujesz mnie czy nie? – usłyszał.

O Boże, pomyślał. To nie ma sensu. Żadnego.

– Nie myśl teraz o tym! – szepnął ostro. – Po prostu stąd odejźmy. Musimy zejść do drogi. Spróbujemy znaleźć te schody i mieć nadzieję. Gregowi zajmie to jakieś dwadzieścia minut.

– Nie. Zostańcie na miejscu.

Tuż za nimi. Znany im głos.

Ned znów znieruchomiał; czuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Kate zeszywniała obok niego.

– Oślaniam nas tu – usłyszeli. – Jeśli się ode mnie oddalicie, wyczują was i naprawdę was dziś zabiją. Za wtargnięcie.

Cóż, to powinno zmienić jej idiotyczny nastrój, pomyślał Ned.

Usłyszał szelest. Podczołgała się do nich jakaś postać i rozciągnęła obok na trawie pod drzewem.

– Szedłeś za nami? – szepnął Ned.

– Widziałem, jak tu przyszlście. Czekałem na nich. – Mężczyzna z krużganków i kawiarni spojrział na niego. Ta sama skórzana kurtka, ten sam zimny, skupiony wyraz twarzy. – Mówiłem, żebyście tu dziś nie przychodzili.

– Wiem – powiedział Ned.

– On nie chciał – szepnęła Kate z drugiej strony. – Myślałam, że będzie fajnie. A przy okazji, podoba mi się twoja kurtka.

Uśmiechnęła się.

To tyle, jeśli chodzi o zmianę nastroju Kate.

Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi, skupiony na pochodniach. Niektóre zostały wetknięte w ziemię, inne nieśli uczestnicy procesji. Ned nadal nie widział wyraźnie, kim są.

– Dlaczego nie mogę nikogo zobaczyć?

– Nie ma ich tu jeszcze w pełni – odparł cicho mężczyzna.

Jego rzeczowość sprawiła, że Ned znów z trudem przełknął ślinę.

– Będą, kiedy on nadejdzie – usłyszał.

– Kiedy kto nadejdzie? – zapytała Kate.

– Cicho! – syknął mężczyzna.

– Kiedy kto nadejdzie? – powtórzyła ciszej.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Człowiek, którego muszę zabić.

Ned spojrzał na niego. Było zbyt wiele pytań.

– Chyba... możliwe, że dwie noce temu go widziałem – rzekł.

Postać z lewej strony nic nie powiedziała, czekając.

– Byłem w jego wieży – ciągnął Ned – nad naszą willą i... czy on ma rogi jelenia?

Czasami?

– Zdarza się. Złociste włosy? Rosły mężczyzna?

Ned kiwnął głową.

Wiał wiatr. W świetle księżyca Ned widział dym z pochodni unoszony na południe.

Mężczyzna obok pokręcił głową.

– Nedzie Marrinerze, nie mam pojęcia, kim jesteś, ale wygląda na to, że rzeczywiście się w to wplątałeś – powiedział.

– A ja nie? – zapytała o wiele za dziarsko Kate.

– Możliwe – odparł z powagą mężczyzna. – Sprowadziłaś mnie tutaj tym, co powiedziałaś. Posłużyłem się twoimi słowami jako drogowskazem, nie mając żadnego innego. To ty wymieniłaś akurat to miejsce. Jestem ci niewymownie wdzięczny. W chwili jej przybycia znajdowałbym się prawdopodobnie gdzie indziej i ponieważ bogowie zawsze są świadkami, ukarałyby mnie później za to.

– Ona? – zapytała Kate. – Powiedziałeś, że ma przybyć jakiś mężczyzna.

Kolejna chwila milczenia.

– Ona tu będzie. My jesteśmy, gdzie jesteśmy. Bariery są opuszczone.

– Kurde bele – wyszeptała Kate. – Czy on... czy ten gość jest, no, druidem?

Nagły ruch z drugiej strony Neda.

– Mam nadzieję, że nie, bo będę zgubiony.

O wiele za dużo pytań.

Ned zadał pierwsze, jakie mu przyszło do głowy.

– Dlaczego jest noc?

Usłyszał jakiś dźwięk, świadczący o rozbawieniu.

– Dlaczego wyobrażasz sobie, że dziś wieczorem czas powinien toczyć się znanym rytmem? Tutaj? Mówiłem ci, żebyście nie przychodzili.

– Powinno się ściemnić dopiero za kilka godzin. Zamierzaliśmy wrócić przed...

– Gdybym się nie pojawił, to w chwili, w której przybędą duchy, byłibyście martwi.

Powiedziane otwarcie tonem wykluczającym dyskusję.

– Jak on ma na imię? – zapytała Kate. – Ten drugi gość... z rogami?

– Jeszcze nie wiem – padła pełna zniecierpliwienia odpowiedź.

– Nie jesteś zbyt uprzejmy – stwierdziła Kate, pociągając nosem. – Żaden z was nie jest.

Ned wciąż nie rozumiał, co się z nią dzieje. Zobaczył jednak, jak mężczyzna zmienia pozycję, by spojrzeć ponad nim na Kate. Wydawało się, że chce coś powiedzieć albo zadać pytanie, ale tylko pokręcił głową, jakby odrzucał jakąś myśl.

– Kiedy nadejdzie, pójde pod górę – mruknął do Neda. – Nie będą się mnie spodziewać. Jest przekonany, że mnie zwiódł. Wszyscy skupią uwagę na mnie. Wracajcie wzdłuż tego pola do miejsca, w którym tu weszliście, a potem biegnijcie ścieżką. Za bramą znów odnajdziecie światło popołudnia.

Ned spojrzał na niego.

– Co zrobisz?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Przyjmijcie moją wdzięczność i własne życie. Kiedy wstanę, natychmiast odejdźcie.

W ciszy zakłócanej jedynie świstem wiatru wiejącego w blasku księżyca usłyszeli dobiegający z sanktuarium dźwięk. Ned uniósł głowę. Wstrzymał oddech. Postacie były teraz widoczne.

I nie tylko one: ukazały się mury wieży strażniczej.

Wzniosły się ponownie, jakby nigdy się nie rozpadły, nigdy nie przyjęły na siebie pocisków z katapult.

Postacie stojące na ulicy przed wieżą były zwrócone do niej plecami. Patrzyły na ścieżkę, którą właśnie przybyły. Ned spostrzegł, że są odziane tak, jak mężczyzna obok wieży

sprzed dwóch nocy – w różnobarwne tuniki, jaskrawe wąskie spodnie, wysokie buty albo sandały. Mieli miecze.

Miecze?

Ned zdał sobie sprawę, że widzi Celtów. A to oznaczało, że, tak jak nowo powstała wieża, mają ponad dwa tysiące lat. O Boże, pomyślał znowu.

Chciał się znaleźć w domu. Za oceanem.

A potem uświadomił sobie jeszcze jedną osobliwość. Zamrugał, znów spojrzął. Był tylko blask księżyca, dymiące pochodnie, a mimo to...

– Dlaczego widzę ich tak dobrze? – zapytał cicho. – Nawet kolory?

Przedtem było inaczej. Teraz... tam widać zbyt wyraźnie.

Mężczyzna przez chwilę nic nie mówił, a potem mruknął:

– Sam znalazłeś się wewnątrz tej nocy. Na swój własny sposób. Bądź bardzo ostrożny, Nedzie Marrinerze.

– Jak mam to zrobić?

– Odchodząc. Beltaine potrafi zmienić człowieka.

Cokolwiek to znaczy.

Mężczyzna odwrócił od nich wzrok. Kiedy znów się odezwał, mówił zmienionym głosem.

– Ale patrz. Teraz patrz. Oto jasna towarzyszka moich wszystkich dni.

To też Ned Marriner zapamięta. Słowa oraz to, jak zostały wypowiedziane.

Spojrzął w stronę wejścia na teren miasta.

Ścieżką ktoś nadchodził.

Tym razem nie miał na głowie rogów, lecz Ned natychmiast go rozpoznał. Takiej postaci się nie zapomina: wysoka, o szerokich barach, stawiająca długie kroki, długie jasne włosy, ten sam ciężki złoty torques na szyi. U boku chyba miecz. Ned nie pamiętał żadnej klingi. Stojący przy sanktuarium obserwowali, jak się zbliża; czekali z wysoko uniesionymi pochodniami.

– Patrz, jaki piękny jest ten wysoki mężczyzna, jaki świetlisty... – wyszeptał człowiek leżący obok Neda. Chłopak wyczuwał jego drżenie. – Opuszczę was.

– Nie masz broni – szepnął Ned.

– Dadzą mi ją. Pamiętajcie, wzdłuż tej łąki, ścieżką w dół, do drogi.

– Powiedziałeś, że nie jesteś dobrym człowiekiem – odezwała się Kate Wenger niemal oskarżycielskim tonem.

– Och, możecie mi wierzyć – szepnął, patrząc wprost przed siebie. – Powiedziałem prawdę.

Ned zerknął na niego. I nagle, jak wtedy w kruzgankach, poczuł coś w głowie: myśl, całą i pełną, coś, czego w żadnym razie nie mógł wiedzieć.

Zanim zdołał się powstrzymać, usłyszał swój własny głos:

– Byłeś pod tą górą? Dawno temu? Sainte-Victoire?

Mężczyzna w szarej skórzanej kurtce poruszył się, jakby go odciągano od miejsca, w którym pragnął się znaleźć. Przez długą chwilę patrzył na Neda w ciemności.

– Naprawdę chciałbym – odezwał się w końcu – dowiedzieć się, kim jesteś, gdybyśmy mieli na to dość czasu.

– Mam rację? Tak? Byłeś tam?

Ned słyszał jego oddech.

– Wszyscy byliśmy – odparł mężczyzna. – Wówczas była moja. – Dodał coś w języku nieznanym Nedowi. – Idźcie, kiedy wstanę. Nie powinniście oglądać tego, co nastąpi potem.

Ruszył naprzód, przygięty do ziemi. Ned pomyślał, że zaraz się wyprostuje i pójdzie pod górę, ale tak się nie stało. Mężczyzna zatrzymał się za drzewem.

Ned miał wrażenie, że mężczyzna czuje coś zbyt gwałtownego, zbyt intensywnego, by zostać przy nich, przy ich pytaniach, trąkocie i domysłach. „Dlaczego jest ciemno?”, „Jak on ma na imię?”.

Był cierpliwy. Starał się ocalić im życie. Teraz jednak musiał się przygotować na to, co się zbliżało.

Kate westchnęła nagle i wsunęła lewą rękę w prawą dłoń Neda, znów splatając swoje palce z jego.

„Naprawdę was dziś zabiją”. Jak to możliwe, by tak żywo reagować na dotyk dziewczyny, dopiero co usłyszawszy coś takiego? Może, pomyślał Ned, może takie przeciwstawne uczucia – strach oraz zapach perfum i dotyk dziewczyny obok niego – mogą w jakiś sposób iść w parze i nie być przeciwstawne. To była trudna myśl.

Podniósł wzrok na kwadratową, przywróconą do istnienia wieżę. Wysoki mężczyzna dotarł do sanktuarium i czekających nań postaci. Wyglądał jak pozłocony, jak bóg.

Pozostali się nie skłonili, ale rozstąpili przed nim. Rozpuszczone włosy spadały mu na ramiona. Ned spostrzegł, że u pasa ma topór, a nie miecz. Na ramionach i szyi lśniła biżuteria. Obok niego stanął drobniejszy, starszy mężczyzna, odziany na białą.

– Ojej – szepnęła Kate. – Jest wspaniały!

Nie miała na myśli niedużego gościa w bieli. Ned poczuł ukłucie zazdrości, ale pomyślał, że dziewczyna ma rację.

Mimo że pojawiła się ta jaśniejąca postać, na płaskowyżu przed nimi panowała atmosfera wyczekiwania. Wszyscy byli zwrócenii ku północy, w stronę pochodni zatkniętych po obu stronach ścieżki. A ponieważ Ned też patrzył w tę stronę ponad niskimi, dawno temu zniszczonymi ruinami, zobaczył białego byka wchodzącego do Entremont.

Znów miał wrażenie, że świat, jakim zawsze go rozumiał, zmienia się z chwili na chwilę.

W blasku księżyca wigilii Beltaine zobaczył, że zwierzę prowadzą na sznurze trzej mężczyźni. Byk był olbrzymi, ale spokojny i posłuszny.

Pochodnie umieszczono na tyczkach wbitych parami w ziemię i byk – Potężny, nieziemski – przechodził między nimi. Ned w jakiś sposób wiedział, że cofanie się tak daleko w przeszłość – że aż się bał o tym myśleć – ma jakieś znaczenie.

– Jeszcze jeden byk – szepnęła Kate.

Ned pokręcił głową.

– Nie jeszcze jeden. To z nim były związane tamte.

W świetle Księżyca w pełni zwierzę jakby lśniło i migotało. Kate obserwowała go tak samo, jak Ned, ze zdumieniem i strachem – oraz litością.

– Zabiją go – wyszeptwała.

– Tak – odparł.

Zobaczył, jak złocista postać odczepia topór od pasa. Otaczające go postacie westchnęły.

Ned zrozumiał, że to ofiara. Cóż innego mogło to być? Nastąpiła noc rozpoczęcia lata, stanowiąca oś roku w czasach, kiedy ci ludzie oraz ich poprzednicy i następcy – tutaj i wszędzie indziej – kształtowali swe obrzędy bogini i boga, płodności i śmierci.

Tutaj i wszędzie indziej, pomyślał Ned. W Walii też. Jego własny lud, lud jego matki. Oraz babki.

Kiedy mężczyzna przed nimi wstanie, będą musieli uciekać. Ned nie wiedział, dlaczego ten człowiek wierzył, że może to zrobić – po prostu tam podejść. Ale cóż mógł z tego zrozumieć?

Wiedział pewne rzeczy, nie wiedział jednak skąd, a najwyraźniej nie pomagało to w kwestiach, które miały znaczenie. Kiedy się stąd wydostaną – jeśli się wydostaną – nie będzie to już takie ważne. Prawda? Wszystko się skończy.

– Ostro-kwaśna zupa – mruknął.

O dziwo, Kate zachichotała na te słowa. A potem uniosła ich złączone dłonie do ust i ugryzła go w knykieć. Nedowi mocno zabiło serce – z powodów odmiennych od poprzednich.

– Zachowuj się – powiedział cicho.

– Ja? – mruknęła, szczerze zaskoczona. I podniecona.

Lecz w tej samej chwili przyszła mu do głowy nowa myśl; poczuł mocne ukłucie strachu. Coś wskoczyło na swoje miejsce: nabrał pewności, że w końcu zrozumiał, co się dzieje z Kate.

Już miał to powiedzieć, ale ugryzł się w język. Jaki to by miało sens? Nie mógł nic na to poradzić. Musieli się po prostu stąd wydostać, teraz z jeszcze jednego powodu, jeśli się nie mylił.

Trzej mężczyźni prowadzący byka dotarli już do tego z toporem. Zatrzymali się przed nim. Biały byk też się zatrzymał. Drobniejszy mężczyzna w bieli stał z boku, trzymając coś w rękach. Panowała cisza.

Wtedy Ned zobaczył, że wszystkie zgromadzone postacie składają zwierzęciu pokłon. Mężczyźni się nie pokłonili.

Wówczas po raz pierwszy przemówiła postać o szerokich barach. Ned pamiętał ten głos sprzed dwóch nocy, głęboki i melodyjny, dźwięczny jak odgłos bębna. Wypowiedział kilka słów – Ned ich nie rozumiał – a kiedy zamilkł, otaczające go postacie, a było ich co najmniej pięćdziesiąt, odpowiedziały mu.

Znów się odezwał i znów odpowiedział mu chór głosów. Wiał wiatr. Porywał dym z pochodni trzymany w rękach i zatkniętych w ziemię.

Byk, niesamowicie biały w blasku księżyca, stał spokojnie, jakby urzeczony śpiewnymi głosami. Możliwe, że o to chodzi, pomyślał Ned. Albo może dali mu jakiś środek.

Głosy umilkły.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła Kate i wtuliła twarz w ramię Neda.

Mężczyzna uniósł topór, który też zalśnił w świetle Księżyca. A potem, z okrzykiem radości, spuścił go zamaszystym, koszącym, potężnym ciosem na głowę byka, celując między wielkie rogi.

Ned poczuł, że Kate płacze (dopiero teraz, po raz pierwszy, z powodu zwierzęcia). Zmusił się do patrzenia, jak zwierzę pada na kolana, a krew – dziwnie zabarwiona w srebrnej od Księżyca nocy – bryzga na postacie stojące w pobliżu.

Barbarzyństwo, chciał powiedzieć, pomyśleć, poczuć Ned, lecz coś go powstrzymało.

Mężczyzna w białym stroju postąpił zwawo do przodu i przytknął do rany czarę, napełniając ją tryskającą krwią. Wyciągnął ją w obu rękach ku mężczyźnie z toporem, mężczyźnie, którego Ned ostatnio widział jako sowę wylatującą z innej zrujnowanej wieży.

Potężny mężczyzna upuścił zakrwawiony topór i ujął czarę obiema dłońmi. Ned czuł szaleńcze bicie pulsu, jakby pędził ku niewidocznemu urwisku.

Mężczyzna uniósł czarę, tak jak przed chwilą unosił topór. Zaczął recytować zaklęcie, a biały byk runął na bok u jego stóp niczym waląca się budowla; wciąż wypływała z niego krew, wsiąkając w zakurzoną ziemię, tym razem nikt nie odpowiedział.

Obok drzewa na wprost Neda i Kate wstał szczupły, pobliźniony mężczyzna. Powiedział coś półgłosem. To mogła być modlitwa.

Złocisty mężczyzna przed sanktuarium wypił krew z czary.

– Rany! – powiedziała nagle Kate Wenger. Uniosła głowę. – Nie mogę... Co się dzieje?

Jej głos był naprawdę dziwny. Wyszarpnęła dłoń z ucisku Neda i odsunęła się od niego.

Ned zgromił ją wzrokiem. Mężczyzna przy drzewie ją usłyszał. Obejrzał się na nich. Kate uniosła się na kolana, chciała wstać. Przerażony Ned pociągnął ją na trawę.

– Kate! – syknął. – Co robisz? Usiłowała się wyrwać.

– Przestań! Muszę...

– Nie – usłyszał szept mężczyzny stojącego przed nimi. – Nie ona! Jest za młoda. To nie powinno być...

Kate Wenger wiła się i szarpała obok Neda, usiłując mu się wyrwać. Kopnęła go. Dysząc płytko, zadrapała go w rękę, a potem uderzyła pięściami w pierś.

I właśnie wtedy, w tej samej chwili, na płaskowyżu Entremont, skąpanym w blasku księżyca w pełni, w ciemności należącej tylko do tego czasu między czasami, kiedy są opuszczone mury, od strony wejścia do miasta, zza pochodni płonących wzdłuż ścieżki rozległ się inny głos.

– Ned? Ned? Jesteś tam? Chodź, przyprowadziłam furgonetkę!

Z bólem serca i pierwszym przebłyskiem pełnego przerażenia zrozumienia Ned zobaczył, jak Melanie – drobna, sprytna, nieustraszona, z zielonym pasmem we włosach – wchodzi z wahaniem między dymiące pochodnie, tak samo, jak zrobił to byk.

W tym momencie Kate Wenger zwiotczała.

Osunęła się bezwładnie na ziemię jak marionetka odcięta od sznurków, od siły, która ją przyciągała, żądała jej.

Wydarzyło się naraz kilka rzeczy.

Mężczyzna z bliźną spojrzali na nich oboje ostatni raz i odwrócił się w stronę ruin. Jakby jego też coś tam przyciągało. Oczywiście tak było, co sobie później uświadomił Ned: przyciągały go wieki.

Oraz miłość.

Postąpił pod górę krok, a potem jeszcze jeden, i zatrzymał się, wciąż niezauważony przez zebranych, wpatrzony w Melanie. Stał teraz na płaskowyżu, całkowicie odsłonięty.

Gdyby ktoś spośród zgromadzonych przy sanktuarium spojrział w jego stronę, zostałby wykryty.

Nikt nie spojrział. Rosły mężczyzna o jasnych włosach oddał czarę człowiekowi w bieli, nawet na niego nie zerknąwszy. Stał nieruchomo, z wysoko uniesioną głową, z rękami opuszczonymi po bokach, patrząc na Melanie, która zatrzymała się na ścieżce. Ned spostrzegł, że wszyscy na nią patrzą.

Ruszyła powoli do przodu między pochodniami.

Ned uniósł się na kolana, by lepiej widzieć. Jedną dłoń położył na ramieniu Kate leżącej twarzą w ciemnej trawie. Wzrok jednak, jak wszyscy pozostali, utkwiał w Melanie.

Zobaczył więc, kiedy zaczęła przestawać być Melanie.

Szła prostą ścieżką między dziewięcioma parami pochodni, obok niskich, rozsypujących się murków pradawnych domów, w stronę sanktuarium i czekających tam postaci. Ned odliczał mijane przez Melanie pary. Za każdym razem, kiedy znikwała w dymie i znów się pojawiała, zachodziła w niej zmiana.

Ned przetarł oczy, jak dziecko. Potem już tego nie robił, tylko patrzył. Nienaturalnie wyostrozonym wzrokiem spostrzegł, jak w blasku księżyca jej włosy zaczęły zmieniać kolor na rudy, i jak stały się o wiele dłuższe niż wcześniej. I po raz pierwszy pomyślał, jak niewystarczające mogą czasami być słowa opisujące kolory.

Zaczęło się zmieniać jej ubranie. W połowie drogi miała na sobie sandały, a nie wysokie buty, i jednocześnieowy strój sięgający do pół łydki, przepasany złotym pasem. Ned zobaczył, jak wychodzi spomiędzy kolejnej pary płomieni, ze złotymi bransoletami na ramionach i pierścieniami na palcach. Wtedy była już wysoka.

Patrzył, jak przechodzi między ostatnimi pochodniami.

Mężczyzna, który ją wezwał – mocą Beltaine, białego byka i jego krwi – ukląkł na ścieżce. Podobnie uczynili pozostali, jakby czekali na znak, jakby Melanie była królową albo boginią.

Nawet ze swojego miejsca Ned widział, że twarz rosłego mężczyzny rozświetla radość. Oraz potrzeba. Lub coś wykraczającego poza potrzebę, coś głębszego. Bez względu na to, co się o nim myślało, nie można było widzieć wyrazu jego twarzy i pozostać na niego obojętnym.

Melanie, która już nie była Melanie, zatrzymała się przed nim.

Ned widział ją z profilu, oświetloną księżycem i pochodniami. Była piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie widział w życiu lub jakie sobie wyobrażał.

Oddychał z trudem. Zobaczył, jak kobieta przez moment patrzy na Księżyc, a potem przenosi wzrok na klęczącego przed nią mężczyznę.

Powiedział coś w języku, którego Ned nie rozumiał. Melanie powoli łąnęła ręką do jego jasnych włosów. Byli jasno oświetleni, jakby stali na scenie i odgrywali role z dawnych czasów, znajdując się zarazem tu i teraz, przed Nedom.

Gdziekolwiek było „teraz”.

Wtedy kobieta odezwała się po raz pierwszy.

– Odmień swe słowa – powiedziała bardzo wyraźnie w doskonałej francuszczyźnie. – Powróciwszy w ten nowy czas, czy nie powinniśmy posługiwać się językiem, którego teraz się używa? Będziemy musieli, czyż nie? Kiedy rozpocznie się taniec.

– Jak sobie życzysz, pani.

Nie wstawał z klęczek. Pochylił głowę. Pod opadającymi włosami trudno było dostrzec jego twarz.

– Tak sobie życzę.

Jej głos trudniej było odczytać, lecz z całą pewnością nie był to głos Melanie. Rozejrzała się. Poważna, bez uśmiechu, przyglądała się najbliższym stojącym, malowanej blaskiem księżycy wieży.

– Tylko jeden z was? – zapytała cicho.

– Tylko jeden z nas – odparła klęcząca postać. – Niestety.

Mężczyzna uniósł głowę; Ned zobaczył, że się uśmiecha. Wcale nie wyglądał na przygnębitego.

– Dwóch z nas – powiedział mężczyzna z bliźną.

Tylko tyle, i to cicho, lecz wraz z wypowiedzeniem tych słów wszystko się zmieniło. Entremont i noc zmieniły bieg. Przyjęły, zaakceptowały brzemień stuleci, swoje miejsce w długiej opowieści.

A przynajmniej tak się wydawało Nedomu, kiedy później wracał do tego pamięcią.

Klęczący wydał okrzyk wściekłości.

Wstał, i pośród krzyków stojących z tyłu postaci postąpił w stronę przybysza. Ned zobaczył wznoszone i opuszczane włócznie. Olbrzymi, niemal nagi wojownik dobył miecza. Postać w bieli uniosła ręce, wciąż trzymając czarę, jakby chciała rzucić urok albo klątwę.

Mężczyzna w szarej skórzanej kurtce wszedł w tłum, jakby nie dostrzegał żadnego zagrożenia, jakby nie zauważył całego zamieszania.

Może nie zauważył, pomyślał Ned. Może widział tylko kobietę. Jakby nic innego nie miało znaczenia.

Odwróciła się, by popatrzeć na zbliżającego się mężczyznę, i Ned po raz pierwszy wyraźnie zobaczył jej twarz. Zamknął na chwilę oczy. Miał sucho w ustach.

– Wystawili cię na próbę? – zapytała łagodnie, kiedy mężczyzna zatrzymał się przed nią. Nie ukląkł, a ona poprzestała na takim powitaniu.

Skłonił głowę.

– Bawią się. Jak dzieci.

Mówili po francusku.

– Tak sądzisz? Chyba nie tylko jak dzieci. Ja lubię zabawy – stwierdziła kobieta.

– Przypominam sobie, że cię zabawiałem.

Roześmiała się. Ned znów zamknął na sekundę oczy.

– Tak, czasami, mój nieznajomy. – Przechyliła głowę. – Wyglądasz starzej.

– Ostatnim razem też to powiedziałeś.

– Tak? – Wzruszyła ramionami.

Odwróciła się do roślejszego mężczyzny. Był sztywny, pełen napięcia, jak polujące zwierzę. Neda ogarnęło nagłe przeczucie, że w tym miejscu dojdzie do aktów przemocy.

– Pamiętam ten torques – rzekła kobieta. Ned zobaczył uśmiech na twarzy złotowłosego.

– A ja ten pierścionek z lazurytem. Uniosła dłoń i spojrzała na nią przelotnie.

– Nie dałeś mi go?

– Wiesz, że tak. I to, kiedy ci go dałem.

– Chcesz mi mówić to, co wiem? Opuścił głowę, a kobieta się roześmiała.

Kate leżała spokojnie obok Neda na trawie, a on wciąż klęczał. Czuł się sparaliżowany przez strach i fascynację, przez grozę tego, co się dzieje. I nie mógł oderwać oczu od tej kobiety.

– Musimy ją odzyskać! – szepnął, czując się jak idiota. Kim jest, by choćby myśleć o czymś takim?

– Kto przyszedł? Kto to był? – mruknęła Kate, unosząc w końcu głowę. Wytarła wilgotne policzki.

– Melanie. Przyszła sama. Nie mam pojęcia, dlaczego nie pojawił się Greg.

– To miałam być ja – stwierdziła głucho Kate. – Wiesz o tym?

Ned kiwnął głową. Wiedział. Gdyby Melanie nie przyszła...

Odwrócił wzrok od Kate i spojrzał w górę zbocza. Mężczyzna – ich mężczyzna – był otoczony. Nie miał broni. Powiedział, że mu ją dadzą.

Powinniśmy w tej chwili odejść, pomyślał Ned.

Nie ruszył się z miejsca.

– Jak to się stało, że tu jesteś, obcy człowieczku? – zapytał złoisty mężczyzna.

– Właśnie, jak? – dodała kobieta. – Oni tak bardzo chcą się tego dowiedzieć! Spójrz na nich! Zepsułeś zabawę.

Muzyka w jej głosie, kapryśnym, rozbawionym.

– Dzieci stawiają zagadki, które uważają za wymagające – powiedział łagodnie.

Ilekcioć odwracała się w jego stronę, Ned widział jej twarz.

– Czy to prawda? Zagadka rozwiązana? – zapytała.

Zawahał się.

– To prawda, ukochana. Lecz pewna kobieta dała także do zrozumienia, że mogą tu być podczas wezwania, a ja jej posłuchałem.

„Ukochana”.

– Ach. Pewna kobieta? Czy jest ładna? Młoda, o słodkim głosie? Zostawiłeś mnie dla innej. Biada memu rozdartemu sercu.

Zapadło krótkie milczenie. Kate Wenger znieruchomiła.

– Nigdy cię nie opuszczę – powiedział cicho mężczyzna.

Słyszając to, Ned Marriner zadrżał. Wciąż klęczał na srebrzystozielonej trawie.

– Nigdy?

Zachowanie kobiety znów się zmieniło.

Mężczyzna stał zwrócony do nich plecami i Ned nie widział jego twarzy, ale usłyszał słowa:

– Zdaje się, że już to okazałem? Prawda?

Teraz ona milczała.

– Jestem bezradną kobietą – powiedziała w końcu. – Chyba muszę ci wierzyć.

„Bezradną”. Ton jej głosu i zachowanie czyniło te słowa kłamstwem.

– Powiedz mi – rzekła, znów zmieniając zachowanie – czy ta moja rzeźba, którą stworzyłeś, wciąż jest na dole, w świecie?

– Tak.

– I czy wyglądam tam jak teraz?

Pokręcił głową.

– Wiesz, że nigdy tak nie wyglądałaś w tym kamieniu. A czas też zrobił swoje.

Cofnęła się o krok.

– Ach? Czas? Czy muszę to zaakceptować? Nie odszedłeś, by mu się przeciwstawić? Czy to jest miłość? Dobrze mi służysz czy zaledwie dajesz mi słowa?

Pochylił głowę.

– Nie jestem z powrotem na świecie dość długo, pani. Nie przybyliśmy też w czasach, kiedy mogę wejść do tych kruzganków i pracować.

– On podaje wyjaśnienie! – rzekła z pogardą. – Jakie to uprzejme! Powiedz mi, czy lepszy mężczyzna mógłby postąpić tak samo?

– To niesprawiedliwe! – syknęła Kate przy uchu Neda.

– Być może, pani – powiedziała postać w szarej kurtce. – Wiem, że są lepsi.

Ned zobaczył, że te słowa wywołały uśmiech kobiety. Pomyślał, że wygląda okrutnie.

– Ale kiedy pracowałem – dodał mężczyzna cicho – przyszło mi na myśl, że żadna rzeźba nawet w przybliżeniu nie odda tego, kim jesteś. Od samego początku uczyniłem ją tylko twoim cieniem, wiedząc, że z biegiem lat stanie się nim jeszcze bardziej, tracąc kontury. Aby to zrozumieć, trzeba cię ujrzeć – a może coś więcej.

„Coś więcej”. Ned spazmatycznie zaczerpnął tchu.

Uśmiech się zmienił i nie był już okrutny. Kobieta uniosła dłoń, jakby chciała dotknąć twarzy mężczyzny, lecz tego nie zrobiła.

Odwróciła się do drugiego mężczyzny.

– A ty? On mówi, że nigdy mnie nie opuści.

– Moja odpowiedź jest taka sama, jak na początku, jeszcze przed tą nocą wśród wiejskich płomieni. – Jego głos był głębszy, dźwięczny. – Opuściłaś nas, kiedy to się zaczęło. Ty to zaczęłaś. Zawsze miałaś takie prawo... lecz dopóki niebo nie spadnie, będę o ciebie walczył.

Kate usiadła na trawie obok Neda.

– Doprawdy? Będiesz o mnie walczył? – zapytała wysoka kobieta, czerwona i złocista niczym królowa elfów.

– Dziś i zawsze z radością udowodnię ci moją miłość we krwi tego obcego.

– I udowodnisz swoją wartość?

Nagle błysnął zębami; odgarnął jasne włosy, które wiatr nasuwał mu na oczy. Był wspaniały, jak rasowy rumak. Albo jelen, pomyślał nagle Ned, przypomniawszy sobie jego rogi.

– Czy kiedykolwiek okazałem się niegodny, Ysabel?

Usłyszeli śmiech rozlewający się wśród ruin.

Ysabel.

– Ach – rzekła. – Zatem takie jest tym razem moje imię?

– Wyjawiło je przed śmiercią zwierzę. Tak powiedział druid. – Zatem, rzecz jasna, przyjmuję je.

Jej rozbawienie zniknęło. Kolejna zmiana nastroju niczym chmura przesłaniająca księżyc.

Spojrzała na białego byka, leżącego we własnej krwi na zakurzonej, posrebrzonej ulicy. Powiedziała coś, ale zbyt cicho, by Ned ją dosłyszał. A potem znów podniosła wzrok i przesunęła go z jednego mężczyzny na drugiego.

– I co się teraz stanie? Mam wam obu nadać imiona, tak? A potem walka? To dlatego znów jesteśmy razem żywi?

Teraz w jej głosie brzmiało wyzwanie, niemal gniew.

– To dlatego nie mógł przedtem odpowiedzieć – szepnęła Kate. – Kiedy go zapytaliśmy o imię.

Tym razem to Ned ujął ją za rękę. Leżała spokojnie w jego dłoni. Patrzyli razem. Wiedzieli, że muszą odejść. I że jest to niemożliwe.

Kobieta odwróciła się do drobniejszego mężczyzny. Twarz miała oświetloną blaskiem księżyca.

– Jak mam cię nazwać? – zapytała.

Jej głos znów stracił delikatną nutę. Panowała nad mężczyzną, nad nimi wszystkimi. Samowolna, przekorna.

– Mam dać ci na imię Becan, ponieważ jesteś drobny? Albo może jeszcze raz Morven, ponieważ przybyłeś z morza?

– Wtedy miałem inne imię – rzekł łagodnie.

– Pamiętam.

– Kiedy przybyłem po raz pierwszy.

– Pamiętam.

– I... miałem na imię... nazywałaś mnie Anwyblem.

Uniosła głowę.

– „Ukochany”? Zakładasz tak wiele? Że muszę ci dać takie imię, bo już raz uczyniłam ten niemądry krok?

Ned pomyślał, że tak naprawdę nie jest zła, ale nie miał pewności.

– Ja tylko powiedziałem, że już kiedyś tak było. I to nie raz – mruknął mężczyzna. – Nie myśl, że zapominam.

Kate Wenger ni to pisała, ni to westchnęła. Nikt na płaskowyżu się nie poruszył. Pochodnie płonęły, dym rozwiewał się na wietrze.

– Nie raz – zgodziła się w końcu kobieta. – Nazwałam cię tak albo nie. Przed blizną i po niej. Nad morzem i z fal.

Ned Marriner, ukryty w mroku opadającego zbocza, pomyślał, że jeśli przed śmiercią usłyszałby z ust jakiejś kobiety takie słowa, wypowiedziane takim głosem, to mógłby powiedzieć, że warto było żyć.

Ysabel popatrzyła na mężczyznę i pokręciła głową.

– Jeden z was musi zasłużyć na imię „Anwyll”. A może żaden na nie nie zasłuży. Lecz nie nazwę cię Donalem: nie jesteś już obcym po tak długim czasie. Mały, szczupły i samotny, jeszcze raz będziesz „Phelanem”. Moim wilkiem.

– To po celtycku – szepnęła Kate.

– Wiem – mruknął Ned.

Pomyślał, że „wilk” bardzo do niego pasuje.

Księżyc stał wysoko, o wiele za wcześniej niż powinien. Ale co dzisiejszego wieczoru znaczyło słowo „powinien”? Patrzył, jak kobieta, która już nie była Melanie, zwraca się do drugiego mężczyzny.

– Gwri ze względu na twoje włosy? – zapytała na powrót przekornym tonem. – Allyn albo Keane, mój piękny? Briant od siły... chciałbyś nosić któreś z nich?

Zupełnie jakby wypróbowywała, smakowała brzmienie imion. Bawiła się nimi. Wysunęła w bok smukłą nogę, dłoń oparła na biodrze, przechyliła głowę i wodziła wzrokiem po mężczyźnie od stóp do głów.

– Masz powody, by pamiętać to ostatnie – odparł i odrzucił w tył głowę, śmiejąc się z własnego żartu.

Ned pomyślał, że kobieta znów się rozżłości, ale się pomylił. Też się roześmiała. Uświadomił sobie, że za grosz jej nie rozumie.

– Pozwól mi zabić go tutaj – poprosił mężczyzna, zataczając ręką szeroki łuk. – Pozwól nam walczyć. Tej nocy to miejsce jest święte.

Ned nie widział twarzy, ale w jej głosie usłyszał uśmiech.

– Ach. Zatem otrzymaliśmy twoje imię – rzekła. – Weź je. Jesteś i zawsze byłeś „Cadellem”, mój wojownika.

Wilk i wojownik. Tam, gdzie wszyscy stali niczym postacie w żywym obrazie, panowała cisza. Ned zobaczył, jak zachodnią ciemność nieba powoli przecina meteor, znikająca kula ognia. Będąc w potrzebie, niczym kiecko, pomyślał życzenie.

– Doskonale. A zatem to zostało załatwione. Dziękuję ci, pani. Jeśli mamy teraz walczyć, to może ktoś zechce mi łaskawie pożyczyć broń?

To odezwał się – zdecydowanym tonem – szczupły mężczyzna, którego teraz mogli nazywać Phelanem. Ned przełknął ślinę, słysząc chłodną uprzejmość tych słów. Kryło się

jednak za nimi tak wiele. Noc mogła tej chwili wybuchnąć czerwoną, elektryzującą przemocą, idźcie już! – krzyczał wewnętrzny głos.

– Miecz? Oczywiście. Z radością – powiedział mężczyzna nazwany Cadellem. – Nie umiem ci powiedzieć, z jak ogromną. – Zamilkł i po chwili dodał z powagą: – Wiesz, że cię zabiję.

– Wiem, że będziesz próbował.

Ktoś – Ned zobaczył, że była to drobna postać w białej szacie – postąpił do przodu, trzymając w wyciągniętych dłoniach nagi miecz niczym kolejną ofiarę. Przedtem podał komuś innemu kamienną czarę. Zupełnie jakby druid na to czekał, jakby wiedział, że to się wydarzy. Może wiedział? Phelan zbliżył się, by wziąć miecz i zacząć.

Lecz w tym momencie bardzo długi taniec otrzymał nowy rytm. Ned Marriner zdał sobie z tego sprawę dopiero po jakimś czasie, a jeszcze więcej zajęło mu zrozumienie, dlaczego tak się stało.

– Nie – rzekła Ysabel.

Phelan zatrzymał się z ręką wyciągniętą w stronę rękojeści miecza. Nie dotknął jej. Obaj mężczyźni popatrzyli na kobietę.

– Nie walka – powiedziała cicho. – Nie tym razem. I nie zgromadzonych przez was armii. To mi się nie podoba.

– Ja go muszę zabić, ukochana – stwierdził z naciskiem Cadell. Przegarnął ręką włosy. – Skoro znalazłaś się wśród nas, spoczywa to na mnie jako przeznaczenie, tęsknota.

– A zatem ją opanuj, jeśli jesteś mężczyzną – powiedziała mu bez ogródek.

Odrzucił głowę do tyłu, jakby tymi słowami uderzyła go w twarz.

– Pani moja, jesteśmy sprowadzani z powrotem, by o ciebie walczyć – rzekł cicho Phelan. – Zawsze to wiedzieliśmy. Tacy jesteśmy.

Tym razem błyskawicznie odwróciła się do niego. Ned znów ujrzął jej twarz i malującą się na niej wściekłość.

– Jesteście sprowadzani z powrotem, by na mnie zasłużyć – jeden z was bardziej niż drugi – w moich oczach! Zaprzeczysz temu? Rzucisz mi wyzwanie?

Pokręcił głową.

– Wiesz, że nie.

Znów zapadła cisza. Ned wiedział, że czas odejść. Że ten czas już dawno minął. Nie chciał tu zginąć.

– Mam inną próbę miłości i wartości – usłyszał słowa Ysabel. – Próbę... tęsknoty. – Wypowiadając to słowo, przez chwilę zatrzymała wzrok na roślejszym mężczyźnie. – Powiedz, jak do mnie tęsknisz, mój wilku?

– Już ci mówiłem – odparł.

– Ha! Posłuchaj tego Rzymianina! Powiem to tyle razy, ile zechcesz posłuchać mego głosu! – zawołał mężczyzna nazwany Cadellem. – Nasz lud – twój i mój! – nie wydziela słów niczym skąpiec monety ze swego skarbcza.

„Ten Rzymianin”. „Twój i mój”. Kawałki układanki, pomyślał Ned. Jeśli będzie żył dość długo, by ją ułożyć.

Ysabel spojrzała na Cadella, a potem na drobniejszego mężczyznę. Tym razem się nie uśmiechała. Ned pomyślał, że jakby czeka, spodziewa się czegoś z powodu tego, co właśnie zostało powiedziane.

Doczekała się. Patrząc na rywala, Phelan odezwał się z nagłym chłodem z głosem:

– Słowa, powiadasz? Znam twoje słowa. Pamiętam niektóre. A ty?

Może te: „Zabić ich wszystkich. Bóg rozpozna swoich”.

Przerwał, a brzmienie jego głosu zamierało w powietrzu, unosząc się jak dym. Po chwili dodał cicho:

– Skarbiec, tak? Powiedz nam, jakież to nagromadzono skarby? Martwe kobiety i dzieci? Zwęglone ciało? Poczerniała kość? Może taki skarb?

– O Boże – szepnęła chrapliwie Kate.

Ned tego nie rozumiał. Nie było czasu na pytania.

Roślejszy mężczyzna uśmiechał się, nawet w obliczu tych słów – złocisty, piękny, nieporuszony tą wściekłością. Ned nagle dostrzegł w nim wilka.

Obaj, pomyślał.

– Biedactwo – powiedział Cadell szyderczo. – Ja wtedy odniosłem zwycięstwo, nieprawdaż? Jestem pewien, że tak. Trudne wspomnienie? Nie ma ucieczki? Uwięziony w obrębie murów? Z tymi, którzy tak niemądrze ci zaufali? A ja nigdy nie wypowiedziałem tych słów. Wiesz o tym.

– Wprowadziłeś je w życie. Zabiłeś z ich powodu.

Mężczyzna powoli pokręcił głową z udawanym żalem i postąpił krok do przodu.

– Chcesz mnie besztać? Ty? Za śmierć? Ty, Mariuszu? Za kobiety i dzieci? Chcesz to czynić tutaj? Widząc to?

I słysząc to imię, Ned zrozumiał.

Dzięki temu, co powiedziała Melanie pod tamtą górą. Co powiedziała Pourričres, miejscowości położonej poniżej Sainte-Victoire, i o rozegranej tam bitwie, która zmieniła oblicze świata. O zasadzce na Celtów, obozie z zapasami, o ich rodzinach, żonach, dzieciach...

Dwieście tysięcy gnijących ciał. Czerwień w świecie.

„Nie jestem dobrym człowiekiem”.

Dwa wilki. Nedowi znów zrobiło się niedobrze. Przyszło mu do głowy, że prowadząc swoją wojnę, ci dwaj mogliby puścić świat z dymem. Że już to zrobili.

Nie zdążył dokończył tej myśli, przejęty nagłym strachem, kiedy Ysabel powiedziała:

– Żadnej broni, żadnych armii. Nie tak będzie. Wysłuchajcie mej woli. Wysłuchajcie mnie uważnie, bo powiem to tylko raz. Odejdę stąd.

Nie będziecie tu ze sobą walczyć. Cadellu, kiedy zgasną ognie, pozwolisz druidowi i jego duchom wrócić na spoczynek. Zostałam wezwana. Oni nie mają już z tym związku. Powiedz mi, że ich zwolnisz.

Wpatrywała się w niego.

– Zwolnię ich – obiecał po chwili.

– Nie będziesz wykorzystywał swoich rozmaitych postaci do poszukiwania mnie.

Przysięgnij.

– Przysięgam. Ale co znaczy „poszukiwanie”?

Ned także chciał o to zapytać.

Przeniosła wzrok z Cadella na drugiego mężczyznę.

– Gdy nastanie ranek – o wschodzie słońca, nie wcześniej – obaj zaczniecie mnie szukać.

Phelan patrzył na nią bez słowa.

– Nazwijcie to misją – ciągnęła. – Udawajcie pełnych galanterii, honorowych ludzi, niesplamionych żadnymi grzechami. Kto odnajdzie mnie pierwszy, udowodni swą wartość. Będę się ukrywać i nie będzie mnie łatwo znaleźć. Możecie mi wierzyć. – Zamilkła na chwilę. – Macie trzy dni.

– A jeśli... nie powiedzie się nam? – zapytał cicho Phelan.

– Wtedy zróbcie sobie nawzajem, co zechcecie, to nie będzie miało znaczenia. Obaj mnie zawiedziecie. Okaże się, że jestem dla was nieważna.

Zamilkła, powiodła wzrokiem od jednego do drugiego i dodała zmienionym tonem:

– Wolałabym zostać odnaleziona.

Ned pomyślał, że po raz pierwszy słyszy w jej głosie niepewność. Tam, gdzie płonęły pochodnie, zapadło milczenie.

– To jest... proponujesz dziecinną zabawę, pani. Ja muszę go zabić. Głos Cadella był pełen bólu.

– Myślałam, że lubisz dziecinne zabawy. – Cień bezbronności zniknął tak szybko, jak się pojawił. – A teraz nie wolno wam zabijać. Taka jest moja wola. Lecz jest to: ten, kto znajdzie mnie pierwszy, może złożyć w ofierze tego, który zawiedzie. Za moją zgodą. I zgodnie z moim pragnieniem.

Dobry Boże, pomyślał Ned. „Zgodnie z moim pragnieniem”.

– Przysięgnijcie, że to wszystko uczynicie, a wtedy odejdę.

– Dopiero przybyłaś – powiedział Phelan tak cicho, że ledwie go usłyszeli. – Mam cię tak szybko stracić?

– Znajdź mnie – rzekła chłodno – i w ten sposób mnie zatrzymaj, jeśli to takie ważne. Albo odejdz i wykuj kolejną rzeźbę. Kamień zamiast ciała, wedle wyboru. Ale przysięgnijcie teraz, obaj. Trzy dni. Znajdźcie mnie. Przegrany stanie się ofiarą, ponieważ zawiódł.

Odwróciła się z powrotem do Cadella.

– Nadal chcesz to nazywać zabawą?

Jest taka twarda, pomyślał Ned. Była wysoka, szkarłatna jak ogień i przerażająco zimna. Czuł się mały i nie na miejscu, jak podsłuchujące dziecko. I taki był niemal pod wszystkimi ważnymi względami.

Usłyszał, jak obaj mężczyźni kolejno składają jej przysięgę.

– Ned, musimy iść – szepnęła Kate. – Zanim ona odejdzie, a oni zaczną jej szukać.

To była prawda.

Nigdy już jej nie zobaczę, myślał bez ustanku.

– Muszę ją odzyskać – szepnął tylko, powtarzając się i znów czując głupio. Muszę. Cóż znaczą w tym wszystkim jego potrzeby?

– Melanie? Spróbujemy. Pomyślimy nad tym. Ale nie tutaj. Chodź, Ned!

Jej palce nadal spoczywały w jego dłoni; pociągnęła go za sobą. Odeszli z tego miejsca, odeszli od kobiety, której imię tkwiło mu w głowie, wyśpiewywane nieuchwytnym, zmiennym głosem. Od razu tej pierwszej nocy wiedział, że to imię nigdy go nie opuści.

Poszło im łatwo – przemknęli na północ wzdłuż łąki obok muru. Phelan miał rację.

Kiedy znaleźli się poza terenem wykopalisk, na żwirowej ścieżce, w miarę, jak biegli, niebo zaczęło jaśnieć. Gdy dotarli do żelaznej bramy przez nią przeszli, znów nastąpiło jasne, pogodne popołudnie późnowiosennego dnia.

Było wietrznie, a słońce widniało na zachodzie, przed nimi, jakby czekało. Furgonetka stała samotnie na parkingu. Ned wpatrywał się w nią w jakiś obcy, nedorzeczny przedmiot.

Podszedł do niej. Na przednim fotelu pasażera leżała torba Melanie. Trudno było na nią patrzeć. Dopiero co widzieli miecze i ofiarny topór, byka leżącego w kałuży własnej krwi, po tym, jak przeszedł między świętymi ogniami.

Jak może istnieć na świecie furgonetka renault? Jak może tu nie być Melanie? Myśli te napełniały Neda drżeniem. I strachem.

Żadne z nich nie umiało prowadzić, a furgonetka była zamknięta; będą musieli iść piechotą. Z dołu dobiegał hałas pędzących samochodów, któryś głośno zatrąbił. To też było niemożliwie dziwne. Kate znów go pociągnęła i ruszyli w dół.

Trudno mu się szło, powłóczył nogami, mimo że Kate ciągnęła go za rękę. Wiedział, czego chce. Chciał wrócić do zaginionego światła księżycy, który zostawili za sobą.

„Znajdźcie mnie”, powiedziała.

Ysabel.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 10

Po drodze do Aix rozplakał się. Kiedy zbliżali się do miasta w hałasie i chaosie ruchu drogowego, pojawiło się opóźnione poczucie grozy po przeżytych koszmarze. Trudno było się poruszać. Ned chciał tylko zatrzymać się gdzieś na poboczu, znaleźć ławkę, cokolwiek. Nie mógł przestać myśleć o Melanie, o tym, że odeszła. Tak po prostu. I co powie ojcu i pozostałym? Jak się mówi coś takiego?

Kate na szczęście milczała.

Kiedy dotarli do obwodnicy, Ned zauważył kątem oka, że dziewczyna znów przygryza wargę. Myślał o niej i o tym, do czego nieomal doszło. Kate znajdowała się o uderzenie serca – nie więcej – od tego, co się stało z Melanie. Wrywała się mu, chciała tam pójść. Weszłaby między te ognie Beltaine.

„Jest za młoda”, powiedział Phelan.

Nie sprawiłoby to żadnej różnicy. A piętnaście lat to nie tak mało w czasach, kiedy, jak się wydaje, rozpoczęła się ta opowieść. W wieku piętnastu lat można było mieć męża i dzieci. Kiedyś ludzie dorastali szybciej.

Ned pomyślał, że gdyby mógł automatycznie wybrać numer telefonu Grega, gdyby furgonetki nie przyprowadziła Melanie, to teraz nie byłoby obok niego Kate Wenger.

Ta myśl nie przynosiła ulgi.

Niebo nad nimi wciąż było jasne. Mistral ucichł, słońce stało nisko. Samochody brzęczały i chrypiały, między nimi przeciskały się z jękiem motorowery.

Ned spojrzał na zegarek. Kwadrans po siódmej. W Entremont była noc. Przecieli obwodnicę na światłach, a potem się zatrzymali i spojrzeli po sobie. Kate miała zapuchnięte powieki.

– Co teraz zrobimy? – zapytała.

Nie nazywała go już „skarbem”. Wiedział, że już nigdy nie będzie tego robić. Wiedział także, dlaczego robiła to przedtem: jak działało na nią Beltaine. Kiedy się spotkali przed atelier Cezanne’a, już zaczynała się zmieniać w kogoś innego. A nawet wcześniej.

Potem pojawiła się Melanie. A potem Ysabel.

Zatrąbił klakson, odpowiedział mu gniewnie inny. Ned zobaczył, że przy przejściu utworzył się korek; obwodnica była zatkana, pasy ruchu zanikały między samochodami

niezdecydowanymi, który jest najszybszy. Na pasie dla autobusów i taksówek ugrzęzły trzy autobusy. Między pojazdami śmigały skutery. Życie w dwudziestym pierwszym wieku.

– Nie wiem, co zrobimy – powiedział do Kate – ale muszę o tym powiedzieć tacie.

Skinęła głową.

– Tak myślałam. Pójdę z tobą. Jeśli chcesz. To znaczy, może... może bardziej uwierzy, jeśli będzie nas dwoje, nie?

Nedowi przyszło do głowy to samo.

– Jesteś pewna? W porządku? Byłbym wdzięczny...

Pokręciła głową.

– Nic nie jest w porządku, ale nie zostawię cię samego. We dwójkę będzie nam łatwiej.

Słusznie. Ale to sprawiło, że o czymś pomyślał.

– We trójkę będzie lepiej – stwierdził i wyjął telefon.

Włączył aparat, przeszedł do ekranu pamięci, przewinął i połączył się automatycznie.

Tylko jeden sygnał.

– Ned? Co się stało?

Wiedziała, że nie dzwoni bez powodu. Odchrząknął.

– Coś złego – powiedział. Trudno mu było panować nad głosem. – Potrzebuję... myślisz, że mogłabyś przyjechać do willi? Nie mam pojęcia co robić.

Tembr głosu ciotki Kim uspokajał go.

– Oczywiście, że mogę. Jesteś tam teraz?

– W Aix. Idę do domu. Razem z Kate, dziewczyną, którą tu poznałem.

– Skąd idziesz?

– Z Entremont.

Zapadło milczenie.

– Och, Ned. Dobrze, jestem na zachód od miasta, ale niedaleko. Nie zajmie mi to dużo czasu.

– Dzięki. Naprawdę.

– Idźcie do domu. Czy to ostatnia willa przy tej drodze? Tam gdzie cię wysadziłam?

– Aha. Willa Sans Souci. Melanie umieściła... są tam takie kanadyjskie flagi. Na tabliczkach.

– Już jadę. – Rozłączył się.

Kate patrzyła na niego wyczekująco.

– To była moja ciotka Kim – wyjaśnił.

Zamrugła.

– I?

– Była tu... robiła już takie rzeczy. Wyraz jej twarzy się zmienił.

– Żartujesz. I wiedziałeś o tym? W katedrze? Pokręcił głową.

– Zobaczyłem ją po raz pierwszy w życiu dwa dni temu. Widzieliśmy... natknęliśmy się na tego dużego gościa. Cadella? Tego, który zabił byka.

Kate przygryzła wargę.

– Nie powiedziałaś mi o tym.

– Wiem. To skomplikowana historia rodzinna. Nie chciałem o niej mówić na poboczu szosy. A ty byłaś... w dość dziwnym nastroju. Zarumieniła się. – To nie byłam ja.

– Wiem.

– To znaczy, to byłam ja, ale nigdy bym...

– Wiem.

Uśmiechnęła się słabo, po raz pierwszy, odkąd zeszli na dół.

– Jak na faceta, wydaje ci się, że dużo wiesz.

Ned spróbował odwzajemnić uśmiech, ale mu to nie wyszło.

– Nie wiem – powiedział.

Skinęła głową.

– Dobra. A twoja ciotka jest w porzo? To znaczy, ona będzie wiedziała co robić, tak?

– Na pewno – stwierdził.

Może, pomyślał.

Wcale nie był pewien, czy mogą coś zrobić. Pomyślał o rodzinie Melanie. Nic o niej nie wiedział. Wyobraził sobie tę rozmowę.

„Cześć. Dzwonię, żeby powiedzieć, że państwa córka zniknęła. Zmieniła się w jakąś kobietę sprzed ponad dwóch tysięcy lat. Ma rude włosy. Jest wyższa”.

Odetchnął głęboko. Skręcili w lewo, obok krztuszącej się samochodami obwodnicy, jakby płynęli pod prąd czasu.

Kiedy doszli do zbrocza prowadzącego do willi, czas zderzył się ostro z teraźniejszością. Ned zaczął zwalniać między drzewami, bynajmniej nie ze zmęczenia. To była niechęć, opór, dziecinne pragnienie, by ten stan zawieszenia – kiedy coś się wydarzyło, ale nie zostało jeszcze opowiedziane i uczynione rzeczywistym wraz z konsekwencjami – trwał na zawsze.

Powiedział sobie, że takie pragnienie jest nieodpowiedzialne, nawet tchórzliwe. Że nie mogą zacząć nic robić w sprawie Melanie, dopóki nie zda z niej relacji. Wiedział jednak, jak niemożliwie trudno będzie ją zdać.

Kate szła w milczeniu obok niego. Kiedy dotarli do zarośniętej łąki po prawej stronie, spojrzał na nią. Tylko motyle i pszczoły, śpiew ptaków. Trawa, koniczyna, kilka maków, jakieś jaskrawożółte kwiaty na krzakach pod lasem.

Przy bramie do willi znów się zawahał, z palcami nad skrzynką z przyciskami, które ją otwierały.

– Moglibyśmy tu poczekać. Na twoją ciotkę – odezwała się Kate.

Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że może ciotka Kim będzie na nich czekać na dole i że ich podwiezie. Mógłby przekazać jej tę sprawę. Byłem tam, zrobiłem to. Ty im powiedz.

Spojrzał na Kate, która sama zaproponowała, że mu pomoże, chociaż nawet nie знаła Melanie ani jego ojca i pozostałych. Neda znała dopiero od czterech dni.

Wystukał kod, brama się otworzyła. Wystukał kod drugi raz, by została w tym położeniu, po czym weszli na teren posiadłości. Czas znów ruszył.

Ojciec siedział przy stoliku na tarasie, z koktajlem w ręce. Steve zaliczał kolejne długości basenu w zimnej wodzie. Ned nie zauważył Grega.

Brama szczęknęła przy otwieraniu. Ojciec obrócił się na krześle i im pomachał.

– Hej! – zawołał Steve, nie przerywając pływania.

– Przyszliście piechotą?! – zawołał ojciec. – Lepiej zadzwoń do Melanie i jej powiedz. Pojechała po was!

– Gdzie był Greg? – zapytał Ned, stąpając po trawie.

Kate podążała tuż za nim.

– Zasnął po powrocie z opactwa. Kiedy zadzwoniłeś, planowali dla niego coś straszego. Chyba go uratowałeś. Po co dzwoniłeś, skoro zamierzaliście iść piechotą? I kim jest twoja znajoma? – Edward Marriner uśmiechnął się do Kate.

Ned doznał nagłego, ostrego poczucia, że jest to ostatni moment spokoju, jakiego zazna tu ojciec. To była trudna myśl: porażająca niewinność ludzi przed usłyszeniem wieści, które mogą zniszczyć im życie. Dzwonek do drzwi, policjant na ganku, nocą, w deszczu, wiadomość o wypadku samochodowym...

Nie wiedział, dlaczego o tym pomyślał.

– To jest Kate Wenger. Kate, to mój ojciec, Edward Marriner.

– Witaj, Kate – powiedział ojciec. – Ned mówił nam o tobie. Sprzedajesz wypracowania, żeby móc zwiedzać okolicę? – Uśmiechnął się szeroko.

– Dzień dobry. Nie, zwykle tego nie robię.

– Ned, powiedz Verze, żeby przyniosła jeszcze jedno nakrycie. Kate może zjeść z nami kolację.

– Dobrze – odparł Ned. Nabrał tchu. – Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Coś się stało.

To było okropne, ale bał się, że znów się rozplacze. Wyraz twarzy jego ojca się zmienił. Spojrzał na Neda, potem na Kate.

– Usiądźcie. Słucham.

Usiedli. Ned odetchnął kilka razy dla uspokojenia. Steve wciąż pływał.

W basenie musiało być lodowato. Z trawy poderwał się nagle czarnobiały ptak i poleciał w stronę drzew rosnących przy krzaczkach lawendy.

– Chodzi o Melanie – zaczął Ned.

– O Boże. Furgonetka? Ned...?

– Nie o furgonetkę! Zadzwońbym.

Zobaczył, że Kate znów przygryza wargę.

– No to co się stało? Gdzie jest Melanie? Mów, Ned.

– Ona odeszła, tato.

– Melanie? Nie zostawiłaby nas za żadne skarby.

Możliwe, że chodziło o skarby Celtów, pomyślał Ned.

– Czy ona znów się wygłupia? – zapytał ojciec. – A ty? Jezu, Ned, jestem za stary na...

– To nie jest żart, proszę pana – rzekła Kate. – Stało się coś złego i... to naprawdę bardzo trudno wyjaśnić.

Sprawiała wrażenie poważnej i skupionej. Ojciec Neda spojrział na nią, a potem na syna.

– Przerazacie mnie.

– Sam jestem przerażony – odparł Ned – i nie wiem od czego zacząć.

– To wcale mi nie poprawia samopoczucia.

Ned zaczerpnął tchu. Przyszedł mu do głowy pomysł; zrealizował go, zanim zdążył się rozmyślić.

– Tato... może wiesz, jaką historię opowiedziała mamie ciotka Kim przed wyjazdem? Czy mama kiedykolwiek ci o tym mówiła?

Nigdy nie widział nikogo, nie mówiąc już o swoim ojcu, tak zdumionego.

– Ciotka Kim? – powtórzył tępo Edward Marriner. – Kimberly?

Ned kiwnął głową.

– Czy mama coś ci o tym mówiła?

– Ned, Jezu, co to ma...?

– Proszę cię, tato. Mówiła?

Był dość pewien, że ojciec odpowiedział dlatego, że obok znajdowała się Kate Wenger, zmartwiona, poważna i z przygryzioną wargą.

– Powiedziała mi bardzo niewiele – rzekł w końcu Edward Marriner. – To się stało, zanim się poznaliśmy. Prawie nigdy o tym nie wspominała. Ani o siostrze.

– To wiem – powiedział cicho Ned. – Pytałem cię kilka razy, pamiętasz?

Jego ojciec skinął głową.

– To była jakaś nadprzyrodzona historia. Mistyczna. Bardzo... – Splótł leżące na stole dłonie. – Chyba bardzo w stylu New Age. Sprawy mające celtyckie korzenie, których twoja matka nigdy nie lubiła, w które nigdy nie wierzyła.

– A potem ciotka Kim wyjechała?

– Tak. Twoja babcia była z nią w kontakcie. Twoja matka nie pozwalała jej nawet wspominać o Kimberly. Była zła, urażona. Nadal nie rozumiem wszystkiego, ale nauczyłem się nie pytać. – Nie spuszczał wzroku z oczu Neda. – Czy twoja ciotka jest w to zamieszana, Ned? Cokolwiek to jest?

– Tak jakby. Czy mogę... czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– I tak zapytasz, prawda?

– Czy ty... nienawidzisz tego całego New Age tak bardzo jak mama?

Edward Marriner przez chwilę milczał, a potem westchnął.

– Nie sądzę, by ktokolwiek z nas wiedział wszystko o funkcjonowaniu świata. Może ty mi powiesz?

Ned stwierdził, że znów ma w oczach łzy. Otarł je i powiedział:

– Dobrze, tato. Dzięki. Nie spodziewałem się...

Ojciec czekał. Steve nadal pływał poza zasięgiem słuchu.

– Od trzech dni Kate i ja natykamy się na coś zwariowanie niesamowitego.

– Gdzie? – zapytał ojciec.

– Zaczęło się w katedrze. W baptysterium i w krużgankach. Niebieskie oczy patrzyły prosto na Neda.

– Tam gdzie mnie posłałeś?

– Tak. – Ned zaryzykował. – Wyczułeś tam coś?

Chwila milczenia.

– Zostawmy to na razie. Mów dalej.

Ojciec jest przyzwyczajony do wydawania poleceń, pomyślał Ned, ale nie robi tego w nieprzyjemny sposób. To było niemal uspokajające. Spojrzał na Kate.

– Poznaliśmy, chyba tak trzeba to nazwać, poznaliśmy tam mężczyznę, a potem innych ludzi, którzy... którzy chyba nie pochodzą z naszych czasów. Jakby byli z przeszłości? I... i to chyba jednak jest celtycka opowieść.

– Chyba?

– Na pewno – rzekła Kate. – My to wiemy. Po prostu się wahamy, bo to wszystko jest przerażające i zupełnie niesamowite, i ludzie nie zechcą nam wierzyć. Ale dzisiaj... dzisiaj jest wigilia święta wiosny.

– Tak się składa, że o tym wiem – stwierdził po chwili Edward Marriner. Spojrzał na syna. – Za życia twojej babci jeździliśmy na pikniki.

– Pamiętam. A dzisiejsza noc... ma naprawdę wielką moc. Dla Celtów.

– Jezu, Ned. – Ojciec pokręcił głową. – Co usiłujesz mi powiedzieć?

– Dziś po południu poszliśmy z Kate do zrujnowanego miasta, które się nazywa Entremont. – To moja wina – przerwała mu Kate. – Ned nie chciał iść.

– Chciałem. Ale ciotka Kim powiedziała, że...

– Próbowałeś nas powstrzymać.

– Ale poszedłem.

– Przestańcie – powiedział Edward Marriner. – Ciotka Kim powiedziała...?

Ned zamknął oczy. Nie chciał tego zrobić w ten sposób. Ale jeśli istniał jakiś dobry sposób, to o nim wcześniej nie pomyślał.

– Wiem. Mama nas wszystkich zabije. Albo się zapluje ze złości. Ciotka Kim mówi, że kiedyś się zapluwała ze złości.

– Ned. Proszę cię. Mów jasno. Już!

Ned kiwnął głową.

– Kiedy wychodziliśmy z tej restauracji dwa dni temu, zadzwoniła do mnie ciotka Kim. Po tym, jak rozboleła mnie głowa wtedy pod górą.

W jakiś sposób uświadomiła sobie, że zetknąłem się z czymś, o czym ona wie.

– Zadzwoniła do ciebie? Zadzwoniła do ciebie twoja ciotka?

Ten sam wyraz niedowierzania, ten, który powinien być zabawny.

– Tak. Pamiętasz? Na podjeździe restauracji? Przyleciała tutaj, bo zdała sobie sprawę, że coś mi się przydarzyło. Ona to wiedziała, tato.

– Przyleciała?

– Z Anglii. Ona tam mieszka. Z wujem Davem.

Ojciec Neda westchnął.

– To akurat wiedziałem. I ciotka...?

– Spotkała się ze mną tamtego wieczoru. Kiedy powiedziałem, że chcę się przejść.

– Jezu, Ned.

Powiedział to trzeci raz.

Ned nadal myślał, że może się rozplakać. To było krępujące.

– Tato, ona jest naprawdę świetna. I próbowała pomóc. Wyjaśnić, co mi się przytrafiło. Że to cecha jej rodziny, i mamy. I powiedziała mi, żebym nie chodził nigdzie tam, gdzie mógłbym spotkać... tych gości. Ale ja poszedłem.

– Ja go zmusiłam – wtrąciła Kate. – I znaleźliśmy się w potrzasku. I musieliśmy zadzwonić po pomoc.

– Ale to miał być Greg.

– I gdyby wtedy nie przyszła Melanie, to ja bym się stała... kimś innym.

Ned zobaczył, że to Kate płacze.

– Dlaczego ty? – zapytał cicho Edward Marriner.

– Potrzebowali... potrzebowali kobiety. Byli tam ci obaj mężczyźni, przyzywali ją. Potrzebowali Ysabel. A ja miałam się nią stać... to już się działo. Wtedy pojawiła się Melanie, bo po nią zadzwoniliśmy.

Edward Marriner wziął ze stołu serwetkę i podał ją Kate. Wytarła oczy, a potem wydmuchała nos.

Ysabel. Imię wypowiedziane na tarasie willi. Dźwięk dzwonu na świecie. Wciąż ją widział. Widział Melanie zmieniającą się między płomieniami.

Usłyszeli zmianę biegów w samochodzie jadącym stromo pod górę.

Jego ojciec odwrócił się szybko i Ned zobaczył, jak jego twarz rozświetla się nadzieją: serdecznym pragnieniem, by to była Melanie w furgonetce, żeby to wszystko okazało się misternym psikusem, który będzie można zakończyć potężnym szlabanem dla jego jedyne dziecko.

Ned spojrzał. Zobaczył czerwonego peugeota.

– To ciotka Kim – stwierdził. – Poprosiłem, żeby przyjechała. Będziemy jej potrzebować, tato.

Ojciec wstał gwałtownie, szurając krzesłem i wpatrując się w samochód przejeżdżający przez otwartą bramę. Patrzyli, jak zatrzymuje się na pierwszym parkingu wysypanym żwirem. Silnik ucichł.

Z samochodu wysiadła kobieta i spojrzała na nich.

Była średniego wzrostu, szczupła, białowłosa. Miała na sobie długą niebiesko-białą spódnicę w drukowane kwiaty i białą bluzkę, w ręce trzymała słomkowy kapelusz. Zamknęła drzwiczki samochodu.

Ned uniósł rękę. Kobieta zdjęła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła szybkim krokiem w ich stronę.

Sposób chodzenia matki, pomyślał Ned.

Edward Marriner patrzył, jak wchodzi po kamiennych stopniach. Odchrząknął.

– Kimberly Ford? – powiedział z prawdziwym spokojem, wzięwszy pod uwagę sytuację.
– Witaj. Ned i jego koleżanka... właśnie próbują wyjaśnić, o co tu chodzi. Dziękuję, że przyjechałaś. Oczywiście wiesz, co z nami wszystkimi zrobi twoja siostra?

Wyciągnął rękę. Ciotka Kim nie zwróciła na ten gest uwagi. Położyła kapelusz na stole, podeszła do ojca Neda i mocno go uciskała.

Cofnęła się, patrząc na niego.

– Edwardzie Marrinerze, nie mam pojęcia, dlaczego moja siostra pozwala ci nosić te niemądre wąsy. Tak się cieszę, że cię poznałam, i tak mi przykro, że stało się to w takich okolicznościach.

Cofnęła się z lśnącymi oczyma. Teraz ona płakała. To zakrawało na epidemię.

Ojciec Neda znów odchrząknął. Podał Kim serwetkę; wytarła sobie nią oczy. Obejrzała się.

– Kate?

Kate kiwnęła głową.

– Cześć – powiedziała niepewnie.

– Cześć, kochanie. Dobrze się czujesz?

– Chyba tak. Nie bardzo. Mówiliśmy... usiłowaliśmy powiedzieć... że gdyby się nie pojawiła Melanie, to, tam na górze, przytrafiłoby się mnie.

Kimberly uniosła dłoń.

– Przerwij, proszę. Za mało wiem. A jestem pewna, że ojciec Neda wie mniej. Cofnij się, zacznij od katedry i doprowadź nas do tego, co się właśnie wydarzyło.

Ned pomyślał, że ciotkę cechuje rzeczowość jego matki.

Usiadła.

Edward Marriner usiadł naprzeciwko niej. Zerknął wymownie w stronę basenu, gdzie wciąż pływał Steve. Kimberly też tam spojrzała. Odwróciła się do Neda.

– Melanie została zmieniona? W kogoś innego? Tak?

Ned kiwnął głową.

– Byli tam ci obaj mężczyźni. Ten, którego widziałem z Kate, i ten, którego spotkałem z tobą przy wieży.

Ciotka Kim zamknęła oczy.

– Cholera.

– Przepraszam – powiedział żałośnie Ned. – Wiem, że nie pozwoliłaś mi... nawet Phelan nam to mówił.

Popatrzyła na niego.

– To ten, którego spotkaliśmy najpierw, Kate i ja – powiedział Ned.

– Ma teraz imię?

Ned przytaknął. Naprawdę trudno mu było siedzieć tu nad basenem i mieć w głowie obrazy podwójnych pochodni, zabitego byka, wysoko uniesionej kamiennej czary pełnej krwi.

– Ten drugi to Cadell. Imiona nadała im Melanie, po tym, jak...

Ciotka Kim znów uniosła dłoń, jak policjant drogowy. Spojrzała na basen, a potem na ojca Neda.

– Nadal musisz się cofnąć. Sądzę jednak, że powinni tu być wszyscy – powiedziała, pokazując na Steve'a. – Jeśli ona naprawdę zniknęła, nie możecie tego przed nim ukrywać.

– A zniknęła? – zapytał Edward Marriner. – To znaczy, to jest takie...

Kim skinęła głową.

– W każdym razie jest zmieniona.

Nie zmyślaliby tego. Ojciec Neda zaczerpnął głęboko tchu, zastanawiając się.

– W takim razie Greg też – powiedział w końcu. – Będziemy musieli go obudzić.

– Ja to zrobię – zaproponował Ned.

Potrzebował pretekstu, by się ruszyć.

Wszedł do domu. Verakuchnia uśmiechnęła się do niego. Zobaczył, że zebrała jakieś kwiaty i liście i ułożyła je nad zlewem, bokiem na gzymsie, a nie w wazonie.

Zauważyła jego spojrzenie i lekko się zarumieniła.

– Nie mów Verze – poprosiła po francusku, z palcem na ustach. – Śmieje się ze mnie.

– Co to jest?

– Jarzębina. Dla ochrony domu. Dzisiaj jest szczególna noc, bardzo szczególna.

Ned wytrzeszczył oczy. Poszedł na górę, by sprowadzić Grega. Czuł się przygnieciony brzemieniem stuleci.

Ku ich zaskoczeniu, to Steve się upierał, żeby zawiadomić policję.

Prawie krzyczał. Greg, po wysłuchaniu opowieści Neda i Kate siedział w napięciu, milczący. Obserwował ciotkę Kim i ojca Neda. Czekał na ich ruch.

– Nie wolno im się pozabijać nawzajem? – zapytała Kim.

Ned pokręcił głową.

– Tak powiedziała. Dopóki jej szukają.

– Wyznaczyła im czas – powiedziała Kate. – Trzy dni.

– Można by się tego spodziewać – rzekła ciotka Kim. – Ale wydaje mi się, że coś robi inaczej. Wygląda na to, że normalnie mieliby o nią walczyć.

– Może nie – powiedziała z wahaniem Kate. – Czasami chyba po prostu wybiera jednego z nich, a potem wybucha wojna. Może z zemsty?

Wszyscy spojrzeli na nią. Zarumieniała się i popatrzyła na Kimberly. – Ale teraz było inaczej. Myślę, że obaj byli zaskoczeni.

– No więc, co to znaczy, jeśli jest inaczej? – zapytał Edward Marriner.

– Nie wiem – przyznała ciotka Kim.

– To co mamy robić? – zapytał Greg.

– Wiecie, co mamy zrobić w tej chwili! To nie jakiś cholerny Scooby Doo! – Steve rozejrzał się wokół stołu. – Dzwonimy, na litość boską! Melanie została porwana, a my nie jesteśmy detektywami!

– Została zmieniona, nie porwana – sprostowała spokojnie Kim. – Steven, Steve, żandarmi w żadnym razie nie będą umieli sobie z tym poradzić.

– A my będziemy? – zapytał Steve, podnosząc głos. – To znaczy, jak ja to rozumiem, Ned i jego koleżanka widzieli przedstawicieli jakiegoś porąbanego kultu, pogan, wikan czy kogo tam jeszcze, urządzających jakiś rytuał. Schwytali Melanie, kiedy weszła między nich i im przeszkodziła. – Spojrzał na Neda. – Przyznaj się. Mogliście nie zauważyć, co się naprawdę stało. Mówiliście, że były tam ognie i dym.

– Chciałbym, żebyś miał rację – powiedział żalonym tonem Ned. – Naprawdę, Steve. Ale wydarzyło się zbyt wiele. Chcę powiedzieć, że ciotka Kim i ja widzieliśmy tego gościa – Cadella – z rogami jelenia, a potem zmienił się w sowę.

Steve wytrzeszczył na niego oczy.

– A Melanie wcale nie zniknęła – dodał Ned po chwili. – Widziałem ją cały czas. Tam na górze wszystko było wyraźnie widać. Nie wiem dlaczego. Po prostu się zmieniała, przechodząc między płomieniami.

– Jezu! Mam... mamy w to uwierzyć?

– Być może będziemy musieli, Steve – powiedział powoli Edward Marriner. – Nie podoba mi się to tak samo, jak tobie, ale wydaje się, że dzieje się coś niewytłumaczalnego. Chyba powinniśmy się w tym zdać na doktor Ford, Kim.

– Dlaczego? – zapytał cicho Greg.

Kim spojrzała na niego.

– Widziałam już to kiedyś – rzekła. – Dawno temu. Nie odbyło się to tak samo, nic nigdy nie jest takie samo. Ale mogę wam powiedzieć, że Ned i ja... nasza rodzina... jesteśmy powiązani z takimi wydarzeniami.

– Jakimi wydarzeniami? – zapytał wciąż spokojnie Greg.

– Powiedzmy celtyckimi, pogańskimi, nadprzyrodzonymi. Wybiec słowo, które ma dla ciebie sens.

– A jeśli żadne go nie ma? – zapytał Steve.

Ned pomyślał, że dość trudno jest wrzeszczeć na ciotkę Kim.

Uśmiechnęła się krzywo do Steve'a.

– Nawet „idiotyczne brednie”?

Steve spojrzał na nią.

– To może tak. – Zawahał się. – Czego więc chcesz? Jak mamy ją odzyskać?

– Tak. Co mamy robić? – zapytał Greg. – Zrobimy, co powiesz. Natychmiast.

Zakładają, że mogą coś zrobić, pomyślał Ned. Zerknął na Kate; patrzyła na niego.

Pozostali nie widzieli Ysabel ani dwóch mężczyzn stojących naprzeciwko siebie wśród ruin. Ani byka prowadzonego między pochodniami. Ned nie był przekonany, że w ogóle da się zrobić coś pożytecznego. Na samą myśl o tym poczuł mdłości.

Właśnie wtedy, kiedy na zakończenie dnia zachodziło słońce, w domu rozległ się dzwonek telefonu.

Ned zerknął szybko na zegarek. Tak jak jego ojciec.

– Jasna cholera – powiedział Edward Marriner.

Słuchając dzwonka, Ned skorygował wcześniejszą myśl. Pewnej osobie byłoby niezwykle łatwo wrzeszczeć na ciotkę Kim oraz jej nie wierzyć. Wymienili z ojcem spojrzenia.

– Ja odbiorę – powiedział Ned, ogarnięty uczuciem, którego nie potrafił od razu zidentyfikować.

Jego ojciec z powrotem opadł na krzesło. Pod pewnym względem była to niespodzianka. Pod innym nie: nie była to rozmowa, za którą by tęsknił.

Z szybko bijącym sercem Ned przeszedł do jadalni i podniósł słuchawkę.

– Słucham?

– Cześć, kochanie, to ja!

Połączenie z Afryką znów okazało się znakomite. To było niesamowite; w strefie wojennej człowiek się spodziewał trzasków i zakłóceń. Ned odetchnął głęboko.

– Cześć, mamó. Posłuchaj. Musisz słuchać uważnie. Jesteś nam tu potrzebna. Jak najszybciej. Melanie zniknęła. Dzieją się niesamowite rzeczy. Nie mogę ci tego wyjaśnić przez telefon. Przyjechała pomóc nam ciotka Kim, ale potrzebujemy ciebie. Proszę cię, mamó, przyjedziesz?

Wyrzucił to z siebie jednym tchem. Gdyby się zastanowił, prawdopodobnie znalazłby lepszy sposób na powiedzenie o tym matce, ale był naprawdę przerażony i zdenerwowany. Nie spodziewał się też, że ją poprosi o przyjazd, jak dziecko.

Po drugiej stronie zapadła cisza, co go nie zaskoczyło.

Usłyszał głęboki oddech.

– Ned, czy właśnie mi powiedziałaś, że jest tam twoja ciotka?

– Powiedziałem, że cię potrzebuję, mamó. Słyszałaś to?

Powiedziawszy to, uświadomił sobie, że naprawdę chce, by tu przyjechała.

– Edwardzie, gdzie jest twój ojciec?

Nazywała go Edwardem tylko w bardzo poważnych sytuacjach.

– Na tarasie. Usiłujemy wymyślić co zrobić. Mówiłem ci, mamó, że Melanie zniknęła.

– Czy ja dobrze rozumiem? Jest z wami twoja ciotka Kimberly, moja siostra? We Francji?

Właściwie sprawiała wrażenie, jakby była w szoku.

– Tak, mamó. Jej też potrzebujemy. W tej sytuacji. Jego matka zakłęła. To było dość niezwykle.

– Daj mi do telefonu ojca. Natychmiast.

Odetchnął głęboko.

– Nie.

– Co?

– Dopóki nie powiesz, że mnie usłyszałaś, mamó.

– Słyszę cię bardzo dobrze. Słyszałam, że...

– Mamó. Mam piętnaście lat. Nie jestem dzieckiem i proszę matkę, żeby przyjechała mi pomóc. Przemyśl to. Proszę cię.

Znów zamilkła. Odetchnęła.

– Ojej. Och, kochanie. Wybacz mi. Jestem... oszołomiona. Ale... dobrze, już jadę. Pojawię się jak najszybciej. Zacznę wszystko załatwiać, jak tylko skończymy rozmowę.

Chyba piąty raz tego dnia zebrało mu się na płacz. Może jednak jest jeszcze dzieckiem?

– Rany. Dzięki, mam. Naprawdę. Kocham cię.

– Ja ciebie też. A teraz poprosisz ojca?

– Chyba boi się z tobą rozmawiać.

– Wierzę.

Znał ten ton.

– Poproszę go. Do zobaczenia.

– Do widzenia, skarbie.

Wrócił na taras. Ojciec podniósł na niego wzrok, ciotka Kim też. Oboje sprawiali wrażenie niezwykle zdenerwowanych.

– Chce rozmawiać z tatą. Jego ojciec wstał.

– Wie, że tu jestem? – zapytała ciotka.

Ned kiwnął głową.

– Poprosiłem, żeby przyjechała.

Oboje w milczeniu wpatrywali się w niego przez jakiś czas.

– Przyjedzie? – zapytał w końcu ojciec.

– Mówi, że tak.

– Jakie to miłe – stwierdziła ciotka Kim tonem, którego brzmienie trudno było określić.

Ojciec wszedł do willi. Ned spojrzał na ciotkę. Szukała w torebce telefonu komórkowego.

– Wuj Dave? – zapytał.

– Boże, tak – odparła, kiwając głową. – Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę, żeby tu był.

Ned się zawahał.

– Może mam. Powiedziałaś to tamtego wieczoru. Nie przyjechałby, gdyby mama tam została, tak? Zostałby z nią?

Ciotka Kim popatrzyła na Neda w zamyśleniu, trzymając w ręce komórkę.

– Nedzie Marrinerze, czy dlatego poprosiłeś Meghan, żeby...

– Nie! Naprawdę chcę, żeby przyjechała. Moja mama jest dobra w rozgryzaniu problemów. Ale pomyślałem też, z tego, co mówiłaś, że wuj Dave... że moglibyśmy potrzebować...

Zamilkł.

Ciotka wpatrywał się w niego. Podobnie Steve i Greg. I Kate, jak sobie uświadomił.

Nagle ciotka Kim się uśmiechnęła. Pomyślał, że kiedy się uśmiecha, wygląda naprawdę ładnie. Wyobraził sobie, jak mogła wyglądać, kiedy by»a młodsza. Pokręciła lekko głową, nabrała tchu, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie przerwała milczenia.

Wzięła telefon i przeszła się wzdłuż tarasu w stronę zachodzącego słońca. Usłyszeli, jak się z kimś wita, a potem skręciła za róg domu i nie słyszeli już nic więcej.

Wokół stołu zapanowała cisza. Zrobiło się już chłodniej – kończył się dzień. Steve siedział półnagi, owinięty ręcznikiem. Na pewno było mu zimno. Ned spojrzął na drzewa rosnące za podjazdem, za czerwonym samochodem i zielonym ogrodzeniem z siatki. Niedługo wzejdzie księżyc. Po raz drugi.

– Powiemy jej rodzicom?

To odezwał się Greg i Ned zorientował się po chwili, że pytanie zostało skierowane do niego, jakby to on miał znać odpowiedź albo podjąć decyzję. Steve też patrzył na niego wyczekująco. Dość trudno było sobie z tym poradzić. A także z troską rysującą się na ich twarzach. Tak naprawdę trzeba ją było nazwać strachem. Nie znał dokładnych stosunków panujących w zespole ojca, ale Melanie na pewno wszystkich obchodziła. I to bardzo.

– No, zobaczymy, co powie ciotka Kim, ale chyba...

– Chyba musimy poczekać trzy dni – odezwała się niespodzianie Kate. – Jeśli możemy.

– Trzy, bo...? – zapytał Steve.

Kate była blada i zdenerwowana, ale stanowcza.

– Trzy, no bo co zamierzacie im powiedzieć? I tyle czasu dała tym mężczyznom na odnalezienie jej.

– A dlaczego ma to mieć znaczenie?

Posiadanie tej wiedzy było trudne, ale Ned najwyraźniej ją posiadał. Był przecież na tym płaskowyżu.

– Bo jeśli chcemy mieć jakąkolwiek nadzieję na odzyskanie Melanie, to musimy ją znaleźć przed nimi.

– Chryste! – warknął Steve, wstając. – To zabawa w chowanego czy w Jamesa Bonda? Co zrobimy, kiedy ją znajdziemy? Poprosimy ładnie, by wróciła do poprzedniej postaci i nie zapomniała o zielonym pasemku we włosach?

Ned zgromił go wzrokiem.

– A skąd, do diabła, mam wiedzieć?!

Greg powiódł po nich wzrokiem i uniósł dłonie ułożone w literę „T”, prosząc o przerwę.

– Spadniemy z tego mostu, kiedy na niego wjedziemy – powiedział.

Nedowi udało się wzruszyć ramionami, ale wciąż był wściekły. Naprawdę. Czego oni się po nim spodziewają?

Steve patrzył na niego.

– Przepraszam – rzekł i usiadł. – Mój błąd. Jestem wkurzony. Nie mam pojęcia co robić.

– Nikt go nie ma – powiedziała Kate. – Może oprócz ciotki Neda?

– To jak szykowanie się do wojny – mruknął Greg, drapiąc się po brodzie. – Skąd można wiedzieć, jak się człowiek zachowa?

Usłyszeli kroki. W drzwiach do kuchni stał ojciec Neda, kręcąc głową.

– Nie mam pojęcia, co jej powiedziałeś – mruknął do syna – ale ona naprawdę przyjedzie. I nie wybuchła.

– Nie przez telefon – zauważył Ned.

Ojciec przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– No tak. Nie przez telefon.

– Jak się tu dostanie? – zapytał Ned.

– Myśli, że w nocy uda jej się polecieć do Chartumu samolotem ONZ przewożącym żywność, a stamtąd rano do Paryża. Potem dotrze tutaj.

– Więc późnym popołudniem? Wieczorem?

– Tak – odparł ojciec. – Zadzwoń.

– Czegoś nie rozumiem – odezwał się Greg. – Dlaczego doktor Marriner miałaby wybuchnąć? To nie w jej stylu.

Kolejny odgłos kroków, z końca tarasu. Wróciła ciotka Kim. Wszyscy się do niej odwrócili. Słońce znajdowało się za nią, niemal schowane za horyzontem.

– Dave przyjedzie – oznajmiła. – Zamierza spróbować dostać się w nocy wojskowym samolotem do Europy. Potem złapie jakieś połączenie.

Przerwała, zobaczywszy zwrócone ku sobie twarze.

– Ach. Meghan też wyruszyła? Edward Marriner skinął głową.

– Jakie to miłe – powiedziała Kim.

ROZDZIAŁ 11

Ned zapomniał o furgonetce. Musieli po nią wrócić. Greg miał drugi komplet kluczyków, ciotka Kim miała samochód.

Ned powiedział, że pojedzie z nimi.

Jego ojciec wyglądał, jakby chciał się temu sprzeciwić, ale to Ned wiedział, gdzie jest furgonetka, a robiło się ciemno. Nadejście nocy zmusiło ich do podjęcia decyzji o natychmiastowym wyruszeniu.

– Proszę, wracajcie od razu do domu. Chciałabyś tu dzisiaj spać? – zapytał szwagierkę Edward Marriner.

Kim skinęła głową.

– Chyba powinnam. Kate, chcesz z nami zostać? Czy może masz już tego dosyć?

Kate się zawahała, a potem pokręciła głową.

– Zostanę. Jeśli jest dla mnie miejsce? Mogę zadzwonić i powiedzieć, że nocuję u znajomych. – Spojrzała na Neda i wzruszyła ramionami. – Marie-Chantal ciągle to robi.

– Będzie zazdrosna – powiedział bez przekonania.

Myślał o tym, że właśnie jest wigilia Beltaine.

– Tylko wtedy, gdy powiem, że jestem z chłopakiem – orzekła.

– To zdecydowanie nie będzie z chłopakiem – oznajmił stanowczo Edward Marriner. – Razem z Kimberly możecie spać w pokoju Melanie na parterze, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Ciotka Kim się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że nie. Poczuję się młodsza.

– I może jutro ją odzyskamy – dodał ojciec Neda.

Kimberly spojrzała na niego i chciała coś powiedzieć, ale zmilczała. Ned uświadomił sobie, że robi to bardzo często.

– Jedźmy po tę furgonetkę – powiedziała.

Prowadziła szybko i dobrze. Ruch się przerzedził. Dojazd nie zajął im dużo czasu. Neda to zaniepokoiło.

Człowiek siedzi sobie tam, gdzie może chwycić colę z lodówki i słuchać przez słuchawki U2, a potem znajduje się w miejscu, w którym właśnie złożono w ofierze byka, a ktoś napił się jego krwi i między płomieniami wezwał do życia kobietę. Żadnego przejścia między tymi dwiema rzeczywistościami.

Ned rozmyślał o odległości, prędkości i współczesnym świecie przed kilkoma dniami, po drodze do tamtej góry. Przyszło mu nawet do głowy, czyby nie napisać szkolnego wypracowania na ten temat.

To wspomnienie wydawało mu się teraz absurdalne, jakby pochodziło z innego życia. W nikłym świetle zegarów tablicy rozdzielczej spojrzął na Kim. Zastanawiał się, czy właśnie to poczucie wygoniło ją z domu po tym, co jej się przytrafiło. Czy można tak bardzo dać się wciągnąć do tego innego świata, że ten, który znało się przez całe życie, zaczyna sprawiać wrażenie obcego i niemożliwego?

– Tuż przed nami na prawo – powiedział, kiedy w świetle reflektorów ukazała się brązowa tablica z napisem „Entremont”.

Kim skrzyła, nieco za szybko, z lekkim poślizgiem.

– Przepraszam – powiedziała, zmieniając bieg na niższy przy wjeździe pod górę.

– Sam tak jeżdżę – rzekł Greg.

Cały czas milczał; usiadł z tyłu, żeby Ned mógł pilotować. Chłopiec był pod wrażeniem: Greg o wiele łatwiej niż Steve przyjął ich opowieść. Nad tym też się zastanawiał. Dlaczego jedni ludzie są skłonni wierzyć w takie rzeczy, a inni reagują gniewem i szokiem? Uświadomił sobie, że właściwie bardzo mało wie o nich obu. Albo o Melanie, skoro już o tym mowa.

Długie światła wychwyciły zamkniętą bramę i parking z lewej strony, tam skrzyła. Oprócz furgonetki nie stał tam żaden inny samochód.

Wszyscy wysiedli. Greg wcisnął guzik na pilocie i drzwi furgonetki się odblokowały. Kim otworzyła te z prawej strony.

– Jest tu jej torba.

– Domyślałem się. Dobra, jedźmy – powiedział Greg, podchodząc do drzwi kierowcy. – Straszne ciary mnie tu przechodzą.

Ned go usłyszał, ale ruszył w drugą stronę, do bramy. Była zamknięta, ale mógł łatwo przez nią przejść. Kate powiedziała, że strażnik przychodzi tylko po to, by ją otwierać

i zamykać. Ned zajął i zobaczył szeroką ścieżkę, prowadzącą na wschód do wejścia do miasta.

Północny mur zasłaniały drzewa, ale Ned wiedział, że tam jest, i co się znajduje po drugiej stronie. Wiatr już znacznie przycichł.

– Chodź, Ned! – zawołał Greg.

Usłyszał zbliżające się kroki ciotki.

– Prawdopodobnie wciąż tam są – powiedział, nie oglądając się. – Kazała im dać sobie całą noc. Pozwoliła im rozpocząć poszukiwania dopiero rano.

Westchnęła.

– Gdybym miała jakąkolwiek rzeczywistą moc, skarbie, poszłabym tam z tobą, zobaczyłabym, co moglibyśmy zrobić. Ale jej nie mam, Ned. Nie odzyskamy Melanie, dając się tam zabić podczas Beltaine.

– Zrobiliby to?

Znów westchnęła. Spojrzała na nią.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. – Nie było mnie tu. Gdyby uznali, że zamierzamy się wtrącić, to z tego, co nam powiedzieliście...

– Tak. Niektórzy mogliby to zrobić.

– A my zamierzamy... – rzekła ciotka Kim. – Zamierzamy spróbować się wtrącić.

– Jak?

Zobaczył, że ciotka kręci głową.

– Nie mam pojęcia.

– Chodźcie! – znów zawołał Greg.

Usłyszeli, że włączył silnik.

– Ma rację. Nie powinniśmy ich widzieć tej nocy. Albo pozwolić, by zobaczyli nas. Wy dwaj jedźcie prosto do domu – zarządziła Kim. – Tam się spotkamy. Zatrzymam się po drodze w hotelu i wezmę rzeczy.

Ned wciąż patrzył przez bramę w stronę leżącego za nią innego świata. Greg nacisnął klakson. Zabrzmiał straszliwie głośno, natrętnie. Ned odwrócił się i wszedł do furgonetki.

Niewiele rozmawiał z Gregiem po drodze. Ciotka Kim jechała przed nimi do Aix; w połowie obwodnicy skręciła do hotelu. Greg zatrzymał się na poboczu i czekał, aż portier otworzy drzwi samochodu i Kim wejdzie do holu. Potem włączył się z powrotem do ruchu i pojechał dalej obwodnicą do drogi skracającej na wschód.

Skręcił w lewo za znajomą piekarnią, sklepem spożywczym i małym akweduktem, a potem w prawo w ich prowadzącą pod górę drogę. Ned opuścił szybę, spragniony chłodnego powietrza. Wiejska droga, pogodna noc, przed nimi nad drzewami księżyc.

Greg zaklął gwałtownie i wcisnął hamulec. Furgonetka zarzuciła; pas mocno przytrzymał Neda. Zatrzymali się.

Dzik stał na drodze przodem do nich.

„Nie powinniśmy ich widzieć tej nocy”.

Nie zawsze mamy wybór, pomyślał Ned.

– Jeśli uderzę jakieś zwierzę, Melanie mnie zabije – odezwał się Greg. – Może ucieknie, jeśli będę jechał powoli albo zatrąbię.

– Nie ucieknie – powiedział cicho Ned. – Zaczekaj, Greg.

– Co? Jak to?

– Już widziałem tego dzika.

– Ned, co, u diabła...?

– Przyjrzyj się mu.

Wobec zwierzęcia, na które patrzyli, tak naprawdę nie dałoby się użyć słowa „uciekać”. Dzik był ogromny, co z tej odległości było jeszcze bardziej oczywiste niż poprzednio. Czekał z arogancką, nienaturalną pewnością siebie na samym środku drogi. Wzdłuż niej stało w dużych odstępach kilka wysokich latarni, na wpół ukrytych wśród liści, świeciły też reflektory furgonetki. Szorstka, jasnoszara sierść wyglądała niemal na białą, kły lśniły. Dzik patrzył wprost na nich.

Tak naprawdę podobno nie mają dobrego wzroku.

Ktoś rozgarnął krzaki z prawej strony i wyszedł na drogę.

– O Jezu – powiedział Greg. – Ned, mam go przejechać?

– Nie.

Otworzył drzwi i wysiadł.

Nie wiedział dlaczego; wiedział za to, że nie chce uciekać i że nie chce stawić temu czoła, siedząc w furgonetce.

Poznał także tę postać. Zamknął drzwi, usłyszał ich klaśnięcie. Głośne, ponieważ tak naprawdę nie było słyhać żadnych innych dźwięków. Po zapadnięciu ciemności ptaki nie śpiewały. Wiatr prawie ustał, liście ledwie szumiały. Wsunął dłonie do kieszeni i stanął obok furgonetki.

Zobaczył, że druid wciąż jest ubrany na biało – tak jak wtedy wśród ruin, gdy przytrzymał kamienną czarę, do której spływała krew byka.

Ned wiedział, że to druid. Pamiętał, jak Kate zapytała Phelana, czy jest nim jego nieprzyjaciel – Cadell – i przerażenie Phelana. Druidzi posługują się magią. Ned był niemal pewien, że ten wezwał Melanie i zmienił ją w Ysabel. Cadell czekał na tę noc, na tego człowieka, by dokonał rytuału. Phelan zresztą też na niego czekał.

Ned musiał sobie przypomnieć, że patrzy na ducha, kogoś niemal z pewnością od dawna martwego, kto przybrał teraz postać tylko dlatego, że jest Beltaine.

Był też całkiem pewien, że jeśli ten szczególny duch zechce, może go zabić. Zastanawiał się, jak daleko za nimi jest jego ciotka, czy wymeldowała się z hotelu, czy tylko wzięła swoje rzeczy i pojechała za nimi.

Druid był drobny, niemłody, nieco zgarbiony; miał szpakowatą brodę, pobrużdżoną twarz, długie siwe włosy, pleciony pas przytrzymujący spadającą do kostek białą szatę, na nogach sandały. Nie miał natomiast żadnej biżuterii ani broni. Ned pomyślał, że powinien dzierżyć sierp czy coś takiego i szukać jemioli... ale to chyba wyczytał w komiksie o Asteriksie i nie miał pewności, jak bardzo może polegać na tym źródle.

– Czy to twój dzik? – zapytał po francusku. – Obserwuje nas?

– Dokąd się udała ta kobieta? – Wysoki, nerwowy głos, pełen złości, świadczący o tym, że jego właściciel jest przyzwyczajony do posłuchu.

Ned usłyszał, jak otwierają się i zatrzasują drugie drzwiczki furgonetki.

– To naprawdę dobre pytanie – stwierdził Greg. – I raczej ty powinieneś na nie odpowiedzieć. Gdzie, u diabła, jest Melanie?! Mów, a potem możesz się z powrotem wczołgać do swojej nory.

– Spokojnie, Greg – mruknął Ned. Jego przerażenie rosło z minuty na minutę.

– Nie ma już osoby o takim imieniu – stwierdził druid. – Od czasu, kiedy przeszła między ogniami. Musicie mi powiedzieć, dokąd się udała Ysabel. Jeśli to zrobicie, nie stanie się wam krzywda.

Ned szybko uniósł dłoń, zanim Greg znów zdążył się odezwać.

– Kilka spraw – powiedział, z trudem zachowując spokój. – Po pierwsze, słyszałem, jak mówiła, że macie tam zostać tej nocy i że ci dwaj mają jej szukać sami. Jakież uwagi?

Mężczyzna miał niemal komicznie zaskoczoną minę.

– Byłeś tam? Podczas obrzędu?

– Byłem. Więc znam zasady.

– Rozumiesz, że możesz za to zginąć?

– Bynajmniej. Rozumiem, że ta kobieta – Ysabel – wyłożyła zasady, jeżeli coś nam tu zrobisz, jeżeli znikniemy, to myślisz, że Phelan się o tym nie dowie, że jej nie powie? Chcesz wszystko Cadellowi popsuć? Sądziś, że będzie uszczęśliwiony?

Słyszał brawurę we własnym głosie i zastanawiał się, skąd się wzięła. Nie zamierzał jednak okazać strachu przed tym gościem. Wydawało się, że kiedy ma do czynienia z tymi ludźmi, nie jest sobą. W ich świecie piętnastolatek nie był dzieckiem. Może częściowo o to chodzi. I wciąż mu się wydawało, że widzi w ciemności zbyt wyraźnie, jakby wszystko tej nocy było ostrzejsze.

Druid tylko na niego patrzył i nic nie mówił. Ned odchrząknął.

– On jest twoim szefem, tak? Przywódcą? Nieważne. No to dlaczego pieprzysz mu sytuację?

– Poza wszystkim innym nie masz o niczym pojęcia – powiedziała stojąca przed nim postać. Oczy miała głęboko osadzone, ocienione gęstymi brwiami.

– Możliwe, ale co cię obchodzi, który z nich ją zdobędzie? Nim przyjdzie świt, znów będziesz martwy, prawda?

Tak naprawdę nie wiedział, czy tak się stanie. Miał nadzieję, że tak.

– Była jedną z nas – odparł druid. – Kiedy dokonała wyboru i odeszła, świat zaczął się zmieniać. – Podniósł głos. – Jej miejsce jest wśród nas. Zmiany można cofnąć. Tu nie chodzi tylko o nich troje.

Zerknął w stronę drzew.

Kiedy Ned usłyszał ten podniesiony głos, wpadł na pewien pomysł. Powodowany impulsem, spróbował zajrzeć w głąb siebie, dzięki czemu już dwukrotnie znalazł Phelana oraz swoją ciotkę przy wieży.

Coś się pokazało, jakiś wewnętrzny blask. To nie był druid.

Ned uśmiechnął się blado. Chociaż ogarnęło go takie przerażenie, że trzęsły mu się ręce, czuł się także podekscytowany, pełen życia, czymś naładowany – przez coś, czego nie potrafił wyjaśnić.

Dzik zniknął – wrócił na ciemne pole albo do leżącego za nim lasu. Wyszedł na drogę, by ich zatrzymać; zrobił swoje i odszedł.

– Miałem dwa pytania, pamiętasz? – powiedział Ned. – Oto drugie Mówisz, że nie wiedziałeś, że tam byłem. Co zatem tu robisz? Dlaczego wiedziałeś, że mam o tym jakiegokolwiek pojęcie? Skąd w ogóle wiesz o moim istnieniu albo jak mnie znaleźć?

Znał odpowiedzi, ale chciał się przekonać, co zrobi druid.

Miał świadomość, że Greg patrzy na niego z czymś w rodzaju zgrozy. Reflektory furgonetki oświetlały drogę i białą odzianą postać. Przez potok światła śmigały owady.

Druid uniósł głowę.

– Jakim prawem zadajesz mi pytania?

– Och, świetnie – rzekł Ned. – Odjazd. Po prostu zaczekam, aż z krzaków wylezie twój przyjaciel, i jego zapytam.

Druid odwrócił się w prawo, w stronę drzew rosnących przy drodze.

– Tu są komary, człowieku, tam muszą być gorsze. Gryzą cię?

Czekał. Coś się poruszyło wśród drzew.

Z ciemności za bliźniaczymi łukami światła reflektorów wychynęła czerwonozłocista postać. Kiedy Ned ją ujrzał, zaczęło mu mocno bić serce.

Cadellowi znów wyrastały z głowy jelenie rogi. Ned usłyszał, jak Greg zaklął cicho.

– Kim jesteście? – zapytał ogromny Celt, wchodząc na szosę.

Podczas gdy druid był wyraźnie niezadowolony, Cadell sprawiał wrażenie niemal rozbawionego. Głos miał taki jak przedtem – głęboki, donośny. Ned pomyślał, że za takim głosem można iść do bitwy.

Musiał jednak być ostrożny. Słuszna była myśl, która przyszła mu do głowy, kiedy patrzył przez zamkniętą bramę przy parkingu: jeśli ci goście uznają, że on i Greg stanowią jakiś problem, to coś z tym zrobią.

Uznał, że jeżeli oni nie zwracają uwagi na jego pytania, to on może robić to samo.

– Powiedz mi, ponieważ ten gość nie chce tego uczynić, czy naprawdę sądzisz, że Phelan nie powie jej, że złamałeś zasady? – zapytał. – Że złamałeś je natychmiast? Słyszałem, jak składałeś przysięgę.

– Jest Beltaine, a Ysabel powiedziała, że zaczną obowiązywać z końcem nocy – odparł Cadell.

Wciąż miał rozbawiony głos. Ned pamiętał, że nie był taki, kiedy w ruinach miasta pojawił się Phelan.

– To prawda – przyznał. Stojący obok niego Greg oddychał z trudem. – Ale słyszałem też, jak mówiła, że macie tam zostać i rozpocząć poszukiwania rano.

Ogromny mężczyzna uśmiechnął się do niego. Jego swobodne zachowanie nie wydawało się Nadowi udawane.

– Ale ja nie szukam jej – oznajmił Celt. – Szukałem ciebie.

– Sprytnie. Uważasz, że ona to kupi? Chcesz wszystko zaryzykować? Czy jej takie kanty nie przeszkadzają?

Wtedy Cadellowi zmienił się wyraz twarzy, co było dość zadowolające. Zapadła cisza.

Ned skinął głową.

– Tak myślałem. A tak w ogóle, to dlaczego mnie szukałeś?

– Zawołała cię po imieniu – ta drobna kobieta – kiedy się pojawiła, zanim przeszła między ogniami.

Och. Jasne, pomyślał Ned.

A Cadell na pewno znał jego imię i wiedział, kim jest, po spotkaniu pod wieżą z ciotką Kim. Na pewno to sobie powiązał. Jeśli Ned cokolwiek z tego rozumiał, to ten gość żył z przerwami przez ponad dwa tysiące lat. Miał czas, by nabrać sprytu. Nauczyć się hodować jelenie rogi, zmieniać się w sowę, podporządkowywać sobie wilki i psy. Złożyć razem kilka tropów.

Pośrodku drogi stał druid i mamrotał coś pod nosem, kiwając się gniewnie w przód i w tył, jak nakręcona zabawka. Ned nie zwracał na niego uwagi.

– Widziałeś, jak wróciliśmy po furgonetkę? – domyślił się.

Cadell skinął głową.

– Kazałem ją obserwować.

– Sprytnie – ocenił Ned. – Jeden mężczyzna przeciwko jednemu mężczyźnie, ale ty dostaniesz duchy?

– On najwyraźniej ma was – rzekł cicho Cadell. – Nieprawdaż?

Ned się zawahał.

– Nikt nas nie ma – warknął Greg. Postąpił krok do przodu. – Nie mamy z tym nic wspólnego. Chcemy odzyskać Melanie, a potem wszyscy możecie się zmyć i pieprzyć nawzajem, ile wlezie.

– Mało pociągająca perspektywa – stwierdził z uśmiechem Cadell. – To, co ci powiedział Brys, to prawda. Kobieta, którą nazywasz Melanie, już nie istnieje. Musisz to zrozumieć. Nie ma powodu, dla którego nie miałbyś nam powiedzieć, gdzie może być Ysabel, jeśli wiesz.

– Wy dranie! – wrzasnął Greg. Dłonie zacisnął w pięści. – Jakim cholernym prawem...

– Chwileczkę – powiedział Ned. Podszedł do Grega i położył mu rękę na ramieniu. – Chwileczkę.

Odetchnął. Sam był porządnie zdenerwowany; usiłował tego nie okazywać. Nie mogli utracić kontroli nad sytuacją, musieli się dowiedzieć znacznie więcej.

– Dlaczego mielibyśmy wiedzieć, gdzie ona jest? – zapytał. – Dlaczego przyszło wam to do głowy?

Druid powiedział coś szybko.

Cadell spojrział na niego, pokręcił głową i odpowiedział krótko w tym samym języku, a potem z powrotem odwrócił się do Neda.

– Tyle można wam powiedzieć. Musicie jednak uwierzyć, że nie jestem waszym wrogiem, a Phelan waszym przyjacielem. Ani niczym przyjacielem. – Przerwał, jakby szukał słów.

Druid wciąż coś mamrotał.

On chce nas zabić, pomyślał Ned.

– Ysabel się zmienia – podjął Cadell. – Z każdym naszym powrotem. Za każdym razem jest odrobinę zmieniona przez wezwanie. Ma w sobie coś ze sprowadzonej dla niej kobiety.

– A więc to już się zdarzało? Ktoś inny staje się...?

– Zawsze.

Neda rozboleła głowa, z wysiłku, jaki wkładał w skupienie się, w zapamiętanie tego wszystkiego. Będzie musiał powiedzieć ciotce Kim. Może ona coś z tego zrozumie. Jeśli z tego wyjdą cało. Willa znajdowała się tak blisko, ale można było odnieść wrażenie, że leży w odległości wielu lat. Musiał pilnować, by Greg nie wybuchnął. Wyczuwał napięcie w stojącym obok mężczyźnie.

– Ona się zmienia? – zapytał. – Wy dwaj nie?

Cadell pokręcił rogatą głową.

– Jestem, jaki zawsze byłem, od pierwszych dni. Tak jak on, niech bogowie sprawią, by zgniło mu serce.

– A więc dlaczego? Dlaczego ona...?

Druid, Brys, znów warknął coś do wyższego mężczyzny, i znów został zignorowany.

Cadell już się nie uśmiechał.

– Zmienia się, żeby zmieniła się jej decyzja. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz. Daję ci te odpowiedzi, by okazać dobrą wolę. Nie jestem twoim wrogiem.

– Dobrą wolę?! – krzyknął Greg. – Po tym, co jej zrobiliście? Zwariowałeś?!

Ned znów chwycił go za ramię. Czuł, jak Greg drży, jakby chciał się rzucić na Cadella. Gdyby to zrobił, zostałby rozerwany na strzępy.

– Nie rozumiem – powiedział Ned. – Masz rację. Może nie muszę rozumieć, ale wierz mi, naprawdę nie mamy pojęcia, gdzie ona jest.

Cadell wpatrywał się w niego przez długą chwilę, a potem westchnął jakby się czegoś wyzbywał... Nadziei?

– To nigdy nie było prawdopodobne. – Wzruszył ramionami. – Dobrze więc. Macie jasno wytyczoną drogę. Pozwólcie nam prowadzić nasze poszukiwania. Trzymajcie się z dala od tego. Ta kobieta pod wieżą przyrzekła, że tak zrobicie.

Ciotka Kim.

– Nie ma mowy. Obiecała, nim zabraliście jedno z nas. – Pokazał palcem i z zadowoleniem zobaczył, że ręka mu nie drży. – To wy zmieniliście sytuację, nie my. – Przerwał i po chwili zaryzykował: – Czy tak po prostu oddalibyście kogoś wam drogiego?

– To nie jest to samo – rzekł Cadell. Ale powiedział to z wahaniem.

– Owszem, jest! – stwierdził Greg. – Chcecie odzyskać kogoś, kogo utraciliście, i my też!

Ned i Cadell spojrzeli na niego.

– Nigdy nie tracimy Ysabel – powiedział Celt. – O to w tym chodzi.

Ona jest czynnikiem równowagi. A ja muszę kogoś zabić.

– A więc odegrajcie sobie to wszystko bez Melanie – zaproponował Ned. Znów zaryzykował: – Za chwilę nadjedzie tą drogą moja ciotka. Ona zna tego, kogo znowu przedrzeźniasz tymi rogami. Widziała go, pamiętasz? Chcesz, żeby się w to zaangażowała? Zaryzykujesz utratę Ysabel, bo wybrałaś do przemiany niewłaściwą kobietę i wdałaś się w konflikt z nami?

Cadell patrzył na drzewa i niebo. Druid poszedł za jego przykładem. Ned się zastanawiał, czy nie popełnił błędu, wspominając o ciotce Kim.

Wiedział, co robią. Zrobił to samo, zamknął oczy, sięgając w siebie i szukając ciotki. Żadnej obecności, żadnego bladego, jasnego blasku. Osłaniała się albo była za daleko.

– Nie przedrzeźniam go – rzekł Cadell, znów patrząc na Neda. – Kiedy jestem w lesie, lubię... oddawać mu cześć za pośrednictwem rogów, które sam nosi.

Ned pokręcił głową, zły i przestraszony. Sytuacja zaczęła go nieco przerastać. Usłyszał własny głos:

– Jasne. Pewnie. Oddajesz cześć królowi, nosząc jego koronę?

Skąd mi to przyszło do głowy, pomyślał.

Druid przestał się kiwać. Cadell zamrugał. Greg znów się wpatrywał w Neda. Chłopak się zorientował, że wciąż trzyma rękę na jego ramieniu. Opuścił ją.

– Kim jesteś? – zapytał Cadell.

Już raz zadał to pytanie.

– Przyjacielem kobiety, którą uprowadziliście – odparł Ned. – I siostrzeńcem tej drugiej. Tej, która się liczy. Więc wystarczy, że tylko cofniecie wszystko, co zrobiliście Melanie, a się nas pozbędziecie.

Znów zapadło milczenie.

– To nie może być – odezwał się druid.

Cadell skinął głową.

– Nawet gdybym tego chciał. Widziałeś śmierć byka i ognie. – Przez chwilę patrzył na Neda. – I czy byłoby z twojej strony uczciwe odzyskać swoją kobietę i umieścić na jej miejscu kogoś innego?

Na to właściwie nie było dobrej odpowiedzi.

– To nie jest moja kobieta – powiedział nieprzekonująco Ned, czując się jak uczeń liceum.

Coś takiego się mówi, kiedy kumple dokuczają człowiekowi z powodu dziewczyny, na litość boską!

Cadell się uśmiechnął. To był inny wyraz twarzy. Po raz kolejny Ned uświadomił sobie, że ten mężczyzna żyje już bardzo długo.

– Droga jest jasno wytyczona – powtórzył dość łagodnie. – Wrócimy do sanktuarium i zaczekamy na świt, tak jak nam rozkazała. Przypadkiem masz rację... Nie wierzę w to, że on jej nie powie, a ona może uznać, że takie sprawy są ważne. Nauczyłem się, ponosząc pewne koszty, nie przewidywać jej posunięć. Idźcie w swoją stronę. – Przerwał na chwilę, a potem znów dodał: – Nie jestem waszym wrogiem.

Ned popatrzył na niego. W świetle reflektorów, zmieszany z blaskiem księżyca, mężczyzna z rogami sam wyglądał jak bóg, a na dodatek dysponował odpowiednim głosem.

Przed tygodniem Ned przejmował się sekcją żaby na lekcji biologii, klasową zabawą w domu Gail Ridpath i dogrywkami hokejowymi.

Zadrżał i skinął głową. Cóż można na to wszystko powiedzieć?

– Pieprz się – powiedział Gregory i dodał coś niezwykle wulgarnego.

– Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy – stwierdził spokojnie Cadell.

Greg słowo w słowo powtórzył to, co powiedział przed chwilą, i ruszył w stronę druida.

– Nigdzie nie pójdziemy i wy też nie – warknął do mężczyzny imieniem Brys. – Ty tym kierujesz? No to pokieruj i zmień Melanie z powrotem, bo ci rozkwaszę gębę!

Czasami chwila unieruchomiona w zawieszeniu wybucha w czyn nieco za szybko.

– Przestań! – zawołał Cadell.

Ned zobaczył, że na widok szybko zbliżającego się Grega druid unosi ręce. Pomyślał, że chce się osłonić przed ciosem. Mylił się.

Głowa Grega odskoczyła w tył. Cała górna połowa jego ciała się uniosła, a stopy jeszcze przez chwilę kroczyły – niemal komicznie – do przodu. Asystent Edwarda Marrinera, ciężki, mocno zbudowany mężczyzna, poleciał w tył i upadł na drogę, rozciągnięty na plecach w świetle reflektorów.

Nie poruszał się. Jego ciało wyglądało dziwnie, jakby zostało zgniecione.

– O Jezu Chryste! – powiedział Ned.

– Kazałem ci przestać – warknął Cadell do druida. I dodał coś ostro w ich języku.

Ned poczuł gniew, który zalał go z siłą, jakiej dotąd nie zaznał. Ned odwrócił się błyskawicznie w stronę Celta, usłyszał własny nieartykułowany krzyk wściekłości i strachu, i nie wiedząc, co robi, nie mając o niczym pojęcia, machnął prawą ręką w górę na ukos, tnąc nocne powietrze, mierząc w stronę Cadella, stojącego dobre trzy metry od niego.

Rozległ się skwierczący dźwięk, jakby na rozgrzany ruszt upadł stek. Ned krzyknął jeszcze raz. Coś wyprysnęło mu z palców jak światło lasera – i przecięło jelenie rogi w połowie. Rosły mężczyzna ryknął z zaskoczenia i bólu.

A potem zapanowała cisza.

Skulony Cadell wytrzeszczał oczy na Neda. Uniósł rękę do rogów. Do tego, co z nich zostało. Ich odcięte, rozgałęzione kawałki leżały obok na szosie.

Ned odwrócił się do druida. Ten szybko uniósł dłonie, lecz tym razem wyraźnie w geście obronnym. Ned widział w jego twarzy strach.

– Kim jesteś? – zapytał mężczyzna w bieli.

Wyglądało na to, że przyszła jego kolej. Ludzie często o to pytają, pomyślał Ned. Mogło się to szybko znudzić albo stać naprawdę przerażające.

– Zabiłeś go? – zapytał.

Greg wciąż się nie poruszał.

– Żyje – odparł Cadell. – Prawie wszystko odbiłem. Odejdź, Brysie. Nie posłuchałeś mnie. Słyszałeś mój rozkaz. Druid odwrócił się do niego.

– Nie rozkazuj mi – powiedział powoli, nie spuszczając czujnego wzroku z Neda. – Mam tu do wykonania zadanie w imieniu nas wszystkich.

Nie chodzi tylko o was troje.

– Owszem, chodzi – rzekł stanowczo Cadell. – Zawsze chodzi tylko o nas troje. Czy mam rozłączyć twego ducha z ciałem? Chcesz spróbować w tej chwili odbyć drogę powrotną

na drugą stronę? Z tego miejsca? Zrobię to, wiesz, że mogę zrobić. Jesteś tutaj tylko dzięki mnie.

Kolejna zastygła chwila, nocna szosa między drzewami i polami, księżyc na niebie. Brys powiedział coś w ich języku; wypowiedane słowa ociekały taką goryczą, że słyszał ją nawet Ned. Potem druid zrobił gest – tym razem w swoją stronę – i zniknął.

Ned pokręcił głową. I mniej więcej w tym samym momencie poczuł wewnętrzny blask. Nie szukał jej... uświadomił sobie, że to ciotka Kim sięga ku niemu, dając mu znać, że się zbliża. Nie wiedział, że może tak być.

W gruncie rzeczy niewiele wiedział. Prawa ręka mrowiła go siłą, wściekłością tego, co właśnie uczynił.

Znów spojrzał na Cadella. Zobaczył, że pozostałości odciętych rogów zniknęły. Złotowłosa mężczyzna wyglądał tak jak w Entremont.

Ned poczuł nieoczekiwany smutek. Utratę czegoś... utratę majestatu. Przełknął ślinę.

– Nie wiem, jak to zrobiłem – powiedział. – Nie wiedziałem, że ocaliłeś Grega.

– Nic mu nie będzie. Nie zasługiwał tak szybko na śmierć, chociaż jest głupcem.

– Nie jest – zaprotestował słabo Ned. – Naprawdę nic z tego nie rozumiemy. Straciliśmy kogoś.

Cadell spojrzał na niego, a potem uniósł głowę, tak jak poprzednio, patrząc ponad drzewami. Ned widział, jak wyczuł zbliżanie się Kim. Mężczyzna pokręcił głową.

– Wszyscy kogoś tracimy. Powiedziałem ci prawdę. Brys też, w tej kwestii. Ona odeszła. Taka osoba już nie istnieje.

– Jak mamy to przyjąć albo wyjaśnić? – zapytał Ned.

Celt wzruszył ramionami. „To nie mój problem”, mówił ten gest. Lecz Ned był zbyt zmęczony, zbyt wyczerpany, by znów poczuć gniew.

– Żyć dalej – rzekł Cadell.

Złocisty, wspaniałały, o dźwięcznym głosie.

Ned pamiętał, że ledwie kilka dni wcześniej to samo powiedział im – jemu i Kate – Phelan. Cadell przegarnął dłonią włosy.

– Jeśli zabłąkacie się blisko nas, stanie się wam krzywda lub zginiecie albo utkniecie beznadziejnie między dwoma światami. Ty sam jesteś już tego bliski, kimkolwiek jesteś.

Jego głos znów był niepokojąco łagodny.

„Nie jestem waszym wrogiem.”

Usłyszeli w dole samochód i zmianę w brzmieniu silnika po redukcji biegu przed wjazdem pod górę.

– Żegnaj – powiedział Celt.

Uniósł nad głowę wyprostowaną rękę.

W miejscu, gdzie przed chwilą stał człowiek, w powietrzu znalazła się sowa. Leciąca na północ, nad żywopłotem i polem, w stronę grzbietu wzgórza, widocznego za domami odsuniętymi od drogi, a potem zniknęła.

Ned spojrział na swoje ręce. Czuł się jak któryś z X-Menów, jak komiksowy odmieniec. Palce już go nie mrowiły, ale nie czuł też żadnej mocy.

Pojawiły się światła wozu ciotki Kim. Czerwony samochód zatrzymał się za furgonetką. Ned usłyszał dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, zobaczył szybko idącą, niemal biegnącą ciotkę. Jej białe włosy lśniły w świetle reflektorów.

Nigdy w życiu tak się nie ucieszył na czyjś widok.

Ciotka spojrzała na niego i stanęła jak wryta.

– Ned. Co się stało? Kto tu był?

– Cadell i druid. Drogę zablokował dzik, wysłali go, a potem... – Bardzo trudno było mówić.

– Wysłali go? Dlaczego?

– Zakładali, że wiemy, gdzie ona jest.

Rozejrzała się.

– Gdzie jest Gregory?

– Obecny, proszę pani.

Ned odwrócił się szybko. Greg siedział, podparty na ręce, drugą trąc pierś.

– O Boże. Co ci się stało?

– Oberwałem od tego druida. Dobrze, że jestem twardzielem. Wikińska krew po przodkach.

Ned pokręcił głową.

– Cadell to powstrzymał.

– Żartujesz.

– Nie.

– Dlaczego to zrobił?

– Bał się, że powiemy Phelanowi, że Ysabel się dowie, że tu byli. A może... nie jest taki zły?

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem twardzielem?

Ciotce Kim udało się uśmiechnąć.

– Uważam, że jesteś twardy jak hufnal, Gregory. Ale jedźmy do domu. Nie podoba mi się przebywanie tu po zapadnięciu zmroku. Nie dzisiejszej nocy.

– Zaczekaj – powiedział Ned.

Najwyraźniej wyostrzył mu się słuch. Lecz sekundę później pozostali też to usłyszeli. A potem wszyscy zobaczyli nad sobą na drodze chwiejący się promień latarki.

– Ned? Greg?

To był głos ojca Neda.

– Tu jesteśmy! – zawołała Kimberly. – Wszystko w porządku.

Moment później pojawili się zbiegający drogą poszukiwacze: Edward Marriner, Steve, Kate. Ned zobaczył, że ojciec trzyma motykę. Steve miał łopatę. Kate niosła w ręce latarkę... i młotek.

– Zobaczyliśmy światła furgonetki, a potem się zatrzymała – powiedział ojciec Neda. – Zdenerwowaliśmy się.

– I ruszyliście na pomoc? W ten sposób? – zapytał Greg, wstając ostrożnie. Wciąż masował sobie pierś. – Jezu, wyglądacie jak statyści atakujący zamek we Frankensteinie. Trzeba wam tylko burzy z piorunami i obcego akcentu.

Ojciec Neda zmarszczył brwi.

– Bardzo zabawne, Gregory.

Kate zachichotała, spoglądając na młotek.

– Nie mogłam znaleźć kołka – powiedziała.

Ned pomyślał, że w obliczu błąkających się duchów Drakula nie jest tu tak bardzo nie na miejscu.

To wszystko służyło rozładowaniu napięcia. Wiedział o tym. Odsunęli od siebie przerażenie – przynajmniej na razie.

– Ned, nic ci nie jest? – zapytał go ojciec.

Ned pokręcił głową.

Przyszło mu do głowy, że nikt nie widział, co zrobił Cadellowi. Greg leżał nieprzytomny na drodze. Ned postanowił zatrzymać to dla siebie. Spojrzał na ciotkę.

– Jak się nazywał ten ktoś? – zapytał. – Ten, o którym wspomniałaś. Z rogami. Kiedy spotkaliśmy Cadella.

Ciotka Kim się zawahała.

– Cernan. Cernunnos. Ich leśny bóg. – Zmienił się wyraz jej twarzy. – Znow je miał?

– Tak. Pokręciła głową.

– To tyle, jeśli chodzi o moją moc zastraszania.

– Wyniósł się, kiedy usłyszał, że nadjeżdżasz.

– Jako sowa?

Ned kiwnął głową.

– Chyba niepokoi go twoja obecność, a przynajmniej sprawia, że czuje się niepewnie.

Ciotka Kim się skrzywiła.

– Zapewne boi się peugeotów. Słyną z kiepskich skrzyń biegów.

Ned zdał sobie sprawę, że usiłują go uspokoić. Pewnie wygląda na strasznie wkurzonego. Udało mu się uśmiechnąć, ale chyba nikogo tym nie oszukał. Wciąż pamiętał, co zrobił, i to, co wtedy czuł.

– Jedźmy – powtórzyła Kimberly. – Możecie nam opowiedzieć, co się stało, ale w domu.

– Słusznie – poparł ją ojciec. – Greg, ja poprowadzę. Ty możesz wziąć motykę i mieć na wszystko baczenie.

Greg przyjrzał się narzędziu.

– Dzięki, szefie. Będę się czuł bardzo bezpiecznie.

Przypomniawszy sobie, jak Greg poleciał do tyłu i uderzył o asfalt, Ned pomyślał, że musi odczuwać znaczny ból. Niczego jednak nie dawał po sobie poznać. Ludzie potrafią człowieka zaskoczyć.

Ned chciał się uśmiechać, jak pozostali, żartować, jak oni, ale nie potrafił. Znów popatrzył na swoje dłonie. Tego, co odczuwał, nie dawało się łatwo opisać, lecz na pewno krył się tam również żal.

Kiedy tym razem zszedł na dół w środku nocy, w kuchni zastał ciotkę, siedzącą w niebieskim szlafroku przy stole. Nie spodziewał się nikogo – zaskoczyła go. Jedyne światło pochodziło z lampki nad kuchenką.

– Też cierpisz na bezsenność? – zapytała ciotka.

Ned pokręcił głową.

– Zwykle nie.

Podszedł do lodówki i wyjął sok pomarańczowy, mrugając w nagłym świetle. Napełnił szklanekę.

– Kate śpi?

Ciotka skinęła głową.

Podszedł do szklanych drzwi prowadzących na taras.

– Wychodziłaś? Pięknie, prawda?

Zobaczył księżyc wiszący nad miastem.

– Lepiej będzie, jeśli zostaniemy w domu, kochanie. To nie jest noc na spacer.

– Ale ja poszedłem na spacer – powiedział Ned, patrząc na basen i drzewa. Cyprysy kołysały się na wietrze, który znów przybierał na sile. – I dlatego nie ma już Melanie. Gdybyśmy tam nie poszli...

– Cśśś. Posłuchaj mnie. Poszliście tam, ponieważ Kate tkwiła już w połowie obrzędu. Sama tak powiedziała. Ty powiedziałeś, że się zmieniła. Kiedy nadeszła Melanie, ruszała w stronę ogni.

To była prawda.

– Mogłem się sprzeciwić.

– To nie byłoby łatwe, siostrzeńcze. Nie w tej sytuacji. Ty też w tym tkwiłeś.

Spojrzał na nią.

– Czy ty się kiedykolwiek sprzeciwiłaś?

Jego ciotka milczała.

– Raz – odparła po chwili.

– I co...?

– To długa historia, Ned.

Znów popatrzył na widoczny przez okno księżyc. Przeciął kuchnię i usiadł przy stole z ciotką.

– Widziałaś, że Verakuchnia położyła na parapecie liście jarzębiny?

Ciotka Kim skinęła głową.

– I pewnie przed wszystkimi drzwiami, gdybyśmy się przyjrzeni. Tutaj przeszłość wciąż ma wpływ na życie ludzi, Ned.

– Która część przeszłości?

Uśmiechnęła się blado.

– W tym problem, prawda? W tej chwili, z tego co mówiłeś? Powiedziałabym, że bardzo duża, kochanie.

Wypił sok.

– Nie odzyskamy jej, prawda?

Ciotka uniosła brwi.

– Ojej! A dlaczego tak twierdzisz? Nasza rodzina się tak łatwo nie poddaje. Czy twój ojciec jest taki?

Ned pokręcił głową.

– To natychmiast się uspokój. Nawet jeszcze nie zaczęliśmy szukać. Odpocznij. Przemawia przez ciebie trzecia nad ranem. I pamiętaj, mamy tu sześcioro dobrych ludzi, a dwoje jeszcze dojedzie.

Ned spojrział na nią.

– No tak, ale jeśli moja mama cię zabije, to zostanie nas tylko siedmioro.

Ciotka prychnęła.

– Dam sobie radę z moją małą siostrzyczką.

Musiał się uśmiechnąć.

– Jesteś tego pewna?

Skrzywiła się.

– Może nie. Zobaczymy. Ale naprawdę wracaj do łóżka. Wczesnie wstajemy.

Mieli przygotowany plan. Oba samochody, dwie grupy. Miejsca poszukiwań wybrała ciotka Kim i Kate, która ustawiła się na tryb pracy prymuski. Kiedy to omawiali, sprawa wydawała się beznadziejna, a nawet idiotyczna. Teraz, w środku nocy, wydawała się taka jeszcze bardziej.

– Jest coś, czego ci nie powiedziałem.

Kim siedziała bez ruchu i czekała.

– Kiedy druid uderzył Grega, myślałem, że go zabił. Chyba się pogubiłem. Naprawdę nie wiem, jak to zrobiłem, ale, no, machnąłem ręką, z odległości przynajmniej trzech, czterech metrów i... obciąłem Cadellowi rogi. W połowie wysokości. Jakby mieczem świetlnym, rozumiesz?

Milczała, oswajając się z tym, co usłyszała. Z roztargnieniem sięgnęła po szklankę Neda i dopiła jego sok.

– Celowałeś w rogi? Nie w niego?

Zastanowił się.

– Chyba tak. Właściwie chyba w nic nie celowałem. Nie miałem pojęcia, że mógłbym choćby... – Przerwał. Bardzo trudno było mu o tym mówić.

– Och, dziecko – powiedziała ciotka Kim.

– Co mam z tym zrobić?

Uścisnęła jego dłoń, leżącą na blacie stołu.

– Nic, Ned. Być może to się już nigdy nie zdarzy. To przez Beltaine. Widziałeś dzika, druida, ognie. Zaszedłeś tą drogą dość daleko. I masz nasze rodzinne powiązania z tym wszystkim. Może większe niż ktokolwiek z nas. Prawdopodobnie jednak nie będziesz mógł nad tym panować. Może to dobrze.

– Więc mam po prostu zapomnieć o tym, co się stało?

Znów się uśmiechnęła, tym razem ze smutkiem.

– Nigdy tego nie zapomnisz, Ned. Istnieje jednak duża szansa, że to nie wróci. Zachowaj to w pamięci jako przypomnienie, że świat kryje w sobie więcej tajemnic, niż większość ludzi przypuszcza.

– Mój tata powiedział coś w tym stylu.

– Lubię twojego ojca. Mam nadzieję, że on lubi mnie.

– Lepiej, żeby lubiła cię moja mama, i to bardziej.

– Meghan? Ona mnie kocha. Jak siostrę.

Ned się roześmiał.

– Idź do łóżka – powiedziała ciotka.

Postuchał jej i, ku swemu zaskoczeniu, zasnął.

Stojąc na wietrze w Entremont, w środku nocy, wspomina inne czasy i patrzy, jak dogasają pochodnie. Myśli o lesie, kiedy tu przybył po raz pierwszy.

Owego dnia, tyle żywotów przedtem, bał się, że umrze; szedł przez czarne lasy za przewodnikami, nie mając pojęcia, dokąd go prowadzą, czy kiedykolwiek wróci na wybrzeże, do morza i światła.

Nawet na wpół pogrążony w zadumie, wie, kiedy drugi mężczyzna wraca jako sowa na płaskowyż.

Cadell nie robi z niczego sekretu.

Phelan patrzy na południe, nie chce mu się nawet odwrócić, by zobaczyć, jak rywał wraca do swej postaci. Stoi samotnie na skraju grzbietu górującego nad światłami Aix. Dalej, niewidzialne za pasmem nadbrzeżnym, jest morze. Mężczyzna zawsze je wyczuwa, niczym wewnętrzny przyptyw.

Nie przeszkadza mu, że ten drugi lekceważy zasady, które im narzuciła. Takie zachowanie nie jest zaskakujące.

Ysabel nie dokona swego wyboru na podstawie tego, że jeden z nich chciał zyskać przewagę. Walczą ze sobą albo toczą tu wojny od tysiącleci. Zapewne uzna lot Cadella za dowód jego większego pożądanego. Albo i nie. Nauczył się, że nie jest mądrze wierzyć, że się wie, co pomyśli albo zrobi Ysabel. A to świeżo wymyślone wyzwanie jest niepokojące.

Wie, że Cadell czuje to samo. (Teraz znają się już bardzo dobrze). Przychodzi mu do głowy, że Celt mógłby nawet tu wrócić, ponieważ się boi, że Ysabel wyciągnie z tego wykroczenia jakieś konsekwencje. Niemal nade wszystko jest kapryśna, nieprzewidywalna nawet po upływie ponad dwóch i pół tysiąca lat. A tym razem zmieniła ich pojedynek w coś nowego.

Czasami, kiedy Phelan myśli o liczbie lat, o długości czasu, nadal ciąży mu to na sercu. Brzemie wieków, niemożliwość. Długi młot przeznaczenia.

Oni dwaj nigdy się nie zmieniają. Ona zawsze, w drobnych, znaczących szczegółach. Dlatego za każdym razem trzeba ją odkrywać na nowo. Nieskończenie odmienna, nieskończenie kochana. To musi mieć coś wspólnego z tym, w jaki sposób powraca – przez wezwanie kogoś innego. Z zagarnięciem innej duszy.

Stojąc plecami do drugiego mężczyzny i duchów, patrząc w dal z krawędzi płaskowyżu, zupełnie nie czuje strachu. Cadell go tu nie zaatakuje. Tak daleko nigdy by się nie posunął.

Spodziewa się, że zmarli z nocy Beltaine znikną – jaki im rozkazano – przed wschodem słońca, może z wyjątkiem druida. Brys to swego rodzaju dzika karta, zawsze nią był, ale tak naprawdę nic nie można było na to poradzić.

Na to, czego nie może zmienić, nie będzie przez następne trzy dni zwracał uwagi.

Musi ją odnaleźć. Jako pierwszy.

Musi się skupić na możliwościach, a jest ich zbyt wiele. Przypomina sobie, że Ysabel chce zostać odnaleziona. Usiłuje pojąć, co to znaczy w kategoriach miejsc, w których mogłaby być.

Możliwe, że będzie się przenosić z miejsca na miejsce, a nie tkwić w jednym, wybranym. Wszyscy troje tak wiele razy już powracali. Będzie wiedziała, jak zmieniać stroje, ukrywać włosy, zdobywać pieniądze, jeśli będą jej potrzebne. Nie potrafi latać, ale są pociągi, taksówki. Ten świat nie przerazi jej, tak jak nie zaniepokoił żadnego z mężczyzn wracających do zmian. Zawsze są zmiany.

Nic jej nie ogranicza poza zasięgiem, ramami ich tutejszej historii, rozciągającymi się daleko na wschód, zachód i północ oraz ku obrzeżom morza.

W księżycowym blasku jest na tyle jasno, że na ziemi rozciągającej się poniżej widać cienie. Mężczyzna zatrzymuje w sobie brzmienie głosu Ysabel i podąża wzrokiem ku południowi, ku zmienionej, niewidocznej linii brzegowej. Wspomina.

Za pierwszym razem tak bardzo się bał.

Przybył na jednym z trzech statków, by założyć faktorię na wybrzeżu, o którym wiedziano, że jest zamieszkane – oraz niebezpieczne. Fortunę zbijało się proporcjonalnie do

niebezpieczeństwa. Tak to już było. Jeśli oferowane towary trudno było zdobyć w domu, to zyski były tym większe.

Był młody, już znany jako żeglarz. Jeszcze nieżonaty, chętnie podejmował ryzyko i kształtował wznoszącą się trajektorię życia. Nie był szczególnie znany z życzliwości, nie miał też jednak oczywistych wrogów. Nawykł do wydawania rozkazów. Mianowano go przywódcą wyprawy.

Pamięta, że przybili do brzegu nieco na zachód stąd. W ciągu dwóch tysiącleci linia brzegowa bardzo się zmieniła: powstały osady piasku, wyrąbano lasy, bo potrzebowano drewna na opał, zbudowano systemy irygacyjne, wały przeciwpowodziowe. Morze znajduje się teraz dalej niż przedtem.

Mężczyzna pamięta, jak widział drzewa ze statku; las schodził do samej zatoczki, w której rzucili kotwicę. Brzeg chroniący od wiatru, niewielka kamienista plaża. Patrzył ze statku na te dąbrowy i zastanawiał się, co jest za nimi. Śmierć czy majątek...? Albo nic ważnego.

Właściwie nie musiało to być ani jedno, ani drugie.

Celtowie przyszli do nich dwa dni później. Wyłonili się w milczeniu z lasu, kiedy przybysze wznosili swoje pierwsze tymczasowe budowle.

Na widok ogromnych sylwetek Celtów wrócił strach. Zawsze byli roślejszym ludem. Przerażała też ich dzikość: półnagie ciała, ciężka złota biżuteria, długie włosy, kolorowe wąskie spodnie, broń.

Mężczyzna umiał walczyć, niektórzy z jego żeglarzy też. Byli jednak kupcami, a nie prawdziwymi żołnierzami. Przybyli w pokoju, z nadzieją i chciwością, by rozpocząć cykl: trwały, związany z porami roku rytm handlu.

By, jeśli im się uda, w końcu tutaj zostać.

Nie mieli wspólnego języka. Dwóch z jego ludzi było już tu przedtem, dalej na wschód wzdłuż wybrzeża; razem znali dwadzieścia czy trzydzieści słów w barbarzyńskim języku, którym mówili miejscowi. Śmieszne byłoby wyobrazić sobie któregoś z tych olbrzymich dzikusów mówiących po grecku. Językiem błogosławionych Olimpian.

Cywilizowanych ludzi.

Na tym kamienistym brzegu pod lasem znajdowali się daleko od cywilizacji.

Celtowie przyjęli dary: tkaniny, wino i puchary do wina, naszyjniki wysadzone klejnotami. Wino im smakowało.

Wysunęli obiecującą propozycję. Z ich gestów na drugim spotkaniu, dwa dni po pierwszym – z gestów naśladujących picie, jedzenie i z pokazywania w głąb lądu, za drzewa –

mężczyzna zrozumiał, o co im chodzi. Zapraszali go na ucztę. Nie było mowy, by zaproszenie odrzucić.

Nie można dopuścić, by człowiekiem rządził strach.

Kiedy przyszedł po niego następnego dnia, wyruszył z jednym towarzyszem. Weszli za dziesięcioma Celtami pomiędzy drzewa; natychmiast zapadła ciemność, niby płaszcz, nawet w słoneczny dzień. Morze zniknęło, a potem ucichł jego szum.

Stojąc teraz na tym wysoko położonym, otwartym, zalanym blaskiem księżycy terenie, pamięta jak bardzo się bał podczas tamtego długiego, całonocnego marszu. Z jakiejś przyczyny sądził, że to plemię mieszka nad wodą, okazało się jednak, że to nie są rybacy.

Lasy wydawały się nieskończone, wszechogarniające, niezmiennie. Podróż z jego świata do jakiegoś innego. Przestrzeń wyjęta z czasu. Lasy takie bywały, w opowieściach, w życiu.

Po drodze słyszeli zwierzęta; żadnego nie widzieli. Mężczyzna niemal natychmiast stracił orientację, idąc krętą, ledwie widoczną ścieżką. Pomyślał, że prowadzi ona głównie na północ, lecz nie niezmiennie. Uświadomił sobie, że jest na łasce przewodników; nigdy nie zdołałby odnaleźć drogi powrotnej.

Zyski były proporcjonalne do podejmowanego ryzyka.

Blisko zachodu słońca, pod koniec całego dnia wędrówki, drzewa zaczęły się przeredzać. Słabo widoczna ścieżka się poszerzyła. Było widać niebo. A potem pochodnie. Wyszli z lasu. Zobaczył wioskę, oświetloną blaskiem ognisk z okazji jakiegoś święta. Wtedy nie wiedział co to za uroczystość.

Skąd miałby wiedzieć?

Poprowadzili go ku światłu tych pochodni, przez rów obronny, obok ognisk, przez wał ziemny, a potem szpaler mężczyzn – oraz kobiet. Nie byli nastawieni nieprzyjaźnie, raczej ostrożni.

Weszli do kręgu, rozległej przestrzeni pośrodku grupy niedużych drewnianych domów. Na ich przywitanie wstał wysoki, siwowłosy, niemłody mężczyzna. Przyjrzeni się sobie nawzajem i wymienili odpowiednie gesty.

Polubił tego człowieka od pierwszej chwili.

Podano mu puchar, jeden z ich darów. Uniósł go w geście pozdrowienia i wypił. Ostry, palący, nierozwodniony alkohol. Ogień spływający po gardle. Pamięta wysiłek, z jakim starał się powstrzymać kaszel, by nie narobić sobie wstydu, nie obrazić gospodarzy wypluciem napitku. Żaden cywilizowany człowiek nie pił alkoholu w ten sposób.

Znajdował się daleko od cywilizowanych ludzi. Efekt działania alkoholu poczuł niemal natychmiast. Głęboki oddech. Szybki uśmiech. Oddał puchar; człowiek powściągliwy,

wiedzący, co to umiar. Wybrany też ze względu na te cechy, nie tylko ze względu na odwagę i umiejętności. Przywódca, odpowiedzialny za swojego towarzysza u boku oraz za tych, którzy zostali na brzegu. Potrzeba sumienności i ostrożności.

Wtedy ją ujrzał. Po raz pierwszy.

Świat się zmienił na zawsze.

Naprawdę, myśli na płaskowyżu Entremont po dwóch tysiącach sześciuset latach: na zawsze, na ile człowiek może znać wieczność.

Na dobre czy na złe, na radość czy smutek, miłość czy nienawiść, śmierć czy powracające życie. Na wszystko to. Na ile człowiek może je znać.

Słyszy jakiś odgłos. Ktoś się zbliża, zatrzymuje. Tym razem się odwraca. Zna te kroki niemal tak dobrze, jak swoje własne.

– Podobało ci się widowisko? – pyta Cadell. – Ukrywanie się na dole?

Uśmiecha się.

– Byk? – Phelan wzrusza ramionami. – Nigdy mi się to zbyt nie podoba. Nabrałeś wprawy. Szybko zadałeś śmierć.

Uśmiech nie znika z twarzy Celta.

– Zawsze tak jest. Wiesz o tym.

– Oczywiście.

Patrzą na siebie spokojnie. Phelan chce go zabić. Musi go zabić.

Duchy Beltaine i druid znajdują się nieco dalej, przy sanktuarium i wciąż płonących pochodniach. Równie dobrze mogliby tu być sami. Wiatr przycichł wcześniej, lecz teraz znów przybrał na sile. Na niebie królują chmury i gwiazdy.

– Wiem, gdzie ona jest – mówi Cadell.

– Nie wiesz – odpowiada Phelan.

ROZDZIAŁ 12

Jadąc w świetle poranka ponownie na zachód z ojcem i Gregiem zatłoczoną autostradą, Ned walczył z powiekami ciężącymi mu z braku snu oraz poczuciem, że jest osobą bezużyteczną i nieodpowiedzialną.

Usiłował się skupić na tym, co robią, na wszystkim, co zostało omówione zeszłego wieczoru, ale wciąż myślał o tym, jak wyglądała Kate Wenger przed pójściem do łóżka.

Ned siedział samotnie przy stole w jadalni i przeglądał przewodnik – rozdział poświęcony historii Prowansji – otoczony porozrzucanymi notatkami i materiałami zebranymi wcześniej.

Pomyślał, że gdyby przygotowała je Melanie, nie byłyby porozrzucane. Ułożyłaby kartki, porozdzielala je i popodpisywała. Na kolorowych karteczkach. Oczywiście, gdyby Melanie tu była, nie potrzebowaliby tych notatek, prawda? Właśnie skończył coś sprawdzać i czuł się jeszcze bardziej przygnębiony i zdezorientowany.

– Co znalazłeś? – zapytała Kate, podchodząc do stołu.

Zerknął w górę. Była bosa i miała na sobie tylko jego za dużą bawełnianą koszulkę.

– Chciałem cię zapytać o te słowa wypowiedziane tam na górze. „Bóg pozna swoich”.

– Och. Tak. – Skrzywiła się. – Oblężenie Beziars? To na zachód stąd.

– Tak, znalazłem. W 1209 roku. „Zabijcie ich wszystkich”. Nie do wiary.

W przyćmionym świetle i ciszy jej ciało pod koszulką i widoczne spod niej długie nogi okazały się nagle o wiele za bardzo rozpraszające. Chyba takich okolicznościach nie należało o tym myśleć, prawda?

Steve i Greg znajdowali się w drugim końcu pokoju, gdzie, rozwaleni na dużej kanapie, oglądali telewizję – Matrix z francuskim dubbingiem, co kiedy indziej mogłoby być dość zabawne. Ojciec Neda pisał mejle na komputerze na piętrze, a ciotka Kim brała prysznic. Kate też dopiero co wyszła spod prysznica i miała jeszcze wilgotne włosy.

– Szukali tu heretyków – powiedziała. – To było jak krucjata. A kruczaty bywały brutalne.

– Tak, ale z tego, co mówił Phelan, ten, kto wypowiedział te słowa...

– Był z Cadellem, wiem. A nasz gość był wewnątrz.

Spojrzeni po sobie.

– On jest naszym gościem? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Co to wszystko znaczy? No bo jeśli mają ze sobą o nią walczyć, to skąd się w tym biorą armie?

Kate spojrzała przez okno w ciemność.

– Może czasem walczą i jeden ginie, a czasami ona dokonuje wyboru i obaj żyją, a potem ten drugi idzie na wojnę?

– Tylko zgadujesz. Spojrzała na niego.

– Oczywiście, że zgaduję.

Westchnął.

– Przepraszam. Usiądź, co?

– Nie ma mowy. Ta koszulka jest za krótka. Nie licz na to, że zobaczysz więcej.

– Dać ci spodnie od dresu?

Pokręciła głową.

– Idę spać.

– Aha. Powinienem teraz rzucić jakiś kiepski żart, tak?

– Zapewne. O mokrym podkoszulku czy coś takiego?

– Nie jest mokry.

– Uważałam. Jestem grzeczną dziewczynką. A ty najwyraźniej jesteś typem faceta, który zrobi wszystko, żeby zwabić kobietę na nocleg.

– O, tak. Druidzi i krew. Mój repertuar. Nigdy nie zawodzi. Zadzwoiłaś do Marie-Chantal?

Skinęła głową.

– Była zszokowana.

– Naprawdę?

– Nie, idioto. Ale pytała, jak wyglądasz.

Ned zamrugął.

– Co jej powiedziałaś?

– Powiedziałam, że jak Kanadyjczyk. Dobranoc, Ned.

Odwróciła się i poszła do pokoju, który jeszcze zeszłej nocy był pokojem Melanie. Ned został przy stole, mając przed oczyma jej wilgotne włosy i nogi tancerki.

A potem pomyślał o Melanie i szczupłym, groźnym mężczyźnie, którego po raz pierwszy zobaczył w katedrze. Wyobraził sobie, jak dowodzi rzezią pod górą, a potem zrzuca

ludzi żywcem w przepaść, tak, jak to wedle jej słów robił Mariusz. Problem w tym, że to widział.

„Nie jestem dobrym człowiekiem”.

A jeśli Ned cokolwiek rozumiał, to ten drugi, Cadell, spalił miasto, Beziers, osiemset lat temu, z Phelanem w jego murach – oraz może Ysabel, jakkolwiek się wtedy nazywała.

Zemsta? Czy Kate ma rację? Czy Ysabel dokonała wyboru, wybrała wtedy Phelana, lecz Cadell nie zginął? Czy to on wywołał tamtą krucjatę, czy tylko ją wykorzystał?

Czy to może dlatego jeden z nich musiał zostać zabity, więc dokonywała swego wyboru, bo inaczej ta część świata mogła utonąć we krwi?

Czy tak samo było w Pourrières, gdzie Ned czuł, że tonie we krwi? Czy może się co do tego wszystkiego myli?

A w ogóle to jak wygląda Kanadyjczyk?

Rano najpierw pojechali do Entremont, licząc, że może przypadkiem kogoś tam zastaną. Brama była jednak zamknięta, parking pusty. Był pierwszy maja, święto we Francji. Nie miało to jednak znaczenia: Ned czuł, że nic tu nie ma. Cokolwiek znajdowało się na płaskowyżu nocą, zniknęło. Ned się zastanawiał, czy gdyby weszli na teren przez płot, znaleźliby pozostałości pochodni Beltaine.

Pomyślał o byku. Co z nim zrobi jutro strażnik albo pierwsi turyści? To nie był problem Neda. Jego problem był o wiele większy.

Nie chodziło o to, że nie wierzy w ciotkę, ale prawda była taka, że jeśli naprawdę mieli sprawdzić wszystkie miejsca w okolicy Aix, które miały jakiś związek z Celtami, Grekami albo Rzymianami, to będą potrzebować kilku miesięcy, a nie trzech dni.

I całkiem możliwe, że nie mają nawet trzech dni. Przecież inni też jej szukają.

Plan ułożyli zeszłego wieczoru. To jego dotyczyły notatki rozłożone na stole. Pamiętał, że Kate, która zapisywała nazwy miejscowości tak szybko, jak ona sama, ojciec Neda czy ciotka Kim je wymieniali, zaczęła przygryzać wargę.

Patrząc na wydłużającą się listę, Ned pomyślał wtedy, że jest niewiarygodnie przypadkowa.

Greg skierował się do zjazdu na Arles i uiścił opłatę. Był rześki, świąteczny poranek, a błękitne niebo zachęcało do spaceru, pikniku, wspinaczki. Jakiś czas jechali dalej na zachód, ale przed miastem skręcili na północ w węższą drogę prowadzącą w stronę niskiego, spiczastego pasma górskiego.

Po obu stronach drogi Ned widział winnice i drzewka oliwne o srebrzystozielonych liściach. Tablice informowały, gdzie się można zatrzymać i kupić oliwę. Bez dwóch zdań było pięknie. Ned nie miał jednak pojęcia, jak ktokolwiek z nich mógłby się tego dnia zachwycać krajobrazem.

Według planu ciotki Kim Kate i Ned znaleźli się w osobnych zespołach, ze względu na swoje powiązania – jakkolwiek bardzo niedoskonałe – ze światem obrzędów, które zagarnęły Melanie. Mieli objechać miasteczka, ruiny i tereny wiejskie. Gdyby którekolwiek coś wyczuło, jakkolwiek ślad obecności, mieli zadzwonić do pozostałych i...

I co? To było w tym wszystkim przygnębiające. Nawet gdyby jakimś cudem, dzięki intuicji czy szczęściu, znaleźli miejsce, w którym Melanie jako Ysabel ukrywała się przed tymi dwoma mężczyznami, to co mieli robić?

Poprosić ją ładnie, by wróciła do swojej postaci?

Ned pamiętał, że zeszłego wieczoru zadał mniej więcej takie samo pytanie. Siedział obok Kate, patrząc na sporządzaną przez nią listę: Glanum, Arles, Nimes, Antibes, Vaison-la-Romaine, Orange, Frejus, Pont du Gard, Roquepertuse, Noves, Narbonne, Saint-Blais, Hyères. Potem już nie czytał, chociaż Kate zawzięcie pisała dalej.

Tego ranka na następny przystanek wyznaczyli sobie Glanum, cokolwiek to było. Czerwone auto jechało do Nimes, dalej na zachód, i do kilku innych miejsc leżących po drodze.

Dla Neda były to właściwie tylko nazwy. I było ich o wiele za dużo. Czuł, że sprawa jest beznadziejna. Związki z Grekami, Rzymianami i Celtami miała nawet Marsylia, a mieszkają w niej trzy miliony ludzi. Musieliby tam spędzić kilka dni.

I właściwie po co? Mieli chodzić po ulicach, wołając ją po imieniu, jakby szukali zaginionego kota? A poza tym kogo mieliby wołać? Melanie czy Ysabel?

O dziwo to Steve poruszył tę sprawę zeszłego wieczoru.

Jego postawa niemal całkowicie się zmieniła, kiedy Greg i Ned opowiedzieli o wydarzeniach na drodze, łącznie z powaleniem go przez druida. Wyglądało na to, że Greg jest wiarygodny. Miał posiniaczony mostek.

I nawet nie widział, jak Cadell zmienia się w sowę, pomyślał Ned.

On to widział. Już dwa razy. Co się robi z takim wspomnieniem?

Wtedy odezwał się siedzący pod drzwiami na taras Steve:

– Jeśli nie będziemy mieli nic lepszego, to właśnie tak zrobimy, Ned. Jeśli ją znajdziemy, to wtedy wymyślimy następny krok. Przecież nie będziemy tu tak po prostu siedzieć, prawda? Ani robić zdjęć, jakby nic się nie stało?

– Nie, tego nie będziemy robić – stwierdził Edward Marriner.

– A pesymizm nie ma sensu – dorzucił Greg, który siedział nieco sztywno na krześle. – Chcę powiedzieć, że skoro to wszystko jest takie zwariowane, to może my też zrobimy coś zwariowanego i to naprawmy, co?

Ned spojrzał na niego.

– Mówisz jak Melanie – powiedział.

– Ktoś chyba musi.

Ned myślał o tym, kiedy jechali na północ w stronę gór o ostrych szczytach, mijając po drodze tablice kierujące turystów do Les Baux. Jak mówiła Melanie? Jak myślała? Co miała w sobie takiego, co mógłby próbować wyczuć?

I czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Może bardziej była to kwestia myślenia o Ysabel, tyle razy wracającej do świata? Tak niebezpiecznie pięknej, że aż przerażającej. W gruncie rzeczy przestraszył się, kiedy sobie przypomniał, jak się czuł zeszłej nocy, patrząc na nią i słysząc jej głos.

A może powinien szukać swoim wewnętrznym zmysłem tych dwóch mężczyzn? Tylko po co? Było jasne, że nie mają pojęcia, gdzie ona jest – o to chodziło w wyzwaniu, które im rzuciła. To dlatego Cadell i druid szukali Neda, prawda?

Chwilę się nad tym zastanawiał. Przejeżdżali obok gospodarstwa z końmi i osłami pasącymi się na łące po lewej stronie szosy. Wzdłuż prostej jak strzała drogi, biegnącej ze wschodu na zachód, którą przecięli, rosły platany. Kolejny drogowskaz pokazywał drogę do pola golfowego.

– Ona chce, żeby ją znaleźli – powiedział Ned.

Ojciec odwrócił się do niego.

Edward Marriner chciał być tego dnia z synem. To zresztą miało sens. Ned i ciotka Kim musieli się znaleźć w oddzielnych samochodach. Kate jechała z Kim, ponieważ jako jedyna prócz Neda mogła rozpoznać Ysabel – albo Phelana, jeśli o to chodzi. Razem z nimi jechał Steve, dla ochrony. Ned był z ojcem i Gregiem.

Matka zadzwoniła bardzo wcześnie. Miała lecieć wojskowym samolotem z Darfuru do Chartumu, a potem przesiąść się na samolot do Paryża i złapać lot do Marsylii. Prawdopodobnie dołączy do nich przed kolacją.

– Jak to, chce? – zapytał Edward Marriner.

Ned pomyślał, że tego ranka ojciec wygląda starzej. Miał zmartwioną minę, podkrążone oczy, a czoło przecinały mu zmarszczki. Pewnie też nie mógł zasnąć.

Ned wzruszył ramionami.

– To nic błyskotliwego. Zastanów się. Ysabel nie chce pozostać zaginioną. To dla nich próba, a nie niewykonalna misja. Ona wybiera, a nie ukrywa się.

– To znaczy? – zapytał Greg, patrząc na Neda w lusterku wstecznym.

– To znaczy, że ciotka Kim może mieć rację – odparł Ned. – Powinien istnieć jakiś sposób na znalezienie miejsca, które... ma jakiś związek. Albo sens. Oni muszą to zrobić, więc my też możemy, prawda? Musi być w tym jakaś logika.

– Cóż, byłoby łatwiej, gdybyśmy mogli zawęzić poszukiwania do okresu nieco krótszego niż dwa tysiące sześćset lat – zauważył ojciec.

– Teraz mówisz jak ja zeszłego wieczoru – powiedział Ned.

Greg prychnął.

– Niech Bóg i jego aniołowie bronią – rzekł ojciec i odwrócił się z powrotem, by patrzeć na drogę.

Edward Marriner miał przy sobie dwa aparaty, cyfrowy i jednoobiektywową lustrzaną. Ned pomyślał, że bardziej dla komfortu psychiczne go niż w jakimkolwiek innym celu. Kiedy wsiadał do furgonetki, przyszło mu do głowy, że patrząc przez wizjer aparatu, ma się między sobą i światem bufor.

W ciągu ostatnich dni przychodziło mu do głowy wiele myśli. Zobaczył zbliżające się odgałęzienie do Les Baux. Samochody zwalniały, ponieważ wiele z nich skręcało w lewo.

– Prosto, Gregory – powiedział Edward Marriner, sprawdzając na mapie. – Droga prowadzi do Saint-Remy, skręcamy tuż przedtem.

– Widzę – stwierdził Greg. – Jest na tablicach.

– Co to jest? – zapytał Ned. – Tam na górze? Les Baux?

– Średniowieczne miasto na wzgórzu, ruiny zamku. Dość spektakularne.

– Byłeś tam?

– Z twoją matką, zanim się urodziłeś.

– Jest na naszej liście?

– Nie. Jest na liście Olivera i Barretta. Chociaż prawdopodobnie mogłoby się znaleźć i na naszej. O ile rozumiem, przed przybyciem Rzymian było tu pełno Celtów.

– Jest nad nami – powiedział Greg. – Przypatrz się.

Czekali, aż skręcą samochody przed nimi. Ned wyjrzał przez okno po lewej stronie. To, co początkowo wyglądało na skruszoną skałę, okazało się rozbitymi pozostałościami długiego zamkowego muru na szczycie góry. Niemal idealnie zlewał się z podłożem.

– Rany – powiedział Ned. Jego ojciec też patrzył na ruiny.

– Podobno zrzucali z tych murów wrogów.

– Ładnie z ich strony. Kiedy?

– W średniowieczu. Nazywano ich panami z Les Baux. Kilkaset lat później Ludwik Trzynasty wysłał przeciwko zamkowi działa. Rozbił go w puch. Uznał za zbyt niebezpieczne posiadanie przez miejscowych panów tak silnej twierdzy.

Ned pokręcił głową. Rzymianie z machinami oblężniczymi w Entremont, to samo tutaj – z armatami.

– Myślałem, że mówiłeś mi, że wybieramy się do pięknego, spokojnego miejsca.

Ojciec zerknął do tyłu.

– Na pewno powiedziałem, że do pięknego. Wątpię, bym był na tyle głupi, żeby powiedzieć, że do spokojnego.

– Poza tym – dodał Greg żartobliwym tonem – od kiedy to piętnastoletni faceci lubią spokój?

– W tej chwili trochę by się go przydało – powiedział Ned.

Dojechali do skrzyżowania, zaczęli, aż samochód przed nimi skręci w lewo, i pojechali dalej.

– Mówiąc o spokoju, następny odcinek nazywa się Doliną Piekła – oznajmił Edward Marriner. – Melanie zapisała, że być może to miejsce zainspirowało Dantego.

Wśród innych materiałów, które zabrał ze sobą, miał jej notatnik.

– On też tu był? – zapytał Greg.

– Wszyscy tu byli – odparł ojciec Neda. – Mniej więcej o to chodzi. Przez pewien czas w Awinionie mieli swoją siedzibę papieże, ale to długa historia. Dante był raz emisariuszem.

– Widzę ją – stwierdził Greg. – To znaczy Dolinę Piekła. Spójrzcie na te głazy.

Kiedy wjechali na krętą, wąską trasę między urwiskami, okolica stała się dość raptownie wysuszona i jałowa. Kilka plam koloru, jakie stanowiły polne kwiaty, jakby podkreślało ponurość okolicy. Zrobiło się ciemniej, ponieważ urwiska przesłaniały słońce. Rozglądając się po wymarłym wąwozie, Ned poczuł się nieswojo.

– To miejsce Barrett też zaznaczył – mówił Edward Marriner. – Ze względu na krajobraz. Inna strona Prowansji.

Lecz jego głos dobiegał jakby z daleka. Neda coś odpychało. Odetchnął głęboko, walcząc z paniką. Nie czuł się źle, jak w Sainte-Victoire, ale... był jakby nieobecny.

– Możesz się na chwilę zatrzymać? – zapytał.

Bez wahania, bez słowa, Greg zjechał na pobocze, które było tutaj dość wąskie. Kierowca jadący za nimi – blisko za nimi – nacisnął klakson i śmignął obok nich. Greg ostro zahamował.

– Co się stało? Ned?

Ojciec znów się odwrócił i patrzył na niego. Wyraz jego twarzy, mieszanina strachu i niejakiego szacunku, był niepokojący. Ned pomyślał, że ojciec nie powinien musieć tak patrzeć na swoje dziecko.

– Coś czuję – mruknął.

Sięgnął w głąb siebie. Nic dotykającego, tylko niepokój, jak bicie pulsu, niewyraźne uderzenia bębna.

– Czy... mamy coś o tym, co się tu znajduje? Co tutaj mogło kiedyś być?

Edward Marriner wyjął notatnik z leżącej na podłodze skórzanej teczki. Podpisane kolorowe karteczki dzieliły go na części. Ojciec przeczucił kartki, znalazł odpowiednią stronę, przebiegł po niej wzrokiem. Pokręcił głową.

– Były tu kopalnie boksytu, który otrzymał swoją nazwę od Les Baux.

Są już nieczynne. Wspomina Dolinę Piekła. Dante. Cytat z Henry'ego Jamesa o przejechaniu tędy powozem. Pomyślała, że moglibyśmy to wykorzystać.

– Nic więcej?

Greg też patrzył na Neda.

– Niedobrze ci?

– Nie. Ale coś tu jest.

Ned przesunął się na prawą stronę furgonetki i otworzył drzwi. Wsiadł. Stał przy drodze, usiłując zrozumieć, co czuje. Ruch już się zmniejszył, od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód. Greg włączył światła awaryjne. Wysokie skalne ściany po obu stronach drogi pogrążały ją w cieniu. Było chłodno. Z północy wiał wiatr. Dolina Piekła.

– Myślisz, że jest tutaj? – zapytał Greg przez opuszczoną szybę.

Ned pokręcił głową.

– Nie. Myślę, że to, co do mnie dociera, jest starsze, pochodzi z przeszłości. Chyba czuję coś z dawnych czasów, nie z teraźniejszości.

– Ale nie jest to takie okropne jak wtedy, tak? – dopytywał się Greg.

Ned spojrział przez okno obok ojca na Grega, którego twarz bardzo w tej chwili przypominała twarz Edwarda Marrinera. Malował się na niej strach i coś w rodzaju nieśmiałego szacunku. Nieco przerażająca była świadomość, że obaj mu wierzą.

– Nie takie okropne – powiedział. – Po prostu takie samo wrażenie, że coś tu nadal jest. Ten sam rodzaj... – Szukał słów. – Przebijania się?

– Z czasów średniowiecza? Z zamku w Les Baux?

Ned spostrzegł, że czoło ojca jest naprawdę pobrużdżone zmarszczkami. Walka, by to wszystko zrozumieć.

Ned się zastanowił. Podeszedł do urwiska i spojrział w górę, a potem wrócił i pokręcił głową.

– Nie umiem powiedzieć. Nie jestem w tym dobry, ale myślę, że z jeszcze dawniejszych czasów. – Odetchnął. – Zapytamy Kate. Albo sprawdzimy. Ale myślę, że możemy jechać dalej. Nie czuję tu nic z, no... terażniejszości. To jest po prostu dziwne, i tyle.

Ojciec wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale zaraz westchnął i wzruszył ramionami.

– Nie znam się na tym – stwierdził.

Ned wsiadł do furgonetki i zasunął drzwi. Greg patrzył na niego przez Sekundę, a potem wrzucił bieg i ruszył.

Przejechali wąski, jałowy kanion w milczeniu, a potem wyjechali z cienia na wiosenne pola, winnice i słoneczny blask. Chwilę później ujrzeni po lewej stronie drogi rzymski łuk i stojącą tuż obok niego wieżę.

Kolejna brązowa tablica kierowała do ruin Glanum, leżących po drugiej stronie na końcu obsadzonej drzewami ścieżki.

Greg zatrzymał się na niemal pustym, zwirowym parkingu tuż przed łukiem. Ned wysiadł. Zobaczył kilka rodzin, szykujących się nieopodal na trawie do wczesnego pikniku. Dzieci grały w piłkę. Obserwując tych ludzi, czuł się jak obcy, jak ktoś z innego świata, który przeciął się z ich światem.

Greg podeszedł, by popatrzeć na łuk i wyższą, dziwnie ukształtowaną budowlę obok niego. Ojciec Neda stanął przy nim.

– Czujesz się dziwnie, patrząc na nich? – zapytał Edward Marriner, pokazując uczestników pikniku.

Ned spojrział na niego szybko.

– Właśnie o tym myślałem.

Ojciec się skrzywił.

– Dobrze, wciąż jeszcze coś nas łączy.

Ned zastanowił się nad tymi słowami, nad sugerowanym przez nie dystansem. Nie chodziło tylko o rodziców i dorastające dzieci. Teraz chodziło o coś więcej. Przełknął ślinę.

– Ja się nie zmieniłem, tato. Ja tylko... widzę pewne rzeczy.

– Wiem. Ale to jest zmiana, prawda?

Była.

– Jestem przerażony – powiedział po chwili Ned.

Ojciec skinął głową.

– Wiem. Ja też.

Objął Neda ramieniem, a syn mu na to pozwolił; potem ojciec go uścisnął. Ned nie pamiętał, kiedy ostatnio byli ze sobą tak blisko.

Ojciec go puścił i przywołał na twarz uśmiech.

– Wszystko dobrze, Ned. A będzie jeszcze lepiej, gdy przybędzie tu mama.

– Myślisz?

– Tak.

– Ale co ona może...?

– Twoja matka jest jedną z najmądrzejszych osób, jakie znam. Ty też o tym wiesz.

Dlatego poprosiłeś ją, żeby przyleciała, prawda?

Ned się zawahał.

– Częściowo.

Spojrzał na żwir pod stopami.

– Chciałeś, żeby się stamtąd wydostała? – zapytał łagodnie ojciec.

Ned kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

– Ja też. Bardzo – powiedział cicho Edward Marriner. – Być może trochę oszukiwaliśmy, ale i tak postąpiliśmy słusznie. Melanie zniknęła, a twoja matka może nam pomóc. Zobaczysz.

Ned podniósł wzrok.

– Ale ciotka Kim? I mama?

Ojciec się zawahał.

– Zdarza się, że między ludźmi panuje napięcie, Ned. Historia zatacza koło, nawet rodzinna, nie tylko świata. One to rozwiążą między sobą, a może nie. Nie sądzę jednak, żeby... to miało wpływ na to, co musimy zrobić.

– Nie sądzisz.

– Pewność potrafi być przereklamowana – mruknął ojciec.

– Cokolwiek to, do diabła, znaczy.

Ned spojrział na łuk i budowlę wzniesioną obok niego. Greg przyglądał się im z bliska. Nieco dalej śmiały się dzieci grające w piłkę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Ned.

– To najstarszy rzymski łuk we Francji – odparł ojciec. – Upamiętnia tutejsze podboje Juliusza Cezara. Jeśli podejdziesz, zobaczysz wyrzeźbionych Galów, umierających w łańcuchach. Ten cały obszar ważył się na szali, a po Cezarze dostał się pod panowanie Rzymu. Ta druga budowla jest starsza, wzniesiona na cześć wnuków czy też siostrzeńców Augusta.

Ned myślał o druidzie, który zeszłego wieczoru stał na ich drodze. „Tu nie chodzi tylko o nich troje”.

Pomyślał, że ten łuk upamiętnia początek i koniec czegoś.

– Przez setki lat było widać tylko te dwa pomniki – ciągnął ojciec. – Ruiny znajdujące się po drugiej stronie pozostawały pod ziemią do osiemnastego wieku. Wykopaliska w Glanum rozpoczęto dopiero osiemdziesiąt lat temu.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Ned.

Ojciec znów się skrzywił.

– Odrobiłem pracę domową, w przeciwieństwie do niektórych znanych mi osób. Przeczytałem w nocy notatki Melanie. Nie mogłem spać.

– Chcesz za mnie napisać wypracowanie?

Ojciec się uśmiechnął.

Podeszli do Grega. Z bliska łuk wydawał się jeszcze większy, dominujący nad okolicą; obok niego stała tylko jedna wysoka budowla.

– Tam jest zakład dla obłąkanych, w którym przebywał van Gogh po tym, jak obciął sobie ucho – powiedział Edward Marriner, pokazując ręką. – Po drugiej stronie pola, obok ruin.

Ned pokręcił głową. „Wszyscy tu byli”.

To prawda. Albo niemal prawda. Spojrział na łuk, obchodząc go w milczeniu. Płaskorzeźby na podstawie i nieco wyżej były takie, jak mówił ojciec. Sceny bitewne, niektóre zatarte przez czas albo rozbite, inne dość wyraźne. Konni Rzymianie tnący z góry wrogów. Inni walczący pieszo. Powaleni Galowie z ustami otwartymi w krzyku. Jeńcy ze zwieszonymi głowami, zakuci w łańcuchy. Zobaczył kobietę w greckiej szacie. Zdziwiło go to. Cofnął się, myśląc o potędze, jaką reprezentował ten łuk.

Kiedyś wszyscy mogli tu być obcy, ale czy wszyscy, którzy tu przybyli, zwyciężyli i zgłosili roszczenia? Pomyślał, że niektórzy odwiedzający popełnili samobójstwo, jak van Gogh. Albo po prostu wrócili do domu, jak Dante.

– Czy Rzymianie byli dobrzy? – zapytał nagle.

Ojciec był zaskoczony.

– Spodziewasz się odpowiedzi?

Ned pokręcił głową.

– Raczej nie. Głupie pytanie.

– Chodźmy do wykopalisk – zaproponował Edward Marriner. – Możesz nam powiedzieć, czy jest tu coś, co... – Wzruszył ramionami. – Wiesz, o co mi chodzi.

Ned wiedział, o co chodzi ojcu.

– Będą zamknięte – odezwał się Greg. – Jest święto.

– Wiem. Wszystko jest zamknięte. Zakładam, że Ned może coś wychwycić przy wejściu.

– A jeśli wychwyci? – zapytał Greg.

– Wtedy zrobię, co będę musiał zrobić – odparł ojciec Neda.

Ned i Greg wymienili spojrzenia.

– Chodźmy – rzekł Edward Marriner.

Poprowadził ich na drugą stronę drogi, a potem ścieżką między drzewami. Teren Glanum zamykała niska drewniana brama. Jakies sto metrów dalej stał budynek administracyjny.

Edward Marriner spojrzał na syna.

– Nie robiłem tego od bardzo dawna – powiedział, po czym przeszedł górą przez bramę.

– Nieźle, szefie – ocenił Greg.

Ned nic nie powiedział, po prostu poszedł w ślady ojca. Zaczekali, aż Greg zrobi to samo; zeskakując, cicho stęknął – Ned wiedział, że zabolęła go klatka piersiowa.

Ruszyli ścieżką, sami wśród wiosennego śpiewu ptaków, pod błękitnym, jasnym niebem. Niska budowla przed nimi była wyraźnie nowa. Za nią, widoczne teraz po lewej stronie, rozciągały się ruiny.

Ned zszedł ze ścieżki w stronę płotu otaczającego teren wykopalisk. W dali zobaczył dwie wysokie kolumny. Przypominały mu zdjęcia Forum w Rzymie. No tak, pomyślał.

Teren okazał się większy, niż oczekiwał.

Nie było jednak niczego innego.

Nic nie czuł. Wcześniej w Entremont po prostu wiedział, że jest tam pusto, przeniknęło go poczucie pustki. Tutaj po prostu nie wiedział.

Stał przy płocie, patrząc przez niego na odsłonięte kamienie, i czuł jedynie spokój. Żadnej obecności kogoś żywego czy umarłego, czy przybyłego z powrotem. Z drugiej strony, teraz już wiedział, że odległość ma chyba znaczenie, przynajmniej dla niego.

Obejrzał się na ojca i wzruszył ramionami.

– Nie potrafię nic powiedzieć. Ale może będę musiał podejść bliżej. Może powinienem wejść na teren. Jeśli ktoś mnie podsadzi, mogę przejść przez płot.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi współczesnego budynku przed nimi; wyszedł z nich pośpiesznie strażnik i ruszył w ich stronę żwawym, pewnym siebie krokiem.

– Do diabła – powiedział Greg. – Założę się o jedno euro i paczkę gumy, że nie jest zadowolony z pracy w święto.

– Podwójna płaca – stwierdził ojciec Neda. – Albo jeszcze większa, we Francji.

Szeroko uśmiechnięty, poszedł na spotkanie strażnika z radosnym pozdrowieniem na ustach.

– Przynajmniej nie wyglądamy na wandalów – zauważył Greg. Zawahał się. – Chyba.

Przygładził ręką włosy i brodę i szybko włożył do spodni koszulkę z Iron Maiden. Ned nie miał pewności, czy któryś z tych zabiegów przyrósł pożądany efekt.

Zostali przy płocie. Ned z wielką radością zostawił załatwienie sprawy tacie. Odwrócił się z powrotem do wykopalisk, bezskutecznie usiłując coś wyczuć.

Obejrzał się przez ramię. Ojciec gawędził ze strażnikiem. Sprawiał wrażenie wyluzowanego.

Strażnik nie wyglądał aż tak spokojnie, ale nie dmuchał w gwizdek ani nie krzyczał. Ned zobaczył, że tata wyjmuje komórkę i wybiera numer. Spojrzał na Grega; ten wzruszył ramionami. Edward Marriner zaczął rozmawiać, a potem podał telefon strażnikowi, który wziął go z wahaniem. Kiedy tylko przyłożył telefon do ucha, stanął komicznie na baczność.

Ned znów spojrział na Grega. Ten znów wzruszył ramionami.

Strażnik coś powiedział, a potem najwyraźniej słuchał tego, co ma do powiedzenia rozmówca. Trwało to jakiś czas. Kilka razy kiwnął głową.

Było bardzo cicho. Ledwie słyszeli odgłosy ruchu na drodze. Ned spróbował wyobrazić sobie to miejsce jako w pełni rozwinięte rzymskie miasto sprzed dwóch tysięcy lat. Mury i kolumny. Świątynie i domy. Zobaczył coś, co przypominało basen. Czy Rzymianie mieli baseny? Chyba tak. Kate na pewno będzie wiedziała.

Na drzewie przed nimi śpiewał ptak. Pod płotem rosły bladofioletowe i białe polne kwiaty. Od południa, na drugim końcu terenu wykopalisk, wznosiły się strome wzgórza, stanowiąc oprawę ruin. Tam leżała Dolina Piekła, gdzie ściany urwisk schodziły do pogrążonej w cieniu drogi.

Ned spróbował jeszcze raz i znów nic nie poczuł. Pomyślał, że nawet gdyby coś znalazł, to mógłby to być ktoś zupełnie niezwiązany z tym, co robią, z Ysabel, Cadellem i z Phelanem, z ich historią.

Skoro raz się pogodziło – jakby miał teraz jakiś wybór – z istnieniem tego innego świata, to kto wie, co jeszcze może się w nim kryć? Lwy, tygrysy, niedźwiedzie...

– Chodźcie! – zawołał nagle ojciec Neda po francusku. – Ten miły człowiek nam otworzy.

Ruszyli w jego stronę. Strażnik już poszedł przodem i przytrzymał otwarte drzwi budynku. Jego zachowanie się diametralnie zmieniło; właściwie trzeba było je nazwać unizonym.

– Co zrobiłeś? – szepnął Ned do ojca. – Przekupiłeś go?

– Taki miałem następny pomysł. Zadzwoiłem do pani mer Aix. Zastałem ją przy robieniu lunchu dla gości, ale porozmawiała z tym facetem. Powiedziałem jej, że postąpiliśmy idiotycznie, przyjeżdżając tu w święto, ale zapytałem, czy nie mogłaby nam pomóc.

– I pomogła?

– Najwyraźniej. W przyszłym tygodniu umówiłem się na zrobienie jej portretu.

– To było w planach?

– Chyba żartujesz?

– Myślałem, że Francuzi to sztywni biurokraci.

– Tacy są.

Ned się roześmiał. Ojciec wyglądał na zadowolonego z siebie.

Weszli do środka. Była tam kasa i kontuar, mnóstwo pamiątek – kopie biżuterii, książki, koszulki, żołnierzyki, plastikowe miecze, miniaturowe drewniane katapulty. W zagłębieniu po lewej stronie Ned zobaczył duży model wykopalisk przykryty dla ochrony szkłem, a na ścianach laminowane plakaty ukazujące różne stadia wykopalisk.

Strażnik poprowadził ich do drzwi po drugiej stronie i otworzył je z uśmiechem.

– Oprowadzę panów – powiedział. – Mogę odpowiedzieć na pytania, monsieur. Mogę podsunąć kilka sugestii co do fotografowania. To moje hobby!

– Byłbym bardzo wdzięczny – skłamał ojciec Neda. – Ale najpierw zdjęcie pana?

Strażnik pośpiesznie zapiął kurtkę. Edward Marriner skadrował go w otwartych drzwiach na tle ruin i zrobił mu cyfrowe zdjęcie.

– Merci – powiedział.

Weszli na teren wykopalisk.

Ned się zatrzymał, obejmując je wzrokiem. Były naprawdę rozległe, a z tego miejsca wydawały się jeszcze większe: rozciągały się nie wprost przed nimi, ponieważ teren ograniczały wzgórza, ruiny ciągnęły się z północy na południe wzdłuż wąskiej doliny. Ned pomyślał, że zimą teren nie jest niczym osłonięty od wiatru.

– Najstarsza część jest tam – oznajmił strażnik, pokazując ręką na prawo. – Największe domy z dziedzińcami są przed nami, tak samo jak plac targowy i łaźnie.

– Chciałbym zacząć od łaźni i tych dużych domów – powiedział Edward Marriner. – Greg, będziesz zapisywał kolejne zdjęcia? Ned, możesz sobie pochodzić... tylko nie napytaj sobie jakiejś biedy.

To miało nieco więcej znaczenia niż zwykle. Ojciec okazywał się w tym niespodziewanie dobry.

Chciał powiedzieć: „Obiecuję”, ale tego nie zrobił.

Trzej mężczyźni ruszyli prosto, a potem skręcili w lewo; strażnik – już zadowolony, że ma co robić w nudny dzień – gestykułował i coś mówił.

Ned poszedł sam na prawo, w stronę starszej części miasta.

Zaczęło się zaraz potem. Po ledwie dwudziestu krokach poczuł wewnętrzne pulsowanie. Pojawiało się i zanikało.

Ktoś go wzywał.

Pomyślał, że o wiele rozsądniej byłoby zawołać Grega, ale nie umiał wymyślić dobrego usprawiedliwienia, zakładając, że tata miał tu pracować ze swoim asystentem.

Znów szybko biło mu serce. Zaklął pod nosem. A potem pomyślał o Melanie, o tym, dlaczego to robią, i poszedł dalej.

Minął dwie wysokie kolumny, które widział zza płotu. Tabliczka głosiła, że to świątynia Kastora i Polluksa. Kolorowy rysunek przedstawiał jej wizerunek dwa tysiące lat temu. Była wysoka i okazała, prowadziły do niej szerokie schody, a pod błękitnym niebem przechadzali się ludzie w togach.

Znów poczuł pulsowanie. Teraz potrafił je umiejscowić – na lewo za rogiem. Kolejna tabliczka głosiła, że to „Święte źródło”. Od północy wciąż stała ściana, spod której prowadziły w dół do ciemnego, płytkiego stawu kruszące się i porośnięte mchem schody.

Na stopniach siedział Cadell i patrzył na wodę.

Niezbyt zaskoczony Ned wytrzeszczył na niego oczy.

– Dlaczego mnie wezwales?

Mężczyzna spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Uśmiechnął się. – To nie ja wszystko rozgryzam. Co mam powiedzieć? Chwila braterstwa? Możesz to tak nazwać. A tak nawiasem mówiąc, będziesz musiał nauczyć się osłaniać. Jesteś widoczny dla każdego, kto ma tu jakąkolwiek moc.

– Nie umiem tego robić. Ale nie zamierzam zbyt długo pozostawać w twojej przestrzeni.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

– Nie jest moja, teraz jest też i twoja. Kiedy to się skończy, zamierzasz udawać, że nic się nie wydarzyło?

– Tak, kiedy odzyskamy Melanie. Może nie będę udawać, ale nie mam zamiaru w tym tkwić.

Cadell spojrział na niego błyszczącymi niebieskimi oczyma. Tego dnia ubrał się w czarne buty, podarte, wyblakłe džinsy i jaskrawoczerwoną koszulkę polo. Pół rowerzysty, pół turysta. Wciąż miał na szyi gruby złoty torques, ale pozostała biżuteria zniknęła. Długie włosy zebrał w koński ogon. Ned znów zwrócił uwagę na to, jaki jest rostry.

– Tak naprawdę nie masz wyboru – stwierdził dość łagodnie Celt. – W niektórych sprawach nikt go nie ma. Jak tu dotarłeś?

– Przyjechałem furgonetką – odparł Ned. Przemądrzała uwaga, ale nie miał ochoty na uprzejmość. – Prowadził Greg. Pamiętasz Grega? Zeszłej nocy twój przyjaciel omal go nie zabił.

– Nie nazywam Brysa przyjacielem. Jest mi czasem potrzebny.

– Jasne. Nieważne. Już odeszły? Duchy?

Cadell znowu wzruszył ramionami.

– Zapewne. On być może został. Ale kazałem mu odejść. Naprawdę... dlaczego tu przyszedłeś?

– Cóż, dlaczego ty tu jesteś?

– Szukam jej. Po cóż innego istnieję na świecie? Jakie proste pytanie. Ned na chwilę odwrócił wzrok.

– My też jej szukamy.

Cadell z powrotem odwrócił się do leżącego poniżej czarnego lustra wody. Patrzył na nie, kiedy pojawił się Ned.

Daleko za starożytną ścianą, przy drugim końcu wykopalisk, chłopak widział ojca, Grega i strażnika. W tak pogodny dzień wydawali się mali, lecz byli wyraźnie widoczni. Tata Neda robił zdjęcia, celując obiektywem w jego stronę. Gdyby zawołał, nawet by go nie usłyszeli. Oświetlał ich jasny blask słońca, lecz nie padał tam, gdzie pod ścianą siedział Cadell, wpatrzony w płytką wodę stawu.

Celt poruszył ręką.

– Ta część, do miejsca gdzie się znajdujemy, była najpierw nasza. Pod nami jest źródło bogini. Miała na imię Glanis. Glanum to jego przekrecona forma. Imiona się zmieniają z biegiem czasu. Tam – pokazał na prawo ręką – budowali Rzymianie, kiedy nas wypędzili.

– Mieszkałeś tu?

Cadell pokręcił głową.

– Nie. Nasze plemię mieszkało na południu, bliżej morza. Tutaj wioskę miało inne plemię. Pozwolili Grekom na handel tuż za tobą, za świata Heraklesa. To był błąd.

Tego ranka wydawał się bardzo spokojny, nawet rozmowny. Ned siłował wyobrazić sobie celtycką wioskę, ale mu się nie udało. Była zbyt odległa, zbyt zatarta. Zamiast niej ciągle widział Rzymian, wysokie świątynie, jak ta po drugiej stronie, na rysunku z pogodnymi ludźmi w togach.

Byli tu też Grecy ze swoją placówką handlową.

– Dlatego zacząłeś szukać tutaj? – zapytał Ned. – Bo wszyscy byliście w tym miejscu?

Cadell znów podniósł wzrok.

– Zacząłem? Od świtu jestem w ruchu. Za chwilę stąd odejdę. A tak przy okazji, nie ma jej tutaj.

– Myślałeś, że może być?

– Istniała taka możliwość.

Ned odchrząknął.

– Też tak sądziliśmy.

– Na to wygląda.

Ned zaryzykował.

– Nie ma... nie ma sposobu, żebyście to odbyli, tę walkę, a potem uwolnili Melanie?

Cadell spoglądał na niego przez dłuższy czas.

– Czy kochasz tę kobietę?

Ned drgnął.

– Ja? Bynajmniej! Jest dla mnie za stara. Dlaczego, do diabła, ma to jakieś znaczenie?

Cadell wzruszył ramionami.

– Ma znaczenie, kiedy kochamy.

Sposób, w jaki to powiedział. Ned pomyślał o Ysabel, o tym, jak zeszłego wieczoru wyglądała w blasku księżyca. Starał się tego nie rozpamiętywać. A jeśli on był wstrząśnięty tą myślą, to jak się musi czuć ten Celt? I ten drugi?

Odchrząknął.

– Uwierz mi, że nam zależy. To ma znaczenie.

Spojrzenie Cadella wciąż było łagodne.

– Pewnie tak. Zeszłej nocy na drodze byłeś rozgniewany. Celowałeś w moje rogi?

Ned przełknął ślinę. Pamiętał wściekłość, białą falę.

– Nie wiedziałem, że potrafię to zrobić. Nie wiem, czy w cokolwiek celowałem.

– Chyba tak. Chyba już wiedziałeś coś ważnego.

– Co?

– Gdybyś mnie tam zabił – a mogłeś to zrobić – oni oboje by zniknęli. – Miał spokojną twarz. – Jeśli któryś z nas umrze, zanim ona dokona wyboru albo zanim stoczymy walkę, wszyscy znikniemy. Aż do następnego powrotu.

Ned poczuł nagle chłód. Gdyby ciął niżej, zabiłby Melanie.

– Nie wiedziałem tego.

– Chyba jednak wiedziałeś.

Na to naprawdę nie miał odpowiedzi. Ned przypomniał sobie coś.

– Myślę, że zanim jeszcze została wezwana, Phelan usiłował cię znaleźć, by stoczyć z tobą walkę – powiedział.

– Dlaczego miałby to robić? – Uniesione brwi. Pytanie wydawało się szczere. – Wtedy by nie przybyła.

– Może... może jest zmęczony? Tym ciągłym powtarzaniem się. Wtedy Cadell się uśmiechnął. Nie był to ciepły uśmiech.

– Jeśli tak, to dobrze. Z łatwością mogę mu tu zapewnić odpoczynek. – Ty nie jesteś tym zmęczony?

Mężczyzna znów odwrócił wzrok. – Taki jestem – odparł cicho. I dodał: – Widziałeś ją. Jak to możliwe, by jedno zdanie niosło taki ciężar?

Ned znów odchrząknął.

– Nie odpowiedziałeś na moje poprzednie pytanie. Nie możecie uwolnić Melanie i nadal ze sobą walczyć?

– Odpowiedziałem zeszłej nocy. Twoja kobieta przeszła między płomieniami podczas Beltaine, wezwana przez byka, przez jego śmierć. Teraz jest Ysabel. Tkwi w tym.

– I co się stanie?

– Znajdę ją. I zabiję jego.

– A potem?

– Potem ona i ja będziemy razem, a w odpowiednim czasie umrzemy. I pewnego dnia w przyszłości znów się to stanie.

– Bez końca?

Mężczyzna skinął głową. Wciąż się wpatrywał w wodę.

– Za pierwszym razem, kiedy podała mu ten puchar, rozbiła świat. Cokolwiek to znaczyło.

– Dlaczego... dlaczego tylko was troje? Dlaczego życie wciąż od nowa?

Cadell się zawahał.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ja nie myślę w ten sposób.

Jeśli chcesz się bawić w filozofa, to znajdź tego Rzymianina. – Mimo ostrych słów nie wydawał się rozgniewany. Po chwili dodał: – Nie powiedziałbym, że to tylko nas troje. Stanowimy tutejszą opowieść. Nie wyobrażam sobie, że nie ma kogoś takiego gdzie indziej, bez względu na to, jak się toczy ich opowieść. Przeszłość nie spoczywa spokojnie. Nie wiesz tego jeszcze?

Słońce zalewało ruiny jasnym blaskiem, dzień był pogodny i piękny, niósł ze sobą wszelkie rozwijające się obietnice wiosny. Ned pokręcił głową. Nawet nie potrafił tego pojąć. „Stanowimy tutejszą opowieść”.

Zobaczył w oddali, jak ojciec rozmawia ze strażnikiem. Greg odszedł od nich i patrzył w stronę Neda. Widział go, ale Cadella siedzącego pod ścianą na starożytnych, rozpadających się schodach już nie. Ned zmusił się do beztróskiego pomachania ręką. Nie chciał, żeby Greg tu przychodził.

Cadell znów patrzył na staw. Glanis, wodna bogini. Woda była ciemna, wyglądała niezdrowo. Celt splótł luźno duże dłonie. Kiedy się go oglądało z profilu, spokojnego i najwyraźniej odprężonego, nie wydawał się już tą poprzednią ekstrawagancką, gwałtowną postacią.

Spojrzał na Neda, jakby chciał zaszydzić z tej myśli.

– Raz go tu zabiłem, dwadzieścia kroków za tobą. Potem obciąłem mu toporem głowę i zatknąłem na tyczce. Zostawiłem przed jedną z ich świątyń.

Co można na to powiedzieć? Że podczas marcowej przerwy pokonało się Barry’ego Stanleya w ping-ponga cztery razy z rzędu? Nedowi znów zrobiło się niedobrze.

– Mówisz o Phelanie?

– Wtedy się tak nie nazywał. Ale tak, o tym Rzymianinie. O obcym.

Uklucie gniewu.

– Wciąż jest obcy po dwóch tysiącach pięciuset latach? Kiedy według ciebie ktoś jest tu na swoim miejscu?

Niebieskie oczy patrzyły teraz chłodno.

– On? Nigdy. Jesteśmy nowym spojrzeniem na tę opowieść, liczba powtórzeń niczego nie zmienia. Wybrała go, kiedy przybył morzem, i wszystko się zmieniło.

Ned nie spuszczał z niego wzroku.

– Naprawdę myślisz, że Grecy, Rzymianie nigdy by się nie osiedlili, gdyby ona...?

Cadell patrzył na niego.

– Nie ja jestem filozofem – powtórzył. – Porozmawiaj z nim albo z druidem. Ja wiem tylko tyle, że potrzebuję jej, jak powietrza i żeby ją mieć, muszę go zabić.

Ned milczał. Po chwili odetchnął głęboko.

– Widziałem nieco z tej zmiany – powiedział. – Po drugiej stronie. Rzeźby na tym łuku.

Cadell odwrócił się i splunął na schody poniżej.

– Nie męczysz cię to? – zapytał cicho Ned.

Cadell nagle wstał i uśmiechnął się blado.

– Potrzebuję snu, owszem. – Nie o to...

– Wiem, o co ci chodziło. Już to mówiłeś. Daj spokój. Nic nie rozumiesz i naprawdę może cię spotkać coś złego.

Nedowi waliło serce. Skrzyżował ręce na piersi.

– Chyba nie możemy. Dać spokoju. To znaczy zrezygnować z niej.

– Wszyscy z czegoś rezygnujemy. To się właśnie zdarza w życiu.

– Bez walki? A czy ty nie walczysz wciąż?

– To nie twoja opowieść. Wejście w nią jest zdecydowanie niemądre. Jestem pewien, że Rzymianin powiedziałby to samo.

– Nie był najpierw Grekiem?

Głupia odpowiedź, ale Ned nie miał ochoty się poddawać. Cadell wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy wychodzi na to samo. Sposób poznawania świata.

Podporządkowywania go.

„Nie ma jej tutaj”, powiedział.

To była najwyraźniej prawda. Przyszła pora, by odejść. Mieli jeszcze do pokonania sporą trasę. Neda chwyciły kurcze, ale nie chciał tego okazać. Twardy Kanadyjczyk. Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Po kilku krokach się obejrzał.

– Stąd jedziemy do Arles. Też tam zmierzasz? Podwieźć cię?

Zobaczył, że wprawił Celta w zakłopotanie. Znalazł w tym drobną przyjemność.

– Kim jesteś? – zapytał Cadell, patrząc w górę na Neda z wysłużonych, porośniętych mchem schodów. – Naprawdę.

– Sam się zaczynam zastanawiać. No to jak, podwieźć cię? Cadell pokręcił głową.

– Ach, tak. Polecisz i będziesz miał nadzieję, że nikt się nie dowie? Ryzykowne.

Sam ryzykował, mówiąc w ten sposób – Celt mógł go tu zabić. Cadell jednak się uśmiechnął, jakby uznając to słowne pchnięcie.

– Robimy to, co musimy robić – stwierdził. A potem dodał, jakby czytał Nedowi w myślach: – Bawisz mnie. Nie czuję potrzeby odebrania ci życia, ale może do tego dojść. – Przerwał, a potem powiedział coś jeszcze, innym tonem, w tym języku, którego Ned nie rozumiał. I zaraz dodał: – Daj temu spokój, chłopcze. Posłuchaj mnie, daję ci szczerą radę.

– Nie – odparł Ned.

Poszedł w stronę ojca, Grega i wciąż mówiącego strażnika. Po drodze pokazał ręką na szosę, stojącą za nią furgonetkę i rzymski łuk ze zniewolonymi na nim Celtami.

ROZDZIAŁ 13

Pojechali z powrotem na południe przez Dolinę Piekła.

Greg znów przejechał obok Les Baux i skręcił w prawo do Arles. Nikt nic nie mówił. Ned już im wszystko opowiedział, a potem zrobił to jeszcze raz, zadzwoniwszy do ciotki Kim.

Nikomui nie powiedział o tym, że Cadell nadział głowę rywala na tyczkę ani że groził Nedowi, jeśli ten się nie wycofa. Jaki to by miało sens? Czy zamierzał się wycofać? Polecieć do Montrealu i uczyć się do klasówki z matematyki? Melanie nie była jego miłością, ale nie trzeba być w kimś zakochanym, by o niego walczyć. Powinien to wtedy powiedzieć.

Ciotka Kim właśnie wyjaśniła – i powtórzyła to jego ojcu, kiedy Ned podał mu telefon – że naprawdę ważne jest to, że Cadell był w Glanum, bo to oznacza, że ich plan nie jest taki głupi. To właśnie mieli z tego wynieść. Jeśli ci dwaj mężczyźni – a przynajmniej jeden – sprawdzają te same miejsca, to oni są na dobrym tropie.

Owszem, dobry trop – i parę euro – mógł doprowadzić człowieka do *café au late*.

Tego też nie powiedział.

Ciotka zameldowała, że razem z Kate i Stevem już się przeszli po Nimes. Rzymska arena, rzymska świątynia, ciche śródmiejskie uliczki ze sklepami zamkniętymi w święto. Ciotka Kim nikogo nie wyczuła, mimo że Nimes najwyraźniej miało długotrwałe związki z magią i czarartoksięstwem.

Teraz jechali do Beziers. Ned już trochę wiedział o tym miejscu: „Zabijcie ich wszystkich. Bóg pozna swoich”.

Był zadowolony, że nie musi tam jechać. Raptem zadał sobie pytanie, czy zareagowałby na tę dawną masakrę tak samo, jak wtedy pod tamtą górą. Nie było to coś, co chciałby przeżyć jeszcze raz.

Greg wjechał na obwodnicę Arles.

Zatrzymał się na czerwonym świetle, a potem ruszył powoli, szukając miejsca do zaparkowania. Dochodziło południe. Przy wjeździe ruch był znikomy, ale wewnątrz obwodnicy urządzono pchli targ. Chodziły po nim setki ludzi.

Cudownie, pomyślał Ned. Będziemy sobie chodzić tam i z powrotem, unikając kieszonkowców, aż natkniemy się na Ysabel kupującą sandały albo krem do rąk.

Pokręcił głową. Zły tok myślenia. Cadell był w Glanum. Naprawdę postępują właściwie. Trzeba sobie to powtarzać.

Greg zatrzymał się, włączył migacz i znosił ryczący z tyłu klakson, aż upatrzone przez niego auto zwolniło miejsce przy krawężniku. Zaparkował furgonetkę na miejscu, które Ned ocenił jako dużo za małe. Wszyscy wysiedli. Po tej stronie ulica była ocieniona; pchli targ znajdował się na słońcu.

– Co teraz? – zapytał Greg.

Patrzył na Neda, a nie na jego ojca. Wciąż było w tym coś niepokojącego. Skąd Ned ma to wiedzieć?

Z drugiej strony, tak naprawdę kto miał cokolwiek wiedzieć, jeśli nie on?

Zerknął na ojca.

– Chyba się powałaszamy. Przejdziemy przez targ, a potem wrócimy do rzymskich wykopalisk?

– Będą zamknięte. Ale tak. Czy... coś wyczuwasz? – znów zapytał Edward Marriner.

Ile razy to mówił, na jego twarz wracał wyraz niepokoju. To powinno być śmieszne. Ned pokręcił głową.

– Nie, ale naprawdę nie jestem w tym dobry, a ci goście potrafią się osłaniać. Wierz mi, że jak tylko coś wykryję, to ci powiem.

– Tam mi nie powiedziałaś.

Łagodny ton, lecz brwi uniesione w sposób doskonale znany Nedowi. Pierwszy ojcowski komentarz tego dnia. W gruncie rzeczy Ned spodziewał się ich więcej. Sytuacja się zmieniła.

– Mówiłem ci, nic się nie działo, dopóki nie znaleźliśmy się na przeciwnych krańcach terenu. Nie mogłem go przecież poprosić, żeby zaczekał, aż sprowadzę tatę.

Spojrzał na drugą stronę ulicy.

Była hałaśliwa i pełna kłębiącego się, świątecznego tłumu. Ktoś sprzedawał z ciężarówki trójkąty pizzy i napoje bezalkoholowe, ktoś inny lody w rożkach. Były stoliki z przecenionymi butami i koszulami, stare płyty, książki, krzesła, laski, stoiki miodu, oliwa z oliwek, spódnice i kostiumy kąpielowe, przybory kuchenne, ceramika. Bardzo wysoki i niemal czarny mężczyzna w jaskrawoczerwonej afrykańskiej szacie sprzedawał zegarki po pięć euro. Ktoś inny miał narzędzia rolnicze: łopaty, motyki, grabie, taczki. Ned zobaczył uśmiechniętego chłopaka w jego wieku, który trzymał zardzewiałą starą szablę.

Dlaczego nie miałyby się śmiać w wiosenny dzień?

– Dobra, pododdziały! Jakiego rodzaju kobiety szukamy? – zapytał Greg. Udał, że wyciąga notes, jakby był policjantem z patrolu pieszego na obchodzie. – Opis sprawczyń?

Ned też na to czekał i nieco się tego bał. Jak opisać Ysabel? Czy to w ogóle możliwe?

Wzruszył ramionami.

– Tak się nie uda. Nie zobaczysz jej tak po prostu. Ale jest... wysoka, ma rude włosy, chyba, kasztanowe? Ale można je przykryć, tak? Wygląda młodo, ale nie... naprawdę młodo, jeśli wiecie, o co mi chodzi?

– To bardzo pomocne, obywatelu – stwierdził cierpko Greg. – Czy jest przynajmniej ładna?

Ned spojrział na niego, a potem na tatę. Przypominał sobie.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo – powiedział.

Przeszedł przez ulicę na słoneczną stronę, wymijając samochody, a ojciec i Greg ruszyli za nim.

Noc spędziła na cmentarzu.

Kiedy wiatr się wzmógł i zrobiło się zimno, owinęła się ukradzionym szalem i poszła do znajomego rodzinnego grobowca. Ciało już dawno nie było: trumny zostały rozbite i splądrowane w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów, które mogły zostać pochowane ze zmarłymi. Lecz stary żelazny klucz nadal był ukryty tam, gdzie leżał przez te wszystkie stulecia.

Za każdym razem, kiedy tu przychodziła, spodziewała się, że już go tu nie będzie – że został znaleziony albo zaginął. Ale za każdym razem tkwił pod tym kamieniem.

Głaz był ciężki, ale wiedziała, jak go podważyć. Okazało się, że dziurka od klucza zardzewiała. Nie mogła przekreślić klucza. Stała na dworze, pod gwiazdami, i zmusiła się do zaakceptowania kolejnej zmiany związanej z przemijaniem czasu. Tak czy inaczej, zdarza się to przy każdym powrocie.

Sama rozkazała zbudować ten grobowiec dla pewnej damy dworu; w miarę przemijania pokoleń rodzina dziewczyny nabrała znaczenia i rozbudowała kryptę.

Widziała to, podejmując kolejne życia.

Takie zmiany zachodzące z biegiem lat już jej tak bardzo nie niepokoją, chociaż kiedyś tak było. Teraz już poznała ich zbyt wiele. Z innymi sprawami mogło być jej trudno sobie poradzić – z oczyma jednego mężczyzny, głosem drugiego, wspomnieniami dotyczącymi obydwu – lecz nie ze zmianami w świecie.

Kiedy opuściła nocą płaskowyż, miała drobny problem z pieniędzmi. Skarb zniknął; miasto rozrosło się na północ i zagarnęło las, gdzie go zakopała przed siedemdziesięciu laty.

Poza tym zmieniła się waluta. Nawet gdyby znalazła swój skarb, nie miałoby to znaczenia. W tym roku za franki nie kupiłaby ani jedzenia, ani usług taksówkarza. Euro. Pozwoliła sobie na rozbawienie. Zawsze było coś nowego.

Produkowano coraz szybsze samochody i było ich więcej niż kiedyś. Panowała też większa jasność po zapadnięciu nocy. Wyglądało na to, że teraz telefony poruszają się wraz z człowiekiem, do niczego niepodłączone. Mężczyźni i kobiety chodzili po ulicach, rozmawiając z ożywieniem z kimś, kogo wcale nie było.

Lecz w kolorowym, zatłoczonym mieście kobiety beztrąsko zostawiały torebki przewieszane przez oparcia krzesel w kawiarniach pod platanami (te same drzewa, te same niektóre kawiarnie) albo kiedy w wiosenny wieczór wchodziły do środka, by poprawić makijaż, zostawiały na krzesłach szale.

Nie śpieszyła się, chodząc tam i z powrotem szeroką, znaną jej ulicą i w jednej kawiarni ze stolikami na chodniku przy pomniku króla René wybrała torebkę, a przed inną, w połowie ulicy, zielony szal. Zielony nie zawsze był jej ulubionym kolorem, ale wydawało się, że tym razem jest.

Pojechała ostatnim autobusem do Arles i poszła na cmentarz.

Bardzo wcześnie rano, ledwie wstał świt, kupiła na dopiero otwartym targu ulicznym spódnicę i bluzkę, po czym wróciła na cmentarz. Zastanawiała się przedtem, czy któryś z dwóch mężczyzn mógłby wybrać to miejsce na pierwszy cel poszukiwań, ale nie mogliby do niego dotrzeć przed wschodem słońca – chyba żeby Cadell przyleciał, a powiedziała mu, że nie może tego robić.

Nie posłucha (zdziwiłaby się, gdyby było inaczej), ale nie będzie chciał zbyt bezczelnie łamać zasad tego nowego wyzwania, które im rzuciła. Bałby się jej reakcji. I słusznie.

Zna ich obu bardzo dobrze. Oczy jednego, głos drugiego.

Chyba nie ma tu żadnego z nich. Ona oczywiście się osłania. Będą musieli ją znaleźć, a nie tylko wyczuć, dokąd się udała. Obaj już tu bywali przy różnych okazjach (pamięta, że jeden się z nią wtedy kochał), ale żaden, chociaż z różnych powodów, nie lubi tego cmentarza.

Niemal zawsze mają różne powody. O to w tym wszystkim chodzi. Ona znajduje w tym miejscu spokój. Nie żyje dla spokoju, lecz są chwile, szczególnie zaraz po powrocie, kiedy godzi się z kolejną obecnością w świecie.

Z drugiej strony nie przejmuję się możliwością, że jeden z nich mógłby się domyślić i natychmiast tu przybyć, zobaczyć wyłamany zamek zewnętrznej bramy i znaleźć ją odpoczywającą na kamiennej ławce pod drzwiami kościoła, za najstarszymi grobami. Zdobyć ją tego pogodnego poranka. Od razu.

Ekscytuje się wyobrażaniem sobie tego. Potrafi zobaczyć każdego z nich w tej roli. Jeszcze się nie zdecydowała, którego pragnie tym razem. Pragnie obu, niemal zawsze. Wybór nigdy nie jest dla niej prosty, bez względu na to, czyją ma w sobie duszę. Jak mógłby być prosty po tylu latach? Czasami nie chce wybierać; mężczyźni walczą, jeden ginie, drugi przychodzi do niej. Dotyka dłonią jego twarzy. Inny rodzaj wyboru.

Nie chodzi jednak o to, że chce pozostać nieodnaleziona. Kiedy ich ujrzała w blasku księżycy w Entremont, wszystko do niej wróciło, jak zawsze. Łącznie z tym pierwszym razem, z tą definiującą nocą, kiedy stali się opowieścią tego świata. Tej części świata.

Prawdę mówiąc, jest także podekscytowana tą nową grą. Wciąż się uczy, kim jest tym razem, w jaki sposób się różni. Przez całą noc prowadziła wewnętrzne próby, określając samą siebie. Jest kimś, kogo pociąga zielony szal.

Za każdym razem, kiedy jest wezwana, zamieszkująca ją dusza nieco ją zmienia, każe jej się inaczej zachowywać, dlatego jej pożądanie, jej potrzeba może się – na przestrzeni ponad dwóch tysięcy lat – zmieniać.

Oni są niezmienni. Za każdym razem wracają tacy, jacy zawsze byli – wspaniali. Nie ma na świecie nikogo podobnego do tych dwóch mężczyzn. Jakże mogłoby być inaczej? Skoro mieli całe wieki, by nabrać większej głębi, nauczyć się więcej, stać się kimś większym? Jaki mężczyzna, żyjący siedemdziesiąt zbyt szybkich lat, może się równać z tymi dwoma?

W głębi swej istoty są zawsze tym, kim są, ale też za każdym razem mają w sobie coś więcej. Przynoszą jej coś nowego. Nauka zmiany postaci i latania zajęła Cadellowi niemal tysiąc pięćset lat. Czy ta opowieść jest błogosławiona, czy przeklęta? Nigdy nie umiała na to odpowiedzieć. Czy ma to znaczenie? Czy decyzja może cokolwiek zmienić?

Czy w jakikolwiek sposób może zmienić fakt, że dawno temu wyszła pewnej nocy z cieni na skraju wioski w splatający się blask ognia i dym, w jasność i mrok, z rozpuszczonymi włosami – na oczach całego plemienia – niosąc złoty puchar dla mężczyzny, którego wybrała na męża, i że obeszła krąg zebranych tam mężczyzn i zobaczyła tych dwóch obcych? Właściwie jednego obcego, jego oczy.

A zobaczywszy go, zrobiła to, co zrobiła. Taki drobiazg. Puchar wody ze stawu podany mężczyźnie. Gościowi na ucztę ojca. Obcemu, który przybył morzem.

Poranne słońce jest już wyżej na niebie. W świecie panuje wiosna, pogodna i łagodna. Wzdłuż cmentarnych ścieżek, którymi wraca do wyjścia, rosną kwiaty, dęby zdobią bladozielone liście, drzewa oliwne – srebrzystoszare.

Kiedy zaczęła się ta opowieść, drzewa oliwne tu nie rosły. Sprowadzili je później, zza morza, obcy. To jedna z rzeczy, które sprowadzili. Drzewa oliwne, wino. Pismo. Proste, szerokie drogi. W końcu, chociaż dość szybko, podbój i ujarzmienie.

Wiosna. Kiedy wraca, zawsze jest wiosna. Beltaine, ognie, krew byka. Chowa bezużyteczny klucz, zaszuwa głąz. Wie, że mogłaby już wyrzucić ten klucz, ale nie chce tego robić. Mijając grobowiec, odczuwa nikły smutek. Dziewczyna, która umarła zbyt młodo.

Idzie cichą, cienistą ścieżką do bramy. Nikogo tam nie ma, szosą przejeżdżają samochody. Sprawdzą, czy nikogo nie ma w pobliżu, wymyka się i zaszuwa rygiel.

Znów wypuszcza się w świat.

W blasku dnia ukrywa włosy pod zielonym jak las szalem. Mogłaby je w nocy obciąć, ale nie lubi tego robić. Kiedyś zostały ucięte toporem, kiedy palono ją jako czarownicę. Takie rzeczy zdarzały się w latach zarazy, kiedy światem rządziło przerażenie. Ma wystarczająco wiele takich wspomnień.

Teraz potrzebuje taksówki. Znajduje postój z jednym samochodem. Kiedy jednak pyta, wygląda na to, że chce jechać za daleko, że nie ma sumy, za którą kierowca zechce poświęcić swój czas. Początkowo jest to irytujące, a potem zabawne. Kobieta wybucha śmiechem, stojąc w słonecznym blasku przy opuszczonej szybie.

Wtedy kierowca zmienia zdanie i zgadza się zawieźć ją tam, gdzie sobie życzy.

Później, podczas długiej samotnej jazdy powrotnej do Arles, nie będzie umiał powiedzieć, dlaczego to zrobił – ryzykując nielegalny wypad poza strefę swojego zezwolenia, marnując poranek i pół baku paliwa za pieniądze za kurs w jedną stronę po obniżonej cenie – i nawet nie porozmawiał z tą kobietą. Tylko zerkał na nią w lusterku wstecznym, a ona patrzyła przez okno na przepływającą za szybą Prowansję.

Nie wie, dlaczego zmienił zdanie. Ale będzie mu się długo śniła. W gruncie rzeczy przez resztę życia.

Chodzili po Arles dwie godziny. Przemierzali targ uliczny i teren wokół areny, a potem obeszlili ją jeszcze raz i stanęli przed zamkniętym wejściem wśród zirytowanych turystów,

którzy w swoich planach podróży nie wzięli pod uwagę święta. Greg pociągnął optymistycznie i bezskutecznie za kilka furtek.

Wyszli z teatru. Ned przypomniał sobie, jak przed dwoma dniami rozmawiał tu z Melanie. Trudno mu było nosić ze sobą takie obrazy, znów stanąć w tym miejscu. Patrzył na trawę, gdzie siedziała. Przez moment miał wrażenie, jakby Melanie zmarła. Przeraziło go to.

Nic nie powiedział.

Poszli do pozostałości po rzymskim forum na placu w centrum. Wszystko było zamknięte. Panował spokój. Ojciec i Greg co chwila zerkali wyczekująco na Neda, jakby czekali, że nad głową zapali mu się żarówka albo coś takiego. Mogło się to stać nieznośne, lecz Ned starał się o tym nie myśleć. Co innego mogli robić?

Nie wyczuwał już Cadella ani Phelana, ani kobiety wyglądającej jak bogini o kasztanowych włosach.

Lunch zjedli w jedynej otwartej kawiarni w pobliżu resztek kolumn z forum. Rzymskie kolumny zostały wmurowane w fasadę dziewiętnastowiecznego budynku i po niemal dwóch tysiącach lat pełniły dziwną rolę architektonicznych podpór. Ned uznał, że mówi to coś o rzymskich architektach. Albo może o dziewiętnastowiecznych. Resztę forum mieli pod nogami, ukrytą pod ziemią, tak jak w Aix wokół katedry.

Najwyraźniej ich kawiarnię namalował van Gogh. Nedowi wydawało się, że widział gdzieś reprodukcję tego obrazu. Ojciec uparł się, żeby zjedli porządny lunch, ale jedzenie było bez smaku. Menu dla turystów.

Zadzwonili do ciotki Kim. Jej grupa znajdowała się teraz w Beziers. Nic. Niedługo mieli stamtąd wyjechać. Zamierzali się zatrzymać w Roqueperruse, przy celtyckich wykopaliskach jak w Entremont – tam też znaleziono czaszki – a potem wrócić do domu.

Ojciec Neda zapłacił rachunek.

– Co tu jeszcze zostało? – zapytał Greg.

On też wyglądał na zmęczonego.

– Mogłaby nam o tym powiedzieć Melanie – rzekł z westchnieniem Edward Marriner. – Ja bym powiedział, że wszystko i nic, jeśli mnie rozumiesz. Chyba możemy jechać.

– Cmentarz – odezwał się nagle Ned. – Ten, o którym mówił nam Oliver.

Ojciec spojrzał na niego.

Gdyby na początku tygodnia nie jedli lunchu z Oliverem Lee, nie poszliby do Les Alyscamps. Albo gdyby byli na tym lunchu, a Lee nie wspomniałby o starym cmentarzu i jego długiej historii.

Ned przekonał się, że jeśli za dużo myśli o takich sprawach, o przypadkowości tego wszystkiego, to jego myśli zaczynają krążyć niepokojącymi ścieżkami. Na przykład, co by się stało, gdyby po nudnościach pod górą postanowił zostać w willi, jak mu mówiono? Gdyby nie spotkał się tamtego popołudnia z Kate w kawiarni albo potem z Phelanem? Gdyby Kate nie wspomniała przy nim o Entremont?

Cóż, nie mogłaby wspomnieć, gdyby go tam nie było, prawda?

A co by było, gdyby tego pierwszego ranka poszedł do sklepu muzycznego, zamiast pomyśleć, że byłoby dość zabawnie – mógłby wysłać żartobliwego mejla do Larryego Cato – posłuchać „Houses of the Holy” w katedrze?

Czy można z tego ułożyć jakiś wzór? Wyczytać z pozornej przypadkowości jakieś znaczenie? Zastanawiał się, czy o to chodzi w życiu: o próby ułożenia tego wzoru, o nadanie wydarzeniom sensu?

A tak w ogóle to jak można nadać sens zamianie człowieka w sowę? Nazwać to efektem komputerowym i podziękować George’owi Lucasowi?

Do cmentarza Les Alyscamps był spory kawałek piechotą z centrum miasta wzdłuż obwodnicy. Kiedy tam dotarli, był pusty i zamknięty, jak wszystkie inne atrakcje turystyczne tego dnia.

Ned położył rękę na kracie i zajrzał do środka. Przełknął ślinę.

– Była tu – powiedział.

Wiedział, że jego głos brzmi dziwnie.

– Z tego, co wiem, wciąż może tu być.

Tata i Greg wpatrywali się w niego. Znów to spojrzenie. Zadał sobie pytanie, czy można się do tego przyzwyczaić?

Uczucie, którego zaznał, nie było takie jak poprzednio. Nie takie jak wtedy pod górą, nie takie jak rano w dolinie. Tutaj miał wrażenie, jakby w powietrzu unosił się zapach. Kwiaty... i coś więcej. Albo mniej. Ulotne wspomnienie. Coś niepokojącego, co mogło sięgnąć w głąb człowieka, zmienić rytm bicia jego serca, kiedy tak stał przy żelaznej bramie.

Wiedział, że tak naprawdę niczego wokół nich nie ma; gdyby było, pozostali by to zauważyli. Wiedział jednak także to, co wiedział, chociaż mogło to brzmieć idiotycznie, i unosił się tu ślad obecności Ysabel, niepokojący i ekscytujący. Znów przełknął ślinę; miał sucho w ustach. Żałował, że nie mają ze sobą butelki wody.

– Brama jest zamknięta na kłódkę – stwierdził Greg, szarpiąc za skobel. – Moglibyśmy spróbować przejść...?

Żelazna brama była dużo wyższa od nich, a po obu jej stronach ciągnęło się wzdłuż ulicy ogrodzenie tej samej wysokości.

– Moglibyście mnie podsadzić? – zapytał Ned, patrząc w górę.

– Nie pójdziesz tam sam – rzekł stanowczo ojciec. – Nawet o tym nie myśl.

Widzieli przez kraty drzewa i długą, szeroką aleję, rozszczepioną na pasma światła i cienia. Na jej końcu stał kościół. Kasa biletowa po lewej była zamknięta na głucho. Ned zauważył większe i mniejsze drzewa, kamienne ławki, leżące tu i ówdzie jakby porzucone szare kamienne trumny. Założył, że są puste. Miał nadzieję, że są puste. Wokół panowała cisza.

Wyteżał wzrok przez kraty, jakby w ten sposób mógł ją tam przywołać do życia. Wyobraził sobie, jak idzie ku niemu tą chłodną aleją światła i cienia między drzewami i grobami.

– Stańcie za mną – odezwał się nagle ojciec Neda. – Obserwujcie drogę. Obejrzę ten zamek. – I po chwili, kiedy wykonali jego polecenie, dodał: – To łatwe. Robiono to już wcześniej, widzę rysy.

– Jezu. Potrafisz otwierać zamki? – zapytał Ned.

Obserwował drogę, ale zerknął przez ramię, szeroko otwierając oczy. Jego tata wyjął szwajcarski wojskowy scyzoryk.

– Nie masz pojęcia, co potrafi twój stary – mruknął Edward Marriner, otwierając ostrze. – I dobrze.

– Nie zamierzam tego nawet dotknąć – powiedział Greg.

Ned widział, że też jest zaskoczony i zdenerwowany. Włamywali się do dużego obiektu turystycznego w biały dzień.

A kiedy dzień nie jest biały? – zadał sobie nagle pytanie Ned. Co sprawia, że jest biały? Czy łatwiej jest się włamać w szary dzień? Gdyby powiedział o tym Kate, mogłaby się roześmiać. A może nie.

Zastanawiał się, czy mer Aix jest w tej chwili w środku swego popołudniowego przyjęcia. Czy odebrałaby telefon, gdyby jej potrzebowali? Obok nich przemknął citroen i skręcił na lewo w stronę miasta. Słońce stało wysoko. Wiał silny wiatr; kilka białych chmur przesunęło się szybko na południe. Ned usłyszał za plecami zgrzytanie metalu.

– Udało się – oznajmił z zadowoleniem Edward Marriner. – Do środka, obaj, zamknę za nami.

– Chwila! – powiedział Greg. Zaczekali, aż przejadą dwa samochody. – W porządku. Droga wolna. Rany, dlaczego się czuję jak James Bond?

Wśliznęli się przez bramę. Ojciec przeszedł ostatni, zamknął skrzydło i krótką chwilę majstrował przez kratę przy kłódce, żeby znów wyglądała jak zamknięta.

– Chodźmy! – powiedział. – Odejdźmy od drogi.

Minęli kamienną trumnę i kasę biletową. W cieniu było chłodniej. Po prawej stał większy pomnik. Po lewej Ned zauważył zamknięty grobowiec z ciężką, żelazną kratą. Za nią prowadziły w dół schody.

Między nimi i kościołem, w plamie słońca, znajdował się zagłębiony teren wykopalisk, odgradzony linami.

– To najstarsze groby – stwierdził ojciec Neda.

– Byłeś tutaj? – zapytał go syn.

Edward Marriner się skrzywił.

– Nie. Mówiłem ci, że czytałem notatki Melanie.

Oczywiście. Można się było niemal roześmiać, tyle że Melanie zniknęła – A potem już nie można się było roześmiać, bo usłyszało się za sobą dźwięk, w zamkniętym miejscu, w którym znajdowali się tylko oni, i się odwróciło, myśląc, że to może strażnik, i wtedy już naprawdę nie miało się ochoty na śmiech.

– Powiedziałem, żebyście dali temu spokój – rozległ się zimny głos.

Od zimna można dostać dreszczy. To nie był strażnik. To był druid; stał między nimi i bramą prowadzącą do świata, w którym samochody zbyt szybko brały zakręty albo trąbiły, jeśli się zwalniało, by zaparkować.

Brys, który zeszedł nocy o mały włos nie zabił Grega, wciąż miał na sobie białą szatę. Ned nie wiedział, skąd się tutaj wziął, gdzie się ukrywał, kiedy wchodzili na cmentarz.

Albo gdzie były wilki, które teraz podeszły cicho i stanęły za nim, siedem wilków. Usiadły i patrzyły.

Cisza nie wydawała się już spokojna. Ned spojrzał na ojca. Edward Marriner pogładził w zamyśleniu wąsy.

– Nie wiem dlaczego – powiedział spokojnie – ale odczuwam niejaką ulgę, widząc, że jednak istniejesz. Sądzę, że tego nie zrozumiesz.

Druid milczał.

– Ja natomiast rozumiem – ciągnął swobodnym tonem ojciec Neda – że dysponujesz mocami, które możesz wykorzystać do zrobienia nam krzywdy. Wykorzystałeś je zeszłej nocy wobec tego oto naszego przyjaciela.

Moce? – pomyślał Ned. Uważaj, tato! Popatrz na te zwierzęta z zębami. On nie potrzebuje żadnych mocy.

Tydzień temu, może wcześniej, przygotowywał z Barrym Stanleyem idiotyczny referat na temat płyt tektonicznych.

Nie wiedział, co ojciec usiłuje osiągnąć. Może grał na zwłokę, ale Ned nie miał pojęcia po co. Czy mogli wezwać piechotę morską? Jaką piechotę morską?

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, z jasnością, od której niemal się pod nim kolana, że mogą zginąć na tym cmentarzu wśród ograbionych grobów.

– Jego? – Druid spojrział na Grega. – Cadell uratował mu życie. Boi się przyciągać uwagę, włączać w to ludzi.

– A ty nie? – zapytał Edward Marriner, wciąż swoim najbardziej swobodnym tonem.

– Nie mam czasu zważać na takie rzeczy. Kiedy wracam, mam bardzo mało czasu. Miałbym się bać pojedynczej śmierci? Zdajesz sobie sprawę, ilu już zginęło ludzi?

– Przez ten cały czas? Zaczynam je mieć. Jesteś z tego dumny?

Drobna, siwowłosa postać uniosła głowę.

– Duma nie ma tu nic do rzeczy. On się nie liczy. Ty też nie. Nie masz znaczenia.

– A co je ma?

Ned zobaczył, że Greg włożył rękę do kieszeni. I w końcu zrozumiał, po co ta gra na zwłokę – oraz jak jest bezcelowa. Greg wybiera automatycznie numer ciotki Kim, która jest o jakieś dwie godziny drogi stąd. A może dzwoni do pani mer Aix, która wyprawia lunch. Albo pod 911 czy jego francuski odpowiednik.

James Bond miałby wbudowaną w telefon bombę.

Druid patrzył na ojca Neda, jakby próbował znaleźć odpowiedź. Ned pomyślał, że przez cały czas druid bierze w tym udział, przynajmniej częściowo. To on kształtuje wezwanie.

Może nie chce brać częściowego udziału.

– Ona musi przypaść Cadellowi – rzekł druid, niemal recytując te słowa. – Obcego trzeba zabić. Złożyć w ofierze. Musi przestać istnieć. Są na to sposoby, choćby w tej chwili. – Jeden z wilków wstał, przeszedł kilka kroków i znów usiadł. – A potem oboje, mężczyzna i kobieta, muszą zrozumieć, że to nie tylko ich opowieść.

– A zatem czyja? – zapytał Edward Marriner.

Greg przestał gmerać w kieszeni. Ned pomyślał – nie miał pewności – że usłyszał dobiegający z komórki odległy głos. Ciotka Kim? Greg przysunął się do ojca Neda. Teraz obaj znajdowali się przed nim. Nie sądził, by to był przypadek. Telefon na pewno miał włączony głośnik, żeby osoba, do której zadzwonił Greg, mogła to słyszeć. Może.

Jeśli to miało znaczenie.

Może ma, pomyślał nagle. Jeśli tu zginą, pozostali będą przynajmniej wiedzieli dlaczego. A w jaki inny sposób mogliby się tego dowiedzieć. Trzęsły mu się ręce. Zobaczył, że Greg mówi coś cicho. Ojciec Neda kiwnął głową.

– Niegdyś istniał tu świat – powiedział druid. – Sposób poznania świata. Został nam wydarty i można go odzyskać.

Ned zobaczył, że ojciec wyprostowuje ramiona. Znany synowi gestem skrzyżował ręce na piersi.

– O to chodzi? Tak to postrzegasz? Chcesz cofnąć dwa tysiące lat kultury greckiej i rzymskiej? Czy ty mówisz poważnie?

Edward Marriner nie mówił już swobodnym, gawędziarskim tonem. Można by powiedzieć, że teraz jego głos jest równie chłodny, jak głos druida.

Brys się zawahał. Może nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie spodziewał się jej na pewno Ned i wciąż jeszcze nie rozumiał, o co chodzi. Usiłował nadażyć za ojcem, zrozumieć, o czym się tu mówi.

– Byliby niemal nieśmiertelni – rzekł druid. – Gdyby ta opowieść się zakończyła śmiercią, byliby potężniejsi, niż potrafisz sobie wyobrazić. I gdyby zrozumieli swoje zadanie, naszą potrzebę. Pytasz, czy mówię poważnie. To pytanie głupca. Świat może się zmienić. Zawsze się zmienia.

Edward Marriner odpowiedział szybko, z pogardą:

– Głupca? Chyba nie. Słyszę, co mówisz. Ty tylko chcesz zadecydować, jak się zmieni świat. Nie jesteś odrobinę zbyt arogancki?

Druid zacisnął usta.

– Wierz mi, znam zmiany wprowadzane przez innych. Przeżyłem je.

Przeżył je cały mój lud. Raczej ich nie zapomnę. Arogancki, powiadasz? A Rzymianie tacy nie byli?

Ojciec Neda odwrócił wzrok. Ned pomyślał, że to trudne pytanie. Pamiętał widziany rano łuk: Rzymianie na koniach, dzierżący miecze, Galowie umierający, martwi albo w łańcuchach, z pochylonymi albo odwróconymi głowami. Pomyślał o rozwalonych murach w Entremont, o machinach oblężniczych. Albo o olbrzymiej arenie leżącej tak niedaleko stąd, w odległości dwudziestu minut drogi prowadzącej przez dwa tysiące lat potęgi.

– Rzymianie? – powtórzył ciszej Edward Marriner. – Oni byli samą arogancją i podbojami. Lecz mimo to twoja arogancja jest większa: chcesz cofnąć dwa tysiąclecia. Uważasz, że powinno się je cofnąć, bez względu na koszt.

– Koszta? Odmierzasz je? To rzymska myśl.

Edward Marriner wybuchnął śmiechem; w tym cichym miejscu zabrzmiało to zaskakująco.

– Może. Czy to dlatego mogli was zniszczyć? Bo działali w ten sposób? Rozważali koszta i zyski? Myśleli o różnych sprawach?

Ned uznał, że ojciec zadaje mnóstwo pytań. Był prawie pewien, że słusznie się domyślał – jego tata gra na zwłokę. Czy to właśnie powiedziała ciotka Kim Gregowi? Żeby zwlekał? Po co? Myślał intensywnie: może Kate właśnie dzwoni ze swojego telefonu. Może dzwoni pod 911 czy coś takiego w Arles.

Coś mu przyszło do głowy.

Postąpił krok do przodu i powiedział głośno:

– Dość już tego! Co jest? Myślicie, że, będąc na cmentarzu, możecie tak po prostu dodać do kolekcji kilka ciał? O to wam chodzi?

Greg obejrzał się szybko przez ramię na Neda; miał wstrząśniętą minę.

Miałem rację, pomyślał Ned. Nie wiedzieliby, gdzie jesteśmy! Czy piechota morska, czy kawaleria, nie wiedziałyby, dokąd się udać.

Druid też na niego spojrzał; miał ponurą minę.

– Uważaj – powiedział i spojrzał z powrotem na ojca Neda. – Sprawę musimy załatwić tylko z tym małym. On jest ważny, ale jeszcze nie wiem dlaczego. Ty i ten drugi mnie nie obchodzą. Pozwolę wam odejść.

– Pozwolisz? Ten mały jest moim synem.

– Dzieci umierają. Cały czas. Masz inne?

– Nie.

– Zła decyzja.

– Pieprz się – powiedział Edward Marriner i dorzucił jeszcze ostrzejszą wiązanę.

Wyglądało na to, że gra na zwłokę się skończyła.

Greg przysunął się do ojca Neda. Znów znajdowali się przed nim. Druid się nie poruszył, lecz wilki wstały.

Czas na przedstawienie, pomyślał Ned.

Trzy wilki zaczęły zataczać szeroki krąg, pozostałe ruszyły powoli do przodu.

Na spotkaniu z ciotką przy wieży chwycił gałąź. Tutaj na czysto zamiecionej ziemi nie leżały żadne gałęzie. I wtedy nie było aż siedmiu zwierząt. Przypomniał sobie ostatnią noc na drodze, kiedy machnięciem ręki ściął rogi Cadella. Nie pamiętał, jak to zrobił, tylko

wściekłość, która pokierowała jego dłoń. Spróbował teraz odnaleźć w sobie tę wściekłość
Ukląkł i zgarnął trochę żwiru.

– Chronź twarz – powiedział cicho Greg. – Jeśli zdołasz, uderz w szyję. Kopnij w brzuch.
Potem przebiegnij obok tego gościa. Brama nie jest zamknięta, pamiętaj. Wyjdź na drogę...

„Uderz w szyję”.

Wilka. Naprawdę dobry plan.

– Powtarzam – wychrypiał Brys. – Tylko jeden z was ma znaczenie, pozostali dwaj
mogą odejść.

– Słyszałeś, co on powiedział – rzekł spokojnie Greg. – Pieprz się.

Gregory naprawdę był gotów zginąć w obronie Neda, w próbie odzyskania Melanie,
i Ned uświadomił sobie, że właściwie nie wie o nim nic ważnego. Był to dowcipkujący,
krzepki, brodaty gość, który nosił idiotyczne kąpielówki i kpił z własnej tuszy, skacząc
z rozpędu do basenu.

„Ned jest moim nowym bohaterem”, powiedział kiedyś, ponieważ Ned umawiał się
z dziewczyną na kawę. To ci dopiero bohater.

– Ona tu była – odezwał się raptem Ned. – Wiesz o tym?

Druid cofnął się o pół kroku. Wyrzucił z siebie kilka szybkich słów niczym kamyki;
wilki się zatrzymały.

– Wyjaśnij! – rzekł Brys. – Natychmiast.

Ned stanął obok ojca. Chcieli mieć go za sobą; nie zamierzał na to pozwolić.

– Plecami do siebie – mruknął. – Kiedy zaatakują.

Tak robi się na filmach, prawda?

Zmusił się do spokoju, nawet się uśmiechnął. Chodziło tylko o czas. Nieprawdopodobne,
ale pomyślał o Larrym Cato: to był zawodowy, upierdliwy mąciwoda. Czasami taka postawa
może się okazać użyteczna.

– Lubisz rozkazywać, co? – powiedział. – Szczególnie, kiedy nie ma w pobliżu Cadella.
Co by się stało, gdyby tu był? Mam się domyślić?

Druid otworzył i zamknął usta.

– Może to samo, co zeszłej nocy? Wścieka się. Odsyła cię do łóżka bez kolacji. Tak?
Który z tych grobów jest twój?

Stał teraz blisko Grega i głośno mówił. Możliwe, że ciotka Kim nie wychwyciła za
pierwszym razem wskazówki, gdzie się znajdują.

– Gdzie ona jest? – pytał uparcie druid, nie zwracając uwagi na szyderstwa.

– Kolejne pytanie! – powiedział Ned. – Dlaczego spodziewasz się ode mnie odpowiedzi? Czy mam ci zrobić to, co zeszłej nocy zrobiłem jemu?

Żadną miarą nie umiałby tego powtórzyć, ale może oni tego nie wiedzą.

– Wyhoduj sobie rogi, staną się moim celem. Albo posłuż się wilkami, Jeśli wolisz.

– Nie możesz ich zabić, zanim...

– Jesteś pewien? Naprawdę pewien? Nie masz pojęcia, kim jestem. – To przynajmniej miało sens, ponieważ Ned też tego nie wiedział. – Powiedz mi coś innego: jeśli planujesz mnie tu zgładzić, to dlaczego miałbym podać ci jakiegokolwiek informacje? Co z tego będę miał?

Druid milczał.

– Chcę powiedzieć, że naprawdę źle sobie radzisz, facet. Powinieneś zaproponować coś, co byłoby warte...

– Jeśli zależy ci na życiu ojca, powiesz mi, co wiesz. Inaczej on zginie.

Słowa były stanowcze, bezkompromisowe, twarde.

Może jednak ten gość nie radzi sobie tak źle, pomyślał Ned.

– Powiedziałem, że oni mogą odejść – ciągnął Brys. – Mogę jednak zmienić zdanie. Jeśli wiesz, że tu była, wiesz, dokąd poszła.

– Głupi jesteś? – powiedział Ned. – Czy byłbym tu, gdybym wiedział, gdzie ona jest?

To też była prawda, ale mogła nie wystarczyć, by uratować im życie. Czy druidzi słuchają logiki? Żałował, że nie jest religijny, bo mógłby się do kogoś albo do czegoś pomodlić. Grał na zwłokę najlepiej, jak umiał, i nie miał pojęcia, jaki może się pojawić ratunek. Nie sądził, by znudzony żandarm przybyły pod bramę powstrzymał...

Spojrzał na tę bramę. Inni też to zrobili, nawet Brys, ponieważ dobiegł stamtąd jakiś dźwięk. Po chwili się powtórzył. Coś wylądowało na cienistej ścieżce.

A potem, co było zupełnie nieprawdopodobne, zobaczyli, jak naprawdę potężnie zbudowany mężczyzna rozpędza się od krawędzi drogi, wspina na kratę, a potem – musiało to wymagać nadzwyczajnej siły – akrobatycznym ruchem przerzuca ciało nad ostrymi szpikulcami na szczycie bramy.

Ned zobaczył go w powietrzu; wyglądał jak zawodowy gimnastyk. Co prawda nie wylądował gładko, upadł bowiem na kolano (odliczone punkty, pomyślał Ned). Wyprostował się i wstał. Miał na sobie wyblakłe niebieskie dżinsy, czarną koszulę i beżową kamizelkę z licznymi kieszeniami, a jego gęsta broda była prawie tak siwa, jak włosy.

– Cholera! – powiedział głośno, pochylając się, by podnieść kij. – Jestem na to o wiele za stary.

Znajdował się w pewnej odległości, lecz słyszeli go dobrze. Zbliżając się, zaczął wypowiadać rozkazującym tonem słowa w tym języku, którego Ned nie rozumiał.

– Idź precz! – warknął druid w odpowiedzi. – Szukasz przedwczesnej śmierci?

Mężczyzna podszedł bardzo blisko i zatrzymał się z drugiej strony Brysa i wilków.

– Przedwczesnej śmierci? Bynajmniej. Dlatego właśnie nie mogę odejść, jeśli chcesz usłyszeć prawdę. Bo widzisz, gdybym to zrobił, moja żona by mnie zabiła. Miałeś kiedyś do czynienia z moją żoną? – zapytał rosły przybysz.

A potem spojrzał na Neda. Miał badawczy, skupiony wzrok. Szeroko rozstawione, przejrzyste niebieskie oczy. Uśmiechnął się.

– Witaj, siostrzeńcze – powiedział.

ROZDZIAŁ 14

Nedowi opadła szczęka. Ostatnio to mu się zdarzało o wiele za często. I było zdecydowanie nieodlotowe.

– Wuj Dave? – zapytał głosem podniesionym o pół oktawy. Uśmiech mężczyzny stał się jeszcze szerszy.

– Muszę powiedzieć, że dobrze to brzmi.

Siwobrody mężczyzna spojrzał na ojca Neda.

– Edwardzie Marrinerze, poznanie ciebie w innych okolicznościach byłoby jeszcze większą przyjemnością. Mam nadzieję, że wkrótce nastaną te inne okoliczności.

Ned zerknął na tatę, którego mina w każdej innej sytuacji byłaby przezabawna. Poczł się nieco lepiej w związku ze swoją.

– Dave Martyniuk?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Na ratunek, z fatalnym lądowaniem.

– Widziałem. Nic ci nie jest? Obawiam się, że brama była otwarta – rzekł Edward Marriner. – Włamaliśmy się.

Wyraz twarzy wuja stała się niemal równie zabawny, jak mina ojca Neda. Zaklął zwięźle.

– To było naprawdę dramatyczne wejście – stwierdził Ed Marriner. – Naprawdę. Bruce Willis posłużyłby się kaskaderem.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Twoja żona przylatuje lotem Air France numer siedem, sześć, sześć, sześć, z Paryża – poinformował Dave Martyniuk. – Będzie w Marignan około szóstej wieczorem. A potem jakieś pół godziny taksówką do waszej willi?

– Trochę więcej. – Ojciec Neda spojrzał na zegarek. – Może nawet zdążymy ją odebrać. – Ned zauważył, że żaden nawet nie patrzy na Brysa ani na wilki. Edward Marriner zawahał się. – Skąd znasz numer lotu?

Martyniuk wzruszył ramionami.

– To długa historia. W większości związana z komputerami.

– Rozumiem. Chyba. Masz na nią oko?

Mężczyzna skinął głową. Nagle zaczął sprawiać wrażenie skrepowanego.

– Tylko kiedy...

– Wiem. Kimberly nam powiedziała. Jestem... jestem ci bardzo wdzięczny. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Zakładając, że wyjdziemy z tego z życiem, najprawdopodobniej będzie próbowała rozdrzeć cię na kawałki. Zrobię, co w mej mocy, by cię ochronić.

– Byłbym wdzięczny. Meghan robi wielkie wrażenie.

– Och, wiem. Podobnie jak jej siostra.

– Och, wiem.

– Dosyć. Możemy zabić was czterech równie łatwo, jak trzech – oznajmił druid.

Ned odwrócił się do niego. Pozostali zrobili to samo. „Zakładając, że wyjdziemy z tego z życiem”. Brys przesunął się, tak że mógł patrzeć na nich wszystkich. Mąż ciotki Kim – Ned nie wyobrażał sobie, że będzie aż tak potężnej postury – pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, przyjacielu. Nie wiesz o mnie wystarczająco wiele, a upłynął już dzień od Beltaine i tracisz siłę. Podobnie duchy, które umieściłeś w tych wilkach.

– Skąd o tym wiesz? – warknął druid.

– O duchach? O Beltaine? Komórka. Żona. Wspomniałem o niej. Wierz mi, ona wie bardzo dużo.

Jego przesadnie niefrasobliwe zachowanie się zmieniło. Dave Martyniuk przemówił w tym innym języku, a głos miał twardy jak kamień. Brzmiała w nim władza i gniew. Ned nic nie rozumiał poza tym, co brzmiało jak imiona. Usłyszał „Cernunnos” i coś jak „Cenwin”.

Zobaczył jednak, jakie to zrobiło wrażenie na druidzie. Mężczyzna pobladł; widać było, jak krew odpływa mu z twarzy. Do tej pory Ned myślał, że to się zdarza tylko w książkach, ale teraz ujrzał to u Brysa.

– Idź do domu – dodał wuj, już łagodniej, i po francusku. – Powinieneś odejść zeszłej nocy. To nie godzina ani życie na ziszczenie twoich marzeń. Mówię ci to na prośbę mojej żony.

Brys stał przez moment nieruchomo, a potem wyprostował się, jakby brał na ramiona jakiś ciężar.

– Nie wierzę, by cokolwiek wiedziała na pewno. A w każdym razie, po co mam się śpieszyć z powrotem do ciemności? Dowiem się tego, co wie chłopak. Nie będzie się już więcej wtrącał. Tyle potrafię osiągnąć. – Machnął ręką w stronę gałęzi, którą wuj Neda przerzucił przez bramę, a potem podniósł. – Sądziś, że możesz tym walczyć z nami ośmioma?

Dave Martyniuk skinął poważnie głową.

– Owszem, tak sądzę. Istnieje też powód, dla którego powinieneś odejść. Wiesz o tym. Chcesz zaryzykować swoją duszę i dusze ich? Jeśli cię tu zabijemy, będziesz zgubiony, druidzie. Ta trójka może wrócić, ale ty nie.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

Nuta udręki w pytaniu.

– Odpowiedź brzmi tak samo. Moja żona.

Oстрыm, zaskakującym ruchem, Martyniuk uniósł gałąź przed sobą i złamał ją na pół na zdrowym kolanie.

– Au! – powiedział i znów zaklął.

A potem rzucił połowę gałęzi przed siebie.

Ned zobaczył ją w powietrzu. Była właściwie piękna, wirująca to w świetle, to w cieniu, to znów w świetle pod liśćmi. Jeden z wilków wyskoczył ku niej z szeroko rozwartym pyskiem, ale jej nie złapał – zataczała zbyt wysoki łuk.

Ojciec Neda chwycił rzuconą gałąź z niespodziewaną sprawnością, a potem – co było znacznie bardziej niespodziewane – postąpił krok do przodu i mocno się nią zamachnął, trzymając oburącz. Trafił lądującego wilka w żebra. Rozległ się paskudny dźwięk. Zwierzę przetoczyło się i znieruchomiało pod szarym pochylonym kamieniem.

Nikt się nie poruszył.

– Ładny rzut – skwitował Edward Marriner.

– One nie muszą tu umrzeć – powiedział cicho Dave Martyniuk, znów odwracając się do druida. – Odeślij je. Odejdź z nimi. Dzień już minął. Nie masz nic do zyskania.

Brys patrzył na niego. Miał równie niebieskie spojrzenie. Ned miał wrażenie, że czas się zatrzymał, że długo się unosi w zawieszeniu. Poczł podmuch wiatru, zobaczył go w falujących liściach.

– Znów miara? Wyliczenia? Tu nie chodzi tylko o zysk – rzekł druid. – Świat sięga głębiej.

A potem przemówił do wilków w tym innym języku i zaczęła się walka.

W ciągu paru następnych chwil Ned Marriner dowiedział się kilku prawd. Świat może być głęboki, ale czasami jest też szybki.

Drugą prawdą było to, że w starciu z wilkiem szwajcarski wojskowy scyzoryk jest mniej więcej bezużyteczny. Przygotował go na czas – otworzył w kieszeni zaraz potem, jak pojawił się druid – ale jeśli nie było się na tyle dobrym, by dźgnąć pędzące zwierzę w oko, to nóż jedynie rozpraszał uwagę.

Ned nie był na tyle dobry, by dźgnąć wilka w oko.

Zamarkował cios, uświadomił sobie, że nie ma cienia szansy, i szybko się odtoczył od atakującego zwierzęcia. Usłyszał kroki, krzyk, a potem kolejny głuchy dźwięk. Kiedy przetoczył się na kolana – gotów do kolejnego uniku – zobaczył, że ojciec zdzielił i tego wilka.

To była trzecia nowa informacja na temat ojca: kiedy jego jedynemu synowi grozi niebezpieczeństwo, Edward Marriner, słynny fotograf z charakterystycznymi kasztanowymi wąsami i roztargniony ojciec, bezustannie gubiący okulary do czytania, jest śmiertelnie groźny z gałęzią w ręku.

Greg już walczył z innym wilkiem. Czwartą prawdą było to, że Greg naprawdę jest dość silny, by wykonać to uderzenie w szyję, o którym szepnął – lecz nie dość szybki, by zrobić to bez uszczerbku dla siebie.

Ned zobaczył to, klęcząc: błysk pazurów, ciężka pięść uderzająca w szyję zwierzęcia, wilk lecący w tył, jasna krew przy rozdarciu w rękawie Grega.

Ta nagła czerwień była wstrząsająca.

Natychmiast znalazł się tam jego ojciec.

Było to konieczne, lecz miało swoje konsekwencje: głównie takie, że Ned został sam bez broni, otoczony przez krążące wokół niego wilki. Znow zebrał garść żwiru i cisnął nimi w oczy najbliższego. To było sprytne. Bez znaczenia. Zwierzę nie zwróciło na to uwagi.

A potem zwierzę zginęło.

Później Ned spróbuje odtworzyć to, co czuł, widząc, jak jego wuj uderza wilka jak młotem – takie słowo przyszło mu wtedy na myśl – i zaraz potem drugim, szybkim zamachem odpędza następnego.

Kiedy trzeci wilk także się wycofał, Ned zobaczył, że na żwirze za nim leży druid. Brys miał rozrzucone ramiona, a jedną nogę podkuloną pod dziwnym kątem.

Znow spojrzał na wuja. Przyszła mu do głowy nieodparta myśl: on już to kiedyś robił.

Istniała różnica między zdecydowaną obroną Grega i Neda przez jego ojca, odwagą Grega, gorączkowymi usiłowaniami Neda, by zrobić coś użytecznego... oraz powalaniem wybranych celów przez Dave'a Martyniuka.

Można się urodzić z wiedzą, jak to robić, ale bardziej prawdopodobne jest to, że człowiek się tego uczy praktycznie. Kiedy i gdzie, Ned nie wiedział, ale był pewien, że ma to coś wspólnego z czasem, kiedy pobierały włosy jego ciotki.

Trzy pozostałe wilki cofnęły się z opuszczonymi ogonami przed wujem Neda. Nie uciekały. Jeszcze nie. Patrzyły.

Martyniuk podszedł do druida.

– Nie chciałem go zabić – powiedział. – Mam nadzieję, że tego nie zrobiłem.

Ukląkł na ścieżce i przyłożył palce do szyi mężczyzny. Obaj znajdowali się w cieniu pląta. Ned zobaczył, że wuj kręci głową.

– Cholera – usłyszał.

– On tu przybył, by zabić Neda – odezwał się cicho Edward Marriner, podchodząc do nich i też wkraczając do cienia. – I nas też, gdyby musiał.

Martyniuk nie podniósł wzroku.

– Wiem. Wplątaliśmy się... twój syn wplątał się w pewną historię.

Ned nie wiedział, dlaczego, patrząc na drobną sylwetkę druida, który wezwał Ysabel, czuje tak wielki smutek. Szeleściły liście; przez ich ruchomy baldachim przenikały promienie słońca.

„Niegdyś istniał tu świat. Został nam wydarty. Tu nie chodzi tylko o nich troje”.

Odchrząknął.

– Wuju, jeśli on... odszedł, to czy to znaczy, że nie można wezwać Ysabel jeszcze raz?

Potem?

Wuj podniósł wzrok.

– Tak się nazywa?

Ned skinął głową.

Dave Martyniuk wstał, krzywiąc się lekko, i otrzepał pył z kolan.

– Nie to jest chyba problemem. – Pokazał ręką na wilki. – To też są duchy. Podejrzewam, że wśród powracających w noc Beltaine są inni druidzi. Ten... może był silniejszy. Utrzymał swoje miejsce w tej opowieści.

– Usiłował ją zmienić – powiedział Ned. – A przynajmniej tak...

Zamilkł.

– Nie, masz rację. Ja też tak myślę. – Wuj spojrział na Gregory'ego. – Kto cię nauczył uderzać wilki pięścią?

Greg trzymał się za lewą rękę. Między palcami było widać krew, ale udało mu się krzywo uśmiechnąć.

– To były zajęcia do wyboru na studiach. Mogłem się zapisać na ekonomię, ale wybrałem boks z wilkami.

– Bardzo śmieszne. Chodźmy – powiedział Edward Marriner. – Znajdziemy szpital.

Greg pokręcił głową.

– Nie. Ręce może mi zabandażować doktor Ford w willi. Nic mi nie jest. To wygląda gorzej niż jest w rzeczywistości.

– Będziesz musiał wziąć zastrzyki przeciwko wścieklicznie, Greg.

– Nie będzie musiał – odezwał się Ned, zaskakując samego siebie. – To są duchy w postaci wilków, pamiętacie? Nie mają wściekliczny.

Wuj Dave skinął głową.

– On prawie na pewno ma rację, Edwardzie. Uprą się przy tych zastrzykach i może nawet go zatrzymają. A my będziemy musieli składać wyjaśnienia. – Wskazał na druida. – To ciało... chyba tak po prostu zaraz nie zniknie.

– Co zrobimy? – zapytał ojciec Neda. – Z nim?

– Czy zniknie później? To znaczy wróci do postaci bezcielesnej czy coś w tym rodzaju? – zapytał Ned.

– Może. Nie jestem pewien. Nie chodziłem na te zajęcia. Martyniuk uśmiechnął się ze smutkiem.

– Moglibyśmy go przesunąć?

Ojciec Neda pokazał na kamienny sarkofag stojący obok cienistej alei. Pokrywa leżała nieco krzywo. Dave Martyniuk spojrział w tamtą stronę.

– Może – powiedział.

Ned patrzył, jak ojciec i wuj podchodzą do sarkofagu i chwytają ciężką pokrywę z obu końców. Poczuli coś dziwnego, rodzaj dumy, widząc, jak liczą do trzech, a potem ze stęknieniem odsuwają do połowy kamienną płytę.

– Chyba wystarczy – powiedział Greg, wciąż trzymając się za rękę. – Nie jest taki duży.

Nie był taki duży. Wilki patrzyły, teraz już dziwnie bierne, jak dwaj mężczyźni wracają i – dość delikatnie – podnoszą druida i niosą go do pustej trumny. Ułożyli go w środku i z wielkim wysiłkiem zasunęli kamienne wieko.

Przez chwilę na nie patrzyli, a potem Dave Martyniuk podszedł do wilków.

Zostały cztery; ten uderzony przez Grega odzyskał siły i dołączył do pozostałych. Tym razem się nie cofnęły.

Martyniuk powiedział coś w pradawnym języku – walijskim czy galijskim, którymś z nich. Zwierzęta popatrzyły na niego, a potem się odwróciły i odbiegły w stronę najstarszych grobów i stojącego za nimi kościoła. Czterej mężczyźni patrzyli, jak mijają zagłębienie w ziemi, okrążają kościół i znikają.

– Co im powiedziałaś? – zapytał cicho Edward Marriner.

Rozprostowywał plecy. Ned pomyślał, że kamienna pokrywa na pewno była ciężka. Jego ojciec nie był człowiekiem chętnie podnoszącym ciężary. Ani zadającym ciosy gałęzią. Robił rzeczy, których tydzień temu Ned nawet nie umiałby sobie wyobrazić.

– Powiedziałem im, że z nastaniem zmroku najprawdopodobniej znajdą się w domu. Życzyłem im spokojnej drogi powrotnej.

– To wszystko?

Martyniuk skinął głową.

Podniósł najbliższe z trzech zabitych zwierząt i, kulejąc, odniósł je za drzewa, by nie leżało na widoku. Wrócił po drugie. Edward Marriner podniósł trzecie. Ned zobaczył, że zrobił zaskoczoną minę, jakby to było zbyt łatwe. Ojciec uniósł brwi i wszedł za wujem Davem między drzewa.

– Podczas przygotowywania albumu wyrządzono krzywdę kilku zwierzętom – odezwał się oschle Greg.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Ned.

Greg wciąż podtrzymywał rękę. Drugie uszkodzenie ciała w ciągu dwóch dni.

– Bywało lepiej. Chyba mogło być gorzej. Gdzie są ci kaskaderzy, kiedy się ich potrzebuje, co?

Ojciec i wuj wrócili. Ojciec Neda rozpiął koszulę. Zdjął ją. Ned poszukał szybko w kieszeni scyzoryka i otworzył nożyczki. Ojciec spróbował ich użyć, ale ostrza były za małe. Stęknął, oddał scyzoryk, a potem rozdarł koszulę od dołu prawie po sam kołnierzyk. Oderwał guziki, owinał całość wokół ręki Grega i związał.

– To musi wystarczyć, nim wrócimy do domu – powiedział.

– Masz kulę, żebym mógł ją przygryźć? – zapytał Greg.

Półnagi Edward Marriner uśmiechnął się krótko. – Tylenol w schowku na rękawiczki.

– Musi wystarczyć – stwierdził Greg. – Żyjemy w prymitywnych czasach. Przynajmniej nie pomalowałeś sobie ciała, szefie. Kolejny nikły uśmiech.

– Jeszcze może do tego dojść – powiedział ojciec Neda. Dave Martyniuk trzymał przy uchu telefon komórkowy. Spojrzał na nich.

– Kim jest w samochodzie. Spotka się z nami w willi. Powiedziałem, że za godzinę?

Marriner skinął głową.

– Mniej więcej. Pojedziesz za nami?

– Pojadę.

Wszyscy czterej przeszli obok trumien, obok grobowca po prawej stronie i kasy biletowej, między drzewami i pod liśćmi, przez bramę na światło.

Kiedy tylko otworzyła się brama prowadząca do willi, a oni przez nią przejechali, mając za sobą peugeota Dave'a Martyniuka, Ned zauważył na tarasie rudowłosą kobietę, patrzącą w ich stronę.

Zaczęło mu walić serce.

Ojciec też ją spostrzegł. Zatrzymał samochód od razu na parkingu dla gości, a nie na podjeździe z drugiej strony. Wyłączył silnik. Wszyscy trzej siedzieli przez chwilę, patrząc na kobietę.

Było już późno, słońce znajdowało się nad miastem, śląc ukośne promienie w dolinę, w oczy, wydłużając cienie cyprysów. Kobieta zeszła ze stopni na trawę i się zatrzymała.

– Ja pójdę – odezwał się Ned.

Wysiadł i ruszył po trawniku. W tym świetle jej kasztanowe włosy lśniły. Wydała mu się zdumiewająco piękna.

– Cześć, mamó – powiedział.

Nie płakała. To by było do niej niepodobne.

Ned był już od niej wyższy. Uściski wychodziły niezręcznie. Miał już piętnaście lat, nie?

Ale spodobało mu się, jak go objęła i wymówiła jego imię: na wpół karcąco, na wpół uspokajająco. I podobały mu się jej perfumy. I to, że tu jest. Że nie znajduje się w strefie działań wojennych, gdzie ludzie są wysadzani w powietrze albo siekani na kawałki narzędziami rolniczymi, mi – nawet jeśli mają na ramionach opaski oznaczające, że są lekarzami przybyłymi z pomocą.

Wydostał ją stamtąd. Ale to nie był po prostu jego sposób na wyciągnięcie jej z Sudanu. Potrzebowali jej tu. Był tego niemal pewien.

Był także pewien, że nadciągają kłopoty – w czerwonym samochodzie niedaleko za nimi.

– Spodziewaliśmy się ciebie później – powiedział.

– Dlaczego, kochanie?

Błąd. Już. Jego pierwsze słowa. Jezu.

– Powiedziałaś tacie, że wieczorem, prawda? Wczoraj?

– Tak? Chyba zgadywałam. Udało mi się wskoczyć do wcześniejszego samolotu z lotniska Charlesa de Gaulle'a. Jedyne kłopot miałam z taksówkarzem, który nie miał pojęcia, jak tu trafić. Musiałam zadzwonić. Kobieta, która odebrała telefon, opisała mi drogę.

– Verakuchnia?

Meghan Marriner uśmiechnęła się.

– Tak ją nazywacie?

– Musimy. Jest też Verapralnia.

– Świetnie. – Matka cofnęła się nieco, patrząc poza niego. – Witaj, kochanie. Melduję się na stanowisku. Obecna, usprawiedliwiona.

– Meg.

Patrzył na zbliżającego się ojca. Rodzice pocałowali się. Mama położyła ojcu głowę na piersi. Kiedyś byłby skrępowany tym widokiem.

– Zamieniasz się w tubylca, *cher*?

Matka się cofnęła, przyglądając się nagiemu torsowi męża.

– Ostatni Mohikanin. To długa historia. Opowiemy ci ją, ale dobrze by było, gdybyś najpierw obejrzała Gregory’ego. Masz sprzęt? Mamy tylko apteczkę pierwszej pomocy.

– Co się stało? – zapytała zmienionym tonem.

– Mieliśmy pewne kłopoty.

– Ed. Jakie kłopoty?

Ned zerknął do tyłu; Greg wysiadał z samochodu. Krew na jego ręce było widać aż stąd. Przesiąkła przez opatrunek z koszuli.

Wuj Dave zajechał swoim peugeotem za dom, na podjazd, gdzie nie było go widać. Ned usłyszał odległe trzaśnięcie drzwiami, ale Martyniuk się nie pojawił.

– Zahaczyło go pazurem zwierzę – usłyszał Ned wyjaśnienie ojca. – Owinąłem ranę swoją koszulą.

– Dzikie zwierzę? Będzie musiał brać zastrzyki przeciw wściekliwości. Gdzieście byli? Gregory, chodź tutaj, niech to obejrzę!

Ned zauważył, że ojciec nie odpowiedział na żadne z pytań.

Wuj Dave wciąż się nie pokazywał. Pewnie wszedł do domu głównymi drzwiami po drugiej stronie, od zbrocza. Ned pomyślał, że wuj chce, by rodzina przywitała się w spokoju.

A potem przyszło mu do głowy coś innego.

Nie spodziewali się, że jego mama już tu będzie. A ona go zna z Darfuru. Byli tam do wczoraj. W Sudanie nie mogło być aż tak wiele osób związanych z Lekarzami Bez Granic. I nie był to też jedyny raz, kiedy wuj znalazł się tam, gdzie ona.

Kiedy mama się domyśli, co robił, wścieknie się, bardzo łagodnie mówiąc. Kolejne kłopoty. Ale nie było jak tego obejść, prawda? Chyba że wuj Dave przez cały czas nie pokaże się jej na oczy. Robił to teraz, ale nie było...

Usłyszeli następny samochód, zmieniający bieg na niższy przed ostatnim wzniesieniem drogi. Ned odwrócił się i zobaczył zbliżającego się czerwonego peugeota. Zatrzymał się na jałowym biegu przed bramą.

– Wystukam kod – powiedział szybko i pobiegł.

Wcisnął cyfry. Brama otworzyła się ze szczękiem. Ciotka Kim przejechała przez nią. Ned zobaczył Steve'a na miejscu pasażera. Kate uśmiechnęła się do niego z tyłu. Ciotka opuściła szybę.

– Ned. Jak się czuje Greg?

– W porządku. Ciociu, jest tu moja mama. Bada go i... Wzrok jego ciotki powędrował obok niego. Patrzyła w pogodne, wieczorne światło, patrzyła na młodszą siostrę. Ned się odwrócił. Matka wciąż stała obok Grega, ale teraz patrzyła w tę stronę, na kobietę prowadzącą czerwony samochód.

Pomyślał, że nie widziały się od jakichś dwudziestu pięciu lat. Ścisnęło go w gardle. Można było pomyśleć o niekończącej się opowieści, w jaką tu wdepnęli, i nazwać dwadzieścia pięć lat niczym, mgnieniem. Albo można było mieć świadomość, że to spora część życia dwóch osób, która nigdy nie wróci czy nie zostanie odzyskana.

Pomyślał o Brysie. Ostatnie ciało pochowane na Les Alysamps. Druid spędził tyle czasu, usiłując coś odzyskać. To się nie da zrobić, pomyślał. Nawet jeśli człowiek sobie pomyśli, że to osiągnął, to coś przywróconego nie może być tym samym, co zostało odebrane.

– Zaparkuję – powiedziała cicho Kimberly.

Ned się cofnął i patrzył, jak samochód znika za domem. Przy wszystkim, co się działo, to akurat sprawiało wrażenie czegoś najtrudniejszego. Chciał to naprawić, ale czuł się, jakby znów był dzieckiem, a to też było trudne. Przyszło mu na myśl, że pod pewnym względem to właśnie robił druid: usiłował naprawić coś, co się nie da naprawić. Jak można cofnąć pokonanie Galów z rzymskiego łuku?

Jak można cofnąć dwadzieścia pięć lat milczenia?

Patrzył, jak ciotka wychodzi zza domu. Kate i Steve szli za nią, ale się zatrzymali. Kim ruszyła po trawie w stronę siostry. Były bardzo do siebie podobne – nawet mimo całkowicie białych i ciemnorudych włosów – a ujrzenie ich razem tylko to potwierdzało.

Ned ruszył w ich stronę. Widział niepokój malujący się na twarzy ojca. Greg wyglądał nawet gorzej, jakby mógł na poczekaniu wymienić dziesięć miejsc, w których wolałby się znaleźć w tej chwili. Chciał się cofnąć, ale matka Neda, trzymająca koniec zakrwawionej koszuli powiedziała ostro:

– Stój spokojnie!

– Musi się dobrze przyjrzeć, Greg – odezwała się ciotka Kim, zatrzymując się przy nich.

– Mamy tu jakieś antybiotyki?

– Ja mam – odparła Meghan Marriner, odsłaniając ranę. – Witaj, Kim.

– Witaj, Meg. Jak to wygląda?

– Rana jest dość płytka. Bardziej nieprzyjemna niż niebezpieczna. Oczyszczyć i zszyć. Ale będzie potrzebował zastrzyków przeciwko wścieklicznie.

– O, nie – odezwał się Greg. – Nie będę, doktor Marriner, to było zadrapanie, nie ugryzienie. I nie mamy na to czasu.

– Uwielbiam, kiedy moi pacjenci sami się leczą. Zastanawiam się wtedy, po co się uczyłam przez siedem lat. Czy możesz zagwarantować, że na te pazury nie dostała się ani odrobiona śliny, Greg? Naprawdę? Postawisz na to swoje życie?

Ned znał ten ton. Wyrastał, mając go w uszach. To była odpowiedź matki na brak logiki. Greg się jednak nie ugiął. Wciąż zaskakiwał.

– Nie mogę tego zagwarantować, ale wiem, pani doktor – wiedzą to też szef i Ned – że to nie był wściekły wilk.

– To był wilk? – zapytała Meghan, podnosząc głos.

Ned zrozumiał, że jej nie powiedzieli.

– Taki sam, jak te, które widzieliśmy przedtem, Ned? – zapytała cicho ciotka Kim.

Przełknął ślinę.

– Może. Nie potrafię ich tak dobrze rozróżnić, a wtedy było ciemno. Ale to były duchy z Beltaine.

– O Chryste! – jęknęła matka. – Zdecydowanie odmawiam udziału w...

Ned dotknął jej ramienia. Zamilkła. Spojrzała na niego. Widział w jej oczach wściekłość.

– Mamo. Proszę cię. Musisz wziąć w tym udział. Musisz nas wysłuchać, bo inaczej nie zdołasz nam pomóc. One przyszły ze względu na mnie, mamo.

Zobaczył, jak gniew matki ustępuje miejsca czemuś trudniejszemu do określenia.

– Co to znaczy?

Ned spojrzał na ojca, szukając pomocy u niego. Edward Marriner powiedział z powagą:

– Było dość jasne, że przyszły, żeby zabić Neda, skarbie. I że otrzymały taki rozkaz.

– Rozkaz? Ed, czy ty...

– Meg, ani nie zwariowałem, ani nie mam zaćmienia umysłu. Rozpaczliwie się cieszę, że tu jesteś, bo potrzebujemy twojej umiejętności myślenia, i to szybko. Ale, kochanie, musisz myśleć, a nie kłócić się z nami. – Zawahał się. – Meg, zabiłem dzisiaj na Les Alysamps wilka. Atakował naszego syna. Otrzymał rozkazy od pewnego druida, Meg.

Ned zobaczył, jak matka wytrzeszcza oczy.

– Ojej! Od prawdziwego druida? Pomachał na was jemiołą?

Chwila ciszy.

– Nie – odparł jej mąż. – Został zabity, kiedy nas zaatakowały. Nie powiedział, kto go zabił.

Meghan znów spojrzała na Neda, a potem na rannego Grega.

Greg wzruszył ramionami.

– Wszedłem im w drogę, proszę pani. On mówi prawdę.

Ciotka Kim wciąż milczała. Trudno było zinterpretować jej minę.

Edward Marriner podszedł bliżej.

– Meg, to nie jest żaden spisek, mający na celu zmuszenie cię do spojrzenia na rodzinną historię z innej perspektywy. Coś się tu dzieje, a to może oznaczać, że wtedy działo się więcej, niż sądzisz... Ale nie o to teraz chodzi. Proszę cię, wysłuchaj mnie. Proszę cię, spójrz na mnie i mi uwierz. Jego żona wpatrywała się w niego, zeszywniała z napięcia. Ned nigdy jej takiej nie widział. Odwróciła się do siostry.

– Coś ty zrobiła? – zapytała.

Ciotka Kim patrzyła na nią. Potem Nedowi przyszło do głowy, że gdyby był z nimi wuj Dave, mogłaby zareagować inaczej. Ale go tu nie było.

– Och, jak wspaniale! – warknęła Kim. – Bezbłędne pytanie, Meg. Co będzie dalej? Będziemy roztrząsać, jak ufarbowałam włosy na biało, żeby wszystkich zwieść? Jak wyszłam za mąż i uciekłam tylko po to, żeby cię odrzucić? Wciąż jesteś nastolatką?

Meghan Marriner się nie wycofała.

– Nie mówiłam, że odrzuciłaś mnie. Powiedziałam, że także twoją matkę. Naszą matkę. Wiesz o tym.

– Nasza matka do końca życia utrzymywała z nami bliskie stosunki, Meghan. Odwiedzała nas i dobrze o tym wiesz. Cały czas rozmawialiśmy ze sobą i pisałyśmy do siebie. O tym też wiesz. To ty się ostentacyjnie odcięłaś, kiedy wyjechałam. I matka nigdy, przenigdy mi nie powiedziała, że jest urażona moim postępowaniem.

– Spodziewałabyś się, że ci to powie? Matka? Och, daj spokój, Kim, chyba wiesz lepiej...

– Znałam ją tak samo dobrze, jak ty, Meghan. A ona rozumiała mnie o wiele lepiej niż ty. Wyjechałam, ponieważ nie mogłam na powrót podjąć życia, które prowadziłam. Chciałam to zrobić, myślałam, że mi się uda. Nie mogłam. Zbyt wiele się wydarzyło. Byłaś jedyną ważną dla mnie osobą, która tego nie rozumiała. Chcesz porozmawiać o wyrządzeniu

krzywd? Meg, przyjechałam tu, kiedy sobie uświadomiłam, co już się przydarzyło Nedowi. Usiłuję go chronić. I sprowadzić Melanie z powrotem. Tu nie chodzi o ciebie i o mnie.

„Tu nie chodzi tylko o nich troje”.

Druid powiedział to co najmniej dwa razy. Być może nawet miał rację. Tak jak ciotka Kim mogła mieć rację albo nie. Bo może, w jakiś trudny sposób, chodzi tu o te dwie siostry... i o niego. Może są miejsca, w których przeszłość nie odchodzi i może są ludzie, dla których ona pozostaje.

Ned spojrzał na ojca. Edward Marriner wyglądał jak ktoś, kto rozpaczliwie chce coś powiedzieć, ale nie wie, jakie słowa przyniosłyby więcej dobra niż zła.

Ned właściwie sam się tak czuł.

Ciotka Kim wciąż była zła. Jeszcze jej takiej nie widział.

– Meg, pożegnałam się z moją matką w Toronto miesiąc przed jej śmiercią. Nie przyjechałam na jej pogrzeb, bo mnie o to prosiła. Powiedziała, że gdybym się pojawiła, byłoby to zbyt trudne dla ciebie. Chciałabyś się nad tym zastanowić?

Słyszając to, Ned nabrał nagle jeszcze większej pewności, że on – ani ktokolwiek inny – nie ma tu nic do powiedzenia. Nawet nie wiedział, czy w ogóle chce poznać dalsze szczegóły. Greg wyglądał na zbolałego, jakby bardzo chciał odejść do Kate i Steve’a, stojących na podjeździe.

Ned obserwował matkę. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

– Nie, nie chciałam – powiedziała. – Nie w tej chwili. Nie chcę o tym myśleć.

Ciotka Kim wzruszyła ramionami.

– Sądziłaś, że po prostu nie chciało mi się przyjechać. Że nie zależało mi na matce. Oczywiście na ten temat też mogłabym kłamać. Tak jak skłamałam na temat moich włosów. Tak jak teraz twój mąż i syn kłamią na temat wilków. Mogłabyś o tym zdecydować, Meg.

Matka Neda pokręciła głową.

– To fałszywy wybór, Kim. Tu nie musi chodzić o prawdę lub kłamstwo. Ludzie popełniają błędy, są wprowadzani w błąd.

– Mamo!

– Kochanie, to nie...

– Meg, dlaczego miałabym ich wprowadzać w błąd? Posłuchaj tylko sama siebie!

Trzy nakładające się na siebie głosy zamilkły i zapanowała cisza. Meghan Marriner popatrzyła na Neda i swoją siostrę.

– Czuję się jak osaczona.

– Bo jesteś – powiedział Ned. – Ale, mamo...

– Doktor M., czy mogę coś powiedzieć?

Wszyscy spojrzeli na Grega.

– Przed chwilą naprawdę zadrapał mnie wilk. Dostał rozkazy od niedużego facecika, który naprawdę był druidem. To ostatnie wiem na pewno, bo zeszłego wieczoru mi to udowodnił. Ten sam facecik został zabity jakąś godzinę temu, wraz z trzema wilkami.

Meghan Marriner patrzyła na Grega bardzo długą chwilę.

– To było więcej niż jedno „coś” – stwierdziła.

Greg wzruszył ramionami.

– Przepraszam.

Ned patrzył, jak matka zмага się z czymś, co stanowi część jej osobowości. To było dla niego trudne. Nie umiał sobie wyobrazić, co ona przeżywa. Nic nie mówił. Naprawdę nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

W końcu zaczerpnęła tchu.

– Dobrze. W porządku. – Odwróciła się do siostry. – Chyba jestem za stara na kłótnie pewnego rodzaju. Co prawda niezbyt dobrze znoszę zmiany. Na to też jestem za stara.

– Nikt z nas nie znosi dobrze zmian – powiedziała cicho Kimberly.

Meghan spojrzała na nią.

– Przynajmniej dorosłaś do tych białych włosów.

Ned nabrał tchu. Zobaczył, że ciotka Kim zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, były podejrzenie lśniące. Jedna z sióstr mogła być płaczliwa.

– Do twarzy ci z tym rudym – powiedziała.

Matka Neda się skrzywiła.

– Raz w miesiącu. Jean Luc przy Green Avenue. Bez niego byłabym smutna i siwa.

Rozejrzała się po pozostałych. Coś się zmieniło. Sztywność zniknęła.

– Oczyszcmy tę ranę Grega – powiedziała – a potem mi opowiecie, co się dzieje. Muszę wiedzieć, co się stało z Melanie.

– Dobrze – odparła Kim – ale jest dużo do opowiadania. Będzie nam potrzebne wino.

– Mogę się tym zająć – zadeklarował ojciec Neda, niemal zbyt ochoczo.

Ned zerknął nad trawnikiem i zauważył, że Kate Wenger wygląda na skępowaną i zaniepokojoną, jakby się czuła nie na miejscu. Chciał do niej podejść i ją pocieszyć, ale nie mógł. Jeszcze nie.

– Czy ktoś mógłby poprosić Verajakjejtam o zagotowanie wody? – zapytała Meghan Marriner.

– Jasne – odparł Ned.

Wbiegł na taras, pokonując po dwa stopnie na raz. Przekazał Verakuchni prośbę i powiedział, że na kolacji będą jeszcze dwie osoby. A potem poszedł szukać wuja.

Znalazł go w łazience na parterze, obok sypialni, którą dzieliły Kim i Kate. Obok pokoju Melanie.

Golił się. Dlatego nie wyszedł.

W umywalce i na wyłożonej płytkami podłodze było pełno siwych i kasztanowych włosów. Martyniuk odłożył już nożyczki i golił maszynką resztki zarostu pokryte kremem do golenia. Pracował za szybko i już się kilka razy zaciął.

– Naprawdę sądzisz, że to coś pomoże? – zapytał Ned, stając w drzwiach łazienki.

Wuj zerknął na niego zza piany.

– Jeśli nie, to wszyscy mamy przechlapane, tak?

– Ja nie – odparł Ned. – Ty. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Zostawiasz mnie mojemu losowi?

– I mojej matce? Jak najbardziej.

– Co się tam stało?

Dave Martyniuk przeciągał maszynką po policzkach i szyi. Ned się zawałał.

– Na razie w porządku. Było lepiej, niż się spodziewałem.

– Brak eksplozji to lepiej, niż się spodziewałem. Jak wyglądam?

– Niemal tak krwawo, jak Greg.

Wuj skrzywił się do swego odbicia.

– Poradzę sobie z tym. Ale czy wyglądam inaczej?

Ned skinął głową.

– Chyba tak.

– Daj mi jeszcze pięć minut.

– Gotuj wodę, żeby przemyć ranę Grega. Zwolnij, przyciągniesz rekiny. Jego wuj uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się to. Mam dowcipnego siostrzeńca. – Na chwilę znieruchomiał. – Jedyne, jakiego mam.

Ned spojrzał na niego.

– Nie masz... myślałem, że masz brata i...

– Trzy bratanice. Starsze od ciebie. Ned przełknął ślinę.

– A ty i ciotka Kim nie...?

Dave Martyniuk pokręcił energicznie głową.

– Nie. Czy już za późno, żebym cię nauczył rzutów osobistych?

Ned spróbował się uśmiechnąć. Był na tyle duży, by wiedzieć, że kryje się za tym coś więcej.

– Nie jestem dość wysoki. Gra na tyłach, obrona, to moja specjalność.

Wuj znów pokręcił głową.

– Nie. Dobry gracz obrony musi wiedzieć, jak wrzucić do kosza, kiedy trafi na wyższego. Później znajdziemy jakiś kosz.

– Wiem, gdzie tu są boiska.

– Dobrze. – Wuj, zaklął, zaciąwszy się w szyję. – Wracaj, pojawię się za kilka minut, nierozpoznawalny.

– O mój Boże! – powiedziała Meghan Marriner.

Podniosła wzrok znad stołu w jadalni, przy którym opatrywała Grega.

– Ivorson? Co ty tu robisz? Nie...

Zamilkła, bardzo raptownie. Ned widział, że wszystkiego się domyśla. Tak szybko. Można było niemal śledzić kolejne myśli, przebiegające przez jej umysł.

Dave Martyniuk zatrzymał się w wejściu do jadalni. Każde z dwóch jeszcze krwawiących skaleczeń zakrył kawałkiem chusteczki higienicznej. Ciotka Kim pośpieszyła do niego. Uścisnęli się mocno, a potem ciotka się cofnęła.

Słowa prezentacji zamarły ojcu Neda na ustach.

Greg siedział na krześle przy stole. Meghan zwijała bandaż. Obok czystych ściereczek, białych zwitków gazy i tubek z antybiotykami na stole stały na podstawkach garnki z zagotowaną wodą.

Odwracając się od męża, Kimberly wyprostowała ramiona i spojrzała na siostrę, jakby przygotowując się na cios. Ned, który stał z Kate przy szklanych drzwiach prowadzących na taras, poczuł potężną falę niepokoju. W tej sprawie wcale jeszcze nie wyszli na prostą. Spojrzał na wuja.

„Nierozpoznawalny”.

Tak. Jasne. Masz sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, szerokie bary, wielkie dłonie, niebieskie oczy i myślisz, że jak zgolisz brodę, to nikt cię nie odróżni od Dannyego De Vito?

A matka Neda była bardzo, bardzo bystra. Dlatego właśnie chcieli, żeby przyjechała. A w każdym razie między innymi z tego powodu. Ten inny powód miał wiele wspólnego

z maczetami, karabinami i bombami, i o tym nie zamierzali mówić. Chociaż właśnie dlatego jego wuj przybrał to fałszywe nazwisko – Ivanson czy jakoś tak – i od lat jeździł za nią w miejsca leżące niemal na końcu świata.

Ned czekał na eksplozję. Nie nadeszła.

Za to Meghan Marriner, która nigdy tego nie robiła, rozplakała się.

– Och, Meg – szepnęła ciotka Kim. – Och, skarbie...

Meghan szybkim ruchem uniosła rękę, by ją powstrzymać. Ned zobaczył, że Kate Wenger przygryza wargę; ten widok znał już dość dobrze.

Matka wytarła oczy grzbietem dłoni, odetchnęła i podniosła wzrok, patrzyła na Martyniuka przez długą chwilę.

– Trzy razy? – zapytała w końcu.

Kiwnął głową.

– Sierra Leone, Zatoka. Darfur? Tam cię widziałam?

Odchrząknął.

– Szczerze mówiąc, właściwie cztery razy. Byłem w Bośni, ale tylko kilka dni... sytuacja nie wyglądała tak źle. Mogłaś mnie nie zauważyć.

Wciąż się w niego wpatrywała, wciąż myślała.

– Dowiadywałaś się, kiedy zgłaszałam się do misji, i jeśli sądziłaś, że są niebezpieczne, jechałaś tam?

Znów kiwnął głową.

– Rzucałaś to, co robiłaś? Przyjmowałaś fałszywe nazwisko, miałaś fałszywe papiery? W strefach działań wojennych?

– Mniej więcej – potwierdził Dave Martyniuk. – To się nie zdarzało tak często.

– Cztery razy, jak właśnie powiedziałaś.

Martyniuk znów kiwnął głową i się skrzywił.

– Cholera. Wygląda na to, że niepotrzebnie pozbyłem się brody, która mi się podobała.

Zapadło krótkie milczenie.

– Bez niej wyglądasz lepiej – stwierdziła Meghan Marriner.

– Też mu to mówię – mruknęła jej siostra. – Meg...

Matka Neda ponownie uniosła rękę.

– Znów się rozplaczę, jeśli coś powiesz, Kim, więc nic nie mów. – Nie odrywała wzroku od rosnącej postaci Dave'a Martyniuka stojącego w drzwiach. – Muszę to wszystko naprawdę dobrze zrozumieć. Zostawiłaś pracę w Anglii, żonę, narażałaś się na niebezpieczeństwo, na pewno łamałaś prawo, posługując się komputerami i fałszywą tożsamością, i po co?

Oparł się o framugę. Ned pomyślał, że to spokojny człowiek.

– Mieliśmy poczucie odpowiedzialności.

Meghan na sekundę zamknęła oczy.

– Myśleliście, że robię to, ponieważ...?

Martyniuk miał poważną minę.

– Meghan, szwagierko, dawno temu nauczyłem się w bolesny sposób, że ludzie robią różne rzeczy ze zdumiewającej liczby powodów; niektóre; dobre, niektóre złe. Dokonują nawet bohaterских czynów. Czasami nie znamy wszystkich pobudek naszego działania.

– Powiedziałbym, że zwykle ich nie znamy – rzekł Edward Marriner.

Żona spojrzała na niego.

– Wiedziałeś o tym, Ed? Czy muszę zabić i ciebie?

Pokręcił głową, ale ta groźba, ten dowcip, już zmieniła atmosferę. Ned czuł, że sam zaczyna znów normalnie oddychać.

– Usłyszałem o tym dwa wieczory temu, kochanie.

– Jeśli chcesz, żebym zginął, po prostu powiedz mi, żebym się częściej golił – mruknął od drzwi Martyniuk. – Chyba wyszedłem z wprawy.

– Śpieszyłeś się – odezwał się Ned.

Wszyscy dorośli odwrócili się do niego.

– Słusznie, siostrzeńcze – powiedział wuj. – Jesteś uznanym rodzinnym ekspertem. Jak często się golisz? Dwa razy w tygodniu, żeby się popisać? – Uśmiechał się szeroko.

– Cóż, w każdym razie wiem, kto nie będzie mnie uczył swojej techniki – stwierdził Ned.

– Tylko posłuchajcie samych siebie! Może ktoś mnie opatrzy? – wtrącił się Greg. – Czy tak lekarze traktują rannych pacjentów? Wdają się w rodzinne kłótnie, kiedy my umieramy na stole?

– To niesprawdzone statystyki – powiedziała trzeźwo Kimberly.

Ned otwierał usta do kolejnego dowcipu, który chciał rzucić, ale poczuł w sobie rozbłysk władczej obecności. W tej samej chwili zorientował się z wyrazu twarzy ciotki, że poczuła to samo; zobaczył, że patrzy obok niego.

Obrócił się błyskawicznie na pięcie. I wyjrawszy przez szklane drzwi, zobaczył, jak na taras wchodzi szczupły łysy mężczyzna w szarej skórzanej kurtce; zatrzymał się, oświetlony popołudniowym słońcem, i cierpliwie czekał.

ROZDZIAŁ 15

Przy stole przyjął kieliszek wina od ojca Neda, spokojnie znosząc badawcze spojrzenia, ale Ned widział, jak bardzo jest zdenerwowany. Miał wrażenie, że Phelan ledwie panuje nad sobą. Tak jak przedtem, kiedy Ned widział tego człowieka, kiedy z nim przebywał, świat wydał się nagle znacznie intensywniejszy. Jakże mogłoby być inaczej, pomyślał Ned, przy tym wszystkim, co wiedzieli o tym mężczyźnie?

Ned zerknął na matkę i zobaczył, że Meghan Marriner patrzy na przybysza czujnym, taksującym wzrokiem. Obserwowała go w milczeniu, skończywszy bandażować ranę Gregory'ego.

Phelan to zauważył.

– Rana? Jak to się stało?

Cichy, odmierzony głos.

– W Arles. Wilki – odpowiedział Ned.

– Cadell was zaatakował? Gdzie? Dlaczego?

Uniesione brwi. Opanowanie na skraju wybuchu przemocy. On jej nie znalazł, pomyślał Ned. I wie, że czas ucieka.

– Na cmentarzu – odparł. – Ale nie, to był Brys. Działał na własną rękę.

Twarde spojrzenie.

– Na własną rękę? Jesteś pewien?

Ned kiwnął głową.

– Tak. Co tu robisz?

Tak naprawdę to było retoryczne pytanie. Miał pewność, że zna odpowiedź.

– Może najpierw przedstawimy się sobie nawzajem – odezwała się matka Neda. Głos miała chłodny, lecz nie wrogi. – Właśnie przyjechałam i brak mi pewnych zasadniczych informacji.

Ned spojrzał na Kate. Spośród obecnych tylko oni oboje widzieli Phelana wcześniej.

Rzymianin – Grek, obcy – uśmiechnął się lodowato do Meghan Marriner.

– Obawiam się, że choć to może się wydawać niegrzeczne, nie ma czasu na właściwą prezentację. Mam na imię Phelan. – Zerknął na Kate. – Tym razem.

Ciotka Kim skrzyżowała ręce na piersi.

– Ale przedtem brzmiało ono „Protis”, prawda? A ona nazywała się Gyptis?

W jej głosie brzmiała nuta wyzwania.

Phelan spojrzał na nią ze zmienionym wyrazem twarzy.

– Nie, chociaż w końcu opowieść wytworzyła te imiona. Często się tak zdarza. Ale nigdy tak się nie nazywaliśmy.

Przerwał i po chwili zapytał, jakby z niechęcią: – A ty...?

– Choć to może się wydawać niegrzeczne – mruknęła chłodno Kim – nie ma na to czasu.

Ned zerknął odruchowo na wuja Dave’a, który zacisnął usta, jakby miał świadomość, że igrają z niebezpieczeństwem.

– Rozumiem – rzekł Phelan, przerywając ciszę. Spojrzał na nią z namysłem. – Posiadasz jakąś moc, prawda?

– Niejaką – odparła Kimberly. – Wystarczającą, by ją rozpoznać.

Phelan skinął głową. Zerknął na Neda.

– Jesteście spokrewnieni?

– Siostrzeniec – rzekła Kimberly i pokazała ręką na Meghan.

Mężczyzna w szarej skórzanej kurtce upił łyk wina.

– Twoja obecność wśród nas zaczyna mieć większy sens – powiedział, patrząc na Neda.

– A twoja wśród nas nie ma jeszcze żadnego – odezwał się Edward Marriner. – Pozostaje też kwestia Melanie. Bylibyśmy bardzo wdzięczni...

Usłyszeli stukanie do drzwi frontowych.

Ned spojrzał szybko w tamtą stronę i z trudem przełknął ślinę. Wiedział, kto to jest. Kto to musi być. Nie było brzęczyka, jakim oznajmiłby swoje przybycie gość, dzwoniący od bramy.

Drzwi otworzył Steve, który się znajdował najbliżej nich. Wcale tym niezaskoczony Ned ujrzał Cadella. Mężczyzna uśmiechnął się radośnie i wszedł do środka; był ubrany tak, jak tego ranka w ruinach Głanum.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie; jeden stał przy wejściu od frontu, drugi przy szklanych drzwiach na taras.

Ned po raz kolejny spróbował wyliczyć, jak długo się znają i jak długo walczą ze sobą o kobietę, którą widział między ogniami w Entremont, i po raz kolejny mu się to nie udało. Przeszłość przenikała tu teraźniejszość, wkraczała w nią i ją określała.

„Tu nie chodzi tylko o nich troje”, powiedział Brys.

Brys nie żył. Zabił go wuj Neda. Ale może tak naprawdę chodzi tu tylko o nich troje, pomyślał Ned, i wszystko inne jest z tym związane.

– Spóźniłem się na kieliszek wina? – zapytał Cadell swoim głębokim głosem, stojąc w miejscu zajmowanym przed chwilą przez Dave’a Martyniuka.

Nikt nie odpowiedział, nikt nie zdążył.

Rozmazany ruch, jakim Phelan dobył noża i nim rzucił, był szybszy od jakiegokolwiek odpowiedzi.

To właśnie w tej chwili Ned otrzymał odpowiedź na jeszcze jedno pytanie. Zastanawiał się, w jaki sposób Phelan mógł w ogóle mierzyć się z Celtem – o tyle bardziej rośłym, tak wyraźnie będącym wojownikiem – na równych warunkach w jakiegokolwiek walce.

Powinien pamiętać, że ten drobny mężczyzna zeskoczył z dachu krużganków, robiąc po drodze salto, i wylądował z takim wdziękiem. Pomyślał, że szybkość, zimna krew i wrodzona inteligencja mogą się przydać w walce równie dobrze, jak siła.

Cadell zaklął mimowolnie. Ned usłyszał krzyk Kate i zobaczył, że Steve pośpiesznie się cofa od drzwi.

Choć to było niemal niemożliwe, Cadell jeszcze szybciej postąpił krok do przodu i chwycił ze stołu metalowy półmisek. Cisnął nim przez pokój niczym dyskiem. Phelan błyskawicznie obrócił się bokiem, a półmisek mignął mu obok twarzy i uderzył głośno w ścianę, zostawiając na niej między szklanymi drzwiami poszarpane pęknięcie.

– Co, u diabła?! – zawołał Edward Marriner.

Cadell trzymał się teraz ręką za lewe ramię. Tkwił w nim nóż. Ned już go widział. W katedrze, przy pierwszym spotkaniu. Spojrzał na Kate. Na pewno go pamiętała. Miała bladą twarz.

Twarz Phelana była biała. Półmisek poruszał się tak szybko, że mógł strzaskać mu twarz, a gdyby trafił go w szyję, mógłby go zabić.

– Łagodny środek zapobiegawczy – rzekł. – Żebyś znów nie uległ pokusie. Niezbyt dobrze sobie radzisz z pokusami, co? Latał – wyjaśnił, spoglądając na zebrane w pokoju osoby. – Śledził mnie z powietrza. W ten sposób tu przybył. Jako sowa. Ysabel kazała mu przysiąc, że nie będzie latał. Kiedy człowiek lekceważy złożoną przysięgę, trzeba ją na nim wymusić, bo inaczej światem zacznie rządzić chaos, nieprawdaż?

Było to pytanie, lecz nie skierowane do nikogo w szczególności. Patrzył na Celta.

Twarz Cadella też straciła kolor.

– Mogę cię zabić nawet zraniony.

Phelan uśmiechnął się blado. W oczach miał lód.

– Możesz tak powiedzieć. Tu jest lekarka. Jak rozumiem, już skończyła z jednym rannym.

– Dwie lekarki – odezwała się cicho Kim. – Jak rozumiem, gdybyś go tu zabił, przegrałbyś tym razem i...

– Nie interesuje mnie to, co rozumiesz. Uwierz mi, gdybym chciał go zabić, ostrze nie utkwiłoby w jego ramieniu – rzekł Phelan.

Ned mu uwierzył.

Stojący po drugiej stronie stołu Cadell oddychał głęboko i spokojnie, jakby schodził – ostrożnie – z wyżyn potężnego, unicestwiającego gniewu. Jeśli ciotka Kim miała rację, to zabicie rywala tym dyskiem kosztowałoby go Ysabel. A celował przecież w twarz.

Cadell spojrzał na Grega.

– Znowu? – zapytał po chwili. – Chyba masz skłonności do zbierania kontuzji.

– Dopiero po tym, jak wy się pojawiliście – odparł Greg.

– Kto to zrobił?

– Naprawdę nie wiesz? – zapytał Phelan.

– Nie wiem.

Celt zwrócił się do Neda. Wszyscy wciąż to robili. Jakby to on znał odpowiedzi.

Ned odchrząknął.

– Powiedziałem ci rano, że jedziemy do Arles, pamiętasz? Brys czekał na cmentarzu.

A może nas śledził?

– I?

– Rozkazał wilkom rzucić się na mnie. Pozostali... Greg... bronili mnie.

Wyraz twarzy Cadella powoli się zmienił. Pokręcił głową.

– Kazałem mu zostawić cię w spokoju. Będę musiał mu to powtórzyć.

– Chyba ci się nie uda – powiedział Ned. – Mój wuj go zabił.

Znów chwila milczenia. Phelan i Cadell spojrzeli na siebie przez pokój.

– To prawda? – spytał Phelan.

– Dlaczego miałbym kłamać? – W głosie Neda brzmiała irytacja. – Po prostu oddajcie nam Melanie, to się nas pozbędziecie. Przecież wiecie o tym.

– A ty wiesz, że nie da się tego zrobić – stwierdził Cadell, wciąż trzymając się za ramię.

– Mówiłem ci to dziś rano i zeszłego wieczoru na drodze. Teraz mówię ci po raz trzeci. – Przerwał i się uśmiechnął. – Dlaczego miałbym kłamać?

– Cóż, mogę podać parę powodów – odezwała się odważnie Kate Wenger. – Kłamałeś w sprawie latania, prawda? Wiesz o tym. Żadnego z was nie obchodzi nic prócz Ysabel. Każdy z was zrobiłby wszystko, by dotrzeć do niej jako pierwszy.

Wszyscy spojrzeli na nią. Ned odruchowo przysunął się do dziewczyny.

– Prawie wszystko – zgodził się z powagą Cadell.

Ned pomyślał, że tych dwóch trudno wprawić w zakłopotanie. To zapewne wiąże się z wiekiem: jeśli się żyło tyle razy, co oni...

Cadell zwrócił się do stojącego nieopodal Dave'a Martyniuka. Widząc ich obok siebie, człowiek uświadamiał sobie, jaki Martyniuk jest rostry. Celt był duży, miał szerokie ramiona, umięśniony kark i ręce – a wuj Dave był jeszcze większy.

– Brys był druidem i swego rodzaju towarzyszem. Chyba powinienem cię za to zabić.

Wypowiedziane lekkim tonem słowa zawisły w powietrzu.

– Chyba tak – zgodził się Dave Martyniuk. – Ale, jak mu powiedziałem, nie wiecie o mnie wystarczająco wiele.

Cadell był wyraźnie zaskoczony. Uniósł głowę, jakby podejmował wyzwanie.

– Masz świadomość, ile razy walczyłem?

– Powiedziano mi.

Wuj Dave wskazał ruchem głowy Kim.

– W rzeczy samej – powiedział Phelan z drugiego końca pokoju, logicznie dopasowując do siebie fragmenty informacji.

Wymienił spojrzenia z Kimberly.

Ned nigdy w życiu nie miał do czynienia z tak wieloma pokładami napięcia w jednym miejscu. Robiło mu się od tego niemal niedobrze. Powodowany impulsem, spróbował jeszcze raz zajrzeć do wnętrza – i od razu znalazł trzy aury: swojej ciotki i obu mężczyzn.

Oraz czwartą – blady, miękki blask.

Wstrząsnęło to nim, a potem się domyślił – to był on sam. Widział swoje własne istnienie w tej innej przestrzeni. Sięgnął do wewnątrz i spróbował stłumić swoją obecność, osłonić ją, tak jak umieli to robić inni.

Zniknęła. Ned przełknął ślinę. Podniósł wzrok i napotkał pytające spojrzenie ciotki. Udało mu się wzruszyć ramionami. Co miał powiedzieć? Przecież o niczym nie miał bladego pojęcia.

Phelan ponownie ujął kieliszek z winem. Odstawił go na dźwięk stukania do drzwi. Wiedział, kto za nimi stał, kto zaraz miał tu wejść. Oczywiście.

Cadell wciąż wpatrywał się w Dave'a Martyniuka.

– Jesteś lekkomyślny – stwierdził. – Polegasz na mojej dobrej woli w niewłaściwym momencie. Nie jestem znany z cierpliwości i nie podoba mi się twoje zachowanie.

– Zapewne. Lecz podejrzewam, że nie na tyle, by zaryzykować utratę tej kobiety. I, jak powiedziałem, przed podjęciem walki musiałbyś więcej o mnie wiedzieć.

Celt pokręcił głową.

– Zabiłem już tak wielu podobnych tobie.

– Mylisz się – odparł spokojnie Dave Martyniuk.

A potem dodał w nieznanym języku kilka słów, które przecięły powietrze w pokoju jak nóż Phelana; Ned znów usłyszał imię Cernunnosa, i to drugie, brzmiące jak „Cenwin”.

– Gdziekolwiek walczyłeś – powiedział wuj po angielsku – i ile razy, nie było to nigdy tam, gdzie walczyłem ja.

W zapadłej ciszy usłyszeli głos Phelana, jakby się wyjaśniło coś ważnego:

– Aha.

Może dla niego. Na pewno nie dla Neda, tego chłopak był cholernie pewien.

Cadell oderwał wzrok od Dave’a i spojrzał na Phelana.

– Nazwałbym to interesującym – rzekł lekkim tonem mężczyzna w szarej kurtce. – Zdecydowanie.

Znów rozciągnął wąskie wargi w enigmatycznym uśmiechu. Ned spróbował sobie przypomnieć, czy widział na twarzy tego mężczyzny radość, czy jakieś inne żarliwe uczucie – poza tym, które na niej zagościło, gdy na płaskowyżu pojawiła się Ysabel.

Bezskutecznie. Ale w Entremont Phelan był poruszony. Nie dało się tego nie zauważyć.

– Z wielką radością – dodał Phelan, wciąż patrząc na złotowłosego Celta – obejrzałbym twoją walkę z tym człowiekiem. Byłaby to dla mnie doskonała rozrywka.

– Nikt nie będzie tu z nikim walczył, szczególnie z nożem w ramieniu – powiedziała Kimberly Ford nieco zbyt dziarskim tonem. Spojrzała groźnie na Cadella. – Siadaj! Zajmiemy się tym. Wygląda na to, że i tak jesteśmy do tego przygotowani.

Pokazała na stół.

Ned zobaczył, że wuj Dave opiera się nonszalancko o ścianę obok stołu z komputerem.

– Po południu uraziłem się w kolano. Niezbyt dobrze się zgina. To wyrównuje rachunek. Prawda jest jednak taka, że twój druid atakował mojego siostrzeńca – można się było spodziewać, że się tym zajmę. I ja nie usiłowałem go zabić.

– Dlaczego? – zapytał Cadell.

Dziwne pytanie. Dave się zawahał.

– To zbyt ostateczne, z tego, co mówiła moja żona. Powiedziałem mu, powiedziałem im wszystkim, żeby pozwolili odejść duchom. Nie powinny były zostawać po Beltaine.

– Wiesz o tym? – zdziwił się Cadell.

– Kimberly wie. Ja słucham. Dalej, człowieku, siadaj, daj jej się zająć tą raną. Nie masz na pieńku ze mną. – Głos miał odprężony, uspokajający. – I tak nawiasem mówiąc, naprawdę nie wiemy, gdzie ona jest. Zakładam, że dlatego tu obaj jesteście.

Cadell wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, a potem znów odwrócił się do Neda. Phelan już to zrobił.

– To prawda – rzekł Ned. – Szukamy, wiecie o tym. Nie widzieliśmy jej.

Zawahał się, a potem postanowił nie mówić, że wyczuł jej obecność cmentarzu. Przecież współzawodniczą, tak? To swego rodzaju wyścig, chociaż nie miał pojęcia, co zrobią, jeśli go wygrają.

– Chyba... wyczułem coś w dolinie na północ od Les Baux.

– No tak – powiedział Phelan. – Nic dziwnego. Ale to bardzo stary ślad.

Nastrój Cadella wyraźnie się zmienił.

– Chyba nie będzie miało dla niej znaczenia, że tu przyleciałem – powiedział, jakby się w pewien sposób tłumaczył.

– Mylisz się – stwierdził Ned. – Dla Melanie będzie to miało znaczenie. Takie sprawy nie są jej obojętne. A ona tkwi w Ysabel.

Obaj wpatrzyli się w niego. Znów poczuł przyływ gniewu.

– Przecież tkwi, nie? Przecież o to w tym wszystkim chodzi, prawda? To wezwanie? Żeby za każdym razem Ysabel mogła się odrobinę zmienić i żebyście wy nie wiedzieli, kogo wybierze. I nie pytajcie mnie kolejny raz, kim jestem, bo tego nie wiem! – dodał, gromiąc ich po kolei wzrokiem.

Nikt go nie zapytał.

Cadell usiadł raptownie na krześle obok ciotki Kim. Patrzył uważnie nad stołem na swojego wroga. Dwa tysiąclecia z czymś, pomyślał Ned. Można zwariować od samego myślenia o tym.

– Powiedz mi – mruknął Celt – złamanie której przysięgi uzna za gorsze wykroczenie? To, że tu przyleciałem na spotkanie z tobą, czy to, że mnie zraniłeś, skoro zakazała nam walki? Szukasz przewagi, której tak bardzo potrzebujesz na później?

Tym razem Phelan się nie uśmiechnął.

– Naprawdę sądzisz, że o to chodziło?

– O przewagę? Tak, na bogów.

I znów Ned nie dostrzegł wyraźnie ruchu. Kiedy Phelan machnął ręką w dół, Ned nie wiedział, czy drugi nóż został znów wyjęty zza buta, czy z rękawa skórzanej kurtki.

Zobaczył ostrze. Cadell zerwał się na nogi, szurając krzesłem po płytkach podłogi.

A nóż wszedł w ramię Phelana.

Wbił go dokładnie w to samo miejsce, w które zranił rywala.

W uczuciach Neda zapanował chaos. Tego już naprawdę zaczynało być za wiele. Usłyszał, jak Kate tłumi kolejny okrzyk. A potem usłyszał śmiech.

Spojrzał ponad stołem. Cadell już opadł na krzesło; odrzucił głowę do tyłu i zanosił się śmiechem.

Ned zerknął na matkę. Wpatrywała się w drobnego mężczyznę, który przed chwilą wbił sobie nóż w ramię. Odwróciła się do Neda i spojrzała mu w oczy.

Skinęła głową w geście akceptacji. Nareszcie.

Tuż samo to zmusiło ją do przyznania, że rozgrywa się tu coś całkowicie wykraczającego poza ich pojmowanie. Toczy się w tej chwili, ale toczyło się także przedtem, bez końca, i będzie się toczyć, kiedy oni znikną – z Prowansji albo ze świata.

– Jakież to zabawne – orzekł Cadell, patrząc na Phelana.

Nie było to słowo, którego użyłby Ned.

– Mam swoje dobre chwile – odparł cicho mężczyzna w skórzanej kurtce.

– Jaki stoicki Rzymianin – rzekł szyderczo Cadell.

– Kiedy się poznaliśmy, byłem Grekiem.

– Dość szybko stałeś się Rzymianinem.

– A potem kimś innym.

– Nie, nigdy nikim innym. – Powiedział to kategorycznym tonem. Phelan uśmiechnął się bez wesołości.

– Ile lat jest się obcym? Czy druidzi sugerują jakąś liczbę? – To rzymskie pytanie. Żyjesz w innym świecie.

– Teraz wszyscy żyjemy w innym świecie – rzekł Phelan. – Odpowiedz. Jak długo?

– Tutaj? Obcym? Niektórzy zawsze. Jesteś jednym z nich.

Mężczyzna wzruszył jednym ramieniem. W drugim tkwił nóż. Przemoc, pomyślał Ned, może się pojawić, zniknąć i zostawić po sobie tylko wspomnienie – zamazany obraz.

Phelan spojrzał na swoje lewe ramię i się skrzywił.

– Szkoda kurtki. Lubię ją.

A potem zacisnął zęby i wyciągnął nóż.

Ned pomyślał, że to musiało boleć. Z rany wypłynęła krew, plamiąc szarą skórę. Phelan spojrzał na nóż, wytarł go o nogawkę spodni i schował. Jednak trzymał go w bucie. Meghan Marriner nie spuszczała z niego wzroku.

– Nawet nie będę udawała, że rozumiem kóregokolwiek z was – powiedziała. Ned znał ten ton. Zwróciła się do siostry: – Zakładam, że nie przysłużymy się sprawie Melanie, jeśli pozwolimy, by u tych dwóch wdała się infekcja albo stracili kilka jednostek krwi? Umarli czy coś takiego? Kim pokręciła głową.

– Mogłoby nam to pomóc, ale prawdopodobnie tak by się nie stało. Myślę że jeśli oni zginą, to ona też.

– Melanie?

– Ysabel, ale teraz to jedna osoba.

Meghan odetchnęła głęboko.

– Wyjaśnisz?

Ned pomyślał, że w tym pytaniu kryje się bardzo wiele. Dwadzieścia pięć lat. Są rozmaite sposoby mierzenia tego, co można nazwać naprawdę długim czasem.

Zobaczył, że ciotka kiwa głową, a potem gładkim, prostym ruchem wyciąga sztylet z ramienia Cadella. Celt miał kamienną twarz.

– To ćwiczenie z idiotyzmu dowodzi tylko tego – powiedziała ponuro Kim Ford, odcinając rękaw jego koszulki tym samym nożem – że nawet dwa tysiące lat i nie wiadomo ile żywotów nie są w stanie zaszczepić mężczyznom choć odrobiny inteligencji.

Jej siostra wybuchnęła śmiechem.

Ned zerknął z ukosa na Kate Wenger. W resztkach dziennego światła okrążyli basen i doszli do krzaczków lawendy. Jeszcze nie kwitła; kwiaty podobno się pojawiały pod koniec czerwca.

Słońce już zaszło. Niebo nad Aix znaczyły zanikające fioletowe i różowe pasma. Nad lasem za podjazdem wzeszedł księżyc. Ned słyszał śpiew ptaka.

Zrobiło się chłodno. Przed wyjściem poszedł na górę i znalazł dla Kate swoją bluzę od dresu z kapturem. Miała za długie rękawy; zakrywały dłonie Kate, jakby była dzieckiem, a mankiety swobodnie zwisały. Ned pamiętał, że sam tak kiedyś wyglądał. Matka kupowała mu ubrania o rozmiar za duże i podwijiała nogawki i rękawy.

Jego matka była w willi i opatrywała ranę zadaną nożem.

Tego dnia ktoś usiłował zabić Neda. Mogłoby do tego dojść, prawdopodobnie doszłoby, gdyby jego wuj przybył później. Ned zadawał sobie pytanie, czy kiedy zgasi światło w sypialni, zacznie od nowa przeżywać te chwile.

Kate spojrzała na niego.

– Ładny basen.

– Zimny. We Francji nie podgrzewają wody.

– Wiem. Czekają na lato. Pływałeś?

Przypomniał sobie wojnę na dzwonki i przymusową kąpiel. To skierowało jego myśli ku Melanie.

– Raz – powiedział. A ponieważ wydało mu się to niewystarczające, dodał: – Steve jest pływakiem. Robił wiele długości basenu. Ma kłopoty z kolanem, tak je ćwiczy.

Rozmowa o niczym. Kate najwyraźniej doszła to tego samego wniosku.

– Dlaczego oni myślą, że wiemy – że ty wiesz – gdzie ona jest?

– Ysabel? – To też było głupie; o kogo innego mogło chodzić? – Nie wiem, czy tak myślą. Moim zdaniem...

Zamilkł, starając się dobrze to sformułować, dobrze obmyślić odpowiedź.

– Tak?

Ned westchnął.

– Moim zdaniem próbują wszystkiego. Przecież sprowadziliśmy Phelana do Entremont. Ty go sprowadziłaś.

Kate się skrzywiła.

– Niczego nie zrobiłam, po prostu pomyślałam, że zechcesz zobaczyć to miejsce.

Doszli do zachodniej granicy posiadłości. Po drugiej stronie ogrodzenia z siatki Ned dostrzegł zrytą czarną ziemię. Robota dzików. Sąsiednia willa leżała w pewnej odległości, w znacznej mierze ukryta wśród drzew, nieco niżej na zboczu. Paliły się tam światła. Byli tu sami na wietrze.

– Chcesz powiedzieć, że poszliśmy tam przez przypadek? – zapytał.

– Przecież tak było!

– I twoje zachowanie? Przedtem, ze mną, po drodze?

Spojrzała przez ogrodzenie.

– To był całkowity przypadek.

– Jasne. To była Marie-Chantal, która weszła w twoją skórę. – Pokręcił głową. – Kate, ci dwaj goście tak nie sądzą, więc i my nie możemy. Myślą, że mamy jakiś inny kanał.

– Ty masz, prawda?

Znów westchnął.

– Trochę. Moim zdaniem Phelan pojawił się tu, żeby zapytać nas albo mnie, a Cadell go śledził.

– Tak. Miał nie latać.

– Miał nie rzucać w niego sztyletem.

Patrzyli na dolinę i leżące za nią miasto. Teraz i w nim zaczęły się zapalać światła. O zmierzchu wyglądało wspaniale. Ned usiłował sformułować myśl.

– Myślisz, że w dawnych czasach ludzie wychodzili oglądać zachód słońca?

Kate pokręciła głową.

– Może wschód. Zapadająca noc przerażałaby ich. To nie jest coś, czym się można napawać. To czas ukrywania się w czterech ścianach.

Ryglowania drzwi. Na świat wychodziły złe stwory.

Ned się nad tym zastanowił. Przypomniał sobie okrągłą wieżę w odległości spaceru od willi. Strzegła przed atakiem. Ludzie od dawna nazywają to miejsce rajem. O raj toczy się wojny.

Oraz o kobietę. Wiele trudu kosztowało go pilnowanie, by obraz Ysabel nie wypełnił mu myśli, nie rozpychał się w nich. Mężczyźni klęczący przed nią wśród pochodni. Spojrzał na Kate, stojącą obok w jego za dużej bluzie. Była taka zwyczajna, tutaj a znajdowali się tak daleko od zwyczajnego świata.

– Wiesz co, tak sobie myślę, chcesz z nami zostać? To znaczy robi się gorąco. I to... to nie jest twoja...

Spojrzała na niego.

– Usiłujesz się mnie pozbyć?

Pokręcił głową.

– Nie, i wiesz o tym. Mam jednak wrażenie, że moja mama powie, że to jest zbyt niebezpieczne. Tak robi – założysz się, że będzie chciała zadzwonić do twojej matki albo coś takiego?

Kate uśmiechnęła się na tę myśl.

– I co jej powie?

– Nie mam bladego, ale... tam był nóż, Kate.

– Widziałam. Dwa noże. Nie rzucono nimi we mnie.

– Nie o to chodzi.

– Ned, dziękuję. Ale jest w porzo. Nadal jestem tu poza tobą jedyną osobą, która może rozpoznać Ysabel.

Poniekąd prawda.

– Myślę, że moja ciotka prawdopodobnie by ją poznała. No wiesz. Wewnątrz. Jeśli nie będzie się osłaniać.

– To jutro możemy utworzyć trzy grupy. Z samochodem twojego wuja.

Bystra była. Nie planował aż z takim wyprzedzeniem.

– Może – powiedział. – Nie mówię ci, co masz robić.

– Ned, Melanie jest tam, gdzie ja miałam być. Wiesz o tym. – Spojrzała na łąkę, ciemniejącą w zmierzchu do brązów i szarości. – Zeszłej nocy nie spałam wiele, myśląc o tym wszystkim. Nie mogę odejść.

Sam o tym pomyślał. Jak trudno byłoby jej po prostu odejść po tym, jak znajdowała się w centrum wydarzeń. On też odwrócił się w stronę pola.

– Dobra – powiedział. – Właściwie się cieszę. Cieszę się, że tu jesteś. – Wydawało się, że pewne rzeczy łatwiej jest mówić, nie patrząc na nią – Ale ostrzegam cię przed moją mamą.

– Poradzę sobie. Co on miał na myśli – Phelan – kiedy powiedział, że oczywiście poczułeś coś przy Les Baux?

Ned wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Gdzie to było?

– Kawalek na północ. Po drodze do tych rzymskich ruin.

– Glanum – stwierdziła Kate stanowczo. – Wieczorem wygooglam to i sprawdzę w notatkach Melanie.

– Świetnie. Przygotuj notkę z przypisami.

Spojrzał na nią, mimo wszystko rozbawiony.

– Nie waż się ze mnie śmiać! – powiedziała Kate, gromiąc go wzrokiem.

– Nie śmiałem się. – Chociaż przedtem było inaczej. Zawahał się. – W każdym razie jesteś całkiem w porzo.

Tym razem udało mu się na nią patrzeć. Było niemal ciemno. To pomagało.

– Wcale nie jestem w porzo. Jestem świrem, pamiętasz? Kimś, od kogo się dostaje wypracowania.

Ned pokręcił głową.

– Nie.

Nie rozwijał tematu i się odwrócił. Po chwili Kate powiedziała innym tonem:

– Dzięki. Nie sądzisz, że ta bluza mnie pogrubia?

Ned się roześmiał.

Kate się uśmiechała.

– Tak, bluzy McGill mają tę cechę. Wszyscy o tym wiedzą. – Zaryzykował. – Widziałem cię wczoraj wieczorem, pamiętasz? Same nogi.

Zignorowała to.

– Co to jest McGill?

– Uniwersytet w Montrealu.

– Wybierasz się tam?

– Może. Prawdopodobnie. Jeszcze się nad tym zbytnio nie zastanawiałem. W tej chwili zastanawiam się nad tym jeszcze mniej.

– Jasne.

Z prawej strony dobiegł ich jakiś dźwięk.

Ned odwrócił się szybko. W zanikającym świetle dostrzegł sowę lecącą na północ wzdłuż stoku wzgórza, pod którym schroniła się willa. Ptak z trudem zdobywał wysokość.

Obserwowali go. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Ned poczuł ucisk w gardle. To był oczywiście Cadell, który zuchwale zmuszał się do lotu mimo odniesionej rany. Nie chciał się pogodzić z tym, co mu się przytrafiło, i że mogłoby go zmusić do innego zachowania.

– Cholera... będzie musiał wylądować – powiedziała Kate. Miała lekką chrypkę. – Zmienić postać.

Ned skinął głową.

– Wiem. Zaczeka, aż zniknie nam z oczu, choćby miał od tego umrzeć.

Patrzyli w milczeniu na zmagania ptaka. Stracili go z oczu, a potem Ned znów go zobaczył. Ledwie ruszał lewym skrzydłem, chociaż w resztkach światła było mało co widać, ale Ned po prostu wiedział, gdzie trafił nóż.

Po chwili sowa zniknęła za grzbietem wzgórza.

– Nie musiał tego robić – powiedziała cicho Kate Wenger.

– Owszem, musiał – odparł Ned.

Znów zgromiła go wzrokiem.

– Twoja ciotka miała wtedy rację – stwierdziła bardziej gniewnie, niż wymagała tego sytuacja. – Mężczyźni to idioci.

– Staram się nim nie być.

– Nawet ze mną nie zaczynaj, Nedzie Marrinerze. Obecność, głos za nimi.

– Bądź uczciwa. Nie idzie mu tak źle.

Podszedł do nich Phelan.

– Nie słyszeliśmy cię – rzekła Kate.

Mężczyzna, którego po raz pierwszy ujrzeli w baptysterium, wzruszył ramieniem. Ned wiedział, że drugie, schowane pod kurtką, ma zabandażowane. Kurtka na pewno jest rozcięta.

– Miałem czas się nauczyć, jak nie być słyszany – powiedział Phelan. – Przyszedłem się pożegnać.

– Dobre wychowanie? – zapytała Kate.

– Kiedyś tak. – Zawahał się. – W Fokai.

– Wiem. Sprawdziłam. Jonia. Ale nie miałeś na imię Protis?

Pokręcił głową.

– Pamiętasz czas, gdy byłeś młody? – zapytał Ned.

Znów wahanie. Ned uwiadomił sobie, że Phelan stara się być uprzejmy.

– Tego nigdy się nie zapomina. Masz coś dla mnie? Cokolwiek?

Zadanie tego pytania wymagało pokonania całych pokładów dumy. Ned pokręcił głową.

– Gdybym miał, powiedziałbym wam obu.

Pomyślał, że Phelan ma zbolałą minę, ale chyba tylko to sobie wyobraził. Na zachodzie pasma koloru już prawie zniknęły.

– Myślałem, że może...

– Będę po twojej stronie?

Phelan kiwnął głową.

– W kawiarni byłeś.

– Nie potrzebowałeś mnie – powiedział Ned. – Powiedziałeś, że głupio zrobiłem, wychodząc na zewnątrz, pamiętasz?

– Pamiętam. – Błysnął zębami. – Mężczyźni to idioci?

– Tak. Słyszałeś? – zapytała Kate.

Znów skinął głową.

– W domu i tutaj. To wygląda na powszechną opinię.

– Jak twoje ramię? – zapytała Kate.

– Pewnie tak samo jak jego.

– Ty nie musisz lecieć.

– Nie.

– Ale się osłaniasz, tak? – zapytał Ned. – Powiedziałeś mi o tym. A potem zrobiłeś to w Entremont.

– Tak, w końcu się tego nauczyłem. Tak jak on nauczył się zmieniać postać.

– Dlaczego on, a nie ty?

W głosie Phelana po raz pierwszy pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

– Dlaczego mieli druidów i przechowywali czaszki członków swojej starszyny i wrogów, i wierzyli, że kiedy spadnie niebo, nastąpi koniec świata?

Ned milczał.

– Dlaczego my budowaliśmy akwedukty i miasta? I teatry? I areny, łaźnie, drogi?

– Chwytam. Dlaczego ich podbiliście? Zrobiliście z nich niewolników? – włączyła się Kate.

– Dlaczego mogliśmy to zrobić?

– Co chcesz powiedzieć? Inne pojmowanie świata? – zapytał Ned.

Phelan skinął głową i zwrócił się do Kate.

– Nawiasem mówiąc, on nie jest idiotą.

– Nigdy tego nie twierdziłam – odpaliła.

Phelan otworzył usta, ale nic nie powiedział. Znowu spojrzał na Neda.

– Inne pojmowanie, inne drogi zdobywania władzy. Nauczyłeś się osłaniać?

Ned skinął głową.

– Dopiero co.

– Pamiętaj, żebyś tego nie robił, kiedy nie musisz. Wciąż jesteś w ukryciu. Nie musisz się chować. Jeśli będziesz utrzymywał osłonę zbyt długo, poniesiesz tego konsekwencje. Możesz sobie zrobić krzywdę. Nauczyłem się tego na własnej skórze.

– Poważnie?

Głupie pytanie.

Phelan skinął głową.

– To wyczerpuje, pochłania sporo energii, chociaż człowiek nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ned zamknął z wahaniem oczy, zajrzał w głąb siebie, zobaczył srebrzyste światło, oznaczające mężczyznę, z którym rozmawiał, oraz zielonozłoty blask ciotki w domu. Cadell był już za daleko albo się osłaniał.

Uwolnił swój własny blask, jakby otwierał zaciśnięte palce umysłu, i na powrót zobaczył wewnątrz bladą poświatę.

– Ach, jesteś – powiedział Phelan. – Pójdę już. To jest – powiódł po nich wzrokiem – chyba pożegnanie. Powiem, że jestem wdzięczny – za kawiarnię i za Entremont.

– Uratowałeś nas tam – rzekła Kate. Pokręcił głową.

– Raczej nie skrzywdziłby was na oczach Ysabel.

– Mogli to zrobić inni, poza tym to było Beltaine – stwierdziła z uporem Kate.

Phelan znowu wzruszył ramieniem.

– Niech więc wam będzie. Uratowałem wam życie. Nie czyni to ze mnie dobrego człowieka.

– Wiem o tym – przyznał Ned.

Phelan patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

– Musisz zrozumieć, że nie mam tu... żadnej równowagi – powiedział cicho w niemal całkowitej ciemności. – Powietrze, którym oddycham, to ona – albo pragnienie jej.

Ned milczał. Czuł wewnętrzny napór, jakby życzenie, tęsknotę. Ostatnie spotkanie, koniec, świat dotknięty i się cofający.

– Wyczułem ją na cmentarzu – usłyszał własne słowa. – Nie mam pojęcia, kiedy tam była. Mogło to być dawno temu, jak w tamtym innym miejscu, ale naprawdę ją wyczułem.

Phelan nagle skupił na nim całą swoją uwagę.

– Samą Ysabel, a nie tylko jakieś wrażenie?

Ned kiwnął głową.

– Ysabel.

Wypowiedzenie tego imienia własnymi ustami.

Mężczyzna uniósł głowę. Patrzył w dolinę, jakby chciał dotrzeć wzrokiem aż do Arles. Stanowił w świetle księżyca szary, oddalający się od nich kształt. Za trawiastą przestrzenią, nad stopniami błyszcząły światła willi, widoczne przez szyby, daleko od miejsca, w którym stali.

– Jeśli tak, to była ona. Znała Les Alyscamps. Wszyscy znaliśmy ten cmentarz.

– O czym to świadczy? – zapytała nieco ostrzejszym tonem Kate.

Ona też wie, że on od nas odchodzi, pomyślał Ned. Ten świat, który znaleźli.

– Kilka rzeczy – rzekł Phelan. Spojrzał na Neda. – Dziękuję ci raz jeszcze.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

– Ja też nie – przyznał się Phelan. – Bo on oszukiwał?

– Ja też oszukuję. Wziąłem nawet wypracowanie od... – Nie skończył. Ta myśl wydała mu się potwornie głupia. Zobaczył w ciemności biel zębów.

– Może oczarował cię mój wdzięk? – Phelan się roześmiał. Pokręcił głową. – Znikam. Pamiętajcie mnie, jeśli to już koniec.

Odwrócił się i ruszył po trawie. Ned stwierdził, że nie może dobrać głosu.

– Jak zamierzasz... jak się tu dostałeś? – zapytała Kate. Ned miał wrażenie – takie samo jak w kruzgankach – że dziewczyna usiłuje go tu zatrzymać pytaniami, że nie chce go oddać nocy.

– Usłyszycie – odparł Phelan, nie odwracając się. W kruzgankach też się nie odwrócił.

Patrzyli, jak w drodze do żelaznej bramy mija basen i krzaczki lawendy.

Brama była zamknięta. Kiedy się zbliżył, zadziałały czujniki ruchu, więc zobaczyli nagle, jak kładzie ręce – zranione nożem ramię miał zapewne zabandażowane – na kracie, a potem bez ceregieli podciąga się na nią i zeskakuje po drugiej stronie z łatwością, która w gruncie rzeczy wydawała się absurdalna.

Stali, nasłuchując.

Chwilę później z drogi dobiegł ich warkot motocykla, a potem zaczął się oddalać. Ned sięgnął w głąb siebie, lecz w końcu srebrzyście zabarwione światełko zanikło – jak się domyślał – gdzieś w okolicy skrzyżowania ich drogi z drogą główną, obstawioną lampami ulicznymi.

– Ned? Kate? Wszystko w porządku?

To był głos matki; stała na tarasie. Widział ją w świetle padającym z willi.

– Tak, mamo.

– Chodźcie do środka. Zjemy coś, a potem porozmawiamy.

– Idziemy.

Mama odwróciła się i weszła do pokoju.

Ned miał w pamięci obrazek, niczym starą fotografię siebie samego jako dziecka bawiącego się z kolegami w letnim zmierzchu, niknącego światła, głosu matki – słabego, lecz wyraźnego – wołającego go do domu. Kąpiel i łóżko.

– Dlaczego mu powiedziałeś? – zapytała cicho Kate.

– Nie wiem. Może dlatego że nie może latać.

– Cadell teraz też nie może.

– Wiem.

Milczała przez chwilę.

– Nawiasem mówiąc, nie uważam cię za idiotę.

Spojrzał na nią.

– Potrafię nim być.

– Wszyscy potrafimy – powiedziała Kate Wenger i pocałowała go w usta w wietrznej ciemności.

Ned zamknął oczy, ale wtedy już się cofnęła. Odetchnął.

– Czy to była Marie-Chantal? Znów jesteś opętana, jak przedtem? Uderzyła go w pierś.

– Ani się waż. Idiota.

– Znów będziemy przez to przechodzić?

– Jeśli trzeba.

– Smakujesz jak miętowa guma do żucia.

– To dobrze?

Serce biło mu bardzo szybko.

– Cóż, żeby wydać odpowiednią opinię, musiałbym posmakować jeszcze raz.

Roześmiała się cicho i ruszyła w stronę willi.

– Kierownictwo otrzymało pańskie podanie i rozpatrzy je we właściwym czasie – powiedziała przez ramię.

Musiał się uśmiechnąć. Zanim poszedł w jej ślady, popatrzył na pochyłe pola. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Światła Aix lśniły, rozsypane po niecce doliny. Nisko nad miastem jasno świeciła Wenus. Odwrócił się w stronę domu i zobaczył, że Kate wchodzi już po kamiennych stopniach na taras.

Pokręcił głową, głównie ze zdumienia. Jak można tak szybko przejść od uczucia niepewności i obawy przed wszystkim do nagłego poczucia szczęścia? A potem z powrotem: ponieważ właśnie wtedy przypomniła mu się Melanie na zacienionej trawie rzymskiego teatru w Arles, mówiąca o tym, jak trudno jest znaleźć miłość.

Pomyślał o niej, pomyślał o Ysabel. Wrócił do willi. Mama zawołała go na kolację.

ROZDZIAŁ 16

– Myślę – powiedziała Meghan Marriner – że powinnam się nareszcie dowiedzieć, co się tu dzieje. Kto zacznie?

Zjedli, naczynia zostały sprzątnięte ze stołu. Zmywała je teraz Verakuchnia. Drzwi do kuchni były zamknięte, a rozmawiali po angielsku. Vera najwyraźniej nie widziała noży. Ned nie sprawdzał, ale widział je chyba Steve. Kiedy Phelan rzucił sztyletem, Steve podszedł do kuchennych drzwi i je zamknął.

Ned tego nie zauważył. Pomyślał, że byłoby niezręcznie, gdyby ich kucharka plotkowała o broni. Rana Grega – zadrapanie przez zwierzę – to jedno wydarzenie na wsi; przemoc w willi byłaby czymś zupełnie innym.

Ned patrzył, jak matka bierze kilka kartek papieru do drukarki leżącego przy telefonie i układa je przed sobą obok filiżanki z herbatą. Na nosie miała okulary do czytania.

Zwykle dość dobrze wiedział, o czym myśli jego matka – monitorowanie matki jest rzeczą ważną – ale to były nieprzetarte szlaki. Wciąż zerkał to na nią, to na swoją ciotkę, na włosy rude i białe. Spostrzegł, że ojciec robi to samo, i od razu poczuł się lepiej. Czasami wydawało mu się, że nie są tak bardzo do siebie podobne, a potem zdawał sobie sprawę, że jednak są, i to bardzo.

Meghan rozejrzała się wyczekująco.

Ned odchrząknął.

– To chyba moja opowieść. Zasadniczo. Kate i ciotka Kim mogą mi pomagać w trakcie.

Kate wciąż miała na sobie jego bluzę i bawiła się długopisem. Nie zadzwonili do jej matki w Nowym Jorku. Ned nie wiedział, co Kate powiedziała jego matce – widział, jak rozmawiały ze sobą przed kolacją – ale to najwyraźniej wystarczyło. Wciąż tu była.

Zobaczył, że ciotka Kim, która siedziała naprzeciwko swojej siostry, lekko się uśmiecha.

– Pamiętam to robienie notatek – powiedziała, patrząc na Meghan. – Zawsze miałas przy sobie zielone notesy.

– Niebieskie. Ktoś tu musi być zorganizowany.

– Melanie była – odezwał się Greg.

– To ja spróbuję – zadeklarowała matka Neda. – Żebyśmy mogli ją odzyskać.

Zdjęła skuwkę z pióra.

Ned zaczął mówić. Spodziewał się, że matka będzie mu przerywać, kwestionować jego słowa. Nie robiła tego. Ani przy czaszce i rzeźbie głowy, ani przy róży w krużgankach czy Phelanie zeskakującym z dachu. Nie przerywała, kiedy opowiadał o mdłościach pod górą i walce z psami przed kawiarnią.

Robiła notatki. Kiedy Ned opowiedział o pierwszym telefonie ciotki, spojrzała ostro na siostrę.

– Tego ranka pojechałam do Londynu i tu przyleciałam. Poprzedniego dnia zdałam sobie sprawę z obecności Neda – powiedziała Kimberly. – W moim ogrodzie. Coś takiego nie przydarzyło mi się nigdy przedtem, Meg. Nawet wtedy, dawno temu. Wiedziałam, kim jest i gdzie się znajduje, to było jakby eksplozja w mojej głowie. A potem zniknął. Ale byłam dość pewna, co się właśnie stało. Wszedł do przestrzeni, w której ja się znajduję. – Spojrzała na Neda, a potem na siostrę. – Myślę... wiem, że to ma związek z naszą rodziną, Meg. Więzy krwi. To nie może być nic innego.

– Wasza babka? – zapytał cicho Edward Marriner; siedział w połowie stołu, naprzeciwko Neda.

– Prababka, jeśli ma to jakieś znaczenie – odparła Meg. – Podobno miała dar jasnowidzenia. A przed nią jej ojciec. Mieszkańcy Walii, Irlandii, zachodniej Anglii, wszyscy oni opowiadają takie rzeczy. Zapadło milczenie.

– Mów dalej – poprosiła syna Meghan.

Opowiedział swoją historię. Jego matka pokrywała gładki papier równiutkimi linijkami starannego pisma. Żadnych pytań, żadnych uwag. Mówił o spotkaniu z ciotką przy wieży, o Cadellu i ataku wilków.

– Co powiedziałaś? Żeby je powstrzymać? – zapytał Steve.

Kimberly zerknęła na męża.

– Parę rzeczy o sobie, o miejscu, w którym się znalazłam, kiedy byłam młodsza. O kimś, kogo znałam.

– I to go odstraszyło?

– Nie. Zmusiło do myślenia. Dało pretekst do wycofania się. Chciał wykluczyć Neda z tej historii, nie zamierzał go zabić.

– Ale zrobiłby to, gdyby musiał?

Meghan spojrzała na siostrę.

– Ci dwaj wyrządzili w ciągu wielu lat mnóstwo zniszczeń, skarbie – powiedziała cicho Kim.

– Straty wśród cywilów powstałe na skutek działań wojennych? – wtrącił Steve.

– Mniej więcej – przyznał Dave Martyniuk. – Tu chodzi wyłącznie o nich dwóch i o Ysabel.

– Brys tak nie uważał – powiedział Ned.

– Cofnij się. Wciąż jesteś przy tej wieży – zauważyła matka, patrząc na niego.

Ned cofnął się do wieży. Doszedł do Entremont. Chciał pominąć spacer do tego miejsca, ale Kate mu nie pozwoliła. Uniosła rękę jak dobra uczennica w klasie. Ned przerwał.

– Cały dzień dziwnie się czułam – powiedziała. – Właściwie od chwili, gdy się obudziłam.

– W jaki sposób dziwnie? – zapytała Meghan, patrząc znad okularów niczym lekarka w swoim gabinecie.

Kate się zarumieniła. Opuściła wzrok.

– To się robi krępujące.

– Nie musisz – zaczął Ned.

Znów uniosła rękę.

– Czułam się starsza i... mroczniejsza. Silniejsza. Nie mroczna i zła.

Mroczna i...

Zamilkła, rozejrzała się bezradnie.

– Rozpalona? – podsunęła cicho ciotka Kim.

Kate kiwnęła głową, wpatrzona w stół.

Ned spostrzegł, że Kim wymienia spojrzenia ze swoim mężem.

– Wiem coś o tym. To było Beltaine. Odczuwałaś to poprzez Phelana. I może Neda.

– Dlaczego przeze mnie?

Ciotka uśmiechnęła się łagodnie.

– I to jest właśnie trudne pytanie. Chodzi o naszą rodzinę, o jej długi rodowód. My w tym tkwimy. – Spojrzała na siostrę. – To właśnie przydarzyło się mnie, Meg.

– Ale nic takiego nie spotkało mnie nigdy wcześniej – zaprotestował Ned.

– Wszystko gdzieś się zaczyna, skarbie.

– Zacząłeś się golić dopiero w tym roku, tak? – podsunął życzliwie wuj Dave.

Jego żona spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Mój Boże. Wielkie dzięki za to wyjaśnienie, kochanie. To zdumiewająco niemądra analogia – dodała.

Wuj Dave się zmieszał.

– Chyba nie mogę przestać myśleć o goleniu.

Nastąpiła chwila milczenia. Nikt się nie roześmiał.

– Idziecie do Entremont – podsunęła Meghan Marriner, zaglądając do notatek. – Kate dziwnie się czuje. Mów dalej.

– Zapomniałem wspomnieć, że Phelan mi powiedział, żebym tej nocy trzymał się z dala od tego miejsca. Podśluchał nas z Kate w kawiarni, jak planowaliśmy tę wycieczkę, i przed wyjściem powiedział, żebyśmy tam nie szli, a potem walczyliśmy z psami.

– Próbował was ostrzec?

Ojciec Neda wyglądał na zamyślonego, ale nie sprawiał wrażenia, że to myślenie jest efektywne.

– No to dlaczego tam poszliście? – zapytał Steve.

Uczciwe pytanie. Melanie zniknęła, ponieważ tam poszli.

– Ja go zmusiłam – przyznała się ponuro Kate. – Nazwałam go mięczakiem i w ogóle.

– No tak, to wszystko wyjaśnia – orzekł Greg. – Naprawdę kapuję, nie miałeś wyboru.

Kiedy dziewczyna mówi coś takiego...

Tym razem wokół stołu pojawiło się kilka uśmiechów.

– To nie było daleko – podjął Ned. – Była dopiero piąta, może piętnaście po. Bramę zamykali tam o wpół do siódmej. Na długo przed zapadnięciem zmroku. Powiedział, żebym nie szedł tam podczas Beltaine, a ja sądziłem, że to się zaczyna w nocy.

– Zaczyna się – stwierdziła Kate. – Ale za szybko się ściemniło.

Opowiedzieli wszystko, od czasu do czasu sobie przerywając. O księżycu, o ogniach i byku. O Cadellu, druidzie i przybyłych duchach. O tym jak obok nich pojawił się Phelan. I jak Ned zadzwonił do willi.

O Melanie. I o Ysabel.

Kiedy mówili i kiedy skończyli, wokół stołu panowała cisza.

– Ja po prostu musiałem się przespać – odezwał się z goryczą Greg, jako pierwszy przerywając milczenie.

Kate spojrzała na niego.

– Ja bym zniknęła. Gdybyś przyjechał, ja byłabym teraz Ysabel.

Rozpłakała się.

Meghan wyjęła z rękawa chusteczkę i posłała ją wokół stołu. Spojrzała na Neda i spokojnie kiwnęła głową. Mówił dalej, aż dotarł do Cadella i Brysa na drodze z dzikiem. O jednym nie wspomniał – o tym, co zrobił z rogami Cadella. Opowiedział, jak Brys zaatakował Grega.

– Moje pierwsze Fioletowe Serce – wtrącił się Greg. – Moja mama będzie dumna.

– Potem przyszedł po nas tata i inni, a później rozmawialiśmy z tobą – powiedział Ned, patrząc na matkę.

– A ja zadzwoniłam do Dave’a – rzekła Kim.

Kate przestała płakać. Wciąż trzymała chusteczkę Meg.

– A Dave pilnował mnie w Darfurze. Wiesz, że będziemy musieli o tym porozmawiać – oznajmiła Meghan Marriner, patrząc na szwagra.

– Wiem – odparł wuj Dave. – Dostanę przepaskę na oczy i ostatniego papierosa?

– Wątpię. Ned, doprowadziłeś sprawę do dzisiejszego ranka. Kiedy tu leciałam.

Skończył, opisując jej wydarzenia z Glanum i cementarza. Pomógł mu w tym ojciec, a potem wuj Dave.

Kiedy mówili o złożeniu druida w sarkofagu, zadzwonił telefon.

Wydawał się obcy, natrętny. Nikt przez chwilę się nie ruszał. W końcu ojciec Neda podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Oliver! – powiedział z udawaną radością. – Jak to miło cię słyszeć. Nie, nie, nie, zjedliśmy wczesną kolację. Cóż, północni Amerykanie. Co jest?

Wszyscy przy stole patrzyli na niego w milczeniu. Przez pewien czas Edward Marriner mówił bardzo niewiele. Padło: „Naprawdę?”, a potem: ”To nadzwyczajne”.

A potem powiedział:

– Nie, nie, oczywiście, że to interesujące. Dzięki za telefon. Na pewno powiem reszcie. – I dodał na koniec: – Tak, istotnie moglibyśmy pomyśleć o fotografii.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na wszystkich.

– Właśnie mówili w lokalnym radiu. Godzinę temu ktoś jadący na motocyklu upuścił ciężką torbę przed kawiarnią przy Cours Mirabeau w Aix i czym prędzej odjechał.

– Bomba? – zapytał Steve.

Edward Marriner pokręcił głową.

– Oczywiście tak pomyślano. Oczyszczono ulicę. Kiedy jednak pojawiła się policja z psami, okazało się, że to coś innego. – Spojrzał na Neda. – To była rzeźba głowy i czaszka skradzione z muzeum.

Motocykl. Ned spojrzał na Kate. Nie miał pojęcia co powiedzieć.

– Czy to są te dwa przedmioty, które widział Ned? Pod katedrą? – zapytała matka.

– Na pewno – odparł jej mąż.

Meghan westchnęła.

– Świetnie. Zapisałam to, może się do czegoś przyda. – Spojrzała na Neda, a potem na Kimberly. – To wszystko? Doprowadziliście historię do dzisiejszego wieczoru?

– Mniej więcej – powiedział Ned. – To znaczy na pewno przypomnę sobie coś jeszcze, ale...

Matka kiwnęła głową.

– Ale to jest cała opowieść. Świetnie. Kilka pytań?

– Wiedziałem, że będzie egzamin – rzekł Ned, próbując się uśmiechnąć.

– To ja go zdaję – powiedziała matka. – Albo przynajmniej tak to wygląda. – Spojrzała na swoje notatki. – Wilki, dwa razy, przy tej wieży i na cmentarzu, ale w mieście psy?

Ned zamrugał. Co to ma z czymkolwiek wspólnego? Kiwnął głową.

– Tak.

Meghan zwróciła się do siostry.

– Idę tu wam na rękę, rozumiesz? Nie wyobrażaj sobie, że wszystko kupuję. – Zaczekała, aż Kim skinie głową, i mówiła dalej: – Czy te... duchy zmieniają się w zwierzęta, czy przejmują prawdziwe, tu żyjące? Kim się nad tym zastanowiła.

– Nie wiem. Myślę, że w Aix były psy, ponieważ tam zawsze są psy, a wilki na pewno wywołałyby niepokój.

– Tak myślałam. Ale nie wiesz, co one robią, zmieniają się czy... zajmują?

Kim pokręciła głową. Siostra wciąż na nią patrzyła.

– Ysabel kogoś przejmuje, tak? Kogoś rzeczywistego? Tym razem Melanie, to mogła być Kate. Do tej pory inne kobiety za każdym razem?

Kim powoli skinęła głową.

– Widzę, do czego zmierzasz.

– Dobrze.

Meghan zdjęła okulary i zwróciła się do Grega.

– Cokolwiek się jeszcze stanie, młody człowieku, z samego rana pojedziemy do szpitala, ty i ja. Wściekliczna zabija. Leczenie jest teraz łatwe, ale musi się zacząć szybko. Nie zamierzam dyskutować na ten temat. Na niektóre sprawy możemy nie być w stanie nic poradzić, ale możemy się posługiwać prostymi lekami i zdrowym rozsądkiem. Jeśli nawet te celtyckie duchy wstąpiły w dzikie zwierzę, to i tak nie mamy pojęcia, jaki był jego stan.

Greg otworzył usta. Meghan uniosła palec.

– Cicho, Gregory. Powiemy, że przed zamkniętą bramą cmentarza natknąłeś się na psa bez obroży. Lubisz psy, przykucnąłeś, by go pogłaskać, a on cię zranił i uciekł. Koniec opowieści, koniec pytań. Ja pokazuję moją legitymację Medecins Sans Frontières, podpisuję wszystkie potrzebne formularze, a oni dają mi kolejne dawki. Lubią tu MSF; sami założyli te

organizację. Jutro rano jeden zastrzyk z immunoglobuliny i jedna szczepionka, a potem pięć w ciągu miesiąca. Bardzo proste. Gwarantowana ochrona. Czy to jasne?

– Tak, proszę pani – odparł potulnie Greg.

Ned powiedziałby to samo. Odczuwał przemożną ulgę, że jego matka tu jest, a nie tylko dlatego, że nie ma jej tam, gdzie była wczoraj.

Meghan Marriner odptaszkowała punkt w swoich notatkach. Znowu włożyła okulary i przez chwilę uważnie czytała, a potem podniosła wzrok na siostrę.

– Ten sam problem. Jeśli Ysabel stała się Melanie albo na odwrót, to co to oznacza? Czy Melanie w jakikolwiek sposób w niej jest?

Kim zacisnęła usta.

– Chyba tak. – Spojrzała na męża. – Zdaje się, że Ned to dobrze zrozumiał... mężczyźni wracają jako oni sami, ale ona zostaje wzywana w kogoś i za każdym razem jest trochę inna.

Meghan skinęła głową. – Więc jeśli jest inna, to... tę różnicę stanowi Melanie – dokończyła Kate Wenger.

– To brzmi rozsądnie.

Meghan Marriner uśmiechnęła się.

– Staram się.

– Ale jeśli to wiemy, to co wiemy? – zapytał Steve.

Meghan znów zdjęła okulary.

– Cóż, na początek wyobraźmy sobie, że chciała tym pokierować, coś nam powiedzieć. Co Melanie wie o Prowansji, o Aix, o tym całym terenie?

Podekscytowanie Neda trwało krótko. Spojrzał ponuro na Grega i Steve'a, a potem na tatę. Edward Marriner westchnął.

– Mniej więcej wszystko, kochanie. Przygotowywała się do tego pół roku.

– Jest gorsza od Kate, mamó. Jest gorsza od ciebie – stwierdził Ned.

– No, aż tak daleko bym się nie posuwał – powiedział bez większego przekonania ojciec.

Meghan uniosła brew i spojrzała na syna, a potem na męża.

– Uważajcie, obaj. Możecie napytać sobie dziś biedy.

– Dlaczego ja? Ja nie porównywałem nadprzyrodzonego królestwa z goleniem się nastolatka – zaprotestował Edward Marriner.

– Wciąż uważam, że to była dobra przeñośnia! – odezwał się wuj Dave.

– To właśnie czegoś dowodzi – powiedziała Kimberly. – Lepiej siedzieć cicho. Nikt nie musi wiedzieć, że wciąż tak uważasz.

– Kierownictwo bierze pod rozwagę całą kwestię męskiego zidiocenia – wtrąciła Kate Wenger.

Meghan uśmiechnęła się do niej.

– Święte słowa, dziewczyno.

Ned starannie unikał wzroku Kate. Dokładnie wiedział, dlaczego użyła tego sformułowania. Gdyby napotkał jej wzrok, to albo by poczerwieniał, albo wybuchnął śmiechem, a w tej chwili żadna z tych reakcji nie byłaby pożądana. Odchrząknął.

– Nie chcę oskarżać własnej matki o brak powagi, ale czy to naprawdę a pora na nawiązywanie siostrzanych więzi?

– Nie jest taka zła – mruknęła ciotka Kim.

Patrzyła na Meghan. Ned zamrugał. Pomyślał, że nastroje zmieniają się dość szybko.

Meghan pokręciła głową.

– Nie popędzaj mnie, Kim. – Spojrzała na notatki. – Więc mówicie, że chociaż Melanie bierze w tym udział, niczego nie możemy przewidzieć?

– Może możemy – rzekła Kim. – To dobra myśl, Meg. Tyle że jeszcze nie wiem co.

Steve uniósł rękę. Wyglądało na to, że wszyscy naśladują gest Kate.

– Wiecie co, wiele bym postawił na to, że to przez Melanie mamy do czynienia z poszukiwaniem, a nie walką.

– To też brzmi rozsądnie – rzekła Kate. – Byli naprawdę tym zaskoczeni. I wcale im się to nie podobało.

– Dlaczego?

– Chcą się nawzajem pozabijać – wyjaśnił Ned.

Meghan się zawahała, a potem coś zanotowała i postawiła kolejnego ptaszka.

Jego matka miała jeszcze inne notatki i pytania. Żadne nie doprowadziło do jakichś sensacyjnych wniosków.

Zapytała, po co Phelan w ogóle schodził pod baptysterium. Czego tam szukał. Ned nie wiedział, ciotka Kim też nie.

– Gdybym miał się domyślać... – zaczął Ned.

– Możesz to robić, kochanie – orzekła jego matka. – Nie będzie odejmowania punktów.

– Powiedział coś o znalezieniu go – tego drugiego gościa – na czas. I że nigdy mu się to nie uda. – Tak naprawdę powiedział, że „Świat się skończy”. – Może chciał zabić Cadella przed wezwaniem?

– Ale wtedy ona by się nie pojawiła – powiedział ojciec – jeśli cokolwiek z tego rozumiem.

– Wiem – rzekł Ned. – Dlatego tylko się domyślam. Myślę... myślę, że jest naprawdę zmęczony.

Zapadło krótkie milczenie.

– Któż mógłby przewidzieć, że serce się zestarzeje – powiedziała ciotka Kim i zaraz dodała: – To Yeats, nie ja.

„Powietrze, którym oddycham, to ona – albo pragnienie jej”. To nie brzmiało jak wyznanie znużonego serca.

– Myślę, że to naprawdę skomplikowane – stwierdził Ned.

– Aha, to kupuję – powiedział Greg.

Tym razem matka Neda postawiła na kartce kreseczkę, a nie ptaszka. Zapytała, kiedy została skradziona rzeźba z podziemia i kiedy mogła zostać wykonana. Wiedzieli, że kradzież nastąpiła niedawno. O wykonaniu nie mieli pojęcia. Ptaszek, kreseczka.

Meghan chciała wiedzieć, co się wydarzyło w Beziers. „Bóg pozna swoich”. Na to pytanie odpowiedziała Kate. Dobra uczennica. Kolejny ptaszek. Kolejne pytania, różne znaczki na papierze, księżyc pojawiający się na niebie. Ned poczuł nagły przypływ miłości do matki. Wbrew ciężarowi stuleci – wbrew druidom, czaszkom i wilkom, rytuałom krwi, ognia i ludziom, którzy potrafili niczym leśny bóg wyhodować sobie na głowie rogi albo latać – usiłowała zaprowadzić w tym wszystkim ład i klarowność.

Zobaczył, że odkłada pióro, zdejmuje i składa okulary. Potarła powieki. Pomyślał, że to był dla niej długi, zdumiewająco ciężki dzień.

Kate przeprosiła i poszła zadzwonić do domu Marie-Chantal, by powiedzieć, że znowu nie wróci na noc. Ned miał wrażenie, że rodzice Marie-Chantal nie bardzo się martwią o swego gościa, ale o nic nie pytał. Cieszył się, że Kate zostaje. Istniały po temu rozmaite powody.

W obliczu braku lepszego pomysłu postanowili trzymać się dotychczasowego planu i przeprowadzić nazajutrz takie same poszukiwania. Kate miała rację – podzielili się na trzy grupy.

– Chcę wrócić do Aix – powiedział nagle Ned.

Nie zamierzał tego mówić, ale interesujące było, że wszyscy po prostu przyjęli jego prośbę i zdali się na niego. Nawet jego matka. To już wykraczało poza „interesujące” i właściwie zatracąco o „surrealistyczne”.

Verakuchnia poszła już do domu. Greg udał się do kuchni, by zaparzyć kolejny dzbanek herbaty. Kate, Kim i wuj Dave zostali przy stole i pochyleni nad mapą, rozdzielali trasy. Rodzice Neda włożyli swetry i wyszli na taras. Widział ich przez szklane drzwi; krzesła ustawili blisko siebie. Mama dotknęła ramienia ojca.

Steve włączył telewizor i oglądał mecz piłki nożnej. Ned usiadł obok niego na kanapie. W końcu Greg przyniósł herbatę i dosiadł się do nich.

Na ekranie jedna drużyna miała rzut różny i ktoś wbił piłkę do bramki głową. Piłkarz szalał z radości, podobnie jak komentatorzy i kibice.

Kiedy przyszła pora snu, sytuacja zrobiła się interesująca pod innym względem, ponieważ teraz brakowało im jednego łóżka. Ned miał w swoim pokoju dwa pojedyncze łóżka, ale nie sądził, by Kate się tam przeniosła.

To był dobry pomysł. W końcu wuj Dave przyszedł na górę do Neda, a Kate została w sypialni na parterze z ciotką Kim.

Ned myślał, że może trochę porozmawia z wujem. Miał swoją własną, naprawdę długą listę pytań. Głównie o rodzinę. Był też jednak straszliwie wyczerpany i zasnął niemal natychmiast po tym, jak zgasili światło.

Znów się obudził w środku nocy.

Tym razem nie z powodu zmiany czasu. Był zdezorientowany i się bał. Z mocno bijącym sercem usiadł w łóżku. Po minucie wstał cicho i podszedł do okna. Spojrzał na trawę i basen. Nic tam nie widział. Popatrzył na zegarek. Było po drugiej.

– Co się stało, Ned?

Nie zachowywał się tak cicho, jak sądził.

– Nie wiem. Coś mnie obudziło.

Bolała go głowa.

To sprawiło, że zajrzał w głąb siebie.

Kolejny dobry pomysł. Znalazł własną aurę i aurę ciotki Kim, śpiącej na dole. Była i trzecia obecność, też złocista, ale o czerwonym odcieniu – i pulsująca: to jasna, to przyćmiona, to jasna, to przyćmiona, jak latarnia morska.

– Mam – powiedział do wuja. – Gdzieś tu niedaleko jest Cadell i chyba mnie woła.

– Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć?

To było nieładne, nawet jeśli nie znosił takich pytań... a potem jednak uświadomił sobie, że właściwie zna odpowiedź, bo coś sobie przypomniał.

– Mogę się założyć, że jest ranny. Widzieliśmy z Kate, jak próbował lecieć.

Wuj wstał; w ciemności zarysowała się jego potężna sylwetka.

– Nie mógł tego zrobić, Ned. Miał wbity nóż w mięsień ramienia.

– Idź mu to powiedz.

Zapadła cisza. Wuj westchnął.

– Dobrze – powiedział Dave Martyniuk. – Zróbmy to. Potrafisz go znaleźć?

– Nie wiem, ale jeśli naprawdę mnie woła, to mam pomysł. Dlaczego... dlaczego chcemy wyjść?

Gdyby go ktoś zapytał, przyznałby, że jest przerażony. Wuj się ubierał.

– Bo jesteśmy zagubieni, nie mamy dobrych pomysłów.

– On też jest zagubiony. Dlatego do nas przyszedł. Martyniuk wzruszył ramionami.

– Czasem ślepi prowadzą ślepych.

– Tak, prosto w przepaść. – Ned włożył dżinsy i bluzę od dresu. – Powinniśmy wziąć ze sobą ciotkę Kim. Jeśli mam rację, to znów będzie potrzebował lekarza.

– Kim i twoją matkę – rzekł wuj.

– Mamę?

Oczy już na tyle przyzwyczyli mu się do ciemności, że zobaczył, jak wuj kiwa głową.

– Nadal czuje się wyłączona z tego wszystkiego. Boi się. Boi się historii twojej rodziny. Dlatego spotkaliśmy się dopiero dzisiaj. Musisz ją w to wciągnąć, Ned. I musisz to być ty. – Zawahał się. – Być może jeszcze się nad tym nie zastanawiałeś, ale to, co ci się tu przytrafiło, nie zniknie po naszym wyjeździe.

Ned się nad tym nie zastanawiał.

Poszli wzdłuż korytarza i Dave zastukał cicho do drzwi głównej sypialni. Matka Neda miała lekki sen.

– O co chodzi? – usłyszeli.

– Jesteś nam potrzebna, Meghan. Przepraszam. Możesz zejść na dół?

Zeszli, nie czekając na nią. Zastukali do drzwi sypialni na parterze.

Kilka chwil później w kuchni znalazło się sześć osób; zapalili lampkę nad kuchenką, żeby światło nie było zbyt jaskrawe. Nedowi przyszła do głowy wywrotowa myśl, że może Kate pojawi się znów tylko w bawełnianej koszulce, pokazując nogi. Niestety, miała na sobie dżinsy i jego bluzę McGill.

Wuj Dave opowiedział, w czym rzecz.

– Możemy wszyscy pojechać furgonetką – stwierdził ojciec Neda. – Ja poprowadzę.

Dave Martyniuk pokręcił głową.

– Za dużo nas, niepotrzebnie. Wezmę Neda i lekarki. Edwardzie, naprawdę na nic się nie przydasz, a Kate to już na pewno nie.

– Cztery lata ćwiczyłam karate? – podsunęła optymistycznie Kate. – Do dwunastego roku życia.

Ned się uśmiechnął, podobnie jak pozostali.

Edward Marriner wyglądał, jakby miał ochotę zaprotestować, ale ciotka Kim go ubiegła.

– Dave może nas zawieźć – powiedziała – i zostanie przy samochodzie. Ned nas zaprowadzi.

– To nie ma najmniejszego sensu – zaproponował błyskawicznie jej mąż. – Kim...

Ciotka uniosła palec wskazujący.

– Po pierwsze, nawet nie możesz swobodnie chodzić, *cher*. Później znów ci zabandażuję kolano. Naprawdę źle wylądowałaś. – Wyprostowała drugi palec. – Po drugie, nawet z tą kontuzją bardzo łatwo mógłbyś wszcząć walkę albo dać się sprowokować. Widziałam, jak krążyliście wokół siebie.

– Nie krążyłem! Mam, no, tego, uszkodzone kolano!

Jego żona się nie roześmiała.

– Posłuchaj, Dave. Jeśli poleciał, to dlatego, by postawić na swoim, pokazać, że Phelan nie jest w stanie go powstrzymać, a nasze zakazy są nieważne. Lecz rana go zmogła.

– Oczywiście – odezwała się Meghan.

– Wiem. Ale pamiętaj o chromosomie Y. Męskie zidiocenie. Więc może czekać tam i rwać się do bitki, bo musiał poprosić o pomoc.

– Doskonała logika – rzekł Dave. – Więc zostawcie mnie, a on rzuci się na Neda?

– Nie rzuci się – stwierdził Ned.

I znów ta nowa reakcja na jego słowa, nieoczekiwany szacunek.

– Zabiorę torbę – powiedziała matka. – Ned, weź kurtkę, na dworze będzie zimno.

Dorośli wyszli z kuchni. Kate została jeszcze chwilę.

– Oddać ci bluzę?

Udało mu się krzywo uśmiechnąć.

– A co pod nią jest?

– Chyba ja. Ale bawełniana koszulka też.

– A niech to. Jedynym powodem, dla którego wszystkich obudziłem, była chęć zobaczenia, czy znów błysniesz nogami.

– Tak sądziłam. – Odchrząknęła. – Głupio bym się czuła, mówiąc, żebyś uważał na siebie.

– Mów, nikomu nie powiem.

– Boisz się?

– Tak.

Spojrzała na niego.

– Bądź ostrożny. Skinął głową.

Wuj Dave zaparkował w miejscu wskazanym przez Kim, przy szlabanie, oddzielającym drogę od ścieżki do biegania. Zgasił silnik i wszyscy wysiedli.

– Włączcie komórki – powiedział. – Nie ruszam się stąd.

– Gotów przykuśtykać na pomoc? – zapytała jego żona. – Nie żartuj, Kim.

Uśmiechnęła się do niego w blasku księżyca. Ned zobaczył, że jego matka patrzy, jak ciotka Kim obejmuje męża i unosi twarz do pocałunku.

– Przykro mi, kochanie – powiedziała. – Ale mam rację, i wiesz o tym.

Dave wciąż miał taką minę, jakby się chciał spierać.

Ned obszedł szlaban z matką i ciotką, idąc za promieniem latarki. Było dalej, niż pamiętał. Księżyc mieli przed sobą. Chmury pędziły po niebie, zasłaniając go i odsłaniając. Nikt nic nie mówił. Ned uzmysłowił sobie, że siostry są razem po raz pierwszy od czasu, gdy jego matka była nastolatką.

Pod pewnym względem wolałby się znaleźć gdzie indziej. A potem zdał sobie sprawę, że nie musi tu być. Po tym, jak się obudził ze świadomością, że woła go Cadell, nie wnosił do tej sytuacji już nic nowego. Ciotka Kim wyczuwała go z taką samą łatwością, jak on.

Uznał, że znajduje się tu jako bufor. Żeby mogły być razem. Albo może żeby trzymać latarkę.

Kopnął kamyk leżący na ścieżce, usłyszał, jak pofrunął w mrok.

– Zwykle nie jest dobrym pomysłem mówienie o dzieciach w ich obecności, ale nie miałam okazji ci powiedzieć, że naprawdę lubię mojego siostrzeńca – odezwała się cicho Kim, idąca po prawej stronie Neda.

Idąca z lewej strony matka milczała. Ned kopnął następny kamyk, było tu cicho i zimno. Wyglądał przed sobą okrągłej wieży bez dachu.

– Nie masz dzieci – powiedziała Meghan. – Z wyboru?

Wyglądało na to, że w noc wkroczyło coś bardzo trudnego.

– Nie bezpośrednio – odpowiedziała w końcu ciotka. – To skutek wyboru innego rodzaju, dokonanego dawno temu. Chciałabym mieć dzieci. Dave też. Uczyłby ich gry w koszykówkę czy coś takiego.

Mówiła urywanymi zdaniami. Ned pomyślał, że to nie jest jej zwykły ton. Jakby się starała zapanować nad głosem.

Cisza, która nastąpiła, grała mu na nerwach. Odchrząknął.

– Tak, rzuty osobiste i tak dalej.

– Właśnie – powiedziała bardzo cicho ciotka Kim.

– Adopcja nie wchodziła w rachubę? – zapytała matka Neda. Kolejne kilkanaście kroków. Ned wodził światłem latarki po ścieżce przed nimi. Teraz naprawdę chciał się znaleźć gdzie indziej. Jego ciotka westchnęła.

– Och, Meg. To wszystko było tak dawno temu. To by wyglądało, jakbym czegoś unikała, jakbym się obok czegoś cichcem przemykała.

– Co? Myślałaś, że zasługujesz na bezdzietność? – zapytała ostrym tonem matka Neda.

– Zasługiwałam na coś za podjętą decyzję. I tyle.

– I jesteś tego pewna, Kim? Wiesz, że dlatego nie mogłaś?

– Och, kochanie. Meg. Tak, wiem.

Matka Neda zakłęła w ciemności. Nie przeprosiła. Ned trzymał język za zębami.

Z prawej strony dobiegło parsknięcie i szuranie. Szybko poświecił tam latarką, ale wzdłuż ścieżki ciągnęły się gęste zarośla i Ned nic nie zobaczył.

Znów spojrzął przed siebie i na końcu ścieżki spostrzegł wieżę; nad nią wisiał księżyc, a za nią teren opadał w dół.

Meghan się zatrzymała, wpatrzona w pozbawioną dachu ruinę, w jej upiorną samotność. Ned i ciotka Kim już tu kiedyś byli; ona nie.

– Mogłabym zacytować Browninga – powiedziała.

– Za pierwszym razem też o tym pomyślałam – mruknęła ciotka.

– A ja nie – odezwał się Ned. – Głównie dlatego, że nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie.

Obie się uśmiechnęły, wymieniając spojrzenia.

– Pewnego dnia będziesz miał – powiedziała matka. – Nieważne.

Chodźmy.

Zawołała Cadella po imieniu i podeszła do barierki otaczającej wieżę. Ned się zastanawiał, co zrobią, jeśli go tu nie będzie, lecz w tym momencie ciemność po drugiej

stronie się poruszyła i zamieniła w kształt. Celt podszedł i stanął przed prowizorycznym ogrodzeniem.

– Dlaczego tutaj? – zapytała Meghan Marriner.

Cadell wzruszył ramionami. Trzymał się za lewe ramię.

– Chciałem odpocząć. Znam to miejsce. A potem uświadomiłem sobie, że w takim stanie mógłbym mieć trudności z zejściem do miasta.

Ned poświecił latarką na jego ramię i się skrzywił. Bandaż był rozdarty, a koszula przesiąknięta krwią. Na ręce podtrzymującej ramię też widniała krew. Matka Neda nic nie powiedziała.

– Ned, daj tu latarkę, będziesz musiał ją potrzymać – poleciła gniewnym tonem ciotka Kim. – Ty siadaj na tym głazie. Jeśli zrobię to jeszcze raz, spróbujesz nie latać?

Rosły mężczyzna spojrział na nią z góry. Ned zobaczył jego uśmiech. Wiedział, co usłyszy, zanim Celt otworzył usta.

– Nie – odparł Cadell. – Tego nie mogę zrobić.

– A więc zrobimy to teraz, a potem powtórzymy?

Przeszedł przez niskie ogrodzenie i posłusznie usiadł na głazie. Ned pamiętał, że ostatnim razem były tu wilki.

– Niczego od ciebie nie oczekuję – odezwał się cicho Celt. – Jestem wdzięczny, że przysłaś. – Spojrział na wszystkich troje. – Tylko chłopiec?

A gdzie wojownik? – zapytał z rozbawieniem.

– Dave? Czeka w samochodzie.

Cadell wybuchnął śmiechem.

– Bałaś się o jego życie. Mądrze postąpiłaś. Sięgająca do jego koszuli ciotka Kim znieruchomiała.

– Naprawdę? Bałam się, że mógłby cię zabić, nawet gdyby się starał tego nie zrobić. I jak ja to rozumiem, gdyby cię zabił, stracilibyśmy Melanie. Następna uwaga?

Mówi jak mama, pomyślał Ned. Bardzo precyzyjnie.

Mężczyzna siedzący na kamieniu podniósł wzrok na Kim, jakby mógł przeniknąć przez ciemność jej myśli. Ned oświetlał jego ramię; stwierdził, że oddycha szybciej.

– Wierzysz w to? W swoje słowa? – mruknął Cadell.

– Tak.

– Jeszcze nie rozumiesz, z czym masz do czynienia, prawda? – zapytał z rozbawieniem.

– Chyba rozumiem. Chyba wszyscy już to rozumiemy. Zdaje się, że to ty poniesiesz klęskę.

Wzięła od siostry nożyczki i zaczęła ciąć koszulę. Tym razem była to koszula wuja Dave'a. Koszulka Cadella została pocięta, kiedy Kim robiła to pierwszy raz, w willi.

– Nie każdy mężczyzna, który walczył pod Waterloo, Crecy czy Pourrières był wojownikiem – powiedział cicho Celt. – Obecność na polu walki sama w sobie nic nie znaczy.

– Prawda. Zaczynasz sprawiać wrażenie mniejszego idioty – rzekła Kimberly, nie przerywając pracy. – Znam nawet kilku mężczyzn – trzech czy czterech – którzy z całą pewnością mogliby pokonać mojego męża, ale nie jestem przekonana, czy jesteś jednym z nich, zwłaszcza z rozwalonym ramieniem.

– Nabieram chęci, by go wypróbować dla samej przyjemności.

– Wiem. Dlatego został przy samochodzie. Tu chodzi o Melanie.

– Melanie odeszła – stwierdził Cadell. – Musisz się z tym pogodzić. Tak naprawdę to tu chodzi o Ysabel. Zawsze o nią chodzi.

– Nie. Ani dla ciebie, ani dla tego drugiego. I nie dla nas – powiedziała Meghan Marriner.

Podowała Kim sterylne gaziki, by siostra mogła jeszcze raz oczyścić ranę.

– Mamy pewność, że ominął nerw barkowy? – zapytała matka Neda.

Jej siostra skinęła głową.

– Inaczej nie mógłby ruszać ręką. Nie jest uszkodzony żaden duży mięsień. Istnieje tylko ryzyko infekcji. Nóż był w bucie.

– Masz aktualne szczepienie przeciwko tężcowi? – zapytała Meghan. – Masz książeczkę szczepień?

Ciotka Kim wybuchnęła śmiechem. Cadell milczał. Ned patrzył, jak ciotka szybko odsłania ranę.

– Oczywiście nie mogę tu założyć szwów i nadal uważam, że nie trzeba tego robić.

– Oczyścić, usunąć zbędne tkanki, antybiotyki.

– Tak.

Cadell przez cały czas milczał i siedział nieruchomo. Mijał czas, wiał wiatr. Było naprawdę zimno. A potem mężczyzna, który ich tu sprowadził, odezwał się cicho:

– Nigdy jej nie widzieliście. Nie macie jak uświadomić sobie, co to jest. Kim jest. Mówicie, że rozumiecie, ale to nieprawda. Chłopak wie.

„Powietrze, którym oddycham, to ona – albo pragnienie jej”. Ciotka Kim spojrzała na Cadella. Wydawało się, że z wahaniem dobiera słowa.

– Twoja miłość – powiedziała w końcu – nie jest pierwszą, która trwa przez wiele żywotów. Nie jest nawet druga. Wybacz mi, jeśli kogoś spośród nas cenię bardziej niż twoją namiętność.

Ned zamrugał. Nie tego się spodziewał. Cadell nabrał tchu. A potem znów się uśmiechnął.

– Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem żałować twojego męża.

– Powiedziałaś, że tak, ale chyba nie cierpi aż tak bardzo – odparła Kim, przykładając gazę do rany. Spojrzała swemu pacjentowi w oczy. – I mógłby ci dać tę samą odpowiedź, co ja.

Cadell patrzył na ciotkę Neda. A potem się odwrócił i popatrzył na Meghan, wreszcie na samego Neda. Ciotka Kim bandażowała w milczeniu ranę. Ned trzymał latarkę i patrzył ponad jej światło na wieże i gwiazdy.

– Po co umieściłaś tę czaszkę i rzeźbę pod katedrą? – zapytał, powodowany impulsem.

Cadell spojrzał na niego. Wydawał się naprawdę zaskoczony.

– Dlaczego twoim zdaniem to zrobiłem?

– Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłaś.

– Nie, to znaczy, dlaczego sądzisz, że to byłem ja?

Ned poczuł, że się czerwieni.

– No, właściwie...

– On ci powiedział, że to ja?

To się wciąż zdarzało z tymi dwoma. Nigdy nie potrafił wychwycić równowagi. Teraz usiłował sobie przypomnieć, czy Phelan rzeczywiście tak powiedział.

– Dał nam to do zrozumienia.

– A dlaczego miałbym zrobić coś takiego?

– Żeby... żeby go przywabić. Bo cię szukał?

– Tam na dole? Naprawdę? Ned przełknął ślinę.

– Od tysiąca lat nic tam nie było – powiedział Cadell. – więc... więc co on by...?

– Chciał wciągnąć ciebie. To oczywiste.

– To wcale nie jest oczywiste.

– Ależ jest.

– Ale dlaczego?

– Wyczuł cię, rozpoznał w tobie kogoś mającego związek z tym światem.

– Zanim sam się o tym dowiedziałem? Bo nigdy przedtem...

– To się może stać – wtrąciła ciotka. – Tak było w moim wypadku, ktoś mnie rozpoznał, zanim cokolwiek rozumiałam.

– Ale dlaczego miałbyś chcieć mnie? – zaprotestował Ned.

– Szuka dróg zrównoważenia sytuacji – powiedział zaskakująco łagodnym głosem Cadell.

– Groził nam nożem!

– Jednym ze swoich noży – poprawił sucho Celt.

– Ani razu nie poprosił... nigdy nie...

Nagle trudno mu było formułować myśli, nadawać słowom sens. Na próżno usiłował odtworzyć w głowie ten pierwszy ranek.

– Rzymianin? Miałbyś o coś prosić? – W głosie Cadella wciąż brzmiała wesołość. – Nigdy by tego nie zrobił. Wprawia wydarzenia w ruch i bierze to, czego może użyć.

– Powiedział, że lubisz gry.

– To prawda.

– Wciąż mi powtarzał, żebym się trzymał z daleka. Że nie ma dla mnie roli.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Cadella.

– Znasz jakiś lepszy sposób na przyciągnięcie młodego człowieka? Do czegokolwiek?

Ned poczuł falę gniewu.

– Te psy przed kawiarnią to była twoja robota?

– Moja.

– Jakaś gra?

– Mówiłem ci, nie spodziewałem się, że wyjdiesz. On też nie.

– To nie ma sensu! – krzyknął Ned. – Kiedy miałbyś czas na kradzież tych przedmiotów? I zanieśenie ich do katedry? Dlaczego ta rzeźba była do niego podobna?

– To nietrudne. Dawno temu wyrzeźbił dla niej swoje popiersie. Mógłbyś o tym pomyśleć. Który z nas jest rzeźbiarzem? Ned przełknął ślinę.

– Jeśli chodzi o resztę... obaj wyczuliśmy cię, gdy tylko tu przybyłeś. Ja byłem ciekawy, on, jak się wydaje, nieco więcej niż ciekawy. Potrzebował cię bardziej. Nietrudno byłoby się dowiedzieć, kim jest twój ojciec, oraz dokąd się wybierał tamtego ranka, Ned.

Po raz pierwszy użył jego imienia.

– Wyobrażam sobie, że jeśli zadasz sobie trud sprawdzenia, to się okaże, że oba przedmioty zostały skradzione z magazynu muzeum w noc poprzedzającą dzień, w którym je znalazłeś. Miał je ze sobą i obserwował, czy tego ranka wejdiesz do katedry. Gdybyś nie wszedł, spróbowałby czegoś innego. Albo i nie. Nigdy nie ma tylko jednego pomysłu.

– O Boże – powiedział Ned.

– Mamy ci wierzyć? – zapytała cicho Meghan Marriner.

Cadell spojrzał na nią.

– Przybywając tu, daliście mi bardzo wiele, za co jestem wam wdzięczny. To dług. Nie mam powodu kłamać.

Zapadło milczenie. Nad nimi wznosiła się okrągła wieża. Jak tło.

– Powiedziałem mu coś – rzekł Ned. – Kiedy odchodził.

– To znaczy?

Głos Cadella się zmienił, wznosił się nieco wyżej. Ned nabrał tchu.

– Powiedziałem mu, że wyczułem ją... Ysabel... na tym cmentarzu.

Znów to napięcie, jakby otaczające ich powietrze było rozwibrowanym instrumentem strunowym.

– A teraz jesteś na niego zły i mówisz mnie?

– Czuję się oszukany.

Cadell pokręcił głową.

– Robi, co może. Nie walczymy w ten sam sposób.

– Nie potrafi latać ani wzywać duchów – mruknęła Kimberly.

– Nie.

– I musi tam być podczas wezwania?

Celt skinął głową.

– Inaczej ryzykuje. Zdarzało się, że przychodziła do mnie po prostu dlatego, że go tam nie było.

– To nieuczciwe – stwierdziła Meghan Marriner.

– A co byłoby uczciwe? – zwrócił się do Neda. – Musisz usłyszeć, co się staram powiedzieć: wszystko inne, wszystko inne jest bez znaczenia. Tu chodzi o nią. Zawsze chodziło o nią, od czasu kiedy przeszedł przez las.

Ned odwrócił wzrok i zacisnął pięści.

– Świetnie. Nikt z nas w ogóle się nie liczy. Chwytam. Dobra, teraz powiedziałem wam obu. Macie równe szanse.

– On je wyrównał – powiedziała Kim, wciąż nie podnosząc głosu. W willi. Zranił się.

Cadell wybuchnął śmiechem. Teraz jego wesołość rozżłościła Neda. Przyznaję, że ja bym tego nie zrobił. Jest innym człowiekiem. Celt wstał, bielejąc bandażem w świetle księżyca. Kiedy się poruszał, tato się wrażenie swobody i siły.

– Muszę iść.

– Czy to, co Ned powiedział o cmentarzu, ma jakieś znaczenie? – Zapytała Kim.

– Oczywiście, że ma. Miejsce, w którym była?

– Pójdiesz tam teraz?

Cadell skinął głową.

– Może nawet go tam spotkam. To byłoby zabawne. – Zerknął na Neda. – Powiem mu, że cię rozczarował.

– Nie możecie ze sobą walczyć – powiedział szybko Ned.

Cadell się uśmiechnął.

– Wiem. Przecież tego zakazała, prawda?

Odwrócił się, by zejść w dół do miasta. Zatrzymał się i obejrzał. Phelan tego nie zrobił.

– Oddalcie się od nas – powiedział Celt. – Dajcie sobie spokój. Zrobicie sobie krzywdę. Nie musi tak być.

A potem poszedł ścieżką i zniknął w ciemności.

Matka Neda spakowała swoje narzędzia. Kiedy skończyła, ruszyli, w drogę powrotną. Ned nie zapalał latarki, księżyc dawał dość światła. Szedł przodem, słysząc za sobą matkę i ciotkę.

– Domyślam się, że wszystko z tego rozumiesz? – powiedziała Meghan.

Ciotka Kim przeszła kilka kroków w milczeniu.

– Trochę. Nie szczegóły, ale wiem, że takie rzeczy się zdarzają.

– Wiesz z powodu przeszłości?

– Oczywiście.

– A Ned jest... taki jak ty? – zapytała niepewnie matka.

– Nie całkiem taki sam, ale tak. Znasz rodzinne opowieści, Meg. Wyrastałaś wśród nich.

– Wiem. Nie podobają mi się.

– Wiem.

Gwiazdy na niebie i wiatr. Ned nałożył kaptur kurtki. Wciąż usiłował dojść do ładu z gniewem, z tym nowym uczuciem, że pierwszego ranka Phelan się nim posłużył. Kanciarz, gość prowadzący grę w trzy kubki przy stoliku na ulicy. Wciągnął go tym podziemnym oszustwem. A każąc mu odejść w krążankach, wabił go na inny sposób?

Pamiętał wściekłość, z jaką mężczyzna zeskoczył z dachu. To chyba nie było udawane? Może... może Ned zadziałał szybciej, zbliżył się bardziej, siedział więcej, niż Phelan się spodziewał?

Jasne. Jakby umiał to rozgryźć.

Włożył ręce do kieszeni. Spróbował zobaczyć sytuację z punktu widzenia Phelana.

Dysponując duchami, Cadell miał nad nim przewagę liczebną, zbliżało się Beltaine, Phelan miał o wiele mniej mocy od przeciwnika, musiał się dowiedzieć, gdzie nastąpi wezwanie, i wtedy pojawił się dzieciak mający związki z ich światem...

Ned westchnął. Rozumiał.

Tylko że nie mógł przewyciężyć tego gniewu. Ta wersja opowieści sprawiła, że poczuł się taki naiwny, niedoświadczony. Zmusił się do przywołania obrazu Phelana z Entremont, mówiącego im, kiedy mają opuścić to miejsce, żeby ocalić życie. Cadell by ich tam nie zabił, ale Brys tak. I tamtej nocy mógł to zrobić.

Trudno było podsycać gniew i równie trudno było się go pozbyć.

Znów usłyszał głos matki.

– Kim, czy ty masz pojęcie, jakie to dla mnie trudne?

– Oczywiście.

– Zastanawiam się. Nie mogę stracić Neda tak, jak straciłam ciebie. To przyciągnęło jego uwagę.

Po kilku krokach ciotka powiedziała ostrożnie:

– Ja zostałam zmieniona, Meg, a nie utracona. Może to była moja wina, ale nie potrafiłam ci tego ułatwić. Kiedy mogłam już to zrobić...

– Było za późno. Stara historia?

– Stara historia – zgodziła się ciotka Neda.

Przez jakiś czas słyszał tylko ich kroki. A potem matka zapytała cicho:

– Czy oni umarli? Twój przyjaciele?

Ned wyteżył słuch. To wszystko było dla niego nowe.

– Jeden – mruknęła ciotka Kim. – Kochany człowiek. Tak naprawdę wszystko uratował. Jeden tam został. Jedna z nas... odkryła, kim jest, i w końcu znalazła radość. Dave i ja wróciliśmy do domu.

– I zostaliście ukarani?

– Och, Meg. Nie wracajmy do tego. Zrobiłam coś ważnego. Czasami płaci się jakąś cenę. Jak ty, kiedy wyjeżdżasz do stref działań wojennych.

– To nie to samo. Nawet w przybliżeniu.

– Prawie to samo.

Matka Neda wydała dźwięk, który można by uznać za śmiech.

– Zachowujesz się jak starsza siostra. Usiłujesz mnie pocieszać.

– Do tej pory nie miałam po temu okazji. Znów ten niby-śmiech.

– Kiedy wróciłaś, jeszcze ci to utrudniłam, prawda?

Ciotka Kim nie odpowiedziała. Ned uświadomił sobie, że nie mogła: musiałaby albo skłamać, albo przyznać, że jej siostra ma rację, a zapewne nie chciała robić ani jednego, ani drugiego. Słuchając tego, znów się poczuł intruzem. Przyspieszył kroku, wysforował się do przodu. Wyjął komórkę i zadzwonił do wuja. Połączenie zostało odebrane po pierwszym sygnale.

– Gdzie jesteście?

– Wracamy. Wszystko w porządku.

– Wszyscy?

– Nic nam nie jest. To było dość emocjonalne.

Wuj milczał.

– Naprawdę – zapewnił Ned. – Nic nam nie jest.

– Gdzie jest Kim i twoja mama?

– Tuż za mną. Rozmawiają.

– O.

– Będziemy za kilka minut.

– Jestem tu – odparł wuj.

Nie było go przez całe życie Neda. Miło to zabrzmiało.

– Nie będziemy mieli dużo czasu. Musimy się teraz skupić, żeby ją odzyskać.

Nauczycielka matematyki cały czas mówiła o skupianiu się. Wuj odchrząknął.

– Ned, chciałem ci o tym powiedzieć, zanim poszliśmy spać. Powinieneś pomyśleć o możliwości, że jej nie odzyskamy. Zrobimy, co w naszej mocy, ale nie zawsze moż...

– Nie – przerwał mu Ned Marriner. – Nie ma mowy. Odzyskamy ją wuju. Ja ją odzyskam.

Przerwał połączenie.

Stwierdził, że idzie szybciej, ponaglany raptem wielką niecierpliwością, gniewem i strachem. Chciał pobiec, spalić trochę tych emocji.

Usłyszał przed sobą jakiś dźwięk.

To samo szuranie i prychanie, które zaniepokoiło go po drodze do wieży. Ned stanął jak wryty. Matka i ciotka zostały daleko w tyle.

Właśnie miał zapalić latarkę, kiedy w blasku księżyca zobaczył dzika.

Był taki, jak Ned pamiętał. Ogromny, jasny, niemal biały, chociaż częściowo sprawiało to światło księżyca. Zwierz stał nieruchomo na ścieżce – tak jak poprzednio na szosie poniżej.

Dzik patrzył Nedowi w oczy. Ned już wiedział, że to nie jest zwykły *sangler* jak te, które zryły pole obok willi.

Czuł ból w piersiach, jakby chciało się z nich wyrwać na wolność zbyt wiele uczuć.

– Cadell odszedł – powiedział. – Zszedł drugą stroną. Brysa też nie ma. Tego druida? On odszedł. Przykro mi. Jestem tylko ja.

Nie miał pojęcia, czego się spodziewał. Doczekał się tego, że dzik po chwili stanął do niego tyłem. Odwrócił się ku wschodowi, jak Ned – jakby odrzucał chłopaka oraz wszystko, co powiedział. Jakby powiedzenie „tylko ja” nie znaczyło dla dzika nic albo mniej niż nic. Jakby Ned nic nie znaczył, jakby nie był wart spojrzenia.

Dzik obejrzał się na chłopca, a potem odbiegł – zdumiewająco zwinnie – w zarośla obok ścieżki i dał się pochłonać nocy.

– A cóż to, u diabła, znaczyło? – zapytał Ned.

Dołączyły do niego kobiety.

– O co chodzi? – spytała matka.

– Ten dzik, ten sam co przedtem.

Ciotka się rozejrzała.

– Odszedł?

Ned kiwnął głową. Kimberly westchnęła.

– Chodźmy, kochanie. I wołałabym, żebyś nie oszalał, usiłując to wszystko zrozumieć.

– Nic na to nie poradzę.

Ale poszedł dalej z nimi; na końcu ścieżki skręcili w prawo, dotarli do szlabanu i go obeszli. Dave opierał się o samochód. Kim podeszła do męża, objęła go i położyła mu głowę na piersi.

Ned i Meghan usłyszeli jej słowa:

– Powiedziałam mu, że mógłbyś go rozerwać na strzępy.

Dave Martyniuk parsknął śmiechem.

– Naprawdę? No to dobrze, że tu zostałem, prawda? Masz mnie dość?

Jesteś gotowa do wdowiego stanu?

– On cię lekceważył, skarbie. Nie podobało mi się to.

Dave pocałował ją w czubek głowy.

– Lekceważył? Kim, jestem prawnikiem w średnim wieku, który w niedziele grywa w rugby w regionalnej drużynie, a potem przez dwa dni nie może się ruszyć.

Ned usłyszał cichy śmiech ciotki.

– No to co? – powiedziała. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– A propos – odezwała się pogodnie matka Neda. – Naprawdę muszę się przyjrzeć jakości ochrony, jaką się ze mną wysyła. Jaki jest pożytek w Darfurze z utykającego rugbisty?

Dave Martyniuk spojrzął na nią nad głową Kim i uśmiechnął się.

– Dobre pytanie.

Meghan pokręciła głową.

– Nie, i sam to wiesz.

– Ja też to wiem – wtrącił się Ned. – Widziałem cię po południu, pamiętasz? To nie było weekendowe rugby.

– Nie widziałeś naszej drużyny w akcji. Chcesz, żeby twój wuj zginął w chwili, kiedy go poznałeś?

Ned pokręcił głową.

– Nie, nie pali mi się do tego.

– Prawda? – zapytał wuj. – Ja potrafię walczyć. Dbam o tę umiejętność. Ale ten człowiek – oni obaj – są klasą sami w sobie, stanowią własny świat. Dużo gadałem w willi, bo chciałem, żeby brali nas poważnie, ale gdyby Cadell chciał, żebym zginął, tobym zginął.

Cisza. Byli sami na końcu tej drogi, w środku nocy.

– Na czym się skończyło? – zapytał Dave.

– Kim znów oczyściła mu ranę – odparła Meghan – a potem Ned powiedział, że wyczuł Ysabel w Arles. Cadell tam idzie.

Dave spojrzął na Neda.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Ned wzruszył ramionami.

– Powiedziałem o tym Phelanowi, kiedy się żegnał. Chyba chciałem się zachować uczciwie.

– Sądzisz, że ktokolwiek pójdzie w twoje ślady?

Ned kopnął żwir.

– Może nie.

Kimberly puściła męża i się cofnęła. Jej włosy były w świetle księżyca bardzo białe.

– Postanowiłam jej nie lubić – stwierdziła.

Wuj Dave udał zaskoczenie. Spojrzął na Meghan.

– Co? Po tych wszystkich latach?!

Kim szturchnęła go w pierś.

– Nie mojej siostry! Ją uwielbiam.

– Nie bardzo na to zasłużyłam – mruknęła matka Neda.

– Nie o to chodzi – rzekła Kim.

– A nie powinno?

Jej siostra pokręciła głową.

– Nie. A nie lubię Ysabel.

Dave wybuchnął śmiechem, czym zaskoczył Neda.

– O Boże. Nie mów jej. Zniszczysz jej życie, jeśli się dowie, że nasza Kim Ford żywi wobec niej takie uczucie.

Znów oberwał od żony.

– Cicho bądź – powiedziała.

Dave milczał. Po chwili odezwał się Ned:

– Nie czuj wobec niej nienawiści. Nawet nieprzychylności. Ona jest poza tym wszystkim. Nawet bardziej niż oni.

Pozostała trójka spojrzała na niego.

– Nic na to nie poradzę – odparła ciotka. – Ci dwaj bawią się w chowanego, a ten, który przegra, ma dla niej zginąć? Nie podoba mi się to i tyle.

– Nie widziałaś jej – obstawał przy swoim Ned. – To... sprawia różnicę. Właśnie o to im chodzi. Nie sądzę, by ona sama miała jakiś wybór.

– Chwileczkę – odezwała się matka.

Odwrócili się do niej. Księżyc oświetlał jej twarz.

– Nie powiedziałaś, że jeden z nich zostanie zabity, Ned.

– Ależ tak. Ona sama...

Zamilkł. Nagle serce znów mu zaczęło walić jak młotem.

– Nie powiedziałaś, kochanie – rzekła bardzo łagodnie matka Neda. – Kate też nie.

Wszystko zapisałam.

Wpatrywali się w nią.

Meghan Marriner patrzyła na syna.

– Powiedziałaś, że zostanie złożony w ofierze.

ROZDZIAŁ 17

Wschód słońca, pierwszy dar na świecie. Obietnica i uzdrowienie po trudnym przejściu nocy. Po ciemności pełnej bestii – wymaganych i prawdziwych – oraz wewnętrznych lęków i niepokonanych, agresywnych ludzi. Po ślepotcie, która może sprowadzić człowieka do rowu, bagna albo nawet w przepaść, albo w szpony i władzę wszelakich złośliwych duchów krążących po świecie.

Od wieków, od tysiącleci poranne blade światło kładło koniec takim strachom, chociaż wraz z dniem mogły się pojawić inne niebezpieczeństwa. Otwierano z trzaskiem okiennice, rozsuwano zasłony, otwierano drzwi i okna sklepów, miejskie bramy szeroko rozwierano, a mężczyźni i kobiety wychodzili w darowany dzień.

Z drugiej strony (w życiu niemal zawsze była jakaś druga strona), światło dnia oznaczało, że trudniej było zyskać intymność, prywatność, ciszę do medytacji, pociechę niewidzianych łez na poduszce – lub pociechę tajemnej miłości na tej samej poduszce przedtem lub potem – albo uciec przed niechcianym spojrzeniem. W wyraźnym świetle były to radsze monety.

Było trudniej – znacznie trudniej – ukrywać się i nie dać się odnaleźć.

Ale ona chce zostać odnaleziona. To leży u podstaw tego wszystkiego. Jest gotowa się rozgniewać, że zajmuje im to tak długo, a ona pozostaje sama.

Może to niesprawiedliwe, ponieważ ona sama utrudniła im zadanie, lecz oni podobno kochają ją nad wszelkie słowa, potrzebują jej bardziej niż powietrza czy światła, a ona samotnie spędziła drugą noc na dworze, a było zimno.

Nie jest nienawykła do niewygód, ale nie jest też uzbrojona przeciwko tęsknocie. Na widok ich obu w Entremont, kiedy przybyła na wezwanie, obudziły się w niej potrzeba, pożądanie, wspomnienia.

Oczywiście nie okaże tego.

Jeszcze nie, a potem tylko jednemu. Lecz teraz czuje to wszystko i nie śpiąc, oglądając, jak gwiazdy wędrują przez otwartą przestrzeń ku południowi, niczym w oknie, ma dogłębną, bolesną świadomość tego wszystkiego, żywotów przeżytych i straconych.

A także ich obu, gdzieś tu jej szukających.

Nie wie, dlaczego wyznaczyła im trzy dni. Nie było takiej potrzeby. Poczowała w gardle twardą kulkę strachu: możliwe, że nie znajdą jej na czas. Bardzo dobrze zna samą siebie, wie, że się z tego nie wycofa. Ma świadomość, że skoro przybyła na wybrane przez siebie miejsce, nie chce już go opuścić. Nie chce ułatwić sytuacji ani im, ani sobie.

Jeśli któryś pragnie jej wystarczająco mocno, pojawi się tu.

O brzasku, nie wykazując żadnych oznak zmęczenia, Meghan Marriner zabrała Grega do szpitala. Powiedziała wieczorem, że to zrobi, a nie była osobą, która by się z tego wycofała. Steve zawiózł ich furgonetką.

Kate, poinformowana o wszystkim podczas śniadania, ślęczała teraz przy stole w jadalni nad zgromadzonymi przez siebie notatkami i przewodnikami Melanie. Ned siedział przy komputerze i gugał tak szybko, jak mu na to pozwalała zręczność palców. Spał około trzech godzin. Działał na adrenalinie, świadom, że w pewnej chwili prawdopodobnie padnie z wyczerpania.

Szukali wskazówek na podstawie tego, co sobie uświadomiła zeszłej nocy przy szlabanie matka Neda. Kate zbladła, kiedy się obudziła rano i została wypyтана. Pamiętała jednak te słowa dokładnie tak samo jak Ned.

Kiedy w Entremont Ysabel wyznaczała dwóm mężczyznom zadanie odnalezienia jej, nie mówiła tylko o zabijaniu.

Powiedziała, że przegrany zostanie złożony w ofierze.

Nie mieli żadnego innego tropu.

Ned wpisał inną kombinację poszukiwania: „Celtowie + Prowansja + miejsca ofiarne”. Znajdował informacje o *fées*, kurhanach elfów, a nawet smokach. Smokach! Nie było to bardzo pomocne, chociaż w obecnej sytuacji Ned był o wiele mniej skłonny odrzucić to, co zlekceważyłby jeszcze tydzień wcześniej.

Naprawdę w sieci było za dużo śmieci. Strony osobiste, strony wikan, blogi z podróży. Materiały o wiedźmach i elfach – średniowieczne wierzenia ludowe.

Dane z wcześniejszych czasów świadczyły, że Celtowie połączyli własnych bogów z bogami rzymskimi. Dobrze. Co innego mógłby zrobić podbity lud? Składał ofiary z ludzi. Oddawał cześć czaszkom. Ned przeczytał, że ofiary były wieszane na drzewach – niewiele to mu pomogło. Drzewa rosły wszędzie.

Celtowie odprawiali obrzędy na wzgórzach, na wzniesieniach terenu, co było już odrobinę bardziej pomocne. Entremont było takim miejscem, ale Ned miał pewność, że Ysabel nie wróciłaby tam, dokąd została wezwana. Pozostawał jeszcze ten inny zrujnowany fort na wzgórzu – Roquepertuse, bliżej Arles, ale Kim i Kate pojechały tam wczoraj.

Ned klikał, pisał i przewijał. Boginie ziemi powiązane z wodą, stawami, źródłami – Ned odwiedził jedno z nich, Cadell zresztą też, w Glanum. Nic. Boginie były związane z lasami – wyglądało na to, że jak wszystkie bóstwa.

Dużo im to pomogło.

Znalazł inną stronę i przeczytał: „Zwykle zaczynały się od ofiary z człowieka, złożonej przez przebicie mieczem, włócznią lub nożem podobnym do sierpa, przez rytualne powieszenie, nabicie na pal, wypatroszenie wnętrzości, utopienie, spalenie, pogrzebanie żywcem...”.

Ned pokręcił głową i obejrzał się przez ramię. Kate, otoczona notatkami Melanie i książkami, pisała, jakby robiła notatki z wykładu. Ned odwrócił się z powrotem do komputera.

Rzymianie najwyraźniej byli tym wszystkim wstrząśnięci i przerażeni. Zakazali ofiar z ludzi. Jasne, pomyślał Ned, Rzymianie, którzy sami byli tacy łagodni i pełni życzliwości.

Spróbował innej kombinacji słów, znalazł inną stronę.

„Celtyckie oppidum musiało wyglądać tak makabrycznie, jak wioska Dajaków czy na Wyspach Salomona. Wszędzie tkwiły tyczki z nabitymi głowami, które zdobiły też ściany domów. Posejdonios opowiada, że zrobiło mu się na ten widok niedobrze, ale że stopniowo się do niego przyzwyczyił...”.

Ned nie wiedział, co to są Dajakowie. Entremont było oppidum. Słowo to oznaczało po prostu fort na wzgórzu. A więc wrócił do początku. Sprawdził na górze strony, kto to napisał. Jakiś Anglik w 1911 roku. A cóż on mógł wiedzieć? Pił herbatę z odchylonym małym palcem i miał zdanie na temat przeszłości sprzed dwóch tysięcy lat.

Ned zaklął i się poddał. Nie był w tym dobry, denerwował się takimi poszukiwaniami i nie miał poczucia, że go dokądkolwiek prowadzą. Odsunął z hałasem krzesło i wyszedł na taras. Siedzieli tam ojciec i wuj; na stoliku stały kubki z kawą.

Ojciec zerknął na Neda; wyglądał na wyczerpanego.

– I co?

– Tracę czas, jest tego o wiele za dużo. To znaczy, oni rzeczywiście składali ofiary. Więc to miejsce może być wszędzie.

Wuj Neda westchnął.

– Tak, Kim też tak sądzi. Nalej sobie kawy, musisz być wypompowany.

Ned pokręcił głową.

– Nic mi nie jest, po prostu chcę już jechać.

– Najpierw musimy wiedzieć dokąd, nie sądzisz? Otworzyły się szklane drzwi.

– Dobra – powiedziała Kate Wenger. – Myślę, że nie ma sensu sprawdzać wszystkich celtyckich miejsc wymienionych w książkach.

– Mów do mnie jeszcze – rzekł Ned.

– Właśnie mówię, słuchaj. Jeśli mamy rację, to ta cała zabawa w chowanego zamiast walki wzięła się stąd, że w Ysabel siedzi Melanie, tak?

– Wciąż nie wiem, jak to jest możliwe – stwierdził Edward Marriner.

– Jest – odezwał się wuj Dave. – Mów dalej, Kate.

Dziewczyna przygryzała wargę.

– Dobrze. Chodzi mi o to, że jeśli poszukiwanie odbywa się z powodu Melanie, to na pewno możemy się skupić na miejscach, o których wie ona sama. Jeśli chodzi o celtyckie ofiary. Tak?

Spojrzeli po sobie.

– Google nie jest twoim przyjacielem? – zapytał Ned.

Nikt się nie roześmiał.

– Tylko jeśli Melanie coś wygoogłała i zrobiła notatkę. Takie jest moje zdanie – powiedziała Kate.

Znów włożyła dzinsy i uniwersytecką bluzę Neda, pod nią miała koszulę brata.

Ojciec Neda kiwał głową.

– Dobrze, Kate. Daje nam to coś logicznego.

– Czy oni byli logiczni? – zapytał wuj Dave.

– Melanie jest – rzekł Edward Marriner.

– I Kate też – dorzucił Ned. – No więc co tam jest w jej notatkach? Na przykład o Celtach i obrzędach?

– Znalazłam dwa miejsca, w których jeszcze nie byliśmy.

– Mamy trzy samochody – powiedział Dave Martyniuk. – Tylko dwa miejsca? Daj mi jeszcze jedno.

Ned odchrząknął.

– Ja wracam do Aix – powtórzył.

Mówił im to zeszłej nocy.

– Dlaczego? – zapytała cicho Kate.

Ned wzruszył ramionami.

– Do krążganków. Wy sobie bądźcie logiczni. Ja muszę iść tam.

Greg, najwyraźniej nic sobie nierobiący z dwóch zastrzyków przeciwko wściekliwości i mających po nich nastąpić dzięki dr Meghan Marriner kolejnych dawek, uznał, że nazwa jednego z tych miejsc jest zabawna.

– No bo skoro Celtowie byli niepiśmienni, to dlaczego nazwali coś Fortem Książek?

Matka Neda nie miała najlepszego humoru.

– Jeśli nie przestaniesz żartować, Gregory, następny zastrzyk będzie bolał. A ja wiem, jak to zrobić.

– Nazwał Pain de Munition, leżące na wschód stąd, Amunicjami – oznajmił Steve.

– Kablujesz?! – zawołał z oburzeniem Greg, ale wyglądał na zadowolonego, że ktoś to zapamiętał.

Fort de Buoux leżał o jakieś czterdzieści pięć minut drogi na północ, na szczycie wzgórza obok wyboistej drogi; w okolicy nie znajdowało się nic innego, a do ruin trzeba było kawałek podejść i się wspiąć. Na szczycie stał ołtarz ofiarny. Wyglądało to na okolicę, gdzie można byłoby zrobić niesamowite zdjęcie. Albo się ukryć.

Drugie miejsce leżało dalej na północny zachód, stanowiło większą atrakcję turystyczną i było oznaczone licznymi gwiazdkami we wszystkich przewodnikach, a nazywało się Fontaine de Vaucluse. W pewnych okresach roku tryskała tam z górskiej jaskini woda. Melanie zanotowała, że Oliver Lee sporządził do książki opis tego miejsca, poczynając od czasów starożytnych poprzez wiek dziewiętnasty aż do naszych czasów. Tu w średniowieczu mieszkał tam jakiś poeta, lecz w czasach celtyckich było to święte miejsce.

Zgadzałoby się, pomyślał Ned, kiedy znalazł w Internecie informacje o boginiach wody, źródłach, jaskiniach i rozpadlinach w ziemi.

– I tak jadę do Aix – powtórzył, gdy wuj Dave wraz z ojcem wyznaczali obsadę samochodów.

Ned zaczynał się – trochę – godzić z myślą, że inni słuchają go i robią to, co postanowi.

Mniej więcej.

– Nie sam – rzekła jego matka.

– Nic mi nie grozi, mamó. To Brys na mnie polował.

– Nie sam – powtórzyła Meghan Marriner z dość imponującą stanowczością.

Nie był to głos, z którym można się było sprzeczać; właściwie człowiekowi nawet nie przychodziło do głowy, by się z nim sprzeczać.

W końcu Ned pojechał do miasta z rodzicami.

Dave wyruszył z Kate i Stevem do Fort de Buoux, a Greg udał się z ciotką Kim do źródła. Znow mieli być w kontakcie telefonicznym, spotkać się, gdyby ktoś coś znalazł, a gdyby nic się nie stało, wrócić do domu po południu i obmyślić następny krok.

Wkroczenie do miasta z rodzicami mogłoby być w innym miejscu i o innym czasie nawet zabawne. Ned miał ochotę poprosić o lody albo przejażdżkę na karuzeli obok największej z fontann.

Główne drzwi katedry były otwarte, w przeciwieństwie do prowadzących do krużganków. Przewodniczka, która miała klucz i co pół godziny oprowadzała zwiedzających, przychodziła dopiero po lunchu. Ned nawet nie pomyślał, by poprosić ojca, żeby sam spróbował otworzyć zamek. Nie tutaj. Zadał sobie pytanie, czy mama wie, że jej mąż potrafi robić takie rzeczy.

Wrócili średniowiecznymi ulicami do głównej arterii, Cours Mirabeau. Po drodze minęli kawiarnię, w której Ned był z Kate. Zerknął na krzesło, którego użył przeciwko atakującemu go psu. Nic o tym rodzicom nie mówił. Ojciec wyglądał na wystarczająco przygnębionego.

Na ocienionej olbrzymimi platanami Mirabeau, obstawionej po jednej stronie kawiarniami, a po drugiej bankami, Ned się zatrzymał. To uczucie stawało się już niemal znajome.

– Była tu – stwierdził.

– Skąd ty to wiesz? – zapytała z irytacją w głosie matka. Jego logicznie myśląca matka.

– Jezu, mamó, nie mam pojęcia! Po prostu wiem. Chyba tak samo, jakoś tak, jak wiedziałem, że zeszłej nocy w wieży był Cadell.

– Dlaczego „jakoś tak”?

Niewiele jej umykało.

Ned szukał słów, patrząc na turystów siedzących przy stolikach wystawionych na chodnik. Sprawiali wrażenie zadowolonych. Dlaczego nie? Ludzie marzą, by tu przyjechać, prawda? Żeby w maju posiedzieć w kawiarni na południu Francji.

– To nie jest dokładnie tak samo – powiedział w końcu. – Nie odbieram jej w postaci aury, jak tych dwóch mężczyzn albo ciotki Kim. Albo siebie samego.

– Widzisz w środku swoją ciotkę?

Skinął głową.

– Jeśli jest wystarczająco blisko i się nie osłania. Tak samo jest z nimi.

Matka Neda westchnęła.

– A...Ysabel?

– Jest inaczej. Mam po prostu wrażenie, że tu była, tak jak na cmentarzu.

– Dlaczego?

– Jezu, mam.

Zmarszczyła brwi.

– Rozumiem, że to wymowne wyrażenie oznacza, że brak nam odpowiedzi?

Skinął głową.

– Tak. Brak nam odpowiedzi.

– Może z powodu Melanie – odezwał się nagle ojciec. – Może odbierasz Melanie, a nie Ysabel.

– Ed! Jesteś tak samo stuknięty jak oni.

Na twarzy ojca wciąż malowało się napięcie.

– Zjedzmy lunch – powiedziała po chwili matka. Ned zauważył, że uważnie przygląda się ojcu. – I tak musimy zaczekać.

Wybrali kawiarnię przy końcu ulicy. Wnętrze było krzykliwe w staromodnym stylu, pełne zieleni i złota, lecz w taki dzień o wiele przyjemniej siedziało się na dworze.

Ojciec Neda kupił gazetę. Znalazł wiadomość o zwrocie czaszki i popiersia. Nie podano żadnych ważnych szczegółów. Policja nie miała pojęcia, kto zwrócił eksponaty – poza tym, że był to mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce na motocyklu.

W szarej, pomyślał Ned.

– Będę musiał wreszcie zadzwonić do jej rodziny – powiedział ojciec, głównie do siebie.

Matka znów się mu przyjrzała. A potem zaskoczyła nieco Neda, ściskając męża za rękę.

Kiedy kończyli jeść, zadzwoniła ciotka Kim. W sobotni wiosenny poranek Fontaine de Vaucluse była zatłoczona turystami. Teoretycznie istniała możliwość (przekazał ojciec Neda), że Ysabel może się ukrywać w sklepie z pamiątkami, wśród saszetek z lawendą i próbkami oliwy z oliwek, lecz było to mało prawdopodobne. Kim i Greg wracali do willi.

Zadzwonili do Dave'a. Poinformował, że ich trójka wciąż się wspina w okolicach Fort de Buoux. Nie było tam nikogo innego, wiał wiatr, a na samym szczycie znajdował się dość

fascynujący ołtarz. Zgodnie z informacjami. Lecz słowa „nie było tam nikogo innego” oznaczały, że nie było tam ani śladu rudowłosej kobiety, którą miała rozpoznać Kate, gdyby ją ujrzała.

Właśnie zamierzali zejść po bardziej stromym i dzikim zboczu wzgórza, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś jaskiń czy zakamarków, gdzie mogłaby się schronić przed ludzkim wzrokiem i wiatrem. Potem zamierzali wracać do domu.

– Uważaj na siebie – powiedział ojciec Neda do szwagra. – Oszczędzaj kolano.

Rozłączył się.

– On nie może łączyć po skałach z tą nogą – zauważyła Meg.

Edward Marriner wzruszył ramionami.

– A co mam zrobić? Jeżeli nie może, to nie może.

Miał zmartwioną minę. Przez ostatnie dwa dni postarzał się. Nedowi nie podobał się taki widok. Czuł się przez niego słabszy.

Wrócili do katedry. Ned minął w półmroku baptysterium znajdujące się po prawej stronie. Zobaczył kratę w posadzce. Nie zatrzymał się. Nie było tam już nic do oglądania. I tak była to tylko sztuczka. Ekspozyty pożyczone z muzeum, teraz zwrócone.

Drzwi prowadzące do krużganków były otwarte. W środku znajdowało się troje turystów i przewodniczka o surowym wyglądzie. Zatrzymała się przed kanciastą kolumną obok drzwi prowadzących na ulicę. Objaśniała coś, pokazując palcem. Zwiedzający z aparatami fotograficznymi w rękach mieli znudzone miny.

Ned poszedł na lewo, oddalając się od nich, w stronę Ysabel.

Nękały go skomplikowane uczucia. Zbyt wiele skojarzeń. Znalazł się tu po raz pierwszy przed niecałym tygodniem.

Róża zniknęła. Nie zaskoczyło go to, lecz z jakiegoś powodu zaniepokoiło. Zastanawiał się, kto mógł ją zabrać. Może po prostu ogrodnik? Nagle przyszło mu do głowy, że powinien być przynieść jakieś kwiaty.

Ojciec miał cyfrowy aparat, którym robił zdjęcia murom katedry i dachowi schodzącemu ku krużgankom. Inny rodzaj zdjęcia, w którym chodziło o linie i światło. Ned się ucieszył, że ojciec pracuje. Trudno było na niego patrzeć, kiedy był tak przygnębiony, tak wyraźnie bezradny. Ned miał wrażenie, jakby to on miał za zadanie wszystkim polepszyć humory.

Jego mama podeszła do informacji dla turystów, umieszczonej na ścianie. Włożyła okulary i czytała. Ned pamiętał ten diagram, pokazujący, w jaki sposób kompleks katedralny przykrywał rzymskie forum, oraz drugi, identyfikujący postacie na kolumnach. W jednym rogu święty Piotr, byk, orzeł, Dawid i Goliat. Królowa Saby.

Osunął się plecami po murze i usiadł na płytkach posadzki. Patrzył na rzeźbę. Tak mało widać, tak wiele jest zasugerowane. Wskazówka, echo.

Wiedział, co powie matka. Cóż innego mogłaby powiedzieć, przeczytawszy informację umieszczoną na przeciwległej ścianie? Głosząca, że to królowa Saby.

Patrzył na zbliżającą się matkę; włożyła okulary do czytania z powrotem do torebki i wyjęła przeciwsłoneczne. W blasku słońca włosy miała naprawdę rude, ciemniejsze, kiedy weszła do cienia. Stała obok Neda i popatrzyła na zatartą, bladą rzeźbę przed nimi. Pokręciła głową i usiadła zwinnie obok syna; wyciągnięte nogi skrzyżowała w kostkach. Zdjęła okulary i dalej przyglądała się rzeźbie.

– Była piękna – mruknęła.

Przełknął ślinę.

– Kto?

– Ysabel – odparła.

Ned się rozplakał.

Spojrzała na niego szybko.

– Kochanie, co...?

– Nie... nie uważasz, że to królowa Saby?

Matka podała mu chusteczkę higieniczną.

– Ned, kochanie, skoro Melanie zniknęła, a ja tyle widziałam w niecały dzień, nie zamierzam wątpić w twoje słowa.

– Naprawdę?

Skrzywiła się.

– Nie bierz mnie na spytki, dziecko.

Ned musiał się uśmiechnąć, choć starał się opanować. Wytarł oczy.

– To, że mi wierzysz, ma dla mnie wielkie znaczenie.

Tym razem matka się nie uśmiechnęła.

– Bo nie wierzyłam twojej ciotce?

– Częściowo. Nie całkiem.

Dotknęła jego policzka.

– Ktoś tu musi myśleć logicznie, Ned.

– Zgłosiłbym się na ochotnika – powiedział ojciec Neda, podchodząc do nich. Troje turystów i przewodniczka wciąż znajdowali się po drugiej stronie krużganków. – Ale nie wiem, gdzie zaparkowałem moją logikę.

– Znajdziemy ją – odparła jego żona. – Chcę powiedzieć, że Ned może posługuje się tu jakimś rodzajem intuicji czy zdolnościami paranormalnymi, ale ty i ja tego nie umiemy. Tu nie może chodzić tylko o prorokujące śwynie czy wróżenie z ptasich wnętrzności, jak robili to Celtowie.

– Rzymianie też wróżyli z ptasich wnętrzności – stwierdził Edward Marriner. – Była w tym wyszkolona cała kasta kapłanów.

Matka Neda pokazała ojcu język. Ned nigdy nie widział, by zrobiła coś takiego.

– Dobrze, niech ci będzie. Ale nie składali ofiar z ludzi.

– To prawda. Robili inne paskudne rzeczy.

– Na pewno. Ale ty i ja wciąż musimy spróbować coś do tego wnieść. Musimy się zastanowić. Ned robi swoje, cokolwiek to jest, Kim podobne, a my...

Przerwała, ponieważ Ned wstał.

Powtarzał w myślach zdanie niczym zapętloną taśmę: „nie składali ofiar z ludzi”.

I wtedy, jakby coś mu bezgłośnie wybuchło w mózgu, uczeplił się innych słów, wypowiedzianych przez matkę.

„Prorokujące śwynie”.

Drżał.

Dzik. Widziany poniżej i powyżej willi w świetle księżyca. Ned ujrzał go znów w myślach, jak się od niego odwraca, odrzuca go.

Ale nie, nie od niego. Odwracał się dla niego. Powolny, spokojny ruch, za każdym razem oglądał się na Neda, a potem znów patrzył przed siebie i dopiero potem odchodził.

Odetchnął głęboko. Spojrzał na rzeźbioną kolumnę, na Ysabel, a potem na własne dłonie.

– Lepiej wracajmy do domu – powiedział. – Wiem, gdzie ona jest.

Czekali, aż zacznie mówić, znów zebrani w willi. Ned niemal dygotał; pociły mu się dłonie. To było za duże, wydawało się przytłaczające. Zarazem był pewien siebie. W gruncie rzeczy miał całkowitą pewność.

– Zaczynaj – ponaglił go ojciec.

Edward Marriner miał cichy głos i spokojny wzrok. Już nie wyglądał na zmęczonego czy wycieńczonego. Było tak od chwili, kiedy Ned odezwał się w krążgankach, a potem ruszyli do furgonetki i z powrotem do willi.

„Ned robi swoje”, powiedziała matka. Patrzyła na syna nad stołem w jadalni, trzymając ręce na kolanach, bez notatnika; po prostu czekała.

Odchrząknął.

– Zeszłej nocy... zeszłej nocy byliśmy naprawdę blisko. Mama była blisko. Kiedy przypomniała nam o słowie, którego użyła Ysabel.

– Ofiara? – odezwał się wuj Dave.

Siedział w fotelu obok pianina, z nogą na pufie i z woreczkiem z lodem na kolanie.

Ned skinął głową.

– Tak. Więc zrobiliśmy to co oczywiste i zaczęliśmy myśleć o celtyckich miejscach ofiarnych, o których mogła wiedzieć Melanie. I niemal mieliśmy w tym rację.

– Co przeoczyliśmy? – zapytała Kate Wenger.

– Jedną rzecz i coś jeszcze, o czym mogłem wiedzieć tylko ja. Przeoczyłem to tylko ja.

Spojrzał na matkę. Ciotka Kim opierała się o framugę za nią, tam gdzie zeszłej nocy stał jej mąż.

– Rzymianie złożyli tu przynajmniej jedną ofiarę z ludzi – powiedział Ned. – A Melanie o tym wiedziała, bo mi o tym powiedziała. – Spojrzał na Grega, a potem na Steve’a. – Wtedy, kiedy było mi tak niedobrze. Kiedy wy dwaj poszliście na miejsce zasadzki, żeby poszukać widoku do sfotografowania?

Obaj skinęli głowami.

Ned odetchnął.

– Tam właśnie jest. Ysabel, Melanie.

– Na tej górze? – zapytał Steve.

– Tak – odparł Ned. – Jest na Sainte-Victoire.

– To duża góra, Ned – wtrącił ojciec. – Trzeba by przeszukać spory teren. A ja...

Ned uniósł ręce.

– Nie, tato. Wiem dokładnie gdzie. Bo myślę, że teraz to wszystko, wszystko wiąże się z Melanie. Zmienione zasady, poszukiwanie zamiast walki. Nie spodziewali się tego. A ona ukrywa się w miejscu, o którym wie, że ja o nim wiem. My też musieliśmy o nim wiedzieć.

– Wiele uzależniamy od przekonania, że duch Melanie znajduje się w Ysabel – rzekł Edward Marriner.

– Możemy to założyć, Ed – mruknęła ciotka Kim.

Skrzyżowała ręce na piersi.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Dobrze. W porządku. Powiedziateś, że znasz to miejsce, Ned. Gdzie ono jest?

To były pierwsze słowa jego matki od czasu, kiedy znów się tu zebrali. Patrzyła na niego spokojnie z uwagą. Dobrze znał to spojrzenie.

Patrząc więc na nią, odpowiedział:

– Jest przy jakiejś rozpadlinie. Melanie nazywała ją *garagai*, znajduje się gdzieś w pobliżu szczytu.

– I jest tam, ponieważ?

Zupełnie jakby zmieniło się to w dialog pomiędzy nimi dwojgiem. Kiedy był młodszy, przepytywała go tak przed sprawdzianami z przyrody czy nauk społecznych.

– Ponieważ mi o tym powiedziała. To tam Rzymianie, Mariusz, zrzucili celtyckich wodzów do jamy, w miejscu złożenia ofiary po bitwie, żeby już nigdy nie można było ich odzyskać i oddawać im czci, co mogłoby pomóc plemionom.

– O Boże – powiedziała Kate. Przyłożyła dłoń do ust. – Oni nawet o tym rozmawiali, w Entremont, wszyscy troje. Ned skinął głową.

– Rozmawiali. Też o tym pomyślałem. Melanie wiedziała, że tam jesteśmy. Zadzwoiłem do niej, pamiętasz?

– To jest ta druga rzecz? – zapytała cicho matka Neda. – Powiedziałeś, że było coś jeszcze.

– Nie. *Garagai* jest w jej notatkach. To drugie jest związane wyłącznie ze mną. Dwa razy, w nocy, kiedy byłem zupełnie sam, widziałem tego dzika, i za każdym razem... za każdym razem chyba dawał mi znak. Zrozumiałem to dopiero teraz. Kiedy powiedziałaś coś w krążankach. Nie wiem, dlaczego ten dzik to robił, ale mam prawie całkowitą pewność.

Jego wuj usiadł prosto, przesuwając nogę. Miał dziwną minę.

– Jaki dzik? – zapytał.

– Olbrzymi. Niemal biały. Greg go widział, kiedy Brys zatrzymał nas na drodze.

Greg kiwał głową.

– Był naprawdę duży – powiedział. – Gdybym go uderzył, mógłbym rozbić furgonetkę.

– Mów dalej, Ned – rzekł wuj Dave.

Ned spojrzał na niego.

– Nie wiem, czy ktoś mi uwierzy, ale sądzę, że coś mi pokazywał, za każdym razem. Wyszedł, zaczekał, aż go zobaczę, a potem się odwrócił w stronę góry i obejrzał na mnie. A potem odszedł. Nie wiedziałem, co się dzieje. I.. i to niesamowite, ale pierwszy raz zdarzyło się to przed Beltaine. Zanim cokolwiek się stało. Wiem, że to nie ma sensu.

– W takich przypadkach czas potrafi się zachowywać dziwnie – rzekła ciotka Neda.

– A więc sądzisz, że ona jest przy tej rozpadlinie – powiedziała spokojnie matka. – W porządku. Dobrze. To będzie jutro nasz pierwszy przystanek. Dowiemy się, jak tam dojechać, i rozejrzemy się.

Ned pokręcił głową. Znów drżały mu ręce.

– Nie, mam. Muszę jechać teraz. Jeden z nich się tego domyśli. Spędzili z nią, z Ysabel, o wiele więcej czasu. Też słyszeli, jak mówiła o ofierze. I znają to miejsce.

– Ned... – zaczął ojciec.

– Tato, jestem naprawdę pewien. Aż cały drzę.

Uniósł dłonie, by je pokazać.

Ojciec spojrział na niego.

– Nie to zamierzałem powiedzieć. Wierzę ci, Ned. Jest coś jeszcze. Zapominasz o czymś.

– O czym? – zapytał Ned.

– Nie możesz wejść na tę górę, chłopie – odpowiedział mu Steve.

– Muszę.

– Widzieliśmy cię tam – mruknął Greg. – Wyglądałeś, jakbyś miał umrzeć, stary. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak wymiotował.

Ned znieruchomiał. Odetchnął głęboko. Zaklął. Żadne z rodziców nie powiedziało ani słowa.

Naprawdę zapomniał. Albo pamiętał w połowie, bo wiedział, że było mu niedobrze, kiedy Melanie powiedziała mu o *garagai*, ale celowo zapomniał, co oznaczałby powrót w to miejsce. Wspinaczka na górę.

Już na samą myśl zrobiło mu się niedobrze, nawet tutaj. Pokręcił głową.

– Trudno. Muszę spróbować. Muszę jechać, natychmiast.

Niemal podskakiwał z niecierpliwości.

– Jest po czwartej, Ned – powiedział łagodnie ojciec. – Nie możesz tam iść po ciemku.

– Nie będzie ciemno. Wezmę dres i pobiegnę. Jestem biegaczem, tato.

Mogę to zrobić. I może – przyszło mu nagle do głowy – może wyżej poczuję się lepiej? Moim problemem było pole bitwy. Chyba.

Spojrział na Grega i Steve'a.

– A może nie poczujesz się lepiej – rzekł Greg, kręcąc głową.

– Chłopie... – zaczął Steve.

– Posłuchajcie wszyscy! – powiedział z naciskiem Ned. Usłyszał, jak wznosi mu się głos. – Jeśli to spieprzymy, to Melanie odejdzie na zawsze. Posłuchajcie, wezmę cztery *advile*

czy coś takiego, okulary przeciwsłoneczne, telefon i pobiegnę. Proszę was, przestańcie się sprzeczać. Musimy jechać. Muszę dokładnie wiedzieć, gdzie się znajduje to miejsce.

Kate Wenger wstała i podeszła do sterty map i książek Melanie, leżących na stoliku komputerowym.

Ned patrzył na matkę. Zobaczył w jej oczach coś tak dalece wykraczającego poza troskę, że nawet nie umiał tego nazwać.

– Proszę cię, mamó – szepnął. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Wiem – odparła Meghan Marriner. – Po prostu nie chcę ci jej udzielić.

Spojrzał na nią. Pokręciła głową.

– Nawet nie umiem powiedzieć, jak bardzo mi się to nie podoba. Co zamierzasz zrobić, kiedy już się znajdziesz na górze? Jeśli się tam znajdziesz?

– Nie mam pojęcia.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Cóż, to przynajmniej jest szczerze.

– Jestem szczerzy, mamó.

Meghan patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się do męża i skinęła głową.

– Ed, na razie Kate szuka map, więc sprowadź tu obie Very. Skoro tu mieszkają, mogą coś wiedzieć.

Jej mąż pokręcił głową.

– Najpierw spróbuję czegoś innego.

Podszedł do stolika, przy którym stała Kate, znalazł na korkowej tablicy Melanie numer i zadzwonił.

Ned stwierdził, że ciężko oddycha – ku jego zdumieniu wyglądało na to, że mu pomogą. Pamiętał jednak teraz tę górę: Pourričres i najgorsze uczucie w życiu. Tę przesłonę z krwi, przez którą widział świat. I jej zapach.

Wybór należał do niego, nie mógł nikogo winić. Pomyślał, że czasami życie jest łatwiejsze, kiedy są ludzie, którzy mogą człowieka powstrzymać. Może do tego przydają się rodzice.

– Oliver? Tu Ed Marriner – powiedział ojciec. – Nie przeszkadzam? – Zaczekał na odpowiedź, a potem mówił dalej: – Nie zatrzymam cię długo przed aperitifami.

Anglik coś odpowiedział, a ojcu Neda udało się nieszczerze roześmiać.

– No, skoro już jednego pijesz, nie muszę się śpieszyć. Mam pytanie... może to coś, co się da sfotografować. Znasz miejsce zwane *garagai*? Na Sainte-Victoire?

Kolejna przerwa, tym razem dłuższa. Ned się domyślił, że Oliver Lee rozpoczyna jakąś opowieść. Wyobraził go sobie, jak peroruje z drinkiem w ręku i z okularami do czytania zwisającymi mu na łańcuszku na pierś.

Edward Marriner otworzył usta, by mu przerwać, zamknął je, i po chwili powiedział:

– No tak, trochę o tym wszystkim czytałem i myślałem, że mógłbym się tam wybrać i popatrzeć. – Przerwał. – Wiem, że trzeba się tam wspiąć.

Tak, słyszałem, że może się zrobić wietrznie. Ale... Oliverze, wiesz, gdzie to jest? Byłeś tam?

W pokoju zapanowała cisza. Edward Marriner zmarszczył brwi i spojrzął na syna.

– Nie? Więc nie umiesz mi powiedzieć, jak tam trafić?

Spojrzał na żonę.

– Tak, oczywiście, znajdziemy mapę topograficzną albo mogę zadzwonić do biura mera, już nam raz pomogli. – Przerwał. Lee coś mówił. – Nie, nie, to bynajmniej nie jest wstrząsające wyznanie, Oliverze. Moi ludzie powiedzieli mi, że Cezanne też się tam nie wspiął. – Znów zamilkł na chwilę. – Tak, oczywiście, pozdrowię od ciebie Melanie. – Znów spojrzął na Neda. – Nie, to chyba będziesz musiał powiedzieć jej osobiście, Oliverze.

Kolejny wymuszony śmiech. Pożegnał się i rozłączył.

Ned spojrzął na matkę. Patrzyła na niego, właściwie się w niego wpatrywała, z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niej nie widział. Jakby był kimś obcym. Zmartwiło go to. Spróbował się do niej uśmiechnąć, ale nie bardzo mu się to udało.

– Ned? – odezwała się ciotka. – Dwie sprawy. Jeśli masz rację i trzeba się śpieszyć, to dlatego, że jeden z nich lub obaj mogą tam dotrzeć przed tobą. A mogą to zrobić, śledząc cię.

– Zamierzali udać się do Arles – powiedział.

– Wczoraj wieczorem. Obaj chyba sądzą, że stanowisz klucz do tego wszystkiego. Kiedy stąd wyjedziemy, będziesz musiał się osłonić. Ale od czasu do czasu trzeba opuszczać osłonę, nie można jej utrzymywać zbyt długo.

Zawahał się.

– Trochę liczyłem, że osłona pomoże mi z... tym moim problemem.

– Tak sądziłam. Ale i tak będziesz ją musiał co pewien czas opuszczać, bo się rozchorujesz.

Odchrząknął.

– Phelan też mi to powiedział. Zeszłego wieczoru.

– Kim, a jeśli nas obserwują? Stamtąd? – Meghan pokazała na okna. Jej siostra zmarszczyła brwi.

– Chyba nie... – Spojrzała na swego męża.

Wuj Dave wzruszył ramionami.

– To możliwe. Wiedzą, gdzie jesteśmy, wiedzą, że szukamy. Albo szuflą wszędzie na oślep, albo co pewien czas nas sprawdzają. Sprawdzają, czy Ned robi cokolwiek.

– Czy mogliby kazać obserwować nas komuś innemu? – zapytał Steve.

– Chyba nie – powiedziała Kim.

– Ale nie mamy pewności – dorzuciła matka Neda. – Dobra, załóżmy, że nas obserwują.

Co mamy robić? I przede wszystkim, jak się dowiemy, dokąd on ma iść?

– Mogę to wam powiedzieć – odezwał się ktoś z drzwi prowadzących do kuchni.

Odwrócili się.

Stała tam Verakuchnia w swojej zwykłej czarnej sukience. Mówiła po angielsku.

– Mówi pani... mówi pani w naszym języku? – zapytał Edward Marriner.

Wyglądał na lekko oszołomionego, jakby zbyt wiele wydarzeń następowało zbyt szybko jedno po drugim. Vera uśmiechnęła się lekko.

– Właściciele to Amerykanie. Trochę się uczę.

– Ale nigdy pani...

– Zawsze mówicie po francusku – rzekła, wzruszając ramionami.

Podeszła do niej Kimberly.

– Czy... czy rozumie pani, o czym tu mówimy?

– O wspinaczce na górę? – odparła z lekkim mrugnięciem.

– Tak, i dlatego. – Kim mówiła bez ogródek. – Musimy na nią wejść.

Vera popatrzyła na nią i skinęła głową.

– Coś się stało w Noc Ognia – powiedziała zimnym tonem. – Położyłam koło okna jarzębinę, żeby chronić dom. Nie powinna była wychodzić.

– Musiała – odezwał się Ned.

Znów mówili po francusku.

– To była moja wina, ale słońce jeszcze nie zaszło. Nie powinno jeszcze być Beltaine.

Na dźwięk tego słowa Vera się przeżegnała.

– Skąd pani to wszystko wie? – zapytała Meghan.

Ned nie pamiętał, by kiedykolwiek wyglądała na tak nieszczęśliwą. Znów wzruszenie ramionami.

– Od babci. Opowiadała nam różne historie. Cała moja rodzina, wszyscy wykładamy tej nocy jarzębinę, i w tę drugą noc, na jesieni.

Kolejna babcia.

Następne pytanie zadał Dave:

– Powiedziała pani, że może nam pomóc. Wie pani, gdzie jest to *garagai*?

Vera skinęła głową.

– Ale to złe miejsce. I jest już późno.

Wtedy ojciec zaskoczył Neda.

– Zrobi się jeszcze później, jeśli będziemy zwlekać i gadać. Rozumiem, że musimy się tam dostać szybko. Proszę nam powiedzieć, jak tam trafić.

– Chodzi o tę dziewczynę? Melanie?

– Tak – odparł Edward Marriner.

– Zniknęła? W Noc Ognia?

Chwila wahania.

– Tak – powtórzył.

Kolejny znak krzyża.

– A zatem nie powinniście w to wkraczać.

– My już w to wkroczyliśmy, *madame* Lajoie – rzekł ojciec Neda. – Proszę nam powiedzieć, co pani wie.

– Kto pójdzie? – zapytała.

– Ja – odparł Ned.

Spojrzała na niego.

– Weźmiesz jarzębinę dla ochrony?

– Wezmę wszystko, co mi pani każe – powiedział żarliwie.

Skinęła głową z ponurą miną.

– Dla tej dziewczyny, powiem ci, jak masz iść. To niedaleko od krzyża czy kaplicy na szczycie. Ale musisz uważać. Jeśli będzie wiatr, łatwo spaść.

– Och, cudownie – odezwała się Meghan Marriner.

Ned starał się nie zwracać na matkę uwagi.

Kate usiadła przy stole z papierem i długopisem, i zaprosiła gestem Verę Lajoie, by przysiadła się do niej.

Francuzka posłuchała, po czym zaczęła bardzo dokładnie opisywać drogę do górskiej rozpadliny, gdzie przed dwoma tysiącami stu laty Rzymianin Mariusz złożył w ofierze wielu celtyckich wodzów.

Ned uważnie czytał wskazówki zapisane bardzo starannym pismem Kate. Kiedy uniósł głowę, zobaczył, że patrzy na niego matka.

– To jest dla mnie trudne – powiedziała. – Naprawdę nie powinnam się na to zgadzać.

– Wiem.

– Albo pójdę z tobą.

Uśmiechnął się lekko.

– Będę biegł, mamó. Wuj Dave ma uszkodzoną nogę. Steve nie może legać. A już na pewno nie Greg.

– Ja mogę – odezwała się Kate.

– Nie! – powiedziały jednocześnie Meghan i Kim.

– Nawet o tym nie myśl – dodała Meghan Marriner. Kate przygryzła wargę. Meghan spojrzała na siostrę. – Kim, czy on może cokolwiek zrobić?

Ciotka Kim znów miała ręce skrzyżowane na piersiach.

– Szczerze? Nie wiem. Nie sędzę, by któryś z nich chciał mu zrobić coś złego.

– Ale nie wiesz na pewno.

– Nie możemy tego wiedzieć, Meg.

– Nawet biorąc pod uwagę twoje...?

Jej siostra pokręciła głową.

– Ja tu prawie nic nie znaczę. Mogę ci jedynie powiedzieć, że naprawdę uważam, że jeśli któryś z nich znajdzie Melanie, ona odejdzie. Oraz że Ned w jakiś sposób w tym wszystkim tkwi.

– Przyjmuję to. Ale jestem też jego matką, Kim. Nie umiesz sobie wyobrazić... – Przerwała. Pokręciła głową. – Ojejku. Przepraszam.

Kimberly miała błyszczące oczy.

– Nie ma za co. Nie mam dzieci, ale potrafię sobie wyobrazić, jak by to było pozwolić mu tam iść. Widziałam takie rzeczy.

– Zróbmy to – powiedział Ned z największą pewnością siebie, na jaką było go stać. Nie sądził, by mu się udało kogokolwiek zwieść. – Kto mnie zawiezie?

– Chwileczkę – odezwał się Greg. – Skoro mogą cię śledzić, musimy to zrobić ostrożnie.

– Osłonię się – postanowił Ned – poczynając od tej chwili. I pojedziemy dwoma samochodami. Nawet trzema?

– A jeśli obserwują dom? – zapytał Steve. – Jak mówiła doktor Marriner? Zobaczą, że wyjeżdżasz. My ich nie obchodzimy.

– Ned i ja zamienimy się ubraniami – powiedziała nagle Kate Wenger. Spojrzeli na nią. Dziewczyna wstała od stołu.

– Jak to? – zapytał Ned. – I tak nie masz na sobie nic swojego.

Kate się skrzywiła.

– Nie bądź zabawny. Wsiądziemy szybko do dwóch samochodów, ale ja się ubiorę jak ty, a ty włożysz tę bluzę McGill...

– To moja bluza.

– Ale widzieli mnie w niej zeszłego wieczoru, a może i dzisiaj, jeśli naprawdę nas obserwowali. Włożysz pod bluzę białą koszulę mojego brata, a ja tę twoją obciachową wiatrówkę i czapkę bejsbolową.

– Nie jest obciachową – zaprotestował.

– Cicho. Ona ma rację, Ned – powiedziała Kim. – To ma sens.

– Dobra – odezwał się Dave. – Jeden samochód pojedzie na zachód albo na północ – ten, w którym będzie fałszywy Ned – a drugi zawiezie go pod górę. – Uśmiechnął się do Kate. – Bardzo dobrze.

– Dobrze? – zapytała, podrzucając głowę. – To bohaterstwo. Nigdy nie wkładam czapek bejsbolowych.

Ojciec Neda westchnął. Spojrzał na żonę, a potem na syna.

– Wiecie co, Oliver mówił to samo, co Vera. Najwyraźniej poza szlakiem jest niebezpiecznie, Ned.

– Upadek z góry jest moim najmniejszym zmartwieniem – rzekł Ned.

– Jeśli o to chodzi, weź to – powiedziała ciotka Kim.

Zdjęła swoją jedyną bransoletkę, srebrną z zielonym kamieniem.

– Nie mam pojęcia, czy to pomoże, ale istnieje taka szansa.

– Co to jest? – zapytała Meghan.

Kim spojrzała na nią.

– Podarunek sprzed lat. Można by powiedzieć, że się z tym wszystkim łączy. Może pomóc na mdłości. Albo i nie. Ale nie zaszkodzi.

Ned włożył bransoletkę na rękę. Oprócz chłodnego dotyku srebra na nadgarstku nic nie poczuł. Wzruszył ramionami.

– Zróbmy to – powtórzył.

Z kuchni wróciła Vera. Trzymała wiązanekę liści; z powagą podała ją Nedowi.

– Dziękuję – powiedział.

Przecież nie mógł odmówić, prawda? Spojrzał na bransoletkę ciotki. Skrzywił się.

– Właściwie karabin maszynowy też by nie zaszkodził.

Nikt się nie roześmiał.

Matka nie spuszczała z niego oczu. Miała tę samą minę co poprzednio. Jakby Meghan Marriner patrzyła na swoje dziecko i widziała kogoś, kogo nie bardzo zna, albo jakby zapamiętywała jego twarz.

– Mamo... – zaczął.

Pokręciła głową.

– Idź – powiedziała.

ROZDZIAŁ 18

Siedząc w furgonetce, w dzinsach, koszuli brata Kate i własnej bluzie z kapturem, Ned ze wszystkich sił starał się skoncentrować. Miał ze sobą swój plecak do biegania; kiedy tylko wyjadą na drogę prowadzącą na południe, zamierzał się przebrać w spodnie od dresu i bawełnianą koszulkę.

Zanim wyszedł na dwór, osłonił się, podobnie jak ciotka Kim. Żadne z nich nie wyczuwało obecności któregoś z mężczyzn. To bynajmniej nie było rozstrzygające, i Ned doskonale o tym wiedział.

Zażył trzy tabletki advilu i wziął ze sobą jeszcze sześć – oraz ciemne okulary. Wspomnienia tego, jak się czuł, kiedy ostatnim razem przejeżdżali obok tej góry, dość skutecznie odciągało jego myśli od zapachu Kate Wenger. Bał się.

Kate – w jego niebiesko-białej koszuli do rugby, znieśławionej wiatrówce i czapeczce bejsbolowej z napisem „Expo” – jechała z wujem Davem i Stevem czerwonym samochodem. Furgonetkę prowadził Greg. Ojciec Neda siedział z przodu, a ciotka Kim obok niego z tyłu – no bo ciotka pojechałaby przecież z Kate, nie z Nedem.

To też wymyśliła Kate. Osoba wyczulona na szczegóły. Świruska. Długie nogi. W plecaczku miał sporządzony przez nią opis drogi. W kieszeni na klapie. Włożył też do niej liście jarzębiny.

Matka Neda została w willi. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale mocno go uściskała w drzwiach. Na tyle mocno, że zaczął się bardziej bać.

Greg wcisnął guzik na pilocie od bramy i wyjechał na drogę. Pojechali w stronę szosy. Zamierzali się rozdzielić po pierwszym zakręcie: czerwony samochód miał pojechać na północny zachód do Entremont, a furgonetka do Sainte-Victoire.

– Masz swój telefon? – zapytał ojciec Neda.

Już raz o to pytał, jeszcze w domu.

Ned kiwnął głową.

– Mam, tato.

– Naładowany?

– Tak, tato.

– Zadzwonisz, jeśli cokolwiek się stanie?

– Tak.

Ned pomyślał, że to nie jest pora, by usiłować mówić jak prawie dorosły.

– Postuchaj mnie, Ned – odezwała się ciotka. – Jeśli dotrze do ciebie któryś z nich, którykolwiek, i każe ci się zatrzymać... musisz się zatrzymać, kochanie. Jeśli uznają, że ona tam jest, nie będą w najlepszej formie.

Nie zakładaj, że nic ci nie grozi.

Spojrzał na nią.

– Nie zakładam.

„Nie będą w najlepszej formie”. To jeden sposób, by to powiedzieć.

Ojciec, który obejrzał się na nich oboje, zaklął cicho.

A po chwili z innego powodu zaklął Greg, o wiele głośniej, i gwałtownie wcisnął pedał hamulca.

Ned szybko się obejrzał, ale na szczęście wuj Dave nie siedział im na ogonie. Samochód zatrzymał z lekkim poślizgiem.

Ned pochylił się do przodu i wyjrzał przez przednią szybę.

– O Boże – powiedział.

Ciotka już otwierała komórkę i wybierała numer jednym klawiszem; Uzyskawszy połączenie, rzuciła z naciskiem, jakiego Ned jeszcze u niej nie słyszał:

– Dave, nie wysiadaj! Zostań w samochodzie!

Ned spojrzał na nią. Jego ojciec się odwrócił.

– Nie! – powiedziała ciotka Kim. – Dave, to nie jest dla ciebie. Zostań tam!

Ale wtedy Ned już otworzył drzwi i wyszedł na drogę.

Był naprawdę bardzo zły.

Przez moment się zastanawiał, dlaczego to było takie ważne, żeby jego wuj został w samochodzie. Chciał o to zapytać, ale nie miał czasu. Przyszło mu do głowy, że człowiek może mieć wiele pytań i nigdy nie otrzymać na nie odpowiedzi. Nie wiedział nawet, dlaczego sam wyszedł na drogę, i to z taką złością. Usłyszał, jak ojciec woła go po imieniu. Wydawało mu się, że ojciec został bardzo daleko z tyłu. Wyszedł przed furgonetkę.

– Hej, ty! – wrzasnął.

Dzik blokujący drogę ani drgnął.

Nawet nie spojrzał na Neda. Patrzył za niego, za furgonetkę, na las przy drodze, jakby nieświadom obecności chłopaka.

Był naprawdę potężny. Właściwie był wielkości małego niedźwiedzia; sierść miał krótką, zmierzwiłą i sztywną, raczej szarą niż białą. Jego zakrzywione i grube kły były

ubrudzone błotem, podobnie jak sierść. Dzik stał na samym środku drogi i nie było go jak wyminąć.

– Wynocha stąd! – krzyknął Ned. – Do cholery, to ty mi pokazałeś, dokąd mam iść, co tu robisz?

Zwierzę się nie poruszyło. Nawet nie sprawiało wrażenia, że go usłyszało. Zupełnie jakby Ned dla niego nie istniał. Jakby...

Ned właśnie miał krzyknąć znowu, ale tego nie zrobił. Odetchnął głęboko. A potem opuścił osłonę.

Wtedy dzik odwrócił głowę. Spojrzał na niego małymi, błyszczącymi oczkami. Ned przełknął ślinę.

– Jestem tutaj – powiedział, tak naprawdę nie wiedząc, co mówi. – Posłuchałem. Domyśliłem się. Jadę na górę. Przepuść mnie.

Przez długą chwilę na tej wiejskiej drodze było bardzo cicho. Żadnego odgłosu z samochodów za Nędem, żadnego ruchu ze strony stwora przed nim.

Żadnego ruchu. Utknęli. A Ysabel mogła się znajdować na górze i liczył się czas. Powinni jechać. Czując potężną białą falę gniewu, Ned uniósł ręce, zetknięte dłońmi. Wycelował nimi w drogę obok zwierza. Zadrżał. Z dłoni buchnął błysk światła i skrzesał z ziemi iskry, wyrzucając w przód pył i żwir.

Dzik patrzył na Neda jeszcze przez chwilę, a potem nieśpiesznie, spokojnie odwrócił się i przebiegłszy przez rów i zarośla, zniknął między drzewami.

– Słodki Boże. – Ned usłyszał za sobą słowa Grega. – Co tu się dzieje?

Ned wrócił szybko do furgonetki i zasunął drzwi.

– Jedź! – powiedział. – Szybko, Greg. Mam wrażenie, że właśnie dał im znać, gdzie jestem. Może coś więcej.

Poszukał w myślach obecności dwóch mężczyzn, ale nic nie znalazł. Z powrotem się osłonił.

– Dlaczego miałby to robić? – zapytał ojciec Neda. – Jezu, Ned. Jak ty...?

– Nie wiem. – Pytania, żadnych odpowiedzi. – Ale muszę zdażyć przed nimi. Jedźmy.

– Czy on im służy? – zapytał Edward Marriner. Czoło przecinały mu głębokie, równoległe linie.

– To stworzenie nie – odparła ciotka Kim.

– Więc...?

– Nie wiem. Jedź, Greg – ponagliła go.

Greg włączył bieg, wcisnął gaz. Nie zatrzymał się na dole przy znaku stopu, biorąc ostro zakręt w lewo. Na głównym skrzyżowaniu znów skręcił w lewo. Ned się obejrzał i zobaczył, że wuj Dave włącza migacz i skręca w przeciwną stronę, jadąc równie szybko.

Ned zdjął buty i rozpiął pasek spodni, po czym wyplątał się z džinsów. Ciotka Kim podała mu spodnie od dresu; jakoś udało mu się je włożyć. Włożył buty i zawiązał sznurówki. Napił się wody z butelki. Zdjął uniwersytecką bluzę i białą koszulę Kate. Włożył swoją koszulkę z Grateful Dead. Pomyślał, że może nie jest to najlepsza nazwa na ten dzień. Upchnął bluzę do plecaczka. Vera powiedziała, że na szczycie będzie zimno.

Tam, dokąd zdązał o zachodzie słońca.

Greg zauważył brązowy drogowskaz. Zwolnił na niewielkim łuku, a potem zobaczyli samochody na parkingu przy szosie.

– Zrób to szybko – powiedział Ned. – Tylko zwolnij, ja wyskoczę, a ty pojedziesz dalej.

Trudno mu było mówić.

Miał pewność, że zaraz znów zrobi mu się niedobrze. Chciał wysiąść z furgonetki, zanim do tego dojdzie – i jego ojciec albo ciotka go zatrzymają.

Advil, liście jarzębiny nadprzyrodzona osłona, bransoletka ciotki. Ani pojedynczo, ani razem nie na wiele się to mogło przydać. Tu, w pobliżu Mont Sainte-Victoire, gdzie kiedyś odbyła się rzeź dwustu tysięcy ludzi, świat znów nabrał czerwonego odcienia.

– Ned odetchnął i powiedział sobie, że nie jest tak źle jak poprzednio. Że połączenie tego wszystkiego, co ma do dyspozycji, prawdopodobnie przyniesie mu jakąś korzyść. Na tyle, by mógł funkcjonować. Taką miał nadzieję. Włożył ciemne okulary.

– Ned, dobrze się czujesz? – zapytała ciotka Kim.

– Tak – skłamał.

Ojciec obejrzał się na niego. Na ściągniętej twarzy Edwarda Marrinera malował się strach. Na ten widok Neda zabolalo serce.

– Nic mi nie jest – znów skłamał. – Dam sobie radę. Mam telefon.

Telefony komórkowe, rozwiązanie problemów tego świata.

– Skacz! – powiedział Greg, zjeżdżając na pobocze, tuż za zaparkowanym citroenem, i wciskając przycisk otwierania zamków.

Ned odciągnął drzwi do tyłu, wyskoczył, zasunął i, nisko pochylony przemknął między zaparkowanymi samochodami.

Nie miał pojęcia, czemu to robi. Jakby naprawdę ktoś mógł go tu śledzić. Czuł się idiotycznie, ale z drugiej strony uświadomił sobie po tym spotkaniu z dzikiem – bardziej niż kiedykolwiek – że nie ma pojęcia, jak ma sobie z tym wszystkim radzić.

Zerknął na dużą tablicę pokazującą rozmaite szlaki, zapamiętał symbol drogi prowadzącej do krzyża na szczycie i ruszył biegiem.

To jedno potrafił. Był w tym dobry. Należał do drużyny biegaczy przełajowych, prowadził tu dzienniczek treningów, umiał przez długi czas zachowywać dużą prędkość.

Zakładając, że nie zwymiotuje z bólu usadowionego za oczami.

Nad tym da się zapanować, powiedział sobie. Trzeba przez to przebiec. Ona jest na górze. I nikt inny nie potrafi tego zrobić.

Nie oznaczało to bynajmniej, że potrafi to zrobić on.

Szlak zaczynał się jako szeroka, zwirowa ścieżka, zmierzająca łagodnie pod górę. Schodzili nią ludzie, jedni ubrani jak na piknik, z plecakami i koszami, inni w porządnym strojach na piesze wycieczki, z kijkami. Zauważył kilkoro dzieci; wyglądały na dość zmęczone.

Zerknął w górę, daleko w górę na szczyt i stojący na nim krzyż. Kaplica miała się znajdować tuż poniżej, trochę w lewo. Jeszcze jej nie widział. Wszedł w swój rytm najlepiej jak się dało. Było to trudne, ponieważ w ogóle nie zrobił rozgrzewki i fatalnie się czuł. Najgorszy był zapach, był wszechobecny, dokuczał Nedowi bardziej niż ból czy niezdrowe czerwone zabarwienie, jakie przybrał świat. Ned pomyślał, że mógłby to być temat do programu Davida Lettermana: „Dziesięć najważniejszych powodów, by się nie wspinać na Mont Sainte-Victoire”...

Wszystko zaś przenikało poczucie strachu, nagłej potrzeby, które zmuszało go do szybszego biegu. Spojrzał na zegarek. Pokonanie szlaku miało zająć dwie godziny. Ned zamierzał skrócić ten czas co najmniej o połowę albo paść.

Niefortunna myśl. Za prawym okiem przeszył go ból, jakby ktoś go dźgnął drutem do robótek ręcznych. Ned krzyknął mimo woli. Potknął się, niemal upadł. Skręcił w prawo z szerokiej ścieżki, schodząc ludziom z widoku, i zwymiotował gwałtownie w krzakach za jakimś głazem.

I jeszcze raz. Miał wrażenie, jakby jego żołądek chciał się przenieść. Ned klęczał, oparty o szorstką powierzchnię głazu. Zmusił się do powolnego oddychania. Czoło lepiło mu się od potu; cały dygotał.

Kolejny powolny oddech. A wraz z nim, poprzez ból i mdłości, Ned znów poczuł gniew, twardy niczym stalowe ostrze. To dziwne, nieco przerażające, jak wielką czuł wściekłość. Pokręcił ponuro głową, chociaż nie było nikogo, kto by to widział, komu mógłby zaprzeczyć.

– O, nie – powiedział na głos. – Nie ma mowy. Nic z tego.

Tym razem nie zamierzał odejść, nie zamierzał zadzwonić do Grega, żeby odwiózł go do domu, gdzie mógłby wziąć prysznic, położyć się i wysłuchiwać od wszystkich w willi, że przynajmniej próbował, że zrobił wszystko, co mógł.

To nie było wszystko, co mógł zdziałać. Nie chciał do tego dopuścić. Można zrobić więcej. Kiedy sprawa jest wystarczająco ważna, robi się więcej. Istniały opowieści o matkach podnoszących samochody, pod którymi uwięzły ich dzieci.

– Nic z tego – powtórzył Ned.

Grzbietem dłoni otarł pot z czoła. Ona tam jest. Był tego pewien. A tutaj jest tylko on, Ned Marriner. Nie jego ciotka – cokolwiek kiedyś uczyniła, nie mogła tego zrobić teraz. Ani nie jego wuj. Mama mogła leczyć uchodźców w Sudanie, lecz nie mogła wejść na tę górę na czas, a gdyby nawet jej się to udało, na szczycie nic by nie zrobiła. Ned jako jedyny był związany z tym wszystkim, widział krew, czuł zapach wspomnienia jej rozlewu.

Nie prosi się o role, jakie otrzymuje się w życiu; w każdym razie nie zawsze.

Uświadomił sobie, że zaciska szczęki. Zmusił się do rozluźnienia mięśni. Nie można biec w ten sposób, a miał przed sobą długą drogę.

Zdjął plecak, wyjął iPoda i włożył do uszu słuchawki. Nastawił Coldplay. Może rock dokona tego, czego nie umieją dokonać bransoletki i liście jarzębiny.

Zarzucił plecak na ramiona i wrócił na ścieżkę. Musiał wyglądać dość niepokojąco, bo dwoje ludzi – najwyraźniej małżeństwo – zatrzymało się nagle w drodze na dół i spojrzało na niego z troską.

Ned się wyprostował i uśmiechnął blado. Wyjął z uszu słuchawki.

– Dobrze się czujesz? Nie powinienes iść do góry! – powiedziała kobieta po francusku z niemieckim akcentem.

– Wszystko w porządku – powiedział Ned, wycierając usta. – To nic takiego, bywało gorzej. Ciągle tu biegam. Trenuję.

Był zaskoczony, jak dobrze nauczył się kłamać.

– Niedługo zapadnie zmrok – powiedział mężczyzna, kręcąc głową. – A wyżej wspinaczka jest trudniejsza.

– Wiem – odparł Ned. – Ale dziękuję.

Z powrotem włożył słuchawki do uszu i pogłośnił muzykę.

Ruszył biegiem. Za zakrętem sięgnął do tyłu, do bocznej kieszeni plecaczka, po butelkę z wodą i przepłukał usta, a potem, nie zwalniając, spryskał sobie twarz. Splunął w krzaki. Głowa wciąż mu pulsowała.

Nie zamierzam wystąpić w reklamie advilu, pomyślał.

Rozbawiło go to. Odrobinę. Cierpiał zbyt wielki ból. Pomyślał o utrzymywanej osłonie – kiedy pojawi się wyczerpanie, o którym ostrzegali go Phelan i ciotka? Nie miał pojęcia.

Biegł, wymijając weekendowych wycieczkowiczów, schodzących pod koniec dnia ze znużeniem na dół. Nad sobą, wysoko nad sobą, widział duży krzyż, stojący na szczycie. Zmierzał tam, a potem miał skręcić w lewo, zejść grzbietem, wejść na następny, i w dół na prawo.

Przynajmniej tak mówiła Verakuchnia.

Kiedy się zbliżał do jakiejś kobiety, ta spozjrzała na zegarek i pogroziła palcem. Francuzi uwielbiają ten gest. Ned pomyślał, że powinna go przejąć jego matka.

Wiedział, że jest późno. Wiedział, że zerwie się wiatr i zapadną ciemności... nie robił tego dla samej radości biegania. Może powinien wydrukować ulotki i rozdawać je wszystkim potrzęsaczom palców?

Biegł. Po prawie trzydziestu minutach równo wznoszącej się ścieżki zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Jedną było to, że lepiej się czuł. Nie miał tego przemożnego wrażenia, że świat wokół niego gnije. Żywił wcześniej nadzieję, że pomoże mu wydostanie się ponad poziom pola bitwy, i wyglądało na to, że tak się stało. Miał ochotę odmówić modlitwę dziękczynną.

Bolała go głowa, świat był zabarwiony na czerwono, nawet widziany przez ciemne okulary, ale Ned nie czuł się już tak, jakby jego reakcją na rozkład i gnicie miało być bolesne opróżnianie wnętrza.

Drugą rzeczą, o wiele mniej krzepiącą, było to, że ma kogoś za plecami – i że tym kimś jest Cadell.

Kiedy Ned kolejny raz szybko zajrzał w głąb siebie w poszukiwaniu aury, nagle wykrył Celta. Nic, nic, nic... a potem się pojawił: złocisty w myślach Neda, jak w życiu.

Wspinał się na tę górę.

„Nie będą w najlepszej formie”, powiedziała ciotka w willi. Miała na myśli coś o wiele gorszego.

Kazała Nedowi się zatrzymać, gdyby któryś z nich się do niego zbliżył, i po prostu się oddalić. Wiedział wtedy, że ciotka ma rację, i wiedział to teraz. Być może nie chcieli mu zrobić nic złego, ale tylko wtedy, jeśli nie wejdzie im w drogę. Wrócili do życia w świecie tylko w jednym celu: by znaleźć Ysabel. W jednej bitwie między tymi dwoma mężczyznami zginęło ponad dwieście tysięcy ludzi. Cóż przy tym znaczy jeden młody Kanadyjczyk?

Serce waliło mu jak młotem – biegł pod górę jak tylko mógł najszybciej, walczył z bólem i mdłościami. I ścigał go ktoś, kto przez tyle żywotów odczuwał palącą potrzebę dotarcia do tej rozpadliny jako pierwszy.

Ned był pewien, że przywołał ich dzik.

Dlatego zjawił się tu Cadell. Ned nie miał pojęcia, dlaczego zwrócił się do niego. Po świecie krąży wiele pytań i niekoniecznie taka sama liczba odpowiedzi. W gruncie rzeczy między tymi dwiema liczbami ziele wielka przepaść. I to także wzbudziło gniew Neda. Potrzebował gniewu, by go popychał, napędzał, odganiał strach.

Znów spojrzął w górę. Miał przed sobą drewnianą tablicę z różnymi symbolami. Pochyła ścieżka przeszła w tarasowate zakosy. Vera wspomniała o nich. Przez ciągłe zakręty droga stała się trudniejsza; była też bardziej stroma. Ned wciąż widział schodzących ludzi, zdążających to w prawo, to w lewo. Będzie musiał zwolnić, bo szlak stał się węższy trudniej było biec między ludźmi. Pokonał pierwszy zakręt w prawo i wyjął butelkę, by się napić.

Zadzwoniła komórka.

Poszukał jej w kieszeni i zobaczył na ekranie, kto dzwoni.

– Tato – powiedział szybko – czuję się dobrze, biegnę. Nie mogę mówić.

Zamknął klapkę. Miał im powiedzieć, że ma teraz za sobą Cadella? Nietrudno było się domyślić, co powiedzą.

Tak naprawdę to było dość proste. Tak jak to widział Ned, jeśli olbrzym go nie dogoni, to go nie powstrzyma ani nic mu nie zrobi, tak? A więc nie można pozwolić, by go dogonił. Nie zawsze wszystko musi być skomplikowane.

Pomyślał o opuszczeniu osłony, ale nie wiedział, co może w niego uderzyć, jeśli to uczyni. Jak bardzo osłona broni go przed górą. Teraz nie miał czasu do stracenia.

I był też ten drugi. Ned ani przez sekundę nie zakładał, że nie ma tu gdzieś Phelana. Prawdopodobnie się osłaniał, tak jak Ned. Cadell ogłaszał swoją obecność, usiłował przestraszyć Neda, może go odstraszyć. Phelan po prostu... przybywał.

Ta myśl mogła przerazić bardziej.

Wciąż było jasno; słońce zachodziło po prawej ręce Neda, wzmagał się wiatr. Na razie jednak trochę go zatrzymywały drzewa, ponieważ Ned nie znalazł się jeszcze powyżej ich linii. Obejrzał się przez ramię. Poniżej znajdowało się jezioro, albo jakiś inny zbiornik, migocący w świetle, a dalej za nim jeszcze jeden. Ned dotarł na tyle wysoko, by mieć rozległy widok. Był piękny, a chłopak nie pokonał jeszcze połowy drogi.

Zauważył, że na tych zboczach szalał kiedyś pożar, może niejeden. Góra była bardziej naga niż na obrazach Cezanne'a. Czas zmienia wszystko, nawet góry. Zmiany mogło

przynieść nawet sto lat, czy tyle, ile ich upłynęło od czasu, kiedy Cezanne malował ten szczyt. Czy to długo, czy tylko chwilka?

Nedowi wydawało się, że wie, co powiedzieliby ci dwaj mężczyźni i Ysabel. Ale pamiętał też matkę i ciotkę na ścieżce prowadzącej od wieży i przyszło mu na myśl, że one mogą uważać dwadzieścia pięć lat za czas rozzierająco długi.

Nie miał odpowiedzi. Jeszcze trochę pogłośnił muzykę i pobiegł zygzakiem pod górę. Dzień chylił się ku końcowi.

Po dwudziestu minutach wyteżonego wysiłku, polegającym na biegu tam i z powrotem po tarasowatym zboczu między ostatnimi schodzącymi w dół turystami, Ned mocno uderzył w tę wewnętrzną osłonę, przed którą go ostrzegano.

Za szybko! – pomyślał, lecz w tej samej chwili nogi odmówiły mu posłuszeństwa i Ned upadł. Nie ześliznął się, to wciąż był raczej stromy spacer niż wspinaczka, ale leżał na środku wąskiego zakrętu, wyczerpany wycieńczony, i przez długą chwilę miał wrażenie, że nie będzie w stanie się podnieść.

Z wysiłkiem wyjął słuchawki z uszu i przetoczył się na łokieć. Jego plecaczek sprawiał wrażenie ogromnego ciężaru, przygniatającego mu plecy. Z trudem zrzucił go z ramion. W ustach miał smak pyłu. Pomyślał, że to lepsze od krwi.

A potem, czując, jak niepokój ściska mu żołądek, opuścił osłonę, ponieważ nie mógł zrobić nic innego.

Krzyknął. Nic nie mógł na to poradzić.

Ból, który natychmiast i brutalnie wybuchł mu w głowie, był niczym imadło, a nie druty do robótek ręcznych czy młotek. Ned miał rację, tyle że na nic mu się to teraz nie zdało – osłona chroniła go przed pełnym wpływem tego miejsca.

Zacisnąwszy mocno powieki, oddychając z trudem i płytko, świadom, że ma na twarzy łzy, Ned uświadomił sobie, że jednak będzie musiał zadzwonić. Nawet nie wiedział, czy uda mu się nie stracić przytomności do czasu, kiedy ktoś do niego dotrze.

Otworzył oczy i zmusił się, by spojrzeć w górę. Jako że leżał twarzą ku wschodowi, zobaczył kaplicę pod wielkim krzyżem, stojącym na szczycie. Nie znajdowała się daleko, zatem wyglądało, że dotarł cholernie blisko celu. Będą musieli go za to docenić, prawda?

Tu, na górze, nie było nikogo. Nikt nie słyszał jego krzyku. Wszyscy rozsądni ludzie już go minęli, schodząc w dół długiego zbocza w stronę drinków i prysznic, zachodu słońca i kolacji, byle dalej od wiatru, który tu wiał.

Wtedy Ned poczuł coś jeszcze: inny rodzaj pulsowania w głowie, jakby ktoś zapuszczał w nią sondę. Z wielkim trudem i bardzo powoli uniośł się do pozycji siedzącej. Wszystko

wymagało tyle przerażającego wysiłku i tak bardzo bolało. Zajrzał w głąb siebie. Aura Cadella nie zniknęła. A to pulsowanie, ten sygnał, wysyłał właśnie on.

Oczywiście, pomyślał Ned. Jesteś jak tabaka w rogu, Marriner. Głupek.

Myślał, że Cadell go ściga, ale przecież był osłonięty. Celt nie mógł zobaczyć Neda. Cadell po prostu pędził w stronę szczytu, nie wiedząc, czy Ned jest przed nim, czy za nim, czy w ogóle gdziekolwiek.

Teraz jednak go wykrył i dokładał wszelkich starań, by Ned wiedział o tym, że on się zbliża.

Powinienem się bać, pomyślał Ned. W rzeczywistości był zbyt osłabiony, by odczuwać jakiegokolwiek emocje. Pragnął tylko siedzieć tutaj w pyle między kamieniami i karłowatymi krzakami i patrzeć na zachodzące słońce.

Cóż, najpierw mógł zadzwonić. Ktoś przyjdzie. Ciotka była w spisie telefonów. Numer taty był zakodowany pod jednym przyciskiem, podobnie Grega. A właściwie nie. Melanie zaprogramowała w telefonie Neda ten bardzo zabawny dziewięć- czy dziesięciocyfrowy kod dla Grega. A potem Ned w środku nocy ustawił w ich komórkach dzwonki.

Niemal się uśmiechnął, przypominając sobie, jak następnego ranka zadzwonił do niej do katedry. „Och, będziesz cierpieć!”, powiedziała wtedy Melanie, ale się śmiała.

Jeśli cokolwiek z tego rozumieli właściwie, w tej chwili znajdowała się gdzieś powyżej niego, nie tak znów daleko.

Przypomniał sobie, jak się owego ranka śmiała, i wraz z tym wspomnieniem coś się w nim zmieniło. Pomyślał, że gniew może być potężną siłą napędową. Może zniszczyć lub stworzyć człowieka, chyba tak, jak każde inne naprawdę silne uczucie.

Teraz gniew postawił go na nogi.

Zdał sobie sprawę, wyprostowując się ostrożnie, że z prześladowającym go bólem też potrafi sobie poradzić. Rozłożył go kontrast, sam wstrząs, kiedy opadła osłona. Teraz jednak znajdował się naprawdę wysoko, daleko nad równiną, na której rozegrała się bitwa, i mógł jeszcze przez jakiś czas wytrzymać. Słabość odczuwana w nogach to co innego, kolejny problem. Jakby naprawdę – naprawdę! – potrzebował więcej problemów. Niemal słyszał, jak mówi to jego przyjaciel Larry, a reszta chłopaków się śmieje.

Cadell się zbliżał i teraz już wiedział, że Ned jest przed nim.

Z wysiłkiem, który wiele go kosztował, Ned znów włożył plecak. Od kiedy te rzeczy są takie ciężkie? Nogi miał jak z gumy, jakby kończył wyścig przełajowy. Ale brał udział w takich wyścigach już od trzech lat i znał to uczucie. Było i zarazem nie było nowe. Można

korzystać z poprzednich doświadczeń, a Ned już trafiał podczas biegania na mury nie do przebycia.

Właśnie o to w tym wszystkim chodzi, jak zawsze im mówił trener. Człowiek natrafia na swój mur i trenuje, by go odepchnąć, ale kiedy w niego uderza... przechodzi przez niego. Jeśli potrafi to zrobić, to jest biegaczem. Ten głos Ned też słyszał w głowie.

Przeszedł. Poruszał się niemal komicznie powoli. Szedł, nie biegł. Miejscami – znajdował się teraz tuż pod kaplicą – na ścieżce leżały pojedyncze kamienie, o które można się było potknąć.

Obejrzał się. I tym razem dostrzegł zbliżającą się postać, już w strefie zakosów, poruszającą się miarowo i szybko.

Nedowi zebrało się na płacz, co naprawdę by mu nie pomogło. Spojrzał przed siebie. Zostały mu dwa zakręty albo mógłby się wspiąć. Nie wiedział, czy wystarczy mu na to sił, ale był pewien, że nie ma czasu, by tego nie zrobić. Zacisnął zęby – tę minę rozpoznałoby kilka osób – i zszedł ze ścieżki. Pochylił się i dotknął rękami pochyłej skalnej ściany.

To nie była wspinaczka alpejska ani nic podobnego. W normalnym czasie, w normalnych warunkach z łatwością pokonałby to zbocze. Mógłby się na nim ścigać z chłopakami.

Teraz dwa czy trzy razy był pewien, że spadnie. Dłonie mu się pociły, pot skapywał do oczu. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, bo zjeżdżały mu z nosa. Światło nie było już tak silne; słońce stało nisko i malowało górę wieczornymi barwami. Ned wciąż widział zbyt wiele czerwieni, ale na tej wysokości nie było to tak dokuczliwe jak przedtem.

W gruncie rzeczy znajdował się naprawdę wysoko. Podciągał się na rękach, podpierał nogami, wbijał palce w skałę, dysząc z wysiłku. Bawełniana koszulka przykleiła mu się do ciała. Głowa pulsowała bólem. Nogi stawiały opór, jakby założył na nie obciążniki. Zadał sobie pytanie, czy tak wygląda starość? Kiedy ciało nie chce robić tego, co umiało kiedyś? Kolejny temat na wypracowanie?

Idiotyczna myśl.

– Jesteś głupkiem! – powiedział na głos i zmusił się do śmiechu.

W tym samotnym, wietrznym miejscu ów nagły dźwięk zrobił zaskakujące wrażenie. Ned zaczerpnął z niego siłę. Gniew nie jest jedynym uczuciem, które można wykorzystać.

I, rozbity na kawałki czy nie, znalazł się na szczycie. Pchnął prawą stopą jakiś kamień, który obsunął się i stoczył na dół, ale Ned położył już ręce na szczycie i wdrapał się na ostatni płaskowyż.

Znajdował się bezpośrednio przed kaplicą. Schylił się, łapiąc oddech i usiłując zapanować nad drżeniem. Był bardzo słaby. Przez łukowaty otwór dostrzegł dziedziniec ze studnią i niskim kamiennym murkiem po przeciwnej stronie, wychodzącym na południowe stoki. Dalej jest morze, ale nie tak znów daleko.

Znów zerknął za siebie. Złotowłosy Cadell był wyraźnie widoczny; ścinał wszystkie zakręty, podciągając się na rękach przez krzaki i zarośla, gardząc ścieżką. Ned pomyślał, że jemu ścieżki nie są potrzebne. Chciał nienawidzić tego człowieka – i tego drugiego też – ale wiedział, że nigdy nie będzie umiał się na to zdobyć.

Mógł ich jednak pokonać.

Tu, na płaskim terenie tuż pod ostatnim stromym podejściem do szczytu i krzyża, było łatwiej. Ned nie musiał tam iść. Jeśli Verakuchnia miała rację – a przyszło mu na myśl, że w przeciwnym razie wszystko to zrobił na próżno – musi się skierować na wschód, a nie pod górę.

Spojrzał przed siebie i zobaczył, tak jak powiedziała, że tuż za krzyżem góra opada na południe stromą skalną ścianą. W świetle zachodzącego słońca widok był spektakularny. Wiatr pędził po niebie chmury.

Ale droga Neda nie prowadziła tamtędy. Vera powiedziała, że *garagai* leży dalej. Za kolejnym zboczem, tym, które miał przed sobą i na które trzeba było wejść, potem z niego zejść i pójść w prawo wzdłuż następnej skalnej ściany.

Jeszcze raz Ned obejrzał się za siebie. Cadell poruszał się absurdalnie szybko. Ned zobaczył, że Celt unosi głowę i coś krzyczy. Nie słyszał go; wiatr był zbyt silny. Ned pomyślał, że mógłby zdmuchnąć z góry małe dziecko albo kogoś nieostroznego.

Zrzucił plecaczek pod kamienną ścianę kaplicy i zmusił się do biegu. Był to chwiejny, niepewny ruch, blamaż, żart, i nawet tego tempa Ned nie był w stanie utrzymać. Zbocze znów prowadziło w górę, a on był zbyt wycieńczony, zbyt wyczerpany. Północny wiatr, wiejący z jego lewej strony, spychał go ku długiemu ześlizgowi na południe. Ned potknął się i uderzył w kolano. Wydało mu się, że usłyszał za sobą wołanie. Nie obejrzał się.

Walcząc o oddech, walcząc z własnym ciałem, wdrapał się na ostatni grzbiet. Musiał się tam dostać, a potem zejść w dół, na południe. Spojrzał w tamtą stronę. Stromo; będzie musiał uważać. Vera powiedziała, że niczego stąd nie widać, że jaskinia jest ukryta, dopóki nie wyjdzie się wprost na nią. Ned wiedział, że zielona kraina daleko poniżej była polem bitwy. Równina pod górą. Wszyscy ci zabici, tyle lat temu. Podążający za nim mężczyzna w tym uczestniczył.

Oraz kobieta znajdująca się przed nim, jeśli naprawdę tu jest.

Ned ruszył w dół. Zbyt szybko; niemal natychmiast się pośliznął i zsunął. Chwył równowagę, ale nadal poruszał się zbyt szybko. Znów się potknął i odchylił mocno do tyłu, by nie stoczyć się po zboczu. Uderzył się w łokieć; zaklął, zjeżdżając na siedzeniu i wywołując lawinę kamyków. Chwył się głazu, poczuł, że rozdziera sobie skórę na dłoni, ale się zatrzymał.

Tuż obok siebie ujrzął jaskinię.

Kamień w bransoletce ciotki lśnił. Kiedy to wszystko się zaczęło, Ned nie wiedział, o co tu chodzi. Nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Przesunął się wzdłuż skalnej ściany i zobaczył, że do jaskini prowadzi jeszcze jedno – ostatnie, krótkie – zejście. Z drugiej strony, z południa, przenikało przez nią światło. Vera mówiła, że są dwa otwory.

I że rozpadlina znajduje się poniżej, pod tym drugim wejściem.

Ned dotarł na miejsce.

Wszedł do środka, twarzą w stronę skały, znów pomagając sobie rękami. Na ostatnim odcinku się pośliznął i zjechał na dno, odwrócił się i rozejrzał. Wciąż drżał, a właściwie głównie drżały mu nogi. Miał sucho w ustach. Butelkę z wodą zostawił z plecaczkiem.

Znajdował się w pociemniałej przestrzeni, niezbyt rozległej, osłoniętej od wiatru, o równym podłożu. Skalne sklepienie nikło w cieniach. Ned nie wiedział, co się spodziewał zobaczyć, ale tak naprawdę nie zobaczył niczego.

Odwrócił się, by spojrzeć ku południowi – i na ten wspaniały widok opadła mu szczęka. Za szerszym otworem, jakby to było okno, rozpościerało się spokojne piękno. Pola, lśniąca linia rzeki, lekko wznoszący się i opadający teren, a potem znów pnący się za rzeką w stronę odległych gór, jaśniejących w późnym, czystym świetle, a jeszcze dalej błękit morza.

Ned podszedł do otworu i spojrzął w dół. Kolejny stok, trudniejszy, ponieważ leżąca poniżej półka była dość pochyła. Ostrzegano go, że droga będzie niebezpieczna. „Nie zamierzam spaść z góry”, powiedział ojcu.

Tutaj mógł z niej spaść bardzo łatwo. Lecz na pochyłej półce, z prawej strony, Ned dostrzegł skupisko ciemnozielonych krzaków, przytulonych do pionowej skalnej ściany. Otaczały pustkę, czerń, dziurę w świetle. Tam była rozpadlina. Jednak dotarł na miejsce. Cokolwiek to znaczy.

Bardzo się bał. Zaczerpnął tchu. Uniósł brudne dłonie i splunął na nie, jak robią to sportowcy. Na jednej była krew; zranił się o kamień, kiedy się pośliznął. Wylał dłoń w spodnie.

– No to siup – powiedział.

Coś takiego mówią małe dzieci. Usiłował być zabawny dla samego siebie.

– Nie musisz schodzić w dół – usłyszał za sobą słowa. – Jestem tutaj.

ROZDZIAŁ 19

Wyszła z głębi jaskini, z cienia i snów do światła, wpadającego ukośnie przez to szerokie okno południowego otworu.

Ned nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek ją ujrzy. Jej obecność stanowiła inny rodzaj ciosu w serce. Chciał uklęknąć, wyjaśnić, przeprosić. Nie wiedział co robić. Dotarł tutaj, udało mu się, ale miał pustkę w głowie i nie wiedział, jak się zachować.

Podeszła do niego; jej kasztanowe włosy lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Dorównywała mu wzrostem.

Zatrzymała się, przyglądając mu się uważnie, i uśmiechnęła łaskawie.

– Trudno tkwić tam na dole – powiedziała. – Za mocno wieje. Ma się wrażenie, jakby góra chciała człowieka z siebie zrzucić... albo pchnąć do rozpadliny.

Kiwnął szybko głową. Nie mógł mówić. Brzmienie jej głosu go obezwładniało, napępniało żalem, że być może słyszy go po raz ostatni w życiu.

Pomyślał o rzeźbie w krużgankach. Hołd złożony przez Phelana, ukazujący ją jako na wpół odeszłą od początku, jeszcze zanim zaczął działać czas. Znikającą w chwili pojawienia się. Teraz to zrozumiał. Człowiek widział Ysabel, stojąc przed nią, słyszał ten głos i w tej samej chwili miał poczucie straty, wynikające z obawy, że ta kobieta go opuści.

Z pewnością, że to zrobi.

Patrzyła na Neda spokojnie, taksując; w jej wzroku przeważała ciekawość. Oczy miała niebieskie albo zielone – trudno to było ocenić, za mą i nad nią czaił się mrok. Nie promieniowały złościwością ani gniewem, ale i nie patrzyły ciepło. Dlaczego jednak miałby się tego spodziewać? Czego W ogóle mógł się spodziewać?

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytała.

Na to przynajmniej powinien być przygotowany, ale z trudem formułował jakieś sensowne myśli.

– Powiedziałaś... mówiłaś o ofierze – wyjąkał. – W Entremont. Nie o prostym zabijaniu.

Rozbawienie, uniesione brwi.

Zobaczył, że stoi bosa na zimnej skale. Była odziana w długą białą spódnicę z bawełny i wyrzuconą na wierzch niebieską bluzkę. Włosy miała rozpuszczone; spadały jej na plecy, okalając twarz.

– To prawda – zgodziła się, wciąż mu się przyglądając. – Byłeś tam?

Skinął głową.

– To niemądre. Mogłeś zginąć, gdyby się o tym dowiedzieli. Jeszcze raz skinął głową. Phelan wiedział. Nie powiedział tego.

– Istnieje wiele miejsc ofiarnych – zauważyła.

Tego też się domyślili.

– Kiedy opowiedzieliśmy o tym mojej matce, zrozumiała słowa o ofierze. A... a dzik dał mi wskazówkę.

Nie mówił o Melanie, o jej opowieści o rozegranej na dole bitwie. O ofierze złożonej tutaj z wodzów. Będzie jednak musiał powiedzieć o Melanie, ale nie miał pojęcia w jaki sposób.

Wyraz jej twarzy się zmienił.

– Dała ci to matka? – zapytała, pokazując na bransoletkę.

Kamień mocno błyszczał.

Pokręcił głową.

– Ciotka. Jej siostra. – Zawahał się.

Nie należała do niego, ale powiedział: – Chciałabyś ją mieć?

Uśmiechnęła się, zadowolona, ale pokręciła głową.

Długa, spokojna chwila, cisza w jaskini, wiatr wiejący na zewnątrz, zachodzące słońce. Żywy świat tak odległy od tego miejsca.

Wtedy Ysabel uśmiechnęła się jeszcze raz, lecz nieco inaczej.

– Teraz rozumiem – stwierdziła; jej głos też brzmiał inaczej.

Zmiany w tonie i wyrazie twarzy niczym koła rozchodzące się na wodzie. Ned nie był pewien – nie był pewien niczego – ale pomyślał, że usłyszał smutek i może coś jeszcze.

– A co tu jest do rozumienia?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się – Ned odczuł to jak zadanie rany – a potem uniosła dłoń, uciszając go.

Też to usłyszał i patrzył w stronę otworu, przez który przybył. Do jaskini zeskoczył Cadell.

Wylądował, zauważył Neda. A potem odwrócił się do Ysabel.

Nic nie mówił i kobieta też milczała, chłonąc, akceptując to, co nieuniknione w jego twarzy. Niczego nie ukrywał, niczego nie zachowywał dla siebie. Obserwując ich oboje, Ned poczuł się intruzem, którym był: wyłączonym, nieważnym, nie na miejscu. Jeśli miał rację, jeśli w ogóle coś rozumiał, to przed ponad dwoma tysiącami lat Cadell zginął w rozpadlinie poniżej jaskini.

– Jesteś ranny – powiedziała Ysabel.

– Od noża. To nieistotne.

– Zaiste. Co byłoby istotne?

Ned pamiętał ten ironiczny ton z Beltaine, po tym, jak rozpalono ognie i zabito byka. Uświadomił sobie, że znów mu drżą ręce.

W głębokim głosie Cadella brzmiała nuta, którą można było nazwać tylko radością.

– Przybycie tutaj i zastanie Rzymianina. To zdruzgotałoby moje serce tak samo jak upadek nieba przy końcu czasów.

– Ach, powraca poeta?

– Nigdy cię nie opuścił. Wiesz o tym, miłości moja.

– Wiem bardzo niewiele – odparła tonem, który zadawał kłam słowom.

– Wiesz, że tu jestem, i to zanim przeminęły twoje trzy noce. Pamiętam to miejsce.

– Ależ oczywiście – rozległ się inny głos za plecami Neda, nieco poniżej niego.

Wszyscy okręcili się na piętach. Lecz w tej samej chwili Ned zobaczył twarz Ysabel i uświadomił sobie, że kobieta nie jest zaskoczona.

Patrzyli, jak Phelan podciąga się z pochyłej półki, leżącej pod południowym otworem.

Wstał niespiesznie i otrzepał z pyłu kolana oraz rozdartą kurtkę, posługując się tylko prawą ręką. Potem spojrział na kobietę.

– Rana? – spytała Ysabel.

– Nieistotna.

Ned zobaczył łysą głowę, bliznę, szare, chłodno patrzące oczy, a potem – z zaskoczeniem – uśmiech.

– Słyszałeś?

Też się uśmiechała.

– To dowód, że tu byłem, miłości moja. Musiałem to usłyszeć, bo inaczej mogłabyś mi nie uwierzyć.

– Chciałbyś mnie okłamać?

Pokręcił głową.

– Nigdy w życiu. Lecz już nie raz mi nie wierzyłaś.

– Miałam powód?

Phelan popatrzył na nią, a potem znów pokręcił głową.

– Miałaś prawo, lecz nie powód.

Uśmiech zniknął. Na twarzy mężczyzny malował się głód i tęsknota, tak intensywne, że stanowiły niemal aureolę blasku.

– Byłeś poniżej – stwierdził beznamiętnie Cadell.

– To trudniejsza droga, owszem, ale znajdowałem się na południu i musiałem przybyć od tej strony.

– To nie ma znaczenia. Nie było cię tutaj.

Phelan wzruszył ramionami.

– Nie? Powiedz mi, o co zapytała chłopca w kwestii bransoletki?

Ned poczuł na sobie ciężar trzech spojrzeń. Chciał się stać niewidzialny, nieobecny.

A potem usłyszał jej śmiech.

– Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że ty to słyszałeś, a zatem przyszedłeś do mnie pierwszy?

Phelan patrzył na rywala wzrokiem zimnym niczym pustka i czekał. Z jego twarzy zniknął blask. Celt nie odpowiadał.

– Zapytała, czy bransoletkę dała mu matka – rzekł odmierzonym tonem Phelan. – Czy mam przekazać jego odpowiedź, której też nie słyszałeś?

Wilk na szczycie góry.

Odpowiedziało mu spojrzenie błękitnych oczu Cadella, równie twarde, nieustępliwe. Ned zrozumiał, że on nigdy nie ustępował.

– Nie ma znaczenia, jak i gdzie się wspinałeś albo co usłyszałeś z dołu.

Nie dotarłeś do niej jako pierwszy.

Cisza w tym wysoko położonym miejscu. Ned Marriner pomyślał, że sprawia ona wrażenie ostatniej ciszy świata.

Zakończyła ją Ysabel. Zakończyła nie tylko ciszę.

– Nie dotarł. To prawda – mruknęła. – Ale ty też nie, mój złocisty, szkoda, że jestem niekochana, bo ty też nie dotarłeś jako pierwszy.

I kiedy przestała mówić, kiedy zamilkł jej głos, wszyscy troje odwrócili się do Neda.

To, że stał wyprostowany i się nie cofnął, mogło być najtrudniejszą rzeczą, jakiej dokonał w życiu. Stał z nimi twarzą w twarz, oddychając ciężko, ale panował nad sobą. Przeniósł spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego i zatrzymał je na Ysabel. Długa podróż jej wzroku, to, jak daleko zdawał się podążać, by osiągnąć Neda.

– On nie bierze w tym udziału – rzekł Cadell.

– Nieprawda – odparła wciąż cichym głosem. – Czyż nie doprowadził was tutaj? Powiesz, że nie? Że znalazłeś mnie sam?

– Naprowadził go dzik – stwierdził Phelan. – Dzik druida.

Żadnego ognia ani lodu. Nagła, pełna emocji powaga, która na swój sposób była bardziej przerażająca. Jak gdyby wraz z tym, co powiedziała Ysabel, stawka stała się zbyt wysoka na wściekłość czy płomień.

– To nie jest dzik druida – powiedział Cadell. – To Brys mu służył, a nie na odwrót.

– Nie wiedziałem – zdziwił się Phelan. – Myślałem...

– Wiem, co myślałeś. Ten zwierz jest starszy od każdego z nas. Phelan uśmiechnął się słabo.

– Nawet od nas?

Cadell skinął głową. Światło wpadające przez południowy otwór zalśniło na jego złocistych włosach.

Kobieta milczała, pozwalając, by rozmawiali ze sobą niejako ponad jej głową.

– A więc to dzik... to spowodował?

Cadell pokręcił głową.

– W najlepszym wypadku umożliwił. Chłopak mógł zginąć w Entremont, w Alyscamps, pod okrągłą wieżą. Mogłem go zabić w Glanum, gdzie kiedyś zabiłem ciebie. – Tym razem on się uśmiechnął, zacisnąwszy wargi. – Ty mogłeś go zabić wiele razy. Czyż nie tak?

Phelan skinął głową.

– Przypuszczam. Nie widziałem powodu, dla którego miałby umrzeć.

Kiedy zapalono ogień, pomogłem chłopakowi i dziewczynie się stamtąd wydostać.

– Może to był błąd – rzekł głębokim głosem Cadell.

Phelan wzruszył ramionami.

– Popęlniałem inne.

Spojrzał na Ysabel, a potem znów na Neda; zmarszczył czoło.

– Mogliśmy się tutaj pojawić przed nim – powiedział Celt. – Widziałem, jak dwa razy upadł. Ten dzik utrudnił mu zadanie, pokazując nam, dokąd zmierza chłopak.

– I chcesz przez to powiedzieć?

Tym razem zęby Cadella błysnęły.

– Tak trudno ci podążać za biegiem moich myśli? Naprawdę? Powiedziałeś, że spowodował to dzik. To nieprawda.

Kobieta nadal się nie odzywała.

Stała, jakby ledwie ich słuchała, zamykając się w sobie, mimo że była obecna ciałem. Ned znów pomyślał o rzeźbie oświetlonej słońcem w schronieniu krużganków. Tak wysoko nad światem zrobiło się teraz zimno.

– Jeśli masz rację, można to zobaczyć inaczej – rzekł Phelan. – Zwierz sprowadził nas obu.

– Tak. Też przyszło mi to na myśl.

– Zabiłem cię tu kiedyś, prawda? Oraz parę innych osób.

– Wiesz, że tak było. Oni zginęli w rozpadlinie.

– Ty nie.

– Oni zginęli – powtórzył cicho Cadell.

Phelan uśmiechnął się chłodno.

– Trzymasz się tego kurczowo wśród tylu innych śmierci.

– Tam było coś więcej niż umieranie.

– Nie dla ciebie, skoro ja żyłem, zapewniając ci powrót. Na pewno to wiedziałeś, jeszcze spadając w dół.

– Oni nie wiedzieli. Zginęli tam.

– Tak. Ty nie.

– A zatem zawdzięczam ci życie?

Ukłucie ironii.

W tej chwili uśmiechnęli się do siebie. Ned będzie to pamiętał.

– Jak powiedziałeś – mruknął Phelan. – Mogliśmy przybyć przed nim.

– Jak powiedziałem.

Znów spojrzeli na Neda.

– Żałuję... chyba – odezwał się cicho.

Cadell się roześmiał.

– Nieprawda – rzekł Phelan. – Od samego początku nie chciałeś się z tego wyłączyć.

Drobny, może ostatni wybuch gniewu.

– Nie znasz mnie na tyle dobrze, by mówić, co czuję – stwierdził Ned.

Po chwili Phelan – obcy, Grek, Rzymianin – kiwnął głową.

– Masz rację. Wybacz mi. To zupełnie możliwe, że czegoś się potrzebuje lub chce i zarazem żałuje, że tak jest. – Znów się zawahał. – Wygląda na to, że kiedy cię w to wprowadziłem, zrobiłem więcej, niż zamierzałem. Nie umiałbym powiedzieć, nawet teraz, co mnie do tego skłoniło. Co zobaczyłem.

– Nie? A ja umiem – odezwała się Ysabel, przerywając milczenie i wracając do nich. – Spójrzcie na niego! – dodała z nagłym uczuciem.

Posłuchali jej. Tym razem Ned zamknął oczy; myśli wirowały mu w głowie, był zagubiony. A potem rozwarł powieki i w tej samej chwili ujrzał u obu mężczyzn jakby rozblask światła – a potem zachód słońca.

Przez długi czas nikt się nie odzywał.

Cadell zrobił zdrową ręką szybki gest, którego znaczenia Ned nie zrozumiał. Następnie przeczesał palcami długie włosy. Odetchnął głęboko. Uniósł rękę i znów ją opuścił. Odwrócił się do Phelana.

– Naprawdę nie wiedziałeś, kiedy go w to wciągałeś? – zapytał.

Phelan się nie poruszył ani nie odwracał wzroku od Neda.

– Coś wiedziałem. I tak powiedziałem. Nie to. Skąd miałbym wiedzieć to?

Ned chciał wrzasnąć: Co wiedzieć? Bał się odezwać.

– Mogliśmy sobie zdać sprawę, kiedy zobaczyliśmy matkę i jej siostrę – powiedział cicho Cadell.

Phelan skinął głową.

– Chyba tak.

Ned spostrzegł, że Phelan pobladł – był wstrząśnięty do głębi i usiłował dać sobie z tym radę.

Cadell znów przegarnął palcami włosy. Zwrócił się do Ysabel. Stała wyprostowana, nieruchoma – mogła się wydawać piękną niemal zamienioną w kamień, lecz nie do końca.

Rosły mężczyzna patrzył przez chwilę na Neda, a potem przeniósł wzrok na kobietę.

– Matka ma nawet włosy bardzo podobne do twoich – powiedział ze zdumieniem, ściszywszy swój głęboki głos.

I wtedy, wreszcie, bardzo późno, oszołomiony do granic otępienia, czując fale rozbijające mu się o umysł, Ned Marriner zrozumiał.

„Kim jesteś?”.

Wciąż powtarzane pytanie. To, którego nie znosił, nie znając na nie odpowiedzi. Teraz ją znał. Ysabel podała ją im wszystkim.

Świat chwiał się i wirował, niestabilny i niemożliwy. Ned jęknął cicho, bezradnie – nie mógł się powstrzymać. To było zbyt wielkie, oznaczało zbyt wiele. Zbyt wiele, by to przyswoić.

Zobaczył, że Phelan patrzy na Ysabel.

Długie, wąskie wargi drgnęły.

– Kiedy? – wyszeptał. – Czyje?

Ned przestał oddychać.

Uśmiechnęła się, poważna i dostojna, już nie kapryśna czy przekorna. Powoli pokręciła głową.

– Pewnych rzeczy najlepiej nie mówić. Nawet w miłości. Może zwłaszcza w miłości. Czyż nie tak?

Więcej pytań niż odpowiedzi na świecie, pomyślał Ned.

Phelan spuścił głowę.

Uśmiech Ysabel nieco się zmienił.

– Wiedziałeś, że to powiem?

Spojrzał na nią.

– Nigdy nie wiem, co powiesz.

– Nigdy?

Lekkie echo ironii, lecz wywołujące wrażenie, że sięga po nią z wysiłkiem.

– Prawie nigdy – poprawił się. – Nie spodziewałem się tego. Niczego z tego się nie spodziewałem. Nie tego, że zarządzisz poszukiwania, a zakażesz walki. Nie tego, że chłopak jest... tym, kim mówisz, że jest. Jestem zagubiony, miłości moja.

– Ja też – dodał Cadell. Phelan i Ysabel odwrócili się do niego. – Zmieniłaś opowieść. On nas tu doprowadził. Dzik kierował nim i nami. To oznacza?

To oznacza?

Ysabel odwróciła się do Neda. Czyste, odległe spojrzenie. Zauważył, że jej oczy są niebieskie, a nie zielone. I zauważył jeszcze coś. Trzeba było być ślepcem albo naprawdę dzieckiem, by nie zobaczyć smutku, który ją ogarnął. Patrzyła spokojnie na Neda i powiedziała tak cicho, jak jeszcze nigdy do tej pory:

– Co mam mu odpowiedzieć, krwi z mojej krwi?

Milczał. Cóż mógł powiedzieć? Ujrzał jednak teraz – naprawdę ujrzał – odpowiedź na to jedno pytanie o jego obecność w tym miejscu oraz o jego ciotkę i matkę, i o ich matkę i jej matkę, ojców i matki wstecz aż do odległej obecności światła w długim tunelu prowadzącym w przeszłość.

Tam gdzie stojąca przed nim kobieta czekała w dalekiej, nikłej jasności. Odwróciła się od niego, nie czekając na odpowiedź. Spojrzała kolejno na obu mężczyzn.

– Wiecie, co to oznacza. Wiecie, co powiedziałam obok zwierzęcia, które umarło, by znów wciągnąć mnie do świata. Żaden z was nie odnalazł mnie pierwszy. Wiecie, co się stanie. Rozpadlina tu jest. Wciąż tu jest.

„Nie powinniście oglądać tego, co nastąpi potem”. Phelan powiedział mu to w Entremont. Ale Ned został, zobaczył i doprowadził ich do tego miejsca.

– Nie mówiłaś, że było jakieś dziecko – mruknął Cadell.

– Nie mówiłam, że było jakieś dziecko – powtórzyła cicho Ysabel.

– Tylko to jedno?

Phelan nie spuszczał z niej wzroku.

– Tylko to jedno. Jeden z was zabił tego drugiego, a potem sam umarł, zbyt szybko, zostawiając mnie samą. Lecz nie całkowicie. Wtedy. Nosłam dar.

– Wiesz, co to będzie oznaczać, miłości moja, jeśli razem wpadniemy do rozpadliny? Obaj – powiedział Cadell cicho, lecz bez strachu w głosie. Upewniał się.

Skłoniła z powagą głowę.

– Wszyscy wiemy, co to będzie oznaczać. Lecz żaden z was mnie nie odnalazł, a chłopiec ma swoje miejsce w opowieści.

Wpatrując się w nią, Ned pomyślał, że nigdy nie wydawała się tak królewska.

Mężczyźni odwrócili się – to też zapamięta – by spojrzeć na siebie. Ogień i lód złożyły się na coś, do czego nazwania nie był dość bystry – nie żył dostatecznie długo.

Phelan odwrócił się do kobiety. Powoli skinął głową.

– Chyba rozumiem. Koniec, miłości moja? – Zawahał się. – Czy musimy powiedzieć, że powinien nastąpić już dawno temu?

Ysabel zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

– Tego nie powiem! Nigdy bym tego nie powiedziała.

Odwróciła się do rośniejszego mężczyzny. Jeden, a potem drugi. Jeden, a potem drugi. Ned chciał się cofnąć pod ścianę jaskini, ale bał się zwrócić na siebie uwagę.

– Nadal wierzysz, że nasze dusze znajdą inny dom? – zapytała Cadella.

– Zawsze w to wierzę, chociaż może nie dotyczy to nas wszystkich. My troje poruszamy się innymi torami. Nie chcę się wypowiadać na temat mojej duszy. Nie z tej rozpadliny.

– Będziecie mnie szukać? Gdziekolwiek będę? Jeśli będzie jakiś sposób?

Ned płakał. Jednak się cofnął, aż oparł się plecami o zimną kamienną ścianę obok południowego otworu. Czuł tu wiatr.

– Gdziekolwiek będziesz – powiedział Cadell głosem, za którym mężczyźni i kobiety mogli iść na wojnę, przez górskie łańcuchy, przez lasy, w ciemność. – Dopóki nie zgaśnie słońce, a przez światy nie powieje ostatni podmuch wiatru. Czy musisz mnie pytać? W tej chwili?

Znów pokręciła głową.

– Nie, nie musiałam pytać, prawda? Mój lśniący. Anwyllu.

Ukochany.

Cadell stał jeszcze przez chwilę, patrząc na nią, zapamiętując ją, chciał powiedzieć Ned, a potem – nie wyciągając ręki, nie dotykając jej – powiedział:

– A zatem chyba pora odejść.

Odwrócił się i podszedł do otworu. Na krawędzi stoku zatrzymał się obok Neda i położył mu rękę na ramieniu. Żadnych słów.

Ani dla tego drugiego, chociaż się odwrócił; wymienili spojrzenia, szare oczy i niebieskie. Ned, który szlochał w milczeniu, czuł się tak, jakby słyszał krew przepływającą przez komory jego serca. „Krew z mojej krwi”.

Wtedy Cadell skoczył z krawędzi na stromą półkę. Ned widział go w blasku późnego słońca, w resztkach dziennego światła, jak podszedł do niskich, ciemnozielonych krzaków, okalających ofiarną rozpadlinę, w opowieściach niemającą dna.

Tam się zatrzymał, lecz nie ze strachu, o nie, kiedy bowiem obejrzał się i spojrzał w górę, patrząc na kobietę, znów się uśmiechał, złocisty, spokojny.

Takim Ned Marriner widział go po raz ostatni, przez łązy, które nie chciały przestać płynąć, kiedy Celt zrobił ostateczny krok i bez jednego dźwięku runął na spotkanie końca.

Ned patrzył na pustkę powstałą w miejscu, gdzie przed chwilą stał człowiek. Odwrócił głowę. Zobaczył parę ptaków zdążających spiralą na południe, wzdłuż stoku góry. Niebo nie spadało, chociaż w tym czasie i miejscu można było to sobie wyobrazić.

Odwrócił się do Phelana. Mężczyzna stał przez chwilę, patrząc w dół na rozpadlinę, a potem podszedł do uskoku prowadzącego na półkę. Minał Neda blisko, jak Cadell, ale go nie dotknął. Zdjął za to swoją szarą skórzaną kurtkę i delikatnie położył ją Nedowi na ramionach.

– Po zachodzie słońca zrobi się zimno – powiedział. – Obawiam się, że na ramieniu jest rozdarcie. Może da się naprawić.

Ned nie mógł mówić. Miał ściśnięte gardło i serce. Łzy nie pozwalały mu dobrze widzieć. Phelan patrzył na niego jeszcze przez moment, jakby chciał coś powiedzieć.

Potem przestąpił brzeg jaskini, jak zwykle lekkim krokiem, gładko wylądował i podszedł do brzegu rozpadliny.

Ned usłyszał za sobą Ysabel. Nie odwrócił się. Bał się na nią spojrzeć. Zrobił to jednak mężczyzna stojący na dole.

– Anwyllu – powiedziała znów.

Nazwany tym imieniem uśmiechnął się wtedy, stojąc na górze tak odległej od świata, w którym się narodził, zalany blaskiem słońca, które się nie zmieniło przez te wszystkie lata.

Popatrzył za plecy Neda, tam, gdzie stała Ysabel. Wypowiedział jej imię.

– Z każdym oddechem – powiedział do niej na końcu. – Każdego dnia, za każdym razem.

A potem przestąpił krawędź i runął w dół, w ciemność.

Po kilku chwilach bezruchu pod ścianą jaskini Ned musiał usiąść. Spuścił nogi nad urwiskiem i patrzył na koniec dnia oraz pochyłą półkę, na której nikt już nie stał. Nie wiedział, że można czuć tyle smutku, mieć taką przygniatającą świadomość czasu.

„Dopóki nie zgaśnie słońce”.

Słońce zachodziło, wstanie rano – z każdym zapadnięciem nocy ludzie musieli zmuszać się do wiary, że tak będzie. Ned przypomniał sobie, jak ledwie zeszłego wieczoru Kate Wenger mówiła, że w przeszłości zachód słońca nigdy nie był chwilą piękna czy spokoju. Mężczyźni i kobiety bali się, że może nadejść ciemność, która się nie skończy.

Już nie płakał. Zabrakło mu łez. Wylał policzki, poczuł ukąszenie wiatru. Dwa kolejne ptaki, albo może te same, spłynęły z wysoka i zniknęły mu z oczu na wschodzie. Na ramionach miał kurtkę Phelana. Popatrzył na rozpadlinę, na wpół ukrytą wśród krzaków. Żałował, że nie zna żadnej modlitwy, którą mógłby odmówić na głos albo choćby w myślach.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk, ale się nie odwrócił.

Miał świadomość, zbyt bolesną świadomość, jaką rolę tu odegrał. Nie sądził, by zdołał spojrzeć jej w twarz. Cadell powiedział, że jego matka ma jej włosy. Jego prababka miała podobno dar jasnowidzenia. Opowieści rodzinne sięgały jeszcze dalej.

A jego ciotka...

Ned westchnął, ponieważ to wszystko pochodziło z tak wielkiej wewnętrznej głębi, że wydawała się bezdenna. Przecież w tym tkwił. To była jego rodzina, a Phelan sprawiał wrażenie, że o czymś wie – nie mając pojęcia, co to jest – od tego pierwszego dnia w katedrze.

Ysabel podeszła bliżej. Była bardziej obecnością niż dźwiękiem. Ned miał bolesną świadomość jej bliskości. Byli teraz sami. Zapewne patrzy w dół i wspomina dwa tysiące sześćset lat. Jak można się pogodzić z końcem czegoś po tak długim czasie? Kto kiedykolwiek musiał sobie z tym poradzić?

Bo to był koniec. Ned wiedział to z tak samo dojmującą pewnością, jak tamta trójka. Zderzyli się ze ścianą – z nim – i to skomplikowane wirowanie zakończyło się na tej górze.

Pokręcił głową. Wszystko mogło się potoczyć na wiele innych sposobów. Brys usiłował go zabić na cmentarzu. Kiedy tu przyjechał, mógł poczuć zbyt silne mdłości, żeby się wspinać. Każdy z tych dwóch mężczyzn mógł być szybszy od Neda. Obaj to mówili. To, co się właśnie stało, nie było przesądzone, nie musiało się stać.

Czy to oznaczało, że on ich zabił? Albo uwolnił?

Czy dobór słów sprawia różnicę? Czy słowa w ogóle coś tutaj znaczą?

– O Boże. Ned, udało ci się – usłyszał słowa.

Znaczyły. Znaczyły tak wiele, że dały mu siły do wstania i obrócenia się na pięcie.

Przed nim stała Melanie. Z czarnymi włosami z zielonym pasemkiem i uśmiechem tak szerokim mimo łez, że sprawiał wrażenie, jakby mógł rozświetlić cienie jaskini.

– Nie wierzę! – powiedział. – To... ona... wróciłaś!

A Ysabel odeszła.

A zatem miał rację, kiedy widział ją, jak odchodzi, chociaż stała obok niego. Radość, gwałtowna i przesywająco jasna, zmieszała się z uczuciem, które być może nigdy go nie opuści. Ktoś wrócił, został uratowany, ktoś odszedł. Czy tak jest zawsze?

– To ty mnie sprowadziłeś z powrotem – powiedziała.

– Nigdy w życiu tak się nie cieszyłem na czyjś widok.

– Naprawdę? – zapytała, a Ned usłyszał nutę ironii, która przywodziła na myśl kogoś innego, nie Melanie.

Nie mógł mówić. Był wstrząśnięty, przytłoczony. Podeszła, splótła palce za głowę Neda i pocałowała go, stojąc w wietrze na krawędzi uskoku. Nie śpieszyła się. Pachniała czymś, czego nie pamiętał. To było oszałamiające.

Cofnęła się. Spojrzała na Neda. Oczy miała nienaturalnie błyszczące, może od łez.

– Prawdopodobnie nie powinnam tego robić.

Wciąż miał trudności z oddychaniem.

– To jedyny powód, dla którego przyjechałem do Francji – udało mu się wykrztusić.

Roześmiała się. Pocałowała go znów, tym razem delikatnie. Ned odniósł niemożliwe wrażenie, że robi to Melanie, ale też i nie całkiem Melanie. A może nie było to niemożliwe? Nie po tym, co się tu stało. Nagle przypomniał sobie Kate, idącą do Entremont, i zmianę, jaka w niej zaszła w związku z Beltaine.

– Dziękuję – powiedziała Melanie, wciąż stojąc bardzo blisko Neda.

– No tak – bąknął, czując zawroty głowy od jej dotyku i zapachu, i osobliwości swych myśli.

A potem dotarło do niego poniewczasie coś jeszcze. Przesunął się w bok, przyglądając się jej uważniej.

Poczuł, że mimo wszystko zaczyna się uśmiechać.

– O Boże! – powiedział.

Melanie nagle zrobiła zakłopotaną, niepewną minę i zaczęła przypominać dawną siebie.

– Co się stało?

Zaczął się śmiać; nic nie mógł na to poradzić.

– Melanie, kurde, jesteś wyższa o przynajmniej siedem centymetrów. Spójrz na siebie!

– Co? To niemożliwe... i nie mogę spojrzeć na siebie!

– A więc mi zaufaj. Podejdź.

Podeszła. Miał rację. Przynajmniej siedem centymetrów. Sięgała mu teraz do nosa, a przedtem nie było o tym nawet mowy.

– Niech to dunder świśnie, Ned! Urosłam?

– Na to wygląda.

Nie znał nikogo, kto by mówił „niech to dunder świśnie”.

– Czy to możliwe?

Myślał o ciotce. O jej włosach, które naraz zrobiły się białe. W co jego matka nie chciała uwierzyć przez dwadzieścia pięć lat.

– Chyba możliwe – powiedział. – Niewiele o tym wszystkim wiemy.

– Urosłam? – powtórzyła ze zdumieniem.

– Będziesz niebezpieczna.

Błysnęła uśmiechem, który przypominał kogoś innego. Kogoś kto odszedł.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo, Nedzie Marrinerze. Ktoś wrócił, ktoś odszedł na zawsze. Ned się zawahał.

– Melanie, czy zdawałaś sobie z czegośkolwiek sprawę, kiedy byłaś...? Uśmiech zniknął. Spojrzała przez otwór ku południowi, na półkę i równinę, rzekę, góry, morze.

– Tylko na początku – powiedziała cicho. – I nawet wtedy było to trudne. Kiedy... kiedy zaczęłam się zmieniać, czułam, że to się dzieje, ale nic nie mogłam na to poradzić. Nie mogłam tego powstrzymać. Początkowo widziałam jej oczyma i słyszałam jej uszami, ale potem zrobiło się trudniej. Jakbym pchała jakiś ciężar pod górę, wielki głaz głową, ramionami, usiłując spod niego wyjrzeć? A potem głaz stał się zbyt ciężki, zaczął mnie spychać. I po pewnym czasie nic już nie mogłam zrobić.

Wciąż patrzyła na krajobraz.

– Więc nie wiesz, co się tu stało? Przed chwilą?

– Powiesz mi?

– To co wiem. Ale... czy to ty zmusiłaś ją do zmiany, do rozkazania im, by jej szukali?

I wybrałaś to miejsce?

Znów się rozplakała. Kiwnęła głową.

– Ja. Mogłam... wiedziałam poprzez nią, co się miało stać, i że jeśli jeden z nich zabije drugiego i ją zdobędzie, ja odejdę. Więc forsowałam jedyny pomysł, jaki miałam, czyli usiłowałam ją zmusić, żeby przyszła tutaj, i miałam nadzieję, że ktoś będzie pamiętał to miejsce. – Spojrzała na niego. – Że ty je zapamiętasz. Nie myślałam, by mógł o nim pamiętać ktoś inny.

– Rozumiałaś, co mogłoby się stać, gdyby wszyscy tu przyszli?

– Wiedziałam to, co ona. – Otarła policzki. – Ned, ja byłam nią, a zarazem trochę sobą.

A potem zrobiło się to zbyt trudne i mogłam tylko czekać pod powierzchnią.

– Wiedziałaś, że tam byłem? W Entremont?

Błysk dawnej Melanie w jej oczach.

– Cóż, to idiotyczne pytanie. Co ja tam w ogóle robiłam?

Zrobiło mu się głupio. Przecież do niej zadzwonił.

– Słusznie. Przepraszam. Zmienił się wyraz jej twarzy.

– Nigdy mnie nie przepraszaj, Ned. Nie po tym.

Spróbował obrócić to w żart.

– To ryzykowne polecenie wobec faceta.

Pokręciła głową.

– Nie tym razem.

Teraz on odwrócił wzrok i spojrzał na zapadający zmrok.

– Powinniśmy zejść. To nie jest zwykłe miejsce.

– My też nie – rzekła Melanie. – Nie jesteśmy zwykli. Prawda?

Zawahał się.

– Chyba w większości jesteśmy – odparł. – Będziemy. Możesz iść?

Spojrzała na swoje białe stopy.

– Nie po zboczu, Ned. I będzie ciemno.

Zastanowił się.

– Widziałem kaplicę. Tuż pod szczytem. Niedaleko. Może nie uda nam się dostać do środka, ale jest tam dziedziniec, jakieś schronienie. Mogę stamtąd zadzwonić.

– Automatycznie do Grega?

To jednak była Melanie. Wyższa, ale ona. Uśmiechnął się. Szczęście było możliwe, znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

– Bardzo zabawne – powiedział. Przyszła mu do głowy inna myśl. – Wiesz, że Greg potrafi zaskakiwać?

– Będziesz musiał mi opowiedzieć. Ale masz rację, powinniśmy się stąd zebrać, zmarzłam. Ysabel chyba była... dość twarda.

Ned pomyślał, że Ysabel miała wiele cech. Zdjął skórzaną kurtkę i dał ją Melanie.

– Skąd ją masz? – zapytała, wsuwając ręce w rękawy.

Kurtka była na nią za duża; Melanie wyglądała w niej jak łobuziak.

– To też ci powiem. Idziemy?

Wyszli przez wschodni otwór, drogą, którą przybył Ned. Melanie skrzywiła się kilka razy, stąpając boso po kamieniach.

Ned zatrzymał się na zewnątrz i obejrzał się; stał w miejscu, do którego zjechał z góry, kiedy się pośliznął. Widział głąz, którego się chwycił. W jaskini było teraz ciemno, światło nie docierało do tylnej ściany. Właściwie nic tam nie było widać.

Melanie patrzyła na Neda.

– Ty też się zmieniłeś – stwierdziła.

– Urosłem o siedem centymetrów?

– Nie, zmieniłeś się, Ned.

Skinął głową.

– Chodźmy, kaplica jest zaraz na górze, trochę w lewo.

Kiedy wdrapali się na grzbiet i spojrzeli ku zachodowi, w stronę krzyża i kaplicy, całkowicie samotni na górze, słońce znajdowało się prosto przed nimi, bardzo nisko, i oświetlało chmury. Ten zachód był wspaniały, był darem.

Ned Marriner pomyślał, że żyją w czasach, w których można myśleć w ten sposób.

Plecaczek leżał tam, gdzie go zostawił pod kamiennym murem. Ned włożył bluzę; na wieczornym wietrze zrobiło się przenikliwie zimno. Kaplica była zamknięta na kłódkę, podobnie długie, niskie pomieszczenie wychodzące na dziedziniec. Sam dziedziniec dawał niejakię ochronienie przed wirującymi podmuchami wiatru.

– Dam ci moje skarpetki – powiedział Ned – bo zamarzniesz. Melanie skinęła głową.

– Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek ucieszy mnie taka propozycja. Zapięła kurtkę na zamek aż pod sam nos, ale nie na wiele by się to zdało, gdyby została na bosaka.

– Masz scyzoryk? – zapytała.

– Tak.

Wyciągnęła rękę. Ned poszukał w plecaczku i podał Melanie swój szwajcarski wojskowy scyzoryk, a potem usiadł na kamiennej ławce pod budynkiem i zaczął zdejmować buty, by oddać Melanie skarpetki.

– Nie są ostatnim krzykiem mody – zaczął, kiedy już je zdjął i z powrotem włożył buty – ale...

Przerwał. Melanie stała w otwartych drzwiach nakrytego płaskim dachem budynku obok kaplicy.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał, podchodząc.

– Mam umiejętności, o których jeszcze nie wiesz, Nedzie Marrinerze.

Ta nuta w jej głosie. Znów się pojawiła. Być może Ned się zmienił, ale na pewno nie tylko on.

– Kilka dni temu tata tak samo otworzył zamek wytrychem.

Uśmiechnęła się.

– Ja go tego nauczyłam.

– Co?

Wyglądała na bardzo zadowoloną.

– Kiedyś zobaczył, jak to robię, kiedy robiliśmy zdjęcia w Peru, i mi pozazdrościł. Zmusił mnie, żebym go tego nauczyła.

– Jesteś mistrzynią zbrodni. Proszę, skarpetki.

Wzięła je i weszła do środka. Ned zabrał plecaczek i poszedł za nią. Na górze nie było prądu i długie, wąskie pomieszczenie tonęło w mroku. Kiedy Melanie wkładała skarpetki, Ned otworzył okiennice wychodzące na dziedziniec. Zobaczył kominek i ułożone obok niego drewno. Prawdopodobnie kiedyś mieściło się tu dormitorium albo jadalnia. Teraz wyglądało to na miejsce, w którym turyści mogli spędzić noc.

– Myślisz, że jeśli rozpalimy ogień, to zostaniemy aresztowani?

– Mogłabym to znieść – rzekła Melanie. – Jeśli przyniosą buty.

To przypomniało o czymś Nedowi.

Otworzył kłapkę telefonu i wybrał numer ojca. Jeden dzwonek.

– Ned?

Poczuł, że mimo wyczerpania twarz rozjaśnia mu się uśmiechem. Zanim się odezwał, załapała go fala emocji. Walcząc z nią, powiedział:

– Tak, to ja. Mam ją, tato.

– Co?

– Odzyskałem ją. Oboje czujemy się dobrze.

– O dobry Boże – usłyszał słowa ojca. A potem uświadomił sobie, że jego tata płacze.

Usłyszał, jak przekazuje nowinę innym.

– Ned, Ned... oddaję telefon matce.

– Kochanie? – usłyszał. – Naprawdę nic ci się nie stało?

– Nic, mam, i Melanie też. To będzie naprawdę długa opowieść.

– Możecie zejść?

– Nie teraz, mam. Jest prawie ciemno, a Melanie nie ma butów. Chyba będziecie musieli przyjść po nas rano z rzeczami dla niej.

– Gdzie jesteście?

– W tym budynku obok kaplicy. Dostaliśmy się do środka. Jest tu kominek. W nocy będzie dobrze. Możecie tu do nas przyjść z samego rana?

– Oczywiście. Przekaż telefon Melanie, twój ojciec chce z nią porozmawiać.

– Ja myślę.

Podał jej telefon z uśmiechem.

– Szefie?

Chwila ciszy. Melanie przetarła oczy.

– Dziękuję panu – rzekła cicho. – Dziękuję wam wszystkim. Nic mi nie jest, naprawdę. Zobaczycie. Potrzebuję kilku rzeczy, gdybym mogła jeszcze porozmawiać z doktor Marriner?

Podeszła do okna. Ned wyszedł na dziedziniec i minawszy studnię, zbliżył się do niskiego południowego murku.

Spojrzał na pociemniałą ziemię. W domach, wiejskich gospodarstwach i restauracjach zapalały się światła. Widział reflektory samochodów. Zobaczył prowadzącą ze wschodu na zachód autostradę. Uzdrowiska Riwiery znajdowały się ledwie o godzinę drogi stąd. Migocące światłami bary, kawiarnie i jachty.

Wyobraził sobie statek żeglujący tu przed bardzo wielu laty z Grecji, mijający ciemne, złowrogie lasy i górskie łańcuchy, dzięki którym wszystko to, co leżało w głębi łądu, było spowite mgłą tajemnicy. Wyobraził sobie, jak ci przybysze z daleka znajdują jakąś zatoczkę nieco na zachód stąd, a potem pierwszy raz spotykają się z plemieniem, zastanawiając się, czy przemierzywszy całą tę drogę, znaleźli śmierć, czy coś innego.

Wyobraził sobie miejscowych wojowników, z druidami, obrzędami i leśnymi bogami oraz boginiami nieruchomych stawów, wyobraził sobie, jak idą przez lasy, by obejrzyć tych obcych, jak się zastanawiają, kim są i co tu ze sobą przynieśli.

Serce miał przepełnione po brzegi smutkiem i radością, które nie zostawiały miejsca na nic innego. Patrzył na migocące poniżej światła; słońce już zaszło. Po lewej stronie, tam gdzie znajdowały się uzdrowiska, enklawy zamożnych znanego mu świata, zobaczył księżyc.

Teraz znał też i inny świat. Dotknął go. Przez resztę życia będzie w pewien sposób przemierzał je oba. Pomyślał o dziku.

Omiotany wiatrem, oparłszy dłonie na niskim murku, pomyślał o Ysabel. Na ziemię spływała noc.

– Chodź – usłyszał za sobą. – Znalazłam zapałki, mamy ogień. Przyniosłeś coś, co da się nazwać jedzeniem?

Odwrócił się z powrotem do Melanie, do świata.

– Verakuchnia coś mi zapakowała.

– Niech Bóg ją ma w opiece – rzekła stojąca w drzwiach Melanie, wszedł za nią do środka. Ogień ładnie się palił. Zapaliła też świece.

– W tych komodach jest mnóstwo koców – powiedziała.

– Świetnie. Będzie dobrze.

Melanie uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Może nawet będzie ci lepiej niż dobrze, marynarzu – powiedziała.

To, jak można się było spodziewać, sprawiło, że serce zabiło mu żywiej. Odchrząknął, bo w jego świadomości zagościł nieodparty obraz.

– Melanie, przyjechała moja matka. Przyjdzie tu jutro i spojrz mi w oczy.

– Słuszna uwaga. A ja pracuję dla twojego taty, prawda? Mogłabym mieć trudności ze staniem z nimi twarzą w twarz, gdybyśmy...

– Ty? – zapytał. – Ty mogłabyś mieć trudności? Znasz moją matkę! Myślisz, że się wymigam, udając, że graliśmy w „dwadzieścia pytań”? Zwierzę, roślina, minerał?

Roześmiała się.

– Tylko jeśli zagramy w „dwadzieścia pytań”.

– Nie po to wstępowałem do marynarki.

Wyraz twarzy Melanie się zmienił. Przez chwilę patrzyła na Neda.

– Wiesz co, ty się naprawdę zmieniłeś.

– Ty też.

– Chyba tak. – Uśmiechnęła się do niego.

Pomyślał, że wygląda na starszą, lecz tego nie powiedział. Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka. Jej oczy wydawały się ciemniejsze, podobnie jak głos.

– Ned, mam dość dobre pojęcie o tym, co dzisiaj zrobiłeś. Pamiętam, jaki to miejsce miało na ciebie wpływ, kiedy tu przyjechaliśmy. I... to nie będzie jedyna noc w naszym życiu.

Znów odchrząknął.

– Ma to dość erotyczny wydźwięk.

– Aha. Wiem. Urodziny masz w lipcu?

Kiwnął głową. Znów trudno mu było mówić. Kobiety mają taki wpływ na człowieka.

– Będę musiała bardzo się starać o tym pamiętać – rzekła Melanie. – A teraz zobaczmy, co ci zapakowała Vera.

Podeszła do plecaczka. Ned się nie poruszył. Pamiętał dotyk jej ust w jaskini, no i w powietrzu unosił się ten zapach, z którego wcześniej nie zdawał sobie sprawy.

– No, piętnastego – powiedział nagle. – Piętnastego lipca.

Melanie grzebała w plecaczku.

– Bagieta, pasztet, ser, jabłka. Vera to skarb – stwierdziła. A potem obejrzała się na niego przez ramię z uśmiechem. – Zapiszę to w moim notesie elektronicznym. Tymczasem chodź do ognia, zjedzmy i... – Głos znów się jej obniżył. – Myślę o czymś zwierzęcym.

– O Boże – powiedział Ned.

Roześmiała się.

Na dworze zapadła głęboka noc. Z rosnących niżej lasów wyszły ostrożnie dziki, które żerowały o świcie i o zmroku. Z drzew wleciały na polowanie sowy. Światło księżyca odnalazło starożytne miasta i ruiny wież, łuki tryumfalne i święte stawy, cmentarze, winnice i krzaczki lawendy. Na ciemnogrnatowym niebie, które jeszcze nie spadło, pojawiały się kolejno gwiazdy.

Czekali na zewnątrz pod murem w jasnym świetle poranka. Zobaczyli sylwetki zbliżające się zakosami północnego grzbietu. Ned pomyślał, że chcąc się tu znaleźć o tej porze, musieli wyruszyć przed wschodem słońca, po ciemku.

Widząc, jak ojciec unosi kapelusz i nim macha, pomyślał, że rano trudniej jest odczuwać smutek. Melanie wstała i zamachała rękami nad głową.

Możesz sobie pozwolić na radość, pomyślał. A nawet na dumę. Nie czuł już mdłości. Sensacje ustały, kiedy wszedł do jaskini, kiedy znalazł Ysabel.

Licząc sylwetki, przekonał się, że przyjechali wszyscy. Nawet Greg i wuj Dave, który nie powinien wybierać się na dwugodzinne wspinaczki. Jego matka i ciotka szły obok siebie.

Rude włosy. I białe, jak w bajce. To jednak nie była bajka; to była jego rodzina, a on miał dla niej odmienną opowieść. Przełknął z trudem ślinę, widząc je tak obok siebie, jaśniejące na tle zieleni drzew i leżących daleko w dole błękitnych jezior.

Pokonywali zygzaki szlaku. Pamiętał, jak pod koniec minionego dnia, ścigany, ściał te ostatnie zakręty i wspinał się po skalnej ścianie.

Oni nie musieli tego robić. Ned stał obok Melanie i czekał, by wspinający się pokonali ostatnie wzniesienie. Tuż przedtem Melanie spojrzała na niego z uśmiechem.

Uznał, że to jest raczej dziesięć centymetrów.

Oddał jej uśmiech.

– Zastanawiam się, czy teraz mogłabyś grać w kosza?

– Na to wygląda – odparła.

A potem ruszyła biegiem, w jego skarpetkach, białej spódnicy i niebieskiej bluzce, które miała na sobie Ysabel. Ned zobaczył, jak ojciec otwiera ramiona i mocno ją przytula, jakby była utraconym dzieckiem, które wróciło.

Obok nich zatrzymali się Greg i Steve, czekając na swoją kolej. Matka, wuj i ciotka szli w stronę Neda. Zobaczył trzymającą się z tyłu, nagle onieśmiałą, Kate Wenger.

– Hej, mamó – powiedział. – Przyniosłaś croissanty?

Matka, która niezbyt lubiła przytulanie, nie odpowiedziała, tylko mocno go objęła i nie puszczała.

– Hola! – powiedział Ned.

– Żadne „hola” – mruknęła, nie rozluźniając uścisku. – Nie ma mowy.

W końcu się cofnęła, patrząc na niego.

Ciotka się uśmiechała.

– Hej, siostrzeńcze. Mamy ci powiedzieć, jak bardzo się baliśmy?

– Mogę się domyślić.

– Nie, nie możesz – powiedziała Meghan Marriner, kręcąc głową. – Nawet w przybliżeniu.

Spojrzał na nią.

– Muszę wam powiedzieć kilka rzeczy – oznajmił. – O nas. O naszej rodzinie.

Siostry zerknęły na siebie.

– Który z nich był ojcem? – zapytała Kim.

Nedowi opadła szczęka.

– Jezu! – powiedział.

– Prawie przez całą noc rozmawialiśmy – poinformowała go matka. – Dopasowaliśmy do siebie kilka domysłów. Jak w układance.

– W układance – powtórzył niemądrze.

Wuj Dave roześmiał się na widok jego miny.

– Wierz mi, Ned, aż strach było ich słuchać. Możemy się zacząć bać. Ned nie czuł strachu. Nie wyglądało też na to, by czuł go jego wuj.

Matka i ciotka patrzyły na niego wyczekująco. Odchrząknął.

– Nie powiedziała – odparł. – Oni zapytali.

– Ale mamy rację? – zapytała Meghan.

Ned skinął głową i spojrzał na wuja.

– Aha. Oni nie byli pewni.

– Jeszcze – powiedział Dave Martyniuk. – To dopiero początek.

Spojrzeli na pozostałych.

Na czele szedł Edward Marriner. Greg i Steve szczerzyli się jak dzieciaki. Melanie miała już swoją ogromną torbę, telefon komórkowy i słomkowy kapelusz. Meghan podeszła i ucałowała ją w oba policzki.

Ned spojrzał na tatę.

– Cześć, tatau – powiedział.

– Witaj, synu – odrzekł ojciec z uśmiechem.

– Dobrze się rozejrzyj. Poranne słońce. Nie da się tu chyba nic zepsuć.

Mnóstwo możliwości. Powinieneś też popatrzeć na południe, z drugiej strony dziedzińca. Zdjęcie z góry Cezanne'a, a nie jej samej.

Ojciec skinął głową.

– Przyszło mi to na myśl po drodze.

– Ja o tym pomyślałam tydzień temu! – odezwała się Melanie.

– Och, oczywiście – rzekł Greg.

Steve parsknął i odszedł kawałek dalej, gdzie w pewnej odległości trzymała się Kate. Dzwonił ze swojej komórki. Ned się zastanawiał, kto został w willi, żeby do niego dzwonić.

Chwilę później wysoko na szczycie Sainte-Victoire rozległy się w czystym powietrzu dźwięki „Marsza weselnego”.

– Cholera! – powiedziała Melanie, czerwieniąc się. Dźgnęła placem w przycisk na swojej komórce. – Wyłączyłam ten dzwonek!

Steve odwrócił się do nich. Śmiał się. Greg też. Podobnie jak Ned. Czy cały czas trzeba być dojrzałym?

Steve zamarkował orientalny ukłon przed Melanie.

– Przyjmij naukę o życiu, Mały Ptaszku. To, co zostało zmienione, może w końcu zostać zmienione z powrotem.

Skłonił się jeszcze raz, złożony przed sobą dłonie.

– Będziecie obaj mieli straszne kłopoty – oznajmiła Melanie.

– Naprawdę się cieszę, że to mówisz – powiedział Greg. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. – Słuchaj, czy ty nie urosłaś?

Jej uśmiech prawie rozjaśnił stok góry.

Melanie wróciła do budynku, by się przebrać. Ojciec Neda oglądał widoki we wszystkich kierunkach. Ned znał to taksujące spojrzenie.

– Później – powiedział Edward Marriner, napotkawszy wzrok syna. – Wrócę tu.

Położył Nedowi dłoń na ramieniu i uściśnął je.

Melanie wyszła na zewnątrz. Jej widok we własnym ubraniu i butach do biegania był swego rodzaju szokiem. Teraz była całkowicie sobą, asystentką ojca Neda, superzorganizowaną wojowniczką na dzwonki.

W tej chwili ktoś inny został jeszcze dalej z tyłu.

To zmusiło Neda do zastanowienia. Przepuścił wszystkich przodem. Powiedział, że chce mieć chwilę dla siebie. Matka spojrzała na niego, a potem ruszyła ścieżką w dół z pozostałymi.

Ned znalazł jakiś głąz i usiadł, opierając się o niego plecami i patrząc ku wschodzącemu słońcu, w stronę ostatniego grzbietu, na który się wspiął poprzedniego dnia. Na szczyt, a potem w prawo w dół do jaskini.

Odetchnął głęboko. Czy to wszystko się cofnie? Czy to, co zaszło, odsunie się i zacznie dryfować, jak dzieje się to ze wspomnieniami? Stanie się tematem rozmyślań coraz rzadszych w miarę upływu lat? Opowieścią, własną historią, podczas gdy człowiek jest niesiony w inne opowieści i inne momenty, które stają się jego życiem. W spotkaniu z innymi ludźmi.

Usłyszał kroki, ktoś kopnął kamyk.

– Przespałeś się z nią w nocy? – zapytała Kate Wenger.

Podeszła do niego i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Miała chłodną minę.

– A cóż to za pytanie? – zapytał, podnosząc wzrok.

– Powiedziałabym, że oczywiste.

– Nie odpowiedziałby na nie żaden dżentelmen.

Czekała.

Ned poczuł, że się czerwieni.

– Nie, oczywiście, że nie.

Kate się uśmiechnęła.

– Świetnie.

Miała rozpuszczone włosy, tym razem włożyła na dżinsy czarną koszulkę Neda z Pearl Jam. Zrobiła z nią tę dziewczynską sztuczkę – związała w talii, żeby łatwiej się jej wspinało.

Koszulka nie wyglądała tak, jak wtedy, kiedy nosił ją Ned.

– A w każdym razie wolę kobiety z Nowego Jorku – powiedział.

Pociągnęła nosem.

– Niczego nie zakładaj.

– Ani mi się śni.

Uśmiechnęła się.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby ci się to śniło.

Ned zagapił się na nią, nie wiedząc co powiedzieć. Znów spojrzał w lewo, za górski grzbiet, w stronę Riwiery, Włoch, słońca. Kraina leżąca na południu była niegdyś polem bitwy. Ned pomyślał, że zapewne nie raz. Zalewał ją łagodny poranny blask.

Kate wyciągnęła ręce.

– Chodź, zostaniemy za daleko w tyle.

– A co w tym złego? – zapytał, podnosząc na nią wzrok.

Znowu się uśmiechnęła.

– Chyba nic.

Podał jej ręce i pozwolił, by pomogła mu wstać.

*Już nigdy pojedyncza opowieść nie zostanie opowiedziana
Jakby była jedyną na świecie.*

John Berger

PODZIĘKOWANIA

Dla Laury i Sybil, jak zwykle, po obu stronach Atlantyku.

Ysabel została napisana na wsi pod Aix-en-Provence, zatem najpierw należy wspomnieć te osoby, które służyły nam wówczas ogromną pomocą.

Bethany Atherton zaproponowała willę Sans Souci, pokazała nam zrujnowaną wieżę i pewnego wietrznego dnia podczas wspinaczki na Sainte-Victoire znalazła *garagai*. Leslie-Ellen Ray podzieliła się zawodową wiedzą na temat fotografowania katedry w Aix.

Na Uniwersytecie Aix-Marseille Gilles Dorival przedstawiał sugestie, odpowiadał na pytania, organizował wstęp do biblioteki uniwersyteckiej i przedstawił mi cudownie wielkodusznemu Jeanowi-Marcowi Gassendowi i Pierre'owi Varčne'owi, architektom z Institut de Recherche sur l'Architecture Antique. Jestem im wdzięczny za uprzejmość i entuzjazm, za dokładne szkice katedry i kryjącej się w jej murach historii, oraz za cudowne, pobudzające wyobraźnię popołudnie wśród nadal zamkniętych ruin nowo odkopanego rzymskiego teatru w Aix.

Podczas długiego samochodowego rekonesansu wokół góry towarzyszył mi Sam Kay, który kilka razy udał się do Entremont, gdzie przemierzał teren, oraz – z Matthewem i Laurą – dołączył do mnie między innymi w krążgankach Saint-Saveur i Saint-Trophime, w Les Alyscamps i w rzymskim teatrze w Arles oraz w Glanum. „Musisz wykorzystać to miejsce w książce” stało się motywującym mnie refrenem chłopców. Sam wrócił na górę po kilku tygodniach od wspólnej wyprawy, by ustalić dalsze szczegóły dotyczące drogi oraz jaskini leżącej nad rozpadliną.

Matthew wszędzie robił zdjęcia. Synowie w roli badaczy oznaczają przejście do nowego etapu.

Przeczytałem zbyt wiele tekstów o celtyckiej, greckiej i rzymskiej obecności w Prowansji, by je tu wszystkie wymienić. Wspomnę tylko pamiętne dzieło Theodore'a Cooka *Old Provence* oraz prawdziwie czarującą (oraz niewątpliwie specyficzną) pozycję autorstwa S. Barring-Gouida *A Ramble in Provence*. Pomogła mi obszerna praca Jeana Markale'a o Celtach, a także Miranda Green, Marie-Louise Sjoestedt, Nora Chadwick (po raz kolejny) oraz płodny Barry Cunliffe. Jego krótka książka o Greku Pyteaszu podsunęła mi kilka pomysłów, które znalazły się w *Ysabel. War, Women, and Druids* jest porządnym,

użytecznym zbiorem źródeł traktujących o przecięciu światów klasycznych i celtyckiego. *Ectasies* Carla Ginzburga, historyka, którego podziwiam od dawna, była żyznym gruntem pomysłów i obrazów.

Jeśli chodzi o oppidum Entremont, ogromnie pomocna okazała się monografia Fernanda Benoita *Entremont* o historii tego miejsca i prowadzonych tam wykopaliskach. Równie pomocna była oficjalna strona www.culture.gouv.fr/culture/arcnat/entremont/en/index2.html (po angielsku i francusku).

Mam nadzieję, że oczywiste jest, iż żaden z tych autorów nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności za sposób, w jaki wykorzystałem historię i mit przy pisaniu tej opowieści.

Jestem wdzięczny Deborah Megagi (duchowi opiekuńczemu www.brightweavings.com) oraz Rexowi Kayowi za uważną lekturę ukończonego brudnopisu.

Ysabel, podobnie jak jej autor, wiele tym osobom zawdzięcza.